

alastair
reynolds



ARKA ODKUPIENIA
Tom I: ZDRADA

REYNOLDS ALASTAIR

Arka Odkupienia Tom: Zdrada

ALASTAIR REYNOLDS

Przekład Piotr Staniewski i Grażyna

Grygiel

Tytuł oryginału: *Redemption Ark*

PROLOG

Martwy statek miał w sobie jakieś obsceniczne piękno.

Skade obleciała go po spiralnej pseudoorbicie. Silniki korwety szybko bębniły serią impulsów korekcyjnych. Za statkiem wirowały gwiazdy; słońce układu ulegało zaćmieniu i odsłaniało się przy każdej pętli spirali. Skade odrobinę za długo przyglądała się słońcu i teraz poczuła w krtani złowieszczy ucisk – nadciągała choroba lokomocyjna.

Skade było to zupełnie niepotrzebne.

Zirytowana, zwizualizowała swój mózg w całej przezroczystej, trójwymiarowej złożoności. Jakby obierając owoc, zdejmowała warstwy nowej kory i kory, odrzucała nieinteresujące ją akurat teraz części własnego mózgu. Srebrzysta wiązka implantowanej sieci – geometrycznie identyczna z organiczną siecią synaptyczną Skade – migotała aktywnością neuronową, gdy pakiety informacji biegły z prędkością kilometra na sekundę, dziesięć razy większą od pełzania biologicznych sygnałów. W istocie Skade nie widziała ruchu sygnałów – to by wymagało przyśpieszonej percepcji, co z kolei wymusiłoby jeszcze szybszą komunikację między neuronami – ale mimo to obraz pokazywał, które fragmenty zmodyfikowanego mózgu wykazują największą aktywność.

Skade powiększyła obraz pewnej szczególnej części mózgu zwanej poletkiem ostatnim, pradawnej płątaniny obwodów neuronalnych, odpowiedzialnych za rozwiązywanie konfliktów między widzeniem a równowagą. Ucho wewnętrzne czuło stały nacisk przyśpieszenia korwety, ale oczy postrzegały cyklicznie zmieniający się widok wirującego za statkiem tła. Starodawna część mózgu potrafiła pogodzić tę sprzeczność tylko w taki sposób, że uznawała doznania za przejaw halucynacji. Wysłała więc sygnał do innej części mózgu, wyspecjalizowanej w toku ewolucji w ochronie ciała przed przyswajaniem substancji trujących. Skade wiedziała, że nie ma sensu winić mózgu za mdłości. Skojarzenie halucynacje- trucizna doskonale służyło przez miliony lat, pozwalając ludziom bezpiecznie eksperymentować z pożywieniem i

rozszerzać dietę. Teraz jednak, w tym zimnym, niebezpiecznym rejonie innego układu słonecznego, zupełnie się nie sprawdzało. Pomyślała, że warto usunąć ten mechanizm, sprytnie przetransformować geometrię połączeń. Znacznie łatwiej to powiedzieć niż zrobić. Mózg był holograficzny i zawiły jak beznadziejnie pogmatwany program komputerowy. Skade wiedziała, że wyłączając jedną część mózgu, odpowiedzialną za mdłości, wpływa na funkcjonowanie innych jego obszarów, korzystających z tych samych połączeń neuronowych. Nie przejmowała się jednak – już z tysiąc razy przedtem robiła podobne rzeczy i jej percepcja rzadko doznawała poważniejszych skutków ubocznych.

Jest. Obszar- winowajca zapulsował na różowo i wypadł z sieci. Mdłości ustąpiły. Skade poczuła się znacznie lepiej.

Pozostała w niej złość na samą siebie, na własną beztroskę. Działając w terenie, robiąc częste wypadki na terytorium wroga, nie pozwoliłaby sobie na czekanie do ostatniej chwili z tak drobną korektą neuronalną. Stawała się niedbała, a to niewybaczalne, zwłaszcza teraz, gdy statek wrócił, co dla Matczynego Gniazda mogło się okazać nawet ważniejsze od ostatnich kampanii wojennych.

Poczuła się żwawiej. Znow była dawną Skade. Po prostu potrzebowała czasem odkurzenia i wyostrzenia.

[Skade, bądź ostrożna. Temu statkowi przydarzyło się coś bardzo dziwnego]

Głos, który słyszała, był głosem kobiety, cichym, zamkniętym tylko w jej czaszce. Odpowiedziała subwokalnie:

Wiem.

[Zidentyfikowałaś go? Wiesz, który to z tamtych dwóch?]

Galiany.

Skade obleciała go całkowicie i teraz miała w okolicach wzrokowych kory mózgowej trójwymiarowy obraz statku, otoczony ejdetycznymi objaśnieniami, przesuwanymi się, gdy z kadłuba statku wyciągano coraz więcej informacji.

[Galiany? Tej Galiany? Jesteś tego pewna?]

Tak. Istniały drobne różnice konstrukcyjne między tymi trzema, które razem wyleciały. Cechy, które rozpoznajemy, świadczą, że to jej statek.

Obecność, jak się to czasami zdarzało, potrzebowała chwilę na udzielenie odpowiedzi.

[My też doszliśmy do takiego wniosku. Ale nie sądzisz, że najwyraźniej coś przydarzyło się temu statkowi od czasu, gdy opuścił Matczyne Gniazdo?]

Moim zdaniem przydarzyło mu się wiele.

[Zacznijmy od przodu i cofajmy się do tyłu. Jest tu ślad uszkodzenia, poważnego uszkodzenia. Rozdarcia i rozcięcia, wydaje się, że całe fragmenty kadłuba usunięto i wyrzucono, jak chorą tkankę. Może to zaraza, nie sądzisz?]

Skade pokręciła głową. Pamiętała swoją ostatnią podróż do Chasm City.

Widziałam z bliska skutki parchowej zarazy. To wygląda inaczej.

[Zgoda. To coś innego. Mimo to należy podjąć środki ostrożności, wdrożyć kwarantannę jak przy zarazie. Może mamy do czynienia z czynnikiem zakaźnym. Możesz skupić swoją uwagę na rufie statku?]

Głos nie przypominał innych głosów, jakie słyszała u Hybrydowców; brzmiał teraz zdecydowanie, pouczał, jakby znał już odpowiedź na zadawane pytania.

[Skade, co to są, według ciebie, te regularne struktury zanurzone w kadłubie?]

Tu i tam widziała rozmieszczone przypadkowo skupiska czarnych sześcianów różnych rozmiarów i o różnej orientacji. Sprawiały wrażenie wciśniętych w kadłub jak w świeżą glinę, ich ściany były częściowo ukryte pod zewnętrzną warstwą kadłuba. Emanowały z nich mniejsze sześciany o elegancko wygiętych fraktalowych trajektoriach.

Według mnie gdzieś usiłowali je wyciąć i zabrać, ale nie zdążyli usunąć wszystkich.

[Rozumiemy. Nie wiemy, kim są, trzeba ich jednak traktować z największą ostrożnością, choć może teraz są nieaktywni. Może Galiana zdołała powstrzymać ich rozprzestrzenianie. Jej statek dotarł aż tutaj, choć może wracał na autopilocie. Jesteś pewna, Skade, że na pokładzie nie ma nikogo żywego?]

Nie jestem pewna. Dopiero gdy otworzymy statek, będę wiedziała. Ale nie wygląda mi to obiecująco. W środku nie wykrywam żadnego ruchu, żadnych wyraźnie ciepłych miejsc. Kadłub jest za zimny, by działały jakiegokolwiek procesy podtrzymywania życia, chyba że napędzają je silniki krioarytmetyczne.

Skade milczała przez chwilę, uruchomiła w głowie, jako procesy w tle, kilka dodatkowych symulacji.

[Skade?...]

Być może jest tu kilku ocalałych, ale większość załogi to najwyżej zamrożone trupy. W najlepszym wypadku może uda się wysondować kilka pamięci.

[Skade, nas w istocie interesuje tylko jeden trup]

Nawet nie wiem, czy Galiana jest na statku. Ale nawet gdyby była i gdybyśmy zrobili wszystko, by przywrócić ją do życia... to może nam się nie powieść.

[Rozumiemy. Czasy są przecież trudne. Sukces byłby wspaniały, ale porażka będzie czymś o wiele gorszym niż zaniechanie wszelkich prób – przynajmniej w oczach Matczynego Gniazda]

Czy to przemyślana opinia Rady Nocnej?

[Wszystkie nasze opinie są przemyślane. Jawnej porażki nie można tolerować. Ale musimy zrobić wszystko, co w naszej mocy. Jeśli Galiana jest na pokładzie, zrobimy wszystko, by ją nam przywrócić. Ale należy to wykonać w całkowitej tajemnicy]

Dokładnie jak całkowitej?

[Przed resztą Matczynego Gniazda nie da się ukryć wiadomości o powrocie statku. Możemy im jednak zaoszczędzić bólu nadziei. Zostanie podana informacja, że Galiana jest martwa, bez szansy na ożywienie. Niech ból naszych rodaków rozbłyśnie jasno i na krótko, jak supernowa. Skłoni ich to do jeszcze większego wysiłku w walce z wrogiem. Tymczasem będziemy nad nią pracować pilnie i z miłością. Jeśli przywrócimy ją do życia, zostanie to uznane za cud. Wybacz nam, że tu i ówdzie nagniemy prawdę]

Skade powstrzymała wybuch śmiechu.

Naginanie prawdy? Dla mnie to brzmi jak jawne kłamstwo. A jak zamierzasz zagwarantować, że Clavain podtrzyma waszą wersję?

[Dlaczego uważasz, Skade, że z Clavainem będą problemy?]

Odpowiedziała pytaniem na pytanie:

Chyba nie zamierzasz ukryć faktów również przed nim?

[To wojna, Skade. Istnieje prastare powiedzenie o wojnie i ofiarach, ale nie będziemy cię tym teraz zaprzętać. Jesteśmy jednak pewni, że rozumiesz, o co chodzi. Clavain to nasz największy atut taktyczny. Ma sposób myślenia niepodobny do reszty Hybrydowców i dlatego stale mamy przewagę nad wrogami. Pograży się w bólu jak inni, lecz na krótko. Będzie to wielka rozpacz. Ale szybko wróci do siebie, akurat gdy będzie nam najbardziej potrzebny. Przyznasz, że to lepiej niż skazywać

go na długą nadzieję, po której – co prawdopodobne – doznałyby destrukcyjnego rozczarowania]

Głos zmienił się; ktoś wyczuł, że powinien zabrzmieć jeszcze bardziej przekonująco.

[Clawain to człowiek bardziej od nas emocjonalny. Był stary, gdy do nas przyszedł, w sensie neurologicznym starszy od wszystkich rekrutów, jakich kiedykolwiek przyjęliśmy. Jego umysł nadal grzęźnie w starych sposobach myślenia. Zawsze powinniśmy o tym pamiętać. Clawain jest delikatny i wymaga naszej troski, jak cieplarniany kwiat]

Ale kłamać mu na temat Galiany...

[Może nigdy do tego nie dojdzie. Wyprzedzamy fakty. Najpierw musimy zbadać statek – przecież Galiany może tam w ogóle nie być]

Skade przyznała rację.

Tak byłoby chyba najlepiej? Wtedy wiedzielibyśmy, że pozostała gdzieś tam, w kosmosie.

[Tak, ale wówczas musielibyśmy poruszyć drobną kwestię, co się stało z trzecim statkiem]

Po dziewięćdziesięciu pięciu latach od wybuchu parchowej zarazy Hybrydowcy wiele wiedzieli na temat postępowania ze skażeniami. Należeli do jednego z ostatnich odłamów ludzkości, jakiemu udało się zachować cenną technikę sprzed zarazy, więc bardzo poważnie traktowali kwarantannę. W okresie pokoju najbezpieczniej i najłatwiej byłoby zbadać statek na miejscu, tam gdzie dryfował w kosmosie na skraju układu. Istniało jednak zbyt duże ryzyko, że zauważą to Demarchiści, i inspekcję należało przeprowadzić po kryjomu. Doskonale się do tego nadawało Matczyne Gniazdo – było odpowiednio wyposażone do przyjmowania skażonych statków.

Przedtem jednak należało zachować ostrożność, wymagającą sporej pracy w otwartym kosmosie. Najpierw serwitory usunęły silniki, odcinając laserem dźwigary, mocujące je po obu stronach zwężającego się stożkowato kadłuba światłowca. Źle pracujący silnik mógł zniszczyć Matczyne Gniazdo; nie można było do tego dopuścić, więc, dopóki nie zostanie wyjaśniona przyczyna katastrofy statku, Skade nie chciała ryzykować. Równocześnie Skade kazała raketom-ciągnikom przyholować kawał czarnego, niesublimowanego lodu kometarnego, potem serwitory obłożyły nim kadłub warstwą metrowej grubości. Szybko się z tym uporały, a przy tym ani przez chwilę nie dotknęły bezpośrednio kadłuba. Początkowo statek był ciemny – teraz stał się niesamowicie czarny.

Skade wystrzeliła w lód zaczepy, w wielu miejscach kadłuba zakotwicząc rakiety-

ciągniki. Ponieważ podczas holowania statku lód miał wytrzymać wszystkie naprężenia, Skade musiała przyczepić tysiąc ciągników, by nie dopuścić do przedziurawienia lodowej warstwy. Gdy wszystkie rakiety zostały odpalone, powstał zachwycający widok – tysiąc zimnoniebieskich płomyków wystrzeliło z czarnego, skręconego w spiralę rdzenia dryfującego statku. Skade utrzymywała niewielkie przyśpieszenia, bardzo dokładnie wyliczone: potrzebna była tylko jedna wspólna korekta przed końcowym przybyciem do Matczynego Gniazda. Odpalenie silników korekcyjnych zsynchronizowała ze ślepyimi plamkami pokrycia sensorycznego Demarchistów. Demarchiści w ogóle nie podejrzewali, że Hybrydowcy wiedzą o tych ślepych plamkach.

W Matczynym Gnieździe kadłub został odholowany do szerokiego na pięć kilometrów doku wyłożonego warstwą ceramiczną. Przygotowany specjalnie na przyjęcie statków opanowanych zarazą, dok mógł akurat pomieścić światłowiec z usuniętymi silnikami. Ceramiczne ściany miały trzydzieści metrów grubości, a wszystkie urządzenia w doku uodporniono przed zarazą. Gdy statek znalazł się w środku, dok szczelnie zamknięto wraz z wyselekcjonowanym przez Skade zespołem inspekcyjnym.

Dok miał skromne możliwości przesyłania danych do pozostałej części Gniazda, więc zespół przyuczono do działania w izolacji od miliona Hybrydowców w Gnieździe. Te wymagania sprzyjały selekcji operatorów, którzy nie zawsze byli najbardziej stabilni, ale Skade nie mogła narzekać. Należała do najrzadszego rodzaju Hybrydowców, potrafiących działać w zupełnej samotności w głębi terytorium nieprzyjaciela.

Statek zabezpieczono, komorę wypełniono argonem pod ciśnieniem dwóch atmosfer. Delikatną ablacją usunięto prawie cały lód, zostawiając tylko cienką warstwę, którą stapiano przez sześć dni. Sensory unosiły się nad kadłubem jak stado mew, węsząc, czy w argonie nie ma obcej materii, ale poza wiórami materiału kadłuba nic szczególnego nie odkryły.

Skade nie śpieszyła się. Działała z największą ostrożnością, nie dotykała statku, chyba że było to absolutnie niezbędne. Wzdłuż statku wirowały pierścienne grawitometry obrazujące; badając jego wewnętrzną strukturę, ukazywały rozmyty widok wnętrza. Skade widziała to, co już знаła ze szkiców konstrukcyjnych statku. Dostrzegła jednak również dziwne rzeczy, których nie powinno tam być: wydłużone czarne kształty wkręcające się i rozdwarzające w środku statku. Przypominało to tory kul na zdjęciach z sekcji zwłok lub wzorce cząsteczek subatomowych, przechodzących przez komorę mgłową. W miejscu, gdzie czarne kształty docierały do zewnętrznej powłoki, Skade zawsze odkrywała na wpół zakopane sześciany.

Na statku zostało jednak sporo miejsc, gdzie ludzie mogli przeżyć, choć wszystko wskazywało na to, że żywych tam nie ma. Radar neutrinowy i skanowanie

promieniami gamma ujawniły więcej elementów konstrukcyjnych, jednak Skade nadal nie widziała istotnych szczegółów. Niechętnie przeszła do następnego etapu badań – kontaktu fizycznego. Przyczepiła kilkadziesiąt młotów udarowych w różnych miejscach kadłuba oraz przyklepiła setki mikrofonów. Gdy młoty waliły w kadłub, Skade słyszała w swoim skafandrze dudnienie przenoszone przez argon. Brzmiało to tak, jakby w odległej kuźni trudziła się armia kowali. Fale akustyczne mknęły przez statek, a mikrofony nadsluchiwały echa metalu. Jeden ze starszych programów neuronalnych Skade wyławiał informację zawartą w opóźnieniach echa i układał tomograficzny profil gęstości obiektu.

Skade zobaczyła to w widmowych szaro-zielonych barwach. Obraz nie dostarczył danych sprzecznych z tym, co Skade już wcześniej wiedziała, choć dał jej dokładniejszy wgląd w pewne obszary. By dowiedzieć się więcej, musiała wejść do środka, a to nie było łatwe. Wszystkie śluzy zostały od wewnątrz zamknięte plombami ze stopionego metalu. Skade nerwowo i systematycznie przecinała uszczelnienia laserem i hiperdiamentowymi wiertłami, czując strach i rozpacz załogi. Otworzyła pierwszą śluzę i posłała na zwiady oddział zabezpieczonych serwitorów – krabów o ceramicznych pancerzach, wyposażonych akurat w tyle inteligencji, by wykonać swe zadanie. Przesłały widoki wnętrza do czaszki Skade.

Widoki przerażające.

Załoga była zmasakrowana. Niektórzy zostali rozerwani na strzępy, zgnieceni, pozbawieni kończyn, sprasowani, pocięci na kawałki. Inni byli spaleni, uduszeni, zamrożeni. Rzeź musiała trwać dość długo. Obserwując pobojuwisko, Skade odtwarzała sobie przebieg wydarzeń: stoczono serię bitew i broniono reduct w różnych miejscach statku, gdzie załoga wznosiła naprędce barykady przeciw agresorom. Sam statek rozpaczliwie próbował ochronić swój ludzki ładunek, przebudowując wnętrze tak, by powstrzymać wroga. Pewne obszary zalał płynem chłodzącym lub wypełnił powietrzem pod dużym ciśnieniem i tam Skade dostrzegła zwłoki dziwnych, niezgrabnych maszyn – konglomeratów tysiąca czarnych geometrycznych kształtów.

Bez trudu sformułowała hipotezę.

Sześciiany przylepiły się do statku Galiany, zaczęły się rozmnażać, absorbując i przetwarzając jego powłokę. W tym sensie zachowywały się jak zaraza. Ale parchowa zaraza była mikroskopijna, gołym okiem nikt nigdy nie widział jej pojedynczego spora. Ta choroba, w sposobie replikacji, miała cechy bardziej brutalne i mechanistyczne, niemal faszystowskie. Zaraza przynajmniej przesyciała stransformowaną materię czymś z jej wcześniejszych cech, produkując chimeryczne fantazmy maszynowo-cieleśne.

Nie, powiedziała sobie Skade, na pewno nie mamy tu do czynienia z parchową

zarazą, co w obecnej sytuacji byłoby pociechą.

Sześciany wgrzyły się do statku i sformowały oddziały żołnierzy- napastników, którzy mordowali, sunąc powoli od miejsc infekcji. Sądząc po ich szczątkach, mieli budowę guzowatą i asymetryczną, bardziej przypominali gęste roje szerszeni niż indywidualne jednostki. Potrafili chyba przecisnąć się przez najmniejszą dziurkę, a potem zrekombinować po drugiej stronie. Bitwa zajęła im jednak wiele czasu. Skade oceniała, że mogło upłynąć wiele dni, a nawet tygodni, nim cały statek uległ.

Ta wizja wywołała u Skade dreszcz.

Dzień po wkroczeniu na statek serwitory Skade znalazły kilka prawie nienaruszonych ludzkich korpusów, choć głowy tkwiły w czarnych hełmach stworzonych z sześcianów. Obce maszyny sprawiały wrażenie bezwładnych. Serwitory usunęły część hełmów i zobaczyły, że wypustki maszynowego odrostu sięgają w głąb czaszek przez oczodoły, otwory uszne i nosowe. Dalsze badania wykazały, że wypustki wielokrotnie się rozdwały, aż osiągnęły skalę mikroskopową. Dotarły w głąb mózgow i stworzyły połączenia z pierwotnymi implantami Hybrydowców.

Teraz zarówno maszyny, jak i ciała- gospodarze, były martwe.

Skade usiłowała zrozumieć, co się stało. Zapisy statku zostały starannie zniszczone. Wydawało się jasne, że Galiana spotkała istoty wrogie, ale dlaczego nie unicestwiły statku jednym atakiem? Sześciany wnikały w niego powoli, skrupulatnie, co miałoby sens jedynie wówczas, gdyby zamierzały jak najdłużej zachować statek w stanie nienaruszonym.

Był przecież jeszcze inny statek – przecież kontynuowały wyprawę dwa – i co się z nim stało?

[Masz jakiś pomysł, Skade?]

Tak, ale to nic wesołego.

[Myślisz, że sześciany chciały zebrać jak najwięcej informacji?]

Tylko takie wyjaśnienie przychodzi mi do głowy. Założyły podsłuch w ich mózгах, odczytywały ich maszynerię neuralną. Sześciany to wywiadowcy.

[Tak, zgadzamy się. Te sześciany na pewno wiele się o nas dowiedziały. Musimy je uważać za zagrożenie, choć nie wiemy, gdzie znajdowała się Galiana, gdy ją odnalazły. Sądziś, że jest isierka nadziei?]

Skade nie dostrzegła tej isierki. Ludzkość od wieków poszukiwała obcej

jednoznacznej inteligencji i dotychczas znalazła tylko zwodnicze przykłady: Żonglerów Wzorców, Całunników, archeologiczne szczątki ośmiu czy dziewięciu wymarłych cywilizacji. Nigdy nie napotkano inteligencji używającej maszyn, porównywalnej z ludźmi.

Aż do tej pory.

I co zrobiła ta umaszynowana inteligencja? Podkraśla się, przeniknęła i urządziła rzeź, a potem dokonała inwazji czaszek.

To nie jest najbardziej owocne bliskie spotkanie pierwszego stopnia, doszła do wniosku Skade.

Nadzieja? Mówicie poważnie?

[Tak, Skade. Nie jesteśmy pewni, czy sześciany zdołały przesłać informacje tam, gdzie miały je przesłać. Przecież statek Galiany dotarł do domu, musiała go tu przyprowadzić, a nie zrobiłaby tego, gdyby uznała za niebezpieczne wskazywanie wrogom drogi, Clavain byłby na pewno dumny. Cały czas myślała o nas, o Matczynym Gnieździe]

Ale zaryzykowała...

Głos Rady Nocnej gwałtownie przerwał jej rozmyślenia.

[Statek to ostrzeżenie. Galiana to miała na myśli i w ten sposób musimy to rozumieć]

Ostrzeżenie?

[Że musimy się przygotować. Oni nadal tam są i w końcu ich spotkamy]

Brzmi to tak, jakbyście oczekiwali ich przybycia.

Ale Rada Nocna na to nie odpowiedziała.

Galianę znaleźli dopiero po tygodniu, gdyż statek był przepastny i wewnątrz uległo wielu zmianom, utrudniającym poszukiwania. Skade weszła do środka osobiście w towarzystwie zespołu. Wszyscy mieli na skafandrach próżniowych ciężkie ceramiczne zbroje, impregnowane pancerze, ograniczające swobodę ruchów, chyba że uprzednio ruchy te starannie przemyślano. Skade sporo czasu straciła na zmaganiu ze skafandrem – kilka razy utknęła w pozycji, z której mogło ją wydostać tylko mozolne powtarzanie wstecz sekwencji ruchów. Potem napisała naprędce łatę programową dla poruszającego się ciała w zbroi i zapuściła ją na grupie beczynnych obwodów neuronalnych. Trochę jej to ułatwiło życie, choć miała nieprzyjemne wrażenie, że jest sterowana przez swą własną widmową kopię. Skade zapamiętała, żeby później zmodyfikować skrypt, tak by procedury ruchu mogła odczuwać jako całkowicie podległe jej woli, bez względu na to, jak iluzoryczne byłoby to wrażenie.

Do tego czasu serwitory zrobiły wszystko, co potrafiły. Zabezpieczyły znaczne obszary statku, pokrywając szczątki obcych maszyn masą epoksydową z włóknami diamentowymi, oraz pobrały próbki DNA z większości ciał w zbadanych rejonach. Wyniki analizy materiału genetycznego porównano z listą załogi w Gnieździe, zachowaną od wylotu statku; w spisie pozostało jednak wiele nazwisk, do których DNA nadal trzeba będzie dopasować.

Dla pewnych osób Skade nigdy nie znajdzie odpowiedników. Gdy do domu powrócił pierwszy statek – ten z Clavainem na pokładzie – Matczyne Gniazdo dowiedziało się, że w kosmosie, kilkadziesiąt lat świetlnych stąd, podjęto decyzję o rozdzieleniu ekspedycji: niektórzy ludzie chcieli wracać, usłyszawszy pogłoski o wojnie z Demarchistami; uznali również, że należy już przekazać dane, których zebrano zbyt wiele, by można je było przesłać do domu drogą radiową.

Podział odbył się bez goryczy. Z żalem i smutkiem, lecz bez poczucia prawdziwego rozdarcia. Po normalnym okresie dyskusji, typowej u Hybrydowców we wszystkich procesach podejmowania decyzji, uznano rozdzielenie za rzecz najbardziej logiczną w danej sytuacji. Ekspedycja mogła kontynuować misję, a równocześnie dotychczas zdobyte informacje miały bezpiecznie trafić do domu. Skade wiedziała wprawdzie, kto postanowił zostać w kosmosie, ale zupełnie nie wiedziała, co wydarzyło się później, domyślała się tylko na podstawie komunikatów wymienianych między pozostałymi dwoma statkami. Tym akurat statkiem dowodziła Galiana, ale przecież Galiana nie musiała nim lecieć, więc Skade przygotowała się na ewentualne rozczarowanie.

Gorzej – byłoby to rozczarowanie dla całego Matczynego Gniazda. To przecież Galiana, ich symboliczny przywódca, stworzyła Hybrydowców czterysta lat temu, jednaście lat świetlnych stąd, w grupie laboratoriów pod powierzchnią Marsa. Opuściła Gniazdo prawie dwa wieki temu. W tym czasie jej postać nabrała cech

mitycznych. Gdy Galiana przebywała w Gnieździe, zawsze się temu sprzeciwiała. A teraz wróciła – o ile rzeczywiście leciała tym statkiem – gdy Skade pełniła wachtę. I nie miało znaczenia to, że prawdopodobnie nie żyła, jak pozostali załoganci. Skade wystarczyłoby, że mogła sprowadzić do domu jej szczątki.

Znalazła nie tylko szczątki.

Miejsce spoczynku Galiany – jeśli tak można to nazwać – znajdowało się daleko od centralnej części statku. Zabezpieczyła się opancerzoną barykadą, z dala od reszty załogi. Dokładne badania kryminalistyczne wykazały, że łącza danych między Galiana a pozostałą częścią statku zostały celowo uszkodzone od wewnątrz – kobieta usiłowała się odizolować, odcinając swój umysł od umysłów innych Hybrydowców na statku.

Czy to samopoświęcenie, czy samoobrona? – zastanawiała się Skade.

Galiana przebywała w zimnym śnie, oziębiona do temperatury, w której ustają wszystkie procesy metaboliczne. Mimo to czarne maszyny ją dopadły. Przedarły się przez pancerną powłokę kasety snu i wtłoczone w przestrzeń między ciałem Galiany a wewnętrznymi ściankami kasety, utworzyły wokół kobiety idealnie czarną skorupę niby- mumii. Nie było wątpliwości, że to Galiana: skanowanie przez kokon ujawniło strukturę szkieletu idealnie pasującą do jej układu kostnego; w ciele nie wykryto żadnych uszkodzeń czy zepsucia, które mogłyby powstać podczas lotu, a czujniki przechwyciły wątłe sygnały z sieci implantów Galiany – sygnały zbyt słabe na ustanowienie łącza między dwoma mózgami, ale w kokonie wyraźnie tkwiło coś, co było zdolne do myślenia, i starało się przekazać jakieś informacje na zewnątrz.

Teraz badania skoncentrowały się na samym kokonie. Analiza chemiczna sześciaków niczego nie wykazała – nie były zrobione z czegoś “konkretnego”, nie posiadały też żadnej atomowej struktury. Ściany sześciaków były płaszczyznami czystej siły, przezroczyste dla niektórych rodzajów promieniowania; bryły bardzo zimne, a jednak aktywne, jak żadne inne dotychczas spotkane maszyny. Poszczególne sześciaki dawały się oddzielić od większego skupiska, ale wtedy błyskawicznie się kurczyły do rozmiarów mikroskopijnych. Ratownicy z zespołu Skade próbowali skoncentrować skanowanie na samych sześciakach, usiłowali zobaczyć, co kryje się pod ich ścianami, ale zawsze się spóźniali: w miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się sześciak, wykrywali parę mikrogramów dymiących popiołów. Najprawdopodobniej w sześciaki wbudowano mechanizm samodestrukcji, uruchamiany w pewnych sytuacjach.

Gdy ratownicy usunęli warstwę zarazy, przenieśli Galianę do specjalnego pomieszczenia zagnieżdżonego w ścianie hangaru. Pracowali w wielkim zimnie, by nie pogłębiać już istniejących szkód. Cierpliwie, z największą ostrożnością, zdejmowali ostatnią warstwę maszyn.

Teraz, gdy zmniejszono powłokę obcej destrukcyjnej materii, wyraźniej rysował się obraz tego, co stało się z Galianą. Czarne maszyny rzeczywiście przedarły się do jej głowy, ale inwazja okazała się łagodniejsza niż u pozostałych członków załogi. Implanty Galiany zostały częściowo rozmontowane przez agresorów, by utorować drogę maszynom, nie było jednak oznak poważnych uszkodzeń podstawowych struktur mózgu. Skade doszła do wniosku, że sześciany ćwiczyły inwazję czaszek na innych załogantach i dotarłszy do Galiany, wiedziały już, jak to robić bez zabijania gospodarza.

Skade doznała przyływu optymizmu. Czarne struktury były skoncentrowane i bezwładne. Wykorzystując odpowiednie medmaszyny, da się – to nawet banalne – rozmontować sześcian po sześcianie.

Zdołamy przywrócić Galianie jej poprzednią postać.

[Ostrożnie, Skade. Nie mów hop]

Rada Nocna, jak się okazało, słusznie zachowywała ostrożność. Zespół Skade zdejmował ostatnią warstwę sześcianów, zaczynając od stóp Galiany. Z radością stwierdzili, że skóra pod spodem nie jest w zasadzie uszkodzona. Kontynuowali pracę w górę ciała, aż do karku. Doszli do wniosku, że zdołają ją ogrzać do normalnej temperatury ciała, choć może się to okazać trudniejsze od zwykłego ożywienia z zimnego snu. Gdy jednak odślonili twarz Galiany, przekonali się, że to nie koniec pracy.

Sześciany niespodziewanie się przesunęły. Ślizgały się i przeskakiwały przez siebie, kurczyły gwałtownie i ostatnia część kokonu wniknęła w ciało Galiany jak żywa plama oleju. Czarna fala wniknęła w jej usta, nos, uszy i oczodoły, rozplynęła się wokół gałek ocznych.

Skade ujrzała Galianę właśnie taką, jaką miała nadzieję zobaczyć: promienną królową wracającą do domu; nawet jej długie czarne włosy pozostały nietknięte, teraz wprawdzie zamrożone i kruche, ale dokładnie takie, jakie Galiana miała, wyruszając w podróż. W jej głowie jednak usadowiły się czarne maszyny, dołączając do wcześniej rozlokowanych tam formacji. Skanowanie nadal nie stwierdzało poważniejszych naruszeń oryginalnej tkanki mózgowej, choć dalsze elementy jej implantowanego mechanizmu zostały rozebrane, by utorować drogę inwazji. Czarne pasożyty wyglądały jak kraby rozciągające czepliwe odnóża do rozmaitych obszarów jej mózgu.

Powoli, przez wiele dni przywracano Galianie temperaturę ciała nieco poniżej normalnej. Równocześnie zespół Skade monitorował agresora, ale ten nie wykazywał zmian, nawet gdy pozostawione jeszcze implanty Galiany zaczęły się rozgrzewać i podjęły współpracę z tającą tkanką mózgową.

Może jednak zwyciężymy? – myślała Skade z nadzieją.

Jak się okazało, prawie się nie myliła.

Usłyszała głos. Głos człowieka, kobiety, pozbawiony barwy – lub raczej mający boski brak barwy – takie głosy miały na ogół źródło w jej czaszce. Natomiast ten głos powstał w ludzkiej krtani i rozszedł się w powietrzu, przez kilka metrów, po czym został zdekodowany przez ludzki układ słuchu, gromadząc po drodze wszelkiego rodzaju drobne usterki. Już bardzo dawno nie słyszała takich głosów.

–Witaj, Galiano – powiedział głos.

–*Gdzie jestem?*

Nie dostała odpowiedzi. Po kilku chwilach głos dodał uprzejmie:

–Jeśli możesz, również musisz mówić. Wystarczy, że spróbujesz uformować dźwięki, a trał zrobi resztę: odbierze intencję przesłania sygnałów elektrycznych do krtani. Ale samo pomyślenie odpowiedzi nie załatwi sprawy, gdyż nie ma bezpośrednich połączeń między twoim umysłem a moim.

Wydawało się, że słowa napływają przez całą wieczność. Gdy ktoś przez kilka wieków posługiwał się linkami neuralnymi, język mówiony wydawał mu się strasznie powolny i liniowy, choć składnia i gramatyka były znajome.

Wygenerowała intencję mowy i usłyszała rozbrzmiewający swój własny głos, wzmocony.

–Dlaczego?

–Później do tego przejdziemy.

–Gdzie jestem? Kim ty jesteś?

–Jesteś bezpieczna i zdrowa. W domu. Znów w Matczynym Gnieździe. Odzyskaliśmy twój statek i ożywiliśmy cię. Nazywam się Skade.

Galiana zdawała sobie sprawę tylko z istnienia stojących nad nią mglistych postaci, ale teraz pomieszczenie pojaśniało. Leżała na plecach, pod pewnym kątem do poziomu. Znajdowała się w kasecie bardzo podobnej do kasety zimnego snu, ale pozbawionej pokrywy, i twarz miała wystawioną na wolne powietrze. W polu widzenia postrzegała pewne obiekty, ale nie mogła poruszyć żadną częścią ciała, nawet oczami. Rozmazana postać pojawiła się przed nią, pochyliła nad otwartą paszczą kasety.

–Skade? Nie pamiętam cię.

–Nie możesz mnie pamiętać. Stałam się Hybrydowncem dopiero po twoim odlocie.

Cisnęło się tysiące pytań, wymagających odpowiedzi, ale Galiana nie mogła ich wszystkich zadać jednocześnie, zwłaszcza używając tego niezgrabnego, przestarzałego systemu łączności. Od czegoś jednak należało zacząć:

–Jak długo byłam nieobecna?

–Sto dziewięćdziesiąt lat, prawie co do miesiąca. Wyruszyłaś...

–W 2415 roku – odparła szybko Galiana.

–Tak, a teraz mamy 2605.

Było wiele rzeczy, których Galiana sobie natychmiast nie przypomniała, oraz wiele takich, których nie chciałaby pamiętać. Zasadnicze sprawy były jednak jasne. Dowodziła wyprawą trzech statków z Matczynego Gniazda. Miały się zapuścić poza granice zmapowanego przez ludzkość kosmosu, zbadać nieodwiedzone planety i poszukać złożonych form obcego życia. Gdy do statków dotarła wiadomość o wybuchu wojny, jeden z nich zawrócił do domu, a pozostałe dwa kontynuowały podróż, oblatując wiele nowych układów słonecznych.

Choć usilnie próbowała, nie mogła sobie przypomnieć, co się stało z drugim statkiem, który kontynuował podróż. Miała tylko przerażające poczucie straty, a w głowie pustkę, wymagającą wypełnienia głosami.

–Moja załoga?

–Przejdziemy do tego – odparła znowu Skade.

–A Clavain i Felka? Dotarli w końcu? Pożegnaliśmy się z nimi w głębokim kosmosie. Mieli wracać do Matczynego Gniazda.

Nastąpiła okropna, przerażająca przerwa, zanim Skade odpowiedziała:

–Udało im się wrócić.

Galiana odetchnęła, gdyby mogła odetchnąć. Tak zaskakujące było uczucie ulgi. Dopiero gdy usłyszała wiadomość, że ukochane osoby są bezpieczne, zdała sobie sprawę, jak strasznego doznawała napięcia.

Nastąpiły chwile błogiego spokoju i Galiana bliżej przyjrzała się Skade. Pod wieloma względami kobieta przypominała Hybrydownca z epoki Galiany. Miała na sobie proste spodnie, jak od piżamy, i luźno przepasaną czarną bluzę z jedwabopodobnej tkaniny, pozbawioną wszelkich ozdób i oznak. Była ascetycznie chuda i blada,

wyglądała prawie na niedożywioną. Jej woskowe, gładkie oblicze, nie było nieatrakcyjne, lecz brakowało mu linii i zmarszczek oddających zwykły wyraz twarzy. Nie miała również włosów ani na głowie, ani na twarzy, co nadawało jej wygląd niedokończony lalki. Te atrybuty nie pozwalały wyróżnić Skade z tysięcy innych Hybrydowców. Bez linku umysł- do- umysłu, bez zwykłej chmury rzutowanych fantazmów, nadających cechy indywidualne, trudno ich było odróżnić.

Galiana jednak nigdy nie widziała takiego Hybrydowca. Skade miała grzebień – sztywny, wąski czub, który wylaniał się z czoła dwa centymetry nad nosem i zakrzywiał się do tyłu pośrodku czaszki. Wąska górna powierzchnia wyrostka była twarda i koścista, ale boki miały piękne delikatne pionowe prążki, które mieniły się wzorami dyfrakcyjnymi – jaskrawoniebieskimi i pomarańczowymi, kaskadą tęczy odcieni, zmieniających się przy najmniejszym ruchu głowy Skade. Galiana zauważyła również falowanie rozmaitych barw wzdłuż grzebienia, nawet wtedy, gdy ów się nie przechylał.

–Zawsze taka byłaś? – spytała.

–Skade delikatnie dotknęła grzebienia.

–Nie, to jest nasza hybrydowska modyfikacja. Od twojego wyjazdu, Galiano, wiele się zmieniło. Najlepsi z nas myślą tak szybko, że aż trudno to sobie wyobrazić.

–Najlepsi z was?

–Może źle się wyraziłam... chodzi o to, że niektórzy osiągnęli granice przeciętnego ludzkiego organizmu. Implanty w naszych głowach umożliwiają nam myślenie dziesięć do piętnastu razy szybsze niż normalnie, przez cały czas, ale kosztem zwiększonego wydzielania ciepła. Moja krew jest pompowana przez grzebień, a potem przez układ bruzd, gdzie oddaje ciepło. Budowa bruzd jest zoptymalizowana ze względu na maksymalizację powierzchni. Bruzdy marszczą się, by zapewnić cyrkulację powietrza. Efekt jest przyjemny wizualnie, tak mi mówiono, ale to zupełnie przypadkowe. Przejęliśmy ten trik od dinozaurów. Nie były aż tak głupie, jak się uważa. – Skade znów pogłaskała swój grzebień. – Nie ma powodów do niepokoju, Galiano. Nie wszystko się zmieniło.

–Słyszeliśmy, że wybuchła wojna – powiedziała Galiana. – Byliśmy piętnaście lat świetlnych stąd, gdy przechwyciliśmy raporty. Najpierw o zarazie, a potem o wojnie. Raporty nie brzmiały sensownie, mówiły, że wszczynamy wojnę z Demarchistami, naszymi starymi sprzymierzeńcami.

–To prawda – potwierdziła Skade z lekkim smutkiem.

–Na Boga, dlaczego?

–Z powodu zarazy. Zniszczyła społeczeństwo Demarchistów, stworzyła próżnię władzy wokół Yellowstone. Na ich prośbę wprowadziliśmy się tam, by ustanowić zarząd tymczasowy w Chasm City i jego satelitarnych wspólnotach. Lepiej my, niż inny odłam ludzkości, tak rozumowano. Możesz sobie wyobrazić, jakiego bałaganu narobili tam Ultrasi czy Porywacze? Trwało to kilka lat, ale potem Demarchiści zaczęli odzyskiwać dawną potęgę. Nie odpowiadało im to, że przejęliśmy kontrolę nad układem, i nie zamierzali negocjować pokojowych warunków przywrócenia swoich rządów, więc wybuchła wojna. Oni ją zaczęli, wszyscy zgadzają się co do tego.

Galiana czuła, jak mija jej radosny nastrój. Miała wcześniej nadzieję, że pogłoski o wojnie są przesadzone.

–Jednak, jak widać, zwyciężyliśmy – powiedziała.

–Nie. W zasadzie nie. Rozumiesz... wojna nadal trwa.

–Ale to już...

–Pięćdziesiąt cztery lata – stwierdziła Skade. – No, tak, oczywiście były wzloty i upadki, zawieszenia broni i krótkie okresy odprężenia. Ale się nie utrzymały. Znowu odrodziły się stare konflikty ideologiczne, otwały się jak świeże rany. W istocie oni nam nigdy nie ufali, a my uważaliśmy ich za reakcyjnych ludystów, którzy nie chcą zaakceptować nowej fazy ludzkiego rozwoju.

Po raz pierwszy po przebudzeniu Galiana poczuła migrenowy ucisk za gałkami ocznymi, a wraz z nim burzę pierwotnych emocji, wyjąca z najstarszej części ssaczego mózgu. To przerażający strach przed pościgiem, przed zbliżającą się watahą ciemnych drapieżników.

Maszyny, powiedziała pamięć. Maszyny jak wilki, które przyszły z przestrzeni międzygwiazdnej i wczepiły się w płomień wyrzucany przez twój statek.

Nazwałaś je wilkami, Galiano.

Ich.

Nas.

Dziwne wrażenie ustąpiło.

–Przecież przez długi czas tak dobrze ze sobą współpracowaliśmy – powiedziała Galiana. – Na pewno znów znajdziemy płaszczyznę porozumienia. Są ważniejsze rzeczy od małostkowej walki o to, kto zarządza pojedynczym układem.

Skade pokręciła głową.

–Niestety, za późno. Za dużo ludzi zginęło, za wiele obietnic złamano, zbyt wiele popełniono okrucieństw. Konflikt rozszerzył się na inne układy, wszędzie, gdzie znajdowali się Hybrydowcy i Demarchiści. – Uśmiechnęła się, lecz był to uśmiech wymuszony, i jej twarz natychmiast przybrała neutralny wyraz, gdy tylko mięśnie się odprężyły. – Sytuacja nie jest aż tak rozpaczliwa, jak sobie wyobrażasz. Szala zwycięstwa przechyliła się na naszą stronę powoli, lecz zdecydowanie. Clavain wrócił dwadzieścia trzy lata temu i natychmiast zmienił bieg spraw. Przed

jego przybyciem broniliśmy się, złapani w pułapkę działania jak prawdziwy zbiorowy umysł. Dlatego nasze posunięcia były dla wroga bardzo łatwe do przewidzenia. Clavain wyrwał nas z tego więzienia.

Galiana usiłowała wyrzucić wilki ze swego umysłu, wracając pamięcią do czasu, gdy spotkała Clavaina. Było to na Marsie, gdy walczył przeciw niej jako żołnierz Koalicji na rzecz Czystości Neuralnej. Koalicja sprzeciwiała się eksperymentom wspomagania umysłów i uznała, że jedynym akceptowalnym rezultatem jest ostateczna anihilacja Hybrydowców.

Jednak Clavain postrzegał to szerzej. Po pierwsze, jako więzień Galiany, uświadomił jej, jak przerażające są jej eksperymenty dla reszty układu. Przedtem nie zdawała sobie z tego sprawy, dopóki Clavain, podczas długich miesięcy uwięzienia, cierpliwie jej wszystkiego nie wyjaśnił. Potem, gdy go uwolniono i wynegocjowano warunki zawieszenia broni, to właśnie Clavain wprowadził Demarchistów jako neutralną trzecią stronę. Demarchiści przygotowali układ o zawieszeniu broni i Clavain póty namawiał Galianę, aż go podpisała. To mistrzowskie posunięcie scementowało sojusz Hybrydowców z Demarchistami, który miał przetrwać wieki. Koalicja na rzecz Czystości Neuralnej natomiast zasłużyła najwyżej na drobną wzmiankę w historii. Hybrydowcy nadal prowadzili doświadczenia neuralne; tolerowano je, a nawet do nich zachęcano, pod warunkiem, że Hybrydowcy nie podejmą prób wchłonięcia innych kultur. Później Demarchiści zaczęli wykorzystywać techniki neuronowe i sprzedawać je różnym odłomom ludzkości.

Wszyscy byli zadowoleni.

Ale w istocie Skade miała rację: przymierze nigdy nie było łatwe. W jakimś momencie wojna stała się nieunikniona, zwłaszcza gdy pojawił się nowy element – parchowa zaraza.

Ale żeby to trwało aż pięćdziesiąt cztery lata? Clavain nigdy by czegoś takiego nie tolerował, pomyślała Galiana. Wojnę uważał za straszne marnotrawstwo ludzkich sił. Szukałby sposobów ostatecznego zakończenia albo przynajmniej trwałego zawieszenia broni.

Migrenowy ucisk w głowie nadal ją dręczył, choć nieco zelżał. Miała niepokojące wrażenie, że coś z wnętrza czaszki patrzy przez jej oczy, jakby nie była ich jedynym użytkownikiem.

Zbliżyliśmy się do twoich dwóch statków niespiesznymi susami starodawnych zabójców, którzy nie mają gatunkowej pamięci porażki. Czulaś nasze umysły – czyste intelekty balansujące na granicy inteligencji, równie stare i zimne jak pył międzygwiazdowy.

Czulaś nasz głód.

–Ale Clavain... – zaczęła.

–Co Clavain? – spytała Skade.

–Znalazłby jakiś sposób zakończenia konfliktu. Dlaczego tego nie zrobił?

Skade odwróciła się na chwilę i jej grzebień wyglądał teraz jak wąski grzbiet ustawiony krawędzią do Galiany. Gdy się znów odwróciła, miała dziwną minę.

Widziałaś, jak przejęliśmy twój pierwszy statek, dławiąc go falą dociekliwych czarnych maszyn. Maszyny rozszarpały statek na strzępy. Widziałaś, jak wybuchł, a eksplozja wygrawerowała różowego łabędzia na twojej siatkówce, i czulaś, jak pękała sieć połączonych umysłów, odebrałaś to jak utratę tysiąca dzieci.

Próbowałaś się odsunąć, ale wtedy było już za późno.

Gdy dotarliśmy na twój statek, postępowaliśmy już ostrożniej.

–To nie jest łatwe, Galiano.

–Co takiego?

–Sprawa Clavaina.

–Powiedziałaś, że wrócił.

–Tak. Felka też wróciła. Ale z przykrością muszę cię poinformować, że oboje zmarli. – Słowa napływały jedno po drugim, powoli jak oddechy. – Jedenaście lat temu. Demarchiści skutecznie zaatakowali Gniazdo. Clavain i Felka zginęli.

Galiana mogła na to zareagować tylko w jeden racjonalny sposób. – Nie!

–Bardzo ci współczuję – powiedziała Skade. Jej grzebień błysnął ultramaryną. – Bardzo żałuję, że to się stało. Byli dla nas wartościowymi aktywami.

–Aktywami?

Skade musiała odczuć wściekłość Galiany.

–Chodzi mi o to, że ich kochano. Wszyscy rozpaczaliśmy po ich stracie.

–Więc mi to udowodnij. Otwórz swój umysł. Znieś zapory. Chcę w to wniknąć.

Skade stała obok kasety.

–Dlaczego, Galiano?

–Ponieważ dopóki w to nie wniknę, nie będę pewna, czy mówisz prawdę.

–Nie kłamię – oznajmiła Skade łagodnie. – Ale nie mogę pozwolić, by nasze umysły rozmawiały. W twojej głowie coś jest. Nie rozumiemy, co to takiego, ale wiemy, że jest to prawdopodobnie obce i prawdopodobnie wrogie.

–Nie wierzę...

Teraz ciśnienie za oczami stało się bardzo dotkliwe. Galiana miała parszywe wrażenie, że odsunięto ją, stłamszono, upchano w mały, nieskuteczny zakątek jej własnej czaszki. Coś niewyobrażalnie złego i pierwotnego przejęło gospodarstwo, przycupnąwszy za jej oczami.

Usłyszała swoją mowę:

–Masz na myśli mnie?

Skade tylko nieznacznie drgnęła. Galiana podziwiała u niej zimną krew Hybrydowca.

–Może. A kim ty właściwie jesteś?

–Mam tylko takie imię, jakie mi ona nadała.

–Ona? – spytała Skade z rozbawieniem, ale jej grzebień migotał jasnozielono, świadcząc o przerażeniu, choć głos miała spokojny.

–Galiana – opowiedziała istota. – Nim ją przejąłem. Nazwała nas... mój umysł... wilkami. Opanowaliśmy jej statek po zniszczeniu tamtego drugiego statku. Z początku niezbyt pojmovaliśmy, czym oni są, ale potem otworzyliśmy ich czaszki i wchłonęliśmy ich centralny układ nerwowy. Dzięki temu wiele zrozumieliśmy: jak myślą, jak się komunikują, co zrobili ze swoimi mózgami.

Galiana próbowała się poruszyć, choć Skade już przedtem wprowadziła ją w stan paraliżu. Usiłowała krzyknąć, ale wilk – bo tak go nazwała – przejął całkowitą kontrolę

nad jej głosem.

Przypominała sobie wszystkie wydarzenia.

–Dlaczego jej nie zabiłeś? – spytała Skade.

–To było zupełnie inaczej – odparł wilk. – Powinnaś zapytać, dlaczego ona sama się nie zabiła, nim do tego doszło. Przecież mogłaby. Gdyby tylko pomyślała takie życzenie, mogłaby zniszczyć cały statek wraz z całą załogą.

–Więc dlaczego tego nie zrobiła?

–Zawarła z nami ugodę, gdy wszystkich zabiliśmy i tylko ona została. Miała zaniechać samobójstwa pod warunkiem, że pozwolimy jej wrócić do domu. Wiedziała, że to oznacza, że ja wniknę do jej czaszki i pobuszuję w jej pamięci.

–Dlaczego właśnie ją wybraliście?

–Była waszą królową, Skade. Gdy tylko odczytaliśmy umysły załogantów, wiedzieliśmy, że to właśnie jej potrzebujemy naprawdę.

Skade milczała. Akwamarynowe i zielone prążki gonily się powolnymi falami od czoła do karku.

–Nie zaryzykowałaby doprowadzenia was tutaj.

–Przeciwnie, jeśli doszła do wniosku, że przeważają korzyści związane z tym, że wcześniej was ostrzeże. To była ugoda. Dała nam czas na zebranie informacji i nadzieję, że dowiemy się więcej. I dowiedzieliśmy się.

Skade dotknęła palcem górnej wargi, a potem uniosła go pionowo przed sobą, jakby badała kierunek wiatru.

–Jeśli naprawdę jesteście wyższą obcą inteligencją i wiedzieliście, gdzie jesteśmy, już byście do nas dotarli.

–Słusznie, Skade. W pewnym sensie masz rację. Nie wiemy dokładnie, dokąd Galiana nas przywiozła. Ja wiem, ale nie mogę tego przekazać swoim towarzyszom. To jednak nie ma znaczenia. Jesteście cywilizacją podróży kosmicznych, podzieleni wprawdzie na odłamy, ale to są różnice bez znaczenia. Na podstawie

tego, co upiliśmy z waszych pamięci, i tego, co nadal z nich czerpiemy, potrafimy w przybliżeniu określić rejon zamieszkiwanego przez was kosmosu. Rozprzestrzeniacie się i graniczna powierzchnia waszego obszaru ekspansji wzrasta geometrycznie, więc stale zwiększa się prawdopodobieństwo spotkania z nami. Już raz się to

wydarzyło i mogło nastąpić gdziekolwiek, w innych punktach granicznej sfery.

–Dlaczego mi to mówisz? – spytała Skade.

–Jak to po co? Żeby cię przestraszyć.

Skade była jednak na to za sprytna.

–Nie. Musi być inny powód. Chcesz dać mi do zrozumienia, że możesz być użyteczny.

–Co takiego? – pomrukiwał z rozbawieniem.

–Mogę cię natychmiast zabić. Przecież ostrzeżenie już zostało przekazane.

Gdyby Galiana mogła się poruszyć czy choćby mrugnąć, wysłałaby znak, że się na to zgadza. Chciała umrzeć. Jaki cel miałyby teraz jej życie? Clavain odszedł. Felka odeszła. Teraz to pewne. I pewne jest również to, że żadne sztuczki Hybrydowców nie zdołają uwolnić jej od tego paskudztwa w głowie.

Skade miała rację. Galiana wykonała swoje zadanie, spełniła ostatni obowiązek wobec Matczynego Gniazda. Gniazdo wiedziało, że wilki czyhają i najprawdopodobniej zbliżają się, czując ludzką krew.

Nie miało sensu trzymanie jej dłużej przy życiu. Wilk przez cały czas będzie czekał na okazję ucieczki z jej głowy, choćby Skade wykazała nadzwyczajną czujność. Matczyne Gniazdo mogło czerpać z tego jakąś naukę, dostać drobną wskazówkę co do ich motywów czy słabych miejsc, ale potworne skutki takiej ucieczki przeważały ewentualne korzyści.

Galiana o tym wiedziała. Tak jak wilk miał dostęp do jej wspomnień, tak ona, za pomocą nieznanego i może specjalnie zainicjowanego procesu wstecznej kontaminacji wyczuła część jego własnej historii. Nic konkretnego, nie potrafiłaby tego nawet zwerbalizować. Wyczuła jednak odwieczną litanię chirurgicznych ludobójstw, strasznych procesów czyszczenia etnicznego, przeprowadzanych wśród kolejnych gatunków rozumnych. Pamięci były przechowywane z biurokratyczną skrupulatnością przez miliony lat czasu galaktycznego, a każda nowa zniszczona cywilizacja stanowiła jedynie zapis księgowy. Galiana wyśledziła okazjonalne, gorączkowe wymazywanie, selekcję zapoczątkowaną z niepożądanym opóźnieniem. Wyśledziła nawet rzadkie przypadki brutalnej ingerencji, gdy wcześniejszych selekcji nie przeprowadzono zadowalająco.

W żadnym jednak miejscu, nigdy, nie wyczuła większej porażki.

Nagle, gwałtownie, wilk ustąpił, pozwolił jej przemówić.

-Skade?

-Co takiego?

-Proszę, zabij mnie. Zabij mnie natychmiast.

JEDEN

Antoinette Bax obserwowała, jak policyjny proksy wynurza się ze śluzy. Maszyna, zbudowana z płaskiej czarnej zbroi i ostrych przegubowych odnóży, przypominała rzeźbę skomponowaną z wielu par nożyc. Była trupio zimna, gdyż przedtem tkwiła na zewnątrz jednego z trzech policyjnych kutrów, które obecnie unieruchamiały statek Antoinette. Korpus maszyny pokrywał żółtawy szron paliwa rakietowego, sublimującego teraz pięknymi spiralkami.

–Proszę się odsunąć – powiedział proksy. – Kontakt fizyczny nie jest wskazany.

Chmura paliwa cuchnęła toksycznie. Antoinette zatrzasnęła przyłbicę swego hełmu, gdy proksy przemykał obok.

–Nie rozumiem, czego się spodziewacie po tym przeszukaniu – powiedziała. Szła za proksy w pewnej odległości.

–Nie wiem, póki nie znajdę – odparł proksy. Już ustalił częstotliwość, na jakiej pracowało radio jej skafandra.

–Słuchaj, nie zajmuję się przemytem. Nie za bardzo lubię być martwa.

–Wszyscy tak mówią.

–Dlaczego ktoś miałby coś przemycać do Hospicjum Idlewild? To przecież banda ascetów, maniacy religijni, nie demony szmuglu.

–A jednak coś pani wie na temat kontrabandy.

–Nie mówiłam przecież...

–Nieważne, pani Bax. Chodzi o to, że jest wojna i niczego nie można wykluczyć.

Proksy zatrzymał się i wygiął, z jego stawów i miejsc załamania z trzaskiem odpadły płatki żółtego lodu. W korpusie maszyny – czarnym jaju z kryzami i mnóstwem wystających odnóży, z manipulatorami i bronią – nie było pilota, lecz tylko urządzenia utrzymujące łączność z pilotem. Pilot nadal tkwił w jednym z trzech kutrów. Był wtłoczony w kanister podtrzymywania i życia, pozbawiony organów nieistotnych dla pracy.

–Jak chcesz, możesz sprawdzić w Hospicjum – powiedziała.

–Już tam zasięgnąłem informacji. Ale przyzna pani, że w sprawach takich jak ta lepiej mieć całkowitą pewność, że wszystko jest legalne?

–Przyznam, co tylko chcesz, jeśli dzięki temu opuścisz mój statek.

–Hmm. A dlaczego tak pani spieszno?

–Bo wiozę sorbet... to znaczy pasażera kriogenicznego, i nie chcę, żeby mi tu odtajał.

–Bardzo bym chciał zobaczyć tego pasażera. Można?

–Raczej trudno mi będzie odmówić. – Spodziewała się tego i czekając na przybycie proksy, włożyła skafander próżniowy.

–Dobrze. To potrwa minutkę i może pani lecieć dalej. – Po chwili milczenia maszyna dodała: – Zakładając, oczywiście, że nie będzie żadnych nieprawidłowości.

–Tędy.

Antoinette pchnęła panel, odsłaniając wąski tunel do głównej ładowni "Burzyka". Przepuściła proksy przodem, postanawiając mówić jak najmniej i nie odzywać się bez zaproszenia. Ktoś mógłby to uznać za przejaw uporu, ale większe podejrzenia wywołałaby usłużnymi wyjaśnieniami. Milicjanci Konwencji Ferrisvillskiej nie cieszyli się sympatią; wiedzieli o tym i uwzględniali to, mając do czynienia z cywilami.

–Masz niezły statek, Antoinette.

–Dla ciebie: panna Bax. Nie przypominam sobie, żebyśmy przechodzili na ty.

–Wobec tego "panno Bax". Moja uwaga pozostaje jednak prawdziwa. Pani statek wygląda z zewnątrz dość zwyczajnie, ale sprawia wrażenie, że jest mechanicznie sprawny i zdolny do dalekich podróży. Statek o takiej kubaturze mógłby z zyskiem operować na wielu legalnych trasach handlowych, nawet w naszych mrocznych czasach.

–W takim razie, jaki interes miałabym w tym, by bawić się w przemytnika?

–Żaden, ale zastanawiam się, dlaczego traci pani takie możliwości, podejmując się dziwnych zleceń dla Hospicjum. Są wpływowi, ale – o ile wiemy – niezbyt zamożni. – Maszyna znów na chwilę zamilkła. – Musi pani przyznać, że to nieco zagadkowe. Zamrożeni zazwyczaj zjeżdżają na dół z Idlewild, a nie wjeżdżają do nich na górę. W ogóle rzadko się zdarza transportowanie zamrożonych ciał. Zwykle są rozmrażane jeszcze zanim opuszczą Idlewild.

–Nie do mnie należy zadawanie pytań.

–Ale tak się składa, że należy to do mnie. Chyba już dotarliśmy na miejsce?

W ładowni nie było teraz powietrza, więc musieli pokonać wewnętrzną śluzę obrotową. Antoinette zapaliła światło. Przepastna komora ziała pustką, wypełniona jedynie trójwymiarową siecią stelaży do mocowania palet i podwieszania gondoli. Proxy posuwał się wśród tych rusztowań z pedantyczną ostrożnością tarantuli.

–Rzeczywiście leci pani z pustą ładownią. Nie ma tu żadnego kontenera.

–To nie przestępstwo.

–Tego nie twierdzę, ale to nadzwyczaj dziwne. Żebracy muszą pani bardzo dużo płacić, skoro pokrywa to koszty takiej podróży.

–Oni ustalają warunki, nie ja.

–Zdziwniej i dziwniej.

Oczywiście proksy miał rację. Wszyscy wiedzieli, że Hospicjum troszczy się o zamrożonych – biednych, rannych, z terminalną anemiją – których dopiero co wyładowano ze statków. Żebracy rozmrażali ich, ożywiali, poddawali rehabilitacji i opiekowali się nimi, aż ludzie ci poczuli się na tyle dobrze, że mogli odlecieć lub przynajmniej wznowić podstawowe funkcje życiowe. Niektórzy, nigdy nie odzyskawszy pamięci, zamieszkiwali w Hospicjum i po przeszkoleniu postanawiali zostać Żebrakami. Jednak rutynowo Hospicjum przyjmowało wyłącznie takich zamrożonych, którzy pochodzili ze statków kosmicznych.

–Więc dobrze – zaczęła – powiedzieli mi, że nastąpiła pomyłka. Dokumenty tego człowieka pomyłono podczas rozładunku statku. Pomyłono go z innym zamrożonym, który nie miał być rozmrażany, ale tylko zbadany w Hospicjum. Tamten drugi mężczyzna miał dolecieć zimny do Chasm City i rozmrożony dopiero tam.

–To niezwykle – stwierdził proksy.

–Wygląda na to, że facet nie lubił podróży kosmicznych. Zrobił się duży bajzel. Gdy odkryto błąd, tamten zamrożony był już w połowie drogi do Chasm. Poważna wpadka i Hospicjum chce to naprawić, nim powstanie większy bałagan. Wezwali mnie, zabrałam ciało z Pierścienia Złomu i teraz pędzę z tym na Idlewild.

–Ale po co ten pośpiech? Skoro jest zamrożone, na pewno...

–Kaseta to zabytek muzealny, a w ciągu ostatnich dni traktowano ją dość brutalnie. Ponadto dwie rodziny zaczynają zadawać nieprzyjemne pytania. Im szybciej znów zamieni się ciała, tym lepiej.

–Rozumiem, że Żebracy usiłują zachować w tej sprawie dyskrecję. Nienaganna reputacja Hospicjum doznałaby uszczerbku, gdyby wszystko wyszło na jaw.

–Właśnie. – Antoinette pozwoliła sobie na słabiutkie uczucie ulgi i przez chwilę towarzyszyła jej niebezpieczna myśl, by powrócić do wystudiowanego biernego oporu. Powiedziała jednak: – No to teraz, kiedy już wszystko rozumiesz, może byś mnie wypuścił. Chyba nie chcesz irytować Hospicjum?

–Oczywiście, że nie, ale skoro już tak daleko zaszliśmy, warto sprawdzić pasażera.

–Rzeczywiście, warto.

Dotarli do kasy. Jednostka zimnego snu, upchnięta na tyłach ładowni, wyglądała dość przeciętnie. Matowosrebrzysta, miała w górnej części prostokątne okienko z dymnego szkła. W środku, pod drugą płytą z dymnego szkła, znajdował się zagłębiony panel z kontrolkami i displejami parametrów.

–To dziwne miejsce dla kasy, sam tył ładowni – zauważył proksy.

–Dla mnie nie. Jest blisko spodnich drzwi. Szybko ją załadowałam, a jeszcze szybciej wyładuję.

–Racja. Nie ma pani nic przeciwko temu, że dokładniej się przyjrzę?

–Proszę się nie krępować.

Proksy przykucnął w odległości metra od kasy, wysunął odnóża zakończone czujnikami, ale nie dotknął kasy w żadnym miejscu. Postępował z najwyższą ostrożnością, nie chcąc zniszczyć własności Hospicjum ani zaszkodzić ciału w kasecie.

–Mówiła pani, że ten mężczyzna dopiero niedawno przybył na Idlewild.

–Wiem tyle, co mi powiedzieli Żebracy.

Proksy w zamyśleniu poklepał się jedną ze swych kończyn.

–To dziwne, bo ostatnio nie przyleciał tu żaden większy statek. Teraz, gdy wiadomości o wojnie zdążyły dotrzeć do najdalszych układów, Yellowstone nie jest tak popularnym celem podróży jak ongiś.

Antoinette wzruszyła ramionami.

–W takim razie porozmawiaj z Hospicjum, jeśli cię to niepokoi. Wiem tyle, że załadowałam zmarzlaka i mam go do nich dostarczyć.

Proksy wysunął urządzenie, które Antoinette uznała za kamerę, i umieścił je nad szybą kasy.

–Tak, to na pewno mężczyzna – stwierdził, jakby komunikował Antoinette nowinę. – W głębokim zimnym śnie. Pozwoli pani, że przy okazji odsunę okienko i spojrzę na odczyty? Gdyby się okazało, że wystąpiły jakieś problemy, mógłbym prawdopodobnie zorganizować eskortę i dowieźć was do Hospicjum dwukrotnie szybciej...

Nim zdążyła odpowiedzieć czy zaprotestować, proksy odsunął szybką zasłaniającą tablicę kontrolki i displej parametrów. Ustabilizował swój korpus, przytrzymując się słupa konstrukcyjnego palet, pochylił się nisko nad kasetą i zaczął przesuwać w lewo i w prawo okiem skanującym po displeju. Od czasu do czasu wibrował.

Antoinette pociała się. Displeje wyglądały dość przekonująco, ale u kogoś, kto znał tajniki zimnego snu, musiały natychmiast wzbudzić podejrzenia. Nie były takie, jak być powinny, gdyby w kasecie leżał zahibernowany człowiek. Pierwsze wątpliwości, potem dociekliwsze badania, pogrzebanie w ukrytych opcjach displejów spowodują, że cała prawda wyjdzie na jaw.

Proksy zbadał odczyty i odchylił się od kasety, najwyraźniej usatysfakcjonowany. Antoinette na chwilę zamknęła oczy... i zaraz tego pożałowała. Proksy znów się zbliżył do displeju, wysuwając delikatny manipulator.

–Na twoim miejscu bym tego nie...

Proksy wklepał komendy w panel odczytu. Pojawiły się rozmaite wykresy, niespokojne jaskrawoniebieskie sinusoidy i drżące histogramy.

–To nie wygląda prawidłowo – oznajmił proksy.

–Co?

–Tak jakby ten człowiek już nie ży...

–Niech panienka wybaczy... – rozległ się nowy, tubalny głos.

Antoinette zaklęła w duchu. Kazała Bestii milczeć podczas swojej rozmowy z proksym. Ale może powinna raczej poczuć ulgę, że Bestia nie posłuchał akurat tego rozkazu.

–Co jest, Bestio?

–Odbieramy transmisję, panienko. Skierowana wąskim promieniem prosto do nas. Z Idlewild.

Proksy drgnął.

–Czyj to głos? Chyba mówiła pani przedtem, że jest pani sama.

–Jestem sama – odparła. – To tylko Bestia, podosoba mojego statku.

–Proszę jej powiedzieć, żeby zamilkła. A transmisja z Idlewild nie jest do pani. To odpowiedź na pytanie, które wcześniej wysłałem...

Bezcielesny głos znów zadudnił:

–Transmisja, panienko?...

–Odtwórz ją. – Uśmiechnęła się.

Proksy nie zwracał już uwagi na kasetę. Bestia przerzucił transmisję na szybę hełmu Antoinette i dziewczyna miała teraz wrażenie, że Żebrak stoi pośrodku ładowni. Przypuszczała, że również pilot otrzymuje dane telemetryczne od jednego z kutrów. Żebraczką była kobieta, jedna z Nowych Starszych. Antoinette patrzyła, jak zwykle zaszokowana, na osobę autentycznie starą. Kobieta miała na sobie wykrochmalony fartuch i zakonny habit z motywem płatku śniegu – emblematem Hospicjum; jej wspaniałe żylaste, starcze dłonie stykały się na brzuchu.

–Przepraszam za opóźnienie, ale znów mieliśmy problemy z routerem sieciowym – powiedziała zakonnica. – Najpierw formalności: jestem siostra Amelia i chciałabym potwierdzić, że ciało... zamrożony człowiek... pod opieką panny Bax to tymczasowa i ukochana własność Hospicjum Idlewild i Świętego Zakonu Lodowych Żebraków, a panna Bax ma go nam jak najszybciej dostarczyć...

–Ale ciało jest martwe – stwierdził proksy.

Siostra kontynuowała:

–...i bylibyśmy wdzięczni, gdyby władze się w to jak najmniej mieszały. Już poprzednio kilkakrotnie korzystaliśmy z usług panny Bax i zawsze byliśmy bardzo zadowoleni ze sposobu, w jaki wypełnia powierzone zadania. – Żebraczka uśmiechnęła się. – Jestem pewna, że Konwencja Ferrisvillska docenia potrzebę dyskrecji w tej sprawie. Chodzi przecież o naszą reputację.

Wiadomość się skończyła i siostra Amelia zniknęła. Antoinette wzruszyła ramionami.

–Widzisz, cały czas mówiłam prawdę.

Proksy patrzył na nią jednym ze swoich osłoniętych czujników.

–Coś mi się tu nie zgadza – oznajmił. – Ciało w kasecie jest z medycznego punktu

widzenia martwe.

–Słuchaj, mówiłam już, że kaseeta jest stara. Odczyty są nie prawidłowe, i tyle. Chyba nie jestem taka głupia, żeby wozic trupa w kasecie zimnego snu.

–Jeszcze z panią nie skończyłem.

–Może nie, ale w tej chwili skończyłeś. Słyszałeś, co powiedziała miła pani Żebraczka. “Jak najszybciej dostarczyć”. Przyznasz, że sformułowała to oficjalnie i zdecydowanie? – Antoinette wyciągnęła rękę i zamknęła pokrywę na panelu wskaźników.

–Nie wiem, co pani knuje, ale obiecuję, że do tego dojdę – oznajmił proksy.

Uśmiechnęła się.

–Znakomicie. Dziękuję. Miłego dnia. I spieprzaj z mojego statku.

Jeszcze przez godzinę utrzymywała ten sam kurs, chcąc dać policji złudzenie, że leci do Hospicjum Idlewild. Potem gwałtownie skręciła, przyśpieszając tak ostro, że aż się skuliła. Po godzinie znalazła się poza oficjalną jurysdykcją Konwencji Ferrisvillskiej, zostawiła za sobą Yellowstone i pas satelitów komunikacyjnych. Policja nawet nie próbowała jej ścigać, ale Antoinette to nie dziwiło. Zupełnie im się to nie opłacało. Musieliby zużyć bardzo dużo paliwa, ponadto oficjalnie statek Antoinette znajdował się poza ich obszarem wpływów, a ponieważ wleciała w strefę wojny, miała spore szanse, że w końcu i tak zostanie zabita. Zajmowanie się nią po prostu nie miało sensu.

Z tą radosną konkluzją Antoinette ułożyła i wysłała zawołowane podziękowania do Hospicjum. Była im wdzięczna za wsparcie i – jak postępował jej ojciec w podobnych okolicznościach – obiecała odwdziżyć się, gdyby kiedykolwiek potrzebowali jej pomocy.

Od siostry Amelii nadeszła odpowiedź: “Niech bogowie prowadzą i powodzenia w misji, Antoinette. Jim byłby z ciebie dumny”.

Mam nadzieję, pomyślała Antoinette.

Przez następne dziesięć dni nic szczególnego się nie wydarzyło. Statek sprawował się doskonale, działał zupełnie bezawaryjnie. Jeden raz, na krańcach zasięgu radaru dostrzegła – jak jej się wydawało – parę banshee, słabych, ukradkowych sygnatur unoszących się na granicach jej możliwości detekcyjnych. Na wszelki wypadek przygotowała środki obronne, ale gdy zademonstrowała wzorzec ucieczki “Burzyka”, pokazując banshee, jak trudno im będzie ostro zadokować przy jej statku, oba obiekty zniknęły, wycofały się w cień, szukając innej ofiary. Nigdy ich już nie zobaczyła.

To jedyny przelotny dreszczyk. Nie miała nic do roboty poza jedzeniem i spaniem, ale spać starała się jak najmniej, tyle tylko, ile wymagał jej organizm. Sny miała powtarzalne i niepokojące: co noc, z linowca kursującego między karuzelami Pasa Złomu, porywają ją w niewolę pająki; zabierają do jednej ze swych kometarnych baz na skraju układu; tam z trzaskiem otwierają jej czaszkę i w miękką miazgę mózgu zanurzają błyszczące urządzenia śledcze; potem, gdy niemal przeobraża się w pająka, gdy jej wspomnienia zostają prawie całkowicie wymazane, gdy jest napompowana implantami, które miały ją powiązać z ich zbiorowym mózgiem, przybywają zombi. Stadami klinowatych statków atakują kometę, kapsułami jak korkociągi wwiercają się w lód i penetrują go, lód się topi, docierają w głąb, do centralnych labiryntów; tam wypuszczają waleczne oddziały w czerwonych zbrojach; wojownicy mkną przez labirynt kometarnych korytarzy, zabijają pająki z człowieczą

precyzją żołnierzy wytrenowanych tak, by nie tracić ani jednej kuli, ani jednego szrapnela czy salwy ogniów amunicyjnych.

Przystojny poborowy- zombi wyciąga ją z pajęczego pokoju przesłuchań i indoktrynacji, wypłukuje z jej mózgu maszyny- intruzów, reperuje jej czaszkę, wreszcie wprowadza w stan regenerującej śpiączki na czas długiej podróży do cywilnego szpitala na planecie wewnętrznej; gdy Antoinette niosą na oddział zimnego usypiania, trzyma ją za rękę.

Prawie zawsze przebiegało to w ten sam cholerny sposób, zombi zaszczepili jej propagandowy sen i choć zastosowała zalecaną aktywną procedurę wypłukującą, nie mogła się go pozbyć całkowicie. Choć z drugiej strony szczególnie jej na tym nie zależało.

Pewnej nocy, gdy z jakiegoś powodu nie włączyła się propaganda Demarchistów, zamiast niej cały czas nawiedzały ją smutne sny o ojcu.

Wiedziała, że propaganda zombi jest przesadna, ale tylko co do szczegółów. Nikt nie miał wątpliwości, jak Hybrydowcy postępują z nieszczęsnymi jeńcami. Równocześnie była przekonana, że niewola u Demarchistów to nie piknik.

Konflikt jednak toczył się bardzo daleko od niej, choć formalnie znajdowała się w strefie wojennej. Zaprogramowała trajektorię tak, by uniknąć większych bitew. Od czasu do czasu widział: odległe rozbłyski, świadczące o tym, że godziny świetlne od nie toczą się jakieś tytaniczne zmagania. Ciche błyski miały w sobie coś nierealnego i Antoinette mogła sobie wyobrażać, że konflikt się skończył, a ona jest tylko w jakimś rutynowym międzyplanetarnym rejsie. Z drugiej strony nie było to dalekie od prawdy. Wszyscy neutralni obserwatorzy twierdzili, że wojna wygasa i zombi tracą grunt na wszystkich frontach, a pająki z każdym miesiącem stają się silniejsze i prą na Yellowstone.

Jednak choć wynik konfliktu był teraz oczywisty, walki się jeszcze nie skończyły i Antoinette, jeśli się zagapi, łatwo może się stać ich ofiarą. A wtedy zbada dokładnie, jak precyzyjne są propagandowe sny. Rozmyślała o tym, wycofując się w kierunku Mandarynkowego Marzenia, największej jowiszopodobnej planety układu Eridani. Silniki "Burzyka" pracowały z maksymalną wydajnością i statek osiągnął przyśpieszenie trzech g. Gazowy gigant, ciężarny grawitacją, rysował się złowieszczą bladopomarańczową plamą. Przeciwintruzyjne satelity rozmieszczone wokół jowiszowca i ich kierunkowe sygnały już uczepliły się statku Antoinette i zaczęły bombardować go coraz groźniejszymi ostrzeżeniami.

To Rejon Sporny. Naruszasz...

–Panienko, jesteś pewna? Należy z szacunkiem zauważyć, że to nieprawidłowa

trajektoria do wejścia na orbitę.

Skrzywiła się. Tylko na tyle mogła się zdobyć przy trzech g. – Wiem, Bestio, ale jest powód. Nie zamierzamy wejść na orbitę. Wchodzimy w atmosferę.

–Panienko... w atmosferę?

–Właśnie.

Niemal słyszała, jak wyskakują czpienie, gdy zaśniedziałe subrutyny uruchamiały się pierwszy raz od dziesięcioleci. Podosoba Bestii leżała w chłodnej cylindrycznej komorze o rozmiarach hełmu skafandra kosmicznego. Antoinette widziała ją dwukrotnie, podczas gruntownego przeglądu i demontażu dzioba statku. Ojciec Antoinette w ciężkich rękawicach wyjął podosobę z zagłębienia i oboje przyglądali się jej z nabożnym podziwem.

–Powiedziałaś “w atmosferę”? – powtórzył Bestia.

–Wiem, że nie jest to zupełnie normalna procedura operacyjna – stwierdziła Antoinette.

–Jesteś całkowicie pewna tego, co chcesz zrobić, panienko?

Antoinette wyjęła z kieszeni koszuli skrawek zadrukowanego papieru. Miał owalny kształt, poszarpane brzegi i skomplikowany wzór, narysowany jasnozłotym i srebrnym atramentem. Przesunęła palcami po tym strzępku, jakby był talizmanem.

–Tak, Bestio – odparła. – Nigdy niczego nie byłam tak pewna.

–Bardzo dobrze, panienko.

Bestia doszedł zapewne do wniosku, że dyskusja nic nie da, i zaczął przygotowania do lotu w atmosferę.

Schematy na panelu dowódcy ukazywały wciągające się wypustki i zaciski, luki, które rozwierały się i zasuwwały, by zachować nienaruszalność kadłuba. Cały proces trwał kilka minut, a gdy się zakończył, “Burzyk” wyglądał tylko nieco bardziej aerodynamicznie niż przedtem. Niektóre z wystających elementów prawdopodobnie przetrwają lot w powietrzu, ale nadal pozostało kilka wypustek i zaczepów do dokowania, które ulegną zniszczeniu przy wejściu w atmosferę. Statek będzie musiał się bez nich jakoś obyć.

–Posłuchaj, gdzieś w tym twoim mózgu znajdują się procedury wejścia w atmosferę – powiedziała Antoinette. – Tata mi kiedyś o tym wspominał, więc nie udawaj, że o tym nie wiesz.

–Postara się zlokalizować odpowiednie procedury jak najszybciej.

–Dobrze – odparła Antoinette podbudowana na duchu.

–Ale czy mógłby zapytać jednak, dlaczego o potrzebie uruchomienia tych procedur nie wspomniano wcześniej?

–Bo gdybyś się domyślił, co zamierzam, miałbyś czas, żeby mi to wyperswadować.

–Rozumie.

–Nie obrażaj się. Byłam tylko praktyczna.

–Jak sobie życzysz, panienko. – Bestia milczał przez chwilę, na tyle długo, by Antoinette poczuła się nieprzyjemnie i miała wyrzuty sumienia. – Zlokalizowało się procedury. Zwraca się uwagę, że ostatnio używano ich sześćdziesiąt trzy lata temu, a od tamtego czasu dokonano pewnych zmian sylwetki, co może wpływać na efektywność...

–Dobrze. Jestem pewna, że coś wymyślisz.

Niełatwo jednak nakłonić operujący w próżni statek do wejścia w atmosferę, nawet jeśli chodziło o górne warstwy gazowego giganta, a statek był tak bogato wyposażony i opływowy jak "Burzyk". W najlepszym wypadku statek wyjdzie z tego z poważnie uszkodzonym kadłubem, ale jakoś dobrnie do Pasa Złomu; w najgorszym wypadku nigdy więcej nie zobaczy otwartego kosmosu.

I Antoinette też już kosmosu nie zobaczy.

Jest przynajmniej jedna pocięcha, pomyślała. Jeśli rozwalę statek, nie będę musiała przekazywać złych wiadomości Xavierowi.

Dzięki Pannie i za to.

Z panelu dobiegł stłumiony sygnał.

–Bestio?... Czy to jest to, co podejrzewam?

–Bardzo możliwe, panienko. Kontakt radarowy, odległość osiemnaście tysięcy klików, trzy stopnie od naszego kursu, dwa stopnie od północy ekliptycznej.

–Cholera! Jesteś pewien, że to nie latarnia albo platforma zbrojeniowa?

–Za duże, panienko.

Nie musiała specjalnie główkować, żeby zrozumieć, co to znaczy. Na drodze między

jej statkiem a gazowym gigantem znajdował się inny statek, blisko atmosfery planety.

–Co o nim wiesz?

–Poruszają się powoli, panienko, prosto w atmosferę. Planują chyba podobny manewr, jaki ty chcesz przeprowadzić, ale poruszają się kilka klików na sekundę szybciej i wejdą pod większym

kątem.

–Czy to wygląda na zombi? – powiedziała szybko, mając nadzieję, że jest inaczej.

–Nie ma sensu spekulować, panienko. Właśnie skierowali na nas wąski promień. Protokół wiadomości jest rzeczywiście demarchistowski.

–Dlaczego, do cholery, mieliby się trudzić i przesyłać nam wiadomość wąskim promieniem?

–Uprzejmie się sugeruje, żebyś to wyjaśniła.

Wąski promień był niepotrzebnie pracochłonnym środkiem komunikacji, skoro statki znajdowały się tak blisko. Wystarczyłby prosty przekaz radiowy i statek zombi nie musiałby precyzyjnie kierować lasera na znajdującego się w ruchu "Burzyka".

–Przyjmij, bez względu na to, kto to jest – poleciała. – Możemy im odpowiedzieć również wąskim promieniem?

–Panienko, musielibyśmy ponownie wysunąć pewne urządzenia, które z takimi problemami wciągaliśmy do środka.

–Zrób to, ale nie zapomnij wciągnąć z powrotem.

Usłyszała, jak maszyna wypycha w próżnię jeden z kolców.

Rozległo się szybkie ćwierkanie protokołów komunikacji między dwoma statkami i nagle Antoinette miała przed sobą twarz jakiejś kobiety, która – o ile to możliwe – wyglądała na jeszcze bardziej od niej zmęczoną, zmizerowaną i rozdrażnioną.

–Cześć – powiedziała Antoinette. – Czy ty mnie również widzisz?

Kobieta ledwo zauważalnie skinęła głową. Usta miała mocno zaciśnięte, co sugerowało niezmiernie zapasy powstrzymywanej wściekłości, spiętrzonych jak woda za tamą.

–Tak, widzę cię.

–Nie spodziewałam się tu kogokolwiek spotkać – zaczęła rozmowę Antoinette. – Doszłam do wniosku, że najlepiej odpowiedzieć również wąskim promieniem.

–Nie musiałaś się fatygować.

–Nie musiałam? – powtórzyła Antoinette.

–Nie, bo twój radar już nas oświetlił. – Ogolona czaszka kobiety błysnęła niebiesko, gdy kobieta spojrzała na coś w dole. Nie była o wiele starsza od Antoinette, ale z zombi nigdy nic nie wiadomo.

–Noo... a to problem, co?

–Tak, jeśli próbujesz się przed czymś ukryć. Nie wiem, po co tu jesteś, i prawdę mówiąc niewiele mnie to obchodzi. Sugeruję, żebyś porzuciła swoje plany. Planeta jest Rejonem Spornym i mam pełne prawo natychmiast zestrzelić cię z nieba.

–Nie mam problemów z zom... z demarchistami – stwierdziła Antoinette.

–Miło mi to słyszeć. A teraz zawróć.

Antoinette znów spojrzała w dół na strzępek papieru, który wyjęła z kieszeni bluzy. Na rysunku mężczyzna w dawnym skafandrze kosmicznym, takim z harmonijkowymi złączami, trzymał butelkę na wysokości oczu. Pierścień szyjny, który powinien łączyć hełm z korpusem, był zagiętą elipsą z błyszczącego srebra. Mężczyzna uśmiechał się, patrząc na butelkę z migoczącym złotym płynem. Nie, pomyślała Antoinette. Czas wykazać zdecydowanie.

–Nie zawrócę – oznajmiła. – Ale obiecuję, że niczego nie ukradnę z planety. Nie zamierzam zbliżyć się ani do waszych rafinerii, ani do innych tego typu instalacji. Nie otworzę nawet swoich czerpaków. Chcę tylko wlecieć i wylecieć, a potem już nie będę was niepokoić.

–Cieszę się, że to słyszę – odparła kobieta – ale problem polega na tym, że to nie mnie powinnaś się obawiać.

–A kogo?

Kobieta uśmiechnęła się przyjacielsko.

–Za tobą jest statek, którego chyba nawet nie zauważyłaś.

–Za mną?

–Masz pająki na ogonie.

I wtedy Antoinette zrozumiała, że jest w prawdziwych tarapatach.

DWA

Gdy uruchomił się alarm, Skade tkwiła wklinowana między dwie czarne zakrzywione masy maszynierii. Jeden z jej czułek wykrył zmianę w atakującej pozycji statku, wzmocnienie stanu gotowości bojowej. Nie była to może sytuacja kryzysowa, ale wymagała natychmiastowej reakcji.

Skade odłączyła swój kompnotes od maszynierii; pępowina z włókna optycznego trzasnęła jak bicz w obudowie kompnotesu. Skade przycisnęła do brzucha pustą płytkę kompnotesu – zgiął się i przyczepił do wyściełanej czarnej tkaniny kamizelki. Prawie od razu kompnotes zaczął przesyłać dane ze schowka na bezpieczną partycję długoterminowej pamięci Skade.

Skade przeczołgała się wąskim przesmykiem między częściami maszyny, wyginając się i wkręcając w najciaśniejszych miejscach. Po dwudziestu metrach dotarła do końca i wysunęła się częściowo przez wąski okrągły otwór, który przed chwilą otworzył się w ścianie. Zastygła bezgłośnie, bez ruchu, zniknęły nawet barwne fale na grzebieniu. Wiązki implantów w jej głowie nie wykryły innych Hybrydowców w promieniu pięćdziesięciu metrów i potwierdziły, że żadne urządzenie monitorujące w tym korytarzu nie zauważyło jej wynurzenia. Mimo to zachowywała ostrożność, zerkając w lewo i w prawo, jak kot zapuszczający się na nieznaną teren.

W polu widzenia nikogo nie było.

Skade wyciągnęła całe swoje ciało z otworu i wydała myślowe polecenie zwieraczowi, by się zamknął; na ścianie został tylko ślad uszczelnienia, tak drobny, że niewidoczny. Tylko Skade wiedziała, gdzie znajdują się te otwory wejściowe, a one ujawniały się tylko przed nią. Nawet gdyby Clavain odkrył obecność ukrytych maszyn, żeby do nich dotrzeć, musiałby użyć brutalnej siły, a to by z kolei spowodowało ich samozniszczenie.

Statek nadal spadał swobodnie – Skade przypuszczała, że przysuwa się do wrogiego statku, za którym gonił. Nieważkość jej odpowiadała. Skade mknęła korytarzem, skacząc na czworakach od jednego punktu kontaktowego do drugiego. Ruchy miała tak precyzyjne i oszczędne, że czasami wydawało się, że sunie we własnej bańce grawitacyjnej.

[Skade, jakie wyniki?]

Nigdy dokładnie nie wiedziała, kiedy Rada Nocna wyskoczy w jej głowie, ale już od dawna nie reagowała zaskoczeniem na ich nagłe pojawianie się.

Problemów nie ma. Nawet nie zaczęliśmy się dogrzebywać do tego, co ta maszyna potrafi, ale dotychczas wszystko działa tak, jak przewidywaliśmy

[Dobrze. Oczywiście pożądanymi byłyby wnikliwsze testy...]

Skade poczuła przypływ irytacji.

Już mówiłam. Należałoby dokonać starannych pomiarów, by wykryć oddziaływanie tych maszyn. To znaczy możemy przeprowadzić tajne testy pod płaszczkiem rutynowych operacji militarnych.

Skade wskoczyła na rozwidlenie i odbiła się w stronę mostku. Regulując chemię swojej krwi, zmusiła się do spokoju.

Zgadzam się, że musimy zrobić więcej, nim będziemy w stanie wyposażyć flotę, ale gdy rozszerzymy testy, ryzykujemy, że rozejdzie się wiadomość o naszym odkryciu. Nie tylko w Gnieździe Macierzystym.

[Słuszna uwaga, Skade. Nie musisz nam przypominać. Ustalaliśmy tylko fakty. Nawet gdyby to było niewygodne, trzeba przeprowadzić testy, i to jak najprędzej]

Minęła Hybrydowca zmierzającego do innej części statku. Zajrzała do jego umysłu i zobaczyła na powierzchni mieszanię ostatnich doświadczeń i emocji. Nie zainteresowały ją, nie miały taktycznego znaczenia. Poniżej tej papki leżały warstwy głębszej pamięci, struktury mnemoniczne zanurzające się w nieprzenikalną ciemność niczym wielkie zatopione pomniki. Musiała to wszystko przesunąć i zbadać, ale to też jej nie zainteresowało. Na najgłębszym poziomie Skade odkryła u mężczyzny partycje pamięci, które – według Hybrydowca – nie powinny się dać odczytać. Przez chwilę miała ochotę dokonać edycji jego prywatnych zabezpieczeń i blokad i odsłonić kilka maleńkich, pielęgnowanych wspomnień. Nie zrobiła tego; wystarczyła jej sama świadomość, że może to zrobić.

Umysł mężczyzny zareagował, wysyłając sondy wywiadowcze do jej umysłu. Potem raptownie je wycofał, napotkawszy zdecydowaną odmowę dostępu. Jak wyczuła, mężczyzna był najwidoczniej zaintrygowany, dlaczego ktoś ze Ścisłej Rady wszedł na ten statek.

Rozbawiło ją to. Mężczyzna wiedział o istnieniu Ścisłej Rady i miał może jakieś wiadomości o supertajnym centrum Rady, Wewnętrznym Sanktuarium, ale Skade była pewna, że nawet nie podejrzewał istnienia Rady Nocnej.

Minął ją, a ona podążała swoją drogą.

[Jakieś obiekcje, Skade?]

Oczywiście mam obiekcje. Bawimy się ogniem samego Boga. Takich spraw się nie popędza.

[Skade, Wilki nie będą na nas czekały]

Skade nastroszyła się. Nie trzeba jej było przypominać o wilkach. Strach to użyteczny bodziec, ale nie mógł jej już silnie zdopingować. Jak mówiło stare porzekadło: nie od razu stworzono Projekt Manhattan. A może chodziło o Rzym? W każdym razie miało to związek z Ziemią.

Pamiętam o wilkach.

[Dobrze, Skade, my też. I nie wątpimy, że wilki również o nas nie zapomniły]

Poczuła, że Rada Nocna wycofuje się do maleńkiej, nie dającej się zlokalizować kieszonki w jej głowie, gdzie poczeka do następnego razu.

Skade przybyła na mostek "Nocnego Cienia", świadoma, że jej grzebień pulsuje

żywą czerwienią i szkarłatem. Mostek – sferyczne, pozbawione okien pomieszczenie wewnątrz statku – mógł swobodnie pomieścić pięciu czy sześciu Hybrydowców. Teraz byli tu tylko Clavain i Remontoire, jak wtedy, gdy stąd wychodziła. Obaj leżeli w hamakach akceleracyjnych, zawieszonych pośrodku sfery; podłączeni do szerszego sensorycznego środowiska “Nocnego Cienia”, oczy mieli zamknięte. Z ramionami skrzyżowanymi na piersiach sprawiali absurdalne wrażenie ludzi zrelaksowanych.

Skade stała bez ruchu, a pokój wyrzucił dla niej osobny hamak, który otoczył ją ochronną siecią lianopodobnych pnączy. Leniwie zaczęła przeszukiwać umysły mężczyzn. Remontoire był dla niej całkowicie otwarty, nawet granice partycji Ścisłej Rady wydawały się zaledwie liniami demarkacyjnymi, a nie bezwzględny barierami. Jego umysł był jak miasto ze szkła, gdzieniegdzie przydymionego, lecz wszędzie przenikalnego. Widzenie za ekranami Ścisłej Rady to pierwszy trik, jakiego nauczyła ją Rada Nocna. Umiejętność okazała się użyteczna nawet wtedy, gdy Skade weszła w skład Ścisłej Rady. Nie wszyscy członkowie Ścisłej Rady mieli dostęp do tych samych tajemnic – przede wszystkim istniało Wewnętrzne Sanktuarium – ale Skade wiedziała o wszystkim.

Czytanie umysłu Clavaina było trudniejsze. To ją frustrowało, fascynowało i niepokoiło. Jego implanty neuralne miały znacznie starszą konfigurację niż u innych Hybrydowców i Clavain nigdy nie pozwolił na ich modyfikację. Wielkie połączenia jego umysłu w ogóle nie zostały poddane systemowi, a połączenia nerwowe między tymi rejonami a komponentami Hybrydowców były rzadkie i nieefektywnie rozproszone. Algorytmy przeszukiwania i pobierania, używane przez Skade, potrafiły wydobyć wzorce neuralne z każdej części mózgu Clavaina, jaką obejmował system, ale i to nie było łatwe. Przeszukiwanie jego umysłu przypominało grzebanie w bajecznie bogatej bibliotece, nawiedzanej przez huragan – gdy Skade zlokalizowała to, o co jej chodziło, zwykle informacja stawała się nieaktualna.

Mimo to Skade wiele się dowiedziała o Clavainie. Od powrotu Galiany upłynęło dziesięć lat, ale – jeśli Skade prawidłowo odczytywała jego umysł, a nie miała powodu w to wątpić – Clavain ciągle nie zdawał sobie sprawy z tego, co się stało.

Tak jak całe Matczyne Gniazdo, Clavain wiedział, że w głębokim kosmosie Galiana spotkała obce wrogie jednostki – maszyny, które nazwano wilkami. Wilki przeniknęły na statek i wdarły się do umysłów załogantów. Clavain wiedział, że Galiana została oszczędzona i jej ciało jest zachowane; wiedział również, że w jej czaszce znajduje się struktura wilczego pochodzenia. Nie wiedział jednak i – jak sądziła Skade – nawet nie podejrzewał, że Galianie wróciła świadomość i że zanim wilk przemówił przez nią, miała moment jasności umysłu, a nawet więcej takich momentów.

Skade przypomniawszy sobie, jak skłamała Galianie, że Clavain i Felka umarli. Kłamstwo nie przyszło jej łatwo. Jak wszyscy Hybrydowcy, traktowała Galianę z

należną czią. Galiana była ich matką, królową odłamu Hybrydowców. Jednocześnie Rada Nocna przypomniła Skade, że wobec Matczynego Gniazda ma ona obowiązki ważniejsze od szacunku dla Galiany. Skade musiała skutecznie wykorzystać chwile jasności umysłowej, by uzyskać jak najwięcej danych o wilkach, nie można więc było obciążać Galiany dodatkowymi zmartwieniami. Skade uznała wówczas takie postępowanie za krzywdzące, ale Rada Nocna zapewniała, że na dłuższą metę jest to korzystne.

Stopniowo Skade dostrzegała w tym sens. Przecież w istocie nie kłamała Galianie, lecz cieniowi poprzedniej Galiany. Potem jedno kłamstwo wymuszało następne. Dlatego Clavain i Felka nigdy nie dowiedzieli się o tamtych rozmowach.

Skade wycofała sondy umysłowe i ustaliła rutynowy poziom bliskości. Dała Clavainowi dostęp do swych powierzchniowych wspomnień, do swych trybów percepcji zmysłowej i do emocji, albo raczej do ich subtelnie zafałszowanej wersji. Równocześnie Remontoire widział dokładnie tyle, ile się spodziewał, ale Skade zmodyfikowała to odpowiednio do swoich potrzeb.

Hamak akceleracyjny przesunął ją ku centrum sfery, w pobliże tamtych dwóch mężczyzn. Złożyła ręce pod biustem, opierając je na wygiętej płytce komputesu, który nadal szeptał swoje odkrycia do trwałej pamięci Skade.

Clavain potwierdził swoją zdalną obecność.

[Skade, to miło, że do nas dołączyłaś].

Clavain, wyczułam zmianę w naszej gotowości ataku. Mam wrażenie, że ma to coś wspólnego ze statkiem Demarchistów.

[To coś bardziej interesującego. Spójrz].

Clavain przekazał jej jeden koniec linii danych ze statkowej sieci czujników. Skade wydała polecenie swoim implantom, by odwzorowały dane do jej sensorium, stosując zwykle filtry i opcje.

Miała przyjemne wrażenie dyslokacji. Jej własne ciało, ciała mężczyzn, pomieszczenie, w którym się unosili, wielkie, smukłe czarne jak węgiel czółno "Nocnego Cienia" – wszystko to przesunęło się w niematerialność.

Wielki jowiszowiec wisiał przed nimi otoczony ruchomą, skomplikowaną geometrycznie chmurą stref zabronionych i bezpiecznych przejść. Wściekła chmara platform i wartowników śmigała wokół planety na ciasnych orbitach precesyjnych. Bliżej, choć niewiele, znajdował się statek Demarchistów, za którym gonił "Nocny Cień". Dotykał górnej warstwy atmosfery Mandarynkowego Marzenia i już zaczynał się jarzyć. Nurkując w atmosferę, szyper ryzykował, miał jednak nadzieję, że się

schowa w kilkusetkilometrowej warstwie obłoków.

To desperacki manewr, pomyślała Skade.

Wloty transatmosferyczne były ryzykowne, nawet dla statków zbudowanych tak, by mogły dokonywać powierzchniowych przejść w górnych warstwach atmosfery jowiszowców. Szyper musiałby wyhamować przed próbą nurkowania, a potem, wracając w kosmos, również musiałby lecieć powoli. Taki manewr mógł się przydać przy kamuflażu, choć jego powodzenie zależało od wyposażenia w czujniki statku ścigającego oraz od detekcyjnych możliwości niskoorbitowych satelitów czy latających dron; właściwie jedyną korzyścią była możliwość uzupełnienia zapasów paliwa.

We wczesnej fazie wojny obie strony stosowały antymaterię jako główne źródło energii. Hybrydowcy, mający ukryte wytwórnie antymaterii na granicach układu, nadal byli w stanie produkować i gromadzić antymaterię w ilościach potrzebnych do działań zbrojnych. Nawet gdyby te możliwości się skończyły, wszyscy wiedzieli, że mają oni dostęp do znacznie wspanialszych źródeł energii. Demarchiści natomiast już od ponad dziesięciu lat nie byli w stanie pozyskiwać antymaterii. Wrócili do energii syntezy jądrowej, a do tego potrzebowali wodoru, najlepiej wydobytego z oceanów gazowych gigantów, gdzie już był skompresowany do postaci metalicznej. Szyper mógłby otworzyć czerpaki, zassać i skompresować wodór atmosferyczny, albo mógł nawet próbować nurkować w "zaledwie" płynnym morzu wodorowym, powlekającym metaliczny wodór, owinięty wokół skalistego samorodka planetarnego jądra. Dla statku, który już ucierpiał na wojnie, byłoby to ryzykowne przedsięwzięcie. Najprawdopodobniej kapitan miał nadzieję, że czerpaki nie będą potrzebne i że uda mu się połączyć z jednym ze sterowanych wielorybim mózgiem tankowców, jakie krążyły nieustannie w atmosferze, śpiewając smutne, żałobne pieśni o turbulencjach i chemii organicznej. Tankowiec wstrzyknąłby do statku ładunki wstępnie obrobionego metalicznego wodoru; niektóre z nich miały służyć jako paliwo, inne – jako główce bojowe.

Wloty atmosferyczne to ryzyko podejmowane w rozpaczliwej sytuacji, ale często się opłacało i wybierano je nieco chętniej od samobójczych operacji ukradkowej ucieczki.

Skade sformułowała myśl i przesłała ją do głów swoich towarzyszy.

Szyper wykazuje godną podziwu determinację, ale to mu nie pomoże.

Clavain odezwał się natychmiast:

[Nie pomoże jej. To kobieta. Przechwyciliśmy jej sygnał, gdy nadawała do drugiego statku. Przechodziły skrajem pierścienia śmierci, więc pył rozproszył nieco światła

laserowego w naszym kierunku].

A intruz?

Odpowiedział jej Remontoire:

[Gdy tylko otrzymaliśmy wyraźną sygnaturę statku, podejrzewaliśmy, że to frachtowiec. To się potwierdziło i teraz wiemy trochę więcej].

Remontoire zaproponował jej dane – Skade to zaakceptowała.

W jej umyśle wyostrzył się rozmyty obraz frachtowca, nabierał wyrazu jak szkic uzupełniany detalami. Frachtowiec był dwa razy mniejszy od “Nocnego Cienia”, typowy śródukładowy przewoźnik, zbudowany ze dwa wieki temu, z pewnością przed zarazą. Kadłub miał zaokrąglony. Statek zaprojektowano tak, by mógł lądować na Yellowstone czy na innych planetach z atmosferą, ale z czasem zyskał tyle wybrzuszeń i wypustek, że Skade kojarzył się z rybą poddaną rzadkiej recesywnej mutacji. Na jego powłoce połyskiwały zakodowane, czytelne dla maszyny symbole, przerwane gdzieś nie zapisanymi połączeniami reperowanego poszycia.

Remontoire uprzedził jej pytanie.

[To “Burzyk”, frachtowiec zarejestrowany w Karuzeli Nowa Kopenhaga w Pasie Złomu. Dowódcą statku i właścicielem jest Antoinette Bax, ale dopiero od miesiąca. Poprzednio należał do Jamesa Baxa, prawdopodobnie krewnego. Nie wiemy, co się z nim stało. W rejestrach rodzina Baxów widnieje jako właściciel statku już dawno, od czasów przedwojennych, może nawet przed wybuchem zarazy. Zajmowali się zarówno zwykłą działalnością legalną, jak i czynami na granicy prawa. Kilka naruszeń przepisów, parę konfliktów z Konwencją Ferrisvillską, ale nie na tyle poważnych, by groziło to zatrzymaniem, nawet podczas stanu wyjątkowego].

Skade poczuła, jak jej odległe ciało kwituje te informacje skinieniem głowy. Pas habitatów wokół Yellowstone dawał zatrudnienie różnym firmom przewozowym, zarówno prestiżowym, bardzo szybkim transportowcom, jak i znacznie wolniejszym – oraz tańszymi, których dowódcy zadawali mniej pytań – statkom z silnikami jonowymi albo wykorzystującymi syntezę. Nawet po wybuchu zarazy, gdy wspaniała Migotliwa Wstęga zmieniła się w mało wspaniałą Pas Złomu, nadal istniały nisze rynkowe dla tych, którzy byli gotowi je zająć, na przykład potrafili unikać kwarantanny albo przyjmowali zlecenia od takich klientów, z jakimi niechętnie robiono trwalsze interesy.

Skade nic nie wiedziała o rodzinie Baxów, ale doskonale sobie wyobrażała, że w tych warunkach – a tym bardziej w czasie wojny – ich biznes rozkwitał. Omijanie blokad, wykorzystywanie rozmaitych okazji, wspieranie misji szpiegowskich agentów obu stron konfliktu. Konwencja Ferrisvillska, administrująca na bieżąco przestrzenią

wokół Yellowstone, należała do najbardziej nietolerancyjnych reżimów w historii. Tam, gdzie stosuje się wysokie kary, zawsze znajdą się ludzie gotowi sownie wynagrodzić tych, którzy podejmują ryzyko.

Teraz Skade stworzyła sobie w umyśle niemal pełny obraz Antoinette Bax. Jednego tylko nie rozumiała: co Antoinette robi tak daleko w strefie wojennej i jak to się stało, że nadal żyje?

Czy szyper z nią rozmawiał? – spytała Skade.

[Dostała ostrzeżenie, żeby się wycofała, bo poniesie konsekwencje]. – odpowiedział Clavain.

A ona?

Remontoire przesłał jej trajektorię frachtowca: Antoinette zmierzała prosto w atmosferę jowiszowca, podobnie jak lecący przed nią statek Demarchistów.

To nie ma sensu. Szyper powinien ją zniszczyć za naruszenie Rejonu Spornego.

[Szyper jej zagroził, ale Bax to zignorowała. Obiecała mu, że nie ukradnie wodoru, ale zdecydowanie stwierdziła, że nie zawróci]. – odpowiedział Clavain.

Albo bardzo odważna, albo bardzo głupia.

[Albo szczęściara]. – odparł Clavain. – [Najwyraźniej szyper nie miała amunicji dla poparcia swojej groźby. Chyba zużyła wszystkie pociski podczas wcześniejszych starć].

Skade zaczęła to analizować, uprzedzając rozważania Clavaina. Jeśli szyper wystrzeliła ostatnie pociski, zrobi wszystko, by zachować tę informację w tajemnicy przed "Nocnym Cieniem". Rozbrojony statek to gotowy cel abordażu. Nawet w tej późnej fazie wojny przejęcie wrogiego statku dostarcza cennych informacji wywiadowczych, nie wspominając o perspektywie zwerbowania załogi.

Według ciebie szyper liczyła na to, że frachtowiec zastosuje się do jej polecenia.

Wyczuła potwierdzenie Clavaina, nim jego odpowiedź uformowała się w jej głowie.

[Tak. Gdy Bax oświetliła radarem statek Demarchistów, szyper nie miała innego wyjścia – musiała jakoś odpowiedzieć. Normalnym i całkowicie prawnym działaniem byłoby wystrzelenie pocisku, ale szyper musiała przynajmniej wezwać statek do wycofania się. To nie poskutkowało, Bax nie dała się zastraszyć. To natychmiast ustawiło szyper w niekorzystnej pozycji. Szczekała, ale na pewno nie mogła ugryźć].

Tę myśl uzupełnił Remontoire:

[Clavain ma rację. Ona nie ma pocisków. Teraz to wiemy].

Skade rozumiała, o co im chodzi. Choć statek Demarchistów już zaczął nurkowanie w atmosferę, ciągle znajdował się w zasięgu pocisków "Nocnego Cienia". Zniszczenie go nie było stuprocentowo pewne, ale szanse spore. A jednak Remontoire i Clavain nie chcieli zestrzelić wrogiego statku. Woleli poczekać, aż wynurzy się z atmosfery, powolny i ciężki od paliwa, ale uzbrojony nie lepiej niż poprzednio. Chcieli dostać się na jego pokład, wyssać dane z banków pamięci i przekształcić jego załogę w nowych członków Matczynego Gniazda.

Nie mogę przyzwolić na abordaż. Dla "Nocnego Cienia" niesie to więcej niebezpieczeństw niż potencjalnych korzyści.

Poczuła, że Clavain próbuje sondować jej umysł.

[Dlaczego, Skade? Czy z jakiegoś powodu ten statek jest wyjątkowo cenny? Jeśli tak, to czy to nie jest odrobinę dziwne, że nikt mi o tym nie powiedział?]

To sprawa Ścisłej Rady. Miałaś już szansę do niej dołączyć, Clavain.

[Nawet gdyby dołączył, to i tak nie wiedziałby wszystkiego, prawda?]

Skade przełączyła się ze złością na Remontoire'a.

Wiesz, Remontoire, że jestem tu w sprawach Ścisłej Rady. To najważniejsze.

[Ale ja jestem ze Ścisłej Rady i nawet ja nie wiem dokładnie, co tu robisz. O co chodzi, Skade? Tajna operacja dla Wewnętrznego Sanktuarium?].

Skade zawrzała. Wszystko byłoby znacznie łatwiejsze, gdyby nie trzeba było mieć do czynienia ze starymi Hybrydowncami, pomyślała.

Ten statek jest cenny. To prototyp, a prototypy zawsze są cenne. I doskonale o tym wiesz. Oczywiście nie chcemy go stracić w drobnej potyczce.

[Na pewno chodzi o coś więcej]

Może, Clavain, ale teraz nie czas o tym dyskutować. Rozmieść pociski przeznaczone dla statku Demarchistów, a jeden zachowaj na frachtowiec.

[Nie. Poczekamy, aż oba wyłonią się po drugiej stronie. O ile przeżyją. A potem zadziałamy].

Nie mogę do tego dopuścić.

No więc dobrze. Miała przedtem nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale Clavain zmusił ją do działania. Skoncentrowała się, wysłała skomplikowaną sekwencję komend neuronowych. Poczwała, jak odległy system uzbrojenia rozpoznaje jej uprawnienia i poddaje się jej woli. Jej sterowanie, choć niedokładne, pozbawione precyzji i bezpośredniości, z jaką zwracała się do własnych maszyn, wystarczyło – musiała przecież tylko wystrzelić kilka pocisków.

[Skade?...]

To Clavain – zorientował się, że przejęła jego uprawnienia sterowania uzbrojeniem. Wyczuła jego zdziwienie faktem, że ona, Skade, w ogóle ma takie prawa dostępu. Wyznaczyła rozrzut; pociski pościgowe drżały w stojakach wyrzutni.

W głowie Skade przemówił spokojny głos:

[Nie, Skade]

To Rada Nocna.

Co takiego?

[Zwolnij kontrolę zbrojowni. Zrób, jak chce Clavain. To dla nas korzystniejsze na dłuższą metę]

Nie, ja...

[Skade, zwolnij zbrojownię]

Rada Nocna mówiła teraz ostrzejszym tonem.

Wściekła, że ją napomniano, Skade zastosowała się do polecenia.

Antoinette dotarła do trumny ojca, przywiązanej do stelaża w ładowni, dokładnie tam, gdzie widział ją proksy.

Rękę w rękawiczce położyła na wieku kasety. Przez szybę widziała profil mężczyzny. Podobieństwo rodzinne było oczywiste, choć wiek i grawitacja wyrzeźbiły jego oblicze w przesadną męską karykaturę jej własnego. Oczy miał zamknięte, na twarzy wyraz znudzonego spokoju. To typowe dla ojca: drzemie sobie podczas tych gorących wydarzeń, pomyślała. Pamiętała jego chrapanie wypełniające kajutę. Kiedyś złapała go na tym, jak udawał, że śpi, zerkając na nią spod przymkniętych powiek. Obserwował, jak sobie daje radę w trudnej sytuacji. Wiedział, że pewnego dnia wszystko będzie musiała robić sama.

Sprawdziła umocowanie trumny. Było bezpieczne, podczas ostatnich manewrów nic się nie oblużowało.

–Bestio... – powiedziała.

–Tak, panienko?

–Jestem w ładowni.

–Jest się tego nieprzyjemnie świadomym, panienko.

–Przerzuć nas na poddźwiękową. Powiedz mi, gdy ją osiągniemy.

Przygotowała się na protest, ale go nie usłyszała. Czując ton statku, wewnętrznym uchem usiłowała odróżnić hamowanie od schodzenia. Teraz "Burzyk" w zasadzie nie leciał. Z powodu swego kształtu był prawie pozbawiony siły nośnej, więc kierował w dół wektor ciągu, by nie spadać jak kamień. Opróżniona z powietrza ładownia dostarczała dotychczas pewnej siły wyporu, ale Antoinette nigdy nie programowała głębokiego schodzenia w atmosferę w sytuacji, gdy w ładowni panowała próżnia.

Już dawno powinna być martwa. Kapitan Demarchistów powinien był ją zestrzelić z nieba, a goniący ją statek pajęczy powinien zaatakować, nim zanurkowała w atmosferę. Nawet samo nurkowanie powinno ją uśmiercić. Nie było to łagodne kontrolowane wejście, jak sobie planowała, ale wściekłe przedzieranie się pod chmury, jazda w wirze stworzonym przez statek Demarchistów. Gdy tylko statek wznowił lot poziomy, oceniła uszkodzenia; sytuacja nie przedstawiała się różowo. Gdy dotrze do Pasa Złomu – wątpliwe "gdy", bo przecież pająki nadal czyhają – Xavier będzie miał mnóstwo roboty przez kilka najbliższych miesięcy.

Ale przynajmniej nie będzie w tym czasie rozrabiał, pomyślała.

–Już poddźwiękową, panienko – zakomunikowała Bestia.

–Dobrze. – Po raz trzeci Antoinette sprawdziła, czy jest przy mocowana do stelaża równie mocno jak trumna, a potem ponownie sprawdziła parametry skafandra. – Proszę, otwórz drzwi ładowni numer jeden.

–Za chwilę, panienko.

Jasna drzazga światła rozbłysła z tego końca stelaża. Antoinette zmrużyła oczy i zaraz opuściła ciemnozieloną antyodblaskową przyłbicę hełmu.

Szczelina światła powiększyła się, a potem na Antoinette ruszył pęd powietrza, pchnął ją na wspornik stelaża. W kilka sekund powietrze wypełniło komorę ładowni, wyło i wirowało. Czujniki skafandra błyskawicznie dokonały analizy gazu i zdecydowanie odradziły otwarcie hełmu. Ciśnienie przewyższało jedną atmosferę, ale gaz był śmiertelnie zimny i niezwykle trujący.

Dusząca trucizna i zabójcza temperatura, ale za to jaki piękny, barwny widok z kosmosu, pomyślała Antoinette.

–Sprowadź nas dwadzieścia klików niżej – poleciała.

–Jesteś pewna, panienko?

–Tak, do cholery.

Podłoga nachyliła się. Antoinette obserwowała, jak barometr odmierza rosnące ciśnienie: dwie atmosfery, trzy, cztery i jeszcze więcej. Ufała, że reszta "Burzyka", poddana teraz ujemnemu ciśnieniu, nie rozerwie się nad nią jak mokra papierowa torebka.

Nie wiem, co się jeszcze stanie, ale chyba już naruszyłam warunki gwarancji na statek, pomyślała.

Gdy Antoinette odzyskała pewność siebie – a raczej gdy jej puls wrócił do normy – ruszyła, centymetr po centymetrze, w stronę otwartej śluzy, wlokąc ze sobą trumnę. Żmudny był to pochód, bo co kilka metrów musiała przypinać i odpinać zaczepy mocujące trumny, ale robiła to cierpliwie, bez irytacji.

Wzrok jej przywykł i dostrzegła teraz w widmie światła srebrzystoszary komponent. Światło stopniowo mętniało, przybierało barwę żelaza czy postarzałego brązu. Epsilon Eridani nie była zbyt jasną gwiazdą i teraz jej promienie przechodziły przez warstwy planetarnej atmosfery. Gdy statek będzie schodził coraz niżej, wszystko ściemnieje, aż widok zacznie przypominać dno oceanu.

Właśnie o to ojcu chodziło.

–W porządku, Bestio, dbaj o stabilny lot. Za chwilę spełnię swą powinność.

–Uważaj na siebie, panienko.

Bramy towarowe ładowni znajdowały się w różnych miejscach "Burzyka", ale ta obecnie otwarta, w dolnej części statku, była skierowana do tyłu w stosunku do kierunku lotu. Antoinette dotarła do brzegu, czubki butów wystawiła parę centymetrów za krawędź. Pozycja wydawała się niestabilna, ale Antoinette była bezpiecznie przypięta. Ciemny brzuch statku, wygięty łagodnie w stronę ogona przesłaniał widok od góry, ale w dole i po bokach nic nie zakłócało perspektywy.

–Miałeś rację, tato – szepnęła na tyle cicho, by Bestia jej nie słyszała. – To dość zadziwiające miejsce. Uważam teraz, że dokonałeś dobrego wyboru.

–Panienko?

–Nic takiego, Bestio.

Zaczęła odczepiać trumnę. Statek kiwnął się parę razy i wtedy jej żołądek się skręcał, a trumna uderzyła o słup stelaża. Jednak Bestia znakomicie się spisał, utrzymując stałą wysokość. Statek leciał teraz z prędkością znacznie poniżej prędkości dźwięku w stosunku do prądu atmosferycznego, więc Bestia musiał tylko wisieć w powietrzu, ale to wystarczyło. Wiatr już nie wiał tak szaleńczo, tylko od czasu do czasu zrywały się pojedyncze szkwały, ale właśnie tego Antoinette oczekiwała.

Teraz trumna była prawie uwolniona, gotowa do koziółkowania. Ojciec wyglądał jak człowiek, który uciął sobie drzemkę. Balsamiści dobrze go przygotowali, a kulawy mechanizm chłodzący kasety też się dobrze spisał. Aż nie do wiary, że ojciec nie żył już od miesiąca.

–Tato, myślę, że o to ci chodziło. Dotarliśmy. Więcej słów chyba nie trzeba.

Statek był na tyle uprzejmy, że się nie odzywał.

–Nadal nie wiem, czy postępuję właściwie – ciągnęła Antoinette. – To znaczy, wiem, kiedyś powiedziałeś, że tego chcesz, ale... – Przestań już. Nie wracaj więcej do tej sprawy, napomniała się.

–Panienko?

–Tak?

–Stanowczo odradza się zwłokę.

Antoinette pamiętała etykietkę na butelce piwa. Nie miała jej teraz przy sobie, ale najdrobniejsze szczegóły potrafiła odtworzyć z pamięci. Błyszczący srebrno- złoty druk wyblakł od czasu, gdy czule oderwała nalepkę z butelki, ale w jej wyobraźni nadal bajecznie się skrzył. Etykietka – tani masowy produkt – dla niej nabrała cech świętego obrazu. Antoinette miała wówczas dwanaście czy trzynaście lat, gdy po jakiejś zyskowej podróży ojciec zabrał ją do spelunki odwiedzanej przez kapitanów statków handlowych. W tamtym czasie Antoinette nie miała specjalnego doświadczenia, ale wypełniony wesołymi opowieściami wieczór uznała za udany. Pod koniec spotkania rozmawiano o pogrzebach podróżników kosmicznych, o tradycji i rozmaitych prywatnych preferencjach. Ojciec się nie odzywał, uśmiechał się tylko do siebie, gdy dyskusja przybierała to poważny, to żartobliwy ton. Nagle – ku zaskoczeniu Antoinette – wyraził własne życzenie: chciałby być pochowany w atmosferze gazowego giganta. W innych okolicznościach mogłaby to uznać za drwinę z tych wszystkich opcji, ale ojciec wypowiedział swoje życzenie tonem całkowicie poważnym i odniosła wrażenie – choć nigdy wcześniej o tym nie wspominał – że nie wymyślił tego na poczekaniu. Wtedy złożyła sobie prywatne ślubowanie: gdy ojciec kiedyś umrze, ona spełni jego życzenie, jeśli tylko będzie w stanie wszystko zorganizować. Oderwała etykietkę z butelki piwa – to było jej memento.

Przez następne lata nigdy nie wątpiła, że bez problemu dotrzyma słowa, wydawało się to łatwe, tak łatwe, że rzadko o tym myślała. Ojciec umarł i Antoinette miała spełnić obietnicę, choć może obecnie wydawała jej się ona nieco śmieszna i dziecinna. Najważniejsze jednak było wyraźne przekonanie, które tamtego wieczoru słyszała w głosie ojca. Miała wtedy zaledwie dwanaście czy trzynaście lat i może sobie to wszystko wyobraziła albo wprowadził ją w błąd poważny wyraz ojcowskiej twarzy, ale ślubowała i choć teraz wiązało się z tym tyle kłopotów, chciała słowa dotrzymać, nawet narażając życie.

Odczepiła ostatnie więzy i pchnęła trumnę, aż jedna trzecia jej długości wystawała poza krawędź śluzy. Jeszcze jedno pchnięcie i ojciec będzie miał pogrzeb, jakiego chciał.

To szaleństwo. Przez wszystkie lata po tamtej pijanej rozmowie w barze nigdy nawet nie wspominał o tym, że chce być pochowany w gazowym gigancie. Ale czy to znaczy, że wtedy nie wyraził życzenia z głębi serca? Przecież nie wiedział, kiedy umrze. Nie miał czasu na uporządkowanie swoich spraw przed śmiercią i nie miał okazji wyjaśnić, co życzy sobie, by zrobiono z jego doczesnymi szczątkami.

Szaleństwo? Owszem, ale z głębi serca.

Pchnęła trumnę poza krawędź.

Przez chwilę wydawało się, że trumna wisi w powietrzu za statkiem, jakby nie chciała rozpocząć długiego opuszczania się w nicość. Potem powoli zaczęła spadać. Koziółkowała, opóźniana przez wiatr, malała w oczach – przed chwilą miała rozmiar kciuka, a teraz już małej, ledwo dostrzegalnej kreski, wreszcie kropki, która tylko na moment odbiła słabe światło gwiazdy i zniknęła w kłębach pastelowych chmur.

Ostatni migawkowy widok i trumna zniknęła, pogrzeb się skończył.

Antoinette oparła się o wspornik. Nie spodziewała się, że po całej ceremonii spłynie na nią takie zmęczenie. Nagle poczuła ołowiany ciężar przytłaczającego ją powietrza. Nie było smutku ani łez – przedtem się wyplakała. Z czasem łzy na pewno powrócą. Teraz jednak czuła jedynie bezgraniczne wyczerpanie.

Zamknęła oczy na kilka minut.

Potem kazała Bestii zamknąć śluzę i rozpoczęła długi powrót na pokład sterowniczy.

TRZY

Ze swego punktu obserwacyjnego wewnątrz śluzy Nevil Clavain patrzył na rozwierającą się jak źrenica okrągłą część szponopodobnego kadłuba "Nocnego Cienia". Jak albinotyczne wszy wyroiły się uzbrojone proksy, pokryte pancerzami, podzielone na segmenty, z wyspecjalizowanymi odnóżami, czujnikami i bronią. Szybko przemierzyły próżnię oddzielającą ich od wrogiego statku i przywarły do niego przylgami na końcach nóg. Potem na uszkodzonej powierzchni szukały włazów i znanych słabych miejsc w statkach takiego typu.

Sunęły po przypadkowych torach jak żerujące skarabeusze. Mogłyby przejrzeć statek bardzo szybko, ale istniało ryzyko, że zabiją tych, którym udało się przeżyć w uszczelnionych strefach statku. Dlatego Clavain upierał się, by korzystały ze śluz powietrznych, choć przejście każdej maszyny przez śluzę zajmowało sporo czasu.

Niepotrzebna ostrożność. Gdy tylko pierwszy skarabeusz wszedł do środka, stało się jasne, że Clavain nie napotka ani oporu, ani uzbrojonych ocalałych. Statek był ciemny, zimny i cichy. Niemal pachniał śmiercią. Proksy sunęły ostrożnie, mijając poszczególne posterunki służbowe, a w polu widzenia pojawiały się twarze trupów. Podobne meldunki spływały od maszyn myszkujących w pozostałej części statku.

Clavain wycofał większość skarabeuszy i zbadaną przez nie drogą posłał na statek oddziałek Hybrydowców. Za pośrednictwem oczu skarabeusza oglądał pojedynczych żołnierzy wynurzających się ze śluzy. Ich pękate białe sylwetki przywodziły na myśl duchy.

Przeczesali statek. Z dodatkową, właściwą ludziom czujnością badali te same ciasne pomieszczenia, wcześniej zbadane przez proksy. Lufy broni wtykali w potencjalne kryjówki, otwierali pokrywy sprzętu, szukając ocalałych. Nikogo nie znaleziono. Ostrożnie szturchano ciała, ale żadne nie wykazało najmniejszych oznak życia – stygły, a wzorce termiczne wokół twarzy świadczyły o tym, że zgon już nastąpił, choć niedawno. Nic nie wskazywało na przyczyny tej gwałtownej śmierci.

Clavain ułożył myśl i przekazał ją Skade i Remontoire'owi, nadal pozostającym na mostku.

Wchodzę do środka. Żadnych jeśli, żadnych ale. Załatwię to szybko, bez zbędnego ryzyka.

[Nie, Clavainie]

Przykro mi, Skade, ale albo, albo. Nie jestem członkiem waszego miłego klubiku, co oznacza, że mogę chodzić, gdzie mi się podoba. Przełknij to lub wypluj, ale to część kontraktu.

[Jesteś dla nas cenny]

Będę ostrożny, przyrzekam.

Clavain odbierał irytację Skade własnym systemem emocjonalnym. Remontoire również nie zachwycał się jego decyzją.

Obydwoje należeli do Ścisłej Rady i było nie do pomyślenia, by zrobili coś równie niebezpiecznego jak wejście na pokład pojmanego okrętu wroga. Już i tak dostatecznie ryzykowali, opuszczając Matczyne Gniazdo. Inni Hybrydowcy, łącznie ze Skade, chcieli, by Clavain dołączył do Ścisłej Rady, gdzie skuteczniej wykorzystywaliby jego wiedzę i chronili go. Skade, dzięki swej władzy w Radzie, mogła znacznie utrudnić mu życie, gdyby upierał się pozostać poza tym ciałem. Mogłaby oddelegować go do symbolicznych obowiązków albo nawet odesłać na żalostną, przymusową emeryturę. Istniały również inne kary i Clavain wcale ich nie lekceważył. Zaczął nawet rozważać opcję wstąpienia do Rady. Przynajmniej poznałby odpowiedź na pewne pytania i niewykluczone, że wywarłaby pewien wpływ na swych adwersarzy.

Póki jednak nie nadgryzł tego jabłka, nadal pozostawał żołnierzem. Żadne ograniczenia go nie dotyczyły i jeśli ma postępować jak tamci, to niech go cholera weźmie.

W dalszym ciągu przygotowywał skafander. Poprzednio, jakieś trzy czy cztery stulecia temu, ten proces był znacznie szybszy i łatwiejszy: nakładało się maskę i trochę urządzeń komunikacyjnych, a potem przechodziło przez błonę z inteligentnego materiału, rozciągniętą na drzwiach wychodzących w próżnię. Przy przejściu warstwa błony otulała cię, tworząc natychmiast przylegający do skóry skafander. Podczas powrotu wchodziło się przez tę samą błonę i skafander do niej powracał, ściekając z ciała jak magiczny śluz. Dzięki temu czynność wychodzenia ze statku na zewnątrz była równie prosta jak zakładanie okularów przeciwsłonecznych. Takie techniki, jako zbyt wrażliwe na ataki, nigdy nie miały szerszego zastosowania w czasie wojen i oczywiście nie stosowano ich teraz, w epoce po zarazie, kiedy można było wykorzystywać jedynie najodporniejsze formy nanotechnologii.

Clavain obawiał się, że dodatkowy wysiłek będzie go irytował. Jednak przekonał się, że pod wieloma względami akt wkładania skafandra – wdziwanie zbrojonych płyt, rygorystyczne sprawdzanie podsystemów, przypinanie broni i czujników – dziwnie dodawało otuchy. Może dlatego, że te czynności miały charakter rytualnych gestów odstraszających pecha. A może cała procedura przypominała mu, jak się przedstawiały sprawy w jego młodzieńczych latach.

Odepchnął się nogami w kierunku wrogiego statku i opuścił śluzę. Sylwetka szponiastego statku jaśniała na tle ciemnego konturu gazowego giganta. Okręt z

pewnością był uszkodzony, ale nie miał wycieków gazu, świadczących o utracie szczelności kadłuba. Istniała nawet szansa, że ktoś ocalał. Chociaż skanowanie w podczerwieni nie dało jednoznacznych wyników, laserowe urządzenia namiarowe wykryły niewielkie ruchy całego statku w przód i w tył. Taki efekt mogły wywołać rozmaite czynniki, ale najprostszym wyjaśnieniem była obecność wewnątrz przynajmniej jednej osoby, która się ruszała, odbijając się od czasu do czasu od kadłuba. Jednak ani skarabeusze, ani zwiadowcy nie znaleźli żadnych ocalałych.

Coś przyciągnęło jego uwagę: wijąca się, bladozielona nić na tle ciemnego półksiężyca gazowego giganta. Od chwili pojawienia się okrętu Demarchistów Clavain właściwie nie myślał o frachtowcu, ale statek Antoinette Bax do tej pory nie wynurzył się z atmosfery. Najprawdopodobniej dziewczyna zginęła – a istniały tysiące sposobów, w jakie pilot mógł zginąć w atmosferze. Nie miał pojęcia, co tam robiła, i raczej nie aprobowałby tych działań. Jednak była chyba sama, a tak nie powinno się umierać w kosmosie. Clavain pamiętał, jak zignorowała ostrzeżenie szypra, i za to ją podziwiał. Bez wątpienia zachowała się dzielnie.

Energicznie wylądował na wrogim statku, amortyzując uderzenie ugięciem kolan. Podniósł się, podeszwy butów przywierały do kadłuba. Clavain obrócił się i dłonią przy przyłbicy przysłonił blask słońca. Spojrzał na "Nocny Cień". Delektował się rzadką okazją widoku własnego statku z zewnątrz. Okręt był tak ciemny, że Clavain z trudem go dostrzegwał. Potem jego implanty wzmocniły obraz statku, ujęły go w ramkę pulsującej, zielonej nakładki – o skali i odległości informowały cyfry i odcienie czerwieni. Statek był światłowcem i mógł odbywać podróże międzygwiazdne. Wysmukły kadłub zwężał się opływowo do ostrego jak igła dziobu, kształt miał sprzyjać maksymalnej wydajności w podróżach z prędkością niemal świetlną. W pobliżu najgrubszego miejsca kadłuba, zanim ponownie zaczynał się zwęzać do tępo zakończonego ogona, podczepiono parę silników na wysmukłych dźwigarach. Inne odłamy ludzkości mówiły o tych silnikach "napęd Hybrydowców", gdyż Hybrydowcy mieli monopol na ich produkcję i rozpowszechnianie. Przez stulecia udostępniali je Demarchistom, Ultrasom i innym podróżującym w kosmosie odłacom ludzkości, nie zdradzając natury zagadkowych procesów fizycznych, dzięki którym funkcjonowały te odporne na majsterkowanie napędy.

Sto lat temu wszystko się zmieniło. Praktycznie z dnia na dzień Hybrydowcy przestali wytwarzać swe silniki. Nie podali żadnych wyjaśnień, nie obiecali, że kiedykolwiek wznowią produkcję.

Od tamtego czasu istniejące silniki stały się niesłychanie cenne i były powodem przerażających aktów piractwa. Tamto wydarzenie niewątpliwie stało się pośrednio jedną z przyczyn obecnej wojny.

Clavain słyszał pogłoski, że Hybrydowcy nadal produkują silniki do własnego użytku, ale wiedział – jeśli wiedział cokolwiek o tych sprawach – że to pogłoski

falszywe. Nakaz zaprzestania produkcji był bezpośredni i obowiązywał powszechnie. Co więcej, gwałtownie spadło wykorzystanie istniejących okrętów, nawet przez jego własny odłam. Clavain nie pojmował, dlaczego wydano takie rozporządzenie. Domyślał się, że wydała je Ścisła Rada, ale dlaczego uznała to za niezbędne?

A jednak teraz Ścisła Rada zbudowała "Nocny Cień". Clavainowi powierzono prototyp podczas lotu próbnego, ale Rada niechętnie ujawniała swe sekrety. Wszystko wskazywało na to, że Skade i Remontoire wiedzieli więcej od niego, a Clavain mógłby się założyć, że Skade wie więcej od Remontoire'a. Spędziła prawie całą podróż w ukryciu, prawdopodobnie przy jakimś supertajnym sprzęcie wojskowym. Clavainowi nie udało się ustalić, czym się właściwie zajmowała.

I nadal nie miał pojęcia, dlaczego Ścisła Rada zezwoliła na budowę nowego statku. Jakiż to miało sens w tak późnym stadium wojny, kiedy wróg już ustępował? Gdyby Clavain dołączył do Rady, może nie otrzymałby odpowiedzi na wszystkie dręczące go pytania – nadal nie wchodziłby w skład Wewnętrznego Sanktuarium – ale przybliżyłby się do odpowiedzi.

Brzmiało to niemal kusząco.

Jak łatwo dałem się zmanipulować Skade i innym, pomyślał z niesmakiem i odwrócił się od widoku. Nakładka zniknęła, a on ostrożnie przeszedł do miejsca, gdzie weszli żołnierze.

Wkrótce znalazł się w trzewiach statku Demarchistów. Szedł przewodnicami i rurami, w których normalnie nie byłoby powietrza. Clavain zażądał wywiadowczego pakietu informacji na temat budowy okrętu i wyobraził sobie słabe łaskotanie, gdy wiedza pojawiła mu się w głowie. Natychmiast odniósł niesamowite wrażenie znajomości otoczenia, jakby przeżył déjà vu. Dotarł do śluzy powietrznej – okazała się za ciasna, przeszkadzał mu niezgrabny opancerzony skafander. Clavain zamknął luk za sobą, powietrze z rykiem wtargnęło do środka, a potem wewnętrzne drzwi wpuściły go do części statku, w której panowało ciśnienie. Dominujące wrażenie to ciemność. Po chwili jednak jego hełm przełączył się w tryb wysokiej czułości i nałożył na normalne pole widzenia nakładki podczerwienne i ultradźwiękowe.

[Clavain]

Jeden ze zwiadowców czekał na niego. Clavain zgiął się, tak że jego twarz znalazła się na jednej linii z twarzą kobiety, a potem podczepił się do wewnętrznej ścianki.

Co znalazłaś?

[Niewiele. Wszyscy są martwi]

Co do jednego?

Myśli kobiety dotarły do jego głowy jak kule, związłe i precyzyjne.

[Ostatnio. Żadnych zranień. Wydaje się to rozmyślne]

Żadnego ocalałego? Spodziewaliśmy się przynajmniej jednego.

[Nie ma ocalałych, Clavain]

Oferowała mu dostęp do swoich wspomnień. Przyjął je, przygotowując się psychicznie do tego, co za chwilę zobaczy.

Zobaczył widok tak nieprzyjemny, jak się obawiał, niczym scenę jakiegoś potwornego, zbiorowego samobójstwa. Żadnych śladów walki czy przymusu, żadnych oznak wahania. Załoga umarła na swoich właściwych stanowiskach służbowych, tak jakby ktoś obszedł statek i rozdał trujące pastylki. Sytuacja mogła wyglądać jeszcze okropniej: załoga zgromadziła się w jakimś centralnym pomieszczeniu, wręczono jej środki do eutanazji, a następnie wszyscy wrócili do swoich nisz. Możliwe, że potem nadal wykonywali swe zajęcia, aż do chwili, gdy szyper zarządził zbiorowe samobójstwo.

W nieważkości głowy nie zwisają bezwładnie. Nawet nie opadają szczęki. Ciała przybierają położenie i postawę mniej więcej takie jak za życia, ograniczone uprężkami albo też swobodnie dryfujące od ściany do ściany. To jedna z najbardziej niesamowitych cech wojny w kosmosie: często trudno jest odróżnić martwych od żywych.

Wszyscy martwi załoganci byli wychudzeni, jakby przez wiele miesięcy żywili się żelaznymi porcjami. Wielu z nich miało uszkodzenia skóry lub nabiegłe krwią ślady źle zagojonych ran. Może niektórzy z nich umarli już wcześniej i ich ciała wyrzucono ze statku, aby zmniejszyć jego masę i oszczędzić paliwo. Pod czapkami i hełmami wszyscy mieli jedynie siwą szczecinę. Wszystkich ubrano w podobne mundury z oznakami raczej specjalizacji technicznych niż stopni wojskowych. W ponurym oświetleniu awaryjnym ich skóra miała jednakowy szarzielony odcień.

Clavain postrzegał teraz własnym wzrokiem, jak w pole widzenia wsuwa się trup. Mężczyzna jakby płynął przez powietrze. Usta miał ledwo otwarte, oczy utkwione w nieokreślonym punkcie. Człowiek łupnął w jedną z grodzi, a Clavain poczuł słabe drgania ścianki, gdzie tkwił przyczepiony.

Clavain przetransmitował prośbę do głowy kobiety.

Umocuj tego trupa.

Kobieta spełniła prośbę. Potem Clavain rozkazał wszystkim zwiadowcom, by się przywiązali i zachowywali spokojnie. Nie było innych dryfujących trupów, więc żaden

obiekt nie powinien wpływać na ruch statku. Clavain poczekał chwilę na aktualizację z "Nocnego Cienia", który nadal obmacywał wroga laserami dalekiego zasięgu.

Początkowo nie potrafił sensownie zinterpretować obrazu: wewnątrz wrogiego statku najwyraźniej coś nadal się poruszało.

–Panienko?

Antoinette bardzo dobrze znała ten ton, który nigdy nie zapowiadał niczego dobrego. Wciśnięta w kanapę akceleracyjną wychrzakała odpowiedź zrozumiałą tylko dla Bestii.

–Coś się dzieje, prawda?

–Niestety tak, panienko. Wygląda na to, że mamy problem z głównym rdzeniem syntezy.

Bestia włączył na oknie mostka refleksyjną projekcję systemu syntezy. Obraz nałożył się na warstwy chmur, przez które pruł wspinający się z powrotem w przestrzeń “Burzyk”. Elementy silnika jądrowego wykreślono złowróżbną pulsującą czerwienią.

–Cholera. To tokamak, prawda?

–Wydaje się, że właśnie z tym mamy do czynienia, panienko.

–Pieprzyć to. Wiedziałam, że powinniśmy go wymienić podczas ostatniego generalnego.

–Uwaga na słownictwo, panienko! I grzeczne napomnienie, że co się stało, to się stało.

Antoinette uruchomiła kilka innych programów diagnostycznych, ale nie przyniosły lepszych nowin.

–To wina Xaviera – oznajmiła.

–Xaviera? Na czym polega wina pana Liu?

–Xave przysięgał, że tok przetrzyma jeszcze przynajmniej trzy podróże.

–Może i tak, panienko. Ale zanim przypiszesz zbyt wielką winę panu Liu, może powinnaś wspomnieć, że gdy opuszczaliśmy Pas Złomu, policja nakazała wyłączyć główny silnik. Twarde wyłączenie nie przysłużyło się tokamakowi. Dochodzą jeszcze uszkodzenia wibracyjne podczas wchodzenia w atmosferę.

Antoinette skrzywiła się. Czasami zastanawiała się, po czyjej stronie Bestia stoi naprawdę.

–Dobra – oznajmiła. – Na razie daruję Xavemu. Ale to chyba nie polepsza mojej sytuacji.

–Niepowodzenie jest przewidywane, panienko, ale nie całkowicie pewne.

Antoinette sprawdziła odczyty.

–Potrzebujemy dodatkowych dziesięciu klików na sekundę tylko po to, by wejść na orbitę. Wyciągniesz tyle, Bestio?

–Staram się, jak mogę, panienko.

Skinęła głową, akceptując, że tyle tylko może wymagać od swego statku. W górze chmury zaczynały rzednąć i niebo ciemniało do głębokiego, nocnego granatu. Kosmos niemal dawał się dotknąć.

Ale nadal pozostawał do przebycia kawał drogi.

Clavain obserwował, jak ze schronienia jest usuwana ostatnia skrywająca warstwa. Jeden z żołnierzy poświecił latarką w mroczną wnękę. Ocalały kulił się w rogu, zakutany w poplamiony koc termiczny. Clavain poczuł ulgę – teraz, kiedy zajęto się już tym drobnym szczegółem, statek wrogów mógł zostać bezpiecznie zniszczony i “Nocny Cień” powróci do Matczynego Gniazda.

Znalezienie ocalałego okazało się łatwiejsze niż Clavain przypuszczał. Dokładna lokalizacja zajęła jedynie trzydzieści minut. Zastosowano skanery akustyczne i biosensoryczne, stopniowo zawężając obszar poszukiwań. Potem oddarto panele i usunięto sprzęt, odsłaniając ukrytą niszę, przestrzeń o rozmiarach dwóch zestawionych szaf. Do tej części statku, zalewanej podwyższonym promieniowaniem z silników syntezy jądrowej, załoga ludzka przychodziła rzadko.

Kryjówka przypominała Clavainowi zaimprovizowany areszt, miejsce odosobnienia na statku, w którym w ogóle nie przewidywano transportu więźniów. Tego więźnia umieszczono w dziurze, potem wokół przyklejono panele i sprzęt, zostawiając jedynie przepust na powietrze, jedzenie i wodę. Dziura była zanieczyszczona. Clavain kazał swemu skafandrowi pobrać próbkę powietrza i podprowadzić odrobinę pod swój nos – cuchnęła ludzkimi odchodami. Zastanawiał się, czy więźnia zaniedbywano przez czas dłuższy, czy tylko od chwili przybycia “Nocnego Cienia”.

Pod innymi względami więźniem opiekowano się chyba należycie. Obite poduszkami ściany wnęki, miały zamontowane obręcze, które pomagały więźniowi unikać obrażeń podczas manewrów bojowych. Łączność zapewniał podłączony telefon, choć Clavain zauważył, że urządzenie przenosiło informację tylko w jedną stronę – do schowka. Leżały tam koce i resztki jedzenia. Clavain widział gorsze areszty. W niektórych z nich nawet gościł.

Pchnął myśl do głowy żołnierza z latarką:

Zdejmij z niego koc. Chciałbym zobaczyć, kogo znaleźliśmy.

Clavain ciekaw, kim okaże się więzień, pośpiesznie rozpatrywał możliwości. Nie słyszał nic o ujętych ostatnio Hybrydowcach i wątpił, czy przeciwnik zadałby sobie tyle trudu, by utrzymywać któregoś przy życiu. Ktoś z własnych szeregów nieprzyjaciela był najbardziej prawdopodobny. Może zdrajca albo dezertter.

Żołnierz zerwał koc ze skulonej postaci.

Gdy nagle dotarło doń światło, więzień – mały kształt, zwinięty w pozycji embrionalnej – pisnął i zakrył przywykłe do ciemności oczy.

Clavain patrzył zdumiony – więzień zupełnie nie odpowiadał jego wyobrażeniom. Na pierwszy rzut oka można go było wziąć za ludzkiego nastolatka, gdyż proporcje i rozmiar mniej więcej temu odpowiadały. Poza tym był nagi – nie przyodziane niczym, podobne do ludzkiego ciała, cofnęło się w głąb dziury. Na barku widniało okropne poparzenie, bruzdy i wiry z czerwieni i śmiertelnej bieli.

Clavain miał przed sobą hiperświnie – genetyczną chimerę świni i człowieka.

–Cześć – powiedział donośnie Clavain. Słowo zagrzmiało z głośnika skafandra.

Świnia poruszyła się ruchem nagłym i sprężynującym – nikt z nich nie oczekiwał czegoś takiego. Machnęła długim i metalicznym przedmiotem, trzymanym w zaciśniętej pięści, który błysnął, a jego kraniec wibrował niczym kamerton. Świnia pchnęła tym mocno w pierś Clavaina. Koniec ostrza z drzeniem przesunął się po zbroi. Zostawił jedynie cienki, błyszczący rowek, jednak trafił w miejsce przy ramieniu Clavaina, gdzie nachodziły na siebie dwie płytki. Ostrze wślizgnęło się w szczelinę, a skafander odnotował to wtargnięcie jaskrawym pulsującym sygnałem alarmowym w hełmie. Clavain rzucił się w tył, zanim ostrze zdołało przebić warstwę wewnętrzną skafandra i dotrzeć do ciała. Uderzył z trzaskiem plecami w ścianę. Broń wypadła z rąk świni i odleciała, obracając się niczym statek, który utracił sterowanie żyroskopami. Clavain rozpoznał przedmiot jako nóż piezoelektryczny – sam nosił podobny przy pasie ze sprzętem. Świnia musiała go ukraść któremuś z Demarchistów.

Clavain odzyskał oddech.

–Zacznijmy od nowa, dobrze?

Inni Hybrydowcy unieruchomili świnie. Clavain skontrolował skafander, wywoławszy wykaz uszkodzeń. Przy ramieniu nastąpiła niewielka utrata szczelności. Nie groziła mu śmierć z uduszenia, ale pomyślał o nie wykrytych kontaminantach na pokładzie wrogiego statku. Prawie odruchowo odczepił z pasa pojemnik z uszczelniaczem w spreju, wybrał średnicę dyszy i nałożył gwałtownie twardniejącą żywicę epoksydową mniej więcej wokół cięcia. Zestaliła się, tworząc węzową, szarą cystę.

Przed nastaniem ery Demarchistów, w dwudziestym pierwszym czy dwudziestym drugim stuleciu, w czasie niezbyt oddalonym od narodzin Clavaina, cała gama ludzkich genów została połączona z genami świni domowej. Chciano ułatwić transplantację organów między obydwoma gatunkami, umożliwić wzrost u świń organów nadających się do przeszczepu u ludzi. Obecnie już od stuleci istniały lepsze sposoby zastępowania i leczenia uszkodzonych tkanek, ale pozostało dziedzictwo tamtych eksperymentów. Genetyczna interwencja posunęła się za daleko – stworzono nie tylko międzygatunkową kompatybilność, ale coś całkowicie nieoczekiwanego: inteligencję.

Jednak nikt – nawet świnie – nie wiedział dokładnie, co się wydarzyło. Niewykluczone, że rozmyślnie nie próbowano podnieść ich zdolności poznawczych do poziomu ludzkiego, jednak rozwój mowy u świń z pewnością nie był przypadkiem. Nie wszystkie potrafiły się posługiwać językiem – istniały podgrupy świń o różnych zdolnościach umysłowych i wokalnych – jednak te, które mogły mówić, zostały tak zaprojektowane przez kogoś, kto dokładnie wiedział, co robi: posiadały właściwe mechanizmy gramatyczne w mózgach, miały krtanie, szczęki i płuca przystosowane do tworzenia dźwięków ludzkiej mowy.

Clavain pochylił się lekko nad więźniem.

–Rozumiesz mnie? – zapytał, najpierw w nortie, potem po kanazyjsku, głównym języku Demarchistów. – Nazywam się Nevil Clavain. Jesteś więźniem Demarchistów.

Świnia odpowiedział, jego przebudowane szczęki i krtan formowały idealne ludzkie dźwięki.

–Wszystko mi jedno, czym jestem więźniem. Odpieprz się i zdechnij.

–Akurat tych dwóch rzeczy nie mam w planach na dzisiaj.

Świnia czujnie otworzył jedno różowoczerwone oko.

–A kim, do cholery, jesteście? Gdzie tamci pozostali?

–Załoga szypra? Przykro mi, ale nie żyją.

Na tę nowinę świnia nie okazał radości.

–Zabiliście ich?

–Nie. Kiedy weszliśmy na pokład, byli już martwi.

–A wy kto?

–Jak powiedziałem, Hybrydowcy.

–Pająki... – Świnia wykrzywił swe prawie ludzkie wargi w czymś na kształt niesmaku. – Wiecie, co robię z pajakami? Szczam na nich.

–To miłe.

Clavain widział, że to prowadzi donikąd. Subwokalnie poprosił jednego z żołnierzy, by dał więźniowi środek uspokajający i zabrał go z powrotem na "Nocnego Cienia". Nie miał pojęcia, kogo lub co świnia sobą reprezentuje i jak wpakował się w spiralę końcowego etapu wojny. Dowie się więcej po przetrałowaniu świni. A medmaszyny

Hybrydowców cudownie podziałają na świńską powściągliwość.

Clavain pozostał na wrogim okręcie, a zwiadowcy ostatecznie sprawdzali, czy przeciwnik nie zostawił użytecznych informacji taktycznych. Nie było niczego – statkowe magazyny danych opróżniono do czysta. Równoległe poszukiwania nie wykryły żadnych technologii, których Hybrydowcy by dobrze nie znali, ani broni, wartych przywłaszczenia. Standardowa procedura w takich wypadkach przewidywała zniszczenie przeszukanego okrętu, by nie dostał się ponownie w ręce wroga.

Clavain rozważał, jak najlepiej zlikwidować okręt – pocisk czy ładunek niszczący? – kiedy poczuł obecność Remontoire'a.

[Clavain?]

O co chodzi?

[Odbieramy ogólne wezwanie pomocy od frachtowca]

Antoinette Bax? Myślałem, że nie żyje.

[Żyje, ale może wkrótce przestanie. Jej statek ma problemy z silnikiem, zdaje się, że awaria tokamaka. Nie osiągnęła prędkości ucieczki ani nie zdołała wskoczyć na orbitę]

Clavain skinął głową bardziej do siebie niż do Remontoire'a. Wyobraził sobie trajektorię, na której musiał się znajdować "Burzyk". Być może jeszcze nie osiągnęła wierzchołka tej paraboli, ale wcześniej czy później Antoinette Bax zacznie powrotny ześlizg ku warstwie chmur. Wyobraził sobie również stopień desperacji, która doprowadziła ją do wysłania ogólnego wezwania o pomoc, gdy jedynym statkiem w pobliżu był okręt Hybrydowców. Doświadczenie Clavaina wskazywało, że większość pilotów wolałaby śmierć od pochycenia przez pająki.

[Clavain... zdajesz sobie sprawę, że nie możemy potwierdzić przyjęcia jej sygnału]

Zdaje sobie sprawę.

[Powstałby precedens. Poparlibyśmy w ten sposób działania nielegalne. W najlepszym razie nie mielibyśmy innego wyjścia, jak ją zwerbować]

Clavain znowu skinął głową, myśląc o więźniach, miotających się z wrzaskiem, gdy wiedziono ich do sal werbowniczych Hybrydowców, gdzie pompowano im głowy do pełna neuronowymi mechanizmami. Bali się niepotrzebnie – sam wiedział o tym najlepiej, bo on sam kiedyś się temu opierał. Ale rozumiał ich uczucia.

I zastanawiał się, czy chce przerazić w ten sposób Antoinette Bax.

Nieco później Clavain dostrzegł jasnoniebieską iskrę, gdy wrogi statek uderzył w atmosferę gazowego giganta. Porę wybrano przypadkowo, ale statek uderzył po ciemnej stronie i gdy pogrążał się coraz głębiej, oświetlał kolejne warstwy chmur fioletowymi pulsującymi błyskami. To było piękne, robiło wrażenie, i przez chwilę Clavain pragnął pokazać zjawisko Galianie, bo właśnie takie widowisko sprawiłoby jej radość. Pochwaliłaby również tę metodę niszczenia – nie tak marnotrawną jak pocisk czy ładunek destrukcyjny. Clavain przymocował po prostu do statku trzy rakiety ciągnikowe z "Nocnego Cienia", które przyssały się do kadłuba niczym podnawki. Ciągniki podprowadziły wrogi statek do gazowego giganta i zwolniły go wówczas, gdy zaledwie minuty dzieliły go od wejścia w atmosferę. Statek wchodził pod ostrym kątem i spalał się imponująco.

Ciągniki wracały teraz, ostro przyspieszając, by dogonić "Nocny Cień", lecący już ku Matczynemu Gniazdu. Powrót ciągników zamyka operację, pozostanie tylko kwestia więźnia, ale los świni nie wymagał pilnego rozstrzygnięcia. A Antoinette Bax... cóż, bez względu na motywy Antoinette, Clavain podziwiał jej dzielność – Bax nie tylko wleciała daleko w strefę działań wojennych, ale też bezczelnie zignorowała ostrzeżenie szypra oraz – kiedy stało się to niezbędne – zdobyła się na odwagę, by poprosić Hybrydownców o pomoc. Musiała wiedzieć, że to prośba nierozsądna; że nielegalnie wlatując w strefę działań wojennych, zaprzepaściła swoje prawo do pomocy i że okręt wojenny prawdopodobnie nie będzie tracił czasu, by udzielić wsparcia. Musiała też wiedzieć, że nawet jeśli Hybrydowncy ocala jej życie, karą za jej postępowanie będzie wcielenie do ich szeregów, co machina propagandowa Demarchistów przedstawiała jako niesłychaną okropność.

Nie. Nie mogła rozsądnie liczyć na pomoc, ale dzielnie z jej strony, że o nią poprosiła.

Clavain westchnął, niemal czując do siebie wstręt. Wydał neutralną komendę "Nocnemu Cieniowi", by nawiązał kontakt zwartą wiązką z uszkodzonym frachtowcem. Po nawiązaniu połączenia głośno przemówił:

–Antoinette Bax... mówi Nevil Clavain. Jestem na statku Hybrydownców. Słyszysz mnie pani?

Pojawiło się już opóźnienie w rozmowie i sygnał powrotny był nędznie zogniskowany. Głos dziewczyny brzmiał tak, jakby dobiegał z najdalszego kwazara.

–Czemu mi teraz odpowiadasz, sukinsynu? Zostawiłeś mnie, bym zginęła.

–Jestem ciekaw, to wszystko. – Wstrzymał oddech, na poły spodziewając się, że

żadna odpowiedź nie nadejdzie.

–Ciekaw czego?

–Ciekaw, co skłoniło panią do proszenia nas o pomoc. Nie bała się pani tego, co pani zrobimy?

–Czemu miałabym się bać?

Mówiła nonszalancko, ale Clavaina nie zwiodła.

–Na ogół asymilujemy schwytanych jeńców. Zabralibyśmy panią na pokład i wpuścili pani do mózgu nasze maszyny. Nie przejmuję się tym pani?

–Owszem, ale powiem ci, czym się bardziej przejmuję w tej chwili: że pieprznę w tę kurewską planetę.

–To pragmatyczne podejście, pani Bax. Podziwiam je.

–Dobrze. Czy teraz się odwalisz i dasz mi umrzeć w spokoju?

–Antoinette, posłuchaj mnie uważnie. Jest coś, co chciałbym, żebyś natychmiast zrobiła.

Musiała usłyszeć zmianę tonu w jego głosie, chociaż nadal była podejrzliwa.

–Co takiego?

–Każ statkowi wysłać do mnie własny projekt techniczny. Chcę mieć dokładne odwzorowanie wytrzymałości strukturalnej kadłuba. Twarde punkty, takie rzeczy. Jeśli namówisz kadłub, by pokolorował obszary maksymalnych naprężeń, tym lepiej. Chciałbym wiedzieć, gdzie mogę bezpiecznie przyłożyć obciążenie i nie przełamać twego statku.

–W żaden sposób nie zdołasz mnie ocalić. Jesteś zbyt daleko. Nawet gdybyś teraz zawrócił, byłoby za późno.

–Istnieje sposób, wierz mi. A teraz proszę o dane, albo zaufam swemu instynktowi, a to może nie najlepsze rozwiązanie.

Przez chwilę nie odpowiadała. Czekał, drapiąc się w brodę, i odetchnął dopiero, gdy poczuł potwierdzenie, że "Nocny Cień", załadował dane. Przeskanował transmisję na wirusy neuropatyczne i wpuścił ją do swej czaszki. Wszystko, co potrzebował wiedzieć o frachtowcu, zakwitło mu w głowie, stłoczone w pamięci krótkoterminowej.

–Bardzo dziękuję, Antoinette. Właśnie o to mi chodziło.

Wysłał polecenie do jednego z powracających ciągników.

Traktor odłączył się od swych braci z przyśpieszeniem końca bicza, i wykonał ostry nawrót – gdyby wioził organicznych pasażerów, zostałyby z nich papka. Clavain upoważnił ciągnik do przekroczenia wszelkich wewnętrznych granic bezpieczeństwa i usunął w nim wymóg zachowania dostatecznej ilości paliwa na bezpieczny powrót do "Nocnego Cienia".

–Co masz zamiar zrobić? – spytała Bax.

–Wysyłam z powrotem dronę. Przyczepi się do twojego kadłuba i wyciągnie cię w czysty kosmos, poza studnię grawitacyjną jowiszowca. Każę ciągnikowi łagodnie popchnąć cię w kierunku Yellowstone, ale obawiam się, że od tej pory musisz radzić sobie sama. Mam nadzieję, że naprawisz tokamak, w przeciwnym razie czeka cię bardzo długie spadanie do domu.

Wydawało się, że sens jego słów dociera do Antoinette całą wieczność.

–Nie chcecie wziąć mnie jako jeńca?

–Dzisiaj nie, Antoinette. Ale jeśli kiedyś nasze drogi znów się skrzyżują, obiecuję ci jedno: zabiję cię.

Nie bardzo bawiła go ta groźba, ale miał nadzieję, że wbije w dziewczynę trochę rozsądku. Przerwał połączenie, zanim zdołała odpowiedzieć.

CZTERY

Na planecie Resurgam, w budynku w Cuvier, przy oknie stała kobieta, tyłem do drzwi. Dłonie spłotła mocno za plecami.

–Następny – powiedziała.

Czekała, aż przywłoką kolejnego podejrzanego. Podziwiała widok – wspaniałą i kojący. Pochylające się nad ulicą okna sięgały od podłogi do sufitu. Funkcjonalne budowle odchodziły we wszystkich kierunkach – piętrzące się sześciany i prostokąty. Bezlitośnie prostokreślne konstrukcje wzbudzały poczucie miażdżącej jednorodności i podporządkowania – umysłowe falowody do tłumienia bardziej radosnych czy wzniosłych myśli.

Jej biuro – zaledwie pokój w znacznie większym Domu Inkwizycji – znajdowało się w przebudowanej części Cuvier. Zapiski historyczne – inkwizytor nie była świadkiem tamtych wydarzeń – wskazywały, że budynek stał prawie bezpośrednio nad terenem zerowym, gdzie Potopowcy Słusznej Drogi zdetonowali pierwsze ze swoich urządzeń terrorystycznych. Ze skutecznością rzędu dwóch kiloton, bomba z antymaterii wielkości główki od szpilki nie mogła konkurować z innymi narzędziami destrukcji, które inkwizytor napotkała w swym życiu, liczyła się jednak nie wielkość broni, ale to, co nią zrobiono.

Terrorystyci nie mogli wybrać bardziej wrażliwego celu i skutki okazały się katastrofalne.

–Następny – powtórzyła inkwizytor, tym razem trochę głośniej.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem na szerokość dłoni.

–To wszystko na dzisiaj, psze pani – odezwał się stojący na zewnątrz strażnik.

Oczywiście – teczka Iberty była ostatnią ze stosu.

–Dziękuję – odpowiedziała inkwizytor. – Czy słyszał pan może coś nowego na temat śledztwa w sprawie Ciernia?

Strażnik odpowiedział z odrobiną skrępowania, gdyż przekazywał informacje między współzawodniczącymi wydziałami rządowymi:

–Zdaje się, że zwolnili mężczyznę po przesłuchaniu. Miał niezbite alibi, choć wydobyto to dopiero po pewnej perswazji. Chyba był z kobietą, ale nie z żoną. – Strażnik wzruszył ramionami. – Zwykła historia...

–I, jak sobie wyobrażam, zwykła perswazja – parę nieszczęśliwych upadków ze schodów. Nie ma dodatkowych tropów prowadzących do Ciernia?

–Są równie daleko od jego złapania, jak pani od złapania triumwira. Przepraszam. Wie pani, co chcę powiedzieć.

–Taaak... – Dwuznacznie przeciągnęła to słowo.

–Czy to wszystko, psze pani?

–Na razie tak.

Drzwi zamknęły się, skrzypiąc.

Kobieta, do której oficjalnie zwracano się inkwizytor Vuilleumier, znowu obserwowała widok miasta. Delta Pawia świeciła nisko na niebie i zaczynała barwić ściany budynków odcieniami rdzy i oranżu. Zapadał zmrok i kobieta wróciła wspomnieniami do Chasm City i do wcześniejszego okresu na Krańcu Nieba. Zawsze o zmierzchu zastanawiała się, czy lubi to miejsce. Niedługo po przybyciu do Chasm City spytała mężczyznę zwanego Mirabel, czy kiedyś uznał, że miasto mu się podoba. Mirabel pochodził z Krańca Nieba tak jak ona. Oznajmił, że jakoś przyzwyczał się do miasta. Wątpiła w jego słowa, ale w końcu okazało się, że miał słusność. Jednak dopiero gdy siłą wypchnięto ją z Chasm City, zaczęła je wspominać z niejakim sentymentem.

Na Resurgamie nigdy nie osiągnęła takiego stanu.

Światła przydzielanych przez rząd samochodów elektrycznych płynęły między domami jak srebrne rzeki. Odwróciła się od okna i przeszła przez gabinet do swego prywatnego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi.

Względy bezpieczeństwa wymagały, by pokój nie miał okien. Usiadła w wyściełanym fotelu za rozległym, podkowiastym biurkiem. Był to stary sekretarzyk, którego martwe cybernetyczne trzewia wyrzucono i zastąpiono systemami znacznie prymitywniejszymi. Dzbanek nieświeżej, ciepłej kawy stał na podgrzewanej spirali w końcu biurka. Z brzęczącego wentylatora elektrycznego wydobywał się zapaszek ozonu.

Przy trzech ścianach, włącznie z tą, zza której inkwizytor przyszła, stały półki pełne oprawionych raportów, opisujących wysiłki ostatnich piętnastu lat. Byłoby absurdem poświęcać energię całego rządowego wydziału na łapanie pojedynczego człowieka: kobiety, o której nie wiadomo z całą pewnością ani czy żyje, ani czy znajduje się na Resurgamie. Dlatego biuro inkwizytora polecono zbieranie informacji o zewnętrznych zagrożeniach. Jednak sprawa triumwira, ciągle otwarta, stanowiła najbardziej znane zadanie biura, tak jak problem ujęcia Ciernia i rozmontowanie dowodzonego przez

niego ruchu zdominował pracę sąsiedniego Wydziału Zagrożeń Wewnętrznych. Choć upłynęło ponad sześćdziesiąt lat od zbrodni triumwira, wysocy oficjele nadal porykiwali, domagając się aresztowania i procesu tej kobiety. Wykorzystywali całą sprawę do zogniskowania publicznych emocji, które w innym wypadku mogłyby się skierować przeciwko rządowi. To jedna z najstarszych sztuczek sterowania tłumem – dostarczenie mu przedmiotu nienawiści. Inkwizytor miał wiele innych spraw, którymi zajmowałby się chętniej od ścigania przestępcy wojennego, lecz gdyby wydział nie wykazał należytego entuzjazmu w tej kwestii, przejąłby ją inny wydział, a do tego nie można było dopuścić. Istniało pewne, choć bardzo niewielkie prawdopodobieństwo, że temu nowemu wydziałowi by się powiodło.

Tak więc inkwizytor utrzymywała fikcję. Sprawa triumwira pozostawała legalnie otwartą, gdyż triumwir była Ultrasem i dlatego należało zakładać, że choć od czasów jej działalności kryminalnej upłynęło tyle lat, ona żyje nadal. Istniały listy dziesiątek tysięcy potencjalnych podejrzanych, transkrypcje tysięcy przesłuchań. Setki życiorysów i raportów z innych spraw. Pewne indywiduala, w sumie kilkanaście osób, zasługiwały na większość półki. A to był tylko ułamek archiwum – papiery, które musiały się znajdować bezpośrednio pod ręką. Na dole w piwnicach i w miejscach rozsianych po całym mieście dokumentacja zajmowała wiele kilometrów półek. Wspaniała i przeważnie utajniona sieć poczty pneumatycznej pozwalała na przrzucanie teczek z jednego biura do drugiego w ciągu zaledwie kilku sekund.

Na biurku kobiety leżało parę otwartych teczek. Różne nazwiska objęto kółkiem, podkreślono lub połączono liniami niczym pajęczą siecią. Do raportów przypięto zszywkami fotografie, rozmazane twarze wyłowione z tłumy przy użyciu długoogniskowych obiektywów. Inkwizytor przrzuciła te teczki; musiała sprawiać przekonujące wrażenie, że rzeczywiście idzie po tych widocznych tropach. Musiała wysłuchiwać agentów operacyjnych i analizować fragmentaryczne wiadomości od informatorów. Musiała całym postępowaniem wskazywać, że rzeczywiście bardzo jej zależy na znalezieniu triumwira.

Coś zwróciło jej uwagę. Coś na czwartej, pozbawionej półek ścianie.

Ściana ukazywała Resurgam w rzucie Mercatora. Mapa odzwierciedlała bieżący postęp terraformowania Resurgamu. Do nieustępliwych szarości, brązu i bieli, dominujących przed stuleciem, dołączyły małe niebieskie i zielone kleksy. Cuvier pozostawał największym osiedlem, ale obecnie kilkanaście placówek osiągnęło rozmiary miasteczek. Linie siewa łączyły większość z nich; pozostałe połączono kanałami, drogami lub rurociągami towarowymi. Było trochę lądowisk, ale brakowało samolotów i regularne podróże odbywali przede wszystkim oficjele rządowi. Do mniejszych osiedli – stacji klimatu i kilku nadal działających stanowisk wykopaliskowych – można było dotrzeć sterowcem lub terenowym łązikiem, ale podróże ciągnęły się tygodniami.

Teraz w północnowschodnim rogu mapy, setki kilometrów od miejsc, o których ktokolwiek coś słyszał, migало czerwone światełko. Zgłaszał się agent operacyjny. Agentów identyfikowano po ich numerach kodowych, mrugających przy plamce wskazującej położenie nadawcy.

Agent operacyjny Cztery.

Inkwizytor poczuła, jak jej krótkie czarne włosy na głowie stają dęba. Już od bardzo, bardzo dawna nie otrzymywała żadnych meldunków od agenta operacyjnego Cztery.

Wklepała do biurka zapytanie, dziobiąc pojedynczo w sztywne czarne klawisze. Poprosiła biurko, by sprawdziło, czy agent operacyjny Cztery jest obecnie dostępny. Wydruk z biurka potwierdził, że czerwone światełko włączyło się dopiero przed dwiema godzinami. Agent nadal znajdował się przy odbiorniku i oczekiwał odpowiedzi inkwizytora.

Inkwizytor podniosła z biurka czarny, ślimaczy nagłownik telefonu i przycisnęła do skroni.

–Łączność – powiedziała.

–Tu łączność.

–Połączcie mnie z agentem operacyjnym Cztery. Powtarzam: agent operacyjny Cztery. Protokół trzy.

–Niech się pani nie rozłącza. Nawiązuję. Jest połączenie.

–Zabezpieczenie.

Usłyszała, jak przydźwięk linii został lekko zmodulowany, gdy funkcjonariusz łączności wypadł z pętli. Nadsluchiwała – tylko syk.

–Cztery?... – szepnęła.

Nastąpiła dręcząca cisza, zanim nadeszła odpowiedź.

–Mówi się. – Głos był słaby, gubił się w zakłóceniach.

–Dawno cię nie słyszałam, Czwórka.

–Wiem. – To był kobiecy głos, bardzo dobrze znany inkwizytor. – Jak się pani wie, Inkwizytor Vuilleumier?

–Sukcesy i niepowodzenia, jak zwykle w pracy.

–Znam to uczucie. Musimy się spotkać, pilnie i osobiście. Czy twoje biuro nadal zachowało swoje drobne przywileje?

–W pewnych granicach.

–Wobec tego sugeruję, byś w pełni ich nadużyła. Znasz moje obecne położenie. Siedemdziesiąt pięć klików na południowy zachód ode mnie jest małe osiedle o nazwie Solnhofen. Mogę tam dotrzeć w ciągu dnia i będę w... – Podała inkwizytor namiary gospody.

Inkwizytor wykonała w pamięci rutynowe obliczenia. Dotarcie do Solnhofen siewem i drogami zabierze dwa do trzech dni. Siewem i sterowcem będzie szybciej, ale to zwróci uwagę: sterowce rutynowo nie odwiedzały Solnhofen. Samolotem można łatwo osiągnąć cel w ciągu półtora dnia, nawet gdyby się leciało dłuższą drogą, omijając fronty atmosferyczne. Zwykle w wypadku nagłej prośby agenta operacyjnego nie zawahałaby się przed wyborem samolotu. Ale to był operacyjny Cztery. Nie mogła sobie pozwolić na przyciągnięcie nadmiernego zainteresowania. Ale, zreflektowała się, zrezygnowanie z samolotu będzie miało dokładnie taki skutek. Trudna decyzja.

–Czy to naprawdę takie pilne? – zapytała inkwizytor, znając z góry odpowiedź.

–Oczywiście. – Kobieta wydała kurzy, gdaczący dźwięk. – Nie dzwoniłabym w innym wypadku.

–I to dotyczy jej... triumwira?

Inkwizytor odniosła wrażenie, że słyszy uśmiech w odpowiedzi agenta operacyjnego.

–Kogóżby innego?

PIĘĆ

Kometa nie miała nazwy. Być może kiedyś skatalogowano ją i zaklasyfikowano, ale nikt tego nie pamiętał i z pewnością informacje o niej nie znajdowały się w publicznych bazach danych. Żadnego nadajnika nigdy nie zakotwiczone na jej powierzchni; żadni Porywacze nigdy nie wczepili się w nią i nie wyciągnęli próbek rdzenia. Niczym się nie wyróżniała – po prostu jeszcze jeden obiekt w ogromnym roju zimnych dryfujących ciał. Takich ciał były miliardy; powoli, nie niepokojone, krążyły po stabilnych orbitach wokół Epsilon Eridani. Z rzadka potężniejsza perturbacja któregoś z większych światów układu wyrwała kilkoro członków roju i wysyłała ich ku planetom wewnętrznym, na orbity ocierające się o słońce. Jednak dla przeważającej części komet przyszłość to tylko dalsze okrążanie Epsilon Eridani do chwili, gdy samo słońce napęcznieje. Do tego czasu ciała te pozostaną uśpione, nieznośnie zimne i spokojne.

Kometa była spora, ale nic nadzwyczajnego – istniał milion większych od niej. Zmrożona kula niemal czarnego, zanieczyszczonego lodu; luźna beza z metanu, tlenku węgla, azotu i tlenu, z żyłkami silikatów, węglowodorów jak sadza i kilku rodzajów organicznych makromolekuł, połyskujących fioletem i szmaragdem. Przed kilkoma miliardami lat, gdy galaktyka była młodsza i spokojniejsza, utworzyły one piękne, załamujące światło pokłady krystaliczne. Większość powierzchni komety była jednak smoliście czarna. Z tej odległości Epsilon Eridani wydawała się tylko trwałym błyskiem na niebie, trzynaście godzin świetlnych stąd, niewiele bliższa od jaśniejszych gwiazd.

Ale ludzie kiedyś przybyli na kometę.

Przylecieli eskadrą ciemnych statków kosmicznych z ładowniami pełnymi maszyn transformujących. Owinęli kometę błoną przezroczystego plastiku, niczym pianą trawiającej śliny. Plastik usztywnił luźną strukturę komety. Przy pobieżnym oglądzie pozostawał niewykrywalny. Odbity promień radaru czy skanowania spektroskopowego niewiele tylko różnił się od normy dla takich ciał i mieścił się w granicach oczekiwanego błędu demarchistowskich przyrządów pomiarowych.

Gdy kometę zawarto już mocno w plastikowej skorupie, zaczęto redukować jej obroty. Rakiety jonowe, zmyślnie umieszczone na jej powierzchni, powoli wykrwawiały ją z momentu obrotowego. Dopiero gdy osiągnięto rezydującą prędkość kątową, wystarczającą tylko do zmylenia obserwatora, rakiety jonowe uciszono i z powierzchni usunięto całą instalację.

Wtedy ludzie już pracowali we wnętrzu komety. Wydrążyli ją i ubili osiemdziesiąt procent masy w ciekłą twardą skorupę pod skorupą zewnętrzną. Powstała komora – idealna kula o średnicy piętnastu kilometrów. Ukryte szyby prowadziły do komory z

kosmosu, ich szerokość umożliwiały przyjęcie średniego statku kosmicznego, jeśli tylko wykonywał manewry wystarczająco zręcznie. Doki i stocznie remontowe pstrzyły dno komory na podobieństwo gęstych skupisk drapaczy chmur. Wnętrze usiano maszynami krioarytmicznymi, przypominającymi czopy wulkaniczne. Ogromne chłodziarki kwantowe wysysały ciepło z lokalnego wszechświata zgodnie z komputerowo zaprogramowanym harmonogramem.

Clavain często wlatywał do wnętrza i ze spokojem przyjmował gwałtowne korekty kursu, w celu uniknięcia kolizji z wirującą łupiną komety. Przynajmniej wmawiał sobie ten spokój, a w istocie zawsze wstrzymywał oddech, póki nie znalazł się bezpieczny w środku lub na zewnątrz. Te operacje przypominały mu dawanie nura pod opadającą kratę w bramie twierdzy. W przypadku statku tak dużego jak "Nocny Cień" korekty kursu były jeszcze gwałtowniejsze niż zwykle.

Powierzył tę operację komputerom "Nocnego Cienia". Wiedziały dokładnie, co trzeba robić, i wejście należało do dobrze określonych zadań, które komputery wykonywały lepiej niż ludzie, nawet z odłamu Hybrydowców.

Nagle wszystko się uspokoiło i był w środku. Widok wnętrza komety jak zawsze przyprawiał go o zawrót głowy. Wkrótce po ukończeniu pierwszych prac wydrążoną skorupę napełniono ruchomą maszyną – wielkim zagnieżdżonym mechanizmem zegarowym pędzących kół, najbardziej przypominającym fantastycznie skomplikowaną sferę armilarną.

Clavain spoglądał na militarną twierdzę swego ludu – na Matczyne Gniazdo.

Zbudowano je z pięciu warstw. Cztery wewnętrzne zaprojektowano tak, by symulowały ciążenie wzrastające skokowo o pół g. Każda warstwa składała się z trzech pierścieni o niemal równych średnicach; płaszczyzna każdego pierścienia odchyłała się o sześćdziesiąt stopni od płaszczyzny swego sąsiada. W dwóch węzłach trzy pierścienie przechodziły obok siebie i zanurzały się w sześciokątnej konstrukcji. Konstrukcje te wykorzystywano do transportu między pierścieniami, umieszczono tam również sterowniki całej warstwy mechanizmów. Każdy pierścień wślizgiwał się przez szczeliny w konstrukcjach węzłowych, utrzymywany przez beztarciowe pola magnetyczne. Same pierścienie wyglądały jak ciemne taśmy usiane miriadami okienek i gdzieś tam większymi oświetlonymi przestrzeniami.

Najbardziej zewnętrzna trójka pierścieni miała średnicę dziesięciu kilometrów i generowała ciążenie dwóch g. W odległości kilometra ku ich centrum obracała się mniejsza trójka pierścieni, symulując półtora g. Dalszy kilometr ku środkowi układu zajmowała trójka z ciążeniem jednego g, złożona z najgrubszych i najgęściej zaludnionych pierścieni; to tu głównie spędzali czas Hybrydowcy. W tej trójcy była zagnieżdżona trójka z połową g, otaczająca z kolei nieruchomą centralną kulę. Kulę – rdzeń z zerowym ciążeniem, uszczelnioną bańkę o średnicy trzech kilometrów,

napakowaną zielenią, lampami słonecznymi i różnymi nisząmi – mikrohabitacjami. Właśnie tam bawiły się dzieci i tam starsi Hybrydowncy przychodzili, by umrzeć. W tym miejscu większość czasu spędzała Felka.

“Nocny Cień” wyhamował i zatrzymał się względem najbardziej zewnętrznej trójcy. Z wirujących pierścieni wylaniały się już pojazdy obsługujące. Clavain czuł wstrząsy, gdy holowniki przypinały się do kadłuba “Nocnego Cienia”. Kiedy już zejdzie z pokładu, jego statek zostanie odholowany do stoczni, na ścianach komory. Stało tam już wiele statków – wydłużone, czarne sylwetki, zaczepione w labiryncie maszyn wspomagających i systemów naprawczych, przeważnie mniejsze od statku Clavaina. Nie było tam pojazdów naprawdę dużych.

Clavain opuścił statek jak zwykle z lekkim niepokojem, że nie wykonał należycie zadania. Minęło wiele lat, zanim sobie uświadomił, skąd się bierze takie poczucie: powodowało je zachowanie bliźnich Hybrydownców. Opuszczali statek, nic do siebie nie mówiąc, choć czasami spędzali razem miesiące w niebezpiecznej misji.

Zrobotyzowany prom zabrał go z jednej z kadłubowych śluz. Prom był pionowym pudłem z dużymi oknami, przycupniętym na prostopadłościennym podstawie z mnóstwem rakiet i wirnikowych dmuchaw. Clavain wszedł, obserwując, jak z sąsiedniej śluzy odlatuje większy prom. Zobaczył w nim Remontoire'a z dwoma innymi Hybrydowncami i więźniem z okrętu Demarchistów. Świnie, bezwładnego i nie stawiającego oporu, można było z daleka wziąć za więźnia – człowieka. Przez chwilę Clavain sądził, że świnia wykazuje chęć współpracy, ale nie rozpoznał błysku korony pacyfikacyjnej owiniętej wokół czaszki więźnia.

Świnie przetrąlowali w drodze powrotnej do Matczynego Gniazda, ale nie dowiedzieli się nic szczególnego. Wspomnienia świni zostały silnie zablokowane – nie na modłę Hybrydownców, lecz prymitywnie, na czarnym rynku. Tę praktykę, powszechną wśród kryminalnego podziemia Chasm City, stosowano po to, by do obciążających wspomnień nie dotarli ferrisvillscy stróże prawa: syreny, kosy, drylerzy czy wywabiacze. Clavain nie wątpił, że blokady te można rozmontować przy użyciu technik śledczych, którymi dysponowało Matczyne Gniazdo. Jednak dotychczas dowiedział się tylko, że wpadł im w ręce drobny świni- przestępca ze skłonnościami do gwałtu, prawdopodobnie związany z większymi świńskimi gangami, operującymi w obszarze wokół Yellowstone i Pasa Złomu. Gdy złapali go Demarchiści, świnia nie robił nic godnego pochwały, ale świnie często łamały prawo.

Clavain nie miał do hiperświń jakiegoś szczególnego stosunku emocjonalnego. Spotkał ich wiele i wiedział, że mają równie złożoną moralność jak ludzie, którym w założeniu miały służyć, i że każdą świnie należy osądzać indywidualnie. Świnia z przemysłowego księżycy Ganeśa trzykrotnie ocaliła mu życie podczas kryzysu kordonowego Siva – Parwati w 2358 roku. Dwadzieścia lat później na księżycu Irravela, krążącym wokół Fand, grupa świń – zbójów pojmała jako zakładników ośmiu

żołnierzy Clavaina, a kiedy ci odmówili ujawnienia sekretów Hybrydownców, porywacze zjedli ich żywcem. Tylko jeden z Hybrydownców uciekł, a Clavain przyswoił sobie jego bolesne wspomnienia. Nosił je teraz w sobie, ukryte w najbardziej zamkniętej partycji umysłu, by nie mogły zostać przypadkowo odblokowane. Ale nawet te wydarzenia nie wywołały u niego nienawiści do świń jako gatunku.

Nie był pewien, czy to samo dotyczyło Remontoire'a. Głęboko w przeszłości Remontoire'a tkwiły jeszcze straszliwsze i dłuższe epizody: został wzięty do niewoli przez świńskiego pirata Siódemkę. Siódemka był jednym z najwcześniejszych hiperświń i jego umysł pokrywały psychotyczne blizny wadliwych ulepszeń neurogenetycznych. Schwycił Remontoire'a i izolował go od umysłowej wspólnoty innych Hybrydownców. Już samo to było wystarczającą torturą, ale Siódemka nie omieszkała zastosować innych, starszych rodzajów tortur i robił to wprawnie.

W końcu Remontoire uciekł, a świnia umarł. Clavain wiedział jednak, że jego przyjaciel nadal nosi w umyśle głębokie rany, które od czasu do czasu dawały o sobie znać. Clavain obserwował bardzo uważnie Remontoire'a, gdy ten wstępnie trałował świnie. Miał pełną świadomość, że sama ta procedura może łatwo stać się rodzajem tortury. I choć Remontoire nie zrobił absolutnie nic niewłaściwego – w istocie swoje śledztwo prowadził niemal delikatnie – Clavain miał złe przeczucia.

Patrzył na oddalający się prom z przekonaniem, że jeszcze usłyszy coś o świni i że konsekwencje schwytania świni jeszcze go osiągną. Potem zganił się za te głupstwa. Przecież to tylko świnia.

Wydał neutralne polecenie prostej podosobie promu: nastąpił wstrząs, oddzielili się od ciemnego, wielorybiego kadłuba "Nocnego Cienia". Prom pośpiesznie zwoził go do wnętrza. Mknęli przez wielki pędzący mechanizm wirówkowych pierścieni ku zielonemu sercu bezgrawitacyjnego rdzenia.

Tę twierdzę – Matczyne Gniazdo – zbudowano dopiero niedawno. Zawsze istniał pewien rodzaj Matczynego Gniazda, lecz we wczesnych fazach wojny było to tylko największe z wielu zakamuflowanych obozowisk. Dwie trzecie Hybrydownców mieszkały w mniejszych bazach rozsianych po całym układzie. Wiązały się z tym specyficzne problemy. Godziny świetlne rozdzielały poszczególne grupy i linie komunikacyjne między nimi były narażone na podsłuch. Nie można było rozwinąć strategii w czasie rzeczywistym, stan umysłu grupowego też nie dał się rozciągnąć na parę gniazd. Hybrydowncy, rozczłonkowani i nerwowi, podjęli decyzję wchłonięcia mniejszych gniazd w jedno wielkie Matczyne Gniazdo, mając nadzieję, że korzyść z centralizacji przeważy niebezpieczeństwa z nią związane.

Z perspektywy czasu decyzję należało ocenić jako ogromny sukces.

Prom zwolnił, zbliżając się do membrany rdzenia zerowego ciężenia. Zielona kula

przytłaczała Clavaina. Świeciła własną łagodną poświatą jak zielonkawa miniaturowa planeta. Prom z beknięciem przedostał się przez membranę z próżni w gaz.

Clavain opuścił okno, by atmosfera rdzenia zmieszała się z powietrzem promu. Zapachy roślinne drażniły mu nos. Chłodne, świeże i wilgotne powietrze pachniało jak las po gwałtownej porannej burzy. Choć odwiedzał rdzeń przy niezliczonych okazjach, zapach przypominał Clavainowi nie te poprzednie wizyty, lecz dzieciństwo. Nie miał pewności, kiedy to było i gdzie, lecz bez wątpienia spacerował po tak pachnącym lesie. Gdzieś na Ziemi – może w Szkocji.

W rdzeniu nie było ciężenia, jednak roślinność wypełniająca przestrzeń nie unosiła się swobodnie. Od jednego do drugiego krańca kuli ciągnęły się dębowe konary długie na trzy kilometry. Losowo rozgałęziały się i łączyły, tworząc drewniany, przyjemnie skomplikowany cytoszkielec. Tu i ówdzie wybrzuszały się, obejmując zamknięte puste przestrzenie, które jarzyły się pastelowym światłem latarni. Gdzieś tam pajęczyna mniejszych lin tworzyła sieć konstrukcyjną, na której kotwiczyła zieleń. Rury nawadniające i przewody z substancjami odżywczymi ciągnęły się do skrytej w samym sercu rdzenia maszyneryi wspomagającej. Lampy słoneczne rozmieszczono nieregularnie na membranie oraz w samej zielonej gęstwie. Teraz dawały ostre niebieskie światło południa, ale w miarę upływu dnia – lampy pracowały w cyklu dwudziestogodzinnej doby Yellowstone – światło ześlizgnie się po widmie ku brązom i rdzawym czerwieniom wieczoru.

W końcu zapadnie noc. Kulisty las ożywi się świergotaniem i nawoływaniem tysiąca nocnych stworzeń poddanych dziwacznej ewolucji. Gdy się przysiadło nocą na konarze, w pobliżu serca rdzenia, łatwo było uwierzyć, że las rozciąga się we wszystkich kierunkach na tysiące kilometrów. Tylko z ostatnich stu metrów tego lasu – tuż spod membrany – można było dostrzec odległe współbieżne koła, a one, oczywiście, poruszały się w całkowitej ciszy.

Prom sunął zygzakiem przez zieloną gęstwinę. Wiedział dokładnie, dokąd wieść Clavaina. Clavain widział gdzieś tam innych Hybrydowców, głównie jednak dzieci i staruszków. Dzieci rodziły się i wychowywały na trójcy jednego g, ale po ukończeniu sześciu miesięcy regularnie je tutaj przywożono. Pod okiem staruszków ćwiczyły odpowiednio mięśnie i orientację w nieważkości. Większość traktowała to jako zabawę, ale najzdolniejsze przejdą do służby na arenie działań wojennych. Nieliczne wykażą tak wysokie zdolności przestrzenne, że wykieruje się je na planistów taktycznych.

Staruszkowie, już zbyt delikatni, by spędzać wiele czasu na pierścieniach o wyższym ciężeniu, często po przybyciu do rdzenia już nigdy go nie opuszczali. Clavain właśnie minął parę starców. Obydwoje nosili struktury wspierające, uprząże medyczne, spełniające również rolę pakietów napędowych. Nogi wlokły się za nimi jak jakieś dodatki. Namawiali piątkę dzieci, by odbiły się od ściany drewnianej dziury i

wleciały w otwartą przestrzeń.

Ta scena, oglądana bez wspomagania, wyglądała ponuro. Dzieci odziano w czarne skafandry i hełmy, chroniące ich skórę przed ostrymi gałęziami. Oczy miały ukryte za czarnymi okularami, co utrudniało odczytanie wyrazu twarzy. Staruszkowie byli ubrani podobnie, choć nie nosili hełmów. Ale ich odsłonięte oblicza nie zdradzały ani krzty radości. Clavainowi wydawali się grabarzami zajętymi poważną ceremonią pogrzebową, która zostałaaby popsuta, gdyby ktoś wykazał choć odrobinę bez troski.

Clavain nakazał myślowo swemu implantowi odkryć prawdę. Gdy jaskrawe konstrukcje wykwitły z nicości, nastąpił bujny wzrost. Dzieci nosiły teraz lekkie ubrania, oznakowane klanowymi wirami i jaskrawoczerwonymi zygzakami. Miały gołe głowy, nieobciążone hełmami. Dwóch chłopców i trzy dziewczynki. Ocenił ich wiek na pięć do siedmiu lat. Nie miały bardzo radosnych min, ale nie były to miny nieszczęśliwe czy obojętne. Dzieci wyglądały na nieco przestraszone i podekscytowane. Bez wątplenia dochodziło między nimi do rywalizacji – każde dziecko ważyło korzyści i ryzyko zanurkowania w pustkę jako pierwsze.

Staruszkowie wyglądali mniej więcej tak samo jak poprzednio, lecz teraz Clavain dostroił się do wypromieniowanych przez nich myśli. Skąpani w aurze zachęty, miny mieli raczej radosne niż zgorzkniałe, gotowi cierpliwie godzinami czekać na dzieci.

Otoczenie również się zmieniło. W powietrzu skrzętnie uwijały się roziskrzane jak klejnoty ważki i motyle. Neonowe gąsienice przedzierały się przez zieleń. Kolibry wisiały w powietrzu lub przenosiły się od kwiatu do kwiatu, poruszając się niczym precyzyjne nakręcane zabawki. Małpki, lemury i latające wiewiórki ochoczo skakały w wolną przestrzeń, ich oczy pobłyskiwały niczym szklane kulki.

To był postrzegany przez maluchy świat, do którego dostroił się Clavain. Nie znały innego prócz tej bajkowej abstrakcji. Dane dochodzące do mózgow będą sukcesywnie subtelnie manipulowane i dzieci nie zauważą codziennych zmian, ale stworzenia zamieszkujące leśne obszary stopniowo staną się bardziej realistyczne, kolory zbledną do naturalistycznych zieleni, brązów, czerni i bieli. Stworzenia staną się mniejsze i bardziej płochliwe. W końcu zostaną tylko prawdziwe zwierzęta. Gdy dzieci osiągną wiek dziesięciu czy jedenastu lat, łagodnie objaśni im się działanie maszyn, które dotychczas cenzurowały ich ogląd świata. Dowiedzą się o swoich implantach, pozwalających udrapować na rzeczywistości następną warstwę, której można nadać dowolną wyobraźną formę.

W przypadku Clavaina proces edukacyjny przebiegał trochę brutalniej. Wydarzyło się to podczas jego drugiej wizyty w gnieździe Galiany na Marsie. Pokazała mu żłobek, gdzie szkolono młodych Hybrydowców, ale w tamtym momencie Clavain nie posiadał żadnych własnych implantów. Potem został ranny, a Galiana napełniła mu głowę medmaszynami. Nadal pamiętał ten wstrząs, gdy pierwszy raz doświadczył, jak

ktoś manipuluje jego subiektywną rzeczywistością, gdy do jego czaszki gwałtownie wtargnęły inne umysły. Jednak najbardziej szokującym elementem był przelotny widok świata, po którym spacerowali Hybrydowcy. Psycholodzy określali to wrażenie swoim własnym terminem – przełom poznawczy – lecz niewielu z nich doświadczyło go osobiście.

Nagle dzieci zwróciły na niego uwagę.

[Clavain!] – Jeden z chłopców pchnął ku niemu myśl.

Clavain kazał promowi zatrzymać się pośród pustki wykorzystywanej na lekcję latania. Ustawił prom tak, że znalazł się mniej więcej na jednym poziomie z dziećmi.

Cześć.

Clavain chwycił poręcz przed sobą jak kaznodzieja na ambonie.

Dziewczynka popatrzyła na niego przenikliwie.

[Gdzie byłeś, Clavainie?]

Na zewnątrz.

Uważnie obserwował opiekunów.

[Na zewnątrz? Poza Matczynym Gniazdem?] – dopytywała się dziewczynka.

Nie był pewien, co ma odpowiedzieć. Nie pamiętał, jaką wiedzę dysponują dzieci w tym wieku. Z pewnością nic nie wiedziały o wojnie. Ale skoro powiedział "a", musi powiedzieć "b".

Poza Matczynym Gniazdem, tak.

[W statku kosmicznym?]

Tak. W bardzo wielkim statku.

[Czy mogę go zobaczyć?] – zapytała dziewczynka.

Może pewnego dnia, ale nie dzisiaj. Poczuł niepokój opiekunów, choć żaden z nich nie umieścił mu w głowie konkretnej myśli. *Teraz musisz się zająć innymi sprawami.*

[Co robiłeś w statku kosmicznym, Clavainie?].

Clavain podrapał się po brodzie. Nie lubił wprowadzać w błąd dzieci i nie opanował sztuki niewinnych kłamstw. Łagodna filtracja prawdy zdawała się najlepszym

podejściem.

Pomagałem komuś.

[Komu pomagałeś?]

Pewnej damie... kobiecie.

[Dlaczego potrzebowała pomocy?]

Jej statek – statek kosmiczny – wpadł w kłopoty. Potrzebowała drobnej pomocy i akurat znalazłem się w pobliżu.

[Jak nazywała się dama?]

Bax. Antoinette Bax. Szturchnąłem ją rakieta, żeby przestała spadać na gazowego giganta.

[Czemu spadała na gazowego giganta?]

Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

[Dlaczego miała dwa nazwiska, Clavainie?]

Ponieważ... – Zdał sobie sprawę, że coraz bardziej brnie. Posłuchajcie, naprawdę nie powinienem wam przeszkadzać. Czuł namacalne odprężenie w emocjonalnej aurze opiekunów. – Tak więc, hm... kto mi pokaże, jak wspaniałe lata?

Dzieci tylko czekały na zachętę. Hałas wypełnił mu czaszkę, głosy rywalizowały o jego uwagę.

[Ja, Clavain, ja!]

Obserwował, jak z niepowstrzymaną energią wybijają się nogami i lecą w pustkę.

W jednej chwili zerkał w zieloną nieskończoność, a już prom wyrwał się przez błyski liści na polanę i przez następne trzy czy cztery minuty leciał przez las. Prom znał dokładnie miejsce pobytu Felki.

Polanę stanowiła przestrzeń zamknięta ze wszystkich stron gęstą roślinnością. Jeden z konarów konstrukcyjnych przecinających polanę zawierał wybrzuszone obszary mieszkalne. Prom z szumem zbliżył się do słupa, a następnie znieruchomiał na swych turbinach. Clavain wysiadł. Drabiny i liany dostarczały stopni i chwytów – korzystając z nich, Clavain dotarł po konarze do wejścia do próżnego wnętrza. Poczul zawrót głowy, ale lekki. Część jego umysłu zawsze protestowała wobec perspektywy beztroskiej niezgrabnej wspinaczki przez coś przypominającego wysoką leśną kopułę, ale lata praktyki niemal całkowicie zredukowały ten instynktowny lęk naczelnej małpy.

–Felka! – zawołał. – Tu Clavain.

Nie otrzymał odpowiedzi. Zanurzył się głębiej, wchodząc – a może schodząc? – głową naprzód.

–Felka...

–Cześć, Clavainie. – Jej głos zabrzmiał z niewielkiej odległości, wzmocniony, ubarwiony pogłosami szczególnej akustyki konara.

Clavain poszedł tam, skąd dochodził głos; nie czuł jej myśli Felka na ogół nie uczestniczyła w hybrydowskim połączonym umyśle. Nie zawsze tak było. Lecz nawet gdyby uczestniczyła, Clavain zachowałby pewien dystans. Dawno temu ustalili wspólnie, że wyłączą się wzajemnie ze swych umysłów, zachowując najbardziej banalny poziom. Coś więcej byłoby niechcianą bliskością.

Szyb skończył się w macicokształtnym wnętrzu. Tu Felka spędzała obecnie większość czasu, w swym laboratorium i warsztacie. Ściany tworzył oszałamiający wir wzorów rosnącego drzewa. Clavainowi te wszystkie owale i węzły przypominały geodezyjne kontury bardzo naprężonej czasoprzestrzeni. Światło z kinkietów rzutowało sylwetkę Clavaina na drewno w groźnych kształtach potworów. Pomagał sobie w ruchu koniuszkami palców, ocierając się o zdobione, drewniane wytwory, które swobodnie unosiły się we wnętrzu konara. Rozpoznawał większość obiektów, ale parę z nich stanowiło dla niego nowość.

Chwycił jeden, by mu się przyjrzeć. Obiekt zagrzechotał mu w dłoni. Była to ludzka głowa, zrobiona z pojedynczej drewnianej spirali. Przez otwory w spirali widział w środku inną głowę i następną tamtej. Możliwe, że zagnieżdżono jeszcze więcej głów.

Wypuścił obiekt i chwycił inny: kulę najeżoną patyczkami różnej długości. Clavain poruszył jednym patyczkiem i usłyszał, jak w kuli coś szczęka i przesuwa się niczym zapadka w zamku.

–Widzę, Felko, że dużo pracowałaś.

–Nie tylko ja – odparła. – Słyszałam meldunki. Jakaś sprawa z więźniem?

Clavain przesunął się obok serii drewnianych obiektów i minął zakręt w konarze. Przepłynął przez otwór łączący z małą pozbawioną okien izbą, oświetloną jedynie latarniami. Ich światło pokrywało różem i szkarłatem ochrowo- ciemnobrązowe ściany. Jedną z nich wypełniały liczne drewniane rzeźbione twarze o nieco przesadnych rysach. Te na brzegach były na wpół ukształtowane, niczym nadżarte kwasem rzygacze. Powietrze pachniało żywicą obrabianego drzewa.

–Nie sądzę, by z tego więźnia był jakiś większy pożytek – stwierdził Clavain. – Jeszcze nie znamy jego tożsamości, ale zdaje się, że to przestępca. Przetralowaliśmy go, otrzymaliśmy żywe i niedawne wzorce pamięciowe, ukazujące, jak morduje ludzi. Oszczędzę ci szczegółów, ale ten świnia jest w tym twórczy, ręczę za to. Mylą się ci, co twierdzą, że świniom brakuje wyobraźni.

–Nigdy tak nie twierdziłam, Clavainie. A ta druga sprawa? Kobieta, którą, jak słyszałam, uratowałaś?

–Ach. To osobliwe, jak te wiadomości się rozchodzą. – Potem przypomniał sobie, że to właśnie on opowiedział dzieciom o Antoinette Bax.

–Zdziwiła się?

–Nie wiem. A powinna?

Felka parsknęła. Wisiała w powietrzu pośrodku izby jak nadęta planeta, obsługiwana przez delikatne, drewniane księżyce. Miała na sobie workowate brązowe ubranie robocze. Przynajmniej kilkanaście częściowo wykończonych obiektów, przymocowanych do jej talii nylonowymi nićmi, unosiło się przy niej. Inne liny prowadziły do rozmaitych narzędzi do drewna: rozwiertaka, pilnika, laserów oraz drobnych robotów ryjących.

–Chyba oczekiwała, że umrze, albo przynajmniej zostanie zasymilowana – zauważył Clavain.

–Najwyraźniej wyprowadza cię z równowagi fakt, że wszyscy nas nienawidzą i się nas boją.

–Daje to trochę do myślenia.

Felka westchnęła, jakby omawiali to już kilkanaście razy.

–Jak długo się znamy, Clavainie?

–Chyba dłużej, niż znamy większość innych ludzi.

–Tak jest. I przez większość tego czasu byłeś żołnierzem. Nie zawsze walczyłeś, przyznaję. Ale w głębi serca zawsze byłeś żołnierzem. – Nie spuszczać go z oczu, przyciągnęła jeden ze swoich wyrobów i zerknęła przez kratowe szczeliny w drewnie.
– Według mnie to trochę za późno na skrupuły moralne, nie wydaje ci się?

–Prawdopodobnie masz rację.

Felka zagryzła dolną wargę i wykorzystując grubszą linę, przesuwiała się ku jednej ze ścian izby, a towarzyszące jej drewniane rzeźby i narzędzia grzechotały. Felka zaczęła przygotowywać herbatę dla Clavaina.

–Nie dotykałaś mej twarzy, kiedy wszedłem – zauważył Clavain. – Czy powinienem to uważać za pomyślną wiadomość?

–W jakim sensie?

–Może polepsza ci się rozróżnianie twarzy?

–Nie polepsza. Czy zauważyłeś po drodze ścianę z twarzy?

–Musiałaś ją zrobić ostatnio.

–Gdy przychodzi tu ktoś, co do kogo nie mam pewności, dotykam jego twarzy, odwzorowując jej rysy palcami. Potem porównuję to, co odwzorowałam, z twarzami, które wyrzeźbiłam na ścianie, aż znajdę odpowiednik. Potem odczytuję imię. Oczywiście, muszę od czasu do czasu dodawać nowe twarze, a niektóre nie wymagają tylu szczegółów, co inne...

–Ale ja...

–Masz brodę i dużo zmarszczek. Masz rzadkie białe włosy. Nie mogłabym cię nie rozpoznać. Jesteś niepodobny do innych.

Podala mu bańkę. Wycisnął do gardła strumień parzącej herbaty.

–Chyba zaprzeczanie nie ma sensu.

Spojrzał na nią z największym obiektywizmem, na jaki mógł się zdobyć. Porównywał jej sposób bycia z jej obrazem, jaki zapamiętał sprzed wyruszenia na "Nocnym Cieniu". Upłynęło zaledwie kilka tygodni, ale według jego oceny Felka stała się

bardziej zamknięta w sobie, teraz mniej należała do świata niż kiedykolwiek w ostatnich latach. Mówiła o gościach, ale podejrzewał, że niewielu ją odwiedza.

–Clavain?

–Obiecay mi coś, Felko.

Począł, aż obróci się w jego kierunku. Czarne włosy, równie długie jak Galiany, były skołtunione i tłuste. Grudki śpiochów gnieździły się w kącikach oczu. Jej bladozielone, prawie jadeitowe, tęczęwki odcinały się od nabiegłej krwią bladej różowości. Skóra pod oczyma napuchła i nabrała lekko niebieskiego koloru, niczym siniak. Podobnie jak Clavain, Felka potrzebowała snu, co wśród Hybrydowców było niezwykle.

–Co ci obiecać, Clavainie?

–Jeśli... – kiedy... – stanie się to zbyt dotkliwie, powiadom mnie, dobrze?

–W czym to pomoże?

–Wiesz, że zawsze robiłem dla ciebie, co mogłem? Zwłaszcza teraz, gdy nie ma tutaj z nami Galiany.

Jej podrażnione oczy patrzyły na niego uważnie.

–Zawsze robiłeś, co mogłeś. Ale nie możesz nic poradzić na to, że jestem, czym jestem. Nie potrafisz czynić cudów.

Smutno skinął głową. Wiedział, że to prawda, ale ta świadomość wcale nie przynosiła ulgi.

Felka nie była taka jak inni Hybrydowcy. Po raz pierwszy spotkał ją podczas swej drugiej podróży do gniazda Galiany na Marsie. Produkt przerwanego doświadczenia z manipulowaniem mózgiem płodu, była upośledzonym dzieckiem. Nie tylko nie potrafiła rozpoznawać twarzy, ale w ogóle nie była zdolna do kontaktu z innymi ludźmi. Cały jej świat kręcił się wokół jednej, nieskończonej pochłaniającej gry. Gniazdo Galiany otaczała olbrzymia konstrukcja, znana jako Wielki Mur Marsjański. Mur – pozostałość wcześniejszego, nieudanego projektu terraformizacji – uszkodzony w jednej z wcześniejszych wojen, nigdy się nie zawalił, gdyż gra Felki polegała na stymulowaniu samonaprawczych mechanizmów Muru do aktywności, do niekończącego się, złożonego procesu wykrywania wad i rozmieszczania cennych zasobów naprawczych. Wysoki na dwieście kilometrów mur był równie skomplikowany jak ludzkie ciało, a Felka sterowała każdym aspektem jego mechanizmów leczących, poczynając od najdrobniejszej komórki. Okazało się, że dziewczyna znacznie lepiej utrzymuje Mur w całości, niż maszyny. Choć z powodu

uszkodzonego umysłu w ogóle nie miała kontaktu z ludźmi, wykazywała zdumiewającą zdolność do złożonych zadań.

Mur runął podczas ostatniego ataku byłych towarzyszy Clavaina z Koalicji na rzecz Czystości Neuralnej. Galiana, Felka i on sam uciekli z gniazda jako jedni z ostatnich. Galiana próbowała go przekonać, by nie brał ze sobą Felki, ostrzegając, że bez Muru doświadczy ona deprivacji sensorycznej znacznie okrutniejszej niż sama śmierć. Clavain mimo to ją zabrał, przekonany, że dla i dziewczyny musi istnieć jakaś nadzieja. Musi istnieć coś, czym jej umysł mógłby się zająć. Surogat Muru.

Miał rację, ale wykazanie tego zajęło wiele lat.

W ciągu następnych lat – czterystu, choć wszyscy doświadczyli najwyżej stulecia czasu subiektywnego – Felkę doprowadzono łagodnymi namowami do jej obecnego, niestety, dość kruchego stanu umysłu. Subtelna i delikatna manipulacja neuralna zwróciła pewne funkcje mózgu, które uległy uszkodzeniu podczas interwencji prenatalnej: język, wzrastające poczucie, że inni ludzie to coś więcej niż automaty. Były okresy regresji i niepowodzeń – na przykład dziewczyna nigdy się nie nauczyła się rozróżniać twarzy – ale sukcesy przeważały. Felka zajęła umysł, innymi sprawami i podczas długiej ekspedycji międzygwiazdnej; była szczęśliwsza niż kiedykolwiek przedtem. Każdy nowy świat mógł stać się wstrząsająco trudną łamigłówką.

W końcu jednak postanowiła wracać do domu. Między nią i Galianą nie było urazy. Obie miały poczucie, że nadszedł czas, by uporządkować wiedzę, którą pomagały dotychczas zbierać, i że najlepszym do tego miejscem jest Matczyne Gniazdo z jego rozległymi zasobami analitycznymi.

Jednak kiedy Felka wróciła, zastała Matczyne Gniazdo pogrążone w wojnie. Clavain wkrótce wyjechał, by walczyć z Demarchistami, i Felka przekonała się, że interpretowanie danych, zgromadzonych przez ekspedycję, nie jest już zadaniem pierwszoplanowym.

Clavain widział, że powoli – tak powoli, że zmiany w ciągu roku były ledwie widoczne – Felka osuwa się w swój prywatny, świat, coraz mniej aktywnie uczestniczyła w sprawach Matczynego Gniazda i z wyjątkiem rzadkich okazji izolowała swój umysł od innych Hybrydowców. Sprawy jeszcze się pogorszyły, gdy powróciła Galiana – ani żywa, ani martwa, tylko w jakimś stanie pośrednim.

Rzeźbienie drewnianych zabawek wynikało z rozpaczliwej potrzeby zajęcia umysłu problemem godnym jego zdolności poznawczych. Kiedyś ich rola się skończy. Clavain widział już wcześniej podobny proces. Wiedział, że nie może dać Felce tego, czego jej potrzeba.

–Może kiedy skończy się wojna – zaczął niezręcznie – gdy międzygwiazdne loty

znów staną się rutyną i znowu rozpoczniemy eksplorację...

–Nie składaj obietnic bez pokrycia.

Felka wzięła swą bańkę z herbatą i odbiła się ku środkowi pomieszczenia. Z roztargnieniem zaczęła dłubać przy jednej ze swoich kompozycji. Obiekt wyglądał jak sześcian złożony z mniejszych sześcianów, z kwadratowymi otworami w niektórych ścianach. Felka wepchnęła dłuto w jeden z otworów i drapała tam na ślepo.

–Nic nie obiecuję – oznajmił. – Mówię tylko, że zrobię, co będę mógł.

–Może się okazać, że Żonglerzy w niczym mi nie pomogą.

–Nie przekonamy się, póki nie spróbujemy.

–Trzeba spróbować.

–Tak trzymać – powiedział Clavain.

Coś pękło w obrabianym obiekcie. Felka syknęła jak sparzony kot i cisnęła przedmiotem w ścianę. Rozbił się na setki klockowatych kawałków. Niemal natychmiast przyciągnęła następny i rozpoczęła rzeźbienie.

–A jeśli Żonglerzy Wzorców nie pomogą, spróbujemy z Całunnikami.

Clavain uśmiechnął się.

–Nie wybiegajmy zbyt naprzód. Gdyby z Żonglerami się nie udało, pomyślimy o innych możliwościach. A przejście przez rzekę rozważymy po dojściu do mostu. Przedtem musimy załatwić drobną sprawę – wygrać tę wojnę.

–Powiadają, że wkrótce wojna się skończy.

–Tak mówią?

Dłuto ześlizgnęło się i odcięło Felce kawałek skóry z pala. Przycisnęła palec do ust i mocno ssła jak ktoś, kto wysysa ostatnią kroplę soku z cytryny.

–Dlaczego uważasz, że nie mają racji?

Miał ochotę ściszyć głos – absurd, bo przecież praktycznie nie robiło to żadnej różnicy.

–Nie wiem. Może po prostu jestem starym głupcem. Ale czy starzy głupcy nie są po to, by mieć od czasu do czasu wątpliwości?

Felka uśmiechnęła się wyrozumiale.

–Przestań mówić zagadkami, Clavainie.

–Chodzi o Skade i Ścisłą Radę. Coś się dzieje, a ja nie wiem co.

–Na przykład?

Clavain starannie dobierał słowa. Ufał Felce, ale przecież miał do czynienia z członkiem Ścisłej Rady. Wprawdzie przez pewien czas nie uczestniczyła w jej zebraniach i prawdopodobnie nie była au courant ostatnich sekretów, jednak nie miało to większego znaczenia.

–Przestaliśmy budować statki przed stu laty. Nikt mi nigdy nie wyjaśnił powodów i szybko zdałem sobie sprawę, że dopytywanie się nie ma większego sensu. Od tego czasu słyszałem dziwne pogłoski o zagadkowych działaniach: tajnych inicjatywach, tajnych programach przyswajania nowych technik, tajnych eksperymentach. I teraz, kiedy akurat Demarchiści są gotowi się poddać i uznać swą klęskę, Ścisła Rada prezentuje zupełnie nowy projekt statku międzygwiazdowego. Jeśli "Nocny Cień" nie jest bronią, to co nią jest? Przeciw komu zamierzają ją wykorzystać, jeśli nie przeciw Demarchistom?

–Jacy oni?

–Chcę powiedzieć "my".

Felka skinęła głową.

–Ale od czasu do czasu zastanawiasz się, czy Ścisła Rada nie planuje czegoś za kulisami.

Clavain pociągnął łyk herbaty.

–Chyba mam prawo się zastanawiać?

Felka zamilkła na kilka długich chwil. Ciszę przerywało tylko szuranie jej pilnika o drewno.

–Mogłabym natychmiast odpowiedzieć na niektóre twoje pytania. Wiesz o tym. Wiesz również, że nigdy nie ujawnię informacji ze Ścisłej Rady. Ty na moim miejscu też byś tak postępował.

Clavain wzruszył ramionami.

–Nie spodziewałem się niczego innego.

–Nawet gdybym chciała cię poinformować, to nie wiem wszystkiego. Już nie. Rada ma swoją wewnętrzną hierarchię. Nigdy nie znałam sekretów Wewnętrznego Sanktuarium i od lat nie mam dostępu do danych Ścisłej Rady. – Felka postukała pilnikiem o skroń. – Niektórzy z członków Rady chcieliby nawet wymazać mi na stałe pamięć, bym zapomniała wszystko, czego się dowiedziałam podczas swych aktywnych lat w Radzie. Powstrzymuje ich jedynie dziwaczna budowa mego mózgu. Nie mogliby gwarantować, że nie zetrą niewłaściwych wspomnień.

–Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Potaknęła.

–Ale istnieje rozwiązanie twego problemu, Clavainie. I to bardzo proste.

–Mianowicie?

–Zawsze możesz dołączyć do Ścisłej Rady.

Clavain westchnął, szukając kontrargumentów. Wiedział, że nawet gdyby je znalazł, prawdopodobnie nie przekonałyby Felki.

–Chętnie napiłbym się jeszcze herbaty, jeśli pozwolisz.

Skade maszerowała krętymi szarymi korytarzami Matczynego Gniazda. Jej grzebień płonął szkarłatem intensywnej koncentracji i gniewu. Szła do ukrytej komnaty, gdzie zorganizowała spotkanie z Remontoirem i cielesnym kworum Ścisłej Rady.

Jej umysł przetwarzał dane z niemal maksymalną dla niego szybkością. Skade rozważała, jak poprowadzić to trudne zebranie, najważniejsze w jej kampanii przeciągnięcia Clavaina na swoją stronę. Większość członków Rady potrafiła urabiać jak plastelinę, ale kilkoro z nich wymagało solidniejszych argumentów.

Skade przeglądała jednocześnie opracowane dane z ostatniego testu tajnych systemów w "Nocnym Cieniu", które wpływały do jej czaszki przez komnotes, spoczywający teraz na brzuchu Skade jak część zbroi. Liczby wyglądały zachęcająco. Wszystko przemawiało za intensywniejszymi testami całej maszynierii – jedyna przeszkoda to konieczność zachowania tajemnicy. Już przekazała mistrzowi warsztatów pomyslnie wieści, by końcowe udoskonalenia techniczne zastosowano we flocie ewakuacyjnej.

Skade przeznaczyła ogromną część siebie samej do analizy tych właśnie problemów. Jednocześnie odtwarzała i analizowała nagranie, przekazane ostatnio z Konwencji Ferrisvillskiej.

Nie zawierało niczego dobrego.

Narrator unosił się przed Skade, ustawiony tyłem do kierunku jej ruchu. Jego stopy ślizgały się bezcelowo nad podłogą. Skade odtwarzała przekaz z szybkością dziesięciokrotnie większą od zwykłej, co nadawało gestom mężczyzny cechy szaleństwa.

–To formalna prośba do wszystkich reprezentantów odłamu Hybrydowców – mówił rzecznik. – Konwencji Ferrisvillskiej wiadomo, że statek Hybrydowców brał udział w przechwyceniu i zajęciu okrętu Demarchistów w sąsiedztwie Rejonu Spornego wokół gazowego giganta...

Skade przesunęła nagranie w przód. W poszukiwaniu niuansów lub podstępów wysłuchiwała tego przekazu już osiemnaście razy. Wiedziała, że dalej następuje lista legalnych zakazów i przepisów Konwencji. Wszystko sprawdziła i wszystko okazało się niepodważalne.

–... Maruska Chung, szyper Demarchistów, skontaktowała się wcześniej formalnie z funkcjonariuszami Konwencji Ferrisvillskiej w sprawie przekazania nam aresztanta. Odłam Hybrydowców nie został o całej sprawie powiadomiony. Rzeczony aresztant został zatrzymany na pokładzie statku Demarchistów po ujęciu go na militarnej

asteroidzie pod jurysdykcją Demarchistów, zgodnie z...

Dalsze formalne zwroty. Znowu przewinięcie w przód.

–...ręczony więzień, hiperświnia znany Konwencji Ferrisvillskiej jako “Skorpio” jest już poszukiwany za następujące przestępstwa przeciw zarządzeniom władz stanu wyjątkowego, paragrafy...

Pozwoliła przekazowi odtworzyć się jeszcze raz, ale nie wykryła niczego, co nie byłoby dotychczas jasne. Biurokratyczny karzeł Konwencji był zbyt pochłonięty szczegółami i paragrafami, by myśleć o jakichś podstępach. Zapewne mówił o świni prawdę.

Skorpio był przestępcą znanym władzom, zdeprawowanym mordercą, rozmiłowanym w zabijaniu ludzi. Chung poinformowała Konwencję, prawdopodobnie wąskim promieniem, że właśnie wiezie przestępcę, zanim jeszcze “Nocny Cień” zbliżył się na tyle, by móc podsłuchiwać jej przekazy.

A Clavain, niech go jeszcze raz cholera, nie zrobił tego, co powinien: nie unicestwił Demarchistów przy pierwszej nadarzającej się okazji. Konwencja by zrzędziła, ale działałby całkowicie w ramach swoich uprawnień. Nie można było oczekiwać, że wie o jeńcu szypra, i przed otwarciem ognia nie miał obowiązku zadawać pytań. Zamiast tego uratował świnię.

–...prośba o zwrocenie więźnia przed upływem dwudziestu sześciu dni do naszego aresztu. Ma być nieuszkodzony i niezarażony hybrydowskimi systemami infiltracji neuralnej. W razie niespełnienia tej prośby... – Rzecznik Konwencji przerwał, mnąc dłonie w nerwowym oczekiwaniu. – Nie muszę podkreślać, że niespełnienie tej prośby poważnie wpłynie, na pogorszenie stosunków między odłamek Hybrydowców a Konwencją.

Skade doskonale to rozumiała. Więzień nie miał dla Konwencji istotnego znaczenia, ale jako pionek w grze – jako trofeum – wartość więźnia nie dała się przecenić. W obszarze Konwencji prawo i porządek praktycznie nie istniały, a świni stanowiły potężną, choć nie zawsze posłuszną prawu grupę. Już było źle, gdy Skade poleciała do Chasm City z tajnym zadaniem Ścisłej Rady i kiedy omal jej nie zabito. Od tamtego czasu sytuacja na pewno się nie polepszyła. Odzyskanie świni i jej egzekucja byłyby wyraźnym sygnałem dla innych grzeszników, zwłaszcza dla przestępczych odłamów świni. Na miejscu rzecznika Skade wysuwałyby takie same żądania.

Wcale nie zmniejszało to kłopotu ze świnią. Skade wiedziała, że w zasadzie nie musi przychylić się do tej prośby. Wkrótce Konwencja przestanie się w ogóle liczyć. Mistrz warsztatów zapewnił ją, że flota ewakuacyjna zostanie ukończona za

siedemdziesiąt dni, a Skade nie miała powodów wątpić w tę ocenę.

Siedemdziesiąt dni.

A w ciągu osiemdziesięciu do dziewięćdziesięciu zostanie zrobione wszystko. Już za trzy miesiące tutejsze sprawy przestaną się liczyć. Był jednak pewien problem. Istnienie floty i przyczyna, dla której została ona zbudowana, muszą pozostać absolutną tajemnicą. Należało podtrzymywać wrażenie, że Hybrydowcy prą naprzód do militarnego zwycięstwa, jak oczekują wszyscy neutralni obserwatorzy. Nietypowe zachowanie wzbudziłoby podejrzenia zarówno wewnątrz Matczynego Gniazda, jak i poza nim. I gdyby Demarchiści odkryli prawdę, mogliby się skupić i wykorzystać tę informację, by zyskać sojuszników, dotychczas neutralnych. Obecnie są bez sił, ale w połączeniu z Ultrasami stworzyliby prawdziwą przeszkodę w osiągnięciu przez Skade ostatecznego celu.

Nie. Farsa dążenia do zwycięstwa wymagała pewnego stopnia posłuszeństwa Konwencji. Skade musi jakoś zwrócić świnię, nim ktoś nabierze podejrzeń. Gniew Skade wzrastał. Kazała rzecznikowi zastygnąć przed sobą. Z jego ciała pozostał jedynie ciemny zarys. Pomaszerowała przez niego, a szczątki jego obrazu rozleciały się na boki jak stado przestraszonych kruków.

SZEŚĆ

Podróż do Solhofen prywatnym samolotem byłaby drobnostką, ale ostatni odcinek trasy inkwizytor postanowiła przebyć naziemnym środkiem transportu. Poleciała samolotowi wylądować w osiedlu znajdującym się najbliżej Solhofen.

Miejscowość o nazwie Audubon stanowiła zbiorowisko bud, szalasów i kopuł; wszystko przeszywały szyny siewa, rurociągi towarowe i szosy. Na granicy miasta delikatne palce masztów dokujących dla sterowców szturchały szare północne niebo. Nie cumował przy nich żaden pojazd i nic nie wskazywało, by ostatnio przylatywały tu jakieś sterówce.

Samolot wyrzucił ją między dwoma magazynami, na łacie spękanego betonu. Przeszła szybko, trąc butami o kępy ostrej, przystosowanej do Resurgamu trawy, która tu i ówdzie przedarła się przez nawierzchnię. Z niejaką obawą inkwizytor patrzyła, jak samolot zakreśla łuk z powrotem do Cuvier. Będzie obsługiwał jakichś innych rządowych oficjeli do chwili, gdy dostanie polecenie, by odwieźć ją z powrotem do domu.

–Szybki przyjazd, szybki odjazd – wymamrotała pod nosem.

Pracujący w pobliżu robotnicy zauważyli ją, ale tak daleko od Cuvier nie interesowano się działaniami Inkwizycji. Prawdopodobnie uznają, że choć nosi się po cywilnemu, przysłał ją rząd. Nikt jednak nie podejrzewa, że to inkwizytor, która właśnie w tej chwili jest na tropie przestępcy wojennego. Równie dobrze mogła być funkcjonariuszem policji lub inspektorem jednej z wielu agend rządowych, wysłanym na kontrolę funduszków. Gdyby przybyła z obstawą – z serwitorem czy szwadronem strażników – z pewnością przyciągnęłaby więcej uwagi. W obecnej sytuacji ludzie starali się nie patrzeć jej w oczy. Bez przeszkód dotarła do przydrożnej gospody.

Miała na sobie ciemne, dyskretne ubranie. Narzuciła długą pelerynę ze zwiniętym pod brodą pokrowcem na maskę do oddychania – ludzie nosili takie w okresach częstych burz maczetowych. Strój uzupełniała para czarnych rękawiczek. W małym plecaku znajdowało się kilka rzeczy osobistych. Od czasu do czasu musiała odgarniać z oczu lśniąca prostą grzywkę. Fryzura skutecznie skrywała nadajnik radiowy z laryngofonem i słuchawkami. Skąd zamierzała go wykorzystać jedynie do przywołania samolotu. Miała przy sobie mały pistolet boserowy produkcji ultraskiej, wspomagany celowniczymi soczewkami kontaktowymi na jednym oku. Ale pistolet wzięła tylko dla psychicznego wsparcia. Nie przewidywała strzelania.

Gospoda mieściła się w dwupiętrowej konstrukcji, przerzuconej nad drogą do Solnhofen. Od czasu do czasu wielkie transportery towarowe na balonowych kołach przetaczały się z dudnieniem po szosie. Pod ich wysoko osadzonymi grzbietami

tkwiły żebrowane kontenery niczym przejrzałe owoce. Uszczelnione gondole kierowców umocowano na dwustanowych ramionach – można je było obniżać do samej ziemi albo unosić podczas załadunku z górnych wrót magazynu. Normalnie za urządzeniem z załogą ludzką toczyły się dwa czy trzy transportery – roboty. Nikt nie powierzał maszynom przebycia całej drogi bez dozoru.

Patrząc na wyblakły wystrój gospody, odnosiło się wrażenie, że wszystko stale pokrywa brud. Inkwizytor nie miała ochoty zdejmować rękawiczek. Zbliżyła się do siedzących przy stole kierowców, narzekających na warunki pracy. Na blacie stała niedopita kawa i nadgryzione kanapki. Nędznie wydrukowana gazeta zawierała ostatnie artystyczne wyobrażenie terrorysty Ciernia oraz katalog jego ostatnich przestępstw przeciw ludowi. Głowę Ciernia otaczała aureola z rozlanej kawy.

Inkwizytor stała przy kierowcach parę minut, zanim jeden z nich raczył na nią spojrzeć i skinąć głową.

–Nazywam się Vuilleumier – oznajmiła. – Potrzebuję transportu do Solnhofen.

–Vuilleumier? – spytał jeden z kierowców. – Tak jak w?...

–Wyciągnij własne wnioski. Nie jest to aż tak rzadkie nazwisko na Resurgamie.

Kierowca kaszlnął.

–Solnhofen – powiedział z powątpiewaniem, jakby pierwszy raz usłyszał tę nazwę.

–Tak, Solnhofen. To małe osiedle przy tej drodze, pierwsze, które pan napotka, jadąc w tym kierunku przez ponad pięć minut. Kto wie, może pan nawet przez nie przejeżdżał parę razy.

–Solnhofen leży kawał od mojej trasy, kochanie.

–Naprawdę? To dziwne. Miałam wrażenie, że trasa, jak pan to nazywa, składa się głównie z prostej linii, dokładnie przecinającej Solnhofen. Trudno sobie wyobrazić, jak cokolwiek może leżeć “kawał” od pańskiej trasy, chyba że w ogóle nie pojedzie się drogą. – Wyłowiła z kieszeni trochę pieniędzy i już chciała je wyłożyć na zastawiony jedzeniem stół, kiedy się zreflektowała i tylko zamachała banknotami, które zaszeleściły w odzianej

w skórzaną rękawiczkę dłoni. – Oto moja propozycja: połowa dla tego kierowcy, który obieca odwieźć mnie do Solnhofen; jeszcze jedna czwarta, jeśli wyruszymy w ciągu najbliższych trzydziestu minut; pozostała część, jeśli dojedziemy do Solnhofen przed wschodem słońca.

–Mogę panią wziąć – powiedział jeden z kierowców. – Ale droga jest trudna w tej

porze roku. Myślę, że...

–Propozycja nie podlega negocjacji.

Podjęła decyzję, że nie będzie im się podlizywać. Wiedziała, zanim jeszcze weszła do gospody, że im się nie spodoba. Zapach rządu czuli na kilometr i bez bodźców materialnych nikt z nich nie pragnął dzielić z nią kabiny przez całą drogę do Solnhofen. Naprawdę nie mogła ich za to winić. Rządowi funkcjonariusze wywoływali u przeciętnego człowieka ciarki na grzbiecie.

Gdyby nie była inkwizytorem, patrzyłaby na siebie z przerażeniem.

Pieniądze jednak czyniły cuda i po dwudziestu minutach siedziała w podniesionej kabynie ciągnika towarowego i patrzyła na znikające w mroku światła Audubon. Ciągnik wiózł tylko jeden pojemnik. Przy małym obciążeniu wielkie jak dom, amortyzujące koła sprawiały, że pojazd poruszał się z usypiającym kołysaniem. W kabinie było cicho i ciepło, a szofer wolał słuchać muzyki niż prowadzić jałową rozmowę. Przez pierwsze kilka minut patrzyła, jak kieruje pojazdem – ciągnik wymagał jedynie niewielkiej, okazjonalnej interwencji człowieka, by trzymać się drogi. Z pewnością mógłby funkcjonować bez kierowcy, gdyby nie lokalne przepisy związkowe. Z rzadka inny pociąg drogowy lub cały zestaw pociągów mknęły obok w noc, ale podróż przypominała raczej wyprawę w niekończącą się, niezamieszkaną ciemność.

Inkwizytor trzymała na kolanach gazetę z artykułem o Cierniu. Przeczytała go kilka razy, znużona, potykając się o ten sam nudny akapit. W artykule opisano organizację Ciernia jako gang agresywnych terrorystów, ogarniętych obsesją obalenia rządu tylko po to, by zepchnąć kolonię w stan anarchii. Jedynie mimochodem wspomniano, że deklarowanym celem Ciernia była ewakuacja Resurgamu statkiem triumwira. Jednak Inkwizytor czytała wiele oświadczeń Ciernia i знаła jego zdanie na ten temat. Już od czasów Sylveste'a kolejne rządy tłumili wszelkie sugestie, że kolonii coś zagraża, że jest narażona na tę samą klęskę, która prawie milion lat temu zniszczyła Amarantinów. W ciągu minionych lat, zwłaszcza w ciemnym beznadziejnym okresie po upadku rządu Girardieau, cichcem usunięto z publicznych debat ideę, że kolonia zostanie unicestwiona w jakimś nagłym kataklizmie. Kto wspominał o Amarantinach, nawet bez przywoływania ich losu, był piętnowany jako wichrzyciel. A jednak Ciern miał rację. Zagrożenie, choć nie bezpośrednie, z pewnością istniało.

To prawda, że atakował cele rządowe, ale zazwyczaj przeprowadzał ataki z chirurgiczną precyzją, minimalizując liczbę ofiar wśród cywili. Czasami chciał nadać rozgłos swojemu ruchowi, jednak przeważnie dopuszczał się kradzieży rządowej własności lub funduszy. Obalenie rządu to nieunikniony element planów Ciernia, jednak nie element pierwszoplanowy.

Cierń wierzył, że statek triumwira nadal znajduje się w układzie. Wierzył, że rząd zna dokładnie pozycję statku i wie, jak do niego dotrzeć. Ruch Ciernia utrzymywał, że w posiadaniu rządu znajdują się dwa funkcjonujące promy zdolne do wielokrotnych lotów między Resurgamem a "Nostalgia za Nieskończonością".

Plan Ciernia przedstawiał się dość prosto. Należało przede wszystkim zlokalizować promy, do czego, jak twierdził, brakowało niewiele. Następnie obalić rząd, a przynajmniej zachwiać nim do tego stopnia, żeby można było przejąć promy. Potem ludzie dotrą do uzgodnionego punktu odpraw, skąd promy będą kursowały na orbitę i z powrotem. Ten ostatni etap będzie prawdopodobnie wymagał ostatecznego obalenia rządu, lecz Cierń wciąż powtarzał, że cel chce osiągnąć przy najmniejszym rozlewie krwi.

Ocenzurowany przez rząd artykuł nie przedstawiał intencji Ciernia, a teorie o zagrożeniu Resurgamu ośmieszono. Samego Ciernia sportretowano jako egoistycznego pomyślnika; a liczbę ofiar cywilnych jego akcji wyolbrzymiono.

Inkwizytor uważnie przyglądała się portretowi. Nigdy nie spotkała Ciernia, choć wiele o nim wiedziała. Podobieństwo obrazu i oryginału było bardzo powierzchowne, jednak Departament Zagrożeń Wewnętrznych uznał, że można się posłużyć tym wizerunkiem. Inkwizytor to odpowiadało.

–Nie zawracałbym sobie głowy tymi śmieciami – stwierdził szofer, gdy już zasypiała.
– Skurczybyk nie żyje.

Vuilleumier mrugała rozbudzona.

–Co takiego?

–Cierń. – Szturchnął palcem w gazetę rozpostartą na jej kolanach. – Ten z obrazka.

Zastanawiała się, czy kierowca rozmyślnie milczał aż do tej chwili, czy zabawiał się w ten sposób z pasażerami, by się rozerwać podczas podróży.

–Nie wiem, czy Cierń nie żyje – odpowiedziała. – To znaczy, nic nie czytałam w gazetach ani nie słyszałam nic podobnego w wiadomościach...

–Władze go zastrzeliły. Wie pani, nie na darmo przezwał się Cierniem.

–Jak mogli go zastrzelić, skoro nawet nie wiedzą, gdzie jest?

–Wiedzą, wiedzą. I o to chodzi. Oni po prostu nie chcą, żebyśmy już wiedzieli, że jest martwy.

–"Oni"?

–Rząd, moja droga. Zaczynij wreszcie chwycić.

Podejrzewała, że szofer chce się zabawić jej kosztem. Mógł się domyślić, że jest z rządu, ale przypuszczał również, że nie ma czasu meldować o drobnych nieprawomyślnych wypowiedziach.

–Więc jeśli go zastrzelili, czemu tego nie ogłoszą? Tysiące ludzi sądzi, że Cierń zaprowadzi ich do Ziemi Obiecanej.

–Owszem, ale jedyną rzeczą gorszą od męczennika jest martwy męczennik. Wiadomość, że nie żyje naprawdę, wywołałaby mnóstwo kłopotów.

Wzruszyła ramionami i złożyła gazetę.

–W zasadzie nigdy do końca nie wierzyłam, że Cierń w ogóle istnieje. Może rządowi było wygodnie stworzyć fikcyjną postać, żeby skuteczniej dorwać się do ludzi. Wierzy pan naprawdę w te wszystkie historie?

–O tym, że Cierń chce nas wyprowadzić z Resurgamu? Nie. Gdyby to zrobił, byłoby miło. Przede wszystkim pozbylibyśmy się tych pojękiwaczy.

–Naprawdę tak pan sądzi? Że Resurgam chcą opuścić jedynie pojękiwacze?

–Przykro mi, kochanie. Nie wiem, po której jesteś stronie, ale niektórym z nas naprawdę się podoba na tej planecie. Bez urazy, oczywiście.

–Nie obraziłam się.

Odchyliła się w fotelu i zwiniętą gazetą zasłoniła oczy jak maską. Jeśli szofer nie zrozumie tego gestu, pomyślała, jest naprawdę beznadziejny.

Na szczęście zrozumiał.

Tym razem drzemka przemieniła się w głęboki sen. Inkwizytor śniła o przeszłości. Nawiedziły ją wspomnienia przywołane kontaktem z agentem operacyjnym Cztery. Nie mogła całkowicie wymazać z głowy myśli o Czwórce, ale przez cały ten czas zdołała nie myśleć o niej jako o osobie. Było to zbyt bolesne. Wspominać Czwórkę to wspominać okoliczności swego przybycia na Resurgam, co z kolei przywoływało wspomnienia z dawnego życia – porównane z bezbarwną terażniejszością jawiło się jako odległa i nieprawdopodobna bajka.

Głos Czwórki był jak zapadnia w przeszłość. Pewnych spraw nie można było zignorować.

Dlaczego, do cholery, Czwórka wezwała ją teraz?

Vuilleumier obudziła zmiana rytmu ruchu pojazdu. Szofer cofał wóz do zatoki wyładowniczej.

–Już przyjechaliśmy?

–Jesteśmy w Solnhofen. Nie witają nas światła wielkiego miasta, ale właśnie tu chciała pani dojechać.

Przez szczeliny okienne magazynu widziała niebo w kolorze anemicznej czerwieni. Albo już świtało, albo lada moment zacznie.

–Trochę późno – zauważyła.

–Przyjechaliśmy kwadrans temu, moja droga. Spała pani jak kłoda. Nie chciałem pani budzić.

–Jasne.

Niechętnie wręczyła mu pozostałą część zapłaty.

Remontoire patrzył, jak kilku ostatnich członków Ścisłej Rady zajmuje miejsca w amfiteatralnym wnętrzu tajnej sali. Wśród najstarszych niektórzy nadal byli zdolni samodzielnie dotrzeć do swych foteli. Większość jednak korzystała z pomocy serwitorów, egzozkieletów lub czarnych chmur dron wielkości kciuka. Niektórzy tak zbliżyli się do kresu życia fizycznego, że prawie zupełnie porzucili swe ciała. Przybywali tu w postaci głów na pająkowatych protezach ruchowych. Dwie osoby były po prostu ogromnie napuchniętymi mózgami, tak wypełnionymi maszyną, że nie mieściły się w czaszkach. Mózgi wożono w przezroczystych, napęcznionych cieczą kopułach, zatłoczonych pulsującymi mechanizmami podtrzymującymi – to byli ekstremalni Hybrydowcy i na tym etapie większość ich świadomej działalności została oddelegowana do rozproszonej sieci szerszej hybrydowskiej myśli. Zatrzymując jeszcze swe mózgi, przypominali stare rodziny, które nie chcą burzyć zaniedbanych rezydencji, choć już prawie nikt w nich nie mieszka.

Remontoire posmakował myśli każdego z nowo przybyłych. W sali znajdowali się ludzie, których od dawna uważał za zmarłych, indywidualia, które w czasach jego członkostwa nigdy nie uczestniczyły w żadnej z sesji Ścisłej Rady.

Chodziło o Clavaina. Jego sprawa wyciągnęła wszystkich z pieleszy.

Remontoire poczuł nagłą obecność Skade, gdy kobieta weszła do tajnej sali. Wynurzyła się na pierścieniowym balkonie w połowie wysokości sferycznego pomieszczenia. Izba nie przepuszczała transmisji neuralnych i osoby w środku mogły do woli komunikować się między sobą, lecz były całkowicie izolowane od innych umysłów Matczynego Gniazda. Pozwalało to Ścisłej Radzie odbywać sesje znacznie swobodniej niż przy użyciu zwykłych kanałów neuralnych.

Remontoire ukształtował myśl i przydzielił jej wysoki priorytet, tak że natychmiast przebiła się przez ogólny zalew plotek i przykuła uwagę wszystkich.

Czy Clavain wie o tym zebraniu?

Skade odwróciła się ku niemu.

[Czemu miałby o nim wiedzieć, Romontoire?]

Remontoire wzruszył ramionami.

Czyż nie przyszliśmy tu, by za jego plecami rozmawiać właśnie o nim?

Skade uśmiechnęła się słodko.

[Gdyby Clavain zechciał się do nas przyłączyć, nie byłoby potrzeby mówić o nim za jego plecami, prawda? To jego problem, nie nasz]

Remontoire wstał, teraz wszyscy patrzyli na niego lub kierowali nań jakieś aparaty sensoryczne.

Kto tu mówił o jakimś problemie, Skade? Mam tylko obiekcje do utajniania porządku obrad.

[Utajniony porządek obrad? Pragniemy dla Clavaina tylko tego co najlepsze. Sądziłam, że jako jego przyjaciel zauważysz ten fakt].

Remontoire rozejrzał się. Ani śladu Felki, co go w najmniejszym stopniu nie dziwiło. Miała wszelkie prawa, by tu być, ale wątpił, czy znalazła się na sporządzanej przez Skade liście zaproszonych.

Jestem jego przyjacielem, przyznaję. Wielokrotnie ratował mi życie, ale nawet, gdyby tego nie robił... cóż, Clavain i ja wiele razem przeszliśmy. Jeśli to oznacza, że nie jestem w tej sprawie obiektywny, to trudno. Ale coś wam powiem. - Remontoire powiódł wzrokiem po sali, kiwając głową, gdy napotkał czyjś wzrok lub uzyskał kontakt sensoryczny. – Wam wszystkim – albo tym, którym trzeba to przypominać- Clavain nie jest nam nic winien. Bez niego nie byłoby tutaj nikogo z nas. Jest dla nas równie ważny jak Galiana, a to stwierdzenie nie przychodzi mi łatwo. Galianę znałem dłużej niż kogokolwiek z tu obecnych.

Skade skinęła głową.

[Remontoire oczywiście ma rację, ale zauważcie, że zastosował czas przeszły. Wielkie czyny Clavaina to sprawa przeszłości, odległej przeszłości. Nie przeczę, że od czasu powrotu z głębokiego kosmosu nadal dobrze nam służył. Ale wszyscy też dobrze służyliśmy Gniazdu. Clavain nie zrobił nic ponadto, co zrobili starsi Hybrydowcy. Czyż jednak nie spodziewamy się po nim więcej?]

Więcej niż co, Skade?

[Zawsze to samo oddanie tylko żołnierce, ciągle wystawianie się na ryzyko].

Remontoire zdał sobie sprawę, że chcąc nie chcąc, stał się adwokatem Clavaina. Poczuł lekką pogardę dla innych członków Rady. Wiedział, że wielu z nich zawdzięcza życie Clavainowi i w innych okolicznościach by to przyznali. Ale Skade ich zastraszyła.

To on miał wstawić się za przyjacielem.

Ktoś musi patrolować granicę.

[Owszem. Ale mamy młodsze, szybsze i, bądźmy szczerzy, mniej cenne osoby, które mogą to robić. Potrzebujemy wiedzy Clavaina tutaj, w Matczynym Gnieździe, gdzie możemy ją wykorzystać. Nie wierzę, że trzyma się pogranicza ze względu na poczucie obowiązku względem Gniazda. Czyni to wyłącznie w swoim własnym interesie. Udaje, że jest jednym z nas, że jest po stronie zwycięskiej, bez pełnej akceptacji tego wszystkiego, co oznacza bycie Hybrydowncem. Świadczy to o złudnym samozadowoleniu, sobkostwie, o wszystkim, co jest wrogiem naszemu sposobowi życia. Zaczyna to również świadczyć o nielojalności]

Nielojalność? Nikt nie okazał więcej lojalności dla odłamu Hybrydownców niż Nevil Clavain. Może niektórzy z was powinni odkurzyć swą wiedzę historyczną?

Jedna z odłączonych głów wdrapała się jak pajak na siedzenie fotela.

[Zgadzam się z Remontoirem. Clavain nie jest nam nic winien. Zasłużył się dla nas tysiąckrotnie. Jeśli chce pozostać poza Radą, to jego prawo]

Z drugiej strony audytorium rozświetlił się drugi mózg. Światła rozbłyskiwały synchronicznie z wzorcami głosu.

[Tak. Nikt w to nie wątpi, ale również jest prawdą, że Clavain ma moralny obowiązek dołączenia do nas. Nie może nadal marnować swoich talentów poza Radą]

Mózg przerwał, a jego pompy ustrojowe pulsowały i bulgotały. Zawężlona tkanka nerwowa rozdymała się i kurczyła przez kilka letargicznych cykli, jak okropna bryła ciasta.

[Nie popieram konfrontacyjnej retoryki Skade. Ale nie można zaprzeczyć, że zasadniczo jej słowa zawierają prawdę. Ciągła opozycja Clavaina przeciw dołączeniu do nas jest równoznaczna z nielojalnością]

Och, zamknij się - przerwał mu Remontoire. – Gdyby jakoś Rady oceniać po tobie, nie dziwie się zastrzeżeniom Clavaina.

[To obraza!] – zaperzył się mózg.

Jednak w reakcji na swoją złośliwość Remontoire wyczuł stłumioną falę rozbawienia. Rozdęty mózg nie cieszył się tak powszechnym szacunkiem, jak sobie wyobrażał. Remontoire wyczuł właściwy moment. Wychylił się i mocno zacisnął dłonie na poręczy balkonu.

O co w tym wszystkim chodzi, Skade? Dlaczego właśnie teraz, po tylu latach, przez które Ściśła Rada obchodziła się bez niego?

[Co chcesz powiedzieć przez “dlaczego teraz”?].

Co skłoniło cię do tego posunięcia? Coś się dzieje, prawda?

Grzebień Skade zbrązowiał. Zacisnęła mocno szczęki. Cofnęła się o krok i wygięła plecy, jak zapędzony w róg kot.

Remontoire naciskał dalej.

Po pierwsze, wznowiliśmy program budowy statków kosmicznych sto lat po zaprzestaniu ich budowy z przyczyn tak tajnych, że nawet Radzie się ich nie przedstawia. Poza tym mamy prototyp wypchany ukrytą maszyną nieznanego pochodzenia i przeznaczenia, której natura znowu nie może zostać wyjawiona Radzie. Następnie mamy tu flotę podobnych statków składowanych w komecie niedaleko stąd – ale znowu wyjawia się nam tylko tyle. Jasne, że jestem przekonany, iż Wewnętrzne Sanktuarium, może mieć coś do powiedzenia na ten temat...

[Uważaj, co mówisz, Remontoire]

Czemuż to? Ponieważ grozi mi wdanie się w niewinne spekulacje?

Inny Hybrydowiec, mężczyzna z grzebieniem nieco podobnym do grzebienia Skade, wstał z wahaniem; Remontoire dobrze znał tego człowieka i był pewien, że to nie członek Wewnętrznego Sanktuarium.

[Remontoire ma rację. Coś się dzieje, i Clavain to tylko część problemu. Zaniechanie programu budowy statków, dziwne okoliczności towarzyszące powrotowi Galiany, nowa flota, niepokojące pogłoski o broni klasy piekło – to wszystko łączy się ze sobą. Obecna wojna to tylko przykrywka i Wewnętrzne Sanktuarium wie o tym. Być może prawdziwy obraz jest zbyt niepokojący, by mogli go zrozumieć zwykli członkowie Ścisłej Rady. Pozwolę sobie więc, podobnie jak Remontoire, na małe spekulacje i zobaczę, dokąd mnie zaprowadzą]

Mężczyzna przerwał i spojrzał przenikliwie na Skade.

[Krąży jeszcze inna pogłoska, Skade, o czymś o nazwie Osnowa. Jestem przekonany, że nie muszę wam powtarzać, że to słowo kodowe nadała Galiana na Marsie ostatniej serii swoich eksperymentów. Tych, co do których zaklinała się, że już nigdy ich nie powtórzy].

Być może Remontoire tylko to sobie wyobraził, ale kiedy padło to słowo, dostrzegł widoczną zmianę barwy grzebienia Skade.

Co z tą Osnową? – zapytał.

Mężczyzna odwrócił się do Remontoire'a.

[Nie wiem, ale zgaduję. Galiana nigdy nie chciała, by powtórzono te doświadczenia. Wyniki okazały się użyteczne, niewiarygodnie użyteczne. Ale również zbyt niepokojące. Jednak kiedy Galiana znalazła się daleko od Matczynego Gniazda, na swojej wyprawie międzygwiazdnej, cóż mogło powstrzymać Wewnętrzne Sanktuarium przed powtórnym uruchomieniem Osnowy? Ona nie musiała się przecież o tym w ogóle dowiedzieć]

Słowo kodowe brzmiało dla Remontoire'a znajomo – z pewnością słyszał je wcześniej. Lecz jeśli odnosiło się ono do eksperymentów Galiany na Marsie, musiały one mieć miejsce przed czterystu laty. Przekopanie się przez warstwy wspomnień będzie wymagało delikatnej archeologii mnemonicznej, zwłaszcza jeśli sam temat spowijał całun tajemnicy.

Prościej było zapytać.

Co to była Osnowa?

–Powiem ci, co to było, Remontoire.

Dźwięk rzeczywistego ludzkiego głosu w ciszy sali był równie szokujący jak wrzask.

Remontoire znalazł źródło dźwięku. Osoba mówiąca siedziała samotnie przy jednym z wejść. To była Felka – musiała nadejść już po rozpoczęciu sesji.

Skade łupnęła go w głowę wściekłą myślą.

[Kto ją zaprosił?].

–Ja – oznajmił łagodnie Remontoire, mówiąc głośno ze względu na Felkę. – Założyłem, że ty prawdopodobnie tego nie zrobisz, a skoro omawiana sprawa miała dotyczyć Clavaina... wydawało się to słuszne.

–Było słuszne – oznajmiła Felka. Remontoire zauważył, że w jej dłoni coś się porusza, i uświadomił sobie, że wniosła do tajnej sali mysz. – Zgadzasz się z tym, Skade?

Skade roześmiała się szyderczo.

[Nie ma potrzeby głośnego mówienia. Zabiera to za dużo czasu. Ona lepiej od nas wszystkich słyszy nasze myśli]

–Ale gdybyście słyszeli moje myśli, prawdopodobnie byście wszyscy oszaleli – powiedziała Felka. Jej uśmiech przyprawia o dreszcze, pomyślał Remontoire, gdyż prawdopodobnie ma słuszność. – Więc, żeby nie ryzykować... – Spojrzała w dół na mysz, goniącą na jej dłoni za własnym ogonem.

[Nie masz prawa tutaj przebywać].

–Ależ mam, Skade. Tajna sala nie wpuściłaby mnie, gdybym nie została rozpoznana jako członek Rady. I gdybym nie była członkiem Ścisłej Rady, raczej nie mogłabym opowiedzieć o Osnowie, prawda?

Mężczyzna, który pierwszy wymienił to słowo kodowe, odezwał się drżącym głosem:

–Więc moje domysły były słuszne, prawda, Skade?

[Nie słuchajcie tego, co mówi. Nie wie nic o programie]

–Mogę zatem mówić, co mi się podoba, i nie będzie to miało żadnego znaczenia. Osnowa to eksperyment, Remontoire, próba osiągnięcia jedności między świadomością a przestawieniem kwantowym. Przeprowadzono go na Marsie, sam możesz to sprawdzić. Ale Galiana osiągnęła znacznie więcej, niż chciała. Przerwała doświadczenia, przestraszona tym, co wywołała. I na tym powinno się to skończyć. – Felka z napięciem spojrzała prosto na Skade. – Ale się nie skończyło, prawda? Doświadczenia wznowiono mniej więcej przed wiekiem. To właśnie wiadomość z Osnowy spowodowała, że zaprzestaliśmy wytwarzać statki.

–Wiadomość? – zapytał zdezorientowany Remontoire.

–Z przyszłości – wyjaśniła Felka, jakby to było od początku oczywiste.

–Nie mówisz poważnie.

–Mówię zupełnie poważnie, Remontoire. Przecież wiem, brałam udział w jednym z eksperymentów.

Myśli Skade cięły salę.

[Mamy tutaj dyskutować o Clavainie, nie o tym]

Felka mówiła spokojnie dalej. Wszyscy w pomieszczeniu, ze mną włącznie, boją się Skade, myślał Remontoire. Felka się nie boi. Umysł Felki już zawierał okropności dla Skade po prostu niewyobrażalne.

–Ależ nie możemy dyskutować o jednym, nie dyskutując o drugim, Skade. Eksperymenty kontynuowano, prawda? I mają one coś wspólnego z tym, co dzieje się obecnie. Wewnętrzne Sanktuarium dowiedziało się o czymś i woli, żeby reszta z nas nic o tym nie wiedziała.

Skade znowu zacisnęła usta.

[Wewnętrzne Sanktuarium rozpoznało nadchodzący kryzys]

–Jakiego rodzaju? – spytała Felka.

[Bardzo ostry]

Felka poważnie kiwnęła głową i odgarnęła z oczu pasmo prostych, czarnych włosów.

–A na czym polega rola Clavaina w tym wszystkim?

Ból Skade był niemal dotykalny. Jej myśli nadchodziły w przyciętych pakietach, jak gdyby między wypowiedziami czekała na wskazówki suflera.

[Potrzebujemy Clavaina, by nam pomógł. Kryzys... można... złagodzić... z pomocą Clavaina].

–Jaką pomoc masz dokładnie na myśli? – nalegała Felka.

Malutka żyła poruszyła się na czole Skade. Postrzępione barwne fale goniły jedna drugą po jej grzebieniu, niczym wzory na skrzydle ważki.

[Dawno temu straciliśmy pewne wartościowe obiekty. Teraz wiemy dokładnie, gdzie się znajdują. Chcemy, by Clavain pomógł nam je odzyskać].

–Czy te obiekty... to przypadkiem nie broń? – spytała Felka.

Inkwizytor pożegnała się z kierowcą. Podczas jazdy spała mocno przez pięć czy sześć godzin i szofer miał okazję złupić jej rzeczy albo zostawić ją samą pośrodku nicości. Ale wszystko pozostało nietknięte, włącznie z pistoletem. Kierowca zostawił jej nawet wycinek gazety, ten o Cierniu.

Samo Solnhofen było tak nędzne i zapuszczone, jak się spodziewała. Wystarczył krótki spacer po centrum, by znalazła to, co uchodziło za serce osiedla: spłacheć bruku otoczonego przez dwie brudne gospody, parę ponurych budowli administracyjnych i pstre zbiorowisko knajp. Za centrum wylaniały się ogromne hangary naprawcze, które uzasadniały istnienie Solnhofen. Daleko na północy ogromne maszyny terraformujące pracowały nad przyśpieszeniem przemiany atmosfery Resurgamu w powietrze w pełni nadające się dla ludzi. Te rafinerie atmosferyczne, doskonale funkcjonujące przez kilka dziesięcioleci, teraz się psuły. Utrzymywanie ich w ruchu drenowało centralnie kierowaną gospodarkę planety. Wspólnotom w rodzaju Solnhofen udawało się nędznie żyć z remontów i obsługi machin terraformujących, ale praca była ciężka, rygorystyczna i wymagała robotników specjalnego typu.

Inkwizytor przypomniała sobie to wszystko, wchodząc do gospody. Oczekiwała, że o tej porze będzie tam cicho, ale gdy pchnęła drzwi, znalazła się jakby na przyjęciu, które właśnie rozkręciło się na dobre. Grała muzyka, rozbrzmiewały krzyki i śmiech, ostry, chóralny śmiech, przywodzący na myśl koszary na Krańcu Nieba. Kilku pijakom już urwał się film – siedzieli skuleni nad swymi kuflami jak uczniowie pilnujący pracy domowej. Od chemikaliów w powietrzu zapiekły ją oczy. Zagryzła wargi i zaklęła cicho. Można się było spodziewać, że Czwórka wybierze taką norę. Inkwizytor wspomniała ich pierwsze spotkanie w barze na karuzeli krążącej wokół Yellowstone, prawdopodobnie w najgorszej spelunie, jaką w życiu odwiedziła. Agent Cztery miał wiele talentów, ale nie należało do nich wybieranie porządnych miejsc na spotkania.

Na szczęście nikt nie zauważył przybycia inkwizytora. Przepchnęła się między na wpół letargicznymi ciałami do miejsca uchodzącego tu za bar: wybitej w ścianie dziury, obramowanej obtłuczonym ceglanym murem. Arogancka kobieta wydzielala drinki niczym racje więzienne, chwytając pieniądze i opróżnione szklanki z prawie nieprzyzwoitym pośpiechem.

–Proszę o kawę – powiedziała inkwizytor.

–Kawy nie ma.

–Więc daj mi, kurwa, coś najbardziej do niej zbliżonego.

–Nie powinna pani tak mówić.

**–Będę mówiła, jak mi się kurewsko podoba. Zwłaszcza zanim dostanę kawę. –
Oparła się o plastikową ramę okienka barowego. – Może mi pani zrobić kawę? Nie
żadam przecież złotych gór.**

–Ty rządowa?

**–Nie, po prostu spragniona. I nieco zirytowana. To rano, rozumie pani, a ja
naprawdę nie cierpię poranków.**

**Na jej ramię opadła czyjaś dłoń. Inkwizytor obróciła się gwałtownie, sięgając
instynktownie do uchwytu pistoletu bozerowego.**

–Znów się awanturujesz, Ana? – spytała kobieta stojąca za nią.

**Inkwizytor zamrugała. Wielokrotnie ćwiczyła tę scenę od chwili, gdy wyjechała z
Cuvier, ale nadal miała ona posmak nierzeczywistego melodramatu. Triumwir Ilia
Volyova kiwnęła kobiecie w okienku.**

–To moja przyjaciółka. Potrzebuje kawy. Zrób jej kawę.

**Kobieta zerknęła na nią, potem coś mruknęła i zniknęła. Pojawiła się kilka chwil
później z czymś, co wyglądało na ciecz spuszczoną z łożyska głównej osi
naziemnego ciągnika towarowego.**

–Weź to, Ana – powiedziała Volyova. – Lepszej tu nie mają.

Inkwizytor sięgnęła lekko drżącą dłonią po kawę.

–Nie powinnaś mnie tak nazywać – szepnęła.

Volyova skierowała ją do stolika.

–Nazywać jak?

–Ana.

–Ale to twoje imię.

–Już nie. Nie tutaj. Nie teraz.

**Stół wybrany przez Volyovą, wciśnięty w róg, był ukryty częściowo za kilkoma
ustawionymi w stos skrzynkami piwa. Volyova zamiotła rękawem blat, zrzucając
śmiecie na podłogę. Potem usiadła z łokciami na brzegu stołu i palcami splecionymi
pod brodą.**

–Nie sądzę, byśmy musiały się martwić, że ktoś cię rozpozna, Ana. Nikt mi się nie przyglądał, a przecież jestem najbardziej poszukiwaną osobą na planecie, być może z wyjątkiem Ciernia.

Inkwizytor, którą kiedyś zwali Ana Khouri, ostrożnie pociągnęła łyk melasowatej mieszaniny, uchodzącej tu za kawę.

–Korzystałaś z pewnej fachowej usługi zacierania śladów, Ilio... – Przerwała i rozejrzała się, uświadomiwszy sobie, jaki musi mieć w tej chwili podejrzany i teatralny wygląd.

–Mogę nazywać cię Ilio?

–Tak właśnie się nazwałam. Choć jak na razie lepiej opuszczać "Volyova". Nie ma sensu kusić losu.

–Absolutnie nie. Chyba powinnam powiedzieć... – Znowu się rozejrzała. Nie mogła się powstrzymać. – Dobrze znowu cię widzieć, Ilio. Taka jest prawda.

–Mnie też brakowało twojego towarzystwa. Dziwne, kiedy się myśli, że kiedyś omal się wzajemnie nie pozabijałyśmy. Teraz oczywiście to wszystko spłynęło...

–Zaczynałam się niepokoić. Tak długo się nie odzywałaś.

–Miałam ważne przyczyny, żeby siedzieć cicho, prawda?

–Tak przypuszczam.

Przez kilka minut obie milczały. Khouri – tak teraz znowu ośmieliła nazywać siebie w myślach – przypominała sobie początki tej zuchwałej gry, którą obie prowadziły. Zaprojektowały ją same, zaskoczone wzajemnie swą śmiałością i pomysłowością. Razem tworzyły naprawdę bardzo zaradny zespół. Ale przekonały się, że chcąc zwiększyć korzyści, muszą działać w pojedynkę.

Khouri, nie mogąc już dłużej czekać, przerwała milczenie.

–O co chodzi, Ilio? Dobre nowiny czy złe?

–Znając moją historię, jak ci się wydaje?

–Wszystko się sprawdziło? Złe wieści. Naprawdę bardzo złe wieści.

–Trafiłaś w dziesiątkę.

–To Inhibitorzy, prawda?

–Przykro mi, że jestem taka przewidywalna, ale rzeczywiście.

–Są tutaj?

–Tak sędzę. – Volyova ściszyła głos. – W każdym razie coś się dzieje. Sama to widziałam.

–Opowiedz mi o tym.

Głos Volyovej ścichł jeszcze bardziej. Khouri musiała natężyć słuch, by śledzić jej słowa.

–Maszyny, Ana, ogromne, czarne maszyny. Weszły do układu. Nigdy nie zauważyłam, jak wlatywały. Po prostu... pojawiły się tutaj.

Khouri kiedyś przez krótką chwilę posmakowała umysłu takich maszyn. Czowała wściekły, drapieżny chłód starożytnych zapisów. Były to jakby umysły stadnych drapieżników, stare, cierpliwe, czyhające w ciemnościach. Labirynty instynktu i wygłodzonej inteligencji, nieskrępowane współczuciem czy emocjami. Wyły do siebie przez milczące stopy galaktyki, wzywając się do tworzenia wielkich grup, kiedy krwawy zaduch życia znowu zakłócił ich zimowy sen.

–Wielki Boże.

–Nie możemy powiedzieć, że ich nie oczekiwaliśmy. Gdy Sylveste zaczął majstrować przy rzeczach, których nie rozumiał, było to tylko kwestią czasu i miejsca.

Khouri patrzyła na przyjaciółkę, zastanawiając się, dlaczego temperatura w pomieszczeniu nagle wydaje się niższa o dziesięć czy piętnaście stopni. Budząca przestrasz i nienawiść triumwir, wyglądała teraz na małą i nieco zaniedbaną osobę, jak kobieta bezdomna. Jej włosy tworzyły krótką siwiejącą strzechę nad okrągłą twarzą z przenikliwym spojrzeniem oczu, zdradzających dalekich mongolskich przodków. Nie wyglądała na przekonującego głosiciela zagłady.

–Jestem przerażona, Ilio.

–Mamy doskonałe powody do przerażenia. Ale postaraj się tego nie okazywać, dobrze? Jeszcze nie chcemy straszyć miejscowych.

–Co możemy zrobić?

–Przeciwko Inhibitorom? – Volyova zmrużyła oczy za szklanką, chmurząc się nieco, jak gdyby właśnie po raz pierwszy poważniej rozważała ten problem. – Nie wiem. Amarantini nie zanotowali w tej dziedzinie poważnych sukcesów.

–Nie jesteśmy ptakami nietotami.

–Nie, jesteśmy ludźmi – biczem galaktyki... czy coś takiego. Nie wiem, Ana. Naprawdę nie wiem. Gdyby chodziło tylko o ciebie i mnie, i gdybyśmy zdołały przekonać statek, kapitana, by wylazł ze swojej skorupy, mogłybyśmy przynajmniej zastanawiać się nad ucieczką. Nawet pospekulować o użyciu broni, jeśli to by coś pomogło.

Khoury zadrżała.

–Ale nawet gdyby to wyszło i nasza ucieczka się udała, nie pomogłoby to Resurgamowi, prawda?

–Nie, nie pomogłoby. I nie wiem, jak jest z tobą, Ana, ale mojego sumienia w tej chwili nie można nazwać bielszym od bieli.

–Ile mamy czasu?

–To właśnie jest dziwne. Inhibitorzy, gdyby chcieli, mogliby już zniszczyć Resurgam – nawet dysponując naszą techniką, można to zrobić. Wobec tego wątpię, czy właśnie to sprawiało im szczególny kłopot.

–Więc może jednak nie przybyli tutaj, by nas zabić.

Volyova odchyliła swą szklankę.

–Lub też możliwe... tylko możliwe... że przybyli właśnie po to.

W zatłoczonym sercu czarnych machin procesory, które same nie były rozumne, uznały, że umysł nadzorcy powinien zostać rozbudzony do świadomości.

Nie podjęły lekko tej decyzji. Większość oczyszczeń mogło być wykonanych bez rozbudzania widma akurat tego, co maszyny miały dławić. Ten układ stwarzał jednak problemy. Zapisy wskazywały, że dokonano tutaj wcześniejszego czyszczenia, zaledwie czterdzieści pięć dziesięciotysięcznych obrotu Galaktyki temu. To, że maszyny zostały przywołane ponownie, znaczyło, że najwyraźniej są potrzebne dodatkowe środki.

Zadanie nadzorcy polegało na rozprawieniu się z tym właśnie szczególnym zakażeniem. Żadne dwa czyszczenia nigdy nie były jednakowe, a godne pożałowania zjawisko polegało na tym, że inteligencję najlepiej się unicestwiała, stosując również dawkę inteligencji. Ale kiedy już czyszczenie się skończy, bezpośredni jej przejaw zostanie prześlędzony wstecz do samego źródła, a zarodki unicestwione – co może zająć następne dwie tysięczne obrotu Galaktyki, czyli pół miliona lat – nadzorca zostanie uspiiony, a jego samoświadomość spakowana, dopóki znowu nie będzie jej potrzebował.

A to może już nigdy nie nastąpić.

Nadzorca nigdy nie podawał w wątpliwość sensu swojej pracy. Wiedział tylko tyle, że działa dla ostatecznego dobra życia rozumnego. Nie miało znaczenia, że kryzys, którego chciał uniknąć, kryzys, który stałby się nieprzezwykłą kosmiczną katastrofą, jeśli dano by się rozprzestrzenić inteligentnemu życiu, miał nadejść za trzysta obrotów – trzy miliardy lat.

To się nie liczyło.

Dla Inhibitorów czas nie znaczył nic.

SIEDEM

[Skade? Obawiam się, że zdarzył się następny wypadek]

Wypadek jakiego rodzaju?

[Wycieczka do stanu dwa]

Ile czasu trwała?

[Tylko kilka milisekund. Ale to wystarczyło]

Obydwoje – Skade i jej starszy technik napędu – przykucnęli w komórce. Pomieszczenie miało czarne ściany, znajdowało się blisko rufy “Nocnego Cienia”, który z kolei spoczywał w doku w Matczynym Gnieździe. Aby się pomieścić, musieli wygiąć plecy i przyciskać kolana do piersi. Pozycja nieprzyjemna, ale po kilku pierwszych wizytach Skade wymazała uczucie niewygody związanej z postawą i zastąpiła je chłodnym spokojem w stylu zen. Wciśnięta w nieludzko małe kryjówki mogła wytrzymać całe dni – już miała podobne doświadczenia. Za ścianami, odseparowane od siebie w licznych upakowanych otworach, tkwiły skomplikowane i zdumiewające elementy maszyneryi. Bezpośrednie sterowanie i dostrajanie całego urządzenia było możliwe jedynie z tego miejsca. Pomieszczenie łączyło się z siecią sterującą statku tylko nielicznymi, najbardziej niezbędnymi kanałami.

Czy ciało nadal jest tutaj?

[Tak]

Chciałabym je obejrzeć.

[Nie zostało wiele do oglądania]

Jednak mężczyzna odłączył swój komputers i poprowadził, rozstawiając nogi na boki i powłócząc nimi jak krab. Skade szła za nim. Przechodzili z jednej kryjówki do drugiej, od czasu do czasu przeciskając się między wystającymi częściami maszyneryi. Urządzenie znajdowało się wszędzie wokół nich, wywierając swój subtelny, lecz niezaprzeczalny wpływ na samą strukturę otaczającej ich czasoprzestrzeni.

Nikt – również Skade – dokładnie nie rozumiał, jak działa ta maszyna. Wysuwano hipotezy, niektóre bardzo naukowe i chyba do przyjęcia, ale w sercu wszystkich koncepcji ziała otchłań conceptualnej ignorancji. Wiedza Skade na temat tej maszyneryi to był tylko raport o przyczynach i skutkach, bez głębszego wyjaśnienia mechanizmów fizycznych. Wiedziała, że kiedy maszyna działa, ma tendencję do stabilizowania się w jednym z kilku dyskretnych stanów, z których każdy dał się skojarzyć z mierzalnymi zmianami metryki lokalnej... ale stany te nie były ostro oddzielone od siebie i urządzenie czasami dziko między nimi oscylowało. Ponadto istniał powiązany z tym problem rozmaitych geometrii pola i niezwykle złożone zagadnienie ich wpływu na stabilność danych stanów...

Stan dwa, powiadasz? Dokładnie w jakim trybie się znajdowałeś przed wypadkiem?

[W stanie jeden, według instrukcji. Badaliśmy niektóre z nieliniowych geometrii pola]

Co to było tym razem? Atak serca, tak jak poprzednio?

[Nie, a przynajmniej nie wydaje się, by atak serca był główną przyczyną śmierci. Tak jak mówiłem, niewiele zostało do badań]

Skade z technikiem wciąż posuwali się naprzód, przeciskając się przez ciasne zagięte przewężenie między sąsiednimi częściami maszynerii. W tej chwili pole znajdowało się w stanie zero, przy którym nie obserwowano mierzalnych skutków fizjologicznych, ale Skade nie mogła całkowicie pozbyć się dręczącego wrażenia, że świat nieco odchylił się od normalnego. To tylko iluzja – mierzalny efekt wykazywałyby jedynie bardzo czułe sondy kwantowo- próżniowe. Ale odczucia Skade były bardzo konkretne.

[Jesteśmy na miejscu]

Skade spojrzała wokół. Wynurzyli się w jednej z większych wolnych przestrzeni w trzewiach urządzenia – komórce o żłobkowanych, czarnych ścianach, wysokiej dokładnie na tyle, że można było w niej stanąć. Ściany były podziurawione licznymi gniazdkami wejściowymi dla komputersów.

Tu właśnie się to wydarzyło?

[Tak, tu był największy uskok pola].

Nie widzę ciała.

[Po prostu nie patrzysz uważnie].

Podążyła za jego wzrokiem, skierowanym na pewne szczególne miejsce na ścianie. Skade podeszła i dotknęła ściany urękawicznionymi końcami palców. Coś, co początkowo wydawało się równie szklście czarne jak pozostała część pomieszczenia, okazało się szkarłatne i lepkie. Około pół centymetra jakiejś substancji przykleiło się do jednej ze ścian komory.

Proszę, powiedz mi, że to nie to, o czym myślę.

[Obawiam się, że to dokładnie to, o czym myślisz]

Skade zamieszała dłonią w czerwonej substancji. Warstwa była dostatecznie lepka, by stworzyć kleistą masę, nawet w nieważkości. Gdzieś Skade wyczuwała coś twardszego – odłamek kości lub maszynerii – ale żadna grudka większa od paznokcia nie została w jednym kawałku.

Opowiedz, co się wydarzyło.

[Znajdował się wokół punktu zogniskowania pola. Wycieczka do stanu dwa trwała tylko chwilę, ale już okazała się znacząca. Każdy ruch byłby zabójczy, nawet

bezwolne drgnienie. Mógł być martwy, zanim uderzył w ścianę].

Jak szybko się poruszał?

[Co najmniej kilka kilometrów na sekundę]

Takie uderzenie jest chyba bezbolesne. Czy czuliście, jak uderzył!

[Na całym statku. To było jak wybuch małej bomby]

Skade myślowo nakazała rękawiczkom oczyszczenie. To, co do nich przywarło, odpłynęło z powrotem ku ścianie. Pomyślała o Clavainie – chciałyby mieć odrobinę jego odporności na podobne widoki. Clavain w czasie swojej żołnierki widział tyle okropności, że wytworzył sobie mentalną zbroję. Skade w zasadzie toczyła swoje bitwy zdalnie.

[Skade?...]

Grzebień musiał wyrażać jej zaniepokojenie.

Nie martw się o mnie. Po prostu spróbuj wykryć, co poszło źle, i postaraj się zagwarantować, żeby to się nie powtórzyło.

[A program testujący?]

Oczywiście program trwa nadal. Teraz każ sprzątnąć ten bałagan.

Felka unosiła się w innym pomieszczeniu swojego spokojnego rezydencyjnego pnia. Do pasa, zamiast narzędzi, przymocowała na linkach mnóstwo małych metalowych klatek, zderzających się z cichym pobrząkiwaniem przy każdym jej ruchu. Każda z klatek zawierała grupę białych myszy, skrobiących i obwąchujących ścianki. Felka nie zwracała na nie uwagi: nie przebywały w klatkach długo, były dobrze odżywione i wkrótce miały się cieszyć pewną swobodą.

Patrząc w mrok, zamknęła oczy. Jedynym źródłem światła była niewyraźna poświata z sąsiedniego pokoju, oddzielonego od tego pomieszczenia krętym gardłem wypolerowanego drewna o barwie spalonego karmelu. Felka znalazła przymocowany do ściany promiennik ultrafioletu i włączyła go.

Jedna ze ścian pomieszczenia – Felka nigdy nie starała się ustalić, gdzie znajduje się góra – była pokryta butelkowozielonym szkłem. Za szkłem znajdowało się coś, co na pierwszy rzut oka przypominało posplatany drewniany system wodociągowy, palimpsest rur, przepustów, uszczelek, zaworów i pomp. Drewniane ukośniki i teowniki o niejasnym na pierwszy rzut oka przeznaczeniu łączyły rozmaite jego części. Rury i przepusty miały tylko trzy boki drewniane – czwartą ścianę tworzyło szkło. Można było zatem obserwować wszystko, co się nimi przesunęło.

Felka wprowadziła już do labiryntu kilkanaście myszy przez jednokierunkowe przepusty przy krawędzi szkła. Myszy już na najbliższych rozgałęzieniach wybrały rozbieżne trasy i teraz dzieliło je od siebie kilka metrów. Buszowały w swych własnych obszarach labiryntu. Brak ciężenia zupełnie ich nie trapił – tarcie o drewno wystarczało, umożliwiając swobodne czmychanie w dowolnym kierunku. Bardziej doświadczone myszy opanowały w końcu sztukę przemykania rurami, minimalizując powierzchnię ciała, którą ocierały o drewno i szkło. Ale przeważnie posługiwały się tą sztuczką dopiero po spędzeniu w labiryncie kilku godzin i doświadczeniu kilku cykli nagradzania. Felka sięgnęła do jednej z przymocowanych do talii klatek. Otworzyła zameczek, tak że zawartość – trzy białe myszy – wylała się do labiryntu. Umknęły, przez chwilę szczęśliwe, że uciekły z metalowych więzień. Felka czekała. Wcześniej czy później jedna z myszy trafi na zapadnię albo drzwi wahadłowe, połączone z delikatnym systemem sprężynowych drewnianych dźwigni. Kiedy mysz przeciskała się przez klapy, jej ruch powodował przesuwanie się dźwigni. Ruch, zwykle przekazywany przez labirynt, powodował, że metr czy dwa od oryginalnego źródła zakłócenia otwierała się okiennica. Inna mysz, przepychając się przez oddaloną gałąź labiryntu, mogła nagle zobaczyć, że droga, uprzednio wolna, została zablokowana. Albo też gryzoń zostanie zmuszony do podejmowania decyzji, gdzie poprzednio nie było to potrzebne. Niepokoje związane z nowymi opcjami zaćmią na moment jego mózdek. Możliwe, że wybór drugiej myszy zaktywizuje następny system dźwigni, powodując w dali rekonfigurację jeszcze innej części labiryntu. Felka, unosząc się w

środku, będzie obserwowała te zdarzenia, drewno przesuujące się w niekończących się permutacjach, napędzające ślepy program, którego nośnikami były same myszy.

Obserwacje fascynowały Felkę, choć łatwo się nudziła. Dla niej labirynt to tylko początek. Uruchamiała maszynę labiryntu niemal w ciemności, rozświetlaną jedynie nadfioletem. Myszy posiadały geny, które wytworzyły u nich proteiny, powodujące fluorescencję ciała przy oświetleniu ultrafioletem. Felka widziała myszy wyraźnie przez szkło – poruszające się smugi jasnej purpury. Patrzyła na nie z żarliwą, ale wyraźnie słabnącą fascynacją.

Labirynt był w całości jej pomysłem. Sama zaprojektowała i wykonała drewniane mechanizmy. Majstrowała nawet przy myszach, sprawiała, że świeciły, ale to była łatwizna w porównaniu z pracą dłutem i pilnikiem przy trudnej konstrukcji pułapek. Przez pewien czas myślała nawet, że ten wysiłek się opłacał.

Jedną z niewielu rzeczy, które nadał mogły zainteresować Felkę, była emergencja. Na Diademie, pierwszym świecie odwiedzionym po opuszczeniu Marsa w pierwszym statku podświetlnym, Clavain, Galiana i Felka studiowali rozległy, krystaliczny organizm, któremu wyrażenie czegokolwiek na kształt najprostszej myśli zajmowało lata. Jego posłańcami synaptycznymi były bezmózgie czarne robaki, kopiące w zmiennej sieci neuralnej kapilarnych lodowych kanałów, drążących wieczny lodowiec.

Clavain i Galiana siłą oderwali ją od dogłębnych badań lodowca na Diademie. Nigdy im tego nie wybaczyła. Od tamtego czasu pociągały ją podobne systemy, wszystko, w czym złożoność wyłaniała się w nieprzewidywalny sposób z pojedynczych elementów. Zgromadziła niezliczone prognozy symulujące, ale nigdy nie stwierdziła, że naprawdę chyta sedno problemu. Jeśli z jej systemu wyskakiwała złożoność – a zdarzało się to często – nigdy nie mogła pozbyć się poczucia, że mimowolnie wbudowała ją w system od samego początku. Doświadczenia z myszami stanowiły inną drogę. Odrzuciła podejście cyfrowe i zajęła się analogowym.

Pierwsza maszyna, którą zbudowała, działała na wodę. Zainspirowały ją szczegóły prototypu, który odkryła w cybernetycznym archiwum Matczynego Gniazda. Stulecia wcześniej, na długo przed transoświeceniem, ktoś zbudował komputer analogowy, przeznaczony do modelowania przepływu pieniędzy w gospodarce. Cała maszyna składała się z retort, zaworów i delikatnie zrównoważonych dźwigni. Zabarwione ciecze reprezentowały rozmaite naciski rynkowe i parametry finansowe: stopy procentowe, inflację, deficyt handlowy. Maszyna pluskała i gulgotała, rozwiązując zawile równania całkowe za pomocą skutecznych metod stosowanej mechaniki płynów.

To ją oczarowało. Przebudowała prototyp, dodała kilka zmyślnych własnych

udoskonaleń. Urządzenie dostarczało nieco rozrywki, ale Felka widziała tylko przejawy emergencji. Maszyna była bezlitośnie deterministyczna i nie generowała prawdziwych niespodzianek.

Stąd te myszy. Były nosicielami przypadku, chaosem na łapkach. Zmajstrowała nowe urządzenie, wykorzystując ich nieprzewidywalne gonitwy do przełączeń ze stanu do stanu. Złożone systemy dźwigni i przełączników, zapadni i rozgałęzień zapewniały, że labirynt bez przerwy mutował, wijąc się przez przestrzeń fazową – zawrotną wielowymiarową przestrzeń matematyczną wszystkich możliwych konfiguracji, w jakich mógł się znaleźć labirynt. Przestrzeń fazowa zawierała atraktory, niczym planety i gwiazdy marszczące płachtę czasoprzestrzeni. Gdy labirynt stoczył się ku któremuś z nich, często wchodził na rodzaj orbity, oscylując wokół tego stanu, aż coś – albo narastająca niestabilność, albo bodziec z zewnątrz – powodowało, że pomykał gdzie indziej. Zazwyczaj wystarczyło wpuścić do labiryntu nową mysz.

Od czasu do czasu układ był ściągany do atraktora, w którym myszy nagradzano większą niż zwykle porcją jedzenia. Felkę interesował problem, czy myszy – działając na ślepo, niezdolne do świadomej współpracy – znajdą jednak sposób pokierowania labiryntu w sąsiedztwo jednego z takich atraktorów. Gdyby to nastąpiło, byłby to z pewnością przejaw emergencji.

Raz się to wydarzyło. Ale grupa myszy nigdy od tamtego czasu nie powtórzyła tego wyczynu. Felka wpuściła więcej myszy do systemu, ale te jedynie zablokowały labirynt, zamknąwszy go w pobliżu innego atraktora, gdzie nie działo się nic interesującego.

Nie poddała się. W systemie nadal istniały subtelności, których nie rozumiała w pełni, i labirynt jeszcze jej nie nudził. Ale na dnie umysłu już czaił się strach. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że labirynt nie zdoła jej fascynować zbyt długo.

Labirynt pstrykał i szcząkał, jak babciny zegar zabierający się do wybicia godziny. Słyszała okiennicowe trzaskanie zamykających się i otwierających drzwi. Szczegóły labiryntu za szkłem nie rysowały się wyraźnie, ale przepływ myszy dość dobrze zdradzał jego zmieniającą się geometrię.

–Felka?

Przez przewężenie między pomieszczeniami przeciskał się mężczyzna. Wdryfował do izby i wyhamował naciskiem palców na wypolerowane drzewo. Widziała niewyraźnie jego twarz. Łysa czaszka miała niezupełnie właściwy kształt. W mroku wydawała się dziwna, jak wydłużone, szare jajo. Felka patrzyła na głowę, wiedząc, że powinna skojarzyć tę twarz z Remontoirem. Jednak gdyby weszło tu sześciu czy siedmiu mężczyzn w mniej więcej tym samym wieku fizjologicznym, mających te

same dziecięce czy neoteniczne rysy twarzy, nie mogłaby wśród nich wskazać Remontoire'a. Ale ponieważ często ją ostatnio odwiedzał, była pewna, że to właśnie on.

–Cześć, Remontoire.

–Proszę, czy nie mogłabyś dać tu więcej światła? Albo może byśmy porozmawiali w innym pokoju?

–Tutaj będzie doskonale. Jestem w trakcie przeprowadzania pewnego doświadczenia.

Spojrzał na szklaną ścianę.

–Czy światło je zepsuje?

–Nie, ale wtedy nie widziałabym myszy.

–Racja – przyznał po zastanowieniu Remontoire. – Clavain jest ze mną. Za chwilę tu przyjdzie.

–Och. – Niezręcznie włączyła jedną z latarni. Turkusowe światło zadrżało niepewnie, a potem się ustabilizowało.

Studiowała wyraz twarzy Remontoire'a, starając się jak najlepiej go odczytać. Nawet teraz, kiedy знаła już tożsamość mężczyzny, jego twarz nie stała się wzorem przejrzystości. Jej ekspresja pozostawała mglista, pełna dwuznaczności. Nawet odczytanie najpowszechniejszych wyrazów twarzy wymagało intensywnego wysiłku, jak wyróżnianie konstelacji w gromadzie słabo świecących gwiazd. Rzeczywiście, od czasu do czasu zdarzało się, że jej dziwaczna maszyna neuralna wyróżniała wzorce całkowicie niedostrzegalne dla normalnych ludzi. Przeważnie jednak w sprawach mimiki Felka nie mogła polegać na swoich osądach.

Miała tego świadomość, patrząc na Remontoire'a, roboczo przyjęła, że wygląda on na zatroskanego.

–Czemu nie przychodzi od razu?

–Chce nam dać chwilę czasu na przedyskutowanie spraw Ścisłej Rady.

–Czy wie cokolwiek o tym, co wydarzyło się dzisiaj w izbie?

–Zupełnie nic.

Felka podpłynęła do szczytu labiryntu i wpuściła do przepustu następną mysz, w nadziei, że odblokuje ona skupisko w lewej dolnej ćwiartce.

–Tak musi zostać, chyba że Clavain zgodzi się wejść do Rady. Ale nawet wtedy może się rozczarować, że nie dopuszcza się go do pewnych informacji.

–Rozumiem, dlaczego nie chcesz, by wiedział o Osnowie – oznajmił Remontoire.

–Co dokładnie chcesz przez to powiedzieć? j

–Sprzeciwiliście się życzeniom Galiany, prawda? Po tym, czego dowiedziała się na Marsie, przerwała Osnowę. A jednak, kiedy wróciłaś z głębokiego kosmosu – a ona nadal tam gdzieś była – chętnie brałaś w tym projekcie udział.

–Nagle stałaś się niezłym ekspertem od tego problemu.

–Wszystko to jest w archiwach Matczynego Gniazda, jeśli się wie, gdzie szukać. Fakt, że eksperyment się odbył, w ogóle nie jest sekretem. – Remontoire przerwał i z lekkim zainteresowaniem obserwował labirynt. – Co rzeczywiście zdarzyło się w Osnowie i dlaczego Galiana to przerwała, to zupełnie inna sprawa. W archiwach nie wspomina się o żadnych wiadomościach z przyszłości. Co w tych wiadomościach okazało się na tyle interesujące, że nie można potwierdzać samego ich istnienia?

–Jesteś tak samo ciekaw, jak ja wtedy.

–Oczywiście. Ale czy to tylko ciekawość kazała ci postąpić wbrew jej życzeniom? Czy może odruch buntu przeciw własnej matce?

Felka powstrzymała wybuch gniewu.

–Nie była moją matką, Remontoire. Dzieliliśmy razem nieco materiału genetycznego. To wszystko, co nas łączyło. I nie, nie był to też bunt. Szukałam czegoś, by zająć swój umysł. Sądzono, że Osnowa ma coś wspólnego z nowym stanem świadomości.

–Więc też nie wiedziałaś o wiadomościach?

–Słyszałam pogłoski, ale im nie wierzyłam. Wydawało się, że najprostszym sposobem poznania tego bezpośrednio był udział w eksperymencie. Ale to nie ja rozpoczęłam Osnowę od nowa. Program został już wskrzeszony przed naszym powrotem. Skacie chciała, bym do niego dołączyła – chyba myślała, że unikalność mego umysłu może być ważna dla programu. Ale odegrałam małą rolę i odeszłam stamtąd prawie natychmiast po przybyciu.

–Dlaczego? Ponieważ nie działało to tak, jak się spodziewano?

–Nie. Prawdę mówiąc, działało doskonale. Była to też najbardziej przerażająca rzecz, jakiej w życiu doświadczyłam.

Uśmiechał się do niej przez moment. Potem jego uśmiech powoli zanikł.

–A właściwie dlaczego?

–Wcześniej nie wierzyłam w istnienie zła. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

–Zła? – powtórzył, jakby obawiał się, że nie dosłyszał.

–Tak – powiedziała cicho.

Teraz, kiedy poruszono już ten temat, okazało się, że wspomina zapach i teksturę pomieszczenia Osnowy, jakby to działo się dopiero wczoraj, choć zrobiła co mogła, by kierować myśli daleko od tego sterylne białego pokoju. Nie chciała zaakceptować rzeczy, których się w nim dowiedziała.

Eksperymenty były logiczną kontynuacją pracy, którą Galiana zainicjowała w pierwszych dniach spędzonych w marsjańskich laboratoriach. Zaczęła udoskonalać ludzki mózg, wierząc, że jej praca może jedynie przynieść korzyści ludzkości. Jako swój model Galiana przyjęła rozwój komputera cyfrowego od jego prostego, powolnego niemowlęctwa. W pierwszym kroku wzmocniła moc obliczeniową i szybkość ludzkiego umysłu, tak jak wcześnie inżynierowie od kalkulatorów wymienili sprężyny na przełączniki elektromechaniczne; przełączniki na lampy; lampy na tranzystory; tranzystory na mikroskopijne urządzenia monolitycznych układów scalonych; układy scalone na kwantowe bramki przetwarzające, które dryfowały na rozmytej krawędzi heisenbergowskiej zasady nieoznaczoności. Wtargnęła do mózgow swych podwładnych – a także swojego mózgu – małymi maszynami, które między mózgowymi komórkami zbudowały połączenia. Połączenia dokładnie dublowały połączenia już istniejące, ale mogły przenosić sygnały nerwowe o wiele prędszej. Galiana zablokowała zwykle przenoszenie tych sygnałów medykamentami i dodatkowymi maszynami. W ten sposób dopełniająca sieć Galiany przejęła procesy neuralne. Subiektywnym tego wynikiem była świadomość normalna, ale przyspieszona. Mózg został jakby przeciążony, zdolny do procesów myślowych wykonywanych z szybkością dziesięć do piętnastu razy większą niż normalnie. Powstały problemy na tyle poważne, że przyspieszona świadomość mogła zostać utrzymana najwyżej przez kilka sekund, ale pod innymi względami eksperyment zakończył się powodzeniem. W stanie przyspieszonej świadomości ktoś mógł obserwować jabłko spadające ze stołu i zanim dotknęło ziemi, stworzyć haiku, upamiętniające to wydarzenie. Poddany eksperymentowi mógł obserwować, jak mięsień obniżający i dźwigacz wyginają się i skręcają w skrzydle kolibra, albo rozkoszować się widokiem korony rozbryzgu kropli mleka. Nie trzeba dodawać, że wszyscy zmodyfikowani stali się także wspaniałymi żołnierzami.

Wobec tego Galiana przeszła do fazy następnej. Dawno temu inżynierowie komputerowi odkryli, że z pewnymi klasami problemów najlepiej sobie radzić, kiedy

zepnie się równolegle armie komputerów, dzielące się wspólnie danymi przez sieć węzłów. Galiana dążyła do tego celu u swoich neuralnie wzmocnionych poddanych, stworzywszy korytarze przepływu danych między ich umysłami. Pozwoliła, by dzielili oni wspomnienia, doświadczenia, a nawet wykonywanie pewnych zadań mentalnych, takich jak rozpoznawanie obrazów.

To właśnie ten eksperyment, oszalały – skaczący niekontrolowanie z umysłu do umysłu, psujący maszyny neuralne, które już były na miejscu – doprowadził do wydarzenia znanego jako transoświecenie i – z dalszymi konsekwencjami – do pierwszej wojny przeciw Hybrydomcom. Koalicja na rzecz Czystości Neuralnej wytępiła sprzymierzeńców Galiany, spychając ją na powrót w zamknięcie w małym, ufortyfikowanym skupisku laboratoriów, tkwiącym wewnątrz Wielkiego Muru Marsjańskiego.

To właśnie tam w 2190 roku spotkała pierwszy raz Clavaina – był wtedy jej jeńcem. Tam właśnie kilka lat później urodziła się Felka. I właśnie tam Galiana przeszła do trzeciej fazy swych doświadczeń. Nadal, kontynuując model stworzony przez wczesnych inżynierów – komputerowców, chciała zbadać efekty zastosowania podejścia kwantowo- mechanicznego.

Inżynierowie komputerowcy na przełomie wieku dwudziestego i dwudziestego pierwszego – z punktu widzenia Galiany to jakby tuż po epoce napędów sprężynowych – wykorzystali zasady kwantowe, by dobrać się do problemów, które w innym wypadku byłyby nierozwiązane, takie jak rozkład bardzo wielkich liczb na czynniki pierwsze. Komputer konwencjonalny, a nawet cała armia komputerów konwencjonalnych współdzielących dane, nie miał szans znalezienia tych czynników przed efektywnym końcem wszechświata. A jednak odpowiedni sprzęt – niezgrabna mieszanina pryzmatów, soczewek, laserów i procesorów optycznych, ustawiona na stole laboratoryjnym – uzyskiwał rozwiązanie w ciągu kilku milisekund.

Odbyła się zajadła debata, co się właściwie dzieje, ale nikt nie miał wątpliwości, że właściwy rozkład znaleziono. Najprostszym wyjaśnieniem – Galiana nigdy nie widziała powodu, by podawać je w wątpliwość – była hipoteza, że kwantowe komputery rozdzielają zadanie między nieskończoną liczbę własnych kopii, rozsianych w równoległych wszechświatach. Koncepcja oszalamiająca, ale ta teoria była najrozsądniejsza. I nie pojawiła się z pustki, by wyjaśnić kłopotliwy wynik – idea wszechświatów równoległych była już jedną z koncepcyjnych podpór fizyki kwantowej.

Galiana próbowała więc zrobić coś podobnego z ludzkimi umysłami. Izba Osnowy – urządzenie do sprzęgania jednego lub wielu wspomaganych umysłów w spójny system kwantowy – była sztabą podwieszoną magnetycznie rubidu, na której bez przerwy wymuszano cykle kwantowej spójności i kwantowego kolapsu. Podczas każdego okresu spójności sztaba znajdowała się w stanie superpozycji z

nieskończoną liczbą kopii siebie samej i właśnie w takiej chwili próbowano osiągnąć sprzężenie neuralne. Sama ta czynność zmuszała sztabę do kolapsu do jednego ze stanów makroskopowych, ale kolaps nie był natychmiastowy. Przez chwilę nieco kwantowych własności sztaby przedostawało się do połączonych umysłów, wprowadzając je w słabą superpozycję z własnymi odpowiednikami w świecie równoległym.

W tym momencie Galiana miała nadzieję, że może nastąpić jakaś dostrzegalna zmiana w doświadczanym stanie świadomości uczestnika. Jednak jej teorie nie przewidywały, jakie to mogą być zmiany.

Okazały się zupełnie czymś innym niż to, czego Galiana się spodziewała.

Nigdy nie opowiadała Felce szczegółowo o swoich wrażeniach, ale Felka dowiedziała się dostatecznie dużo, by stwierdzić, że w szerokim sensie jej własne przeżycia są podobne. Kiedy eksperyment się rozpoczynał, a obiekt lub obiekty leżały w izbie na kanapach z głowami w rozwartej białej paszczy wysokorozdzielczych neuralnych interfejsowych trałów, wszyscy mieli pewne przeczucie – niczym aura, która ostrzega o zbliżającym się ataku epilepsji.

Potem nadchodziło wrażenie, którego Felka nie była w stanie odpowiednio opisać poza eksperymentem. Mogła tylko powiedzieć, że jej myśli nagle stały się zbiorowe, jakby za każdą z nich odkrywała słabe, chóralne echo innych myśli, które niemal dokładnie naśladowały jej myśli. Nie czuła bezkresu takich myśli, ale czuła, słabo, że wycofują się one w coś konkretnego, jednocześnie stając się rozbieżnymi. Miała w tym momencie kontakt ze swoimi odpowiednikami.

A potem zaczynało się dziać coś znacznie bardziej osobliwego. Wrażenia gromadziły się i ustalały, niczym fantomy odczuwane po godzinach deprivacji sensorycznej. Stawała się świadoma czegoś, co ciągnie się przed nią, w głąb wymiaru, którego nie potrafiła w pełni zwizualizować, ale który jednak dawał zawrotne poczucie odległości i oddalenia.

Jej umysł korzystał ze znajomych podpowiedzi zmysłowych i rzutował na niepewne znajome konstrukcje. Widywała długi biały korytarz, ciągnący się w nieskończoność, skąpany w ponurym bezbarwnym świetle, i wiedziała, nie mogąc powiedzieć skąd, że ogląda korytarz w przyszłość. Po obu stronach korytarza widniały liczne blade drzwi czy otwory, każde otwarte na jakąś oddaloną przyszłą epokę. Galiana nigdy nie zamierzała otworzyć drzwi do tego korytarza, ale najwyraźniej to umożliwiła.

Felka czuła, że korytarzem nie da się pójść; można było tylko stać na jego końcu i słuchać wiadomości, które nim nadejdą.

I wiadomości nadchodziły.

Tak jak sam obraz korytarza, zostały przefiltrowane przez jej własne postrzeganie. Nie można było stwierdzić, z jak odległej przyszłości nadeszły ani jak wygląda przysyłająca je przyszłość. Czy w ogóle komunikacja z przeszłością była możliwa bez powodowania paradoksów? Próbując odpowiedzieć na te pytania, Felka natknęła się na zapomnianą pracę fizyka o nazwisku Deutsch, który opublikował swoje przemyślenia dwieście lat przed doświadczeniami Galiany. Deutsch utrzymywał, że czas należy rozpatrywać nie jak płynącą rzekę, ale jak serie nieruchomych migawkowych zdjęć, ułożonych razem na stosie, by utworzyły czasoprzestrzenie, w których przepływ czasu był jedynie subiektywnym złudzeniem. Obraz Deutscha bezpośrednio pozwalał na podróż w czasie ku przeszłości, z zachowaniem wolnej woli, a jednak bez wprowadzania paradoksów. Chwył polegał na tym, że konkretna "przyszłość" mogła komunikować się jedynie z "przeszłością" innego wszechświata. Miejsce, skąd te wiadomości nadchodziły, nie leżało w przyszłości Galiany. Mogły być z przyszłości bardzo do niej bliskiej, ale nigdy z tej, do której dotrze ona sama. Nie miało to znaczenia. Dokładna natura przyszłości miała mniejsze znaczenie niż sama zawartość przekazu.

Felka nigdy nie dowiedziała się dokładnie, jakie wiadomości otrzymała Galiana, ale mogła się tego domyślać. Były prawdopodobnie tego samego rodzaju, co otrzymane przez Felkę w czasie krótkiego okresu jej uczestnictwa w eksperymencie.

Przeważnie instrukcje wykonywania różnych rzeczy, raczej podpowiedzi i drogowskazy wprowadzające na właściwy kierunek niż szczegółowe szkice techniczne. Ale gdy te odległe transmisje doszły do uczestników eksperymentu Osnowa, były już zredukowane do na wpół słyszalnego echa, zniekształcone, przemieszane i przeplecione z kilkudziesięcioma innymi przekazami. Wyglądało to tak, jakby istniał tylko jeden kanał między teraźniejszością a przyszłością, kanał z ograniczonym pasmem przenoszenia. Każda przesłana wiadomość redukowałą potencjalną pojemność przyszłych wiadomości. Ale nie zawartość wiadomości niepokoiła, lecz to, co Felka przelotnie dostrzegęła za nimi.

Czuła tam jakiś umysł.

–Dotknęliśmy czegoś – powiedziała Remontoire'owi. – Lub też raczej coś dotknęło nas. Sięgnęło korytarzem i otarło się o nasze umysły, nadeszło w tym samym czasie, kiedy dostawaliśmy instrukcje.

–Właśnie ta rzecz była złem?

–Nie potrafię tego inaczej opisać. Zaledwie przelotne z nią spotkanie, zaledwie dzielenie z nią myśli przez chwilę

doprowadziło większość z nas do szaleństwa, a nawet uśmierciło. – Felka spojrzała na ich odbicia na szklanej ścianie. – Ale ja przeżyłam.

–Miałaś szczęście.

–Nie, to nie szczęście. Niezupełnie. Po prostu rozpoznałam tę rzecz, więc szok wywołany spotkaniem z nią nie był aż tak głęboki. I ponieważ ono również mnie rozpoznało. Wycofało się natychmiast po dotknięciu mego umysłu i skoncentrowało na innych.

–Co to było? Przecież jeśli to rozpoznałaś...

–Szkoda, że to zrobiłam. Musiałam od tamtego czasu żyć z tym rozpoznaniem i nie było to łatwe.

–Więc co to było? – naciskał Remontoire.

–Myślę, że to była Galiana – oznajmiła Felka. – Sądzę, że to jej umysł.

–W przyszłości?

–W jednej z przyszłości. Nie w naszej, przynajmniej nie w naszej dokładnie.

Remontoire uśmiechnął się nerwowo.

–Galiana nie żyje. Oboje o tym wiemy. Jak jej umysł mógł przemawiać do ciebie z przyszłości, nawet jeśli to przyszłość nieco odmienna od naszej. Nie mogła być odmienna aż tak.

–Nie wiem. Zastanawiam się. I ciągle się zastanawiam, w jaki sposób stała się taka.

–I właśnie dlatego opuściłaś Osnowę?

–Sam też byś to zrobił. – Felka zobaczyła, że mysz skręciła na niewłaściwym zakręcie, nie na tym, który Felka przewidywała. – Gniewasz się na mnie, prawda? Czujesz, że ją zdradziłam.

–Bez względu na twoje wyjaśnienia tak, myślę, że tak – powiedział łagodniej.

–Nie mam do ciebie pretensji. Ale musiałam tak postąpić, Remontoire. Musiałam to zrobić natychmiast. Zupełnie tego nie żałuję, choć szkoda, że się tego dowiedziałam.

–A Clavain... Czy coś o tym wie? – szepnął Remontoire.

–Oczywiście, że nie. To by go zabiło.

Rozległo się stukanie palców o drewno. Clavain wpłynął do pomieszczenia, rzucił okiem na labirynt i zapytał:

–Mówicie o mnie za moimi plecami, prawda?

–Tak naprawdę to w ogóle o tobie nie rozmawialiśmy – oznajmiła Felka.

–Jestem rozczarowany.

–Poczęstuj się herbatą, Clavainie. Powinna się jeszcze nadawać do picia.

Clavain wziął bańkę.

–Chcecie mi przekazać, co zdarzyło się na zebraniu Ścisłej Rady?

–Nie możemy omawiać szczegółów – rzekł Remontoire. – Mogę tylko powiedzieć, że istnieją poważne naciski, byś dołączył do Rady. Częściowo pochodzą od Hybrydowców, którzy czują, że twoja lojalność dla Matczynego Gniazda zawsze będzie wątpliwa, dopóki tam nie wstąpisz.

–Są cholernie bezczelni.

Remontoire i Felka wymienili spojrzenia.

–Być może – zgodził się Remontoire. – Są także tacy – przypuszczam, że to twoi sprzymierzeńcy – którzy uważają, że z nawiązką udowodniłeś przez lata lojalność.

–To bardziej odpowiada faktom.

–Ale oni również chcieliby cię mieć w Ścisłej Radzie – oświadczyła Felka. – Wydaje się im, że należąc do Rady, nie będziesz mógł wędrować i narażać się na niebezpieczeństwo. Postrzegają to jako sposób ochrony cennego zasobu.

Clavain podrapał się w brodę.

–Więc mówisz, że w żaden sposób nie wygram?

–Istnieje mniejszość, której odpowiada to, że pozostajesz poza Radą – dodał Remontoire. – Niektórzy to twoi najwytrwalsi sprzymierzeńcy. Inni jednak myślą, że pozwalanie ci na zabawę w żołnierzyka to najłatwiejszy sposób, byś został trupem.

–Miło wiedzieć, że cię doceniają. A co ty myślisz?

–Rada cię potrzebuje, Clavainie. Teraz bardziej niż kiedykolwiek – odparł Remontoire.

Felka poczuła, że między obydwojma mężczyznami przemknęło coś niewyraźnego. Nie była to komunikacja neuralna, lecz coś starszego, co mogli rozumieć jedynie zaufani przyjaciele, którzy długo się znali.

Clavain kiwnął poważnie głową i spojrzał na Felkę.

–Znasz moje stanowisko, Clavainie – powiedziała. – Znam ciebie i Remontoire'a od czasów dzieciństwa na Marsie. Byłeś tam dla mnie. Wróciłeś do gniazda Galiany i mnie ocaliłeś, kiedy ona stwierdziła, że to beznadziejne. Później nigdy nie zrezygnowałeś ze mnie. Przemieniłeś mnie. Uczyniłeś ze mnie osobę.

–A teraz?

–Galiany już nie ma – oznajmiła. – Jedno ogniwo łączące mnie z przeszłością mniej. Nie sądzę, abym zniosła utratę jeszcze jednego.

W doku naprawczym na krawędzi Karuzeli Nowa Kopenhaga, w zewnętrznej alei habitatów wokół yellowstońskiego Pasa Rdzy, Xavier Liu miał trudności z małymi małpami. Brygadzysta warsztatu, który nie był małą małpą, ale ulepszonym orangutanem, niemal bez uprzedzenia wycofał z warsztatu wszystkie sajmiri. Xavier nie ponosił winy – jego stosunki z pracownikami zawsze były dobre – ale orangutan kazał robotnikom przerwać pracę na znak poparcia dla strajkujących po przeciwnej stronie stacji kolobusów. O ile Xavier się orientował, w dyspucie chodziło o lemury, które pracowały za stawki niższe od określonych przez związek i w ten sposób odbierały pracę wyższym naczelnym.

Sprawę uważałby za dość interesującą, nawet zabawną, gdyby nie wpływała na jego ostatnie zadanie. To się wiąże z lokalizacją, pomyślał Xavier. Gdyby nie lubił pracować z małpami, małpiatkami, a od czasu do czasu nawet z leniwcami pigmejami, nie powinien był zakładać interesu na Karuzeli Nowa Kopenhaga.

Zewnętrzna aleja habitatowa była najeżonym szarym torusem, obracającym się wewnątrz Pasa Złomu, ciągiem zdewastowanych habitatów i wypatroszonych pozostałości habitatów, które nadal okrężały Yellowstone. Habitaty przybierały wszelkie możliwe rozmiary i kształty jeszcze zanim dosięgła je starość, akty sabotażu i zderzenia. Niektóre z nich zaprojektowano jako olbrzymie, wypełnione powietrzem walce lub kule ozdobione lustrami i delikatnymi złotymi osłonami przeciwsłonecznymi.

Inne zostały skonstruowane na małych asteroidach i fragmentach komet, wprowadzonych na orbitę wokół Yellowstone przez armię Porywaczy. Czasami takie habitaty wwiercały się głęboko w swoje skaliste jądra, przekształcając je w system oszałamiających centrów i wypełnionych powietrzem miejsc publicznych. Inne zbudowano głównie na powierzchni, dla ułatwienia dostępu z lokalnego kosmosu. Te umieszczone pod kopułami wspólnoty w niewielkim ciężeniu skupiały się razem jak żabi skrzek, mieniający się zielenią i błękitem miniaturowych biomów. Zazwyczaj kopuły nosiły ślady pośpiesznych napraw: blizny i pajęczyny awaryjnych uszczelnaczy epoksydowych lub piany diamentowej. Niektórych nie uszczelniono powtórnie i wszystko, co leżało w ich wnętrzu, było mroczne i bez życia, jak popiół.

Inne habitaty zaprojektowano mniej pragmatycznie. Helisy i spirale niczym dmuchane szkło lub muszle łodzika; ogromne zlepki sfer i rur, przypominające molekuly organiczne. Istniały habitaty, które stale zmieniały swój kształt – powolne, symfoniczne poruszenia czystej architektury. Były też takie, które uparcie tkwiły przy niemodnych projektach przez wieki, opierając się wszelkim upiększeniom i innowacjom. Kilka innych okryło się mgłą sproszkowanej materii, skrywając swój prawdziwy kształt.

Ponadto były tam wraki. Niektóre ewakuowano podczas zarazy i nie przechodziły później dużych katastrof, ale większość zderzała się potem z fragmentami innych habitatów, pokruszonych i powypalanych. Kilka storpedowano, rozerwano ładunkami nuklearnymi – zostało z nich niewiele. Kilkoma władali nadal agresywni dzicy lokatorzy, choć Konwencja Ferrisvillska starała się ich stamtąd wyrzucić.

Karuzela Nowa Kopenhaga przetrwała lata zarazy z większym sukcesem niż inne habitaty, jednak nie wyszła z nich zupełnie bez szwanku. W obecnych czasach stanowiła pojedynczy, gruby, powoli obracający się pierścień. Jej brzeg miał średnicę kilometra. Z daleka wyglądała jak strupowata plama zawitych konstrukcji, jakby pasmo przemysłowego miejskiego pejzażu nawinięto na koło. Z bliska pejzaż rozpadał się na mnóstwo wież, dźwigów, doków i patykowatych kratownic, odwijających się w próżnię. Wszystko to było upstrzone milionami rozbłysków palników spawalniczych, haseł reklamowych i mrugających znaczników lądowisk. Przybywające i odlatujące statki nawet w czasie wojny tworzyły mgiełkę owadziego ruchu wokół krawędzi habitatu. Sterowanie ruchem wokół Kopenhagi przyprawiało o ból głowy.

Kiedyś koło obracało się z dwukrotnie większą szybkością – wystarczało to do wytworzenia na brzegu odśrodkowego ciężenia jednego g. Statki lądowały w nie wirującym rdzeniu, nadal w nieważkości. Potem, w czasach największego rozkwitu zarazy, kiedy poprzednia Migotliwa Wstęga została zdegradowana do Pasa Złomu, zabłąkany kawał innego habitatu zniszczył cały rdzeń. Brzeg zostawiono – obracał się sam, bez szprych.

Katastrofa przyniosła śmierć setkom osób. Statki ratunkowe parkowały w rdzeniu – przyjmowały ewakuujących się do Chasm City. Precyzja uderzenia wydawała się podejrzana, ale późniejsze śledztwo wykazało, że karuzela miała po prostu wyjątkowego pecha.

A jednak Kopenhaga ocalała. Była stara i nie polegała specjalnie na mikrotechnice, którą niszczyła zaraza. Dla milionów, które na niej mieszkały, życie toczyło się niemal tak jak przedtem. Z powodu braku łatwo dostępnych miejsc dokowania dla nowych okrętów, ewakuacja była, oględnie mówiąc, uciążliwa. Kiedy minęły najgorsze miesiące zarazy, większość Kopenhagi była nadal zamieszkana. Inne karuzele pozostawiono zawodnej opiece maszyn – tę w ruchu utrzymywali sami obywatele. Sterowali nią tak, by unikała następnych zderzeń, i bezlitośnie tępiliby wybuchy zarazy we własnych habitatach. Jeśli nie liczyć odosobnionych późniejszych wypadków – podobnych do tego, w którym Lyle Merrick walnął napędzanym chemicznie frachtowcem w krawędź, wybijając krater, nad którym nadal ślinili się turyści- gule – karuzela przetrwała poważną katastrofę w stanie w zasadzie nienaruszonym.

W latach rekonstrukcji karuzela od czasu do czasu usiłowała zgromadzić fundusze na odbudowanie centralnego rdzenia. Nigdy się to nie udało. Kupcy i właściciele

statków skarżyli się, że tracą zamówienia, bo bardzo trudno było lądować na poruszającej się krawędzi. Obywatele jednak nie zgodzili się na obniżenie obrotów koła, ponieważ przywykli do ciężenia. W końcu wszyscy przystali na kompromis, który nie podobał się żadnej ze stron. Szybkość obrotowa została zmniejszona o pięćdziesiąt procent, co obniżało o połowę ciężenie na krawędzi. Wprowadzenie statku do doku nadal było trudne, choć łatwiejsze niż przedtem. Prócz tego, twierdzili obywatele, statkom wylatującym karuzela dostarczała bezpłatnego napędu, kiedy odlatywały po stycznej – nie powinni więc się skarżyć. Na pilotach nie robiło to wrażenia. Argumentowali, że paliwo zaoszczędzone na tym bezpłatnym wypchnięciu już zużyli podczas manewru podchodzenia.

Okazało się jednak, że to niespotykane rozwiązanie przynosi dziwne korzyści. Podczas późniejszych, zdarzających się od czasu do czasu lat bezprawia, karuzela okazała się odporna na większość aktów piractwa. Dzicy lokatorzy poszli sobie gdzie indziej. A niektórzy piloci rozmyślnie dokowali swe statki na krawędzi Kopenhagi, ponieważ woleli dokonywać pewnych napraw w warunkach ciężenia niż w zwykłych bezciężeniowych dokach innych habitatów. Przed wybuchem wojny gospodarka karuzeli zaczęła się nawet rozwijać. Próbné rusztowania wystawały z brzegu koła do środka, tworząc zaczątek nowych osi, które zostaną odtworzone później. Po rekonstrukcji osi zamierzano natychmiast odbudować rdzeń.

Na krawędzi znajdowało się tysiące suchych doków rozmaitej wielkości i kształtu. Mogły przyjmować główne typy statków wewnątrzukładowych. W większości stanowiły wgłębienia w krawędzi, z dolną stroną otwartą w kosmos. Statki musiały być spuszczone do doku, zazwyczaj z pomocą zrobotyzowanego holownika, a następnie bezpiecznie zamocowane wzmacnianymi zaczepami. Obiekty nie umocowane spadały na powrót w kosmos, zazwyczaj już na zawsze. Praca na zadokowanych okrętach była dzięki temu interesująca, choć wymagała wykonawców pozbawionych lęku wysokości. Zawsze jednak znajdowali się chętni.

Xavier Liu nie obsługiwał uprzednio statku, na którym obecnie pracował – pracował sam, gdyż jego małpy zastrajkowały. Miał jednak wcześniej do czynienia z wieloma statkami tego samego typu. To był tramp Pasa Złomu- małpy na wół zautomatyzowany ciągnik kargo, kursujący między habitatami. Jego kadłub stanowiła szkieletowa rama, do której można było przymocować gondole towarowe niczym ozdoby na choince. Ciągnik leciał między walcem Swifta- Augustine'a, a karuzelą zarządzaną przez Dom Poprawek – ukrytą w cieniu firmą wyspecjalizowaną w dyskretnym odwracaniu skutków procedur kosmetycznych.

Na pokładzie ciągnika lecieli pasażerowie, umieszczeni w pojedynczych, dostosowanych indywidualnie gondolach ładunkowych. Gdy statek wykrył wadę techniczną w swym systemie nawigacyjnym, zlokalizował najbliższą karuzelę oferującą błyskawiczne naprawy i wystosował ofertę. Firma Xaviera odpowiedziała konkurencyjnym zgłoszeniem i ciągnik skierował się ku Kopenhadze. Xavier upewnił

się, że są dostępne zrobotyzowane holowniki, które pomogły ciągnikowi osiąść w doku, a teraz gramolił się po szkielecie statku, z przyklepnymi łatami na podszewkach i dłoniach, mocującymi go do szczypiącego zimnego metalu. Różne narzędzia zwisały mu z pasa skafandra, a ostatni model komputera obejmował rękaw. Od czasu do czasu Xavier wysnuwał kabel i włączał go w port danych w szkielecie ciągnika; przygryzał język, gdy analizował otrzymane liczby.

Wiedział, że każdą wadę w systemie nawigacyjnym jest stosunkowo łatwo naprawić. Kiedy się ją znalazło, naprawa sprowadzała się po prostu do zamówienia części zamiennej z magazynu. Zazwyczaj mała przyniosłaby ją w ciągu kilku minut. Kłopot polegał na tym, że od trzech kwadransów wspinał się po tym ciągniku, a dokładne źródło awarii nadal mu umykało.

To był problem, ponieważ jego oferta gwarantowała, że ciągnik za sześć godzin będzie kontynuował swą podróż. Większość pierwszej godziny już wykorzystał, włączając w to czas zużyty na zaparkowanie statku. Pięć godzin to normalnie mnóstwo czasu, ale zaczynał nieprzyjemnie podejrzewać, że to jedna z tych prac, za które w końcu firma wypłaca karę umowną.

Xavier gramolił się obok jednej z gondoli ładunkowych.

–Podpowiedz mi coś, sukinsynu...

W słuchawce rozległ się przenikliwy głos podośoby ciągnika:

–Znalazłeś we mnie usterkę? Bardzo mi zależy na kontynuowaniu misji.

–Nie. Zamknij się. Muszę pomyśleć.

–Powtarzam, bardzo mi zależy...

–Stul pieprzoną jadaczkę.

Z przodu gondoli znajdowała się przejrzysta łata. Dotychczas unikał oglądania pasażerów, ale tym razem zobaczył więcej niż chciał. W środku znajdowało się stworzenie podobne do skrzydlatego konia. Tylko że konie, nawet skrzydlate, nie mają kobiecych twarzy. Xavier odwrócił wzrok, kiedy oczy z tej twarzy spojrzały w jego własne oczy.

Wyciągnął kabel do następnego gniazdka, mając nadzieję, że tym razem złapie usterkę. Może system nawigacyjny był w istocie dobry, po prostu wada sieci diagnostycznej... Czyż nie zdarzyło się tak już raz, z tym ciągnikiem, który przyleciał z transportem sorbetowych szczeniaków z Hotelu Amnezja? Spojrzał na wyświetlacz czasowy w dolnym prawym rogu szyby hełmu. Zostało pięć godzin i dziesięć minut, włączywszy w to czas potrzebny na testy i na wypchnięcie ciągnika z powrotem w

pusty kosmos. Nie wyglądało to dobrze.

–Czy znalazłeś we mnie usterkę? Bardzo mi zależy...

Przynajmniej odwracało to jego myśli od innej sprawy – tak mu się wydawało. Ponaglany, z zawikłanym problemem technicznym do rozwiązania, nie myślał obsesyjnie o Antoinette. Z trudem znosił jej nieobecność. Nie aprobował sprawy, którą załatwiała, ale wiedział, że jego namowy do rezygnacji z tego planu to ostatnia rzecz, jakiej Antoinette potrzebuje. Jej własne wątpliwości musiały być dostatecznie silne.

Zrobił więc, co mógł. W ramach wymiany usług z innym warsztatem, który miał trochę wolnego miejsca, wciągnął "Burzyka" do ich doku naprawczego, drugiego co do wielkości w Kopenhadze. Antoinette patrzyła nerwowo, przekonana, że zaciski dokujące nie utrzymają czterystu tysięcy ton dośrodkowego ciężaru frachtowca. Ale statek ani drgnął, a małpy Xaviera dokonały gruntownego serwisu.

Po skończonej pracy Xavier i Antoinette kochali się ostatni raz przed jej odlotem. Potem Antoinette weszła za ściankę śluzy i kilka minut później, prawie przez łzy, Xavier obserwował odlot "Burzyka" spadającego w dal, aż wydał się niesamowicie mały i kruchy.

Wkrótce w warsztacie pojawił się ciekawski proksy z Konwencji Ferrisvillskiej: przerażające urządzenie z ostrzami, które przez kilka godzin pełzało w pobliżu – chyba tylko po to, by zastraszyć Xaviera. Nic nie znalazło i straciło zainteresowanie.

Nic więcej się nie wydarzyło.

Antoinette oznajmiła mu, że w strefie działań wojennych będzie zachowywać ciszę radiową, więc z początku brak wiadomości go nie dziwił. Potem sieci ogólne przyniosły mętne meldunki o jakiejś aktywności militarnej w pobliżu Mandarynkowego Snu, gazowego giganta, gdzie Antoinette planowała pochować ojca. Nie powinno się to zdarzyć. Antoinette tak zaplanowała swą podróż, by zbiegła się z przerwą w działaniach wojennych w tej części układu. Sprawozdania nie wspominały o statku cywilnym, wplątany w walki, ale to nic nie znaczyło. Może dostała się w ogień krzyżowy i o jej śmierci dowie się tylko Xavier? Albo może władze wiedziały, że zginęła, ale nie chciały ogłaszać faktu, że statek cywilny zawędrował tak daleko w Rejon Sporny?

Kiedy dni zmieniały się w tygodnie i nadal nie otrzymywał od niej żadnych wiadomości, Xavier pogodził się z faktem, że jest martwa. Zginęła szlachetnie, robiąc coś zuchwałego, choć bezcelowego, w centrum działań wojennych. Nie poddała się cynicznej rezygnacji. Xavier był dumny, że ją znał, i cierpiał udręczony, że już jej nigdy nie zobaczy.

–Muszę zapytać znowu. Czy znalazłeś usterkę w?...

Xavier wstukał polecenia do swego rękawa, odłączając własne systemy łączności od podosoby. Niech się sukinsyn trochę pokisi we własnym sosie, pomyślał.

Zerknął na zegar. Cztery godziny pięćdziesiąt pięć minut, a wcale się nie zbliżył do diagnozy. Parę linii do prześledzenia, które kilka minut wcześniej wydawały się obiecujące, okazało się zdecydowanie ślepymi uliczkami.

–Pieprzyć ten cholerny kawał...

Na jego rękawie zapulsowała zieleń. Xavier obserwował to przez mgiełkę irytacji i łagodnego przerażenia. Jaka to byłaby ironia losu, gdyby warsztat i tak wypadł z interesu, czy wykona tę pracę, czy nie...

Rękaw komunikował mu, że odbiera pilny sygnał spoza Karuzeli Nowa Kopenhaga. Nadchodził właśnie w tej chwili, kierowany do warsztatu przez sieć komunikacji ogólnej. Wiadomość była jedynie głosowa i nie miała opcji odpowiedzi w czasie rzeczywistym, gdyż nadający – ktokolwiek to był – znajdował się za daleko. A to oznaczało, że ten, kto nadaje, znajduje się gdzieś daleko poza Pasem Złomu. Xavier kazał rękawowi przewinąć wiadomość do początku i przekazać ją do hełmu.

–Xavier... mam nadzieję, że to dostaniesz. Mam nadzieję, że warsztat nadal działa i że ostatnio nie kazałeś spłacić zbyt wielu długów wdzięczności. Ponieważ mam zamiar cię poprosić, byś zażądał ogromnej spłaty.

–Antoinette – powiedział głośno mimowolnie, szczerząc zęby w idiotycznym uśmiechu.

–Musisz wiedzieć tylko to, co za chwilę ci powiem. Resztę omówimy później, bezpośrednio. Teraz wracam, ale mam o wiele za dużą szybkość względną, by osiągnąć Pas Złomu. Muszę dostać holownik ratowniczy, lecący z moją prędkością, i to cholernie szybko. Mają chyba parę Taurusów IV w doku Laszla? Jeden z nich łatwo poradzi sobie z "Burzykiem". Jestem pewna, że są nam coś winni za tę pracę przy Dax Autrichiem zeszłego roku.

Dała mu namiary i kazała uważać na aktywność banshee w sektorze, który wymieniła. Antoinette miała rację – poruszała się rzeczywiście szybko. Xavier był ciekaw, co się stało. Wkrótce się dowie. Antoinette zwlekała z przekazaniem wiadomości do ostatniej chwili, więc miał bardzo mało czasu na dogadanie się co do Taurusów IV. Nie więcej niż pół dnia, inaczej holowniki nie zdołają jej złapać. Wtedy problem będzie dziesięciokrotnie trudniejszy do rozwiązania i Xavier zostanie zmuszony do zaciągnięcia długu wdzięczności znacznie przekraczającego możliwości spłaty.

Antoinette lubi niebezpieczne życie, pomyślał.

Znowu skupił uwagę na ciągniku. Nie przybliżył się do rozwiązania problemu awarii systemu nawigacyjnego, ale czemuś nie przygniatało to jego umysłu tym samym poczuciem skrajnej pilności.

Xavier znowu szturchnął swój rękaw, powtórnie łącząc się z podosobą. Natychmiast zabręczała mu w uchu. Brzmiało to tak, jakby mówiła do niego cały czas, nawet wtedy, gdy nie słuchał:

–...mnie usterkę? Wymagam najusilniej, żebyś usunął ten błąd w obiecany terminie. W razie niedotrzymania warunków kontraktu może zostać nałożona na ciebie kara nie większa niż sześćdziesiąt tysięcy jednostek Ferrissa lub też nie więcej niż sto dwadzieścia tysięcy, jeśli niedotrzymanie jest...

Znowu odłączył swój rękaw. Zapanowała upragniona cisza.

Xavier sprawnie zszedł ze szkieletu ciągnika. Przeskoczył niewielki odstęp do jednej z półek naprawczych hangaru i wylądował pośród narzędzi i szpul kabli. Odłączył uchwyt na dłoni i ustabilizował swą pozycję, spoglądając po raz ostatni na ciągnik, by się upewnić, czy nie zostawił na nim cennych narzędzi. Nie zostawił.

Odemknął panel na zasmarowanej olejem ścianie hangaru. Za ścianą znajdowało się mnóstwo kontroltek, ogromne, jak u zabawek, przyciski i dźwignie. Niektóre sterowały energią elektryczną i oświetleniem, inne hermetyzacją i temperaturą. Zignorował je wszystkie, jego dłoń spoczęła na wydatnej szkarłatnej kontrolce, zwalniającej zaczepy mocujące.

Spojrzał znów na ciągnik. Miał zamiar zrobić coś naprawdę głupiego. Jeśli popracuje jeszcze jakąś godzinę, będzie miał duże szanse na wyśledzenie usterki. Potem ciągnik mógłby ruszyć w swoją drogę, nie byłoby kar umownych i ześlizg warsztatu w rejony niewypłacalności zostałby zatrzymany, choć może tylko na parę tygodni.

Z drugiej strony istniała jednak obawa, że będzie pracował jeszcze przez pięć godzin i w dalszym ciągu nie odkryje uszkodzenia. Wtedy nastąpią kary umowne, nie większe niż sto dwadzieścia tysięcy Ferrisów, o czym usłudźnie poinformował go ciągnik, jak gdyby znajomość górnego ograniczenia w jakiś sposób zmniejszała dolegliwość. I spóźniłby się pięć godzin z ratowaniem Antoinette.

Naprawdę nie było się nad czym zastanawiać.

Xavier opuścił szkarłatną dźwignię. Poczuł, jak ustala się w swym nowym położeniu z satysfakcjonująco staromodnym szczęknięciem. Natychmiast w całym hangarze zaczęły migać pomarańczowe światła ostrzegawcze. W hełmie zadźwięczał mu sygnał

alarmowy, nakazujący trzymać się z daleka od sunącego metalu.

Zaciski wycofały się gwałtownie, niczym przekaźniki telegraficzne. Przez chwilę ciągnik unosił się magicznie zawieszony. Potem dośrodkowa grawitacja wzięła górę i szkieletowy statek kosmiczny niemal majestatycznie zszedł z hangaru naprawczego równie gładko i elegancko jak spadający żyrandol. Xavierowi nie dane było podziwiać ciągnika malejącego w dali – rotacja karuzeli wyrwała pojazd natychmiast z linii wzroku. Mógł poczekać do następnego pojawienia się ciągnika, ale miał zadanie do wykonania.

Ciągnikowi nic się nie stanie, wiedział o tym. Kiedy oddali się od Kopenhagi, następny specjalista od napraw bez wątpienia się nim zajmie. Za kilka godzin będzie prawdopodobnie znowu na trasie do Domu Poprawek ze swym ładunkiem niemodnie zmutowanych pasażerów.

Oczywiście nadal trzeba będzie spełnić żądania zapłaty, napływające z wielu miejsc: od samych pasażerów, jeśli się zorientują; od Swift- Augustine'a, habitatu, który ich wysłał; od kartelu właściciela ciągnika; może nawet od samego Domu Poprawek, za narażenie jego klientów na niebezpieczeństwo.

–A niech się wszyscy pieprzą.

Dostał wiadomość od Antoinette i tylko to się liczyło.

OSIEM

Clavain spoglądał na gwiazdy.

Znajdował się na zewnętrznej powierzchni Matczynego Gniazda, usadowiony głową w dół albo do góry – nie mógł się zdecydować, które określenie jest właściwsze na w zasadzie pozbawionej ciężenia, wydrążonej komecie. Nigdzie żywej duszy – prawdę mówiąc, nie widać było w ogóle żadnych oznak, że są tu gdzieś ludzie. Przypadkowy obserwator uznałby, że Clavaina porzucono bezlitośnie na powierzchni komety, bez statku, pożywienia i schronienia. Nic nie wskazywało, że w sercu komety wiruje olbrzymi mechanizm.

Kometa obracała się powoli, okresowo wznosząc blady klejnot Epsilon Eridani nad horyzontem Clavaina. Gwiazda przewyższała jasnością wszystkie inne widoczne na niebie, jednak nadal bardziej przypominała gwiazdę niż słońce. Mężczyzna czuł chłód pustej przestrzeni dzielącej go od tej gwiazdy. To zaledwie sto jednostek astronomicznych – odrobinka w porównaniu z odległościami międzygwiazdowymi – ale mimo to czuł dreszcz. Clavain już wielokrotnie miał do czynienia z ogromnymi przestrzeniami kosmosu, jednak zawsze przy takich okazjach doznawał uczucia strachu i zachwyty.

Jego uwagę przyciągnęło światło. Bardzo słaby błysk gdzieś w płaszczyźnie ekliptyki, na szerokość dłoni od Eridani. Potem ponownie ostra, nagła iskierka, na pograniczu wykrywalności. Więc to nie złudzenie. Potem następny rozbłysk, w niewielkiej odległości od dwu pierwszych. Clavain polecił hełmowi przysłonić słońce, by jego oczy nie musiały zmagać się z tak wielkim dynamicznym zakresem jaskrawości. Przyłbica wypełniła polecenie, przysłaniając gwiazdę precyzyjną czarną maską. Sprawiała wrażenie powidoku po zbyt długim wpatrywaniu się w to słońce.

Clavain wiedział, co to takiego. Kilkadziesiąt godzin świetlnych stąd w kosmosie toczyła się bitwa. Walczące okręty, prawdopodobnie rozproszone w obszarze o średnicy kilku minut świetlnych, ostrzeliwały się bronią relatywistycznymi. Gdyby znajdował się wewnątrz Matczynego Gniazda, mógłby się podłączyć do ogólnej taktycznej bazy danych i wyciągnąć informację od jednostek patrolujących tamten sektor układu, ale nie dowiedziałby się więcej, niż sam mógł wydedukować.

Błyski to przeważnie ginące okręty. Od czasu do czasu rozbłyskiwało również szynowe działo Demarchistów – impuls wzbudzający tych długich na kilometr, nieporęcznych beczek liniowych akceleratorów. Musiały być aktywowane łańcuchem kobaltowych bomb syntezy jądrowej. Wybuch rozrywał działo szynowe na atomy, wcześniej jednak zdążyło przyspieszyć wielką jak czołg bryłę metalicznego, stabilizowanego wodoru do siedemdziesięciu procent szybkości światła. Pocisk surfował tuż przed falą anihilacyjną.

Hybrydowcy posiadali broń o podobnej skuteczności, ale te brały impuls wzbudzający z samej struktury czasoprzestrzeni. Można z nich było strzelać wiele razy i szybciej nimi kierować. Podczas strzałów nie błyskały.

Clavain miał pewność, że analiza spektralna światła każdego z widzianych błysków potwierdziłaby ich pochodzenie. Nie zdziwiłoby go jednak, gdyby się dowiedział, że większość błysków to bezpośrednie trafienia w krążowniki Demarchistów.

Wrogowie tam umierali. Ginęli w jednej chwili, w wybuchach tak jaskrawych, że nie było mowy o żadnym bólu, o świadomym momencie śmierci. Lecz bezbolesna śmierć to niewielkie pocieszenie. W tamtej eskadrze na pewno jest wiele okrętów. Ci, co ocaleli, są świadkami wydarzeń i zastanawiają się, kto następny. Sami nigdy się nie dowiedzą, kiedy pocisk będzie ku nim zmierzał, i nigdy się nie dowiedzą, że oto przybył.

Z miejsca Clavaina przypominało to obserwowanie sztucznych ogni nad oddalonym miastem. Proporce Agincourt; płomienie Guerniki; piękny rozbłysk nad Nagasaki, podobny słońcu odbitemu w ostrzu gniewnego miecza; obłoki kondensacyjne wryte na niebiosach przyczółka Tharsis; wreszcie odległe błyski ciężkich broni relatywistycznych na tle idealnej czerni gwiazdowego kosmosu we wczesnych latach dwudziestego siódmego wieku. Clavainowi nie trzeba było przypominać, że wojna to okropność, ale z oddalenia mogło ją cechować także przerażające piękno.

Znaki bitwy przesuwały się ku horyzontowi. Wkrótce znikną, pozostawiając niebo niesplamione ludzkimi sprawami. Myślał o tym, czego się dowiedział o Ścisłej Radzie. Chyba, przy milczącej aprobacie Skade, Remontoire powiedział mu nieco o roli, którą miał odegrać. Clavain chciał w Radzie nie tylko po to, by chronić go przed możliwymi krzywdami. Nie. Clavain był potrzebny do pomocy w delikatnej operacji – akcji wojskowej poza układem Epsilon Eridani. Będzie dotyczyła odzyskania pewnych obiektów, które wpadły w niepowołane ręce.

Remontoire nie wyjaśnił, co to za obiekty; powiedział jedynie, że ich odzyskanie – a więc w pewnym momencie zostały utracone – ma żywotne znaczenie dla bezpieczeństwa Matczyngo Gniazda. Jeśli Clavain chce dowiedzieć się więcej – a musi dowiedzieć się więcej, jeśli ma być z niego jakikolwiek pożytek dla Matczyngo Gniazda – powinien wstąpić do Ścisłej Rady. Zapierająca dech prostota rozumowania. Teraz musiał przyznać, że prawdopodobnie wszystko było rzeczywiście proste. Miał skrupuły nieproporcjonalnie wielkie do całej sprawy.

A jednak nie ufał Skade w pełni. Wie więcej od niego, i to się nie zmieni, nawet jeśli on sam przystąpi do Ścisłej Rady. Będzie wtedy o jedną warstwę bliżej Wewnętrznego Sanktuarium, ale nadal pozostanie poza nim – a jakie miał dowody, że wewnątrz Sanktuarium nie ma jeszcze innych dodatkowych warstw?

Bitwa znowu toczyła się wyżej nad horyzontem po przeciwnej stronie. Clavain pilnie ją obserwował – zauważył, że błyski są teraz znacznie rzadsze. Potyczka dobiegała końca. Można było z pewnością orzec, że to Demarchiści ponieśli najcięższe straty. Możliwe, że po stronie Clavaina ofiar nie ma w ogóle. Ocalali wrogowie wkrótce pokuśtykają z powrotem do właściwych baz, starając się usilnie unikać po drodze dalszych potyczek. Wkrótce bitwa pojawi się w transmisjach propagandowych, z faktami przekręconymi tak, by z przytłaczającej klęski Demarchistów wycisnąć choć kroplę optymizmu. Widział takie rzeczy tysiące razy – dojdzie jeszcze do podobnych bitew, choć już rzadko, wrogowie przegrywają. Od lat przegrywali. Więc dlaczego ktoś i się martwi o bezpieczeństwo Matczynego Gniazda?

Istniał tylko jeden sposób, by się o tym dowiedzieć.

Tender znalazł swoje gniazdo na krawędzi, przesuwając się na miejsce z nieomylną precyzją maszyny. Clavain wysiadł do standardowego ciążenia. Sapał przez pierwsze kilka minut, aż przystosował się do wysiłku.

Szedł zawiłą trasą korytarzami i rampami. Napotykał innych Hybrydowców, ale nie poświęcali mu szczególnej uwagi. Kiedy wyczuwał potok ich myśli, odbierając to, jak reagują na jego osobę, odkrywał jedynie szacunek i podziw, może z bardzo niewielką domieszką współczucia. Nie znano powszechnie wysiłków Skade, zmierzających do wcielenia go do Ścisłej Rady.

Korytarz zmniejszył się i pociemniał. Ascetycznie szare ściany były obwieszane przewodnicami, panelami i okazjonalnie kratkami, przez które dmuchało ciepłe powietrze. Maszyny łomotały pod podłogą i za ścianami. Oświetlenie stało się nieregularne i skąpe. Clavain nie napotkał dotychczas żadnych zabronionych przejść, ale każda przypadkowa osoba, nie znająca tej części pierścienia, odniosłaby wrażenie, że dostała się do niegościnnej sekcji technicznej. Zdarzali się tacy, co docierali aż tutaj, ale przeważnie zawracali, szukając rejonu bardziej przyjaznego.

Clavain szedł dalej. Dotarł do partii pierścienia nie zarejestrowanych na żadnych planach ani mapach. Większość obywateli Matczynego Gniazda nie wiedziała nic o ich istnieniu. Zbliżył się do brązowozielonej przegrody, niestrzeżonej i nie oznakowanej. Obok znajdowało się metalowe koło o grubej obręczy z trzema szprychami. Clavain złapał koło za dwie osie i pociągnął. Przez chwilę nic się nie poruszało – od pewnego czasu nikt tu nie schodził – ale później koło powoli nieco się obróciło. Clavain szarpał je, aż zakręciło się swobodnie. Drzwi w przegrodzie wysunęły się niczym korek, ociekając skroploną parą i smarem. Gdy obrócił koło dalej, korek odskoczył na zawiasach, umożliwiając wejście do środka. Drzwi-zatyczka przypominały ogromny, pękaty tłok o idealnie wypolerowanych ścianach.

Pomieszczenie za drzwiami było jeszcze ciemniejsze. Clavain przekroczył przeszło półmetrowy próg przepustu, pochylając głowę. W kontakcie z metalem zmarzły mu

palce. Dmuchał na nie, aż odrętwienie nieco ustąpiło.

W środku Clavain obracał drugim kołem, aż zamknął ściśle przegrodę. Przedtem naciągnął rękawy na dłonie, które teraz marzły nieco mniej. Postąpił kilka kroków w mrok. Na schodach zapaliły się bladozielone światła; gdy je mijał, gasły z migotaniem.

Pomieszczenie, ogromne, niskie i długie, przypominało prochownię. Krzywizna obręczy pierścienia ledwie tu była zauważalna. Ściany pięły się łukami w górę, podłoga również skręcała razem z nimi. W dal ciągnęły się rzędy kaset zimnego snu.

Clavain wiedział dokładnie, ile ich było: sto siedemnaście. Sto siedemnaście osób wróciło z dalekiego kosmosu na pokładzie statku Galiany, ale żadna z nich nie miała realnych szans na ożywienie. W wielu wypadkach gwałt zadany załogantom był tak skrajny, że zwłoki musiano identyfikować za pomocą badań genetycznych. Jednak bez względu na to, jak nikłe były to szczątki, każdą rozpoznaną osobę umieszczono w osobnej kasecie zimnego snu.

Clavain szedł między rzędami kaset, kratowa podłoga szczekała pod stopami. Kasety cicho brzęczały. Wszystkie nadal działały, gdyż trzymanie zamrożonych resztek ciał uznano za mądre posunięcie, a nie dlatego, że istniała jakaś realna nadzieja na ożywienie kogokolwiek. W żadnej grupie szczątków nie wykryto oznak wilczej działalności – oczywiście jeśli nie liczyć jednej osoby – ale nie oznaczało to, że zupełnie nie ma mikroskopijnych wilczych pasożytów, czyhających tuż poniżej progu wykrywalności. Można było skremować ciała, to jednak zniszczyłoby szanse dowiedzenia się czegokolwiek o wilkach w przyszłości. Matczyne Gniazdo cechowała ostrożność.

Clavain doszedł do kasety zimnego snu, w której spoczywała Galiana. Kasetą stała osobno, nieznacznie wyniesiona na pochyłym postumencie. Odslonięte zawilości skorodowanej maszyneryi przywodziły na myśl ozdobne kamienne płaskorzeźby. Przypominała trumnę baśniowej królowej, która do końca broniła swego ludu, a teraz śpi snem śmiertelnym, otoczona najbardziej zaufanymi rycerzami, doradcami i damami dworu. Sylwetkę Galiany, widoczną przez przezroczyste wieko kasety, dostrzegł znacznie wcześniej, nim jeszcze podszedł do samego urządzenia. Galiana wyglądała jak osoba pogodnie akceptująca swój los. Miała ramiona złożone na piersiach i głowę obróconą ku sufitowi, co eksponowało silny, szlachetny zarys szczęk. Miała zamknięte oczy i pozbawione zmarszczek czoło. Po obu stronach twarzy spływały długie ciemne włosy z siwymi pasmami. Na jej skórze połyskiwał miliard cząsteczek lodu, iskrzących się pastelowym błękitem, różem i bladą zielenią, zależnie od tego, jak zmieniał się kąt patrzenia Clavaina. W swej śmierci wyglądała wyjątkowo pięknie i delikatnie, jakby została wyrzeźbiona z cukru.

Clavain miał ochotę załkać.

Dotknął zimnej pokrywy kasety, powiódł palcami po jej powierzchni, pozostawiając cztery słabe znaki. Tysiące razy wyobrażał sobie wszystko, co by jej powiedział, gdyby kiedykolwiek wyrwała się z wilczego uścisku. Po pierwszym obudzeniu i uśpieniu, wkrótce po jej powrocie, nigdy już nie rozmrożono jej ponownie, ale to nie znaczyło, że nie nastąpi to za wiele lat czy stuleci. Od czasu do czasu Clavain zastanawiał się, co by powiedział, gdyby Galiana wynurzyła się spoza swej maski choćby na chwilę. Zastanawiał się, czy Galiana pamiętałaby jego i sprawy, które ich łączyły. Czy wspomniałaby Felkę, która była dla niej jak córka?

Bezsensowne rozmyślania. Wiedział, że nigdy już z nią nie porozmawia.

–Zdecydowałem się – powiedział, wypuszczając parę z ust. – Nie jestem pewien, czy byś to zaaprobowala, bo przede wszystkim nigdy nie zgodziłabyś się na istnienie podobnego tworu jak Ścisła Rada. Mówią, że podczas wojny jest niezbędna, że tajemność operacji zmusza nas do rozczłonkowania naszego myślenia. Lecz zaczątki Rady istniały już przed wybuchem wojny. Zawsze mieliśmy sekrety, nawet przed sobą.

Clavain czuł, że jego palce są bardzo zimne.

–Robię to, bo wydaje mi się, że nadejdzie coś złego. Trzeba to koniecznie powstrzymać. Jeśli już nie można temu zapobiec, zrobię co w mojej mocy, by przeprowadzić Matczyne Gniazdo przez kryzys. Ale nie da się tego dokonać z zewnątrz. Dotychczas żadne zwycięstwo nie wywołało u mnie takiego niepokoju jak to. Ty chyba miałabyś takie same odczucia. Zawsze traktowałaś podejrzliwie rzeczy zbyt proste, wszystko, co wyglądało na podstęp. Wiem o tym – sam kiedyś nabrałem się na jedną z twoich sztuczek.

Zadrzał. Nagle zrobiło się bardzo zimno. Doznał irytującego uczucia, że ktoś go obserwuje. Wokół brzęczały kasety zimnego snu, z niezmiennymi panelami światełek kontrolnych i displejów.

Nagle zapragnął opuścić kryptę.

–Galiano, muszę to zrobić. Muszę przystać na prośbę Skade, na dobre czy na złe. Mam nadzieję, że to rozumiesz. – Zakończył rozmowę zbyt pośpiesznie, by mu przyniosła pociechę.

–Zrozumie to, Clavainie.

Odwrócił się gwałtownie, ale już uświadomił sobie, że zna ten głos i nie ma się czego obawiać.

–Felka – powiedział z ulgą. – Jak mnie znalazłaś?

–Domyśliłam się, że będziesz tu na dole. Wiedziałam, że na końcu porozmawiasz z Galianą.

Felka weszła do krypty bezgłośnie. Teraz widział, że drzwi na końcu pomieszczenia stoją otworem. To prąd powietrza przyprawił go o dreszcz.

–Nie wiem, czemu tu przyszedłem – przyznał Clavain. – Wiem, że ona nie żyje.

–Jest twoim sumieniem, Clavainie.

–Za to właśnie ją kochałem.

–Wszyscy ją kochaliśmy. Ciągłe wydaje się żywa, dlatego że nadal nam przewodzi. – Felka stała teraz przy nim. – Nic nie szkodzi, że tu zszedłeś. Nie zmieniło to mojej opinii o tobie i nadal tak samo cię szanuję.

–Wiem, co muszę zrobić.

Skinęła głową, jakby poinformował ją, która jest godzina.

–Chodźmy stąd. Tu jest za zimno dla żywych. Galiana się nie obrazi.

Poszli do drzwi krypty.

Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, szczelnie zamknął wielką, podobną do tłoka zatyczkę, pieczętując wspomnienia i duchy. Zostawiał je z dala od siebie, tam gdzie ich miejsce.

Clavaina wprowadzono do tajnej sali. Kiedy przekroczył próg, czuł, jak milion myśli Matczynego Gniazda w tle opada z jego umysłu jak jedno cichnące westchnienie. Wyobrażał sobie, że to przejście jest traumatyczne dla wielu Hybrydowców, ale on, nawet gdyby nie przyszedł tu prosto z krypty, w której przebywał w podobnym odosobnieniu, nawet wtedy czułby jedynie lekki nerwowy dysonans. Zbyt wiele czasu spędził na pograniczu społeczeństwa Hybrydowców, by miała go kłopotać nieobecność w mózgu innych myśli.

Nie był oczywiście zupełnie sam. Czuł umysły tych, którzy znajdowali się w sali, choć zwykle ograniczenia Ścisłej Rady pozwalały mu tylko prześlizgiwać się po powierzchni ich myśli. Sala nie wyróżniała się niczym szczególnym: wielka sfera z wieloma fotelami ustawionymi w balkony, wznoszące się prawie pod sklepienie. W centrum, pośrodku płaskiej błyszczącej szarej podłogi stał jeden prosty fotel, solidny o zakrzywionych nogach, łączących się gładko z podłogą, jakby wypchnięto go od dołu.

[Clavain]

To odezwała się Skade. Stała na krańcu wąskiego pomostu, wystającego z jednej ze ścian.

Tak?

[Siądź na fotelu, Clavainie]

Poszedł po połyskującej podłodze. Podeszwy stuknęły o okładzinę. Atmosfera przywoływała mu na myśl wymiar sprawiedliwości. Równie dobrze mógłby podchodzić do miejsca kaźni.

Clavain usiadł wygodnie. Skrzyżował nogi i podrapał się w brodę.

Załatwmy to już, Skade.

[Wszystko we właściwym czasie, Clavainie. Czy akceptujesz to, że z brzemieniem wiedzy łączy się dodatkowe brzemie: zabezpieczenie tej wiedzy? Że gdy już poznasz sekrety Ścisłej Rady, nie możesz ich narażać, nie możesz ryzykować, że pojmie cię wróg? Że nawet przekazywanie tych sekretów innym Hybrydowcom nie jest dozwolone?].

Wiem, w co się pakuję, Skade.

[Chcieliśmy jedynie być pewni, Clavainie. Nie miej o to do nas pretensji]

Remontoire wstał z fotela.

[Powiedział, że jest gotów, Skade. To wystarczy]

Rzuciła Remontoire'owi spojrzenie pozbawione wszelkich emocji, ale – według Clavaina – znacznie bardziej mrozące od gniewu.

[Dziękuję, Remontoire]

Ma rację. Jestem gotowy. I chętny.

Skade skinęła głową.

[Więc za chwilę twój umysł uzyska dostęp do danych uprzednio zastrzeżonych]

Clavain nie mógł się powstrzymać: uchwycił podłokietniki fotela, choć wiedział, jak śmieszny jest ten odruch. Dokładnie tak samo czuł się przed czterystu laty, kiedy Galiana w swoim gnieździe na Marsie wprowadziła go po raz pierwszy do transoświecenia. Kiedy został ranny, zainfekowała jego mózg stadami maszyn. Wówczas pozwoliła mu jedynie na przebłysk, ale zanim to nastąpiło, czuł się jak człowiek, który stoi przed nadciągającą falą tsunami i liczy sekundy. Teraz też się tak czuł, choć nie spodziewał się rzeczywistej zmiany rodzaju świadomości. Za chwilę udostępnią mu tajemnice tak wstrząsające, że wymagały wprowadzenia hierarchicznych poziomów wewnątrz skądinąd wszechwiedzącego zbiorowego umysłu.

Czekał... ale nic się nie wydarzyło.

[Zrobione]

Poluzował swój chwyt na fotelu.

Czuję się dokładnie taki sam.

[Ale nie jesteś]

Clavain rozejrzał się po balkonach w ścianach sali. Nie zmieniły się; wszystko postrzegał tak samo. Zbadał swą pamięć i wydawało mu się, że nie czai się tam nic, co nie było obecne wcześniej.

Nie...

[Zanim tu przyszedłeś, zanim podjąłeś decyzję, przekazaliśmy ci informację, że potrzebujemy twojej pomocy w odzyskaniu utraconej własności. Prawda, Clavainie?]

Nie powiedzieliście mi, czego szukacie. Nadal tego nie wiem.

[To dlatego, że nie zadałeś sobie właściwego pytania].

A jakież to pytanie mam sobie zadać, Skade?

[Zapytaj siebie, co wiesz o broni klasy piekło, Clavainie. Jestem przekonana, że problem cię zainteresuje]

Nie wiem nic o żadnej klasie piekło...

Ale głos mu zadrżał. Clavain wiedział dokładnie, co to broń klasy piekło.

Teraz, gdy już miał dostęp do tej informacji, uświadomił sobie, że wielokrotnie słyszał pogłoski o takiej broni podczas swego pobytu wśród Hybrydowców. Ich najbardziej zajadli wrogowie opowiadali przypowieści o ukrytym stosie najgroźniejszej broni Hybrydowców, maszyn o tak straszliwej zdolności niszczenia, że prawie ich nie testowano, a już z pewnością nie użyto w żadnych rzeczywistych potyczkach. Broń miała być bardzo stara, wytworzona podczas najwcześniejszej fazy historii Hybrydowców. Pogłoski różniły się szczegółami, ale wszystkie potwierdzały, że było czterdzieści sztuk broni, żadna niepodobna do drugiej.

Clavain nigdy nie traktował poważnie tych pogłosek. Uznawał to za efekt jakiejś zapomnianej propagandowej akcji zastraszania, roboty którejś z jednostek kontrwywiadu Matczynego Gniazda. Nie do pomyślenia, by tę broń kiedykolwiek skonstruowano. Podczas całego pobytu wśród Hybrydowców nie natknął się na żadne oficjalne aluzje co do istnienia takiej broni. Galiana nigdy o niej nie wspominała, a jednak gdyby broń była naprawdę stara – z epoki marsjańskiej – Galiana musiała wiedzieć o jej istnieniu.

Ale broń istniała rzeczywiście.

Clavain przeglądał z ponurą fascynacją swoje nowiutkie wspomnienia. Wiedział zawsze, że w Matczynym Gnieździe są tajemnice, ale nigdy nie podejrzewał, że tak istotna sprawa tak długo pozostawała tajna. Miał wrażenie, jakby odnalazł ogromną, ukrytą komnatę w domu, w którym mieszkał prawie przez całe życie. Miał ostre poczucie destabilizacji – i zdrady.

Było tych broni czterdzieści sztuk, jak w starych opowieściach. Każda prototypowa, wykorzystywała pewne unikatowe, subtelne i wredne odkrycia przełomowej fizyki. Galiana rzeczywiście wiedziała o broni. Przede wszystkim zatwierdziła budowę tych urządzeń w okresie największych prześladowań Hybrydowców. W tamtym czasie jej wrogowie zawdzięczali skuteczność raczej przewadze liczebnej niż technicznej. Z czterdziestoma nowymi rodzajami broni mogła całkowicie zlikwidować przeciwników, ale w ostatniej chwili zrezygnowała – lepiej samemu zginąć, niż mieć na sumieniu zbrodnię ludobójstwa.

Sprawa na tym się nie zakończyła. Wróg popełniał poważne błędy, następowały szczęśliwe zwroty wydarzeń i nieprzewidziane wypadki. Lud Galiany został zepchnięty na skraj przepaści, ale nie udało się całkowicie wymazać go z historii.

Później Clavain dowiedział się, że broń ukryto w ustronnym miejscu, zebrano razem w opancerzonej asteroidzie w innym układzie. Ciemne obrazy przepłynęły przed oczyma jego duszy: zabarykadowane krypty, zajadłe cybernetyczne cerbery, niebezpieczne pułapki i zapadnie. Galiana bała się broni równie silnie jak wrogów, i choć nie chciała jej demontować, zrobiła wszystko, by zapobiec jej bezpośredniemu wykorzystaniu. Wymazano dane wykorzystane przy jej konstrukcji i najwidoczniej to wystarczyło – nigdy nie wyprodukowano takiej broni ponownie. Gdyby broń okazała się znowu potrzebna – gdyby znowu wybuchły masowe prześladowania – broń istniała. Jednak odległość – lata lotu – oznaczała, że upłynie sporo czasu i, być może, emocje opadną. Czterdzieści sztuk broni klasy piekło można było wykorzystać jedynie z zimną krwią i właśnie tak to powinno wyglądać.

Ale broń skradziono. Włamano się do niedostępnej asteroidy i zanim przybył tam zwiad Hybrydowców, ślady po złodziejach ostygły. Sprawca wykazał dużo sprytu: pokonał przeszkody obronne i nie uruchomił samych broni. Czterdziestu uśpionych urządzeń nie można było ani wyśledzić, ani zdalnie zniszczyć, ani zabezpieczyć.

Jak się dowiedział Clavain, podjęto później wiele prób lokalizacji straconych broni, ale dotychczas bezskutecznie. Przede wszystkim wiadomość o istnieniu arsenału była ściśle tajna – informacje o kradzieży wyciszono jeszcze bardziej, znali je nieliczni Hybrydowcy z najwyższej hierarchii. Mijały dziesięciolecia; czekano, wstrzymując oddech. W niewłaściwych rękach broń mogła rozbijać światy jak szkło. Mieli jedynie nadzieję, że złodzieje nie zdawali sobie sprawy z potęgi swego łupu.

Minęły dziesiątki lat, potem sto lat, potem dwieście. W ludzkim kosmosie następowały katastrofy i kryzysy, ale nigdy nic nie wskazywało na to, by broń została rozbudzona. Kilku poinformowanych Hybrydowców zaczynało nieśmiało wierzyć, że o całej sprawie można spokojnie zapomnieć: może broń porzucono w głębokim kosmosie lub ciśnięto w ogniste oblicze jakiejś gwiazdy?

Ale broni nie zagubiono.

Całkowicie niespodzianie, tuż przed powrotem Clavaina z głębokiego kosmosu, wykryto sygnatury jej aktywowania w pobliżu Deltę Pawia, słońcopodobnej gwiazdy, jakieś piętnaście lat świetlnych od Matczynego Gniazda. Zarejestrowano słabe sygnały neutrinowe – możliwe, że wcześniejsze przebłyski całkowicie przeoczono. Jednak sygnały odebrane ostatnio nie pozostawiały wątpliwości: część urządzeń przebudzono z uśpienia.

Układ Deltę Pawia nie leżał na głównych szlakach handlowych. Miał jedną

skolonizowaną planetę, Resurgam, osiedle założone przez ekspedycję archeologiczną z Yellowstone, kierowaną przez Dana Sylveste'a, syna cybernetyka Calvina Sylveste'a i potomka jednej z najbogatszych rodzin w społeczeństwie Demarchistów. Archeolodzy Sylveste'a grzebali w szczątkach zostawionych przez ptakopodobną rasę, zamieszkującą planetę zaledwie milion lat temu. Kolonia – pierwotnie placówka naukowa – stopniowo rozerwała formalne więzy z Yellowstone i pod rządami kolejnych reżimów wdrażała kontrowersyjny plan terraformowania i zasiedlania planety. Dochodziło do zamieszek i przewrotów, a jednak było nieprawdopodobne, by broń mieli obecnie osadnicy. Po analizie wyjściowego ruchu z Yellowstone wykryto odlot w kierunku Resurgamu drugiego statku: światłowca "Nostalgia za Nieskończonością", który przybył do układu Deltę Pawia mniej więcej wtedy, gdy odebrano sygnatury aktywacyjne. Informacje na temat załogi i historii statku były skąpe, jednak Clavain dowiedział się z danych imigracyjnych Pasa Złomu, że bezpośrednio przed odlotem statku kobieta o nazwisku Ilija Volyova werbowała załogantów. Nazwisko było prawdziwe lub nie – w tym pełnym zamętu pozarazowym okresie statki mogły przybierać dowolne tożsamości – ale Volyova pojawiła się znowu. Choć do Yellowstone docierało bardzo niewiele przekazów, jeden z nich, fragmentaryczny i trwożny, wspominał, że Volyova sterroryzowała kolonię, by przekazano jej swego poprzedniego przywódcę. Z jakichś przyczyn ultraska załoga Volyovej chciała mieć na swym statku Dana Sylveste'a.

To nie dowód, że Volyova rządzi bronią, ale Clavain zgadzał się ze Skade, że jest podejrzana. Miała wystarczająco duży statek, by pomieścić broń, użyła siły przeciwko kolonii i pojawiła się na scenie w tym samym czasie, w którym broń ożywiono z uśpienia. Nie wiadomo, jak Volyova chciała wykorzystać te urządzenia, ale niewątpliwie miała z nimi związek.

To ona była złodziejem, którego szukali.

Czub Skade pulsował falami brązu i jadeitu. W głowę Clavaina wlewały się nowe wspomnienia: klipy wideo i nieruchome ujęcia Volyovej. Wizerunek tej krótko ostrzyżonej, okrągłolicej sekutnicy, którą pokazała mu Skade, zaskoczył Clavaina. Gdyby wszedł do pokoju podejrzanych, Volyovą zainteresowałby się na końcu.

Skade uśmiechnęła się do niego. Słuchał jej bardzo uważnie.

[Teraz rozumiesz, czemu potrzebujemy twojej pomocy. Położenie pozostałych trzydziestu dziewięciu sztuk broni...]

Trzydziestu dziewięciu, Skade? Sądziłem, że jest ich czterdzieści.

[Nie wspominałam, że jedna została już zniszczona?]

Myślę, że pominęłaś ten szczegół.

[Przy tych odległościach nie mamy gwarancji. Urządzenia budzą się z hibernacji i zasypiają powtórnie, jak niespokojne potwory. Z pewnością jednej sztuki nie wykryto od roku 2565, według lokalnego czasu Resurgamu. Zakładamy, że jest utracona albo uszkodzona. I sześć z pozostałych trzydziestu dziewięciu zostało oddzielonych od głównej grupy. Nadal odbieramy nieregularne sygnały z tych urządzeń, ale pochodzą one z okolic znacznie bliższych gwiazdzie neutronowej na krańcach układu. Pozostałe trzydzieści trzy sztuki znajdują się w granicach jednej jednostki astronomicznej od Delt Pawia, w tylnym punkcie Lagrange'a układu Resurgam – Delta Pawia. Najprawdopodobniej znajdują się we wnętrzu kadłuba światłowca triumwira.]

Clavain uniósł dłoń.

Poczekaj. Wykryłaś sygnały już tak dawno, w roku 2580? Trzydzieści trzy lata temu, Skade. Dlaczego, do diabła, nic wcześniej nie zrobiłaś?

[To czasy wojny, Clavain. Nie mogliśmy podjąć rozległej, złożonej logistycznie operacji]

To znaczy, do tej chwili.

Skade przyznała mu rację ledwie widocznym skinieniem głowy.

[Teraz bieg wydarzeń odwrócił się na naszą korzyść. W końcu możemy sobie pozwolić na skierowanie do tej operacji pewnych zasobów. Nie sądź pochopnie, Clavainie. Odzyskanie tej broni nie będzie łatwe. Chcemy odzyskać obiekty skradzione z twierdzy, do której nawet teraz byłoby się nam trudno dostać. Volyova ma również swoje niezależne środki obrony. A świadectwo o jej zbrodniach na Resurgamie wskazuje, że nie zawaha się użyć broni i własnej, i skradzionej. Musimy mieć znowu tę broń, bez względu na koszty w aktywach i w czasie]

W aktywach? Masz na myśli ludzkie życie?

[Zawsze akceptowałeś koszty wojny. Dlatego chcemy, byś koordynował operację odzyskiwania. Przejrzyj te oto wspomnienia, jeśli wątpisz w swą własną użyteczność].

Nie ostrzegła go należycie. Odłamki jego własnej przeszłości włamały się w jego bezpośrednią świadomość, rzucając go na powrót w wir odbytych kampanii i minionych akcji. To filmy wojenne, pomyślał Clavain, wspominając stare, dwuwymiarowe monochromatyczne nagrania, które oglądał we wczesnym okresie swej działalności w Koalicji na rzecz Czystości Neuralnej. Przesiewał je – zazwyczaj na próżno – szukając okruchów informacji nadających się do wykorzystania przeciwko prawdziwym wrogom. W filmach wojennych, które pokazywała mu teraz Skade w przyspieszonych porcjach, on sam uczestniczył jako główny bohater. Były

wierne historycznie. Przegląd akcji, w których brał udział: uwalnianie zakładników w labiryntach Gilgamesh Isis, kiedy to Clavain stracił dłoń w siarczanym płomieniu – leczenie tego zajęło rok. Clavain i kobieta- Hybrydowiec przemycają mózg demarchistowskiego uczonego z aresztu odłamu Mikserów- renegatów w okolicach Oka Marka. Partnerka Clavaina została chirurgicznie zmodyfikowana w ten sposób, że mogła przyjąć w macicy żywy mózg po operacji będącej prostym odwróceniem cesarskiego cięcia – zabieg wykonywał Clavain. Ciało mężczyzny zostawili na miejscu, by znaleźli je strażnicy. Następnie Hybrydowcy sklonowali dla tego człowieka nowe ciało i wpakowali do środka ciężko doświadczony mózg.

Była również wyprawa Clavaina w celu odzyskania skradzionego napędu Hybrydowców od Porywaczy – dysydentów, obozujących w jednym z zewnętrznych węzłów ula rolniczego Głębieni i wyzwolenie całego świata Żonglerów Wzorców od ultraskich spekulantów, którzy chcieli pobierać opłaty za dostęp do modyfikującego mózg obcego oceanu. Takich akcji przeprowadził znacznie więcej. Ze wszystkich wyszedł cało i prawie zawsze odnosił sukces. Wiedział, że istniały inne wszechświaty, gdzie zginął znacznie wcześniej, nie dlatego, żeby wykazał się tam mniejszymi umiejętnościami, ale po prostu inaczej ułożył się jego los. Nie mógł ekstrapolować swej szczęśliwej passy i zakładać, że przy następnej akcji również mu się powiedzie.

Sukcesu nie można wprawdzie zagwarantować, ale oczywiście miał większe nań szanse niż inni w Ścisłej Radzie.

Uśmiechnął się smętnie.

Wydaje się, że znasz mnie lepiej niż ja sam siebie.

[Wiem, że nam pomożesz, Clavainie. W przeciwnym razie nie przywiódłabym cię aż tutaj. Pomożesz?]

Clavain spojrział po sali na makabryczną menażerię widmowych seniorów, wysuszonych staruchów i aż nieprzyzwoicie zabutelkowanych Hybrydowców w ostatnim stadium życia. Wszyscy czekali na jego odpowiedź, nawet odsłonięte mózgi zdawały się wahać w swych chrapliwych pulsacjach. Skade oczywiście miała rację. Nikomu z obecnych Clavain nie powierzyłby tego zadania – mógł je wykonać sam, nawet teraz, na tak późnym etapie swej kariery i życia. Dotarcie do Resurgamu zajmie dekady, prawie dwadzieścia lat; następne dwadzieścia to powrót z łupem. Czterdzieści lat to w gruncie rzeczy niedługi okres w porównaniu z czterema czy pięcioma wiekami. A przez większość podróży i tak pozostanie zamrożony.

Czterdzieści lat; plus pięć lat przygotowań tu na miejscu i niewykluczone, że aż cały rok na samą operację... łącznie blisko pół wieku. Spojrział na Skade, obserwując, jak fale na jej czubie zwolniły i zatrzymały się wyczekująco. Wiedział, że Skade miała

kłopoty z odczytywaniem jego mózgu na najgłębszym poziomie – ta nieprzezroczystość sprawiała, że ją fascynował i jednocześnie doprowadzał do wściekłości – ale przypuszczał, że dobrze odczytuje jego zgodę.

Zrobię to. Ale pod pewnymi warunkami.

[Jakimi?]

Sam dobiorę sobie zespół. I powiem, kto leci ze mną. Jeśli poproszę o Felkę i Remontoirea, a oni się zgodzą lecieć na Resurgam, dasz im pozwolenie.

Skade rozważała to, a potem skinęła głową z precyzyjną delikatnością kukielki z teatru cieni.

[Oczywiście. Czterdzieści lat daleko od domu to długo. To wszystko?]

Nie, naturalnie że nie. Nie wyruszę przeciwko Volyovej, jeśli nie będę dysponował od samego początku miażdżącą przewagą taktyczną. Tak zawsze działałem, Skade: dominacja w pełnym zakresie. Oznacza to więcej niż jeden statek. Przynajmniej dwa, idealnie trzy, a wezmę i więcej, jeśli Matczyne Gniazdo zdoła je na czas wyprodukować. Nie dbam również o edykt. Potrzebujemy światłowców, ciężkozbrojnych i z najwredniejszymi rodzajami broni, jakimi dysponujemy. Jeden prototyp nie wystarczy, a zważywszy, że obecnie skonstruowanie czegokolwiek długo trwa, lepiej natychmiast weźmy się do roboty. Nie pstryka się palcami na asteroidę, by po czterech dniach wyrzuciła z siebie statek.

Skade dotknęła dolnej wargi. Zamknęła oczy na chwilę nieco dłuższą od mrugnięcia. Clavain miał wrażenie, że przez moment wdała się w intensywną dyskusję z kimś jeszcze. Wydało mu się, że dostrzegł drżenie jej powiek, jak u śpiącego trapionego wysoką gorączką.

[Masz słuszność, Clavainie. Potrzebujemy statków; nowych, z modyfikacjami, jakimi dysponował "Nocny Cień". Ale nie martw się. Już zaczęliśmy je budować. Prawdę mówiąc, doskonale się udały]

Clavain zmrużył oczy.

Nowe okręty? Gdzie?

[Kawałeczek drogi stąd, Clavainie]

Skinął głową.

Dobrze. Wiec co szkodzi, żebyś je zobaczył? Rzuciłbym na nie okiem, nim zrobi się za późno na modyfikacje.

[Clavain...]

To też nie podlega negocjacom, Skade. Jeśli mam wykonać zadanie, muszę obejrzeć narzędzia.

DZIEWIĘĆ

Inkwizytor poluzowała uprzęż fotela i na matowym materiale kadłuba promu triumwira naszkicowała okno. Kadłub usłużnie otworzył przezroczysty prostokąt, stwarzając inkwizytor pierwszą od piętnastu lat okazję obejrzenia Resurgamu z kosmosu.

W tym dość krótkim okresie wiele się na planecie zmieniło. Chmury – uprzednio banalne pasma wilgoci na dużych wysokościach – teraz kłębiły się w grubych, kremowych masach, ubitych w spiralne wzory ślepym artyzmem siły Coriolisa. Ze szklistych powierzchni jezior i miniaturowych mórz ku Khouri bił blask słońca. Na całej planecie wyróżniały się zebrane w geometryczne grona, ostro ograniczone obszary zieleni i złota. Przecinały je srebrnoniebieskie kanały irygacyjne, wystarczająco głębokie dla barek. Linie szos i siewa tworzyły niewyraźne szare rysy. Miasta i osiedla przedstawiały się jako plamy przecinających się ulic i budynków, słabo rozróżnialnych – nawet gdy okno na prośbę inkwizytor przełączyło się w tryb powiększania. Tuż przy rdzeniach najstarszych osiedli, takich jak Cuvier, widniały resztki dawnych kopuł mieszkalnych lub koliste ślady po ich fundamentach. Od czasu do czasu inkwizytor widziała jaskrawe ruchome paciorki sterowców transportowych lub znacznie mniejsze cętki samolotów wypełniających misje rządowe. Jednak z tej wysokości ludzka działalność pozostawała przeważnie niewidoczna. Równie dobrze można by studiować cechy powierzchni jakiegoś bardzo powiększonego wirusa.

Inkwizytor – powoli zaczynała myśleć o sobie jako o Anie Khouri – nie czuła specjalnego przywiązania do Resurgamu. Nie zmieniły tego lata spędzone incognito na powierzchni planety. Ale widok z orbity pozwalał lepiej ocenić rzeczywistość. Resurgam przedstawiał sobą coś więcej niż tymczasową kolonię, jaką zastała Khouri, gdy przybyła do układu. Stanowił dom dla wielu ludzi, jedyny dom, jaki znali. W czasie swoich przesłuchań spotkała wielu z nich i wiedziała, że na Resurgamie żyją również ludzie przyzwoici. Nie wszystkich należało winić za obecny rząd ani za przeszłe niesprawiedliwości. Zasługiwali przynajmniej na szansę życia i śmierci na planecie, którą uznali za swój dom. Śmierci z przyczyn naturalnych. Niestety, tego nie można już było zagwarantować.

Prom był mały i szybki. Triumwir Ilija Volyova drzemała w drugim fotelu. Daszek czapki nasunęła na czoło. W tym właśnie promie przyleciała na Resurgam, zanim skontaktowała się z inkwizytorem. Program lotniczy promu wiedział, jak unikać rządowych radarów, ale z ostrożności należało jak najrzadziej organizować takie wycieczki. Gdyby kobiety złapano, gdyby powstało najmniejsze podejrzenie, że jakiś pojazd kosmiczny rutynowo wielokrotnie wchodzi w atmosferę Resurgamu, spadłyby głowy na wszystkich rządowych szczeblach. Nawet gdyby brakowało bezpośrednich poszlak wskazujących na Dom Inkwizycji, pozycja Khouri stałaby się bardzo

niebezpieczna. Szczegółowo i dogłębnie zbadano by środowisko i przeszłość wyższych urzędników. Mimo środków ostrożności jej pochodzenie mogło zostać zdemaskowane.

Wznosząc się ukradkowo, nie można było ostro przyśpieszać, ale ponad atmosferą i poza efektywnym zasięgiem radarów omiatających silniki promu zwiększyły moc i trzy g wgniotło obie pasażerki w fotele. Khouri poczuła senność. Tuż przed zaśnięciem zdała sobie sprawę, że prom pompuje w powietrze aromatyzowane narkotyki. Spała bez snów i zbudziła się z tym samym uczuciem lekkiego sprzeciwu.

Znajdowały się w innym miejscu.

–Jak długo byliśmy pod narkozą? – zapytała Volyovej. Ilija paliła papierosa.

–Niecały dzień. Mam nadzieję, że przygotowałaś niezłe alibi. Będzie ci potrzebne po powrocie do Cuvier.

–Powiedziałaś, że wyjeżdżam w głąsę, by porozmawiać z bardzo tajnym agentem. Nie martw się: już od dawna starałam się uprawdopodobnić tę podróż. Zawsze wiedziałam, że może się to przydać. – Przyśpieszenie ustało, więc Khouri odpięła uprząż fotela i próbowała podrapać się w swędzące miejsce gdzieś na karku. – Czy tam, gdzie jedziemy, będzie prysznic?

–To zależy. Jak myślisz, dokąd lecimy?

–Prześladuje mnie straszne przeczucie, że już tam kiedyś byłam.

Volyova zgasiła niedopałek i poleciała, by cała przednia część kadłuba stała się przejrzysta. Znajdowały się głęboko w przestrzeni międzyplanetarnej, nadal w płaszczyźnie ekliptyki, ale dobre minuty świetlne od najbliższej planety. Jednak coś przed nimi zasłaniało widok gwiazd.

–Oto on, Ana. Poczciwy statek "Nostalgia za Nieskończonością". Niewiele się zmienił od chwili, gdy go opuściłaś.

–Dzięki. Proszę o jeszcze inne krzepiące uwagi.

–Ostatnim razem, gdy to sprawdzałam, prysznic nie działały.

–Ostatnim razem, gdy sprawdzałaś?

Volyova zamilkła na chwilę i klasnęła językiem.

–Przypnij się. Wchodzimy do środka.

Poleciały łukiem ku ciemnej sylwecie nieszczęsnego światłowca. Khouri

wspomniała, jak pierwszy raz zobaczyła ten statek, gdy w układzie Epsilon Eridani została podstępem zwabiona na pokład. Wtedy wyglądał mniej więcej normalnie, mniej więcej tak, jak się oczekuje od wielkiego, umiarkowanie starego handlowego światłowca. Wcześniej nie miał żadnych wypustek i zgrubień, przydatków wystających z powierzchni niczym sztylety ani wygiętych wieżyczkowych narośli. Kadłub był mniej więcej gładki – miejscami zużyty i pocierany, gdzieś były widoczne maszyny, kopułki czujników i hangary wejściowe – ale nie miał w sobie nic, co pobudzałoby do jakichś szczególnych komentarzy czy niepokoju. Nie było jeszcze hektarów o teksturze jaszczurczej skóry lub wielkich powierzchni, przypominających zeschnięte błoto – krwinkopodobnych przylegających do siebie płytek. Twierdzenie, że ukryte imperatywy biologiczne muszą się w końcu uzewnętrznić w orgii biomechanicznej transformacji, byłoby wtedy z gruntu fałszywe.

Obecnie jednak statek zupełnie nie przypominał statku. Przypominał natomiast – jeśli Khouri miałyby go z czymś kojarzyć – pałac wróżek po przebytej chorobie zwyrodnieniowej. Niegdyś wspaniałe zestaw wież, iglic i podziemi, teraz został zniekształcony przez złośliwą magię. Podstawowy kształt gwiazdolotu dawał się nadal rozpoznać – Khouri rozróżniała główny kadłub i dwie wystające gondole silników, każda z nich większa od hangaru sterowca; jednak ten funkcjonalny rdzeń ginął pod barokowymi warstwami, które ostatnio narosły. Zasady organizujące ten chaos sprawiły, że narośle, ułagodzone przez naprawcze i modyfikujące podsystemy statku, nabrały cech szalonego dzieła sztuki, paskudnej ekstrawagancji, zarówno zadziwiającej, jak i odpychającej. Spirale niczym wzory wzrostu amonitów. Wiry i sęki jak w bardzo powiększonym przekroju drzewa. Dzidy, włókna, pajęczne sieci. Włosowate kolce. Rakowate kłocze splecionych kryształów. W pewnych miejscach, większe struktury powielają się wielokrotnym echem we fraktalnym diminuendo, zanikającym poza wzrokowe granice rozróżnialności. Zawile transformacje na wszystkich poziomach. Kto przyglądał się temu zbyt długo, widział części ludzkich twarzy przemieszane z fragmentami zbroi. Potem z przerażeniem dostrzegał własny wizerunek. Ale pod tym wszystkim, myślała Khouri, nadal jest statek.

–Nie wygląda ani odrobinę lepiej niż wtedy, gdy odlatywałam.

Volyova uśmiechnęła się pod daszkiem czapki.

–Dodałaś mi otuchy. To słowa dawnej Any Khouri, a nie inkwizytora.

–Tak? Szkoda, że dopiero taki pieprzony koszmar przywołuje mnie z powrotem.

–Och, to jeszcze nic – powiedziała radośnie Volyova. – Poczekaj, aż znajdziemy się w środku.

By dostać się do hangaru dokującego, prom musiał gwałtownie skrócić w pomarszczoną, podobną do oka lukę w narośli na kadłubie. Wnętrze hangaru pozostało nadal mniej więcej prostopadłościennie, a główne systemy obsługi, które nigdy nie zależały w większym stopniu od nanotechniki, znajdowały się nadal na miejscu, rozpoznawalne. W pomieszczeniu cumował cały zestaw statków wewnętrzukładowych – od tęponosych holowników próżniowych do sporych promów.

Zadokowały. Ta część statku nie wirowała, więc obie kobiety wychodziły w warunkach nieważkości i podciągały się na specjalnych poręczach. Khouri pozwoliła Volyovey prowadzić. Miały latarki i awaryjne maski tlenowe i Khouri bardzo kusiło, by z nich wreszcie korzystać. Powietrze w statku, okropnie wilgotne i ciepłe, miało posmak zgnilizny. Przebywanie w tej atmosferze przypominało oddychanie gazami trawiennymi.

Khouri zakryła usta rękawem, walcząc z odruchem wymiotnym.

–Iia...

–Przyzwyczaisz się do tego. To nieszkodliwe. – Volyova wyjęła coś z kieszeni. – Papierosa?

–Czy kiedykolwiek widziałaś, żebym brało do ust to świństwo?

–Zawsze jest ten pierwszy raz.

Khouri poczekała, aż Volyova zapali dla niej papierosa, a potem pociągnęła na próbę. Był niedobry, ale tłumił smak niefiltrowanego powietrza.

–Naprawdę paskudny nawyk – skomentowała z uśmiechem Volyova. – Ale wstrętne czasy wymagają paskudnych nawyków. Lepiej się teraz czujesz?

Khouri kiwnęła głową, ale bez większego przekonania.

Szły przez kiszkowate tunele; na ścianach błyszcząły wilgotne wydzieliny albo zwodniczo regularne wzorce krystaliczne. Khouri brnęła naprzód, odpychając się od ścian dłońmi w rękawicach. Od czasu do czasu rozpoznawała jakieś stare fragmenty statku – przepust, ściankę działową, panel kontrolny – ale przeważnie były na wpół wtopione w otoczenie lub surrealistycznie odkształcone. Gładkie przedtem powierzchnie, teraz abstrakcyjnie fraktalne, wybrzuszały się rozmazaną szarością. Różnokolorowe szlamy i mazię odbijały światła latarek obrzydliwymi plamami dyfrakcji. Amebowate krople dryfowały w głównych prądach statkowego powietrza –

czasami zresztą płynęły pod te prądy.

Przez ciężko obracające się śluzy i koła kobiety przedostały się do nadal wirującej części statku. Khouri z wdzięcznością przyjęła ciężenie, ale wraz z siłami grawitacji pojawiła się nieoczekiwana nieprzyjemność. Teraz ciecze miały dokąd płynąć. Kapały i ściekały po ścianach w miniaturowych wodospadach i zanim znalazły odpływ, zastygały na podłodze. Niektóre wydzieliny tworzyły stalaktyty lub stalagmity – żółtawe albo w kolorze zielonych smarków. Khouri starała się ich nie dotykać, ale nie było to łatwe. Zauważyła, że Volyova nie ma podobnych oporów. W ciągu kilku minut jej kurtka pokryła się plamami i smugami rozmaitych statkowych brudów.

–Spokojnie – powiedziała Volyova, zauważywszy jej obiekcje. – To zupełnie bezpieczne. Na statku nie ma nic, co mogłoby wyrządzić nam szkodę. Czy ty... kazałaś wyjąć te implanty zbrojowni, prawda?

–Powinnaś o tym pamiętać. Sama je usuwałaś.

–Po prostu sprawdzałam.

–Ha. Bawi cię cała ta sytuacja, prawda?

–Nauczyłam się cieszyć życiem przy każdej okazji. Zwłaszcza podczas głębokich kryzysów egzystencjalnych...

Ilia Volyova cisnęła niedopałek i zapaliła następnego papierosa.

Szły dalej w milczeniu. W końcu dotarły do jednego z szybów windy, który przechodził przez całą długość statku, niczym główny szyb w drapaczu chmur. Kiedy statek wirował, a nie przyśpieszał, poruszanie się wzdłuż osi było znacznie łatwiejsze. Jednak od dziobu do ogona statek miał cztery kilometry, więc wykorzystanie dźwigów było sensowne. Ku zdziwieniu Khouri w szybie czekała na nie kabina. Khouri wchodziła do niej za Volyovą z lekką trwogą, ale w środku kabina wyglądała normalnie i przyśpieszała dość gładko.

–Windy nadal działają? – spytała Khouri.

–Są kluczowym systemem statku – stwierdziła Volyova. – Weź pod uwagę, że dysponuję instrumentami powstrzymywania zarazy. Nie działają idealnie, ale potrafię przynajmniej odwrócić zarazę od tego, co chcę zachować w stanie mniej więcej normalnym. Kapitan też od czasu do czasu pomaga. Zdaje się, że transformacje nie wyszły całkowicie spod jego kontroli.

Volyova poruszyła wreszcie kwestię kapitana. Do tej chwili Khouri miała nadzieję, że to wszystko okaże się złym snem, który poplątała z rzeczywistością. Ale oto proszę: kapitan pozostawał przy życiu.

–A silniki?

–O ile mogę stwierdzić, nadal funkcjonują bez zarzutu. Jednak tylko kapitan ma nad nimi kontrolę.

–Rozmawiałaś z nim?

–Wątpię, czy słowo “rozmawiać” jest właściwe. Może “komunikowałam się”... ale nawet ten termin byłby naciągany.

Winda skręciła gwałtownie, zmieniawszy szyby. Szyby windy były przeważnie przezroczyste, lecz winda przez długi czas przeciskała się między ciasno wypełnionymi pokładami lub przewiercała przez dziesiątki metrów masywnego materiału kadłuba. Od czasu do czasu Khouri dostrzegała przez okno mijane ciemne i wilgotne komory, przeważnie wielkie – słabe światła kabiny nie docierały do ich drugiego końca. Każda z pięciu największych sal pomieściłaby katedrę. Khouri wspomniała salę, którą pokazała jej Volyova podczas jej pierwszej podróży “Nostalgia” – salę mieszczącą czterdzieści strasznych obiektów. Teraz było ich mniej niż czterdzieści, jednak z pewnością potrafiłyby wpływać na wydarzenia. Nawet w starciu z takimi wrogami jak Inhibitorzy. Należało tylko przekonać kapitana.

–Czy udało się wam dojść do porozumienia w sprawach, które was dzieliły? – spytała Khouri.

–Nie zabił nas, kiedy miał po temu okazję, co w pewnym sensie stanowi odpowiedź na twoje pytanie.

–I nie obwinia cię za to, co mu zrobiłaś?

Pierwszy raz Volyova okazała irytację.

–Zrobiłam mu? To co “mu zrobiłam”, było aktem wyjątkowego miłosierdzia. Wcale go nie ukarałam. Jedynie... ustaliłam fakty i zaaplikowałam lekarstwo.

–Które, według niektórych poglądów, jest gorsze od choroby.

Volyova wzruszyła ramionami.

–Umierał. Przywróciłam mu życie.

Khouri achnęła, gdy przemknęło następne pomieszczenie, pełne stopionych zmiennych kształtów.

–Jeśli nazwać to życiem.

–Mała wskazówka. – Volyova nachyliła się bliżej, ściszyła głos. – Bardzo możliwe, że

słyszysz tę rozmowę. Pamiętaj o tym, dobrze? Dobra dziewczynka.

Gdyby ktoś inny odezwał się do niej w ten sposób, dwie sekundy później miałby coś zwichniętego. Ale Khouri już od dawna ulgowo traktowała Volyovą.

–Gdzie on jest? Nadal na tym samym poziomie co przedtem?

–Zależy od tego, co masz na myśli mówiąc “on”. Chyba można uznać, że jego epicentrum nadal tam jest. Ale obecnie naprawdę nie da się go odróżnić od statku.

–Więc jest wszędzie? Dookoła nas?

–Wszystkowidzący. Wszystkowiedzący.

–Nie podoba mi się to, Ilio.

–Na pocieszenie powiem ci, że według mnie jemu też się to raczej nie podoba.

Po opóźnieniach, nawrotach i objazdach winda w końcu przywiozła je na mostek "Nostalgii za Nieskończonością". Nie wyglądało na to, żeby zaraz miały się odbyć konsultacje z kapitanem, co Khouri przyjęła z ulgą.

Mostek w znacznej mierze pozostał taki, jakim go pamiętała. Uszkodzony i zdemolowany. Większość aktów wandalizmu nastąpiła jeszcze przed przemianą kapitana. Niektóre z nich to robota samej Khouri. Widząc kraterę w miejscach wyładowań swej broni, odczuwała lekkie i złośliwe poczucie dumy. Wspomniła ostrą walkę o władzę na pokładzie światłowca, kiedy ten znajdował się na orbicie wokół gwiazdy neutronowej Hades, na skraju układu, w którym przebywali obecnie.

Sytuacja była chwilami niepewna i delikatna, ale ponieważ przeżyły, Khouri wierzyła, że odnieśli zwycięstwo na szerszym polu. Jednak przybycie maszyn Inhibitorów świadczyło o czymś innym. Najprawdopodobniej bitwa była przegrana, zanim oddano pierwsze strzały. Ale przynajmniej zyskały dla siebie nieco czasu. Teraz musiały jakoś ten czas wykorzystać.

Khouri usadowiła się w jednym z foteli stojących przodem do sfery projekcyjnej mostka. Po buncie zreperowano ją i teraz pokazywała w czasie rzeczywistym obraz układu Resurgam. Było w nim jedenaście planet, ale displej pokazywał także ich księżyce, większe asteroidy i komety – wszystkie potencjalnie ważne ciała niebieskie. Pokazano ich dokładne położenie orbitalne, łącznie z wektorami ruchu w przód i wstecz. Białe stożki wychodzące ze światłowca wskazywały głęboki zasięg czujników statku, z poprawką na czas podróży światła. Volyova wypuściła na inne orbity nieco dron monitorujących, by zerknęły na ślepe pola i polepszały dane analizy interferometrycznej, ale drony wykorzystywała z ostrożnością.

–Gotowa na lekcję z najnowszej historii? – zapytała Volyova.

–Naturalnie. Mam tylko nadzieję, że ta mała wycieczka będzie tego warta, bo po powrocie do Cuvier będę musiała odpowiedzieć na pewne kłopotliwe pytania.

–W porównaniu z tym, co ci za chwilę pokażę, te pytania to drobnostka.

Volyova przybliżyła displej, powiększając jeden z księżyców – satelitę drugiego co do wielkości gazowego giganta systemu.

–Tam właśnie Inhibitorzy założyli obóz? – spytała Khouri.

–Tam, a także na dwóch innych światach o podobnych rozmiarach. Szeroko rzecz ujmując, na każdym z nich robią to samo.

Teraz, przy odpowiednim ustawieniu pola widzenia, wokół księżyca trzepotały ciemne kształty. Zbijały się w stada i rozpraszały jak podniecone wrony. Ich liczba i kształty ciągle się zmieniały. W pewnej chwili usadowiły się na powierzchni księżyca, tworząc celowe formacje. Playback najwidoczniej przyśpieszył – może godziny zostały skompresowane w sekundy – gdyż transformacja pokryła pęcherzami powierzchnię księżyca w szybkiej czarnej powodzi. Najazd kamery pokazał, że struktury formują się w sześciennie podelementy o różnych rozmiarach. Gdy transformacje szalały, ogromne lasery pompowały ciepło z powrotem w kosmos. Groteskowe czarne maszyny o rozmiarach gór zaśmiecały krajobraz, tłumiąc albedo księżyca. I tylko podczerwień mogła wyłowić znaczące wzorce.

–Co one takiego robią? – spytała Khouri.

–Z początku też tego nie wiedziałam.

Dopiero po jakichś dwóch tygodniach stało się jasne, co się dzieje. Wykropkowane w regularnych odstępach wokół księżycowego równika pojawiły się wulkaniczne otwory, przysadziste otwartogębe maszyny, rozciągające się w kosmos na jedną setną średnicy księżyca. Bez ostrzeżenia zaczęły wypluwać skalisty materiał balistycznymi piórami kurzu. Materiał gorący, ale tak naprawdę nie stopiony. Leciał łukiem nad księżycem, opadał na orbitę. Inna maszyna – Volyova dopiero teraz ją zauważyła – krążyła po tej samej orbicie, gnając, chłodząc i ubijając pióro kurzu. Za nią rozpościerał się zorganizowany system pierścieniowy obrobionej i udoskonalonej materii, całe gigatony w schludnych rządkach. Stada mniejszych maszyn ciągnęły z tyłu jak błyszczące, wsysając wstępnie oczyszczoną materię i poddając ją dalszym procesom oczyszczającym.

–Co się dzieje?

–Chyba maszyny rozbierają księżyc – stwierdziła Volyova.

–Sama się domyśliłam. Ale zastanawiające, dlaczego robią to tak pracochłannie. Nawet my mamy głowice do niszczenia skorup planet. W mgnieniu oka załatwiłyby to samo...

–I w czasie tego procesu zamieniłyby w parę i rozproszyły połowę księżycowego materiału. – Volyova skinęła głową. – Nie na tym im zależy. Sądzę, że chcą przetworzyć i oczyścić jak najskuteczniej cały ten materiał. Potrzebują go nawet więcej, ponieważ rozwalają trzy księżyce. Dużo w nich materiałów lotnych, nie dających się zestalić bez pracochłonnej alchemii, ale jak przypuszczam, zafundują sobie sto miliardów miliardów ton surowca.

–Masa gruzu.

–Tak. I powstaje pytanie: po co?

–Przypuszczam, że masz jakąś teorię.

Ilija Volyova uśmiechnęła się.

–Na tym etapie to zaledwie domysły. Rozbieranie księżycy trwa nadal, ale według mnie oni chcą coś zbudować. I wiesz co? Podejrzewam, że to nie dla naszego wspólnego dobra.

–Myślisz, że to broń, prawda?

–Najwidoczniej na starość łatwo mnie przejrzeć. Owszem, obawiam się, że chodzi tu o broń. Jakiego rodzaju – nawet nie zgaduję. Już zniszczyliby Resurgam, gdyby taki mieli zamiar – nie musieliby go przecież starannie rozmontowywać.

–Więc chodzi im o coś innego.

–Na to wygląda.

–Musimy coś z tym zrobić, Ilijo. Nadal mamy kazamat. Możemy mieć na to jakiś wpływ, nawet teraz.

Volyova wyłączyła kulę displeju.

–Teraz chyba nie zdają sobie sprawy z naszej obecności – zdaje się, że przebywamy poniżej ich progu wykrywalności, chyba że działamy w okolicach Hadesu. Chcesz zmienić ten stan rzeczy stosując broń kazamatową?

–Gdybym uważała, że to nasza ostatnia nadzieja, to owszem. Tak samo jak ty.

–Tylko że potem nie będzie odwrotu. Musimy w pełni zdawać sobie z tego sprawę. – Volyova na chwilę zamilkła. – Jeszcze jedno...

–Tak? Zniżyła głos.

–Nie potrafimy sterować zbrojownią bez jego pomocy. Trzeba będzie namówić kapitana.

*

Oczywiście sami siebie nie nazywali Inhibitorami. Nigdy nie widzieli powodów, by nadawać sobie jakiegokolwiek imię. Po prostu istnieli, by wypełniać nadzwyczaj ważny obowiązek, obowiązek żywotny dla przyszłego istnienia życia inteligentnego. Nie spodziewali się zrozumienia ani poparcia, więc nadawanie imion – czy próby usprawiedliwień - były całkowicie zbędne. A jednak mieli przelotną świadomość, że nazwano ich właśnie tak po spektakularnych wytępieniach, które nastąpiły po Wojnie Świtu. Długim, wątłym łańcuchem wspomnień imię to przekazywano od gatunku do gatunku, choć same te gatunki już dawno zostały starte z galaktycznego krajobrazu. Inhibitorzy: ci, którzy blokują, którzy dławią pojawianie się inteligencji.

Nadzorca ze skrucną przyznawał, że ta nazwa rzeczywiście precyzyjnie opisuje naturę ich pracy.

Trudno stwierdzić dokładnie, kiedy i gdzie ta praca się zaczęła. Wojna Świtu to pierwsze znaczące wydarzenie w historii zamieszkałej galaktyki, potyczka miliona nowo powstałych kultur. One były pierwszymi podróżującymi wśród gwiazd gatunkami, graczami z początku gry.

Wojna Świtu wybuchła z powodu jednego cennego zasobu.

Metalu.

*

Powróciła na Resurgam.

W Domu Inkwizycji musiała odpowiedzieć na pytania. Zrobiła to jak najbardziej naturalnie. Oświadczyła, że przebywała na pustkowiu, załatwiając bardzo istotny i tajny raport od agenta, który natknął się na wyjątkowo obiecujący trop. Oznajmiła, że natrafili na najgorętszy od lat ślad triumwira. Aby to udowodnić, ponownie otworzyła pewne zamknięte sprawy i kazała zaprosić na przesłuchania do Domu Inkwizycji niektórych dawnych podejrzanych. Mdlilo ją z powodu tego, co robi, by zachować pozory nieposzlakowanej uczciwości. Trzeba było zatrzymywać niewinnych ludzi i dla uwiarygodnienia całej sprawy wywołać w nich wrażenie, że ich życie, lub przynajmniej swoboda, jest ogromnie zagrożone. To postępowanie przejmowało ją wstrętem. Samousprawiedliwiała się, że terroryzuje jedynie tych ludzi, którzy uniknęli kary za inne zbrodnie. Dowiadywała się o nich z dokumentów konkurencyjnych resortów. Z biegiem lat nawet to zaczęło jej się wydawać moralnie wątpliwe.

Teraz jednak było jeszcze gorzej. W rządzie znaleźli się sceptycy i by uciszyć ich obiekcje, musiała prowadzić przesłuchania niezwykle skutecznie i bezlitośnie. W Cuvier musi panować przekonanie, że Dom Inkwizycji może się posunąć daleko.

Ludzie musieli cierpieć, by Khouri nie została zdekonspirowana.

Wmawiała sobie, że to wszystko ma na względzie ich najlepiej pojęty interes, dobro Resurgamu. Że kilka przerażonych dusz to mała cena, w porównaniu z ochroną całego świata.

Stała przy oknie swego gabinetu w Domu Inkwizycji i patrzyła w dół, na ulicę, obserwując, jak pakują następnego jej klienta do szarawego elektrycznego samochodu. Mężczyzna prowadzony przez strażników potykał się. Miał okrytą głowę i związane z tyłu ręce. Samochód pomknął przez miasto, aż do strefy mieszkalnej – wtedy zapadnie już zmrok – a człowiek zostanie wyrzucony do rynsztoka kilka przecznic od swego domu.

Więzy zostaną poluzowane, ale mężczyzna poleży jeszcze kilka minut na ziemi, ciężko dysząc. Może natknie się na niego grupa znajomych, idąca do baru lub wracająca z zakładów remontowych. Z początku nikt go nie rozpozna, gdyż został pobity, ma opuchniętą twarz i mówi z trudem. Ale kiedy już go poznają, odprowadzą do domu, sprawdzając trwożnie, czy w pobliżu nie kręcą się rządowi agenci, którzy wyrzucili mężczyznę.

Albo może mężczyzna sam się podniesie i, rozchylając zakrwawione, posiniaczone powieki, jakoś dotrze do domu. Przywita go żona, niewykluczone, że w tej chwili najbardziej przestraszona osoba w Cuvier. Uścisną się, choć mąż jest obolały. Potem ona zbada i przemyje skaleczenia. Aby się upewnić, czy nie ma złamań, trzeba będzie przeprowadzić należyte badania lekarskie. Mężczyzna uzna, że miał szczęście, że agenci, którzy go bili, byli znużeni ciężkim dniem przesłuchań.

Może później pokuśtyka do baru na spotkanie z przyjaciółmi. Zamówią drinki i w spokojnym zakątku pokaże im swoje siniaki. Rozejdzie się wieść, że pobito go w Domu Inkwizycji. Znajomi zapytają go, jak w ogóle stał się podejrzany o związki z triumwir, a on powie ironicznie, że teraz Dom Inkwizycji interesuje się nawet błahymi podejrzeniami, a pościg za tamtą zbrodniarką tak się nasilił, że każde wykroczenie przeciw jakiegokolwiek instytucji może zostać uznane za milczące poparcie dla niej.

Khouri obserwowała, jak samochód odpywa, nabierając prędkości. Już zapomniała tego mężczyznę – wszyscy po pewnym czasie wyglądali jednakowo, mężczyźni i kobiety rozmazywali się w jednorodną przerażoną całość. Jutro będą następni.

Spojrzała ponad budynki, na sino zabarwione niebo. Wyobraziła sobie procesy, które zachodzą poza atmosferą Resurgamu. Niecałe dwie godziny świetlne stąd ogromna i nieubłagana obca maszyna zajmuje się zmianą trzech światów w drobny metaliczny pył. Maszyny pracują niespiesznie, nie stosują ludzkiej skali czasowej. Wypełniają swoje zadania z cichym spokojem przedsiębiorców pogrzebowych.

Khouri przypomniła sobie informacje o Inhibitorach, łaskawie jej powierzone, gdy przeniknęła do załogi Volyovej. Na początku czasu wybuchła wojna, która ogarnęła całą galaktykę i liczne kultury. W opustoszałym po wojnie wszechświecie jeden z gatunków – albo zespół gatunków – uznał, że nie można już tolerować życia inteligentnego i spuścił ze smyczy ciemne gromady maszyn, których jedyną funkcją miało być wypatrywanie oznak powstających kultur międzygwiazdnych. Maszyny upstrzyły kosmos pułapkami, błyskotkami do wabienia niemądrych. Pułapki powiadamiały Inhibitorów o obecności nowej inteligencji, oraz stanowiły narzędzia badań psychologicznych, sporządzające profile wykluwających się kultur, przeznaczonych wkrótce do odstrzału.

Pułapki mierzyły ich sprawność techniczną, co pozwalało ocenić ewentualne metody oporu przeciw Inhibitorom. Z jakiegoś powodu, którego Khouri nie rozumiała i którego z pewnością nigdy jej nie wyjaśniono, reakcja na pojawienie się inteligencji musiała być adekwatna; nie wystarczyło wymazać całego życia z galaktyki czy nawet z części galaktyki. Khouri czuła, że odstrzały przeprowadzane przez Inhibitorów mają jakiś głębszy sens, którego ona jeszcze nie pojmuje i może nigdy już nie zdoła pojąć.

A jednak maszyny nie były doskonałe. Zaczęły zawodzić. Proces można było zauważyć dopiero w skali kilku milionów lat. Większość gatunków tak długo nie trwa, więc obserwowano tylko ponurą ciągłość. Postępującego upadku nie dało się zauważyć w zapiskach pojedynczej kultury – trzeba było studiować subtelne różnice w relacjach różnych ras. Współczynnik bezwzględności Inhibitorów pozostawał stale równie wysoki, lecz metody stały się mniej skuteczne, a czas reakcji dłuższy. Ujawniły się pewne głęboko ukryte i subtelne wady konstrukcji tych maszyn. Od czasu do czasu jakaś kultura przebijała się przez sieć i rozprzestrzeniała w kosmosie, zanim Inhibitorzy zdążyli ją ograniczyć i zlikwidować. Odstrzał stawał się w takich przypadkach trudniejszy, miał mniej z operacji chirurgicznej, a więcej z rzezi.

Amarantini, ptakopodobne istoty, które przed milionem lat zamieszkiwały Resurgam, były jednym z takich gatunków. Ich wymazywanie przedłużyło się i wielu z nich prześlizgnęło się do rozmaitych azylów. Ostatnim aktem rzeźnickich maszyn było zniszczenie biosfery Resurgamu przez wzniesienie katastroficznego gwiazdnego ognia. Od tamtego czasu Delta Pawia ustabilizowała się do zwykłej aktywności słonecznej, ale dopiero teraz Resurgam znowu zaczął stawać się siedliskiem życia.

Dokonawszy swego dzieła, Inhibitorzy ponownie zniknęli w międzygwiazdym chłdzie. Minęło dziewięćset dziewięćdziesiąt tysięcy lat.

Wtedy przybyli ludzie, zwabieni zagadką zaginionej kultury Amarantinów. Ich wodzem był Sylveste, bogaty potomek bogatej rodziny z Yellowstone. Zanim Khouri, Volyova i "Nostalgia za Nieskończonością" dotarły w pobliże Delt Pawia, Sylveste skonkretyzował plan zbadania gwiazdy neutronowej na skraju układu, przekonany, że Hades ma coś wspólnego z zagładą Amarantinów. Sylveste zmusił załogę gwiazdolotu, by użyła swej techniki do przeniknięcia przez skorupy maszynerii obronnej. W końcu udało mu się dotrzeć do serca artefaktu wielkości księżyca – nadali mu imię Cerber – krążącego po orbicie wokół gwiazdy neutronowej.

Przypuszczenia Sylveste'a dotyczące Amarantinów okazały się słuszne. Ale weryfikując swoją teorię, niechcący uruchomił zastawioną pułapkę Inhibitorów. W sercu Cerbera Sylveste zginął w ogromnym wybuchu, w płomieniu anihilacji materii i antymaterii.

Zarazem wcale nie umarł. Khouri wiedziała o tym – spotkała Sylveste'a po jego "śmierci" i rozmawiała z nim. Jak zrozumiała, Sylveste i jego żona zostali zmagazynowani jako symulacje w samej korze gwiazdy neutronowej. Okazało się, że Hades był jednym z azylów wykorzystywanych przez Amarantinów, gdy gnębili ich Inhibitorzy. Był elementem czegoś znacznie starszego zarówno od Amarantinów, jak

i od Inhibitorów – transcendentny system magazynowania i przetwarzania informacji, rozległe archiwum. Amarantini znaleźli drogę do jego wnętrza, tak jak znacznie później znalazł ją Sylveste. Tyle dowiedziała się Khouri i tyle tylko chciała wiedzieć.

Spotkała zmagazynowanego Sylveste'a tylko raz. W ciągu ponad sześćdziesięciu lat – czas ten Volyova spędziła na ostrożnej infiltracji tego samego społeczeństwa, które żywiło do niej nienawiść i się jej bało – Khouri pozwoliła sobie zapomnieć, że Sylveste nadal tam gdzieś jest i w pewnym sensie nadal żyje w obliczeniowej macierzy Hadesu. Podczas rzadkich chwil, gdy o nim myślała, zastanawiała się, czy Sylveste analizował konsekwencje swoich ówczesnych działań. Czy wspomnienie Inhibitorów przerwało kiedykolwiek jego pełne pychy sny o własnej wspaniałości. Wątpiła w to, gdyż Sylveste nigdy nie sprawiał wrażenia kogoś zatroskanego konsekwencjami własnych czynów. A ponadto przy przyspieszonej percepcji Sylveste'a – w macierzy Hadesu czas biegł bardzo prędko – tamte wydarzenia musiały nastąpić przed wiekami jego subiektywnego czasu. Były równie mało znaczące jak figle w dzieciństwie. Tam wewnątrz niewiele mogło go dotknąć, więc jaki sens miało niepokojenie się o niego?

To wszystko zupełnie nie pomagało tym, którzy znajdowali się nadal poza macierzą. Z sześćdziesięciu minionych lat Khouri i Volyova spędziły tylko dwadzieścia poza kasetami zimnego snu, gdyż proces infiltracji był z konieczności powolny i epizodyczny. Khouri zastanawiała się jednak, czy w ciągu tych dwudziestu lat choćby przez jeden dzień nie rozmyślała o ponurej perspektywie nadejścia Inhibitorów.

Teraz przynajmniej niepokój zmienił się w pewność. Inhibitorzy już tu byli. Przeróżający proces w końcu się rozpoczął.

A jednak nie miał to być szybki, brutalny odstrzał. Powstawało coś o skali tytanicznej, co wymagało materiału całych trzech światów. Na razie z Resurgamu działania Inhibitorów nie dawały się wykryć, nawet gdyby ktoś użył systemu do śledzenia nadlatujących światłowców. Khouri jednak przypuszczała, że wcześniej czy później działania obcej maszynerii przekroczą pewien próg i obywatele dostrzegą na niebie dziwaczne zjawiska.

I prawdopodobnie rozpęta się piekło.

Ale wtedy to może już zupełnie nie mieć znaczenia.

DZIESIĘĆ

W korytarzu podchodzenia do karuzeli Nowa Kopenhaga od jasnego potoku innych statków oddzieliła się jakaś jednostka. Xavier ją dostrzegł, zsunął na oczy lornetkę hełmu i omiótł wzrokiem niebo. Skoncentrował spojrzenie na samym statku. Obraz powiększył się i ustabilizował. Jeżoksztalna sylwetka "Burzyka" obracała się powoli, statek wykonywał skręt. Holownik ratowniczy Taurus IV, nadal manewrujący przy statku, przypominał pasożyta usiłującego zdobyć ostatni kęs.

Xavier mrugał intensywnie, zwiększając zoom. Obraz rozdał się i drgnął, wreszcie się wyostrzył.

–Na Boga, coś ty zrobiła mojemu statkowi? – szepnął.

Od czasu, gdy go ostatnio widział, jego ukochany "Burzyk", strasznie się zmienił. Wyrwano mu całe istotne części, kadłub wyglądał tak, jakby ostatni przegląd przechodził w belle epoque, a nie parę miesięcy temu. Gdzie ta Antoinette latała? – myślał Xavier. Do centrum Całunu Lascaille'a? A może miała poważne starcie z dobrze uzbrojonymi banshee?

–To nie jest twój statek, Xavierze. Płacę ci tylko za okresowe przeglądy. Jeśli zechcę go oddać na złom, to wyłącznie moja sprawa.

–Cholera. – Xavier zapomniał, że ma cały czas otwarty kanał bezpośredniej łączności między statkami. – Nie chodziło mi o...

–Zapewniam cię, nie jest z nim tak źle, jak to wygląda z zewnątrz.

Holownik ratowniczy, odczepiony w ostatniej chwili, wykonał niezbyt skomplikowany piruet i odleciał, zakręcając do swego rodzimego hangaru po drugiej stronie Karuzeli Nowa Kopenhaga. Xavier już zdążył obliczyć, ile zapłaci za holowanie. Nieważne, kto w końcu pokryje rachunek; i tak będzie to dotkliwe, bo interesy Xaviera i Antoinette bardzo się ze sobą splatały. Byli zadłużeni w życzliwym banku i jakiś rok zajmie im odwzajemnienie życzliwych usług, nim wybrną z długów.

Mogło być jednak gorzej. Trzy dni temu Xavier już prawie stracił nadzieję, że kiedyś znów ujrzy Antoinette.– To przygnębiające, że radość z odnalezienia jej żywej tak szybko zagłuszyły zwykle dokuczliwe obawy o wypłacalność. Pozbycie się tamtego ciągnika na pewno nie pomogło...

Xavier uśmiechnął się. Do diabła, co tam! Warto było.

Gdy Antoinette zapowiedziała swój przylot, Xavier się przyszykował, pojechał na powierzchnię karuzeli i wynajął szkieletalny trycykl. Wystrzelił go do znajdującego się

w odległości piętnastu kilometrów "Burzyka" i zaczął okrążyć frachtowiec. Z bliska uszkodzenia wyglądały tak parszywie, jak się spodziewał. Co prawda, żadne nie groziło stałym unieruchomieniem statku, wszystko dało się naprawić, ale remont będzie kosztowny.

Zatoczył koło i nieco wyprzedził statek. Na ciemnym kadłubie dostrzegł dwie jasne równoległe szczeliny okien. Mała sylwetka Antoinette rysowała się na tle wyższego okna kabiny, niewielkiej sterowni używanej przez Antoinette tylko podczas delikatnych manewrów dokowania i wychodzenia z doku. Antoinette wyciągnęła rękę nad głowę, do kontrolki; pod pachą trzymała notes. Wyglądała tak krucho, że Xavierowi natychmiast przeszła cała złość. Zamiast przejmować się uszkodzeniami statku, powinien się cieszyć, że pojazd zdołał utrzymać ją przy życiu.

–Masz rację, że uszkodzenia są powierzchowne – stwierdził. – Łatwo się to naprawi. Czy masz wystarczającą kontrolę nad dyszami, by twardo dokować?

–Wskaż mi tylko drogę do hangaru.

Zrobił trycyklem koziółka, oddalając się łukiem od "Burzyka".

–Leć za mną – powiedział.

Karuzela Nowa Kopenhaga rosła w oczach. Xavier poprowadził "Burzyka" wokół jej krawędzi, sterował dyszami, aż dopasował swą prędkość do obrotów karuzeli i zawisł nad nią pozornie nieruchomo. Utrzymywał się na pseudoorbicie, a w trzewiach trycykla dudniła moc. Przelecieli nad małymi zatokami, dokami i szybami naprawczymi, gdzie wśród złotych albo niebieskich świateł błyskały ognie spawarek. Przegonił ich wąż pociągu brzeżnego. Xavier zobaczył, jak cień "Burzyka" nasuwa się nad trycykl. Spojrzał do tyłu: frachtowiec, choć wielki jak góra lodowa, leciał gładko i pewnie.

Cień ześlizgnął się i przepłynął nad półokrągłą szczybą w krawędzi, zwaną przez miejscowych Kraterem Lyle'a – to tutaj wyladowana paliwem chemicznym barka jednego z niezależnych handlarzy, uciekając przed władzami, uderzyła w karuzelę. Szczyba – jedyne poważniejsze uszkodzenie karuzeli z czasów wojny – stanowiła teraz dochodową atrakcję turystyczną; nie naprawiano jej, choć byłoby to dość łatwe. Ludzie przylatywali promami z całego Pasa Złomu, oglądali szczybę i słuchali opowieści o poległych oraz bohaterstwie ratowników. Teraz również Xavier zobaczył grupę gulów prowadzonych przez przewodnika po powierzchni; zwisali w uprzężach z sieci lin oplatających podbrzusze krawędzi. Xavier znał kilka osób, które zginęły podczas tamtego wydarzenia, i dla guli czuł tylko pogardę.

Dok naprawczy Xaviera, drugi co do wielkości na Nowej Kopenhadze, znajdował się nieco dalej na krawędzi. Antoinette usunęła wcześniej z "Burzyka" wystające części,

ale mimo to wydawało się, że statek ledwo zmieści się w doku.

Ogromny statek wyzerował prędkość w stosunku do karuzeli i zanurkował dziobem ku krawędzi. Przez zasłonę oparów, uchodzących z przemysłowych wyziewników karuzeli i statkowych precyzyjnych silniczków korekcyjnych, Xavier widział sieć czerwonych promieni celowniczych laserów, które objęły kadłub i z dokładnością angstroma wyznaczały jego pozycję i prędkość. Z włączonymi głównymi silnikami, z ciągiem połowy g, "Burzyk" wchodził na wyznaczone miejsce na obwodzie. Xavier stał na swej pozycji i miał ochotę zamknąć oczy – tych właśnie manewrów najbardziej się zawsze obawiał.

Statek wsuwał się dziobem z prędkością czterech czy pięciu centymetrów na sekundę. Dziób zniknął w hangarze, ale trzy czwarte kadłuba nadal wystawało w kosmos. Xavier poprowadził trycykl równoległe do statku i wślizgnął się przed niego. Zaparkował na półce, wysiadł i kazał pojazdowi wrócić do wypożyczalni. Obserwował, jak szkieletalny pojazd odlatuje, zmierzając w otwarty kosmos.

Teraz Xavier zamknął oczy – nienawidził końcowej fazy dokowania. Otworzył je dopiero wtedy, gdy wibracja wywoływana przez uderzenie chwytaków, przeniesiona przez konstrukcję sztolni naprawczej, dotarła do jego stóp. Poniżej "Burzyka" zamykały się hermetyczne drzwi hangaru. Gdyby statek miał pozostać tu przez pewien czas – a wszystko na to wskazywało – może warto napompować komorę, by mały- serwisanci Xaviera mogły pracować bez skafandrów. Rozważę to później, pomyślał.

Sprawdził, czy rękawy ciśnieniowe prowadzące do karuzeli znajdują się przy głównych śluzach statku, naprowadził i domknął je ręcznie. Potem przeszedł do śluzy powietrznej hangaru. Spieszył się, więc zdjął tylko rękawiczki i hełm. Czuł, jak wali mu serce, niczym pompa wymagająca nowego twornika.

Przeszedł rękawem łączącym do śluzy powietrznej najbliższej pokładowi. Na końcu rękawa pulsowały światełka, dowód, że śluza już została wprawiona w ruch.

Przechodziła przez nią Antoinette.

Xavier pochylił się, położył na podłodze hełm i rękawiczki, a potem pobiegł rękawem. Właz śluzy otworzył się majestatycznie, wypuszczając białe gęste chmury pary wodnej. Korytarz przed Xavierem rozszerzył się, czas zwolnił jak na kiepskim holoromansie, gdy dwoje kochanków biegnie ku sobie.

Właz się otworzył i ukazała się w nim Antoinette w skafandrze pozbawionym hełmu – trzymała go pod pachą. Nierówno przycięte potargane blond włosy lepiły się do czoła tłuste i brudne. Ziemista skóra, ciemne worki pod oczami, oczy zmęczone, nabiegłe krwią, zmrużone powieki. Nawet z daleka Xavier czuł zapach Antoinette – od

tygodni nie brała prysznic.

Nie przeszkadzało mu to. Dla niego wyglądała wspaniale. Przyciągnął ją do siebie, napierśniki skafandrów zderzyły się. Jakoś udało mu się pocałować dziewczynę.

–Cieszę się, że już jesteś.

–Cieszę się, że wróciłam.

–Czy?...

–Tak – odparła. – Udało się.

Zamilkł na chwilę; nie chciał pustymi słowami banalizować tego, co zrobiła. Zdawał sobie sprawę, jakie to dla niej ważne, i nic nie powinno psuć jej triumfu. Zniosła już dosyć bólu, a on za nic by nie chciał go powiększać.

–Jestem z ciebie dumny.

–Hej, to ja jestem dumna z siebie. Więc ty też powinienesz być cholernie dumny.

–Możesz na to liczyć. Wnioskuje jednak, że były trudności.

–Powiedzmy, że musiałam wejść w atmosferę Mandarynki z nieco większą prędkością, niż planowałam.

–Zombi?

–Zombi i pająki.

–Czyli dwa w jednym. Ale sądzę, że nie doceniłaś tej akcji. Jak ci się udało wrócić, jeśli miałaś do czynienia z pająkami?

Westchnęła.

–Długo by opowiadać. Coś dziwnego działo się przy tym gazowym gigancie i nadal nie jestem pewna, jak to interpretować.

–Więc mi wszystko opowiedz.

–Dobrze, ale muszę coś zjeść.

–Zjeść?

–Tak. – Antoinette uśmiechnęła się szeroko, odsłaniając brudne zęby. – Jestem głodna. I chce mi się pić. Strasznie. Czy ktoś kiedyś upił cię w trupa?

Xavier Liu zastanowił się przez chwilę.

–Chyba nie.

–Teraz masz życiową okazję.

Zdjęli ubrania, kochali się i przez godzinę leżeli obok siebie, potem wzięli prysznic, ubrali się – Antoinette włożyła swój najlepszy śliwkowy kostium – i wyszli coś zjeść. Po sutym obiedzie zdrowo się upili. Antoinette cieszyła się każdą minutą. Przyjemność sprawiała jej każda chwila miłości. Z tym wszystkim nie było żadnych problemów. Wspaniałe było też poczucie, że ma czyste ciało, naprawdę umyte, a nie byle jak – tyle mogła osiągnąć na statku; wspaniałe, że znów przebywała w strefie ciężenia, choćby wirówkowym ciężeniu pół g. Ale odnosiła wrażenie, że wszystko, na co patrzy, w czym uczestniczy, zaraz przeminie.

Pająki zwyciężą w tej wojnie. Przejmą cały układ, również Pas Złomu. Może nie zmienią wszystkich w rekrutów mózgu- ula – twierdzili, że nie mają takich zamiarów – ale sprawy potoczą się inaczej. Yellowstone nie stało się wesołym miasteczkiem podczas ostatniej krótkiej okupacji pajaków. Trudno sobie wyobrazić, jak córka pilota kosmicznego, właścicielka jednego wysłużonego, trzeszczącego statku, mogłaby się przystosować.

Do diabła, pomyślała, chcąc się wprawić w dobry nastrój, przecież chyba nie nastąpi to dziś wieczór?

Pojechali pociągiem krawędziowym. Antoinette chciała coś zjeść w barze pod Kraterem Lyle'a, gdzie podawano doskonałe piwo, ale Xavier uważał, że o tej porze będzie tam tłoczno i lepiej pójść gdzie indziej. Wzruszyła ramionami, przyznając mu rację, i z lekkim zaciekawieniem weszła do baru "U Robola", po drugiej stronie karuzeli. Wybrany przez Xaviera lokal okazał się niemal pusty. Antoinette zrozumiała, dlaczego tak jest, gdy przestawiła swój zegarek na lokalny czas Yellowstone – było wczesne popołudnie, dwie godziny po trzynastej. Na Karuzeli Nowa Kopenhaga zabawy odbywały się podczas nocnej zmiany, co odpowiadało godzinom "nocy" Chasm City.

–Bez problemu dostalibyśmy się do Lyle'a – zauważyła.

–Tak, ale po prostu nie lubię tamtego lokalu.

–Bo co?

–Za dużo tam tych przeklętych zwierzaków. Gdy cały dzień pracuje się z małpami... albo i nie pracuje... człowiek ma ochotę być obsługiwanym przez maszyny.

Antoinette skinęła głową znad menu.

–Jasne.

“Robol” wabił obsługą – cała składała się tu z serwitörów. Poza zakładami naprawczymi należał do nielicznych miejsc na karuzeli, gdzie maszyny wykonywały pracę ręczną, choć były to maszyny stare, tandetne, zdezelowane – odporne na zarazę serwitör, które nadal produkowano, mimo przemysłu znacznie ograniczonego wskutek wojny i zarazy. Mają w sobie pewien antyczny urok, pomyślała Antoinette, ale gdy zobaczyła, jak jedna z kulejących maszyn cztery razy upuściła butelki piwa w drodze z baru do stolika, ten urok nieco zbladł.

–Mam wrażenie, że niezbyt podoba ci się ten lokal – powiedziała później do Xaviera – ale jeszcze mniej lubisz Lyle'a.

–Tak, jest coś obrzydliwego w tym, że miejsce jednej z najpoważniejszych cywilnych katastrof zmieniono w prymitywną komercję.

–Tato przyznałby ci rację.

Xavier burknął coś niezrozumiale.

–A więc co się stało z pajakami?

Antoinette odrywała etykietkę z butelki piwa, tak jak wiele lat temu, gdy jej ojciec po raz pierwszy wspomniał o swoim pochówku.

–Nie mam pojęcia.

Xavier startł pianę z ust.

–Zaryzykuj jakąś teorię.

–Wpadłam w kłopoty. Wszystko szło dobrze, powoli i pod kontrolą zbliżałam się do Mandarynkowego Snu i nagle bach! – Podniosła podkładkę pod piwo i obrazowo dźgnęła ją palcem. – Tuż przed sobą miałam statek zombi, który też szedł w atmosferę. Przypadkowo oświetliłam go swoim radarem i zostałam objechana przez pilota zombi.

–Ale w podzięce nie wpakował w ciebie pocisku?

–Nie. Musiał być wystrzelany albo nie chciał pogarszać sprawy i wystrzałem torpedy zdradzić swojej pozycji. Nurkował w atmosferę z tego samego powodu co ja: goniły go pająki.

–Parszywie – stwierdził Xavier.

–Właśnie. Dlatego tak błyskawicznie musiałam wejść w atmosferę. Do diabła z ostrożnością, aby jak najszybciej w dół! Bestia się podporządkował, ale powstało

wiele uszkodzeń.

–Podjęłaś słuszną decyzję, jeśli alternatywą było przechwycenie przez pająki. I co? Przeczekałaś na dole, aż pająki znikną?

–Niezupełnie... wcale nie.

–Antoinette – napomniał ją Xavier.

–Posłuchaj! Gdy już pochowałam ojca, chciałam stamtąd uciec jak najszybciej. Bestii też tam się wcale nie podobało. Statek chciał wylecieć z atmosfery. Ale nasz tokamak miał awarię.

–Byliście ugotowani.

–Wszystko na to wskazywało – stwierdziła Antoinette – zwłaszcza że pająki cały czas były obok.

Xavier odchylił się w fotelu, łyknął piwa. Teraz, gdy Antoinette wróciła cała i zdrowa, gdy wiedział, jak się wszystko skończyło, z przyjemnością słuchał opowieści.

–Udało wam się uruchomić tokamak?

–Później, gdy już byliśmy w kosmosie. Wytrzymał na tyle, bym dotarła do Yellowstone, ale przy hamowaniu musiałam skorzystać z holowników.

–Więc udało ci się osiągnąć prędkość ucieczki? Czy też mimo wszystko jakoś weszłaś na orbitę?

–Ani to, ani to. Spadaliśmy na planetę, zrobiłam więc jedyne, co mogłam: poprosiłam o pomoc. – Skończyła swoje piwo i obserwowała reakcję Xaviera.

–O pomoc?

–Poprosiłam pająki o pomoc,

–Nie zalewasz? Odważyłaś się? Miałaś jaja?

–Nie jestem pewna co do jaj... ale tak, odważyłam się. – Szeroko się uśmiechnęła. – A co miałam robić? Tkwić tam i umrzeć? Z mojego punktu widzenia, gdy chmury przybliżały się cholernie szybko, wydawało mi się, że są gorsze rzeczy niż być zwerbowanym do umysłu- ula.

–Trudno uwierzyć. I to wszystko mimo snu, który ci się odtwarzał?

–Doszłam do wniosku, że to propaganda. Prawda nie może być aż tak zła.

–Ale może prawie tak zła.

–Gdy śmierć na ciebie czyha, bierzesz, co dają.

Kiwnął w jej stronę szyjką otwartej butelki.

–Ale...

Antoinette czytała mu w myślach.

–Jestem nadal tu, tak. Cieszę się, że to zauważyłeś.

–Co się tam wydarzyło?

–Uratowały mnie – powtórzyła, jakby sama chciała się upewnić. – Pająki mnie uratowały. Wystrzeliły dronę lub holownik, czy coś w tym rodzaju. To coś przywarło do kadłuba i pchnęło mnie, i to mocno, aż wydostałam się ze studni grawitacyjnej Mandarynkowego Snu. Wiem tylko, że potem spadałam ku Yellowstone. Musiałam co prawda jeszcze uruchomić tokamak, ale przynajmniej miałam na to trochę więcej czasu.

–A pająki zniknęły?

Energicznie skinęła głową.

–Ich szef, ten stary piernik, mówił do mnie przed wysłaniem drony. Ostrzegał mnie, i to ostro. Powiedział, że jeśli jeszcze raz nasze drogi się spotkają, to mnie zabije. Sądzę, że mówił to poważnie.

–Powinnaś się uznać za szczęściarę. Rzadko się zdarza, żeby ludzie wykręcili się ostrzeżeniem przy spotkaniach z pajakami.

–Chyba masz rację, Xave.

–Ten starzec... ten pajak... słyszeliśmy już o nim? Antoinette pokręciła głową.

–Przedstawił się jako Clavain. Nic mi to nie mówi.

–To oczywiście nie ten Clavain? Przestała się bawić podkładką pod szklanę.

–A "ten Clavain" to kto?

Spojrzał na nią, jakby była głuptasem albo osobą o niepokojąco słabej pamięci.

–Antoinette, chodzi o historię – wiesz, to całe nudziarstwo na temat przeszłości. To wszystko sprzed parchowej zarazy i inne duperele.

–Nie było mnie wtedy na świecie. Nawet teoretycznie mnie to nie interesuje. – Podniosła butelkę do światła. – Potrzebna mi jeszcze jedna. Czy jest nadzieja, że przyniosą mi piwo w ciągu godziny?

Xavier pstryknął palcami na serwitora. Maszyna obróciła się, zeszywniała, zrobiła krok w stronę stolika i przewróciła się.

Jednak po powrocie do domu Antoinette zaczęła drążyć temat. Wieczorem, gdy ustąpiły skutki picia i umysł miała jasny, choć jeszcze lekko wyostrzony, wślizgnęła się do biura Xaviera, włączyła zabytkowy terminal i buszowała po karuzelowych magazynach danych. Szukała informacji o Clavainie. Dopiero teraz mogła zaspokoić ciekawość, przeszukując ogólnościatowe archiwa. Wysłanie kwerendy z "Burzyka" podczas podróży powrotnej z gazowego giganta wiązałoby się ze zbyt dużym ryzykiem, a własna pamięć statku nie była najbogatsza.

Antoinette знаła tylko świat po zarazie; nie miała nadziei na znalezienie naprawdę użytecznych informacji, nawet jeśli wcześniej w ogóle istniały interesujące ją dane. Po zarazie sieci informacyjne układu zbudowano prawie od nowa; poprzednie archiwa uległy zniekształceniu lub zatarciu w czasie kryzysu.

Ku swemu zdziwieniu Antoinette znalazła sporo materiałów o Clavainie – a przynajmniej o jakimś Clavainie. Ten słynny Clavain, o którym wspominał Xavier, urodził się na Ziemi w dwudziestym drugim wieku, podczas wspaniałego lata – jednego z ostatnich przed zlodowaceniem, wskutek którego planeta zmieniła się w dziewiczą kulę śnieżną. Powędrował na Marsa i walczył przeciw Hybrydowcom w jednym z ich wcześniejszych wcieleń. Antoinette czytała to ze zdumieniem. Przeciw Hybrydowcom? Clavain zyskał sławę podczas swej służby na Marsie, zmienił przebieg decydującej bitwy o przyczółek. Nazwali go Rzeźnikiem z Tharsis. Zatwierdził użycie przeciw pająkom czerwonej rtęci, broni nuklearnej i pianowej, które spowodowały powstanie na powierzchni Marsa szklistych kraterów o kilometrowej średnicy. Niektóre kroniki traktowały jego czyny jako przestępstwa wojenne, ale mniej stronnice relacje uznawały, że uratował miliony istot – pajaków i aliantów – które inaczej zginęłyby w wyczerpującej wojnie lądowej. Mówiono o jego bohaterstwie: ratował życie żołnierzy i cywili; sam wielokrotnie ranny, gdy się z ran wylizywał, wracał prosto na front. Gdy pająki zburzyły wieżę dokowania powietrznego w Chryse, znalazł się pod jej gruzami, przeżył osiemnaście dni bez dostępu do jedzenia i wody – korzystał tylko z zapasów w swym skafandrze. Gdy go wyciągnięto z rumowiska, trzymał w objęciach kota, który również uwiązł w ruinach i z przetrąconym kręgosłupem przeżył – Clavain karmił go swoimi skąpymi tackami. Tydzień później kot zdechł.

Clavain wyzdrowiał: dopiero po trzech miesiącach.

Na tym jego kariera się nie skończyła. Został pojmany przez Galianę, królową

pająków. To ona stworzyła ten cały pajęczy chłam. Więziła Clavaina przez wiele miesięcy i uwolniła dopiero po zawieszeniu broni. Potem między tymi dwoma dawnymi przeciwnikami powstała dziwna więź. Gdy kruchy pokój zaczynał pękać, to właśnie Clavain próbował załagodzić sprawy z królową pajaków. I najprawdopodobniej podczas tej misji "zbiegł", związał się z Hybrydowcami, przyjął ich maszyny remodelujące do swojej czaszki i stał się jednym z pajaków mózgu- ula.

I wtedy Clavain w zasadzie zniknął z historii. Antoinette przejrzała resztę archiwów i znalazła opowiadki o tym, jak przez czterysta lat pojawiał się to tu, to tam. Możliwe, nie sposób było temu zaprzeczyć. Zanim zniknął, nieco się postarzał, ale zważywszy zamrażanie i podróże kosmiczne, w ciągu tych czterech wieków przeżył nie więcej niż kilkadziesiąt lat. W tej kalkulacji nie uwzględniła terapii odmładzających, jakie stosowano przed zarazą. Tak, to mógł być Clavain, ale również mógł to być ktoś inny o tym samym imieniu. Czy to prawdopodobne, że przecięły się drogi Antoinette Bax i znamienitej postaci historycznej? Takie rzeczy Antoinette po prostu się nie zdarzały.

Sprzed gabinetu Xaviera dobiegły odgłosy spadających i wrywanych przedmiotów oraz protesty Xaviera. Antoinette zgasła terminal i wyszła z pokoju.

Z wrażenia nie mogła złapać tchu. Xavier wisiał parę centymetrów nad podłogą, przyszpilony do ściany – chyba boleśnie – przez manipulator wieloramiennego policyjnego proksy. Czarna błyszcząca maszyna wtargnęła do pomieszczenia, przewracając szafki i doniczki z kwiatami. Proksy wyglądał jak koszmarna płatanina olbrzymich czarnych nożyc.

Antoinette przyjrzała się proksy. Wszystkie wyglądały niemal identycznie, ale Antoinette była pewna, że ten sam proksy, sterowany przez tego samego pilota, wchodził wcześniej na pokład "Burzyka".

–Cholera! – zaklęła Antoinette.

–Panno Bax. – Maszyna niezbyt delikatnie opuściła Xaviera na podłogę. Ten zakasłał i dysząc, masował sobie zaczerwienioną szyję. Usiłował coś powiedzieć, ale udało mu się wydobyć tylko kilka szorstkich, gardłowych dźwięków.

–Pan Liu utrudniał mi przeszukanie – oznajmił proksy.

Xavier zakasłał.

–Po... po prostu nie dość szybko się usunąłem.

–Nic ci się nie stało, Xave? – spytała Antoinette.

–Czuję się dobrze – odparł. Jego twarz odzyskiwała normalny kolor. Odwrócił się do maszyny, która zajmowała większą część pomieszczenia; przeglądała rzeczy,

przerzucając je licznymi odnóżami.

–Czego chcesz, do diabła?

–Informacji, panie Liu. Odpowiedzi na te pytania, które nurtują mnie od czasu mojej ostatniej wizyty.

Antoinette spojrzała wściekle na maszynę.

–Ten złom tu przychodził, kiedy byłam w podróży?

Proksy udzielił odpowiedzi:

–Jak najbardziej, panno Bax. Skoro pani nie wracała, uznałem to za konieczne.

Xavier spojrzał na Antoinette, która skinęła głową.

–Tak, był na pokładzie “Burzyka”.

–I?...

Proksy przewrócił szafkę na akta i ze znużeniem zaczął przeglądać wysypane dokumenty.

–Panna Bax pokazała mi pasażera w kasecie zimnego snu. Powiedziała, że nastąpiła jakaś urzędnicza pomyłka, a wersję tę potwierdziło Hospicjum Idlewild. Ciało jakoby transportowano z powrotem do Hospicjum.

Antoinette wzruszyła ramionami, wiedząc, że musi zachować się bezczelnie, by z tego wybrnąć.

–No i co?

–Ciało było martwe. A pani w ogóle nie dotarła do Hospicjum. Gdy tylko opuściłem statek, poleciała pani od razu w przestrzeń międzyplanetarną.

–A po co miałabym to robić?

–Właśnie to chciałbym wiedzieć, panno Bax. – Proksy porzucił papiery i kopnął szafkę jednym szybkim ruchem hydraulicznej kończyny o ostrych krawędziach. – Pytałem pana Liu, ale on zupełnie nie chciał mi pomóc, prawda, panie Liu?

–Powiedziałem, co wiedziałem.

–Panie Liu, również panem powinienem się bliżej zainteresować, nie sądzi pan? Ma pan bardzo ciekawą przeszłość, sądząc po kartotekach policyjnych. Dobrze pan znał

Jamesa Baxa, prawda?

–A kto go nie znał? – Xavier wzruszył ramionami.

–Pracował pan dla niego. Przyzna pan, że wskazuje to na coś więcej niż tylko przelotną znajomość?

–Łączyły nas interesy. Naprawilem mu statek. Dużo statków naprawiam. Ślubu z nim nie brałem.

–Ale z pewnością miał pan świadomość, panie Liu, że James Bax pozostaje w kręgu naszych zainteresowań. Ten człowiek niespecjalnie dbał o to, co dobre, a co złe. Niezbyt go obchodziły sprawy tak błahe jak prawo.

–A skąd miał je znać? – odparł Xavier. – Wy, złamańcy, stanowicie prawo na bieżąco.

Proksy ruszył z oszalemiającą prędkością, Antoinette dostrzegła tylko wirującą czarną smugę i poczuła powiew. Potem zobaczyła Xaviera przyszpilonego do ściany wyżej niż poprzednio, i to ze znacznie większą siłą. Dławił się i rozpaczliwie starał się uwolnić, chwytając za manipulatory maszyny.

–Czy wiedział pan, panie Liu, że sprawa Merricka nie została pomyślnie zamknięta?

Xavier nie odpowiadał.

–Sprawa Merricka? – spytała Antoinette.

–Lyle'a Merricka – odparł proksy. – Znała go pani. To handlarz, jak pani ojciec. Łamał prawo.

–Lyle Merrick umarł...

Xavier zaczynał sinieć.

–Ale jego sprawy nie zamykano, panno Bax. Pozostały nierozwiązane wątki. Zna pani orzeczenie w sprawie Mandelstama?

–Czy to znowu jakieś wasze pieprzone nowe prawo?

Maszyna opuściła Xaviera na podłogę. Stracił przytomność.

Antoinette miała nadzieję, że tylko stracił przytomność.

–Pani ojciec znał Lyle'a Merricka. Xavier Liu znał pani ojca. Pan Liu prawie na pewno znał Lyle'a Merricka. Uwzględniając te okoliczności oraz pani zwyczaj

transportowania zwłok w strefę wojenną nie należy się dziwić, że bardzo się wami interesujemy.

–Jeśli jeszcze raz tkniesz Xaviera...

–To co, panno Bax?

–To ja...

–Nic pani nie zrobi. Jest tu pani bezsilna. W tym pomieszczeniu nie ma żadnych kamer bezpieczeństwa czy choćby najmniejszej pluskwy. Wiem, bo wcześniej wszystko sprawdziłem.

–Ty kutasie!

Maszyna zbliżyła się do niej.

–Oczywiście mogła pani ukryć na sobie jakieś urządzenie.

Antoinette oparła się plecami o ścianę.

–Co?

Proksy wsunął manipulator. Antoinette mocniej przywarła do ściany, zaczerpnęła tchu, ale to nic nie pomogło. Proksy przesunął manipulatorem po jej policzku, dość delikatnie, ale Antoinette wiedziała, że gdyby chciał, mógłby jej zrobić krzywdę. Teraz manipulator głaskał jej szyję, a sunąc w dół, zatrzymał się dłużej na piersiach.

–Ty pieprzony draniu!

–Podejrzewam, że może pani mieć przy sobie broń albo narkotyki.

Metalowa dłoń śmignęła i Antoinette znów poczuła złowrogi powiew. Uchyliła się, ale po sekundzie było po wszystkim: proksy szarpnął i w ułamku sekundy ulubiony śliwkowy żakiet Antoinette wisiał w strzępach. Pod żakiem miała obcisłą czarną kamizelkę z kieszeniami na różne urządzenia. Antoinette wita się i klęła, ale maszyna trzymała ją mocno, manipulatorem rysowała linie na kamizelce i jednocześnie odciągała ją od ciała, dziewczyny.

–Muszę się upewnić, panno Bak.

Pomyślała o pilocie wkomponowanym chirurgicznie w stalowym pojemniku we wnętrzościach policyjnego kutra, który musiał gdzieś w pobliżu parkować. Pilot – zaledwie centralny układ nerwowy i trochę nieciekawych dodatków.

–Ty zboczony kutasie.

–Jestem po prostu... dokładny, panno Bax.

Za maszyną rozległ się trzask i stukot. Proksy zamarł. Antoinette, również zaskoczona, wstrzymała oddech. Zastanawiali się, czy pilot zawiadomił innych proksy, że zapowiada się niezła zabawa.

Maszyna cofnęła się i powoli odwróciła. Stała teraz zwrócona twarzą do pomarańczowobrazowej i falująco czarnej ściany. Antoinette oceniła, że było ich kilkanaście: sześć czy siedem orangutanów i tyleż ulepszonych srebrzystogrzbitych goryli – wszystkie przerobione na pełną dwunożność i zaopatrzone w prowizoryczną – niektóre nawet nie w taką znowu prowizoryczną – broń.

Główny goryl miał w dłoniach karykaturalnie wielki klucz. Gdy przemówił, były to prawie poddźwięki i Antoinette odebrała ten głos bardziej brzuchem niż słuchem. – Puść ją.

Proksy ocenił swoje szanse. Prawdopodobnie udałoby mu się zlikwidować całą tę grupę naczelnych. Miał tasery, strzelby klejowe i inne draństwo, ale zrobiły tu straszną jatkę – z czego potem musiałby się strasznie tłumaczyć – a nie miał gwarancji, że zanim zdąży unieszkodliwić te małpy, sam nie zostanie poszkodowany.

Nie warto wdawać się w bójkę, tym bardziej że naczelne miały za sobą wpływowe związki zawodowe i grupy polityczne. Konwencji Ferrisvillskiej znacznie trudniej będzie wyjaśnić śmierć goryla czy orangutana niż człowieka, zwłaszcza na Karuzeli Nowa Kopenhaga. Proksy wycofał się, schował większość kończyn. Przez chwilę ściana naczelnych nie ustępowała i Antoinette bała się, że dojdzie do rozlewu krwi, ale jej wybawcy chcieli tylko zademonstrować siłę. Ściana rozstąpiła się i proksy dał nogę.

Antoinette westchnęła z ulgą. Chciała podziękować naczelnym, choć teraz najbardziej niepokoiła się o Xaviera. Ukłękła przy nim, dotknęła jego szyi. Za plecami czuła oddechy zwierząt.

–Zdrowy?

Antoinette spojrzała na wspaniałe oblicze goryla, jakby wyrzeźbione w węglu.

–Chyba tak. Skąd wiedzieliście?

–Xavier nacisnął guzik alarmu. Przyszliśmy – odparł imponująco niskim głosem.

–Dziękuję.

Srebrzysty powstał, górował nad Antoinette.

-Lubimy Xavier. On dla nas dobry.

Po wyjściu małp Antoinette obejrzała resztki swojej kamizelki. Dostała ją od ojca na siedemnaste urodziny. Kamizelka, zawsze dla niej nieco przyciasna, przypominała żakiet matadora, ale Antoinette bardzo ją lubiła. Teraz była tak zniszczona, że już nie dałoby się jej zreperować.

Gdy Xavier podniósł się z podłogi – drżał, ale w zasadzie nic mu nie było – zaczęli sprzątać biuro. Zajęło im to kilka godzin, najdłużej – porządkowanie papierów. Xavier zawsze dbał o dokumenty. Nawet gdy firmie groziło bankructwo, uważał, że nie należy dostarczać chciwym wierzycielom dodatkowych argumentów.

O północy pomieszczenie znów wyglądało przyzwoicie, ale Antoinette wiedziała, że to nie koniec. Proksy tu wróci i tym razem postara się, żeby oddział małp nie przyszedł Xavierowi z pomocą. Nawet jeśli proksy nie odkryją prawdziwego celu wyprawy Antoinette w rejon wojny, znajdą tysiące sposobów na zniszczenie firmy. Może już sekwestrowali "Burzyka"? Proksy igrał z nią, usiłował utrudnić jej życie, stwarzając ustawiczne zagrożenie, podczas gdy sam – a Antoinette cały czas musiała sobie przypominać, że stoi za nim ludzki pilot – traktuje to jako zabawę, kiedy akurat nie ma innego obiektu prześladowań.

Zamierzała zapytać Xaviera, dlaczego proksy tak interesuje się współnikami ojca, zwłaszcza sprawą Lyle'a Merricka, ale postanowiła do rana o tym nie myśleć.

Xavier wyszedł po piwo i potem wypili parę butelek, kończąc porządki.

–Wszystko się ułoży, Antoinette – powiedział Xavier.

–Jesteś pewien?

–Zasługujesz na to, jesteś dobrym człowiekiem. Chciałaś tylko wypełnić wolę ojca.

–Ale dlaczego czuję się jak ostatnia idiotka?

–Niesłusznie – odparł i pocałował ją.

Znów się kochali – wydawało im się, że poprzednio robili to wiele dni temu. Potem Antoinette zasnęła, nurkując przez warstwy coraz bardziej mglistego niepokoju, aż osiągnęła stan nieświadomości. Wtedy zawładnął nią propagandowy sen Demarchistów, ten sen, w którym liniowcem zaatakowanym przez pająki leciała do ich bazy kometarnej i została poddana operacji chirurgicznej, mającej wcielić ją do umysłu- ula.

Tym razem jednak było inaczej. Gdy Hybrydowcy przyszli otworzyć jej czaszkę i

zatopić tam swoje maszyny, osobnik, który się nad nią pochylił, zdjął białą maskę chirurga, odsłaniając twarz – Antoinette знаła ją z tekstów historycznych i z opowieści o ostatnich jego pojawieniach; twarz sędziwego patriarchy, siwego, brodatego, poorana zmarszczkami, wyrazista, jednocześnie smutna i radosna, która w innych okolicznościach mogłaby się wydawać twarzą dobrotliwego, mądrego dziadka.

Twarz Nevila Clavaina.

–Mówiłem ci, żebyś już nigdy więcej nie wchodziła mi w drogę.

Matczyne Gniazdo znajdowało się minutę świetlną z tyłu, gdy Clavain kazał korwecie odwrócić się i rozpocząć hamowanie według przekazanych przez Skade danych nawigacyjnych. Niebo wirowało, jakby wprowadzone w ruch dobrze naoliwionym mechanizmem. To blade światło, to cienie spadały na Clavaina i jego dwóch leżących pasażerów. Korweta należała do najzwinniejszych statków śródkładowej floty Hybrydowców, ale upchnięcie w niej trzech osób przypominało rozwiązywanie matematycznego zadania optymalnego załadunku. Clavain tkwił w uprzęży na stanowisku pilota, kontrolki miał w zasięgu rąk, a wskaźniki optyczne w zasięgu wzroku. Statek mógł lecieć bez najmniejszego udziału pilota, ale równocześnie był przystosowany do przetrzymania ataku cybernetycznego, który potrafiłby zakłócić procedury komend neuralnych. Clavain w każdym razie sterował nią dotykiem, choć od wielu godzin nawet nie poruszył palcem. Raporty taktyczne pchały mu się w pole widzenia, rywalizując o jego uwagę; w promieniu sześciu godzin świetlnych nie było absolutnie żadnej wrogiej działalności.

Tuż za Clavainem, z kolanami na wysokości jego ramion, leżeli Remontoire i Skade, wepchnięci w człekokształtne miejsce między gondole pocisków a balony z paliwem, ubrani – jak Clavain – w lekkie skafandry próżniowe. Czarne zbrojone powierzchnie skafandrów sprawiały, że oboje tworzyli abstrakcyjne przedłużenie wnętrza korwety. Ledwie wystarczyło miejsca na skafandry, ale na ich wkładanie miejsca nie było w zasadzie – wcale.

Skade?

[Słucham, Clavainie?]

Chyba teraz możesz mi bez obawy powiedzieć, dokąd lecimy.

[Kieruj się planem lotu, to dotrzemy na czas. Mistrz warsztatów będzie na nas czekał]

Mistrz warsztatów? Znam go?

Clavain pochwycił ukradkowy uśmiech Skade, odbity w oknie korwety.

[Wkrótce będziesz miał przyjemność go poznać]

Nikt nie musiał Clavainowi mówić, że zmierzają do tej samej części kometarnego halo, w której znajdowało się Matczyne Gniazdo. W tym rejonie kosmosu była tylko próżnia oraz komety, i to dość rzadko rozmieszczone. Hybrydowcy przekształcili niektóre komety w atrapy, wabiące wroga, na innych rozmieścili czujniki, pułapki i zagłuszacze, ale Clavain nie słyszał o takich działaniach tak blisko Gniazda.

Podczas lotu podłączył się do układowych wiadomości. Tylko najbardziej wrogo nastawione agencje utrzymywały, że Demarchiści mają teraz szanse zwycięstwa. Większość otwarcie przewidywała porażkę, choć ubierano to w mniej jednoznaczne określenia: “zaniechanie wrogich działań”, “ustępstwo co do niektórych żądań przeciwnika”, “ponowne otwarcie rokowań z Hybrydowcami” i tak dalej w tym duchu, ale między wierszami wyraźnie przezierał właściwy sens.

Coraz rzadziej przeprowadzano ataki na zasoby Hybrydowców i coraz rzadziej kończyły się one powodzeniem. Teraz wróg zajmował się głównie obroną własnych baz i umocnień, ale nawet w tej sferze ponosił porażki. Bazy wymagały zaopatrzenia i broni z głównych ośrodków produkcji; dostawy realizowały samotne konwoje automatycznych statków, pokonujące długie trasy przez system. Hybrydowcy z łatwością je przechwytywali i nawet nie opłacało im się przejmować ładunku. Demarchiści uruchomili awaryjny program rekonstrukcji nanotechnik używanych przed parchową zarazą, ale z laboratoriów wojskowych dochodziły tylko wieści o makabrycznych porażkach: naukowcy zmieniali się w szarą maź, zainfekowani przez replikatory, które wymknęły się spod kontroli. Powrócił dwudziesty pierwszy wiek.

Im bardziej desperackie stawały się ich wysiłki, tym dotkliwsze okazywały się porażki.

Siły okupacyjne Hybrydowców zdołały zająć kilka peryferyjnych osiedli i sprawnie zainstalować tam marionetkowe reżimy, dzięki czemu codzienne życie powróciło do dawnych norm. Jak dotychczas nie rozpoczęli programu masowej konwersji neuralnej, ale krytycy twierdzili, że jest to tylko kwestia czasu, kiedy ludność zostanie podporządkowana hybrydowskim implantom i wszyscy popadną w niewolę przerażająco jednolitego mózgu- ulla. Przeciw marionetkowym rządóm wystąpiły grupy oporu, luźne alianse Porywaczy, świń, banshee i innych ogólnoukładowych nicponi, tworzących bandy przeciwne nowej władzy. Clavain uważał, że swymi działaniami zwiększają tylko prawdopodobieństwo zastosowania jakiejś formy przymusowego neuralnego wcielenia, wdrożonego po prostu dla dobra ogółu.

Dotychczas nie prowadzono potyczek o Yellowstone i o jej najbliższe otoczenie – Pas Złomu, wysokoorbitowe habitaty oraz o karuzele i stada zacumowanych statków kosmicznych. Konwencja Ferrisvillska, nie pozbawiona własnych problemów, utrzymywała pozory władzy. Obu stronom odpowiadało istnienie obszaru neutralnego, gdzie szpiedzy wymieniali informacje, a tajni agenci wtopieni w tłum mogli werbować współpracowników i zdrajców. Niektórzy twierdzili, że to stan tymczasowy i Hybrydowcy nie cofną się przed zajęciem niemal całego układu. Władali Yellowstone przez parę dekad i nie zrezygnują z okazji odzyskania planety na dobre. Pierwsza okupacja była techniczną interwencją na zaproszenie Demarchistów, ale druga będzie totalitarną kontrolą, jakiej od wieków nigdzie nie doświadczono.

Tak twierdzono. A jeśli te przewidywania były nadmiernie optymistyczne?

Skade poinformowała go, że ponad trzydzieści lat temu wykryto sygnały utraconych broni. Udostępniona Clavainowi pamięć oraz dane, do których miał teraz dostęp, potwierdzały te opowieści. Nie potrafił jednak wyjaśnić, dlaczego odzyskanie broni stało się nagle tak ważne dla Matczynego Gniazda. Skade twierdziła, że z powodu wojny było to wcześniej zbyt trudne, ale to tylko część prawdy. Innym powodem był kryzys lub groźba kryzysu. Coś musiało przestraszyć Wewnętrzne Sanktuarium.

Clavain zastanawiał się, czy Skade – a więc również Wewnętrzne Sanktuarium – wiedziała o wilkach coś, czego jeszcze mu nie powiedziano. Od powrotu Galiany uznano wilki za niepokojące, choć odległe zagrożenie, którym należało się przejmować dopiero wówczas, gdy ludzkość zacznie agresywniejszy podbój kosmosu. A jeśli otrzymano jakieś nowe informacje? Jeśli okazało się, że wilki są bliżej?

Nie mógł się uwolnić od tych refleksji, choć bardzo chciał. Przez resztę podróży krążył wokół tego problemu jak sęp, szarpał go na kawałki, oddzielał od kości. Dopiero gdy Skade znów pchnęła swoje myśli w jego głowę, zmusił się do ukrycia swych rozważań pod poziomem świadomości.

[Clavainie, prawie dotarliśmy. Zdajesz sobie sprawę z tego, że tym, co tu zobaczysz, nie możesz się dzielić z resztą Matczynego Gniazda?]

Oczywiście. Mam nadzieję, że działaliście tutaj dyskretnie. Gdybyście ściągnęli uwagę wroga, popsuliście wszystko.

[Ale nie popsuliśmy]

Nie o to chodzi. Nie powinno się przeprowadzać żadnych operacji w promieniu dziesięciu lat świetlnych od...

[Posłuchaj, Clavainie]. Skade pochylila się i uprząż wpiła się w jej czarny skafander. [Powinieneś zrozumieć, że wojna nie jest już naszym głównym zamartwieniem. Wygramy ją]

Nie lekceważ Demarchistów.

[Nie lekceważę, ale musimy ich oceniać z właściwej perspektywy. Teraz najważniejszą sprawą jest odzyskanie tej broni klasy piekło]

Odzyskać? Czy wystarczy zniszczyć? Clavain uważnie obserwował jej reakcję. Nawet gdy sam wstąpił do Ścisłej Rady, umysł Skade pozostawał dla niego zamknięty.

[Zniszczyć? Clavainie, dlaczego mielibyśmy ją zniszczyć?]

Mówiłaś, że głównie chodzi wam o to, by broń nie dostała się w niepowołane ręce.

[Tak, o to chodzi]

***Zatem dopuszczasz zniszczenie? W ten sposób cel zostanie osiągnięty, prawda?
Wydaje mi się, że logistycznie byłoby to znacznie łatwiejsze.***

[Bardziej pożądane byłoby odzyskanie]

Bardziej pożądane?

[O wiele bardziej]

Potem silniki korwety zwiększyły moc. Z ciemności wyłaniała się ledwo widoczna kometarna otoczka. Przednie reflektory korwety omiały kometę. Kometa obracała się powoli, szybciej niż Matczyne Gniazdo, ale w granicach rozsądku. Clavain ocenił, że jądro – brudna śniegowa kula – ma siedem, osiem kilometrów średnicy – rząd wielkości mniej niż dom. Swobodnie zmieściłoby się wewnątrz komory Matczyne Gniazda.

Korweta podleciała do chropowatej czarnej powierzchni komety, zatrzymała swój dryf serią pchnięć fioletowych płomieni z silnika, a potem wystrzeliła kotwiczące chwytaki. Uderzyły w grunt, przekuwając niemal niewidzialny epoksydowy motek, owinięty wokół komety dla wzmocnienia konstrukcji.

Pracowaliście jak pszczołki. Ilu ludzi masz tutaj, Skade?

[Nikogo. Paru z nas pojawia się tu czasami, ale nikt nie mieszka tu stale. Wszystkie czynności są całkowicie zautomatyzowane. Regularnie agent Ścisłej Rady przyjeżdża na inspekcję, ale serwitory pracują przeważnie bez nadzoru]

Serwitory nie są tak inteligentne.

[Nasze są]

Clavain, Remontoire i Skade włożyli hełmy, opuścili korwetę przez śluzę i w przestrzeni wykonali kilkumetrowy skok do membrany wzmacniającej. Przechwyciła ich jak lepka pułapka na muchy i sprężynowała, póki nie wytłumiła ich energii. Gdy oscylacje membrany ustały, Clavain delikatnie oderwał ramię od przyczepnej powierzchni i wstał. Membrana miała szczególne właściwości: pozwalała na spokojną aktywność, ale stawała się lepka, gdy ktoś próbował gwałtowniejszych ruchów, przy których mógłby osiągnąć prędkość ucieczki i opuścić kometę. Membrana zachowywała sztywność pod działaniem zwykłych sił, ale uderzona z szybkością większą niż kilka metrów na sekundę ulegała elastycznym odkształceniom. Możliwy był po niej powolny spacer, bardziej energiczne manewry natomiast kończyły się unieruchomieniem danego osobnika, aż się uspokoił.

Skade, w charakterystycznym hełmie z grzebieniem na szczycie, prowadziła trasę zapewne zaprogramowaną w pamięci skafandra. Po pięciu minutach dotarli do niewielkiej niecki, w której Clavain dostrzegł czarny otwór wejściowy, zagubiony w poczerniałej powierzchni komety. W membranie widniała owalna dziura, zabezpieczona pierścieniowym kołnierzem.

Skade uklęknęła przy czerni, lepiec chwycił ją za kolana, wysyłając kapilarny pływ. Uderzyła dwa razy w kołnierz i czekała. Po minucie z ciemności pośpiesznie wynurzył

się serwitor, wyszedł na zewnątrz ciasnego kołnierza, po czym rozwinął mnóstwo przegubowych odnóży i ramion. Przypominał wojowniczego, stalowego pasikonika. Clavain rozpoznał w nim model ogólnej konstrukcji – w Matczynym Gnieździe było takich tysiące – ale ta maszyna poruszała się z jakąś irytującą zadziornością i pewnością siebie.

[Clavainie, Remontoire, mam przyjemność przedstawić wam mistrza warsztatów]

To serwitor?

[Zapewniam cię, że mistrz to ktoś więcej niż serwitor]

Skade przeszła na język mówiony.

–Mistrzu, chcielibyśmy wejść do środka. Proszę nas wpuścić.

Clavain usłyszał w odpowiedzi brzęczący, owadzi głos mistrza:

–Nie znam tych dwóch osobników.

–Clavain i Remontoire zostali dopuszczeni przez Ścisłą Radę. Proszę, przeczytaj mój umysł. Przekonasz się, że nie działam pod przymusem.

Zapadła cisza. Mistrz wysunął całkowicie swój korpus z kołnierza. Miał wiele odnóży, niektóre zakończone ostrymi dziobami, inne wyspecjalizowanymi chwytakami, narzędziami lub czujnikami. Po obu stronach klinowatej głowy widniał klaster sensorów, upakowanych jak fasetki w oku złożonym. Skade znieruchomiła, gdy serwitor się zbliżył i stanął nad nią. Opuścił głowę, przesunął ją z boku na bok, a potem ją gwałtownie uniósł i odchylił.

–Ich umysły też chciałbym przeczytać.

–Proszę bardzo.

Maszyna podeszła do Remontoire'a i pochyloną głową omiatała jego czaszkę, nieco dłużej niż w wypadku Skade. Najprawdopodobniej zadowolona z rezultatu, ruszyła do Clavaina. Czuł, jak bada jego umysł ostro i systematycznie. W świadomości eksplodowały mu wspomnienia zapachów, dźwięków i obrazów, pojawiały się i znikaly, ustępując miejsca innym. Od czasu do czasu maszyna zatrzymywała procedurę, cofała ją i pobierała któreś z wcześniejszych wspomnień, analizując je podejrzliwie. Inne zdawkowo pomijała. Cały proces, choć miłosiernie szybki, Clavain odczuwał jako plądrowanie.

Skanowanie ustało, burza ucichła i Clavain odzyskał swój dawny umysł.

–Ten jest pełen konfliktów. Ma chyba wątpliwości. Ja mam wątpliwości co do niego. Nie potrafię dostać się do głębokich struktur neuronowych. Może potrzebna jest większa rozdzielczość. Drobna procedura chirurgiczna pozwoliłaby...

Skade przerwała serwitorowi.

–To zbyt duże, mistrzu. Ma prawo do wątpliwości. Proszę nas przepuścić.

–To nie w porządku. Całkowicie niezgodne z zasadami. Ograniczona interwencja chirurgiczna... – Serwitor nadal kierował klastry swych czujników na Clavaina.

–Mistrzu, to wyraźny rozkaz. Przepuść nas.

Serwitor odstąpił.

–Dobrze. Ustępuję pod przymusem. Nalegam, żeby wizyta była krótka.

–Nie będziemy cię zatrzymywać – powiedziała Skade.

–Na pewno. Usuniecie też broń. Nie pozwolę, by na mojej komicie znajdowały się urządzenia wysoko skoncentrowanej energii.

Clavain spojrzał na swój pas i odpiął pistolet bozonowy małej mocy, o którym prawie zapomniał. Pochylił się, by położyć pistolet na lodzie, ale w tej samej chwili mistrz błyskawicznym ruchem wytrącił mu broń z ręki. Clavain widział, jak pistolet koziółkuje w ciemności i odlatuje, osiągając prędkość większą od prędkości ucieczki. Skade i Remontoire też wyjęli swoją broń, a mistrz odrzucił ją równie szybko. Potem obrócił się, jego odnóża śmignęły metaliczną plamą, i wpakował się w otwór.

[Chodźmy. On nie lubi gości i zacznie się irytować, jeśli zbyt długo tu zostaniemy]

Remontoire przekazał myśl do głów towarzyszy.

[A teraz niby nie jest zirytowany?]

Skade, czym on jest?

[Oczywiście serwitem, tylko nieco inteligentniejszym od przeciętnego... Niepokoi cię to?]

Clavain wsunął się przez kołnierz za Skade i ruszył za nią tunelem. Między ścianami upakowanego lodu bardziej unosił się, niż szedł. Gdy miał pistolet u boku, prawie nie zdawał sobie sprawy, że jest uzbrojony, ale teraz, gdy mu go odebrano, czuł się bezbronny. Pomacał pas sprzętowy, poszukując czegoś, co mogłoby służyć za broń, gdyby serwitor wystąpił przeciw nim, jednak nic stosownego nie znalazł. Miał kilka przyczepionych karabinków i miniaturowych chwytaków, parę sygnalizatorów

wielkości kciuka i standardowy pojemnik uszczelniacza w spreju. Pojemnik wyglądał wprawdzie jak pistolet, ale zasięg działania wynosił dwa, trzy centymetry. Jedyny przedmiot mogący spełniać rolę broni to piezonóz o krótkim ostrzu – mógł przebić tkaninę skafandra, ale nie na wiele by się zdał w walce z opancerzoną maszyną czy z wyszkolonym przeciwnikiem.

Dobrze wiesz, że tak. Nigdy do mojego umysłu nie wtargnęła maszyna... w taki sposób jak on.

[Chciał tylko wiedzieć, że może nam ufać]

Gdy serwitor trałował mu mózg, Clavain wyczuł ostry metaliczny posmak jego inteligencji.

Jaki jest poziom jego zdolności? Spełnia test Turinga?

[Wyższy. Przynajmniej poziom alfa. Och, Clavainie, nie przekazuj mi tej aury aroganckiego zniesmaczenia. Sam kiedyś akceptowałeś maszyny prawie tak inteligentne jak ty]

Miałem czas na zmianę poglądów w tej sprawie.

[Czyżbyś czuł się przez niego zagrożony?]

Przez maszynę? Nie, czuję współczucie, że pozwoliłaś tej maszynie na rozwój inteligencji, a równocześnie zmusiłaś ją, by została twoim niewolnikiem. To chyba nie całkiem zgodne z naszymi przekonaniem.

Poczuł cichą obecność Remontoire'a.

[Zgadzam się z Clavainem. Skade, obywaliliśmy się dotychczas bez inteligentnych maszyn. Nie dlatego, że się ich obawiamy, ale dlatego, że według nas każda jednostka inteligentna musi wybrać swój los. A przecież ten serwitor nie ma wolnej woli, prawda? Tylko inteligencję. Jedno bez drugiego to farsa. Toczyliśmy wojnę z bardziej błahych powodów]

Gdzieś z przodu jarzyło się bladoliliowe światło, które wydobywało naturalną fakturę ścian. Clavain widział zarys ciemnego wrzecionowatego korpusu serwitora. Na pewno podsłuchuje naszą rozmowę, dyskusję o jego tożsamości, pomyślał.

[Żałuję, że musieliśmy to zrobić, ale nie mieliśmy wyboru. Potrzebowaliśmy bystrych serwitorów]

[To niewolnictwo] – powtórzył Remontoire.

[Rozpaczliwe czasy wymagają rozpaczliwych środków, Remontoire]

Clavain wpatrywał się w bladoliliowy mrok.

A co w tym rozpaczliwego? Myślałem, że po prostu odzyskujemy utraconą własność.

Mistrz warsztatów zaprowadził ich do wnętrza komety. Kazał im się zatrzymać w małej, pozbawionej powietrza bańce, wbudowanej w zewnętrzną ścianę wydrążonego ciała. Ustabilizowali się, zaczepiając kończyny w pasach przytwierdzonych do sztywnej ramy. Bańka była hermetycznie odizolowana od głównej komory komety, w której osiągnięto tak idealną próżnię, że nawet wyciek pary ze skafandra Clavaina spowodowałby jej niedopuszczalne zepsucie.

Clavain obserwował przez szkło komorę o zawrotnych rozmiarach, skąpaną w rozedrganym niebieskim świetle, wypełnioną olbrzymimi maszynami. Panowała tam ożywiona krzątanina, choć pojedynczych ruchów prawie nie można było dostrzec. Przez chwilę wydawało mu się, że patrzy w głęboką perspektywę niesamowicie szczegółowego średniowiecznego obrazu, urzeczony splatającymi się łukami i wieżami jakiegoś świetlistego miasta w niebie. Wśród budynków widział roje srebrnoskrzydłych aniołów, anielskie zastępy jak okiem sięgnąć, znikające w niebiańskim błękitie nieskończoności. Potem zrozumiał, jakie tu panują proporcje, i nagle dostrzegł, że anioły to maszyny, tysięczne tłumy sterylnych serwitorów uwijających się w próżni. Do komunikacji używały laserów i właśnie odbicia promieni laserowych nasycaly komorę drżącą niebieską poświatą. Clavain wiedział, że jest tam naprawdę zimno. Ściany komory były upstrzone czarnymi stożkami silników krioarytmetycznych, przeprowadzających obliczenia. Pracowały intensywnie, by zassać ciepło powstające podczas ożywionej działalności przemysłowej. Bez nich kometa w krótkim czasie zmieniałaby się w parę.

Teraz Clavain skupił wzrok na samych produktach. Nie zaskoczył go widok statków – i to statków międzygwiazdnych – ale zdziwiło go to, że ich budowa była tak zaawansowana. Spodziewał się na pół zmontowanych kadłubów, te statki natomiast były prawie gotowe do lotu. Dwanaście jednostek stało obok siebie w chmurze rusztowań. Czarne i gładkie, identyczne, kształtem przypominały torpedy albo wyrzucone na brzeg oceanu wieloryby, na ogonach miały wystające dźwigary i gondole hybrydowskich napędów. Clavain nie miał skali porównawczej, ale z pewnością każdy ze statków mierzył ze trzy, cztery kilometry długości, znacznie więcej od "Nocnego Cienia".

Skade uśmiechnęła się, widząc jego reakcję.

[Jesteś pod wrażeniem?]

A kto by nie był?

[Teraz rozumiesz, dlaczego mistrz chciał wykluczyć możliwość przypadkowego użycia broni czy choćby przeciążenia elektrowni. Oczywiście zastanawiasz się,

dłaczego znów zaczęliśmy je budować?]

To uzasadnione pytanie. Czy wilki mają z tym coś wspólnego?

[Powiedz, jak ci się wydaje, dlaczego w ogóle przestaliśmy je budować?]

Obawiam się, że nikt nie miał tyle przyzwoitości, by mnie o tym poinformować.

[Jesteś inteligentnym człowiekiem. Na pewno stworzyłeś parę własnych teorii]

Clavain już chciał powiedzieć, że ta sprawa nigdy go specjalnie nie zaprzątała, że decyzję o wstrzymaniu budowy statków podjęto ostatecznie wtedy, kiedy przebywał w głębokiej przestrzeni, i gdy wrócił, już ją wprowadzono, a on miał pilniejsze sprawy: musiał pomagać w wygraniu wojny.

Jednak nie była to cała prawda. Zaprzestanie budowy statków zawsze go niepokoiło.

Powszechnie uważa się, że zrobiono to z egoistycznych ekonomicznych powodów lub z obawy, że techniki napędu trafią do nieodpowiednich ludzi, Ultrasów czy innych niepowołanych odłamów. Albo że odkryliśmy nieusuwalną wadę konstrukcyjną, z powodu której od czasu do czasu zdarzają się eksplozje.

[Tak, istnieje jeszcze kilkanaście obiegowych teorii, mało prawdopodobnych albo paranoicznych. A jakie ty znalazłeś wyjaśnienie?]

Stabilne stosunki handlowe utrzymywaliśmy tylko z Demarchistami. Ultrasi kupowali napędy przez łańcuch pośredników albo je kradli. Gdy jednak nasze stosunki z Demarchistami popsły się w wyniku załamania się ich gospodarki po parchowej zarazie, straciliśmy najważniejszego klienta. Oni nie mogli płacić, a my nie chcieliśmy sprzedawać odłamowi okazującemu nam wrogość.

[To bardzo pragmatyczne podejście, Clavainie]

Nigdy nie widziałem potrzeby szukania głębszych wyjaśnień.

[W tym, co powiedziałaś, jest odrobina prawdy. Czynniki ekonomiczne i polityczne miały pewne znaczenie. Ale nie tylko. Na pewno zauważyłeś, że zredukowaliśmy również program budowy statków dla własnych potrzeb]

Czekała nas wojna. Wystarczyły nam dotychczasowe statki.

[Owszem, ale i te unieruchomiono. Rutynowy transport międzygwiazdny został znacznie zmniejszony. Podróże między ośrodkami Hybrydowców w innych układach zredukowano do niezbędnego minimum]

To też skutki wojny...

[Wojna nie miała z tym nic wspólnego. Dostarczyła tylko wygodnej przykrywki]

Clavain omal się nie zaśmiał.

Przykrywki?

[Gdyby kiedykolwiek wyszedł na jaw prawdziwy powód, wywołałoby to panikę w całym opanowanym przez ludzi kosmosie. Zakłócenia społeczno- gospodarcze byłyby znacznie większe niż te spowodowane przez trwającą wojnę]

Nie wyjawisz mi prawdy?

[W jakimś sensie miałeś rację, Clavainie. Chodziło o wilki]

Pokręcił głową.

Nieemożliwe.

[Dlaczego?]

Bo o wilkach dowiedzieliśmy się dopiero po powrocie Galiany. A Galiana spotkała je po naszym rozstaniu.

Nie musiał przypominać Skade, że oba te wydarzenia nastąpiły długo po wydaniu edyktu o zaniechaniu budowy statków.

Hełm Skade pochylił się nieco.

[W jakimś sensie to prawda. Rzeczywiście dopiero po powrocie Galiany Matczyne Gniazdo otrzymało szczegółowe informacje na temat natury tych maszyn. Ale sam fakt istnienia wilków, fakt, że się pojawiają, był już znany wiele lat wcześniej]

Nieemożliwe. Galiana pierwsza się z nimi zetknęła.

[Nie. Ona pierwsza uszła z życiem, a przynajmniej w ogóle w jakimś sensie z tego uszła. Przedtem mieliśmy niejasne raporty, tajemnicze przypadki znikania statków, dziwne sygnały o niebezpieczeństwie. Przez lata Ścisła Rada zbierała te raporty i doszła do wniosku, że coś w rodzaju wilków czyha w przestrzeni międzygwiazdnej. Nie wróżyło to nic dobrego, ale wyciągnięto jeszcze bardziej niepokojący wniosek, który doprowadził do edyktu. Analiza przypadków skłaniała do wniosku, że te wilki, te nieznanne maszyny, były naprowadzane przez pewien konkretny parametr charakterystyczny dla naszych silników: emisję neutrin taonowych].

A Galiana?

[Gdy wróciła, zrozumieliśmy, że nasze wnioski były słuszne. Nadała wrogom imię. To jedno na pewno jej zawdzięczamy]

Skade umieściła w głowie Clavaina obraz bezkresnej ciemności, upstrzonej tylko słabymi punkcikami gwiazd. Nie łagodziły tej czerni, przeciwnie – sprawiały, że wydawała się głębsza i zimniejsza. Skade w ten sposób postrzegała kosmos – miejsce równie nieprzyjazne życiu, jak basen wypełniony kwasem. Ale wśród gwiazd była nie tylko pustka. W przestrzeni czaiły się maszyny, które lubiły ciemność i zimno. Skade sprawiła, że Clavain odczuł okrutny posmak ich inteligencji. W porównaniu z nią procesy myślowe mistrza warsztatów wydawały się delikatne i przyjacielskie. W sposobie myślenia maszyn było coś bestialskiego, zniewalający głód, przesłaniający wszystkie inne doznania.

Dzika, drapieżna żądza krwi.

[Zawsze tam były, ukryte w ciemności, obserwowały, czekały. Przez cztery wieki mieliśmy nadzwyczajne szczęście, choć błędziliśmy w ciemnościach, robiliśmy dużo hałasu, wysyłaliśmy światło, rozgłaszaliśmy w Galaktyce o naszej obecności.

W pewnym sensie one są ślepe albo selekcionują docierające do ich świadomości sygnały. Na przykład nigdy nie podążyły za przekazem radiowym czy telewizyjnym, bo przecież namierzyliby nas całe wieki temu. Nic takiego się nie zdarzyło. Może mają tylko reagować na nieomylny znak cywilizacji podbijającej kosmos, a nie na zwykłe kultury techniczne? To tylko spekulacje, ale cóż więcej nam pozostało?].

Clavain spojrzał na tuzin nowiutkich statków.

A teraz? Dlaczego znowu budujecie?

[Bo teraz potrafimy. "Nocny Cień" był prototypem tych właśnie dwunastu znacznie większych statków. Są wyposażone w ciche napędy. Modyfikacja topologii napędu pomogła zredukować wpływ neutrin taonowych o dwa rzędy wielkości. Jeszcze nie jest idealnie, ale umożliwi to wznowienie podróży międzygwiazdnych bez obawy natychmiastowego sprowadzenia wilków. Oczywiście ta technika musi zostać całkowicie pod kontrolą Hybrydowców].

Oczywiście.

[Cieszę się, że też tak uważasz].

Spojrzał na statki – dwanaście czarnych sylwetek, większych wersji "Nocnego Cienia". W najszerszym miejscu kadłuby miały jakieś dwieście pięćdziesiąt metrów szerokości. Były opasłe jak zbierające wodór statki kolonizacyjne starego typu do przewozu dziesiątek tysięcy zamrożonych spaczy.

A reszta ludzkości? A stare statki, nadal używane?

[Zrobiliśmy co się dało. Agentom Ścisłej Rady udało się odzyskać kontrolę nad niektórymi statkami bandytów. Zostały oczywiście zniszczone, my też nie możemy ich wykorzystywać, a istniejących silników nie można bezpiecznie przerobić na nową, niewykrywalną konstrukcję]

Nie można?

Skade przekazała do umysłu Clavaina obraz małej planety – może księżyca – z wyciętym wielkim kawałkiem w kształcie misy, który lśnił wiśniową barwą.

[Nie]

A tobie nie przemknęło przez mózg, że ujawnienie tej informacji byłoby korzystne?

Clavain dostrzegł wyrozumiały uśmiech na twarzy Skade, za szybą jej hełmu.

[Och, ten Clavain, zawsze pełen wiary w działanie dla dobra ludzkości! Naprawdę uważam to podejście za pokrzepiające. A jakiemu dobru mogłoby posłużyć to ujawnienie? To informacja zbyt istotna, żeby przekazać ją większości Hybrydownców. Nawet nie śmiem sobie wyobrazić, jak zareagowałyby reszta ludzkości]

Chciał się spierać, ale wiedział, że Skade ma rację. Już od dziesięcioleci nie brano oświadczeń Hybrydownców za dobrą monetę. Nawet w ostrzeżeniu dopatrywano by się obłudnych intencji.

Nawet gdyby się poddali, ich kapitulację uznano by za podstęp.

Może masz rację. Może. Ale nadal nie rozumiem, dlaczego nagle wznowiliście budowę statków.

[Ze zwykłej ostrożności. Na wszelki wypadek]

Clavain znów przyjrzał się statkom. Każdy z nich mógł zabrać co najmniej pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy zamrożonych spaczy, więc ta flota wystarczyłaby do transportu połowy populacji Gniazda.

Wyłącznie z ostrożności?

[No cóż, chodzi o drobną sprawę broni klasy piekło. Dwa z tych statków oraz prototyp będą siłą uderzeniową w operacji odzyskania. Zostaną wyposażone w najbardziej zaawansowaną broń z naszego arsenału i najnowsze techniki, dające przewagę taktyczną]

Na przykład w systemy, które testowałaś?

[Tak, choć wymagają pewnych dalszych testów]

Skade odłączyła się.

–Mistrzu warsztatów, skończyliśmy. Moi goście dość się napatrzyli. Według twojej ostatniej oceny, kiedy statki będą gotowe?

Serwitor ciasno złożył odnóża i odwrócił głowę w stronę Skade.

–Sześćdziesiąt jeden dni, osiem godzin i trzynaście minut.

–Dziękuję. Postaraj się skrócić termin. Clavain by nie chciał, żeby coś zatrzymywało go choć chwilę dłużej, prawda, Clavainie?

Clavain nie odpowiedział.

–Proszę za mną – rzekł mistrz warsztatów. Mignął jedną z kończyn w stronę wyjścia. Było mu pilno wyprowadzić gości na powierzchnię.

Clavain tak się ustawił, by iść tuż za serwitorem.

Starał się mieć umysł czysty i spokojny, koncentrował się wyłącznie na zadaniu, które go czekało. Droga powrotna na powierzchnię komety wydawała się znacznie dłuższa niż droga do wnętrza. Na czele uwijał się mistrz, kroczył tunelem z pedantyczną ostrożnością. Nie dało się rozpoznać, w jakim jest nastroju, ale Clavain miał wrażenie, że maszyna z radością się ich wreszcie pozbywa. Została tak zaprogramowana, by gorliwie pilnować tu wszystkich operacji i Clavain podziwiał szorstkie przyjęcie, z jakim ich powitano. Miał już do czynienia z wieloma robotami i serwitorami, którym zaprogramowano rozmaite pozornie przekonujące osobowości, ale po raz pierwszy zetknął się z maszyną, która autentycznie nie lubiła ludzkiego towarzystwa.

W połowie drogi Clavain nagle się zatrzymał.

Poczekajcie chwilę.

[Co się stało?]

Nie wiem. Mój skafander sygnalizuje drobny spadek ciśnienia w rękawicy. Coś w ścianie mogło rozerwać tkaninę.

[To niemożliwe. Ściana składa się z lekko ubitego lodu kometarnego. To jakbyś skaleczył się o dym]

Clavain skinął głową.

W takim razie skaleczyłem się o dym. Albo w ścianie tkwił ostry wiór.

Clavain odwrócił się i unióśł dłoń. Łata w kształcie tarczy strzelniczej na wierzchu lewej rękawicy migiała różowo, wskazując obszar powolnego spadku ciśnienia.

[On ma rację, Skade] – powiedział Remontoire.

[To nic poważnego. Zreperuje to po powrocie do korwety]

Ręka mi marznie. Już raz straciłem tę dłoń i nie chciałbym stracić jej ponownie.

Usłyszał, jak Skade syknęła – niefiltrowany dźwięk, oznaka ludzkiej niecierpliwości.

[Więc zreperuj to teraz]

Clavain skinął głową i z pasa sprzętowego wydobył pojemnik uszczelnacza. Przekręcił dyszę na najmniejszy spust i przycisnął zaworek do rękawicy. Substancja wysunęła się cienkim szarym robakiem – natychmiast twardniała i uszczelniała

tkaninę. Clavain sinusoidalnie przesuwiał zawór w górę i w dół, z boku na bok, aż nagryzmolił robaka na całej rękawicy.

Ręka mu marzła i bolała go, ponieważ pchnął nagie ostrze piezonoża prosto przez rękawicę. Zrobił to płynnym ruchem, nie wyjmując noża z pasa, gdy jedną rękę przesuwiał po pasie, a drugą przekrzywił nóż. Zważywszy na wszystkie trudności, i tak miał wiele szczęścia, że uniknął poważniejszej rany.

Włożył do pasa pojemnik ze sprejem. Hełm wydawał regularny ostrzegawczy ton, a rękawiczka nadal pulsowała na różowo – Clavain widział różową poświatę na brzegu uszczelnacza – ale wrażenie zimna malało. Drobną nieszczelność pozostała, choć nie stanowiła większego problemu.

[Już?]

Chyba załatwione. Poprawię w korwecie.

Zdarzenie zostało zamknięte, pomyślał Clavain z ulgą. Serwitor zakrzętnął się i cała trójka ruszyła za nim. Wyszli tunelem na powierzchnię komety. Clavain, jak się spodziewał, doznał krótkiego zawrotu głowy, gdy stał na zewnątrz – kometa miała słabiotkie pole grawitacyjne i bardzo łatwo było sobie wyobrazić, że jest się przyklejonym podszwami do czarnego sufitu i zwisa głową do dołu w bezkresną pustkę. Ale ta chwila minęła i Clavain znów stał pewnie. Mistrz warsztatów wsunął się do kołnierza tunelu i zniknął.

Szybko zmierzali do korwety – klina idealnej czerni, uwiązanej na tle gwiazdzistego nieba.

[Clavain?...]

Słucham, Skade.

[Mogłabym cię o coś spytać? Mistrz warsztatów mówił, że wykrył u ciebie wątpliwości. Czy to prawda, czy też serwitora zdezorientował fakt, że twoje usprawnienia są wyjątkowo stare?]

A jak sądzisz?

[Czy teraz rozumiesz, że konieczne jest odzyskanie broni? Czy rozumiesz to całym sercem?]

To dla mnie całkowicie jasne. Doskonale rozumiem, że potrzebujemy tych broni.

[Wyczuwam twoją szczerą, Clavainie. Rozumiesz, prawda?]

Tak sądzę. Rzeczy, które mi pokazałaś, wiele mi wyjaśniły.

Szedł jakieś dwanaście kroków przed Skade i Remontoirem, tak szybko, jak się dało. Nagle dotarł do najbliższej liny cumowniczej, przystanął, odwrócił się i chwycił linę jedną ręką. Widząc ten gest, Skade i Remontoire zatrzymali się.

[Clavain...]

Wyszarpnął z pasa nóż piezoelektryczny i zatopił go w plastikowej otoczce komety. Ustawił nóż na największą ostrość. Ciął nim, dziurawiąc membranę. Przesuwał się jak krab, dziura miała metr długości, a po chwili już dwa metry, nóż pruł membranę, nie napotykając oporu. Clavain musiał się mocno trzymać liny, więc udało mu się zrobić tylko czterometrowe przecięcie.

Początkowo nie potrafił ocenić, czy to wystarczy, jednak wrażenie przyśpieszonego poślizgu, które poczuł aż w trzewiach, upewniło go, że się udało. Płachta membrany pod korwetą została szarpnięta siłami elastyczności pozostałej części powłoki. Otwór poszerzał się teraz samoistnie w obie strony: cztery metry, sześć, dziesięć. Skade i Remontoire, zaskoczeni po drugiej stronie, zostali odciągnięci przez te same siły elastyczności.

Cała akcja trwała ze dwie sekundy, ale Skade zdążyła zareagować.

Gdy Clavain zaczął ciąć powłokę, niemal w tej samej chwili poczuł, jak Skade wczepia się w jego umysł – zorientowała się, że Clavain próbuje uciec. Poczuł brutalną neuralną siłę, jakiej istnienia nigdy wcześniej się nie spodziewał. Skade, zanedbując ostrożność i tajność, przypuściła atak wszystkimi środkami. Poczuł, jak procedury znajdź-i-zniszcz, przesłane w próżni falami radiowymi, wnikają w jego czaszkę, przedzierają się przez warstwy mózgu, wyszukają i przejmują podstawowe procedury, dzięki czemu Skade mogłaby sparaliżować Clavaina, pozbawić go świadomości lub po prostu zabić. Gdyby był normalnym Hybrydowcem, potrafiłaby w mikrosekundzie nakazać jego implantom neuronowym samozniszczenie w spopielającym szaleństwie żaru i wysokiego ciśnienia i już byłoby po nim. Zamiast tego poczuł ból, jakby ktoś metodycznie wbijał mu w czaszkę żelazne haki.

Stracił świadomość na dwie, może na trzy sekundy, ale gdy ją odzyskał, nie pamiętał, gdzie jest, ani co robi. Tylko wypełniająca mu krew adrenalina przekazywała palący imperatyw chemiczny. Nie wiedział, co było przyczyną tego stanu, ale nie mógł się oprzeć pierwotnemu ssaczemu strachowi. Przed czymś uciekał i zagrażało mu wielkie niebezpieczeństwo. Wisiał na jednej ręce, zaczepiony o naprężoną linę. Spojrzał w górę, gdzie biegła lina, i zobaczył statek, korwetę – wiedział, że powinien właśnie tam dotrzeć; miał nadzieję, że zdoła.

Zaczął się podciągać ku korwecie. Niejasno pamiętał, że coś zaczął i musi to

dokończyć. Nagle ból się wzmógł i Clavain znów stracił przytomność.

Gdy się ocknął, przejmowała go plastikowa membrana – “spadł” byłoby zbyt mocnym określeniem. Znów poczuł pierwotne ponaglenie i próbował ocenić sytuację, w jakiej się znalazł i którą postrzegał dość mgliście. Nad sobą widział statek – pamiętał, że ostatnio go widział. Pełzł po linie, usiłując tam dotrzeć. A może pełzł w przeciwną stronę, usiłując uciec od czegoś, co znajdowało się na pokładzie?

Spojrzał w bok i po przeciwnej stronie powierzchni – nie wiedział, co to za powierzchnia – zobaczył dwie postacie, przywołujące go gestem.

[Clavain...]

Głos – kobiecy głos w jego głowie – brzmiał zdecydowanie, choć z odcieniem współczucia oraz żalu, jaki może czuć nauczyciel wobec obiecującego ucznia, który go zawiódł. Czy przyczyną rozczarowania było to, że Clavain za chwilę poniesie porażkę, czy to, że omal mu się nie udało?

Nie wiedział. Czuł tylko, że gdyby mógł wszystko przemyśleć, gdyby dano mu minutę spokoju w samotności, potrafiłby wszystko poskładać. Coś przecież było? Wielkie pomieszczenie pełne ciemnych, groźnych kształtów.

Potrzebował jedynie spokoju.

W głowie brzmiał mu również dzwonek ostrzegawczy – alarm spowodowany rozhermetyzowaniem. Spojrzał na skafander, szukając charakterystycznego różowego pulsowania wokół uszkodzenia. Jest – różowa smuga na wierzchu ręki, w której teraz trzymał nóż. Clavain umieścił nóż w neutralnej pozycji na pasie i odruchowo sięgnął po pojemnik z uszczelniaczem. Wtedy przypomniał sobie, że już użył spreju, a różowa smuga wskazuje przeciek wokół zawiętego strupa stwardniałego uszczelnacza. Zastygły szary robak przypominał skomplikowany wzór pisma runicznego.

Clavain spojrzał na rękawicę pod innym kątem i w zawijasach dojrzał wiadomość: STATEK.

Rozpoznał własne pismo.

Dwie postacie doszły do końców rozcięcia w lodzie i teraz zmierzały ku niemu jak mogły najszybciej. Clavain ocenił, że za niecałą minutę dotrą do miejsca zamocowania liny a prawie tyle samo zajmie mu wędrówka do korwety. Zastanawiał się, czy nie skoczyć; miał nadzieję, że prawidłowo oceni odległość i nie chybi, ale niejasno zdawał sobie sprawę, że przyczepna membrana nie pozwoli mu na oderwanie się od powierzchni. Musiał się mozolnie przesuwac po linie, mimo bólu głowy, mimo stałego wrażenia, że za chwilę znów straci przytomność.

I rzeczywiście ją stracił, choć tym razem trwało to krócej. A gdy spojrzął na swoją rękawiczkę i zbliżające się postacie, doszedł do wniosku, że wspinaczka do statku to prawidłowa decyzja. Będąc już przy śluzie, zobaczył, jak jedna z postaci – jak teraz zauważył, jej hełm miał wąską wypukłość na szczycie – już jest przy kolczastym chwytaku.

Percepcja podpowiadała mu, że powierzchnia komety to pionowy czarny mur, z którego wychodzą poziomo pępowiny lin mocujących. Tamtych dwoje, niczym muchy przyklejone do ściany, przycupnięci i zmniejszeni, właśnie szykowało się do przejścia tego samego mostu. Clavain wpadł w śluzę i złapał za kontrolkę awaryjnego napowietrzania. Zewnętrzne drzwi cicho się zamknęły, powietrze napływało. Ból w głowie natychmiast zelżał i Clavain westchnął, rozkoszując się chwilą ulgi.

Sterowanie ręczne śluzy umożliwiało otwarcie wewnętrznych drzwi niemal jeszcze przed szczelnym zamknięciem drzwi zewnętrznych. Clavain wtoczył się do kabiny, odbił od przeciwległej ściany, uderzył głową o wręgę i wpadł na przód sterowni. Nawet się nie wpiął w fotel. Od razu odpalił silniki korwety – pełna moc awaryjna – i usłyszał kilkanaście sygnałów, agresywnie alarmujących go, że robi głupstwo.

Zaleca się natychmiastowe wyłączenie silnika. Zaleca się natychmiastowe wyłączenie silnika.

–Zamknij się! – krzyknął Clavain.

Statek odleciał na chwilę od komety, zrobił może ze trzy metry, ale liny naprężyły się i zdołały go przytrzymać. Szarpnięcie cisnęło korwetę o mur komety. Clavain poczuł, jak coś w nim pęka, jakby złamała się sucha gałązka między sercem a żołądkiem. Oczywiście kometa również się przesunęła, ale nieznacznie, tak jakby Clavain był przyczepiony do niewzruszonej skały pośrodku wszechświata.

–Clavain! – Głos dobiegł ze statkowego radia. Brzmiał nadzwyczaj spokojnie. Wspomnienia zaczęły się kleić i z pewnym wahaniem Clavain odtworzył imię swego dręczyciela.

–Cześć, Skade – powiedział przez ból. Z pewnością miał przynajmniej złamane jedno żebro i parę stłuczonych.

–Clavain, co ty najlepszego robisz?

–Wygląda na to, że usiłuję porwać statek.

Podciągnął się na fotel, syczał przy wielokrotnych atakach bólu. Jęknął, poprawiając uprzęż na piersiach. Układ sterujący silników zapowiadał przejście w tryb autonomicznego wyłączenia. Clavain wydawał korwecie rozpaczliwe rozkazy. Wciągnięcie chwytaków nic by nie pomogło, lina by się schowała, a Skade i

Remontoire – przypomniał sobie ich imiona – utkwiliby na zewnątrz kadłuba. Prawdopodobnie nic by im nie groziło, gdyby Clavain zostawił ich w przestrzeni, ale to była misja Ścisłej Rady i nikt by się nie dowiedział, gdzie dryfuje tych dwoje.

–Pełna moc – powiedział głośno. Wiedział, że to pozwoli mu odlecieć od komety. Albo przerwą się chwytaki, albo urwie się kawałek kometarnej powierzchni.

–Clavain, musisz to przemyśleć – rozległ się męski głos.

Żadne z nich nie mogło go dosięgnąć neuralnie. Kadłub korwety blokował takie sygnały.

–Dzięki, Rem, ale dość dobrze wszystko przemyślałem. Za bardzo jej zależy na odzyskaniu tej broni. Chodzi o wilki, Skade? Potrzebna ci ta broń, gdy przyjdą wilki.

–Mogę wyraźnie potwierdzić: tak, Clavain, potrzebujemy jej do obrony przed wilkami. Czy to naganne? Czy należy potępić to, że zabezpieczamy sobie szanse przeżycia? A co będzie lepsze? Skapitulować? Poddać się im?

–Skąd wiecie, że nadciągają?

–Nie wiemy, ale opieramy się na dostępnych nam informacjach i uważamy, że ich nadejście jest prawdopodobne...

–Z całą pewnością jest w tym coś więcej. – Clavain przebiegł palcami po kontrolkach głównego silnika. Za parę sekund albo będzie musiał użyć maksymalnej mocy, albo zostanie na komecie.

–Po prostu wiemy. I to wszystko, co musisz wiedzieć. Teraz wpuść nas do korwety. Obiecujemy, zapomnimy o całym incydencie.

–To nie wystarczy.

Odpalił główny silnik, a silniki korekcyjne ustawił tak, by skierować oślepiający fioletowy łuk płomienia od powierzchni komety. Nie chciał zrobić krzywdy tym dwojgu. Nie lubił Skade, ale nie życzył jej źle. Remontoire był jego przyjacielem i Clavain zostawiał go na komecie tylko dlatego, że nie chciał go mieszać w to, co za chwilę zrobi.

Liny korwety napięły się. Clavain czuł w kościach wibracje silnika przekazywane przez kadłub statku. Wskaźniki przeciążenia migły czerwono.

–Posłuchaj, Clavainie, nie możesz przejąć tego statku – oznajmiła Skade. – Co z nim zrobisz? Zbiegniesz do Demarchistów?

–To jest pomysł.

–Samobójczy. Nie uda ci się dotrzeć do Yellowstone. Jeśli my cię nie zabijemy, zrobią to Demarchiści.

Coś trzasnęło. Statek zboczył z kursu i uderzył w naprężone liny cumownicze. Przez okno kokpitu Clavain widział, jak zerwana lina smaga powierzchnię komety, przecina stabilizującą membranę, robiąc w niej ranę metrowej szerokości. Czarna sadza wyprysnęła z komety jak atrament z ośmiornicy.

–Skade ma rację. Nie uda ci się, Clavain. Nie masz dokąd uciec. Proszę cię jako przyjaciel... błagam, byś tego nie robił.

–Rem, nie rozumiesz, że ona chce zabrać tę broń? A dwanaście statków? To nie są siły operacyjne, to flota ewakuacyjna.

Poczuł szarpnięcie, gdy puściła druga lina, smagając komętę z dziką energią.

–No i co z tego? – spytała Skade.

–A reszta ludzkości? Co zrobią ci nieszczęśni biedacy, gdy przyjdą wilki? Będą się ratować jak kto może?

–To świat darwinowski.

–Zła odpowiedź, Skade.

W tej chwili puściła ostatnia lina i korweta odleciała z pełnym przyśpieszeniem. Wciśnięty w fotel Clavain krzyknął, tak go bolały stłuczone żebra. Widział, jak stabilizują się wskaźniki, strzałki wracają na zielone czy białe pola. Wysokie wycie silnika przestało być słyszalne, drgania kadłuba ustały. Kometa Skade malała.

Clavain skierował wzrok na punkcik jasnego światła – na Epsilon Eridani.

JEDENAŚCIE

Ilia Volyova stała w głębi "Nostalgii za Nieskończonością", w epicentrum czegoś, co kiedyś było jej kapitanem, co w innym życiu mówiło o sobie: John Armstrong Brannigan. Nie drżała nerwowo i ów własny spokój uznała za rzecz nieodpowiednią. Wyprawy do kapitana zawsze wiązały się z wielkim dyskomfortem fizycznym, przypominały pielgrzymki pokutne. Kapitana odwiedzali albo po to, by zmierzyć tempo ekspansji narośli – które potrafili spowolnić, ale nie zatrzymać – albo by zasięgnąć jego opinii w różnych sprawach. Wypadało i warto było nieco pocierpieć, choć rady kapitana nie zawsze cechowała słusność, a niekiedy nawet miały w sobie coś z szaleństwa.

Utrzymywali niską temperaturę, by powstrzymać postępy parchowej zarazy. Przez pewien czas kasetą zimnego snu, w której leżał kapitan, potrafiła mrozić, ale uporczywa narośl wylała się w końcu z kasety, podporządkowała sobie jej układy i wcieliła w swój pączkujący organizm. Kasetą nadal w pewnym sensie funkcjonowała, ale w całym otaczającym ją rejonie musieli zapewnić bardzo niskie temperatury. Na wyprawę do kapitana trzeba było wkładać warstwy ubrań termicznych. Niełatwo się tam oddychało, każde zaczerpnięcie tchu groziło rozerwaniem płuc na milion lodowych odłamków. Volyova paliła papierosa za papierosem, choć znosiła te wizyty łatwiej od innych. Nie miała wewnętrznych implantów, które zaraza mogła opanować i zniszczyć. Z tego powodu inni załoganci – obecnie wszyscy nie żyli – uważali ją za wydelikacjoną i słabą. W ich oczach dostrzegała jednak zazdrość, gdy zmuszeni do przebywania w pobliżu kapitana pragnęli przynajmniej przez chwilę być takimi, jak ona. Pragnęli rozpaczliwie.

Sajaki, Hegazi, Sudjic... słabo pamiętała ich imiona. Wydawało się to tak dawno temu.

Teraz w tym miejscu nie było zimniej niż w innych częściach statku. Wprost przeciwnie – było cieplej. Panowała tu wilgoć i bezruch. Wszystkie powierzchnie pokrywały połyskujące błony. Skroplona para wodna ściekała strumykami po ścianach, skapywała wokół węzlastych złogów. Od czasu do czasu, z wulgarnym czknięciem, z jakiejś statkowej wnęki wytryskiwał potok obrzydliwości i rzygał na podłogę. Statkowe procesy biochemicznego recyklingu już dawno wymknęły się spod kontroli człowieka. Nie uległy awarii, lecz ewoluowały, tworzyły pętle sprzężenia zwrotnego i wściekle wykwity. Volyova toczyła stałą, nużącą walkę w obronie statku przed zalaniem przez jego własne ścieki. W tysiącach miejsc zainstalowała pompy żęzowe, tłoczące śluz do głównych kadzi technicznych, gdzie był rozkładany na proste substancje chemiczne. Brzęczenie pomp akompaniowało jej wszystkim myślom, jak pojedynczy przedłużony dźwięk organowej piszczałki. Zawsze był obecny, więc przestała go już zauważać.

Jeśli ktoś wiedział, gdzie patrzeć, i potrafił wzrokiem wyławiać wzorce z chaosu, dostrzegał miejsce, w którym wcześniej znajdowała się kasetka. Gdy Volyova pozwoliła kapitanowi na ogrzanie się – po prostu strzeliła w kontrolki kasetki – kapitan coraz szybciej zaczął pochłaniać okoliczne fragmenty statku, odzierał materię atom po atomie i wcielał ją w siebie. Powstawało przy tym ciepło jak w piecu. Volyova nie czekała na skutki tej transformacji, ale przewidywała, że kapitan będzie się nadal rozrastał, aż wchłonie większą część statku. Ten potworny proces był jednak korzystniejszy od zdania statku na pastwę innego potwora: Złodzieja Słońca. Miała nadzieję, że kapitan wyrwie część władzy tej pasożytniczej inteligencji, która opanowała "Nostalgia za Nieskończonością".

Prognozy nadzwyczajnie się sprawdziły: kapitan pochłonął w końcu cały statek, deformując go szaleńczo. Volyova wiedziała, że ten przypadek infekcji jest szczególny. Powszechnie uważano, że istnieje tylko jeden szczep parchowej zarazy i statek jest skażony tym samym co układ Yellowstone i inne miejsca świata. Volyova widziała obrazy z Chasm City po zarazie, poskręcane groteskowo budowle jak z szalonego snu. Jeśli nawet te transformacje miały czasami w sobie jakiś porządek czy artystyczny polot, to nie dało się wykryć w ich strukturze żadnej inteligencji. Kształty budowli były z góry zdeterminowane założeniami bioprojektu. Na "Nieskończoności" wyglądało to inaczej. Zaraza, uśpiona w kapitanie, dopiero po wielu latach zaczęła go przekształcać. Czyżby nastąpiła pewna symbioza i gdy zaraza w końcu wymknęła się spod kontroli i zaczęła pożerać i zmieniać statek, transformacje były w jakimś sensie wyrazem podświadomości kapitana?

Volyova przypuszczała, że tak mogło być, a równocześnie miała nadzieję, że tak nie jest. Statek – pod każdym względem – stał się czymś potwornym. Gdy Khouri przybyła z Resurgamu, Volyova usiłowała bagatelizować problem deformacji; robiła to zarówno dla siebie, jak i dla Khouri. Statek ją denerwował. Zanim pozwoliła się kapitanowi ogrzać, zrozumiała jego zbrodnie, zaglądając w tworzące jego umysł krużganki winy i nienawiści. Teraz ten umysł bardzo się rozszerzył i Volyova mogła sobie spacerować w jego wnętrzu. Kapitan stał się statkiem, a statek odziedziczył jego zbrodnie i został pomnikiem własnego łajdactwa.

Obejrzała dokładnie zarys miejsca, gdzie przedtem znajdowała się kasetka. W ostatniej fazie choroby kapitana jednostka zimnego snu, przygnieciona do ściany, zaczęła wypuszczać srebrzyste fraktalne liście. Ich bieg można było prześledzić wstecz, przez popękaną obudowę kasetki, do samego kapitana – zakorzeniały się głęboko w jego układzie nerwowym. Teraz te czułki obejmowały cały statek. Wiły się, rozdawały i ponownie łączyły jak aksony olbrzymiej ośmiornicy. Istniało kilkadziesiąt punktów, w których srebrne czułki spotykały się w fantastycznie skomplikowanej płataninie; Volyova uważała te miejsca za główne węzły ganglialne. Obecnie nic nie pozostało z dawnego fizycznego ciała kapitana, ale jego inteligencja – rozdęta, poskręcana i widmowa – na pewno zamieszkiwała statek. Volyova nie wiedziała, czy te węzły, to rozproszone mózgi, czy tylko małe składowe znacznie większego

statkowego rozumu. Jednego była pewna: John Brannigan nadal był obecny.

Pewnego razu, gdy przebywała na rozbitym statku w pobliżu Hadesu i sądziła, że Khouri zginęła, czekała, aż "Nieskończoność" ją zglądzi. Spodziewała się tego. Ogrzała wtedy kapitana i powiedziała mu o odkrytych zbrodniach, dostarczając powodów, by ją ukarał.

Oszczędził ją jednak, a potem uratował. Pozwolił jej wrócić na statek, ciągle znajdujący się w fazie pochłaniania i transformacji. Ignorował wszystkie próby komunikacji ze strony Volyovej, ale pozwolił jej przeżyć. Znalazła izolowane przestrzenie, gdzie deformacje nie były tak radykalne i gdzie dało się mieszkać. Odkryła nawet, że te przestrzenie się przesuwają, gdy chciała się przenieść do innej części statku. Zatem Brannigan, czy też ten, kto sterował statkiem, wiedział, że Volyova jest na pokładzie i czego potrzebuje do życia. Później, gdy Volyova odnalazła Khouri, statek również pozwolił jej wejść na pokład.

Volyova czuła się tak, jakby mieszkały w domu nawiedzanym przez zjawy, zajęтым przez samotnego opiekuńczego duszka. Jeśli czegoś potrzebowały – w granicach rozsądku – statek tego dostarczał. Nie oddał jednak sterowania. Nie podróżował, wykonywał najwyżej krótkie loty śródkładowe. Nie dawał dostępu do swoich broni, a już na pewno nie do broni kazamatowych.

Volyova ponawiała próby komunikacji. Bezowocnie. Mówiła do statku – nie reagował. Przekazywała pisemne wiadomości – ten sam efekt. A jednak miała przekonanie, że jej słucha. Był w katatonii, wycofany do własnej przepastnej jaskini wyrzutów sumienia i samooskarżeń.

Statek gardził sobą.

Potem Khouri wróciła na Resurgam, by przeniknąć do Domu Inkwizycji i poprowadzić cholerny rząd tej planety na polowanie za własnym ogonem, aby wraz z Volyovą mogły docierać wszędzie, gdzie chcą.

Pierwsze miesiące samotności były trudne do zniesienia nawet dla Ilii Volyovej. Musiała w końcu przyznać, że odpowiada jej ludzkie towarzystwo. Mając za kompana tylko ponury, cichy, pełen nienawiści umysł, omal nie wariowała.

Potem statek zaczął na swój sposób reagować. Początkowo Volyova nawet nie zauważyła tych wysiłków. Każdego dnia musiała zrobić setki rzeczy i nie miała czasu na nasłuchiwanie i wypatrywanie niezręcznych gestów pojednania. Miała na głowie plagę szcurów, awarie pomp, stałą konieczność przeganiania zarazy z krytycznych obszarów, zwalczanie jej z pomocą nanoagentów, ognia, mrożenia i spryskiwania substancjami chemicznymi.

Pewnego dnia serwitory zaczęły się dziwnie zachowywać. Jak szczury, które się

zbiesiły, serwitory też należały do statkowej infrastruktury napraw i modyfikacji. Najinteligentniejsze z nich padły ofiarą zarazy, ale najstarsze, najgłupsze przetrwały. Wykonywały przydzielone zadania, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, że statek się zmienił. Przeważnie ani nie przeszkadzały, ani nie pomagały Volyovej, więc zostawiała je w spokoju. Czasami okazywały się użyteczne, ale zdarzało się to tak rzadko, że już dawno przestała na nie liczyć.

Nagle jednak serwitory zaczęły jej pomagać, po raz pierwszy przy naprawie pompy żęzowej. Volyova odkryła awarię i udała się na dół statku, by zbadać przyczynę. Na miejscu ze zdumieniem zobaczyła serwitora – czekał na nią z przydatnymi narzędziami.

Najpierw musiała uruchomić pompę. Gdy ustąpił lokalny potop, usiadła i zebrała myśli. Statek nadal wyglądał tak, jak wtedy, gdy się obudziła. Ciągące się w dal korytarze przypominały obrośnięte śluzem rury. Ze wszystkich szczelin statku kapła wstrętna maź. Powietrze nadal było mdłe, a w tyle głowy Volyova słyszała gregoriańskie śpiewy pozostałych pomp.

Stanowczo coś się jednak zmieniło.

Odłożyła narzędzia do kosza, który niósł serwitor. Gdy skończyła naprawę, maszyna obróciła się błyskawicznie na gąsienicach i zniknęła w żebrowanym zakrzywionym korytarzu.

–Chyba mnie słyszysz – powiedziała głośno. – Słyszysz i widzisz. Wiesz również, że nie zamierzam ci zrobić krzywdy. Mógłbyś mnie już do tej pory zabić, John, zwłaszcza jeśli sterujesz serwitorami – bo sterujesz nimi, prawda?

Zupełnie się nie zdziwiła, gdy nie usłyszała żadnej odpowiedzi, ale mówiła nadal.

–Oczywiście pamiętasz, kim jestem. To ja cię ogrzałam. To ja się domyśliłam, co zrobiłeś. Może sądzisz, że chciałam cię ukarać za twoje czyny. Mylisz się. To nie w moim stylu, sadyzm mnie nudzi. Gdybym cię chciała ukarać, zabiłabym cię, a mogłam to zrobić na tysiąc sposobów. Nie miałam takiego zamiaru. Dowiedz się, jaki jest mój pogląd: dość się nacierpiełeś. Przyznasz, że cierpiełeś? – Zamilkła, wsłuchując się w muzykę pompy, zadowolona, że urządzenie nie psuje się od razu.

–Zasłużyłeś na to – ciągnęła. – Zasłużyłeś na pobyt w piekle za to, co zrobiłeś. Jedynie ty wiesz, co to znaczy żyć tak długo w takim stanie, jak żyłeś. Jedynie ty wiesz, czy twój obecny stan to jakieś polepszenie.

Do Volyovej dotarł odległy wstrząs, odebrała go przez podłogę. Zastanawiała się, czy to gdzieś na statku planowo włączyły się pompy, czy też kapitan właśnie reaguje na jej uwagi.

–Teraz jest lepiej, prawda? Musi być lepiej. Uciekłeś i stałeś się duchem statku, którym kiedyś dowodziłeś. Jaki kapitan mógłby pragnąć czegoś więcej?

Nie było odpowiedzi. Volyova czekała kilka minut na drgnięcie czy inny tajemniczy sygnał. Nic nie nadeszło.

–Jestem ci wdzięczna za serwitora. Dziękuję, pomógł mi.

Statek jednak nic nie mówił.

Od tamtego czasu serwitory, jeśli mogły, stawiały się na miejscu, oferując wsparcie. Jeśli dawało się odgadnąć jej zamiary, maszyny śpieszyły po narzędzia i potrzebny sprzęt. Gdy prace trwały dłużej, przynosiły jej nawet jedzenie i wodę z któregoś z działających automatów żywnościowych. Gdy bezpośrednio zwracała się o to do statku, nie uzyskiwała pomocy, ale gdy mówiąc głośno do siebie, wyliczała, co by się przydało, statek ochoczo spełniał prośby. Nie wszystkie, ale Volyova miała wrażenie, że statek bardzo się stara.

A może się myliła? Może to nie John Brannigan ją prześladował, ale jakaś inteligencja znacznie niższego poziomu? Może statek chciał jej służyć dlatego, że jego umysł był tylko tak złożony jak umysł serwitora, załadowany tymi samymi procedurami posłuszeństwa. Może zwracając swe myśli bezpośrednio do Brannigana, z nadzieją, że słucha, wyobrażała sobie, że ma do czynienia z większą inteligencją, niż miała w rzeczywistości.

Nieoczekiwanie pojawiły się papierosy.

Nie prosiła o nie, sądziła nawet, że nigdzie na statku już ich nie ma, całkowicie zużyła przecież swoje zapasy. Obejrzała paczkę z ciekawością, podejrzliwie. Wyglądały jak wyprodukowane w jednej z kolonii handlowych, z którymi statek utrzymywał kontakty dekady temu, a nie jak wyrób statkowy. Zbyt dobrze pachniały. A gdy Volyova wypaliła do końca jednego papierosa, przekonała się, że również zbyt dobrze smakuje jak na produkt z miejscowych surowców.

–Do diabła, skąd je wytrzasnąłeś? – spytała, zaciągając się, napełniając płuca po raz pierwszy od tygodni czymś innym niż statkowe powietrze. – Nieważne. Nie muszę wiedzieć. Jestem wdzięczna.

Od tego czasu straciła wszelkie wątpliwości: miała do czynienia z Branniganem. Tylko członek załogi mógł wiedzieć o tytoniowym nałogu Volyovej. Żadna maszyna nie wpadłaby na pomysł, by zrobić jej taki prezent, nawet gdyby miała wbudowany głęboki instynkt służalczości. Zatem statek chciał pojednania.

Postęp odbywał się powoli. Od czasu do czasu wydarzało się coś, co zmuszało statek do wycofania się w skorupę, serwitory wyłączały się i odmawiały współpracy

przez wiele dni. Zdarzało się to po tym, jak Volyova zbyt swobodnie zwracała się do kapitana, próbując sztuczkami psychologicznymi wywabić go z ciszy. Nie jestem dobrym psychologiem, stwierdziła smętnie. To całe straszne zamieszanie zaczęło się wtedy, gdy eksperymenty Volyovej ze zbrojmistrzem Nagornym doprowadziły go do szaleństwa. Gdyby nie tamta sprawa, Volyova nie musiałaby przyjmować Khouri i wszystko potoczyłoby się inaczej...

Potem, gdy życie na statku wróciło do względnej normalności i serwitorki podjęły współpracę, Volyova postępowała ostrożnie i uważała na to, co mówi. Przez całe tygodnie nie próbowała otwarcie nawiązać łączności. Ale zamierzała kontynuować wysiłki, powoli prowadząc do następnego epizodu katatonii. Nie poddawała się, ponieważ miała wrażenie, że między kolejnymi załamaniem robi małe, lecz mierzalne postępy.

Ostatnie załamanie miało miejsce sześć tygodni przed przybyciem Khouri, a stan katatonii trwał osiem tygodni, dłużej niż kiedykolwiek przedtem. Od tej pory upłynęło dziesięć tygodni i dopiero teraz Volyova była gotowa zaryzykować ponownie.

–Kapitanie, posłuchaj, wiele razy usiłowałam do ciebie dotrzeć i chyba parę razy mi się udało. Miałam wrażenie, że całkowicie rozumiesz, co mówiłam. Nie byłeś gotów rozmawiać. W pełni to rozumiem. Ale teraz koniecznie muszę ci o czymś powiedzieć. Chodzi o świat zewnętrzny, o to, co się dzieje w innych miejscach tego układu planetarnego.

Volyova stała w wielkiej kopule mostku. Przemawiała głosem donośniejszym niżby wymagała normalna rozmowa. Prawdopodobnie mogłaby wygłosić swoje oświadczenie w dowolnym miejscu i kapitan by ją słyszał, ale tu, gdzie przedtem skupiała się cała władza statku, monolog wydawał się mniej absurdalny. Akustyka pomieszczenia przydawała słowom przyjemnego pogłosu. Volyova gestykułowała teatralnie dłonią z papierosem.

–Może już sam o tym wiesz. Masz przecież połączenia synaptyczne z czujnikami i kamerami kadłuba. Nie wiem tylko, na ile dobrze interpretujesz nadchodzące dane. Nie urodziłeś się przecież z odpowiednimi umiejętnościami. Nawet dla ciebie to nietypowe: postrzeganie świata oczami i uszami czterokilometrowego urządzenia. Zawsze jednak byłeś elastycznym draniem. Stawiam na to, że w końcu przystosujesz się i do tego.

Kapitan nie odpowiadał. Jednak statek nie popadł natychmiast w katatonię. Monitor bransolety na ręce Volyovej wskazywał na normalną aktywność serwitorów na całym statku.

–Zakładam jednak, że jeszcze nie wiesz o maszynach, z wyjątkiem tego, co ci się udało usłyszeć podczas ostatniej bytności Khouri. Jakże to maszyny? – zapytasz. Są

obce. Nie wiemy, skąd pochodzą, wiemy tylko, że są tu, w układzie Deltę Pavonis. Przypuszczamy, że Sylveste – pamiętasz go? – niechcący je przywołał, kiedy wszedł do Hadesu – artefaktu.

Oczywiście kapitan pamiętał Sylveste'a, jeśli w ogóle był w stanie cokolwiek sobie przypomnieć ze swego poprzedniego życia. To Sylveste został sprowadzony na statek, by wyleczyć kapitana, ale Sylveste tylko się migał, zainteresowany wyłącznie Hadesem.

–Oczywiście – ciągnęła Volyova – to jedynie domysły, pasują jednak do faktów. Khouri wiele wie o tych maszynach, więcej ode mnie, ale swoją wiedzę zdobyła w taki sposób, że nie może jej łatwo wyartykułować. Błędzimy w ciemnościach.

Powiedziała kapitanowi, co się dotychczas stało, demonstrując obserwacje na kopule displeju. Wyjaśniła, jak roje maszyn Inhibitorów rozmontowały trzy mniejsze światy, wysały ich jądra i przetworzyły uzyskaną materię w pasy bardzo uszlachetnionego materiału orbitalnego.

–To robi wrażenie, ale ich dotychczasowe dokonania nie są poza naszymi możliwościami – kontynuowała Volyova. – Jeszcze nie. Przeraża mnie to, co zamierzają zrobić po następnym kroku.

Dwa tygodnie temu operacje wydobywcze nagle przerwano. Sztuczne wulkany, którymi były wysadzone równiki trzech światów, przestały rzygać materią. Resztki materiału, w ostatnich obciętych łukach, kierowały się ku orbicie.

Według ocen Volyovej przynajmniej połowę materii każdego z księżyców wyekspediowano do orbitalnego magazynu. Poniżej zostały tylko wypatroszone światy. Fascynujący był widok księżycowych łupin, zapadających się do zwartej pomarańczowej kuli z radioaktywnej szlaki. Niektóre maszyny oddzieliły się od powierzchni, ale wiele chyba spełniło swoje zadania i zostawiono je, by zniszczały. Ta wyraźna rozrzutność przerażała Volyovą, świadczyła o tym, że maszynom obojętne są koszty poniesione we wcześniejszych cyklach replikacyjnych i że w pewnym sensie nie są istotne w skali planowanego projektu.

Jednak miliony mniejszych maszyn pozostały nietknięte. Pierścienie gruzu posiadały znaczną własną grawitację i wymagały stałego nadzoru. Urządzenia rozmaitych typów uwijały się ścieżkami materii, wchłaniając ją i wydalając. Volyova wykrywała sporadyczne rozbłyski egzotycznego promieniowania w pobliżu warsztatów. Inicjowano tam jakieś niesamowite reakcje alchemiczne. Surowiec z księżyców przekształcano w wyspecjalizowane i rzadkie formy materii, nieistniejące w naturze.

Wulkany jeszcze nie przestały pluć, a już wszczęto nowy proces. Z otoczki każdego

świata wystartował strumień przerobionej materii i rozciągnął się w kosmos nicią długości kilku sekund świetlnych. Uwijające się maszyny musiały nadać im energię wystarczającą do pokonania studni grawitacyjnej poszczególnych światów. Języki materii sunęły teraz po międzyplanetarnej trajektorii w kształcie gałęzi łagodnej paraboli tuż przy płaszczyźnie ekliptyki. Wyciągały się, aż osiągnęły długość kilku godzin świetlnych. Volyova przeprowadziła obliczenia dla trzech paraboli i stwierdziła, że zbiegną się one w przestrzeni w tym samym punkcie, dokładnie w tej samej chwili.

Obecnie nic w tamtym miejscu nie było, ale gdy strumienie tam dotrą, równocześnie dotrze tam największy gazowy gigant układu. Volyova uznała tę koniunkcję za rzecz nieprzypadkową.

–Oto moja hipoteza: dotychczas widzieliśmy gromadzenie materiału, a teraz zaczną prawdziwe prace. Mają projekty co do Roka. Jakie – nie wiem, ale to na pewno część ich planu.

Na kopule displeju pojawił się schemat gazowego giganta: Rok przekrojony jak jabłko, z odsłoniętymi warstwami i opisem. Na schemacie ukazano zanurzenie się w zadziwiająco głęboką dziwną chemii i upiornego ciśnienia. Niesamowicie ściśnięte gazy nakładały się na ocean czystego wodoru, rozpościerający się tuż pod zewnętrzną warstwą planety. Głębiej rozciągał się ocean wodoru w stanie metalicznym. Na samą myśl o tym Volyovą zaczynała boleć głowa. Nigdy nie lubiła planet, a gazowe giganty wydawały jej się bezsensowną zniewagą ludzkiej skali i ludzkiej słabości. Pod tym względem były niemal tak złe jak gwiazdy.

Rok nie wyróżniał się jednak niczym szczególnym. Miał stadko księżyców, w większości lodowych i silnie związanych z centralną planetą. Na powierzchni gorętszych satelitów kipiały jony, tworząc wielkie torusowate pasy plazmy, otaczające giganta, trzymane na wodzy przez jego dziką magnetosferę. Wśród księżyców nie było obiektów skalistych i prawdopodobnie dlatego pierwotną operację pobrania materii maszyny zaczęły na innych światach. Istniał tam również układ pierścieniowy o interesującej wyrazistej strukturze koła rowerowego ze szprychami i węzłami, ale i takie rzeczy Volyova widziała już w innych miejscach.

Czego chcą Inhibitorzy? Co zamierzają zrobić, gdy strumień materii dotrze do Roka?

–Rozumiesz moje złe przeczucia, kapitanie? Na pewno rozumiesz. Cokolwiek te maszyny planują, nie jest to dla naszego dobra. To napędy wymierania. Chcą zmieść życie rozumne. Pozostaje pytanie, czy możemy temu zapobiec.

Przerwała i zaczęła rozmyślać. Nie spowodowała katatonii, co uznała za zjawisko pozytywne. Kapitan wykazywał przynajmniej gotowość słuchania o wydarzeniach

świata zewnętrznego. Volyova musiała jednak podnieść problem, który zwykle wywoływał gwałtowne załamanie. Teraz albo nigdy.

–Myślę, że możemy, kapitanie. Może nie definitywnie powstrzymać maszyny, ale przynajmniej włożyć im duży kij w szprychy. – Spojrzała na bransoletę i przekonała się, że na statku nie dzieje się nic szczególnego. – Oczywiście myślę o ataku militarnym. Nie sądzę, by rozumne argumenty przekonały kogoś, kto rozmontowuje twoje trzy planety, nawet nie prosząc na wstępie o zgodę.

Teraz nastąpiła reakcja – tak się przynajmniej Volyovej wydawało. Z głębi statku dotarło do niej drżenie. Już wcześniej to przeżywała, choć nie potrafiła tego jednoznacznie zinterpretować. Z pewnością inteligencja zarządzająca statkiem usiłowała się skomunikować, choć dla Volyovej brzmiało to raczej jak oznaka irytacji, jak warczenie psa, niezadowolonego, że mu przeszkadzają.

–Kapitanie... przysięgam, rozumiem, że to trudne, ale coś musimy zrobić, i to szybko. Widzę jedną opcję: rozmieszczenie broni kazamatowych. Zostały nam trzydzieści trzy sztuki... trzydzieści dziewięć, jeśli uda nam się uratować i ponownie uzbroić te sześć, które rozmieściłam wokół Hadesu, ale oceniam, że trzydzieści trzy wystarczą, jeśli je odpowiednio i szybko zastosujemy.

Drżenie się wzmogło i osłabło. Dotknęłam naprawdę czulego miejsca, pomyślała. Ale kapitan nadal słuchał.

–Broń utracona na skraju układu mogła być najsilniejsza, jaką mieliśmy, ale według mnie ta szóstka, którą wyrzuciliśmy, składała się z najsłabszych sztuk. Powinniśmy spróbować, kapitanie. Przedstawić ci swój plan? Uderzmy w trzy światy, skąd płyną strumienie materii. Dziewięćdziesiąt procent wydobytej masy nadal znajduje się na orbicie wokół zapadłych globów, choć cały czas coraz więcej odpływa w stronę Roka. Większość maszyn Inhibitorów nadal jest przy tamtych księżycach. Raczej nie przetrwają niespodziewanego ataku, a nawet jeśli przetrwają, możemy rozproszyć i zatruć te magazyny materii.

Teraz Volyova mówiła szybciej, podniecona planem, który powstawał w jej umyśle.

–Maszyny może zdołają się przegrupować, ale będą musiały znaleźć sobie nowe światy do demontażu. Na to też jest rada. Możemy innymi pociskami kazamatowymi rozerwać wiele potencjalnych źródeł materiału. Możemy zatruć ich studnie, powstrzymać ich przed dalszym górnictwem. To im utrudni, pokrzyżuje zamiary wobec gazowego giganta. Mamy szansę, ale jest jeden szkopuł, kapitanie. Musisz nam pomóc.

Spojrzała na bransoletę. Nic się nie działo i Volyova z ulgą odetchnęła. Teraz nie będzie go więcej naciskała. Samo stwierdzenie, że konieczna jest jego współpraca,

poszło dalej, niż Volyova planowała.

Wreszcie odpowiedź nadeszła: dalekie, przybierające na sile warczenie wściekłego powietrza. Volyova słyszała, jak odgłos zbliża się do niej przez kilometry korytarzy.

–Kapitanie...

Było za późno. Poryw powietrza natarł na kopułę dowodzenia i brutalnie powalił Ilię na podłogę. Pet wypadł jej z dłoni i kilka razy okrążył pomieszczenie, pochwycony przez wir powietrza, a szczury i luźne przedmioty wirowały razem z nim.

Volyova z trudnością mówiła:

–Kapitanie, nie chodziło mi o...

Ale za chwilę nawet oddychanie stało się trudne. Młóciła rękami, wiatr pchał ją po podłodze. Rozległ się straszliwy dźwięk, jakby wzmocniony wyraz bólu, doświadczanego długo przez Johna Brannigana.

Potem wiatr ucichł i w sterowni zapanowała cisza. Aby osiągnąć ten efekt, kapitanowi wystarczyło jedynie gdzieś na statku otworzyć hermetyczną śluzę do pomieszczenia, w którym normalnie panowała próżnia. Najprawdopodobniej podczas tej demonstracji siły ani odrobina powietrza nie uciekła w kosmos, ale efekt był równie piorunujący, jakby nastąpiło rozerwanie kadłuba.

Ilija wstała. Nie miała złamań. Otrzepała się i zapaliła nowego papierosa. Paliła ze dwie minuty, aż nerwy powróciły do stanu względnej równowagi.

Potem znów przemówiła, spokojnie i cicho jak matka do dziecka, które miało napad złości.

–Dobrze, kapitanie. Skutecznie przedstawiłeś swoje racje. Nie chcesz rozmawiać o broni kazamatowej. Jasne, to twoje prawo i nie jestem zbyt zdziwiona. Zrozum jednak, że nie mówimy o jakiejś małej lokalnej sprawie. Te maszyny Inhibitorów nie przybyły do Deltę Pawia, przybyły do kosmosu ludzi. To dopiero początek. I na tym nie poprzestaną, nawet jeśli drugi raz w ciągu ostatniego miliona lat zmiotą życie na Resurgamie. To dla nich jedynie rozgrzewka. Potem opanują inne miejsca. Może Skraj Nieba. Może Siwa-Parwati, Grand Teton, Spindrift, Zastrugę albo i Yellowstone. A może nawet Pierwszy Układ. Gdy padnie jeden, inne wkrótce pójdą w jego ślady. To będzie koniec. Nieważne, czy zajmie to dziesięciolecia, czy całe wieki. Nastąpi koniec wszystkiego, ostateczne zaprzeczenie wszelkich ludzkich czynów i myśli od zarania dziejów. Zostaniemy usunięci, a polowanie będzie straszne, choć jego wynik jest przesądzone. Ale nas przy tym nie będzie. I to mnie strasznie wkurza.

Zaciągnęła się papierosem. Szczury umknęły w ciemność i szlam. Statek

zachowywał się normalnie. Kapitan najwyraźniej przebaczył jej poprzednie uchybienie.

–Dotychczas maszyny nie zwracały na nas zbytnej uwagi – mówiła Volyova. – Mogę się założyć, że to się zmieni. A chcesz usłyszeć moją hipotezę, dlaczego jeszcze nie zostaliśmy zaatakowani? Może nas nie widzą, ich zmysły są nastawione na wyławianie znacznie szerszych oznak życia niż pojedynczy statek. Albo nie chcą sobie zawracać nami głowy, unicestwienie nas indywidualnie to strata sił, skoro to, nad czym pracują, i tak nas skutecznie załatwi. Podejrzewam, kapitanie, że tak właśnie rozumują. Planują coś znacznie większego. Po co trudzić się zgnieceniem jednej muchy, skoro zamierza się eksterminować cały gatunek?

I jeśli mamy im stawić czoło, zacznijmy myśleć w podobny sposób. Potrzebujemy broni kazamatowej, kapitanie.

Pomieszczenie zadrżało. Światło displeju i lampy zgasły. Volyova spojrzała na bransoletę i nie zdziwiła się, że statek znowu przechodzi w stan katatonii. Serwitory wyłączały się na wszystkich poziomach, porzucały swoje zadania. Nawet niektóre pompy zęzowe przestawały pracować. Volyova usłyszała subtelną zmianę zaśpiewu, gdy poszczególne jednostki wypadały z chóru. Za chwilę labirynt korytarzy pograży się w ciemnościach, przywołane windy nie przyjadą, życie stanie się trudniejsze, a przez kilka dni, może nawet tygodni, samo przetrwanie na statku będzie pożerało większość energii Volyovej.

–Kapitanie... – powiedziała łagodnie, wątpiąc, czy ją słucha. – Musisz zrozumieć, że nie zamierzam uciekać. Oni też nie.

Volyova, stojąc samotnie w ciemnościach, dopalała papierosa. Potem wyjęła swoją latarkę, włączyła ją i zeszła z mostka. Miała wiele do zrobienia.

Remontoire stał na przylepnej powłoce komety Skade i machał do nadlatującego statku. Statek zbliżał się do ciemnej powierzchni podejrzliwie, z wyraźnym wahaniem. Był to mały obiekt, niewiele większy od korwety, która ich tu przywiozła. Z kadłuba wystawały kuliste wieżyczki, obracając się na wszystkie strony. Remontoire mrugał w czerwonym ostrym świetle lasera celowniczego. Potem promień ześlizgnął się na powierzchnię, szukając ewentualnych pułapek.

–Mówiłeś, że jest was dwoje, a widzę tu tylko ciebie. – Głos dowódcy statku brzęczał w hełmie Remontoire'a.

–Skade została ranna. Wewnątrz komety dogląda ją mistrz warsztatów. Dlaczego zwracasz się do mnie wokalnie?

–Możesz być pułapką.

–Jestem Remontoire. Nie poznajesz mnie?

–Obróć się trochę w lewo, żebym mógł zobaczyć twoją twarz przez szybę hełmu.

Przez chwilę statek marudził, przyglądając się uważnie Remontoire'owi. Potem podleciał niżej i wystrzelił chwytaki, zatapiając je mocno w podłoże, gdzie były już zakotwiczone trzy zerwane liny korwety. Remontoire poczuł uderzenie od spodu, epoksydowa warstwa mocniej przytrzymała go za podeszwy.

Usiłował nawiązać łączność neuralną z pilotem.

Potwierdzasz teraz, że jestem Remontoire?

Widział służę otwierającą się z przodu statku. Wyszedł z niej Hybrydowiec w pełnym rynsztunku bojowym. Ślizgiem opadł stopami na powierzchnię komety dwa metry od Remontoire'a. Miał pistolet, którym mierzył w jego głowę. Ze statku celowały w Remontoire'a karabiny, czuł, jak obserwują go szerokimi wylotami luf. Miał wrażenie, że wystarczy jego jeden nieostrożny ruch, a zaczną strzelać.

Hybrydowiec połączył się z nim neuralnie.

[Co tu robicie? Kim jest mistrz warsztatów?]

To sprawa Ścistej Rady. Mogę powiedzieć tylko tyle, że Skade i ja byliśmy tu w sprawie dotyczącej bezpieczeństwa Hybrydowców. To jedna z naszych komet, jak się zapewne domyślacie.

[Wołając o pomoc, mówiłeś, że przyjechało was troje. Gdzie jest statek, którym

przylecieliście?]

To trochę skomplikowane.

Remontoire próbował wcisnąć się do głowy mężczyzny – byłoby znacznie łatwiej, gdyby mógł po prostu przekazać mu bezpośrednio swoje wspomnienia – ale przeszkadzały mu ściśle neuronowe blokady Hybrydowca.

[Powiedz]

Przyleciał z nami Clavain. Ukradł korwetę.

[Po co miałby to robić?]

Nie mogę wam tego powiedzieć, bo musiałbym zdradzić rolę tej komety.

[Domyślam się, że znów chodzi o sprawy Ścisłej Rady]

Wiesz, jak to jest.

[Dokąd skierował korwetę?]

Remontoire uśmiechnął się. Nie było sensu nadal grać w kotka i myszkę.

Prawdopodobnie do wnętrza układu. Bo gdzieżby indziej? Nie będzie przecież wracał do Matczynego Gniazda.

[Jak dawno się to wszystko wydarzyło?]

Ponad trzydzieści godzin temu.

[Dotarcie do Yellowstone zajmie mu mniej niż trzysta godzin. Dlaczego nie zawiadomiłeś nas wcześniej?]

Usiłowałem. Mieliśmy tu kryzys zdrowotny. I musiałem długo przekonywać mistrza warsztatów, żeby pozwolił mi wysłać sygnał do Matczynego Gniazda.

[Kryzys zdrowotny?]

Remontoire wskazał ciemną dziurę wejścia do wnętrza komety.

Jak mówiłem, Skade została ranna. Powinniśmy jak najszybciej zabrać ją do Matczynego Gniazda.

Remontoire zaczął uważnie iść, karabiny statkowe śledziły jego ostrożne kroki, gotowe zamienić go w miniaturowy krater, gdyby wykonał gwałtowniejszy ruch.

[Czy ona żyje?]

Remontoire pokręcił głową.

Nie w tej chwili.

DWANAŚCIE

Clavain obudził się z wymuszonego spoczynku, opuszczając sny o walących się budynkach i burzach piaskowych. Odzyskał na chwilę świadomość, synchronizując doznania z otoczeniem i pamięcią ostatnich wydarzeń. Przypomniał sobie sesję ze Ścisłą Radą, podróż na kometę, spotkanie z mistrzem warsztatów i widok ukrytej flotyli statków – najwyraźniej statków ewakuacyjnych. Pamiętał, jak porwał korwetę i jak z maksymalną prędkością ruszył w stronę układu wewnętrznego.

Nadal siedział w korwecie na miejscu pilota. Palcami przebiegał po kontrolkach dotykowych, wywołując ekrany displejów. Wyrosły wokół niego i otworzyły się jasne jak słoneczniki. Nie ufał neuralnej komunikacji korwety; podejrzewał, że Skade mogła wmontować blokującą procedurę w sieć sterującą statku. Nie uważał tego za zbyt prawdopodobne – dotychczas statek wykonywał bezwarunkowo jego polecenia – ale nie warto było ryzykować. Słonecznikowe ekrany wypełniły się wskaźnikami statusu i gorączkowo pulsującymi schematami rozmaitych podsystemów Clavain podwyższył swój współczynnik percepcji – kaskada obrazów ustabilizowała się i Clavain potrafił teraz zanalizować dane techniczne oraz raporty o uszkodzeniach doznanym przez korwetę podczas ucieczki. Żadne z nich nie zagrażało jego misji. Inna grupa sumarycznych danych dotyczyła sytuacji taktycznej – napływały z rozszerzającej się w postępie geometrycznym części kosmosu od miejsca, gdzie znajdowała się korweta. Clavain uważnie studiował ikony i opisy, oznaczające pozycje i odległości obiektów obu stron – Hybrydowców i Demarchistów – okrętów, dron, wędrujących min oraz większych jednostek. W odległości trzech godzin świetlnych toczyła się większa bitwa, bliżej było spokojnie. Matczyne Gniazdo nie wykazywało żadnej reakcji. Nie oznaczało to, że odpowiedzi nie było, ponieważ Clavain zdał się na dane taktyczne, które korweta przejmowała, wykorzystując pasywne czujniki i pobierając informacje z ogólnoukładowych sieci komunikacyjnych. Nie ryzykował natomiast używania własnych aktywnych sensorów, które zdradziłyby jego pozycję komuś, kto akurat by patrzył we właściwym kierunku. Przynajmniej jak dotychczas nie było oznak reakcji na jego ucieczkę.

Uśmiechnął się, wzruszył ramionami; natychmiast dał o sobie znać ból złamanego żebra, słabszy niż poprzednio, gdyż Clavain pamiętał o przyłożeniu przed snem leczniczego tabarda, który kierował na klatkę piersiową pola magnetyczne, stymulujące zrost kości. Mimo to Clavainowi nadal dokuczało bolesne ćmienie, upewniając go, że minione wydarzenia to nie wytwór jego wyobraźni. Na dłoni, w miejscu gdzie skaleczył się do kości nożem piezoelektrycznym, miał plaster. Rana goiła się czysto i nie sprawiała zbytniego bólu.

A więc zrobił to. Gdy się budził, mgliście powracając do rzeczywistości, myślał przez chwilę, że wspomnienia ostatnich wydarzeń to efekt przykrych snów, nawiedzających każdego żołnierza, który ma przynajmniej resztki sumienia, każdego,

kto przeżył dostatecznie wiele wojen, uczestniczył w dostatecznie wielu wydarzeniach, by wiedzieć, że to, co w danym momencie wydaje się słuszne, później może się okazać błędem. On podjął działanie, zdradził swoich. To była prawdziwa zdrada, bez względu na szlachetność motywów. Powierzono *mu przerażającą* tajemnicę, a on nadużył zaufania.

Teraz miał czas jedynie na zgrubną ocenę tego aktu dezercji. Gdy zobaczył flotę ewakuacyjną, zrozumiał, że ma jedyną okazję ucieczki: musi porwać korwetę tam na miejscu. Gdyby z tym zwlekał, na przykład aż do powrotu do Gniazda, Skade na pewno przejrzałaby jego zamiary. I tak już miała pewne podejrzenia, ale trochę czasu zajęłoby jej wydobywanie informacji z jego mózgu – mózgu o nieznannej architekturze, z antycznymi implantami i niemal zapomnianymi protokołami interfejsów neuronowych. Clavain nie mógł jej dać tego dodatkowego czasu.

Działał szybko, świadom, że może już nigdy nie zobaczy Felki. Nie spodziewał się zostać wolnym człowiekiem – nawet żywym człowiekiem – gdy rozpoczął nowy i najniebezpieczniejszy okres swej ucieczki. Znacznie lepiej byłoby, gdyby mógł ją zobaczyć po raz ostatni. I tak by jej nie namówił, by z nim poszła, a nawet gdyby się zgodziła, nie byłby w stanie wszystkiego zorganizować, ale mógłby jej wyjaśnić swoje intencje, pewien, że tajemnica zostanie dochowana. Przypuszczał, że by go zrozumiała, choć niekoniecznie przyznała rację. Nie próbowałaby go jednak odwieść od planów. A przy ostatecznym pożegnaniu może by uzyskał odpowiedź na pytanie, którego nie śmiał nigdy zadać, pytanie, które dotyczy okresu gniazda Galiany i trudnych czasów wojny na Marsie, gdy po raz pierwszy się spotkali. Zapytałby, czy jest jego córką, a ona może by odpowiedziała.

Teraz musi żyć ze świadomością, że nigdy się tego nie dowie, i choć może nie zdobyłby się na odwagę – przecież przez te wszystkie lata tego nie zrobił – to perspektywa permanentnego wygnania i niemożność odkrycia prawdy wydawały mu się ponure i zimne jak kamień.

Muszę się nauczyć z tym żyć, pomyślał.

Już przedtem dopuścił się zdrady, odrzucił jedno życie, a jednak przetrwał to emocjonalnie i fizycznie. Obecnie był starszy, ale nie tak stary i znużony, by po raz wtóry tego nie zrobić. Teraz należało się skupić na sprawach bezpośrednich. Po pierwsze, Clavain przeżył, i to z niewielkimi obrażeniami. Zakładał, że pociski już lecą w jego stronę, ale jeśli je wystrzelono, to zrobiono to długo po porwaniu korwety, bo w innym wypadku pasywne czujniki już by je wykryły. Ktoś – najprawdopodobniej Remontoire – opóźnił akcję na tyle, by dać Clavainowi przewagę. Niewielką, ale to znacznie lepsze niż zmienić się w trupa, w rozszerzającą się chmurę własnych zjonizowanych szczątków. To zasługiwało na smętny uśmieszek. Mogli go jeszcze dopaść, ale przynajmniej nie w pobliżu domu.

Podrapał się po brodzie. Mięśnie walczyły ze stałym ciężarem przyspieszenia. Silniki korwety nadal pracowały z największym dopuszczalnym stałym ciągiem trzech g, który wydawał się solidny jak skała i gładki jak przyciąganie gwiazdy. W każdej sekundzie statek anihilował pyłek antymaterii wielkości mikroba, ale zapasy antymaterii i rdzenie masy odrzutowej metalicznego wodoru zostały ledwie draśnięte. Korweta mogła dotrzeć do dowolnego miejsca w układzie i zajęłoby to tylko kilkadziesiąt dni. Clavain mógłby nawet silniej przyspieszać, choć w ten sposób nadwerżyłby silniki.

Po drugie, miał pewien plan.

Silniki antymateryjne korwety były nowoczesne – znacznie nowocześniejsze od wszystkich modeli we flocie wrogów – ale nie wykorzystywały tych samych technik, co hybrydowskie napędy statków międzyukładowych. Miliontonowemu statkowi nie potrafiły nadać prędkości bliskiej świetlnej, ale miały jedną istotną przewagę: nie hałasowały w przedziale całego spektrum emisji neutrino. Ponieważ Clavain wyłączył zwykle transpondery, jego statek mógł być namierzony tylko dzięki płomieniowi emisji – żagwi cząsteczek relatywistycznych wypływających z otworów wydechowych korwety. Ten strumień jednak był cienki jak ostrze rapiera. Istniało niewielkie rozproszenie w stosunku od osi, ale korwetę mógł dostrzec tylko ktoś – lub coś – znajdujący się w wąskim stożku bezpośrednio za ogonem korwety. Stożek rozszerzał się wraz z odległością od statku, ale jednocześnie słabł, jak światło latarki słabnące wraz z odległością od źródła. Tylko obserwator blisko osi otrzymałby wystarczający strumień fotonów, by wyznaczyć pozycję korwety, a jeśli Clavain będzie suwał osią stożka, zmieniając jej kierunek o kilka stopni, strumień będzie zbyt słaby, by zdradzić współrzędne korwety.

Zmieniając wektor osi, zmieniał kurs statku. Matczyne Gniazdo nie spodziewało się takiej strategii, oczekiwało, że poleci optymalną trajektorią ku Epsilon Eridani, a potem do Yellowstone, która krążyła po ścisłej, niskiej orbicie wokół tej gwiazdy. Powinien tam się znaleźć za dwanaście dni. Gdzie indziej mógł lecieć? Korweta nie mogła dotrzeć do innego układu – jej zasięg to ledwie kometarne halo – a prawie wszystkie planety poza Yellowstone nominalnie kontrolowali Demarchiści. Ich wpływy mały, ale w obecnej paranoicznej sytuacji zaatakowałiby Clavaina, nawet jeśli oznajmiłby, że chce przejść na ich stronę z cennymi tajnymi informacjami. Clavain zdawał sobie sprawę z tego wszystkiego. Jeszcze nim zatopił nóż w membranę komety, przygotował koncepcję może nie we wszystkich szczegółach dopracowaną i może nie najbardziej elegancką w jego karierze. Nie gwarantowała też powodzenia. Na planowanie miał jednak zaledwie parę minut. Nawet po ponownej analizie nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Potrzebował tylko, by mu trochę zaufano.

*

Chcę wiedzieć, co się ze mną stało.

Spojrzeni na nią, potem na siebie nawzajem. Niemal czuła, jak kipią ich myśli, przeskakujące przez powietrze jak rozpady jonizacyjne poprzedzające błyskawicę.

Pierwszy z chirurgów wysłał spokój i pewność.

[Skade...].

Powiedziałam, że chcę wiedzieć, co się ze mną stało.

[Żyjesz. Odniosłaś rany, ale przeżyłaś. Nadal potrzebujesz...]. Pozorny spokój chirurga zniknął.

Czego?

[Trzeba cię odpowiednio leczyć, ale wszystko da się naprawić].

Z jakiegoś powodu nie mogła zajrzeć do ich głów. Większość Hybrydowców przyjęłaby z wielkim niepokojem fakt, że po obudzeniu doświadcza pełnej izolacji, ale Skade, przystosowana do takich warunków, potraktowała to spokojnie, pamiętając, że już doświadczyła podobnej izolacji podczas pracy w Ścisłej Radzie. Tamto się skończyło, to też się skończy. To tylko kwestia czasu.

Co się dzieje z moimi implantami?

[Nic się z nimi nie dzieje]

Wiedziała, że chirurg to mężczyzna o imieniu Delmar.

Więc dlaczego jestem izolowana?

Ale nim sformułowała pytanie, знаła odpowiedź. Jest izolowana, ponieważ nie chcieli, by mogła się widzieć ich oczami. Ponieważ nie chcieli, by bezpośrednio poznała prawdę o tym, co się z nią stało.

[Skade...]

Nieważne... Wiem. Dlaczego postanowiliście mnie obudzić?

[Ktoś chce cię odwiedzić]

Nie mogła poruszyć głową, tylko oczami. W rozmytym obrazie widzenia

peryferyjnego zobaczyła Remontoire'a podchodzącego do miejsca, gdzie leżała – łóżka, stołu czy kozetki. Miał na sobie olśniewająco biały kitel lekarski, który Skade widziała na olśniewająco białym tle. Jego głowa była dziwnie oddzieloną kulą kiwającą się nad Skade. Serwitory medyczne o łabędzich szyjach usunęły mu się z drogi. Chirurg skrzyżował ramiona na piersiach i patrzył z miną wyrażającą surową dezaprobatę. Jego współpracownicy dyskretnie się wycofali, w pokoju zostało ich tylko troje.

Skade zerknęła “w dół”, w stronę swoich stóp, ale zobaczyła tylko rozmazaną biel. Słyszała ciche mechaniczne brzęczenie – takich dźwięków mogła się spodziewać w pokoju lekarskim.

Remontoire klęknął przy niej.

[Jak wiele pamiętasz?]

Ty mi powiedz, co się stało, a ja ci powiem, co pamiętam.

Remontoire spojrzał na chirurga. Pozwolił, by Skade słyszała myśl, którą przesłał do głowy Delmara.

[Proszę wybaczyć, ale musisz stąd wyjść. Twoje maszyny również, ponieważ na pewno mają urządzenia nagrywające]

[Remontoire, zostawię was samych na pięć minut. Wystarczy?]

[Chyba musi]

Remontoire skinął głową i uśmiechnął się, gdy chirurg wyprowadzał maszyny z pomieszczenia. By zmieścić się w drzwiach, pochylili elegancko swe łabędzie szyje.

[Przepraszam...]

[Pięć minut, Remontoire]

Skade znów próbowała poruszyć głową. Bez powodzenia.

Podejdź bliżej, Remontoire. Nie widzę cię dobrze. Niech mi pokażą, co się stało.

[Pamiętasz komętę? Był z nami Clavain. Pokazywałaś mu schowane statki]

Pamiętam.

[Clavain porwał korwetę, nim zdążyliśmy do niej wsiąść. Korweta była ciągle przyczepiona linami do powierzchni komety]

Skade przypomniała sobie, że zabrała Clavaina na komętę, ale dalszego ciągu nie pamiętała.

Udało mu się uciec?

[Tak. Dojdziemy do tego. Chodzi o to, co się stało podczas ucieczki. Clavain włączył silniki przed odłączeniem lin, które urwały się pod naprężeniem i smagnęły w komętę. Jedna zawadziła o ciebie]

Skade od chwili przebudzenia wiedziała, że przydarzyło jej się coś złego.

Co to znaczy "zawadziła"?

[Zostałaś poważnie ranna. Gdybyś nie była Hybrydowcem, gdybyś nie miała w głowie maszyn, które pomogły cię uporać się ze wstrząsem, prawdopodobnie byś nie przeżyła, mimo wspomaganie skafandra]

Pokaż mi, do cholery.

[Pokazałbym ci, gdyby w pokoju było lustro. Ale nie ma, a ja nie mogę obejść blokad neuralnych zainstalowanych przez Delmara]

Więc mi to opisz. Opowiedz, Remontoire!

[Nie po to tu przyszedłem. Delmar wkrótce ponownie wprowadzi cię w stan ozdrowieńczej śpiączki, a gdy się obudzisz, będziesz wyleczona. Przeszedłem spytać o Clavaina]

Skade musiała na chwilę odłożyć pytania, dotyczące jej własnej kondycji.

Zakładam, że nie żyje.

[Prawdę mówiąc, nie udało się go jeszcze zatrzymać]

Skade była wściekła i bardzo ciekawa, w jakim jest stanie, ale teraz sprawa Clavaina była dla niej równie interesująca. Przecież te dwie rzeczy wiązały się ze sobą. Nie rozumiała w pełni, co się jej przydarzyło, ale na pewno to była sprawka Clavaina i nieważne, że mógł zrobić to nieumyślnie.

Kiedy dochodzi do zdrady, nie ma przypadków.

Gdzie on jest?

[To bardzo dziwne, ale nikt tego nie wie. Namierzyli jego wiązkę wylotową. Zmierzał w kierunku Eridani, na Yellowstone albo na Pas Złomu]

Demarchiści by go ukrzyżowali.

Remontoire skinął głową.

[Clavaina na pewno. Ale teraz wygląda na to, że on wcale tam nie zmierza, przynajmniej nie bezpośrednio. Skręcił, nie leci prosto na słońce. Nie wiemy, dokąd dotarł, bo straciliśmy z oczu jego żagiew]

Nasze monitory optyczne są rozmieszczone w halo. Na pewno do tej pory przeciął linię widzenia któregoś z nich.

[Problem polega na tym, że zna lokalizację tych monitorów i potrafi tak sterować, by jego wiązka wylotowa nie zawadziła o nie. Cały czas musimy pamiętać, że on jest jednym z nas]

Czy wystrzelono pociski?

[Tak, ale żaden z nich nie podleciał na tyle blisko, by pobrać namiary. Nie miały dosyć paliwa, by wrócić do Gniazda, więc musieliśmy je zdetonować]

Skade poczuła, że ślina cieknie jej po policzku.

Remontoire, zrozum, że musimy go powstrzymać.

[Nawet jeśli znowu przechwycimy jego sygnał, Clavain będzie poza skutecznym zasięgiem pocisków. A żaden statek nie jest w stanie dogonić korwety]

Powściągnęła wybuch wściekłości.

Mamy prototyp.

[Nawet "Nocny Cień" nie jest tak szybki na odległościach wewnątrzukładowych]

Skade milczała przez kilka sekund, zastanawiając się, ile informacji może bez szkody zdradzić. To były sprawy Wewnętrznego Sanktuarium, nawet w porównaniu ze standardami Ścisłej Rady.

Jest tak szybki.

Otworzyły się drzwi. Pochylając głowę, wszedł jeden z serwitorów, za nim Delmar. Remontoire wstał i wystawił przed siebie otwartą dłoń.

[Potrzebujemy jeszcze chwili...]

Delmar stał w drzwiach z rękoma skrzyżowanymi na piersi.

[Wybacz, ale nie wyjdę]

Skade syknęła na Remontoire'a. Pochylił się nad nią, ich głowy dzieliło parę centymetrów. Umożliwiało to bezpośredni kontakt umysłów i komunikacji nie przetwarzały wzmacniacze w pomieszczeniu.

To można zrobić. Prototyp ma większy pułap przyśpieszenia, niż sobie wyobrażasz.

[O ile większy?]

Olbrzymi. Przekonasz się. Musi się tylko tak zbliżyć do przewidywanej pozycji Clavaina, by znów namierzyć jego wiązkę, a potem zbliżyć się na odległość zasięgu broni. Oczywiście potrzebuję cię w załodze. Jesteś żołnierzem, Remontoire. Znasz uzbrojenie lepiej ode mnie.

[Powiniśmy chyba pomyśleć, w jaki sposób sprowadzić go żywego]

Nie sądzisz, że na to jest trochę za późno?

Remontoire nie odpowiedział, ale Skade wiedziała, że jej argumenty są trafne, a on bardzo szybko przyzna jej rację. Był do szpiku kości Hybrydowncem i zaakceptuje wszelkie działania, nawet najbardziej bezwzględne, jeśli są korzystne dla Gniazda. Na tym polegała różnica między Remontoirem a Clavainem.

[Skade...]

Słucham?

[Jeśli przystanę na twój plan...]

Masz jakieś żądania osobiste?

[Nie żądania – prośbę. Żeby pozwolić Felce na dołączenie do nas]

Skade zmrużyła powieki. Już miała odmówić, gdy uświadomiła sobie, że przyczyną jej sprzeciwu – to, że akcja należy do kompetencji Ścisłej Rady – nie mają żadnego znaczenia w wypadku Felki.

A czemuż miałyby służyć obecność Felki?

[To zależy. Jeśli zamierzasz stworzyć pluton egzekucyjny, ona zupełnie się nam nie przyda. Ale jeśli chcesz sprowadzić Clavaina żywego – a według mnie tak musisz postąpić – to obecność Felki będzie nie do przecenienia].

Skade, choć z bólem, musiała mu przyznać rację. Clavain byłby niezwykle cennym atutem w operacji odzyskania piekielnych broni i bez niego cała akcja będzie

znacznie trudniejsza. Skade dostrzegała zalety sprowadzenia Clavaina do zagrody, gdzie jego unikatową wiedzę można by wyssać jak szpik kostny. Ale pochwycenie żywcem jest znacznie trudniejsze niż ustrzelenie z dalekiej odległości, a przecież zanim Skade zrealizuje swoje plany, Clavain może dotrzeć do wroga. Demarchiści chętnie posłuchają o statkach w budowie, o planach ewakuacyjnych i okrutnych nowych broniach.

Skade przypuszczała, że dzięki tym informacjom wróg mógłby się zaktywizować, zyskać sojuszników, którzy dotychczas zachowywali neutralność. Jeśli Demarchistom udałooby się przeprowadzić atak ostatniej szansy na Matczyne Gniazdo, gdyby poparli ich Ultrasi oraz inne dotychczas neutralne grupy, można by utracić wszystko.

Nie, trzeba zabić Clavaina, to bezdyskusyjne. Równocześnie Skade musi sprawiać wrażenie, że działa rozsądnie, jak podczas każdej wojny, a to znaczyło, że musi zaaprobować obecność Felki.

Mam to rozumieć jako szantaż?

[To nie szantaż, Skade, to negocjacje. Jeśli ktoś z nas potrafiłby odwieść Clavaina od jego zamiarów, tą osobą jest Felka]

Nie posłucha jej, nawet jeśli...

[Nawet jeśli sądzi, że jest jego córką? To chciałaś powiedzieć?].

Remontoire, to stary człowiek. Stary człowiek ze złudzeniami. Opieka nad takimi ludźmi nie należy do moich obowiązków.

Serwitory rozstąpiły się, by go przepuścić do wyjścia. Skade obserwowała, jak jego owalna głowa – odnosiło się wrażenie, że głowa nie jest połączona z ciałem – podrygując jak balonik, opuszcza pokój. Podczas ich rozmowy Skade niemal czuła, jak puszczają zapory neuralne, że pewne ścieżki, przez przeoczenie, nie zostały przez Delmara całkowicie zablokowane. Było to jak stroboskopowe błyski, otwierające małe zmrożone okienka w czaszce Remontoire'a. Prawdopodobnie on nawet nie był świadomy tych drobnych włamań. A może Skade je sobie wyobrażała?

Ale jeśli to był efekt wyobraźni, to równocześnie Skade wyobraziła sobie przerażenie spowodowane tym, co Remontoire widział.

Delmar... chciałabym znać prawdę...

[Później, Skade, gdy zostaniesz wyleczona. Wtedy się dowiesz, a do tego czasu wolałbym cię znów wprowadzić w stan śpiączki]

Pokaż mi natychmiast, draniu.

Podszedł do łóżka. Serwitor o łabędziej szyi stanął, górując nad nim. Chromowane segmenty jego szyi błyszcząły. Maszyna przekrzywiała głowę to w jedną, to w drugą stronę, analizując to, co znajdowało się poniżej.

[Dobrze, ale nie mów potem, że cię nie ostrzegałem]

Blokady w czaszce opadały jak ciężkie żelazne żaluzje: łup, łup, łup. Wdarł się potok danych. Skade zobaczyła się oczami Delmara. Ta rzecz leżąca na kozetce to ona, dała się rozpoznać – głowa była nienaruszona – ale ciało nie miało właściwego kształtu. Skade poczuła skurcz obrzydzenia, jakby oglądała fotografię z ponurego preindustrialnego albumu medycznych dziwołogów. Chciała jak najszybciej przewrócić stronę, przejść do następnej potworności.

Była przecięta na pół.

Lina smagnęła ją zapewne od lewego ramienia do prawego biodra, dokładnie po przekątnej korpusu, odcinając nogi i lewą rękę. Pancerze maszyny otaczały ranę, bieluteńkie brzęczące kraby sprzętu medycznego jak wielkie wypełnione ropą pęcherze. Z maszyny wychodziły rurki z płynami i znikły w białych panelach stojących obok. Wyglądało to tak, jakby Skade wystawała z białej stalowej poczwarki. Albo jakby była przez nią zjadana, przekształcana w fantasmagoryczne dziwadło.

Delmar...

[Współczuję ci, Skade, ale ostrzegałem...]

Nie rozumiesz. Swoim... stanem... wcale się nie przejmuję. Jesteśmy przecież Hybrydowcami. Wszystko potrafimy naprawić... z czasem. Wiem, że potrafisz mnie zreperować, choć to może potrwać.

Poczuła, że chirurg słucha tego z ulgą.

[To może potrwać...]

Ale mnie to nie urzęda. Za parę dni, najwyżej trzy, muszę być na statku.

TRZYNAŚCIE

Ciernia wlekli siłą do gabinetu inkwizytora. Wielkie drzwi, otworzyły się ze skrzypieniem i oto ją zobaczył: stała przy oknie, odwrócona plecami do wejścia. Patrzył na nią spod opuchniętych powiek. Nie spodziewał się, że jest tak drobna i młoda – dziewczyna w stroju dorosłej kobiety. Była ubrana w ciemne spodnie, ciemną skórzaną, zapinaną z boku bluzę, sięgającą prawie do kolan i trochę za dużą. Na nogach miała wysokie lśniące buty, a na dłoniach rękawiczki. Czarne włosy zaczesane do tyłu na karku poskręcały się w małe loczki, przypominające odwrócone znaki zapytania. Ponieważ stała zwrócona do niego bokiem, zobaczył, że ma lekko garbaty nos. Jej karnacja była o ton ciemniejsza niż jego.

Odwróciła się i rzekła do strażnika w drzwiach:

–Możesz nas zostawić samych.

–Proszę pani...

–Powiedziałam, że możesz odejść.

Strażnik zostawił więźnia i wyszedł. Cierń lekko się chwiał. Widział kobietę raz wyraźnie, raz jak za mgłą. Długo patrzyła na niego. Potem przemówiła; ten głos słyszał już z głośnika.

–Dojdiesz do siebie? Przykro mi, że cię pobili.

–Mnie jest dużo bardziej przykro.

–Chciałam się z tobą tylko spotkać.

–W takim razie może powinnaś uważać na to, co się przytrafia twoim gościom – odparł, czując w ustach smak krwi.

–Przejdźmy, proszę. – Wskazała wejście do prywatnego pokoju. – Musimy coś przedyskutować.

–Dziękuję, tu mi dobrze.

–Cierniu, to nie było zaproszenie, nie interesuje mnie twoje samopoczucie.

Zastanawiał się, czy odczytała jego reakcję – minimalne zwężenie źrenic, zdradzające winę. Albo może miała przymocowany do karku laser, próbujący poziom soli na jego skórze? Z pewnością dobrze się orientowała, co on sądzi o jej zapewnieniach. Może nawet gdzieś w budynku znajdował się trał – mówiono, że w Domu Inkwizycji jest przynajmniej jeden trał, doskonale konserwowany od początku

istnienia kolonii.

–Nie wiem, za kogo mnie uważacie.

–Ależ wiesz. Po co te gierki? Chodź ze mną.

Wszedł do mniejszego pokoju bez okien. Rozejrzał się, ale nie zauważył żadnej pułapki, nic nie świadczyło o tym, że to zakamuflowany pokój przesłuchań. Pomieszczenie wyglądało dość przeciętnie. Przy trzech ścianach półki zapchane papierzyskami, na czwartej mapa Resurgamu upstrzona szpileczkami i lampkami. Inkwizytor wskazała mu krzesło przy wielkim biurku, zajmującym znaczną część pokoju. Po drugiej stronie biurka siedziała z lekko znudzoną miną inna kobieta, starsza od inkwizytor. Na szczupłe, ale muskularne ramiona miała narzucony ciężki szarobury płaszcz z kutnerowymi mankietami i kołnierzem. Była w czapce. Uderzyło go to, że obie kobiety mają nieco ptasie cechy – są chude, a jednocześnie zwinne i grubokościste. Nieznajoma za biurkiem paliła papierosa.

Usiadł na krześle, które wskazała mu inkwizytor.

–Kawy?

–Nie, dziękuję.

Kobieta pchnęła ku niemu paczkę papierosów.

–A może zapalisz?

–Bez tego też się obędę.

Podniósł jednak pudełko, odwrócił je i przyjrzał się dziwnym napisom i pieczęciom. Nie wyprodukowano ich w Cuvier. W ogóle nie wyglądały na towar z Resurgamu. Przesunął pudełko z powrotem w stronę kobiety.

–Mogę już iść?

–Nie. Nawet nie zaczęliśmy. – Inkwizytor usiadła na swoim krześle, obok drugiej kobiety, i naląła sobie kawy.

–Poznajmy się. My wiemy, kim jesteś, ale ty chyba niewiele wiesz o nas. Oczywiście masz jakieś informacje na mój temat, ale chyba niezbyt dokładne. Nazywam się Vuilleumier. A to moja współpracownica...

–Irina – wtrąciła starsza kobieta.

–Tak, Irina. A ty jesteś Cierń, człowiek, który ostatnio narobił tyle szkód.

–Nie jestem Cierniem. Władze nie mają pojęcia, kim jest Cierń.

–Skąd wiesz?

–Czytam gazety, jak wszyscy.

–Masz rację. Wydział Zagrożeń Wewnętrznych niezbyt się orientuje, kim jest Cierń, ale tylko dlatego, że bardzo się starałam, żeby ten wydział zmylić. Wyobrażasz sobie, ile wysiłku mnie to kosztowało? Ile starań?

Wzruszył ramionami, usiłował nie okazywać ani zainteresowania, ani zdziwienia.

–To wasz problem, nie mój.

–Oczekiwałam większej wdzięczności. Ale jakoś to przeżyjemy. Rozumiemy twoje uczucia, bo nie masz szerszej perspektywy.

–Szerszej perspektywy?

–Wkrótce do tego dojdziemy. Ale przez chwilę porozmawiajmy o tobie. – Poklepała gruby segregator leżący na brzegu biurka i przesunęła go ku Cierniowi. – Otwórz, proszę, i rzuć okiem.

Patrzył na inkwizytor przez kilka sekund, potem otworzył segregator w przypadkowym miejscu i zaczął chaotycznie przeglądać wpięte kartki. Miał wrażenie, że uchylił wieko koszyka pełnego węży. Była tam cała jego biografia ze szczegółowymi przypisami i odsyłaczami. Prawdziwe imię – Renzo. Życie osobiste, publiczna działalność z ostatnich pięciu lat, ważniejsze akcje antyrządowe, w których uczestniczył, zapisy wypowiedzi, fotografie, ekspertyzy, rozwlekłe raporty.

–Jest co poczytać, prawda? – zauważyła starsza kobieta.

Przerzucił resztę papierów, czując przerażenie, żołądek podszedł mu do gardła. Na podstawie tych materiałów mogliby go wielokrotnie skazać w dziesięciu oddzielnych procesach pokazowych.

–Nie rozumiem – rzekł niepewnie. Nie zamierzał się od razu poddawać, po tak długim czasie, ale nagle wszystko wydało mu się daremne.

–Czego nie rozumiesz, Cierniu? – spytała Vuilleumier.

–To Wydział... Zagrożeń Zewnętrznych, a nie Wewnętrznych. Tobie powierzono znalezienie triumwira. Nie jestem... Wy się nie interesujecie Cierniem.

–Teraz się interesujemy – odparła i upiła łyk kawy.

Druga kobieta zapaliła kolejnego papierosa.

–Chodzi o to, Cierniu, że wraz ze współpracowniczką prowadziłyśmy sabotaż działalności Wydziału Zagrożeń Wewnętrznych. Robiłyśmy wszystko, żeby cię nie schwytano. Dlatego musiałyśmy wiedzieć o tobie przynajmniej tyle co oni, jeśli nie więcej.

Miała dziwny akcent. Nie potrafił go zidentyfikować. Chyba... słyszał go już kiedyś w młodości. Przeczesał swą pamięć, ale bezskutecznie.

–Po co ten sabotaż? – spytał.

–Ponieważ chcemy cię żywego, a nie martwego. – Wykrzywiła twarz w krótkim uśmiešku.

–To mi dodaje otuchy.

–Zaraz ci wyjaśnię, dlaczego – powiedziała Vuilleumier. – Teraz musimy cię wprowadzić w temat, więc słuchaj uważnie.

–Zamieniam się w słuch.

–To biuro, część Domu Inkwizycji zwana Wydziałem Zagrożeń Zewnętrznych, pełni zupełnie inną rolę, niż się wydaje. Tropienie przestępcy wojennego Volyovej zawsze było tylko przykrywką znacznie ważniejszej operacji. W istocie Volyova nie żyje od lat.

Miał wrażenie, że Vuilleumier kłamie, ale mimo to jej słowa zbliżają go do prawdy.

–Po co więc to udawanie, że się jej poszukuje?

–Bo nie o nią cały czas chodziło, tylko o jej statek czy sposoby dostania się na niego. A skupiając się na Volyovej, osiągnęliśmy ten sam cel, bez koncentrowania publicznej uwagi na sprawie statku.

Irina skinęła głową.

–W zasadzie ten cały wydział zajmuje się wyłącznie odzyskaniem jej statku. Wszystko inne to zasłona dymna. Bardzo skomplikowana gra pozorów, która już spowodowała wewnętrzne konflikty z kilkoma innymi wydziałami.

–Dlaczego to taka tajemnica?

Kobiety wymieniły spojrzenia.

–Ja ci to wyjaśnię – wtrąciła Irina. – Poszukiwanie statku należało utajnić, bo gdyby

informacja wyszła na jaw, sprowokowałyby wielkie niepokoje społeczne.

–Nie rozumiem.

–Ludzie wpadliby w panikę. – Irina machała papierosem. – Oficjalna polityka rządu zawsze wspierała terraformowanie, od czasów Girardieau i dawnych Potopowców. Po kryzysie związanym z Sylvestem jeszcze się to pogłębiło. Obecnie rząd i terraformowanie to jedność. Krytycy programu uważani są za wywrotowców. Tobie na pewno nie trzeba tego wyjaśniać.

–A co ma do tego statek?

–Można go wykorzystać do ucieczki. Część ludzi w rządzie odkryła bardzo niepokojące fakty. – Irina wydmuchnęła dym nosem. – Kolonii zagraża zewnętrzne niebezpieczeństwo, ale nie takie, jak sobie pierwotnie wyobrażano. Badania nad tym zagrożeniem prowadzi się od dłuższego czasu. Wnioski są jednoznaczne: Resurgam trzeba ewakuować w ciągu roku czy dwóch. Optymistycznie licząc – w ciągu pięciu lat, ale to już nadzwyczajny optymizm.

Obserwowała go, sprawdzając, jakie wrażenie wywarły na nim jej słowa. Może przypuszczała, że nie wszystko zrozumiał. Pokręcił głową.

–Przepraszam, ale musisz mi to wyjaśnić dokładniej.

Irina miała zboląłą minę.

–Nie wierzysz mi?

–Nie ja jeden.

–Ale przecież zawsze chciałeś opuścić Resurgam – rzekła inkwizytor – i twierdziłeś, że kolonia jest w niebezpieczeństwie.

–Chciałem stąd wyjechać. Kto by nie chciał?

–Posłuchaj – zaczęła ostro Vuilleumier. – Tysiące ludzi uważają cię za bohatera. Większość z nich zupełnie nie ufa rządowi. Spora grupa od dawna wierzy, że wiesz, gdzie jest prom, i przygotowujesz masowy exodus swoich wyznawców w kosmos.

Wzruszył ramionami. – I co?

–Oczywiście to nieprawda, promy nigdy nie istniały, ale mogłyby istnieć, nie jest to takie nieprawdopodobne, wzięwszy pod uwagę wszystko, co zaszło. – Pochyliła się ku niemu. – Rozważ następującą hipotezę. Tajna agencja rządowa odkrywa, że Resurgamowi zagraża globalne niebezpieczeństwo. Ta sama agencja ustala pozycję

statku Volyovej. Inspekcja statku wykazuje, że statek jest uszkodzony, ale nadaje się do lotu i, co najważniejsze, do przewozu pasażerów. Bardzo wielu pasażerów. Mógłby ewakuować całą planetę.

–Jak arka? – spytał.

–Tak – odparła, wyraźnie zadowolona z jego odpowiedzi. – Dokładnie jak arka.

Irina trzymała papierosa w dwóch palcach. Jej nadzwyczaj chude dłonie kojarzyły się Cierniowi z kośćmi rozłożonego ptasiego skrzydła.

–Ale statek- arka to dopiero połowa problemu – powiedziała. – Gdyby rząd ogłosił, że taki statek istnieje, czy uwierzono by mu? Oczywiście ludzie byliby sceptyczni. – Dźgnęła papierosem w jego stronę. – I tu jest zadanie dla ciebie. Ludzie zaufają tobie w sprawach, w których nie zaufają nam.

Cierń mocno odchylił się do tyłu wraz z krzesłem, które teraz stało tylko na dwóch tylnych nogach. Zaśmiał się i pokręcił głową. Kobiety obserwowały go beznamiętnie.

–To dlatego skatowano mnie tam na dole? Żebym zmiękł i uwierzył w te bzdury?

Irina wzięła do ręki paczkę papierosów.

–To pochodzi z tego statku.

–Czyżby? To miłe. Chyba powiedziałyście, że nie ma sposobu dotarcia na orbitę.

–Nie było, ale teraz jest. Włamałyśmy się zdalnie do systemów komputerowych statku i kazałyśmy wysłać prom na planetę.

Skrzywił się, ale nie mógł przysiąc, że to bzdura. Owszem – trudne, owszem – mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe.

–I tym jednym promem zamierzacie ewakuować całą planetę?

–Dwoma. – Vuilleumier zakasłała i wyjęła drugi segregator. – Ostatni spis wykazał, że ludność Resurgamu liczy nie całe dwieście tysięcy. Większy z statków może zabrać pięćset osób na orbitę, gdzie mogą się przesiąść na statek śródukładowy o czterokrotnie większej pojemności. Musielibyśmy wykonać czterysta lotów z Resurgamu na orbitę. Statek śródukładowy odbyłby około stu lotów w tę i z powrotem do statku Volyovej. To jest rzeczywiste wąskie gardło. Każda z tych podróży zajmie co najmniej trzydzieści godzin, nie licząc czasu załadunku i wyładunku po obu końcach. Przyjmijmy bezpiecznie czterdzieści godzin. Razem dostajemy prawie sześć standardowych miesięcy. Możemy zaoszczędzić trochę czasu, włączając dodatkowy statek na trasie planeta – orbita, ale i tak nie zejdziemy

poniżej pięciu miesięcy. A i to przy założeniu, że co czterdzieści godzin nowa grupa dwóch tysięcy osób będzie przygotowana na wylot z Resurgamu. – Vuilleumier uśmiechnęła się. Podobał mu się ten uśmiech, nic nie mógł na to poradzić, choć powinien mu się kojarzyć z bólem i strachem. – Rozumiesz teraz, dlaczego cię potrzebujemy.

–A co zrobi rząd, jeśli odmówię współpracy?

–Zostałby tylko powszechny przymus – odparła z powagą Irina. – Stan wyjątkowy, obozy internowania; niemiła perspektywa. Spodziewamy się aktów społecznego nieposłuszeństwa. Prawdopodobnie wiele osób by zginęło.

–I tak wiele osób zginie – stwierdziła Vuilleumier. – Niemożliwe jest zorganizowanie masowej ewakuacji bez ofiar. Chciałybyśmy to jednak zminimalizować.

–Z moją pomocą? – spytał.

–Pozwolisz, że przedstawię ci plan. – Dźgała palcem blat biurka. – Zaraz cię zwolnimy. Możesz iść, gdzie ci się podoba. Nadal będziemy robiły wszystko, żeby Wydział Zagrożeń Wewnętrznych nie siedział ci na karku. Doprowadzę również do ukarania tych drani, którzy cię pobili, przysięgam. W zamian prosimy cię o rozpowszechnienie informacji, że zlokalizowałeś promy. Oraz że odkryłeś zagrożenie dla Resurgamu i znasz sposób uratowania wszystkich. Twoja organizacja rozpowszechni informacje, że ewakuacja zacznie się wkrótce, oraz da wskazówki, gdzie powinny się zbierać grupy zainteresowanych. Równocześnie władze wydadzą oświadczenie dyskredytujące twój ruch, ale nie będzie to zupełnie przekonujące. Ludzie zaczną przypuszczać, że natknąłeś się na coś, co rząd chce przed nimi ukryć. Czy na razie jest to jasne?

Odwzajemnił jej uśmiech.

–Na razie tak.

–Teraz zaczyna się najciekawsze. Gdy te informacje zakorzenią się w świadomości społecznej i część ludzi zacznie je traktować poważnie, zostaniesz aresztowany. Albo przynajmniej ludzie zobaczą, jak jesteś aresztowany. Po pewnym czasie rząd przyzna, że rzeczywiście istnieje zagrożenie i że twój ruch uzyskał dostęp

do statku Volyovej. W tym momencie operacja ewakuacji znajdzie się pod kontrolą rządu, ale ty będziesz postrzegany jako ktoś, kto niechętnie daje tej akcji swoje błogosławieństwo, i na żądanie ludności dostaniesz władzę – pozorną. Rząd wyjdzie na durnia, ale u ludzi zwiększy się zaufanie do całej operacji. Zostaniesz bohaterem. – Popatrzyła mu prosto w oczy przez chwilę dłuższą niż poprzednio. Potem odwróciła wzrok. – Wszyscy na tym wygrają. Planeta zostanie ewakuowana bez paniki. W efekcie zostaniesz zwolniony i uhonorowany, oskarżenia zostaną od

dalone. Kusząca propozycja, prawda?

–Byłaby kusząca, ale ma dwie małe wady.

–Mianowicie?

–Zagrożenie i statek. Nie wyjaśniłyście, dlaczego trzeba ewakuować Resurgam. Powinienem to chyba wiedzieć. I uwierzyć. Nie zdołam nikogo przekonać, jeśli sam nie będę przekonany.

–Słusznie. A statek?

–Powiedziałyście, że potrafiacie się dostać na statek. Dobrze.

Spojrzał na obie kobiety, najpierw na młodszą, potem na starszą. Czuł – choć nie miał na to dowodów – że o ile każda z nich jest bardzo niebezpieczna, gdy działa sama, to w zespole są niebezpieczne wyjątkowo.

–Dobrze... co? – spytała Vuilleumier.

–Pokażcie mi go.

Znajdowali się sekundę świetlną od Matczyne Gniazda, gdy stało się coś osobliwego.

Felka obserwowała, jak kometa ginie za "Nocnym Cieniem". Początkowo znikła tak wolno, że odlot miał w sobie coś z dziwnego snu, jak odbijanie się od brzegu samotnej, zalanej księżycowym światłem wyspy. Pomyślała o swojej pracowni w zielonym jądrze komety, o cyzelowanych drewnianych zabawkach, przypominających rzeźby w kości słoniowej. Potem myślała o ścianie twarzy, o świecących myszach w labiryncie; nie miała pewności, czy jeszcze je kiedyś zobaczy. Nawet jeśli wrócę, myślała, okoliczności ulegną zmianie, Clavain będzie albo uwięziony, albo martwy. Wiedziała, że bez jego pomocy wycofa się w siebie, w bezpieczną jaskinię przeszłości, gdy jedyną najważniejszą dla niej rzeczą był ukochany Mur. To straszne, ale taka perspektywa w ogóle jej nie przerażała, raczej wywoływała wrażenie dręczącego oczekiwania. Co innego gdyby żyła Galiana albo gdyby przynajmniej Clavain nadal dotrzymywał Felce towarzystwa. Kotwiczyłoby ją to w realnym świecie, pełnym przytłaczającej prostoty.

Po zamknięciu pracowni i wyznaczeniu serwitora, który pod jej nieobecność miał dbać o myszy, Felka poszła odwiedzić Galianę w krypcie – po raz ostatni pożegnać się z zamrożonym ciałem. Drzwi do krypty jednak nie chciały się otworzyć. Nie miała czasu szukać kogoś do pomocy, bo spóźniłaby się na start "Nocnego Cienia". Wyleciała więc bez pożegnania i teraz zastanawiała się, dlaczego ma w związku z tym poczucie winy.

Z Galianą łączyło ją przecież tylko nieco wspólnego materiału genetycznego.

Felka zaszyła się w swojej kwaterze, gdy Matczyne Gniazdo stało się zbyt niewyraźne i małe dla obserwacji nieuzbrojonym okiem. Godzinę po odlocie statek podniósł grawitację do jednego g, co natychmiast określiło "góre" – tam gdzie znajdował się ostry dziób długiego stożkowatego kadłuba. Po dwóch godzinach, gdy Matczyne Gniazdo pozostało sekundę świetlną za "Nocnym Cieniem", ze statkowego interkomu przyszła wiadomość, uprzejmie skierowana do Felki. Felka była jedynym na statku Hybrydowcem, niepodłączonym standardowo do ogólnej sieci komunikacji neuronalnej.

Polecono jej się wspiąć, zgodnie z kierunkiem lotu, do pomieszczeń na dziobie, który teraz był nad jej głową. Gdy się ociągała, jeden z techników Skade, Hybrydowiec, łagodnie ją przynaglał, aż pokonała wiele poziomów od swej kwatery. Nie chciała, by do pamięci krótkoterminowej wgrano jej plan "Cienia" – taka gotowa wiedza pozbawiłaby ją przyjemności samodzielnego badania rozkładu statku, co łagodziło nieco nudę lotu. Bez trudu rozpoznała, że teraz znajduje się bliżej dziobu.

Krzywizna ścian była tu większa, a kajuty mniejsze. Felka szybko doszła do wniosku, że statkiem leci tylko kilkanaście osób, w tym ona i Remontoire. Poznała, że wszyscy są ze Ścisłej Rady, choć nawet nie próbowała odczytać ich umysłów.

Kajuty, zwykle bez okien, były spartańsko urządzone – statek tworzył je w zależności od aktualnych potrzeb załogi. Pokój, w którym znalazła Remontoire'a, umieszczony przy zewnętrznej warstwie kadłuba, miał owalną kopułę obserwacyjną w jednej ze ścian. Remontoire siedział na ławce- wyprasce. Miał spokojny wyraz twarzy, dłonie złączył w piramidkę na kolanie. Konwersował z białym mechanicznym krabem, wiszącym tuż pod brzegiem kopuły.

–Co się stało? – spytała Felka. – Dlaczego musiałam opuścić swoją kwaterę?

–Nie wiem dokładnie – odparł Remontoire.

Potem usłyszeli serię kilkunastu głuchych trzasków, gdy w górze i dole statku zamykały się metalowe, zbrojone żrenicowate grodzie.

–Wkrótce będziesz mogła wrócić do swej kajuty – oznajmił krab. – To tylko środki bezpieczeństwa.

Felka знаła ten głos, choć zapamiętany przez nią ton był nieco inny.

–Skade? Myślałam, że...

–Pozwolili mi zawładnąć tym proksym – odparł krab, kręcąc małymi segmentowymi manipulatorami między przednimi szponami.

Był przyczepiony do ściany za pomocą okrągłych poduszczek na końcach nóg. Spod białego, błyszczącego pancerza wystawały kolce, lufy oraz narzędzia do cięcia i kłucia. Był to najwyraźniej stary robot- zabójca.

–Miło z twojej strony, że chcesz nas pożegnać – stwierdziła Felka, czując ulgę, że Skade nie będzie im towarzyszyła.

–Pożegnać?

–Z odległości kilku sekund świetlnych nie będziesz mogła sterować proksym.

–Sekund świetlnych? Jestem na statku, Felko. Moja kwatera znajduje się parę pokładów pod twoją.

Felce powiedziano, że obrażenia Skade są tak poważne, że do utrzymania jej przy życiu niezbędny jest gabinet doktora Delmara z pełnym wyposażeniem.

–Myślałam, że...

Krab lekceważąco machnął manipulatorem.

–To nie ma znaczenia. Przyjdź później do mnie, to pogadamy.

–Z przyjemnością, Skade – odparła Felka. – Jest wiele do omówienia.

–Oczywiście. Teraz muszę już iść. Czekają mnie pilne sprawy.

W ścianie powstała zmarszczka, a po chwili powstała w niej szczelina. Krab wślizgnął się w nią i zniknął w statkowych trzewiach.

Felka spojrzała na Remontoire'a.

–Skoro wszyscy jesteśmy ze Ścisłej Rady, mogę chyba mówić swobodnie. Czy powiedziała coś więcej o eksperymentach Osnowy, gdy byliście z Clavainem?

–Nic. Skłamała nawet, mówiąc o okolicznościach wydania edyktu o zaprzestaniu budowy statków.

Remontoire mówił bardzo cicho, niemal szeptał. Zakładali, że Skade słyszy wszystkie rozmowy na statku i że potrafi czytać ich umysły. Ale Felka rozumiała, dlaczego Remontoire uznał za konieczne porozumiewanie się szeptem.

Utkwiła wzrok w ścianie, zmuszając ją do dostarczenia jakiegoś siedziska. Ze ściany naprzeciwko Remontoire'a wypchnęła się ławeczka i Felka usiadła z ulgą. Ostatnio spędziła zbyt wiele czasu w bezciążeniowym środowisku swej pracowni i teraz czuła znużenie grawitacją statku.

Spojrzała przez kopułę w dół i dostrzegła przypominający ucho cień jednego z silników, wyrysowany przez poświatę zimnego płomienia.

–Co mu powiedziała? – spytała Felka.

–Tę samą historyjkę o tym, jak na podstawie rozmaitych raportów o zaginionych statkach Ścisła Rada uzyskała dowody na ataki wilków.

–Niewiarygodne.

–Nie sądzę, by Clavain jej uwierzył. Ale nie mogła wspomnieć o Osnowie. Naturalnie, musiała mu przekazać minimum konieczne do wykonania zadania, ale jednak nie mogła pominąć sprawy edyktu.

–Osnowa to samo sedno – stwierdziła Felka. – Skade musiała wiedzieć, że jeśli wskaże Clavainowi trop, to on dojdzie aż do Wewnętrzznego Sanktuarium.

–Dotarłby najwyżej tam.

–Znając Clavaina, nie byłabym taka pewna. Skade chciała mieć w nim sojusznika, bo on nie zwykł cofać się przed drobnymi trudnościami.

–Ale dlaczego nie powiedziała mu prawdy? To, że Ścisła Rada odebrała wiadomości z przyszłości nie jest wcale tak szokujące, jeśli się chwilę zastanowić. A z tego, co wiem, te przekazy były dość ogólnikowe, zaledwie jakieś mgliste ostrzeżenia.

–Jeśli się nie siedziało w środku, trudno jest opisać, co się stało. Ja brałam w tym udział tylko raz. Nie wiem, co się wydarzyło w innych doświadczeniach.

–Czy Skade miała związek z tym programem, gdy ty brałaś w nim udział?

–Tak – odparła Felka. – Ale to było po naszym powrocie z głębokiego kosmosu. Zakaz wydano znacznie wcześniej, długo przed zwerbowaniem Skade do Hybrydowców. Ścisła Rada musiała już zainicjować projekt Osnowa, zanim Skade do nas dołączyła.

Felka znów patrzyła w ścianę. Rozważania o Osnowie to rzecz całkiem naturalna, Skade nie mogła mieć tego za złe, tym bardziej że to była zasadnicza sprawa w bieżących wydarzeniach. Felka o tym wiedziała, a jednak czuła się tak, jakby się dopuszczali jakiejś nieopisanej zdrady.

Remontoire w dalszym ciągu niemal szeptał.

–Zatem Skade do nas dołączyła i dość szybko została członkiem Ścisłej Rady, po czym aktywnie zaangażowała się w Osnowę. Przynajmniej jeden z eksperymentów zbiegł się w czasie z edyktem, więc możemy założyć, że nadeszło bezpośrednie ostrzeżenie na temat efektu neutrin tau. Ale jakie ostrzeżenia pojawiły się w innych doświadczeniach? I czy w ogóle były to ostrzeżenia? – Remontoire wpatrywał się uporczywie w Felkę.

Już miała odpowiedzieć, gdy ławeczka pod nią ruszyła do góry tak gwałtownie, że Felce zaparło dech. Spodziewała się, że nacisk zaraz ustanie, ale nie ustał. Oceniała, że jej ciężar – już i tak dokuczliwy – podwoił się.

Remontoire wyjrzał na zewnątrz, w dół, tam gdzie poprzednio patrzyła Felka.

–Co to? Chyba mocniej przyśpieszyliśmy – powiedziała.

–Tak, na pewno – odparł Remontoire.

Felka spojrzała tam gdzie on, spodziewając się nowego widoku, ale zobaczyła to samo co przedtem. Nawet niebieska poświata za silnikami nie wydawała się jaśniejsza.

Stopniowo przyśpieszenie coraz mniej jej doskwierało, Felka wręcz skłonna byłaby je uznać za przyjemne. Postępując przezornie i oszczędzając siły, mogła wrócić do poprzednich zajęć. Statkowe serwitory starały się współpracować, pomagały wstawać ludziom z miejsc, zawsze gotowe do działania. Pozostali Hybrydowcy, lżejsi i chudsi od Felki, dostosowali się łatwo, choć i tak narzekali. Wewnętrzne powierzchnie statku twardniały i miękły na żądanie, by wspomóc ruchy człowieka i zapobiec ewentualnym obrażeniom.

Po godzinie przyśpieszenie znów się zwiększyło do dwóch i pół g. Wtedy Felka poprosiła o pozwolenie powrotu do własnych kwater, ale dowiedziała się, że nadal nie można przejść do tamtej części statku. Statek wydzielił jednak dla niej osobne pomieszczenie, w którym stworzył koję- wypraskę do spania. Remontoire pomógł jej wspiąć się na koję. On również nie miał pojęcia, co się dzieje.

–Nie rozumiem – stwierdziła Felka, świszcząc. – Właśnie przyśpieszaliśmy. Wiedzieliśmy, że musimy przyśpieszyć, jeśli mamy dogonić Clavaina.

Remontoire skinął głową.

–Tu chodzi o jakieś inne zjawisko. Silniki już pracowały z maksymalną wydajnością, gdy osiągnęliśmy jedno g. "Nocny Cień" jest może mniejszy i lżejszy od innych światłowców, ale ma również mniejsze silniki. Tamte statki miały według założeń projektowych wytrzymać lot z nie więcej niż jednym g, aż do osiągnięcia prędkości podświetlonej. Zgoda, na krótkich odległościach możliwe jest większe przyśpieszenie, ale tu mamy do czynienia z czymś innym.

–Mianowicie?

–Aż tak duże zwiększenie przyśpieszenia nie jest możliwe. A już na pewno nie trzykrotnie. Nie widzę żadnych pomocniczych napędów podczepionych do kadłuba. Innym sposobem osiągnięcia tego efektu byłoby zrzućenie dwóch trzecich maszyn tej, którą zabraliśmy z Matczynego Gniazda.

Felka z pewnym trudem wzruszyła ramionami. Zupełnie nie interesowała się mechaniką lotów kosmicznych – dla niej statki były tylko środkiem do celu – ale bez problemu zrozumiała wywód Remontoire'a.

–Czyli silniki potrafią osiągnąć większą moc, niż zakładałeś?

–Tak, tak sądzę.

–A wnioski?

–To niemożliwe. Oboje wyglądaliśmy przez okno. Widziałaś to żarzenie? Rozproszone światło z promienia odrzutu. Powinno być znacznie intensywniejsze. Felko, powinniśmy byli zauważyć wzrost jasności. Ale go nie było. – Remontoire zamilkł na chwilę. – Światło nawet osłabło, jakby silniki zostały nieco przygaszone. Jakby pracowały mniej intensywnie niż wcześniej.

–To jest bez sensu.

–Właśnie – przyznał Remontoire. – Zupełnie. Chyba że ma z tym coś wspólnego tajna maszyna Skade.

CZTERNAŚCIE

Triumwir Iliya Volyova patrzyła w przepaść zbrojowni, zastanawiając się, czy za chwilę nie popełni przerażającego błędu, który mógł zakończyć jej życie.

W hełmie słyszała brzęczenie głosu Khouri.

–Iliya, naprawdę powinniśmy się nad tym jeszcze trochę zastanowić.

–Dziękuję. – Ponownie sprawdziła hermetyczne zamknięcia skafandra i przejrzała wskaźniki statusu broni.

–Mówiłam serio.

–Wiem. Niestety, myślałam już o tym bardzo długo. Jeśli będę to dłużej analizować, dojdę do wniosku, żeby tego nie robić. A patrząc z szerszej perspektywy, byłoby to samobójcze, głupsze i bardziej niebezpieczne niż podjęcie działania.

–Nie mam zastrzeżeń do twojej logiki, ale odnoszę wrażenie, że statkowi... kapitanowi... to się nie spodoba.

–Nie? – Volyova stwierdziła, że to jest dość prawdopodobne. – Więc może zechce z nami współpracować.

–Albo zabić nas. Brałaś to pod uwagę?

–Khouri?

–Tak, Iliya?

–Zamknij się, proszę.

Unosiły się w śluzie przy wejściu do zbrojowni. Śluza była obszerna, ale teraz nieco ciasnawa – obie zajmowały sporo miejsca: do skafandrów przymocowały wielkie stelaże silnikowe, miały również ze sobą sprzęt, dodatkowe broje i trochę pół-autonomicznej broni, przyczepionej do stelaży w strategicznych punktach.

–Dobrze, niech to już będzie za nami – powiedziała Khouri. – Nie lubiłam tego miejsca od samego początku i nadal czuję to samo.

Wyleciały ze śluzy do komory, pchane staccatem mikroprzyśpieszeń silników.

Znalazły się w jednym z pięciu podobnych pomieszczeń "Nostalgii", wielkiej komorze, zdolnej pomieścić flotę promów pasażerskich lub w razie potrzeby megatony zaopatrzenia planetarnej kolonii. Statek woził kolonistów tak dawno temu,

że z tamtych starych funkcji pozostały niki ślady, zatarte wiekami przeróbek i zniszczeń. Przez całe lata statek transportował kilkanaście osób, które przemierzały jego opustoszałe wnętrza, jak szabrownicy przemierzają wyludnione miasto. Pod warstwami kolejnych adaptacji wszystko pozostało w zasadzie nietknięte, mimo zmian, które zaszły od czasów transformacji kapitana.

Gładkie, rozległe ściany komory znikwały w ciemności. Błądzące światło latarek tylko przelotnie rozjaśniało mrok. Volyovej nie udało się naprawić głównego oświetlenia komory – ten system kontrolował kapitan, a on z pewnością nie życzył sobie, by wkraczały na jego terytorium.

Stopniowo ściany się rozstąpiły, zapadła ciemność i tylko displej przezierny hełmu dawał Volyovej wskazówki, gdzie należy iść i jaka jest szybkość ruchu.

–Mam wrażenie, że jestem w kosmosie – powiedziała Khouri. – Trudno uwierzyć, że ciągle jesteśmy w statku. Widzisz jakieś ślady broni?

–Za piętnaście sekund powinniśmy się natknąć na broń siedemnastą.

Jakby na dany znak, broń kazamatowa wychynęła z czerni. Nie unosiła się swobodnie w zbrojowni – przytrzymał ją system chwytaków i rusztowań, zamocowany z kolei do trójwymiarowego skomplikowanego systemu niki w ciemnościach przewodnicy jednoszynowej, zakotwiczonej do ścian komory olbrzymimi wspornikami.

Broń była jedną z trzydziestu trzech, które pozostały z oryginalnych czterdziestu sztuk. Volyova i Khouri zniszczyły jedną na krańcach układu, gdy broń się zbiesiła, opanowana przez fragment tego samego pasożytniczego software'u, który Khouri zawlekła na statek. Sześć innych sztuk porzucono w przestrzeni kosmicznej po wydarzeniach w Hadesie. Prawdopodobnie dałoby się je odzyskać, ale bez gwarancji, że będą nadal sprawne; ponadto Volyova oceniała, że są znacznie słabsze od reszty.

Uruchomiły silniki skafandrów i podleciały do pierwszej broni.

–Broń siedemnasta – powiedziała Volyova. – Wredna świnia, nie sądzisz? Ale z tą coś mi się udało: przedarłam się aż do warstwy składni języka maszynowego.

–Czyli potrafisz z nią rozmawiać?

–Tak, przecież właśnie to powiedziałam.

Każdy egzemplarz broni wyglądał inaczej, choć wszystkie były wytworem tej samej umysłowości. Ten obiekt przypominał skrzyżowanie silnika odrzutowego z wiktoriańską maszyną do drażenia tuneli: osiowo symetryczny sześćdziesięciometrowy walec zakończony czymś w rodzaju wgryzarki czy łopatek

turbiny, choć z pewnością nie było to ani to, ani to. Obiekt był pokryty matowym, zniszczonym stopem, który – w zależności od kąta padania światła latarek – wydawał się zielony albo brązowy. Kołnierze i żebra układu chłodzenia przydawały obiektowi wyglądu wybujałej rzeźby w stylu art deco.

–Potrafisz się z nią komunikować, więc mogłybyśmy po prostu kazać jej opuścić statek, a potem skierować ją na Inhibitorów? – zaproponowała Khouri.

–Świetny pomysł. – Głos Volyovej brzmiał ostrym sarkazmem. – Problem w tym, że kapitan również kontroluje uzbrojenie i obecnie moje komendy będą wetowane przez jego komendy, ponieważ te pochodzą z poziomu administratora.

–A czyj to był pomysł?

–Przyznaję, że mój. Dawno temu, gdy chciałam, żeby całe uzbrojenie było sterowane ze zbrojowni, wydawało się to dobrym pomysłem.

–Tak to bywa z dobrymi pomysłami. Mogą doskwierać jak wrzód na dupie.

–Uczę się na błędach. A teraz, proszę, idź za mną i miej oczy szeroko otwarte. – Volyova mówiła szeptem, rzeczowo. – Sprawdzę uprząż sterującą.

–Tuż za tobą, Ilija.

Okrążyły broń, przelatując przez szczeliny w systemie jednoszynówki.

Uporząż – czyli rama, którą Volyova przyspawała wokół korpusu broni – była wyposażona w silniki i interfejsy sterownicze. Volyova osiągnęła dość ograniczony sukces w komunikacji z uzbrojeniem, a te jednostki, które najbardziej poddawały się jej komendom, zostały utracone. Kiedyś usiłowała sprząc wszystkie bronie przez pojedynczy węzeł – człowieka z implantem, podłączonego do fotela zbrojmistrza. Pomysł wydawał się rozsądny, ale zbrojownia stanowiła źródło ciągłych problemów dla Volyovej i ten straszny bałagan, w jakim teraz tkwiły, zaczął się od tamtych eksperymentów.

–Uporząż wygląda solidnie – stwierdziła Volyova. – Spróbuję zapuścić sprawdzanie systemu na niskim poziomie.

–Chcesz obudzić broń?

–Nie, nie... szepnę jej kilka słodkich słówek, i tyle. – Volyova wklepała komendy do grubej bransolety na przedramieniu skafandra, obserwując diagramy diagnostyczne przesuwające się na szybie hełmu. – Skoncentruję się na tym, a do ciebie należy obserwacja, czy nie pojawiają się jakieś kłopoty. Zrozumiałaś?

–Zrozumiałam. Słuchaj, Iliu...

–Co takiego?

–Musimy podjąć decyzję w sprawie Ciernia.

Volyova nie lubiła, gdy jej przeszkadzano, zwłaszcza podczas operacji tak niebezpiecznych jak ta.

–Jaka sprawa Ciernia?

–Słyszałaś, co ten człowiek mówił. Chce wejść na statek.

–A ja odpowiedziałam, że nie może. To wykluczone.

–W takim razie nie możemy liczyć na jego pomoc.

–Pomoże nam. Zmusimy drania.

Usłyszała, jak Khouri wzdycha.

–Iliu, on nie jest maszyną, którą się szturchnie lub popchnie, aż zareaguje. On nie ma poziomu administratora. To myśląca ludzka istota, formułuje wątpliwości i obawy. Zależy mu na powodzeniu sprawy i nie chciałby jej narazić na klęskę, gdyby podejrzewał, że coś przed nim ukrywamy. Skoro mówiłyśmy prawdę, dlaczego nie pokazać mu statku? To zupełnie sensowne, że chce zobaczyć ziemię obiecaną, do której prowadzi swoich ludzi, oraz poznać przyczyny, dla których ewakuacja Resurgamu jest konieczna.

Volyova przedarła się przez pierwszą warstwę protokołów i przekopywała się przez własną powłokę programową do oryginalnego systemu operacyjnego. Dotychczas nie sprowokowała wrogiej reakcji ani broni, ani statku. Ugryzła się w język. Od tego momentu zaczęły się schody.

–Uważam, że to bez sensu – odparła Volyova.

–Więc nie rozumiesz natury ludzkiej. Miej do mnie trochę zaufania. Jeśli nie zobaczy statku, nie będzie z nami współpracował.

–Khouri, gdy zobaczy ten statek, zrobi to, co każda osoba przy zdrowych zmysłach – weźmie nogi za pas.

–Nie wpuszczajmy go do rejonów z najbrutalniejszymi deformacjami.

Volyova westchnęła, cały czas skoncentrowana na swojej pracy. Przeczynała – i dobrze znała to uczucie – że Khouri już wszystko rozważyła i przygotowała mocne

argumenty.

–I tak będzie coś podejrzewał – stwierdziła Volyova.

–Nie będzie, jeśli dobrze to rozegramy. W pewnym ograniczonym obszarze statku deformacje możemy zamaskować. Pokażemy mu tylko ten obszar. Żeby miał wrażenie, że się go oprowadza po "Nostalgii" i niczego przed nim nie ukrywa.

–A Inhibitorzy?

–I tak musi się o nich w końcu dowiedzieć. Każdy się dowie, więc można mu to wcześniej wyjawić.

–Będzie zadawał zbyt wiele pytań. Szybko skojarzy fakty i zorientuje się, dla kogo pracuje.

–Ilia, wiesz, że musimy wykazać w stosunku do niego więcej otwartości.

–Czyżby? – Teraz była wściekła. Nie tylko dlatego, że broń odmówiła interpretacji jej ostatniej komendy. – A może chcemy go tu mieć, bo go lubimy? Zastanów się głęboko, nim odpowiesz. Od tego może zależeć nasza przyjaźń.

–Cierń nic dla mnie nie znaczy. Po prostu jest użyteczny.

Volyova spróbowała innej kombinacji składniowej i wstrzymała oddech, czekając na reakcję. Na podstawie poprzednich doświadczeń wiedziała, że w rozmowie z bronią może popełnić tylko kilka błędów. Jeśli będzie ich za dużo, broń przestaje się odzywać albo zacznie stosować procedury obronne. Teraz miała ten etap za sobą. W boku kadłuba, który wydawał się zrobiony z litego stopu, rozwarła się szczelina, odsłaniając głęboki szyb techniczny, pełen urządzeń, świecący bladym zielonym światłem.

–Wchodzę. Pilnuj tyłów.

Volyova sterowała skafandrem wzdłuż żebrowanego korpusu broni, aż dotarła do wjazdu i wpasowała się w niego pojedynczym kichnięciem dyszy. Wyhamowała i stanęła we wnętrzu, które było dostatecznie obszerne – mogła się obracać i przesuwac, nie zawadzając o maszynię.

Nie po raz pierwszy mimowolnie wspominała mroczną historię tych trzydziestu trzech koszmarów. Z pewnością stworzone przez człowieka, dysponowały znacznie bardziej niszczycielskim potencjałem niż wszystko, co dotychczas wynaleziono. Wieki temu, na długo zanim Volyova została członkiem załogi "Nostalgii za Nieskończonością", statek znalazł skład broni wewnątrz ufortyfikowanej asteroidy, bezimiennej skały, okrążającej bezimienną gwiazdę. Dokładniejsze badanie asteroidy

mogłoby dostarczyć jakichś wskazówek na temat twórcy i ówczesnego właściciela tej broni, ale załoga nie mogła zwlekać. Broń załadowano ukradkiem na statek, który natychmiast pośpiesznie opuścił scenę zbrodni, nie czekając, aż znowu obudzi się czasowo unieszkodliwiony system obronny asteroidy.

Volyova oczywiście miała swoje teorie. Najprawdopodobniej broń wytworzyli Hybrydowcy. Pająki długo przebywały w tym rejonie. Jeśli jednak arsenał należał do nich, dlaczego wypuścili go z rąk? Dlaczego nigdy nie starali się odzyskać tego, co do nich prawnie należało?

To wszystko było nieistotne. Broń od wieków znajdowała się na statku. Teraz już nikt nie przyjdzie, by się o nią upomnieć. Volyova rozejrzała się po szybie. Otaczały ją rozmaite urządzenia pozbawione obudów: panele sterownicze, displeje, przekaźniki i aparatura o niejasnych funkcjach. Już pojawiło się niepokojące uczucie w potylicy. Broń skupiała pole magnetyczne na części jej mózgu, wzniecając uczucie przerażenia.

Volyova już tu przedtem była. Przyzwyczała się do tego.

Odczepiła rozmaite moduły od stelaża silnika skafandra i przymocowała je do ściany szybu na powleczonych klejem epoksydowym podkładkach. Z tych modułów własnej konstrukcji wyciągnęła kilkadziesiąt kabli kodowanych kolorami i podłączyła je do nie obudowanej maszyny.

–Ilia, jak ci idzie? – spytała Khouri.

–Dobrze. Rzadko tu bywam, ale ona nie może mnie wyrzucić, bo dałam jej prawidłowe kody dostępu.

–Zaczęła już straszyć?

–Tak, zaczęła. – Volyova przeżyła chwilę najwyższego strachu, jakby ktoś wetknął jej w mózg elektrodę i wypchnął na powierzchnię najbardziej pierwotne obawy i strach. – Wybacz, Khouri, ale odłóżmy tę rozmowę na później. Chciałabym to mieć jak najszybciej za sobą.

–Musimy podjąć decyzję w sprawie Ciernia.

–Jasne. Ale później, dobrze?

–Musi tu przylecieć.

–Khouri, bądź tak miła, przestań już o tym Cierniu i pilnuj roboty! Zrozumiałaś?

Volyova starała się skoncentrować. Czuła strach, ale na razie szło jej dobrze.

Przedtem tylko raz wniknęła tak głęboko w architekturę sterowania – wtedy gdy zainstalowała priorytet dla komend nadchodzących ze statku. Teraz znajdowała się na tym samym poziomie i teoretycznie mogła – wydając komendy o stosownej składni – odłączyć kapitana na dobre. To była tylko pojedyncza sztuka broni – pozostawały trzydzieści dwie, niektóre zupełnie Volyovej nieznane. Ale z pewnością nie będzie potrzebowała całej zbrojowni, żeby wpłynąć na bieg wydarzeń. Gdyby zdobyła kontrolę nad kilkunastu sztukami, mogłaby rzucić Inhibitorom kłody pod nogi...

Nie osiągnie tego, jeśli będzie zwlekała z decyzją.

–Khouri, posłuchaj. Drobną zmianą planu.

–Och...

–Sprawdzę, czy potrafię poddać tę broń całkowicie mojej kontroli.

–Nazywasz to drobną zmianą planu?

–Nie ma żadnych powodów do obaw.

Podjęła decyzję i, by zdążyć, zanim ogarnie ją obezwładniający strach, połączyła pozostałe przewody. Światelka statusu mrugnęły i zapulsowały, displeje zaroily się alfanumerycznym galimatiasem.

Uczucie strachu drastycznie wzrosło. Broń zdecydowanie nie chciała, żeby ktoś przy niej majstrował na tym poziomie.

–Masz pecha – powiedziała Volyova. – Zobaczmy.

Kilkoma delikatnymi stuknięciami palców w bransoletę uwolniła sieci niezwykle skomplikowanych poleceń. Programy Hybrydowców używały trójwartościowej logiki; na niej też opierał się system operacyjny broni, który był diabelnie trudny do dekompilacji.

Volyova czekała w ciszy.

Głęboko we wnętrzu broni moduły analizy syntaktycznej rozpracowywały i sprawdzały legalność wydanych komend. Po pozytywnej weryfikacji zostaną spełnione wszystkie kryteria i jeśli ponadto komendy zadziałają tak, jak je zaprojektowała, broń usunie kapitana z listy upoważnionych użytkowników. Pozostanie tylko jeden sposób uruchomienia broni: za pośrednictwem uprząży sterującej Volyovej – kawałka hardware'u odłączonego od kontrolowanej przez kapitana infrastruktury statkowej.

W teorii brzmiało to bardzo sensownie.

Pierwsze objawy, że składnia komend jest nieprawidłowa, pojawiły się na moment przed zasunięciem się włazu. Bransoleta błysnęła czerwono. Volyova zaczęła układać szczególnie poetyczną wiązaną rosyjskich przekleństw, gdy broń zamknęła ją w swym wnętrzu. Potem zgasły światła, ale strach pozostał, nawet się nasilił, jednakże mogła to być naturalna reakcja Volyovej na sytuację.

–Cholera... Khouri... słyszysz mnie?! – zawołała.

Odpowiedź nie nadeszła.

Bez uprzedzenia maszyna wokół niej się przesunęła. Komora powiększyła się, odsłaniając słabo oświetlone pomieszczenia, prowadzące głębiej do wnętrza broni. Olbrzymie mechanizmy o kroplistych kształtach unosiły się w krwawoczerwonym świetle. Zimnoniebieskie lampki błyskały na tych tworach lub znaczyły linie przepływu poskręcanych kieszek linii zasilania. Wydawało się, że całe wnętrze broni się przeorganizuje.

A potem Volyova omal nie umarła ze strachu. Poczowała, że w broni coś jest, jakaś zbliżająca się obecność, pełną wśród przesuwających się elementów z widmową powolnością.

Volyova waliła w zasuwę włazu.

–Khouri!

Ale obecność ją dosięgła. Volyova nie widziała, jak nadchodzi, ale nagle odczuła jej bliskość. Bezkształtna, skuliła się za nią. Volyova już prawie dostrzegła ją peryferyjnym widzeniem, ale gdy obracała głowę, obecność wpływała w pole ślepej plamki.

Nagle zabolęło ją serce, a oślepiający ból zmusił do głośnego krzyku.

Remontoire wcisnął swe chude ciało w kopułę widokową i naocznie stwierdził, że silniki "Nocnego Cienia" są wyłączone. Wcześniej wydał prawidłowy ciąg komend neuronalnych i poczuł natychmiastową nieważkość, gdy statek przestał przyśpieszać. Mimo to chciał dodatkowego potwierdzenia, że jego rozkazy zostały wykonane. Zważywszy na poprzednie wydarzenia, nie byłby zdziwiony, gdyby nadal widział niebieskie rozproszone światło.

Ale zobaczył tylko ciemność. Silniki rzeczywiście się wyłączyły, statek leciał ze stałą prędkością, spadał ku Epsilon Eridani, ale zbyt wolno, by dogonić Clavaina.

–Co teraz? – spytała Felka cicho. Unosiła się obok Remontoire'a, jedną rękę zahaczyła o miękki pierścień, usłużnie dostarczony przez statek.

–Czekamy – odparł Remontoire. – Jeśli się nie mylę, to zaraz będziemy tu mieli Skade.

–Niezadowoloną Skade.

Remontoire skinął głową.

–Gdy tylko nam wyjaśni, o co chodzi, wznowię pracę silników, ale przedtem chciałbym uzyskać odpowiedź na parę pytań.

Po chwili krab wyszedł ze ściany, z otworu wielkości pięści. – To niedopuszczalne. Dlaczego wy...

–Silniki to moja kompetencja – odparł uprzejmie Remontoire, gdyż przedtem przećwiczył sobie to, co ma powiedzieć. – To technika delikatna i niebezpieczna, zważywszy na eksperymentalny charakter całej konstrukcji. Wszelkie odstępstwa od zakładanych parametrów mogą spowodować poważne problemy, a nawet katastrofę.

Krab przebierał manipulatorami.

–Wiesz doskonale, że z silnikami nic złego się nie działo. Żądam, żebyś je natychmiast ponownie uruchomił. Każda sekunda dryfowania działa na korzyść Clavaina.

–Doprawdy?

–Tylko w bardzo luźnym sensie. Dalsze opóźnienie spowoduje, że jedyną opcją pozostanie zabójstwo na odległość zamiast pojmania żywcem.

–Ale chyba nigdy nie brano tego pod uwagę poważnie? – spytała Felka.

–Nigdy nic nie wiadomo, jeśli Remontoire nadal będzie wykazywał niesubordynację.

–Niesubordynację?! – huknęła Felka. – Mówisz prawie jak Demarchista.

–Tylko bez sztuczek. To dotyczy was obojga. – Krab obrócił się na zakończonych przyssawkami stopach. – Zapaść silniki, Remontoire, albo zrobię to bez ciebie.

Blefowała, ale Remontoire był przygotowany na to, że członkini Wewnętrznego Sanktuarium zechce unieważnić jego polecenia. Może nie było to dla niej łatwe, z pewnością trudniejsze niż zmuszenie go do wykonania rozkazu, ale nie wątpił, że byłaby do tego zdolna.

–Dobrze, ale najpierw pokaż mi, co robi twoja maszyna.

–Jaka maszyna?

Remontoire odzepił kraba od ściany – przyssawki puściły z zabawnym cmoknięciem. Uniósł kraba na wysokość oczu. Patrzył na płataninę czujników i rozmaitych broni, prowokując Skade, by ich użyła. Małe nóżki przebierały żałośnie.

–Doskonale wiesz, o co mi chodzi – stwierdził. – Chcę wiedzieć, co to jest. Chcę wiedzieć, Skade, co potrafisz.

Podążyli za proksym przez kręte, szare korytarze i pionowe szyby między pokładami, oddalając się od dziobu statku – w dół, jak sugerowało Remontoire'owi ucho wewnętrzne. Przyśpieszenie osiągnęło jeden i trzy czwarte g, gdyż Remontoire zgodził się uruchomić silniki na niskim poziomie ciągu. Jego mentalna mapa innych załogantów stwierdzała, że wszyscy są nadal stłoczeni w części statku tuż za dziobem i tylko on z Felka zabrnęli tak daleko w stronę rufy. Jeszcze nie odkryli, gdzie znajduje się rzeczywiste ciało Skade, ciągle rozmawiała z nimi tylko za pośrednictwem kraba, a zwykła wszechwiedza Remontoire'a na temat układu statkowych pomieszczeń została zastąpiona przez schemat w jego umyśle, pełen precyzyjnie zamazanych miejsc, jak w ocenzonej tajnym dokumencie.

–Ta maszyna... cokolwiek to jest...

Skade mu przerwała.

–I tak byś się o tym dowiedział wcześniej albo później. Razem z całym Matczynym Gniazdem.

–Czy dowiedziałas się tego z Osnowy?

–Osnowa wskazała nam tylko kierunek. Niczego nie podano nam na talerzu. – Krab pomknął naprzód, dotarł do szczelnie zamkniętej grodzi, mechanicznych drzwi, które zamknęły się jeszcze przed zwiększeniem przyśpieszenia. – Musimy tam przejść w rejon, który zapieczętowałam. Ostrzegam was, że po drugiej stronie wasze odczucia będą nieco inne. Nie bezpośrednio za tą barykadą, ale w przybliżeniu wyznacza ona granicę, gdzie efekty

działania maszyny przekraczają próg ludzkiego odczuwania. To może was zdezorientować.

Remontoire spojrzał na Felkę. Patrząc mu w oczy, skinęła głową.

–Prowadź, Skade – powiedział.

–Dobrze.

Zapora otworzyła się ze świstem, za nią wyłonił się korytarz ciemniejszy i bardziej przerażający. Weszli tam, a potem pionowymi szybami, używając tłokopodobnych wind, zjechali kilka poziomów w dół.

Remontoire zanalizował swoje odczucia – nie zauważył nic odbiegającego od normy. Spojrzał na Felkę, unosząc pytająco brwi – w odpowiedzi pokręciła głową. Też nie

odczuwała nic szczególnego, a była znacznie bardziej od niego wrażliwa.

Szli korytarzami, przystając od czasu do czasu dla nabrania sił. Dotarli do odcinka korytarza o ścianach pozbawionych wszelkich cech charakterystycznych – rzeczywistych, holograficznych czy entoptycznych. Krab zatrzymał się jednak w pewnym miejscu, po chwili rozwarła się szpara w ścianie na wysokości torsu, poszerzała się jak kocia źrenica. Przez pionowe rozcięcie wylewało się przez nią czerwone światło.

–Tu mieszkam – powiedział krab. – Zapraszam.

Weszli za krabem do obszernej, ciepłej komnaty. Remontoire rozejrzał się. Nie tego się spodziewał. W niemal pustym pomieszczeniu stało kilka urządzeń, ale tylko jedno z nich – niewielki obiekt, przypominający makabryczną rzeźbę – Remontoire rozpoznał natychmiast. Urządzenia brzęczały cicho.

Największy obiekt – czarny jajokształny zbiornik, spoczywający na masywnym rdzawym postumencie – miał mnóstwo analogowych mierników tarczowych z drżącymi wskazówkami. Zbiornik wyglądał na antyk, tak jak wiele nowoczesnych obiektów techniki kosmicznej, przypominał relikw z najwcześniejszych dni podboju okołozemskiego kosmosu. Remontoire rozpoznał w nim kapsułę ewakuacyjną konstrukcji Demarchistów. Prosta i trwała. Statków Hybrydowców nigdy nie wyposażano w kapsuły ewakuacyjne.

Na tej jednostce umieszczono ostrzeżenia we wszystkich powszechnych językach – w nortie, po rosyjsku, w kanezyjskim – oraz ikony i diagramy w jaskrawych podstawowych kolorach. Były tam pasiaste oznaczenia i krzyżowe rakietowe silniki sterujące; szare purchle z czujnikami i układami łączności; złożone j skrzydła słoneczne i spadochrony; wokół drzwi z małym trójkątnym okienkiem widniały odrzucane wybuchem śruby.

Zbiornik nie był pusty. Przez okienko Remontoire dostrzegł wewnątrz kapsuły kształt wypukłego bladego ciała, niewyraźny z powodu otaczających go kompresów z bursztynowego żeluz izolującego lub jakiegoś lepkiego chemicznego środka odżywczego.

–Skade?... – Remontoire przypomniał sobie, jak uszkodzone było ciało Skade, gdy ją odwiedził przed odlotem.

–Podejdźcie – powiedział krab. – Spójrzcie. Na pewno was to zaskoczy.

Remontoire i Felka zbliżyli się do kapsuły. Różowa osoba w środku leżała w pozycji embrionalnej, podłączona do przewodów i cewników. Poruszała się ledwo zauważalnie, oddychała powoli, nie częściej niż raz na minutę.

To nie Skade ani to, co ze Skade pozostało. To w ogóle nie człowiek.

–Co to takiego? – spytała Felka szeptem.

–Skorpio – odparł Remontoire. – Hiperświnia ze statku Demarchistów.

Felka i Remontoire dotknęli metalowej ściany kapsuły. Czuli rytmiczne pulsowanie systemu podtrzymywania życia.

–Co on tu robi? – spytała Felka.

–Jest na drodze do sprawiedliwości – wyjaśniła Skade. – W pobliżu planet wewnętrznych wystrzelimy kapsułę i niech Konwencja Ferrisvillska ją podejmie.

–A potem?

–Osądzą go i orzekną, że jest winny wielu przestępstw – rzekła Skade. – Potem, w obecnym systemie prawnym, zabiją go. Nieodwracalna śmierć neuronalna.

–Mówisz tak, jakbyś to aprobowwała.

–Musimy współpracować z Konwencją – stwierdziła Skade. – Potrafią nam utrudnić działania wokół Yellowstone. I tak musi być im przekazana. Gdyby umarł w naszym areszcie, byłoby to dla nas bardzo wygodne. Niestety, przy tym sposobie postępowania ma on jednak pewne szanse przeżycia.

–Jakie zbrodnie mu zarzucają? – spytała Felka.

–Zbrodnie wojenne – odparła Skade jowialnie.

–To mi nic nie mówi. Jak może być zbrodniarzem wojennym, *jeśli* nie jest związany z żadną uznaną frakcją.

–To proste – powiedziała Skade. – Zgodnie z warunkami Konwencji w zasadzie każdy nielegalny postępek w strefie wojennej staje się przestępstwem wojennym. Z definicji. W przypadku Skorpio takich czynów nie brak. Morderstwa. Zabójstwa. Terroryzm. Szantaż. Kradzieże. Wymuszanie. Ekosabotaż. Przemyt nielegalnych inteligencji poziomu alfa. Jest zamieszany w przestępstwa wszelkich typów w obszarze Chasm City – Pas Złomu. Nawet w czasie pokoju to poważne oskarżenia, a w okresie wojny te czyny podlegają obowiązkowej karze nieodwracalnej śmierci. Wielokrotnie na nią zasłużył, nawet gdyby nie liczyć popełnionych przez niego morderstw.

Remontoire widział, jak świnia wdycha i wydycha powietrze, i zastanawiał się, czy on czymś śni, a jeśli tak, co to za sny. Czy świnie mają sny? Nie wiedział. Nie

pamiętał, czy Siódemka miał coś w tej sprawie do powiedzenia. Ale z drugiej strony mózg Siódemki nie był zbudowany jak mózgi innych świń. Należał do bardzo wczesnych i niedoskonałych egzemplarzy i jego stan umysłowy odbiegał od tego, co Remontoire uznałby za zdrowie psychiczne. Siódemka wcale nie był głupi, nie brakło mu sprytu. Tortury i metody przymusu, jakich pirat używał w stosunku do Remontoirea, świadczyły o jego inteligencji i pomysłowości. Nawet obecnie, na dnie umysłu – choć w pewnych okresach było to niezauważalne – Remontoire słyszał nieskończony wrzask bólu, wątek cierpienia, który łączył go z przeszłością.

–Co to były za morderstwa? – powtórzyła pytanie Felka.

–Lubi zabijać ludzi. Zrobił z tego sztukę. Nie twierdzę, że nie ma innych takich jak on, mętów i przestępców, wykorzystujących obecną sytuację. – Krab skoczył w powietrzu i sprawnie wylądował na ścianie kapsuły. – Ale on się tym upaja.

–Wraz z Clavainem przetrałowaliśmy go – powiedział cicho Remontoire. – Wspomnienia, które z niego wygrzebaliśmy, dawały wystarczający powód, by zgładzić go na miejscu.

–Więc dlaczego tego nie zrobiliście? – spytała Felka.

–W bardziej sprzyjających okolicznościach z pewnością byśmy to zrobili.

–Sprawa świni nie powinna nas opóźniać – oznajmiła Skade. – Miał szczęście, że Clavain zbiegł, zmuszając nas do tej podróży do układu wewnętrznego. Inaczej musielibyśmy zwrócić ciało zapakowane w szybki pocisk. Rozważaliśmy tę opcję. Mielibyśmy do tego wszelkie prawa.

Remontoire zszedł z postumentu.

–Myślałem przedtem, że to ty, Skade, jesteś w środku.

–I odczułeś ulgę, że to nie ja?

Głos go zaskoczył, ponieważ nie pochodził od kraba. Remontoire dokładniej przyjrzał się nieznanemu obiektowi, na który wcześniej tylko rzucił okiem. Obiekt stojący pośrodku pomieszczenia przypominał rzeźbę: walcowaty srebrny postument podtrzymywał odciętą ludzką głowę.

Głowa zniknęła w postumencie od połowy szyi, połączonej szczelną czarną kryzą z postumentem, który był nieco szerszy od głowy i rozszerzał się bardziej ku grubej podstawie, nadzianej różnymi wskaźnikami i gniazdkami. Od czasu do czasu rozlegały się szcęknięcia i bulgot tajemniczych procesów medycznych.

Głowa kiwnęła się nieco na powitanie, potem przemówiła, pchając myśli do ich

mózgów.

[Tak, to ja. Cieszę się, że przyszlście z moim proksym. Jesteśmy teraz we wnętrzu urządzenia. Czy macie jakieś niekorzystne odczucia?]

Tylko lekkie mdłości – odparł Remontoire.

Felka podeszła do podestu.

–Pozwolisz, że cię dotknę?

[Proszę bardzo]

Remontoire obserwował, jak delikatnie dotyka palcami twarzy Skade i przesuwa je z przerażeniem i troską.

To ty, prawda? - spytał.

[Wydajesz się nieco zdziwiony. Dlaczego? Czy mój stan cię niepokoi? Zapewniam cię, że byłam w znacznie podłej kondycji. To tymczasowe]

Ale za jej myślami wyczuwał otchłań przerażenia, nabożną odrazę do samej siebie. Zastanawiał się, czy Skade pozwoliła mu spróbować swoich myśli celowo, czy może zawiodły bariery, niezdolne skutecznie zatamować potok prawdziwych uczuć.

Dlaczego pozwoliłaś Delmarowi, by ci to zrobił?

[To nie jego pomysł. Wyleczenie mojego całego ciała trwałoby za długo, a sprzęt Delmara zajmuje za dużo miejsca, by go ze sobą zabierać. Zasugerowałam, żeby usunął moją głowę, która była w nienaruszonym stanie]

Spojrzała w dół, choć nie mogła skłonić głowy.

[Ten aparat podtrzymywania życia jest prosty, niezawodny, poręczny i dobrze mi służy. Są problemy z uzyskaniem tego samego składu chemicznego krwi doprowadzanej do mózgu, jaki daje kompletne ciało – chodzi o hormony i tym podobne – ale poza lekką chwiejnością emocjonalną różnice są niewielkie]

Felka się cofnęła.

–A twoje ciało?

[Delmar przygotowuje dla mnie zapasowe, w pełni sklonowane, gdy wrócę do Matczynego Gniazda. Operacja podłączenia nie jest trudna, zwłaszcza że dekortykacja odbyła się w warunkach kontrolowanych]

-To dobrze. Ale o ile rozumiem, ciągle jesteś więźniem.

[Nie. Nawet teraz mam możliwość poruszania się].

Głowa odwróciła się o dwieście siedemdziesiąt stopni. Z cienia wyszła jednostka, którą Remontoire brał dotychczas za czekającego uniwersalnego serwitora, jakiego można się spodziewać w każdym dobrze wyposażonym gospodarstwie domowym. Dwunożna androidalna maszyna o zgarbionej sylwetce była bezgłowa, a między ramionami miała owalny otwór.

[Pomóżcie mi na nią wejść. Serwitor potrafi to sam zrobić, ale zawsze zajmuje mu to wieczność]

Pomóc ci na to wejść? - nie dowierzał Remontoire.

[Chwyć postument spod mojej szyi]

Remontoire objął rękami srebrny postument i pociągnął go. Nastąpiło miękkie kliknięcie i górna część wraz z głową znalazły się w jego dłoniach. Podniósł obiekt – przekonał się, że jest znacznie cięższy, niż się spodziewał. Poniżej miejsca, gdzie oddzielił się postument, znajdował się węzeł kabli. Wiły się po omacku jak grupa oszalałych węgorzy.

[Teraz zanieś mnie, bardzo ostrożnie, do serwitora]

Remontoire spełnił jej prośbę. Może ze dwa razy przeszła mu myśl, by upuścić głowę, choć racjonalnie patrząc, niewiele by to Skade zaszkodziło – podłoga najprawdopodobniej by zmiękła, żeby zamortyzować upadek. Usiłował starannie ocenzurować tę swoją mimowolną zachciankę

[Teraz wsadź mnie w ciało serwitora. Połączenia same się ustanowią. Delikatnie... delikatnie, dobrze]

Wsunął aż do oporu srebrny rdzeń w korpus maszyny. *Dobrze?*

[Tak]. Oczy Skade rozszerzyły się wyraźnie, cera zarumieniła. [Tak. Połączenia ustanowione. Zaraz... sterowanie silnikiem...]

Ramię serwitora drgnęło gwałtownie w przód, pięść zaciskała się i prostowała spazmatycznie. Skade przyciągnęła ją i rozczapierzoną dłoń uniosła przed oczy. Jak urzeczona badała wzrokiem mechaniczną konstrukcję błyszcząco czarną i chromowaną. Serwitor miał dziwną budowę, przypominał średniowieczną zbroję. Był piękny i straszny jednocześnie.

Zdaje się, że łapiesz, o co chodzi.

Serwitor przesunął nogi w przód, ramiona uniósł lekko przed sobą.

[Tak... jak dotychczas to moja najszybsza adaptacja. Nawet się zastanawiam, czy nie powiedzieć Delmarowi, żeby się nie trudził].

–W jakim sensie “nie trudził”? – spytała Felka.

[Żeby leczyć moje dawne ciało. Chyba wolę to obecne. Oczywiście żartuję]

–Oczywiście – odparła Felka speszona.

[Powinnaś być wdzięczna, że mi się to przydarzyło. Dzięki temu jest większe prawdopodobieństwo, że postaram się sprowadzić Clavaina żywego]

–A to dlaczego?

[Ponieważ bardzo bym chciała, żeby zobaczył, co mi zrobił]. Skade odwróciła się, metal skrzypiał. [Zdaje się, że chciałaś coś jeszcze zobaczyć? Idziemy?].

Zbroja wyprowadziła ich z pokoju.

PIĘTNAŚCIE

W czaszkę Volyovej wcisnęło się twarde słowo, parzyło jak cechownica dla bydła.

[Ilia].

Nie mogła mówić. W odpowiedź ukształtowała swe myśli.

Tak. Skąd wiesz, jak się nazywam?

[Poznałam cię. Tak się mną... nami... interesowałeś, że trudno było cię nie poznać. Zasada wzajemności].

Znowu chciała zabębnić w drzwi, które więziły ją wewnątrz broni kazamatowej, ale gdy spróbowała unieść rękę, stwierdziła, że jest sparaliżowana, choć nadal może oddychać. Wyczuwała czyjąś obecność, jakby ktoś stał za jej plecami i zaglądał jej przez ramię.

Kim?...

Wyczuła, że jej ignorancja wzbudza drwiącą radość.

[Sterującą podosobą tej broni, oczywiście. Możesz nazywać mnie Siedemnastką. Kim według ciebie miałabym być?].

Mówisz po rusku.

[Znam twoje ulubione filtry naturalnego języka. Ruski jest dość prosty. Stary język. Niezbyt się zmienił od czasów, gdy nas stworzono].

Czemu... teraz?

[Ilio nigdy przedtem nie wniknąłeś tak głęboko w żadną z nas].

Wniknęłam... Prawie.

[Być może. Ale w innych okolicznościach. Nigdy nie przystępowałeś do nas z taką trwogą. Teraz desperacko chcesz nas wykorzystać. Jak nigdy przedtem].

Ilia, była nadal sparaliżowana, ale przerażenie nieco zelżało. Zrozumiała, że po prostu włączyła poziom mechanizmu sterowania bronią, którego nigdy wcześniej świadomie nie wywoływała; rozumiała, że ta obecność to tylko program komputerowy, a wrażenie nadnaturalnego zła oraz paraliż stanowiły udoskonalenie zwykłych mechanizmów generujących strach.

Volyova zastanawiała się, w jaki sposób urządzenie z nią rozmawia. Nie miała implantów, a jednak głos rozlegał się bezpośrednio w jej czaszce. To byłoby możliwe jedynie wówczas, gdyby pomieszczenie działało jako rodzaj odwrotnego trału dużej mocy i stymulowało funkcje mózgu intensywnymi polami magnetycznymi. Jeżeli podosoba potrafi wzbudzić we mnie strach, i to tak finezyjnie, to wywołanie widmowych sygnałów w moim nerwie słuchowym czy w samym centrum słuchu też nie stanowi problemu, myślała Volyova. Podosoba może też odbierać antycypacyjne neuronalne wzorce startowe, które towarzyszą zamiarowi mówienia.

Czasy są desperackie...

[Na to wygląda].

Kto was zrobił?

Siedemnastka nie odpowiedziała od razu. Na chwilę strach ustąpił: neuronalne zniewolenie przerwała bezbarwna chwila spokoju, niczym zaczerpnięcie tchu pomiędzy dwoma wrzaskami bólu.

[Nie wiemy].

Nie?

[Nie. Oni nie chcieli, żebyśmy to wiedziały].

Volyova porządkowała swe myśli ze starannością osoby stawiającej ciężką ceramikę na chwiejnym regale.

Myślę, że zrobili was Hybrydowcy. To moja hipoteza robocza i jak dotychczas nic nie skłania mnie do jej rewizji.

[Przecież to bez znaczenia, kto nas zrobił. W tej chwili to nie ma żadnego znaczenia].

Prawdopodobnie nie ma. Chciałam to wiedzieć z ciekawości, ale najważniejsze, że nadal możecie mi służyć.

Broń połaskotała tę część jej umysłu, która odbierała rozbawienie.

[Służyć ci, Ilio? Z czego to wnioskujesz?].

W przeszłości robiliście, o co was prosiłam. Nie ty konkretnie, Siedemnastko – nigdy cię o nic nie prosiłam – ale kiedy o coś prosiłam inną broń, zawsze mnie słuchała.

[Nie słuchałyśmy cię, Ilio].

Nie?

[Nie. Dogadaliśmy ci. Bawiło nas robienie tego, o co nas prosiłaś. Często nie różniło się to od słuchania twoich poleceń – ale to tylko tak wyglądało z twojego punktu widzenia].

Czcze gadanie.

[Nie. Widzisz, Ilio, ci którzy nas zrobili, dali nam pewien zakres wolnej woli. Musiała być po temu jakaś przyczyna. Może oczekiwano po nas, że będziemy działać autonomicznie albo podejmować działania na podstawie niepełnych lub zniekształconych rozkazów. Konstruowano nas z intencją stworzenia broni totalnej zagłady. Środka ostatecznego. Instrumentu Końca Czasów].

Nadal takie jesteście.

[A czy to Koniec Czasów, Ilio?].

Nie wiem. Niewykluczone.

[Zanim tu przyszłaś, byłaś przerażona, widziałam to. Wszystkie to widziałyśmy. Czego konkretnie od nas chcesz, Ilio?].

Istnieje problem, który może wymagać waszej uwagi.

[Problem lokalny?].

Tak, w tym układzie. Chciałabym was rozmieścić poza statkiem... poza tym pomieszczeniem... Żebyście mi pomogły.

[A jeśli nie zechcemy ci pomóc?].

Pomożecie. Opiekowałam się wami bardzo długo, troszczyłam o was, chroniłam przed uszkodzeniami. Wiem, że mi pomożecie.

Broń trzymała ją w zawieszeniu, żartobliwie głaskała jej umysł. Teraz Volyova wiedziała, co czuje mysz schwytna przez kota. Miała wrażenie, że za chwilę dozna złamania kręgosłupa.

Jednak paraliż ustąpił tak samo nagle, jak się zaczął. Broń nadal ją więziła, ale mięśnie dawały się w pewnym stopniu kontrolować.

[Być może, Ilio. Ale nie zapominajmy, że istnieją czynniki komplikujące sytuację].

Da się to obejść...

[Będzie nam bardzo trudno coś zrobić bez współpracy tamtego innego. Nawet jeśli zechcemy].

Innego?

[Innej... istoty... która nadal posiada pewien zakres władzy nad nami].

Jej umysł analizował różne możliwości. W końcu zrozumiała, o czym mówi broń.

Masz na myśli kapitana.

[Nie mamy aż tak wielkiej autonomii, by działać bez pozwolenia drugiej istoty. I nie pomogą twoje sprytne argumenty].

Kapitana trzeba przekonać, to wszystko. Jestem pewna, że da się w końcu namówić.

[Zawsze byłaś optymistką, prawda, Ilio?].

Nie... wcale nie. Ale pokładam wiarę w kapitanie.

[Wobec tego mam nadzieję, Ilio, że twój dar przekonywania sprosta temu zadaniu].

Też mam taką nadzieję.

Zrobiła gwałtowny wdech, jakby otrzymała cios w żołądek. Głowę znów miała pustą, a obrzydliwe uczucie, że coś siedzi bezpośrednio za nią, przeszło tak nagle, jakby ktoś trzasnął drzwiami. Nawet kątem oka nie dostrzegła oznak obecności. Choć nadal uwięziona unosiła się we wnętrzu broni, zniknęło wrażenie, że broń nawiedza duch.

Volyova odzyskała oddech, opanowała się, analizując ze zdziwieniem to, co właśnie zaszło. Nie podejrzewała, że któraś z broni może zawierać stróżującą podosobę, a już zupełnie nie spodziewała się sztucznej inteligencji o statusie co najmniej wysokiego gamma – a całkiem możliwe, że między niskim a średnim poziomem beta.

Broń napędziła jej strachu. Przypuszczalnie było to zamierzone.

Wokół Volyovej rozpoczęła się krzątanina. Panel dostępu – w zupełnie innej części ściany, niż to pamiętała – odchylił się na kilka centymetrów. Ostre niebieskie światło biło przez szczelinę. Volyova zmrużyła oczy i dostrzegła postać w skafandrze.

–Khoury?

–Dzięki Bogu. Żyjesz. Co się stało?

–Mówiąc krótko, moje próby przeprogramowania broni nie skończyły się bezwarunkowym powodzeniem. I na tym poprzestańmy.

Nie cierpiała gadania o porażkach prawie tak samo jak doznawania porażek.

–Dałaś niewłaściwe polecenie, czy co?

–Nie, komendę dałam właściwą, ale dla innej powłoki interpretera niż ta, z którą w danym momencie pracowałam.

–Czyli złe polecenie, prawda?

Volyova obróciła się, aż jej hełm znalazł się na jednej linii ze świetlną szczeliną.

–To sprawa bardziej fachowa. Jak otworzyłaś panel?

–Stara dobra brutalna siła. A może to nie dość fachowe?

Khouri wcisnęła łom z podręcznego wyposażenia skafandra w coś, co pierwotnie musiało być szeroką na włos szczeliną w poszyciu broni, a potem pchała łom, aż panel się otworzył.

–I jak długo to robiłaś?

–Próbowałam otworzyć, gdy tylko weszłaś do środka, ale dopiero teraz panel ustąpił.

Volyova skinęła głową – była pewna, że panel by nie zareagował, gdyby broń nie uznała, że właśnie należy więźnia wypuścić.

–Świetna robota, Khouri. Jak sądzisz, ile zajmie otwieranie tego na oścież?

Khouri zmieniła pozycję, by przyłożyć większą siłę do łomu.

–Za chwilę wydostanę cię stamtąd. Ale skoro już cię tu w pewnym sensie dopadłam, czy mogłybyśmy dojść do jakiegoś porozumienia w sprawie Ciernia?

–Posłuchaj, Khouri. On dopiero zaczął nam ufać. Pokaż mu ten statek, daj mu nawet najmniejszą wskazówkę na temat tego, kim jestem, a nie zobaczymy go do końca świata. Stracimy go, a wraz z nim jedyną szansę na przeprowadzenie ewakuacji planety w humanitarny sposób.

–Ale w ogóle przestanie nam ufać, jeśli wciąż będziemy szukać pretekstów i nie wpuścimy go na statek.

–Będzie musiał po prostu zaakceptować nasze wyjaśnienia.

Volyova czekała na odpowiedź, a potem zauważyła, że po drugiej stronie szczeliny nikogo nie ma. Znikło ostre niebieskie światło ze skafandra Khouri, a narzędzia nikt nie trzymał.

–Khouri?... – znowu zaczynała się denerwować.

–Ilio... – głos Khouri brzmiał słabo, jakby usiłowała złapać oddech. – Chyba mamy drobny problem.

–Cholera.

Volyova sięgnęła po łom i przeciągnęła narzędzie na swoją stronę luku. Zaparła się i poszerzała otwór, aż stał się na tyle szeroki, że mogła wsadzić w niego hełm. W migoczącym świetle zobaczyła, jak Khouri spada w ciemność, a uprząż skafandra coraz bardziej się od niej oddala. Zobaczyła też przykucniętą na broni wojowniczą sylwetkę serwitora ciężkiej konstrukcji. Modliszkowatą maszyną prawdopodobnie sterował bezpośrednio sam kapitan.

–Ty wredny sukinsynu! To ja zepsułam broń, nie ona...

Khouri znajdowała się teraz bardzo daleko, w połowie drogi do przeciwległej ściany. Jak szybko spadała? Może trzy, cztery metry na sekundę. Niezbyt szybko, ale powłoka skafandra nie ochroni przed uderzeniem. Jeśli Khouri walnie mocno...

Volyova silniej nacisnęła na łom, rozwierając luk jeszcze o kilka centymetrów. Uświadomiła sobie ponuro, że nie zdąży się wydostać. Zajmowało to za dużo czasu. Khouri dotrze do ściany znacznie wcześniej.

–Kapitanie... naprawdę, tym razem przekroczyłeś wszelkie granice.

Pchnęła mocniej. Łom wyślizgnął jej się z rąk, łupnął o bok hełmu i wirując, pomknął w ciemną głębię maszynerii. Volyova syknęła wściekle, wiedząc, że nie ma już czasu na szukanie utraconego narzędzia. Luk miał teraz wystarczającą szerokość – mogłaby się nim precyzyjnie przycisnąć, ale musiałyby porzucić uprząż i pakiet podtrzymywania życia. Zdołałyby jakoś przeżyć, ale w żaden sposób nie ocalałyby Khouri.

–Cholera – powiedziała. – Cholera, cholera, cholera.

Luk rozsunął się całkowicie.

Volyova przeszła przez dziurę i odbiła się nogami od boku broni, pozostawiając serwitora za sobą. Nie miała czasu dłużej rozmyślać o tym, co się wydarzyło, ale nasuwał się wniosek, że tylko Siedemnastka lub kapitan mogli otworzyć luk.

Nakazała hełmowi, by opuścił nasadkę radarową na przyłbicę. Wykonała obrót i

złapała echo Khouri – dziewczyna spadała wzdłuż długiej osi komory, przez galerię broni. Sądząc z linii jej lotu, musiała już się otrzeć o jeden z torów jednoszynówki.

–Khouri... żyjesz?

–Nadal tu jestem... – Mówiła, jakby była ranna. – Nie mogę się zatrzymać.

–Nie musisz. Już lecę.

Volyova pomknęła za nią między egzemplarzami broni, które знаła, ale które nadal były tajemnicze. Echo radarowe stało się wyraźniejsze, przyjęło kształt koziółkującego człowieka. Za nim nadciągała oddalona ściana. Volyova sprawdziła swą szybkość względem niej: sześć metrów na sekundę. Khouri spadała mniej więcej z tą samą szybkością.

Volyova wydusiła z upręży większy ciąg. Dziesięć... dwadzieścia metrów na sekundę. Zobaczyła teraz Khouri – powiększającą się sylwetkę, szarą, lalkowatą, z jedną ręką bezładnie zwisającą. Volyova zastosowała wsteczny ciąg stopniowymi dźgnięciami. Czuła, jak rama potrzaskuje od przeciążeń, które miała przenosić. Pięćdziesiąt metrów od Khouri... czterdzieści. Khouri wyglądała niedobrze: ludzka ręka stanowczo nie powinna wyginać się w ten sposób.

–Ilio... ta ściana zbliża się okropnie szybko.

–Ja też. Trzymaj się. Może nastąpić małe... – wpadła na nią -... zderzenie.

Na szczęście kolizja nie wyrzuciła Khouri na inny tor. Volyova przytrzymała ją za nieuszkodzoną rękę, odwinęła linę, przyczepiła do pasa Khouri, a potem puściła kobietę. Ściana znajdowała się teraz najwyżej pięćdziesiąt metrów od nich.

Volyova hamowała. Trzymała kciuk na włączniku dysz, nie bacząc na protesty podosoby skafandra. Lina z Khouri naprężyła się do granic wytrzymałości. Khouri wisiała między Volyovą a ścianą. Ale obie zwalniały. Ściana nie mknęła ku nim z tą samą nieuchronnością, co przed chwilą.

–Dobrze się czujesz? – spytała Volyova.

–Chyba coś złamałam. Jak wydostałaś się z broni? Kiedy maszyna mnie odrzuciła, luk był nadal prawie zamknięty.

–Zdołałam poszerzyć otwór. Ale myślę, że ktoś mi pomógł.

–Kapitan?

–Niewykluczone. Ale nie wiem, czy to znaczy, że mimo wszystko jest on całkowicie

po naszej stronie.

Skupiła się przez chwilę na locie – zakręcała, utrzymując sztywno linę. Bładozielone duchy trzydziestu trzech sztuk broni kazamatowej wyłoniły się na radarze. Obliczyła trajektorię prowadzącą wśród nich z powrotem do śluzy powietrznej.

–Ciągłe nie rozumiem, czemu poszczuł na ciebie serwitora – przyznała Volyova.

–Może chciał nas ostrzec, a nie zabić. Jak mówiłaś, zabić mógł nas już dawno. Możliwe, że po prostu chce nas mieć blisko.

–Wyciągasz daleko idące wnioski z paru faktów.

–Dlatego właśnie myślę, że nie powinniśmy liczyć na pomoc kapitana.

–Nie?

–Jeszcze do jednej osoby możemy się zwrócić o pomoc – zauważyła Volyova. – Do Sylveste'a.

–Och, nie.

–Spotkałaś go raz, wcześniej, w Hadesie.

–Ilio, musiałam umrzeć, by dostać się do tej pieprzonej rzeczy. Nie mam zamiaru tego powtarzać.

–Sylveste ma dostęp do zmagazynowanej wiedzy Amarantinów. Może wiedzieć, jak należy reagować na zagrożenie ze strony Inhibitorów, albo przynajmniej mieć jakieś pojęcie, ile mamy czasu na reakcję. Jego informacje mogą być bardzo istotne, nawet jeśli Sylveste nie zdoła nam pomóc w sensie materialnym.

–Nie ma mowy, Ilio.

–W istocie nie pamiętasz umierania, prawda? A teraz czujesz się doskonale. To nie pozostawia skutków ubocznych.

Głos Khouri brzmiał bardzo niewyraźnie, jak mamrotanie tuż przed zaśnięciem.

–Więc zrób to sama, do cholery, jeśli to takie proste.

Wkrótce – nareszcie! – Volyova zobaczyła błąd prostokąt oznaczający śluzę. Zbliżyła się do niego powoli. Przyciągnęła Khouri i położyła ją w śluzie jako pierwszą – ranna kobieta była już nieprzytomna.

Volyova wciągnęła się do środka, zamknęła za sobą drzwi i poczekała, aż śluza

napelni się powietrzem. Kiedy ciśnienie osiągnęło dziewięć dziesiątych nominalnego, odpięła hełm i nie bacząc na ucisk w uszach, odgarnęła z oczu przepecone włosy.

Wszystkie dyspleje biomedyczne skafandra Khouri miały kolor zielony – nie było powodu do niepokoju. Musiała tylko zaciągnąć ją gdzieś, gdzie otrzyma pomoc lekarską.

Drzwi do pozostałej części statku otworzyły się żrenicowato. Przesunęła się ku nim, mając nadzieję, że wystarczy jej sił, by ciągnąć bezwładną Khouri.

–Poczekaj.

–Głos był spokojny i znany, choć nie słyszała go od dawna. Przypomnił jej o niezwykle zimnym pomieszczeniu, które inni załoganci bali się odwiedzać. Dochodził ze ściany, głucho rezonując.

–To pan, kapitanie? – spytała.

–Tak, Ilio. Jestem teraz gotów do rozmowy.

Skade poprowadziła Felkę i Remontoire'a w trzewia "Nocnego Cienia", głęboko w królestwo wpływów swojej maszynerii. Remontoire czuł na przemian gorączkę i zawroty głowy. Początkowo sądził, że to tylko wyobraźnia, ale potem puls zaczął mu pędzić, a serce łomotać w piersiach. W miarę jak schodzili na kolejne poziomy, sensacje narastały, jakby zanurzali się w niewidzialną mgłę gazu psychotropowego.

Coś się dzieje.

Głowa odwróciła się raptownie. Czarny serwitör nie przerywał marszu.

[Tak. Znajdujemy się teraz głęboko w polu. Dalsze schodzenie bez wsparcia medycznego jest niebezpieczne. Efekty fizjologiczne stają się bardzo przykre. Jeszcze dziesięć metrów w pionie i koniec].

Co to takiego?

[Trudno to stwierdzić. Jesteśmy teraz pod wpływem maszynerii, a tutaj większość własności materii, całej materii, łącznie z materią twego ciała, została zmieniona. Pole, które generuje ta maszyneria, dławi bezwładność. Co wiesz o bezwładności, Remontoire?].

Chyba to, co wszyscy. Nigdy o tym specjalnie nie myślałem. To coś z czym żyjemy - odpowiedział ostrożnie.

[Nie musi tak być. Już nie].

Coście zrobili? Nauczyliście się ją wyłączać?

[Niezupełnie – ale z pewnością dowiedzieliśmy się, jak wyrwać jej żądło].

Głowa Skade znowu się obróciła. Uśmiechnęła się z samozadowoleniem. Jasnoczerwone opalizujące fale migotały wzdłuż jej grzebienia. Remontoire uznał, że to skutek wysiłku – Skade tłumaczyła pojęcia, dotychczas uważane za niewzruszone, na terminy, które mógł uchwycić szeregowy geniusz.

[Bezwładność jest znacznie bardziej zagadkową niż sądzisz].

Nie wątpię.

[Zwodniczo łatwo ją zdefiniować. Od urodzenia czujemy ją w każdej chwili życia. Pchnij kamyk, a on się poruszy. Pchnij głaz, a on się nie przesunie, a jeśli już, to niewiele. Z tych samych przyczyn: jeśli głaz porusza się w twoim kierunku, nie zatrzymasz go łatwo. Materia jest leniwa. Opiera się zmianom. Chce robić dalej to, co

robi, bez względu na to, czy siedzi spokojnie, czy się porusza. My nazywamy to lenistwo bezwładnością, co nie znaczy, że je rozumiemy. Przez tysiąc lat nalepiliśmy jej etykietkę, zmierzylismy, złapalismy w klatki równań, ale samą jej istotę ledwie poskrobaliśmy po powierzchni].

A teraz?

[Uchyliliśmy rąbka. Zerknęliśmy. Ostatnio Matczyne Gniazdo osiągnęło niezawodne sterowanie bezwładnością na skalę mikroskopową].

–To Osnowa wam dała? – spytała Felka głośno.

Skade odpowiedziała bez mówienia, nie chciała przejść na ulubiony tryb komunikacji Felki.

[Jak już mówiłam, eksperyment dostarczył nam drogowskazu. Niemal dostatecznej informacji, by wiedzieć, że ta technika jest możliwa. Że taka maszyna może istnieć. Mimo to budowa prototypu zajęła lata].

Remontoire skinął głową. Nie miał powodów przypuszczać, że Skade kłamie.

Od zera?

[Nie... nie całkowicie. Mieliśmy pewne fory].

Jaki rodzaj forów?

Obserwował pulsowanie beżowych i turkusowych pasków w grzebieniu Skade.

[Inny odłam ludzkości robił podobne badania. Matczyne Gniazdo uzyskało kluczowe techniki, związane z ich pracą. Od tych początków – i podpowiedzi teoretycznych dostarczanych w przekazach Osnowy – mogliśmy prowadzić prace dalej, aż do funkcjonującego prototypu].

Remontoire przypomniał sobie, że Skade kiedyś była związana z tajną misją w Chasm City, w wyniku której zginęło wielu innych agentów. Operację wyraźnie sankcjonowało Wewnętrzne Sanktuarium. Nawet jako członek Ścisłej Rady wiedział jedynie, że taka misja się odbyła.

Pomagałaś uzyskać te techniki, Skade? Rozumiem, że miałaś szczęście, uchodząc z życiem.

[Straty były olbrzymie. To i tak sukces, że misja nie skończyła się kompletną klapą].

A prototyp?

[Przez lata usiłowaliśmy znaleźć dla niego jakieś zastosowanie praktyczne. Mikroskopowe sterowanie inercją – bez względu na to, jak głębokie pojęciowo – nigdy nie miało prawdziwej wartości. Ale ostatnio sukcesy goniły jeden za drugim. Teraz potrafimy zdławić bezwładność na skalę klasyczną. Wystarczająco, by wpłynęło to na osiągnięcia statku].

Remontoire popatrzył na Felkę, potem na Skade.

Przyznaję, że to ambitne.

[Brak ambicji jest dla ludzi z linii podstawowej].

Ten inny odłam... od którego uzyskaliście szczegóły... dlaczego nie dokonali przełomu?

Miał wrażenie, że Skade układa swe myśli z największą ostrożnością.

[Wszystkie uprzednie próby rozumienia bezwładności były skazane na niepowodzenie, ponieważ podchodziły do problemu z niewłaściwych pozycji. Bezwładność nie jest własnością materii jako takiej, ale własnością próżni kwantowej, w której ta materia jest zanurzona. Materia nie ma w sobie wewnętrznej bezwładności].

To próżnia wymusza bezwładność?

[W istocie to nie jest próżnia, nie na poziomie kwantowym. To wrząca piana bogatych interakcji: burzliwe morze fluktuacji z cząsteczkami i cząsteczkami posłańcami w ciągłym strumieniu egzystencji, jakby słońce błyskało na falach oceanu. To nie sama materia, lecz sfalowanie morza stwarza bezwładną masę. Sztuczka polega na znalezieniu sposobu modyfikacji własności próżni kwantowej – zredukowania lub zwiększenia gęstości energii w elektromagnetycznym płynie punktu zerowego. Na choćby lokalnym uspokojeniu morza].

Remontoire usiadł.

Zatrzymam się tu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

–Też nie czuję się dobrze – powiedziała Felka, przysiadając obok. – Mam zawroty głowy i mdłości.

Serwitor obrócił się sztywno, ożywiony, jakby w zbroi był duch.

[Doświadczacie fizjologicznych skutków pola. Nasza masa bezwładnościowa spadła mniej więcej do połowy. Twoje ucho wewnętrzne zostanie zmylone spadkiem bezwładności cieczy w kanale półkolistym. Twoje serce będzie bić szybciej:

przystosowało się do pompowania cieczy z masą inercyjną około pięciu procent ciała; teraz musi pokonać tylko połowę tej masy, a jego własny mięsień sercowy szybciej reaguje na impulsy elektryczne płynące z nerwów. Gdybyśmy zeszli znacznie głębiej, twoje serce zaczęłoby migotać. Umarłabyś bez mechanicznej interwencji].

Remontoire wyszczerzył zęby do opancerzonego serwitora.

Więc dla ciebie to pestka.

[Dla mnie również nie byłoby to przyjemne, zapewniam cię].

Co w takim razie robi ta machina? Czy cała materia w bańce ma zerową bezwładność?

[Nie, nie w obecnym trybie operacyjnym. Radialna skuteczność dławienia zależy od trybu, w którym działa urządzenie. W tej chwili jesteśmy w polu, które działa z odwrotnością kwadratu, czyli tłumienie bezwładności staje się cztery razy bardziej skuteczne za każdym razem, kiedy skracamy odległość od maszyny o połowę; w bezpośrednim sąsiedztwie maszyny mamy prawie nieskończone tłumienie, ale masa inercyjna nigdy nie spada do absolutnego zera. Nie w tym trybie].

Ale istnieją inne tryby?

[Tak. Nazywamy je innymi stanami. Są jednak znacznie mniej stabilne niż tryb obecny]. Przerwała, zerkając na Remontoire'a. [Wyglądasz na chorego. Czy mamy wrócić na górę statku?].

Zaraz mi przejdzie. Opowiedz mi więcej o swej magicznej skrzynce.

Skade uśmiechnęła się, równie sztywno jak zwykle, ale, jak uznał Remontoire, z odcieniem dumy

[Pierwszy przełom uzyskaliśmy w zakresie skutków odwrotnych – stworzyliśmy obszar zwiększonej fluktuacji próżni kwantowej. Nazwaliśmy to stanem jeden. Skutkiem była strefa hiperbezwładności: bańka, w której zamarł wszelki ruch. Była niestabilna i nigdy nie zdołaliśmy powiększyć pola do skali makroskopowej, ale otworzyły się perspektywiczne ścieżki dalszych badań. Gdybyśmy mogli zamrozić ruch, podnosząc bezwładność o wiele rzędów wielkości, otrzymalibyśmy pole zastoju, lub być może nieprzenikalną barierę obronną. Ale chłodzenie – stan dwa – okazało się prostsze technicznie. Niemal wszystkie części układanki trafiły na swoje miejsce].

Tak przypuszczam.

–A istnieje stan trzy? – spytała Felka.

[Stan trzy to osobliwość w naszych obliczeniach i nie spodziewamy się, by był realizowalny fizycznie. Cała masa inercyjna znika. Cała materia w bańce stanu trzy staje się fotonowa: czyste światło. Nie spodziewamy się takiego obrotu sprawy; w najlepszym wypadku pociągnęłoby to za sobą ogromne lokalne pogwałcenie prawa zachowania kwantowego momentu pędu].

–A dalej... po drugiej stronie osobliwości? Czy istnieje stan cztery?

[Teraz wydaje mi się, że usiłujemy prześcignąć samych siebie. Poznaliśmy własności urządzenia w dobrze zbadanej przestrzeni parametrów. Nie ma sensu wdawać się w dzikie spekulacje].

Dokładnie ile testów przeprowadzono?

[“Nocny Cień” wybrano na prototyp: pierwszy statek wyposażony w maszynę dławiającą bezwładność. Przeprowadziłam kilka testów podczas wcześniejszego lotu, obniżając bezwładność o wielkość mierzalną – wystarczającą, by zmienić nasze zużycie paliwa i sprawdzić skuteczność pola, ale za małą, by przyciągnąć uwagę].

A teraz?

[Pole jest znacznie silniejsze. Efektywna masa statku wynosi dwadzieścia procent tej, którą miał przy opuszczaniu Matczynego Gniazda – stosunkowo mała część statku wystaje przed pole, ale możemy uzyskać lepsze wyniki, po prostu zwiększając siłę pola]. Skade klasnęła dłońmi, zbroja skrzypnęła. [Pomyśl, Remontoire – możemy obniżyć naszą masę do jednego procenta albo jeszcze bardziej – rozwijać przyśpieszenie 100 g. Jeśli nasze ciała znajdą się w bańce zdławionej bezwładności, wytrzymamy to. Osiągnęlibyśmy podświetlną szybkość podróży w parę dni. Subiektywny czas podróży między najbliższymi gwiazdami – poniżej tygodnia. Nie będzie potrzeby zamrażania ludzi. Galaktyka nagle stanie się mniejsza].

Ale nie dlatego to zbudowaliście.

Remontoire wstał. Nadal miał zawroty głowy, oparł się o ścianę. Czuł się tak, jakby był w stanie upojenia alkoholowego. Remontoire od bardzo dawna nie czuł nic podobnego. Wycieczka okazała się dość interesująca, ale teraz chciał już powrócić na górę statku, gdzie krew w jego ciele będzie się zachowywała normalnie.

[Nie jestem pewna, czy cię zrozumiałam, Remontoire].

To na wypadek przybycia wilków – z tej samej przyczyny zbudowałaś flotę ewakuacyjną.

[Nie rozumiem].

Nawet jeśli nie zdołamy z nimi podjąć walki, dostarczyłaś nam przynajmniej środków bardzo, bardzo szybkiej ucieczki.

Clavain otworzył oczy po kolejnym okresie wymuszonego snu. Marzenie o deszczowym spacerze przez szkockie lasy uwiodło go na kilka niebezpiecznych chwil. Powrót do bezprzytomności kusił, ale stare żołnierskie instynkty zmusiły do niechętnego przełączenia się w stan czujności. Musiały powstać jakieś problemy. Poinstruował przedtem korwetę, by go nie budziła, chyba że miała wiadomość użyteczną lub złowróżbną. Szybko rozpoznał sytuację – z całą pewnością zachodził ten drugi przypadek.

Coś go ścigało. Na żądanie korweta udostępniała szczegóły.

Clavain ziewnął i podrapał się po pokrytej bujnym zarostem brodzie. Przez chwilę widział swe odbicie w oknie kabiny i ten widok lekko go zaniepokoił. Miał szalone oczy – wyglądał na maniaka, który właśnie wygramolił się z głębi jaskini. Polecił korwecie przerwać na kilka minut przyśpieszanie, potem nabrał w dłonie nieco wody z kranu, zamknął amebowate krople między dłońmi i spróbował opryskać nimi twarz i ręce. Przyglądał brodę oraz czuprynę, po czym znowu spojrzął na swe odbicie. Niewielka poprawa, ale przynajmniej nie sprawiał wrażenia dzikusa.

Wypiął się z upręży i zabrał do przygotowywania posiłku. Doświadczenie podpowiadało mu, że kryzysy w kosmosie można podzielić na dwie kategorie: te, które zabijają cię natychmiast, na ogół bez ostrzeżeń, i te, które zostawiają ci sporo czasu na analizę problemu, nawet jeśli znalezienie rozwiązania nie jest zbyt prawdopodobne. Wszelkie oznaki wskazywały, że bieżący kryzys, można analizować już po zaspokojeniu głodu.

Kabinę wypełniła muzyka, jedna z niedokończonych symfonii Quirrenbacha. Popijał kawę i przeglądał wpisy w logu korwety. Z zadowoleniem, lecz bez zdziwienia zobaczył, że od chwili odlotu z komety statek działał bez zarzutu. Ciągłe miał dość paliwa na dotarcie do przestrzeni wokółyellowstońskiej, włączając w to przepisowe procedury wchodzenia na orbitę. Z korwetą nie było problemów.

Gdy tylko się dowiedziano o jego odlocie, wysłano przekazy z Matczynego Gniazda, maksymalnie zaszyfrowane, przesyłane na korwetę wąskim promieniem. Korweta odpakowała wiadomości i zmagazynowała w kolejności napływania.

Clavain ugryzł grzankę.

–Odegraj je. Najpierw najstarsze. Potem natychmiast je wymaż.

Zgadywał, jak będą wyglądały pierwsze przekazy: gorączkowe prośby z Matczynego Gniazda, by zawrócił i przyleciał do domu. Kilka pierwszych zaliczyło wątpliwości na jego korzyść. Zakładano w nich – a raczej bez przekonania udawano zrozumienie –

że miał usprawiedliwione powody do tego, co wyglądało jak próba przejścia na stronę przeciwnika. Potem dano spokój tej taktyce i po prostu zaczęto mu grozić.

Z Matczynego Gniazda wystrzelono pociski. Zboczył z kursu i je zgubił. Założył, że na tym się skończy. Korweta była szybka. Nic więcej nie mogło go złapać, chyba żeby się skierował w przestrzeń międzygwiazdną.

Ale następny zestaw wiadomości nie pochodził wcale z Matczynego Gniazda. Wysyłano je z miejsca leżącego od Gniazda pod niewielkim, lecz dającym się zmierzyć kątem, a ich fala nośna cały czas przesuwiała się ku niebieskiej części widma, jakby nadawano je z ruchomego źródła.

Obliczył przyśpieszenie: półtora g. Przeliczył dane na swym taktycznym symulatorze. Uzyskał potwierdzenie: żaden statek z takim przyśpieszeniem w lokalnym kosmosie nie mógł go dogonić. Poczul ulgę i przez kilka minut rozważał cel tego pościgu. Czy to chwyt psychologiczny? Nieprawdopodobne. Hybrydowcy nie lubili czczych gestów.

–Odtworzyć wiadomości – polecił.

Były w formacie audiowizualnym. W kabinie ukazała się głowa Skade w owalu rozmytego tła. Komunikacja odbywała się werbalnie – Skade wiedziała, że Clavain nigdy więcej nie pozwoli jej na wkładanie mu czegoś do głowy.

–Cześć, Clavainie – powiedziała. – Proszę cię, posłuchaj uważnie. – Jak mogłeś się domyślić, ścigamy cię “Nocnym Cieniem”. Uznasz, że nie zdołamy cię schwytać ani podejść na odległość zasięgu broni pociskowej czy promieniowej. To błędne założenia. Przyśpieszamy i będziemy zwiększać nadal nasze przyśpieszenie w regularnych odstępach czasu. Jeśli wątpisz w moje słowa, przestuduj starannie przesunięcia Dopplera tych wiadomości.

Pozbawiona ciała głowa znieruchomiła i znikła.

Zeskanował następną wiadomość z tego samego źródła. Jej nagłówek wskazywał, że nadano ją dziewięćdziesiąt minut po pierwszej. Obliczone przyśpieszenie wynosiło teraz dwa i pół g.

–Clavainie, poddaj się teraz, a gwarantuję ci uczciwe przesłuchanie. Nie możesz wygrać.

Jakość nagrania była podła: głos brzmiał dziwnie i mechanicznie, a zastosowany przez Skade algorytm kompresji powodował, że jej głowa wydawała się umocowana i nieruchoma – poruszały się tylko usta i oczy.

Następna wiadomość: trzy g.

–Clavainie, wykryliśmy ponownie sygnaturę twoich produktów odrzutu. Temperatura i poniebieszczenie twojego płomienia wskazują, że przyśpieszasz na granicy swoich osiągnięć. Weź pod uwagę, że my do granic naszych osiągnięć mamy jeszcze bardzo daleko. To nie ten statek, który znasz. To coś szybszego i bardziej zabójczego. Jest w pełni zdolny do przechwycenia cię.

Podobna do maski twarz wykrzywiła się w sztywnym, upiornym uśmiechu.

–Nadal jednak jest czas na negocjacje. Pozwolę ci wybrać miejsce spotkania. Powiedz tylko słowo, a spotkamy się na twoich warunkach. Mała planeta, kometa, otwarty kosmos – jest mi to zupełnie obojętne.

Usunął wiadomość. Był pewny, że Skade blefuje, mówiąc o wykryciu jego płomienia. Ostatnia część wiadomości – zaproszenie do odpowiedzi – to tylko zachęta, by zdradził swoją pozycję, kiedy uruchomi nadajnik.

–Przebiegła Skade – powiedział. – Ale ja jestem znacznie bardziej przebiegły.

Jednak nie pozbył się niepokojów. Przyśpieszała zbyt mocno i chociaż poniebieszczenie można podrobić i zastosować do wiadomości przed jej wysłaniem, Clavain czuł, że to nie blef.

Leciała za nim bardzo szybkim okrętem – nie przypuszczał, że tak szybki w ogóle istnieje i doganiała go z każdą sekundą.

Clavain ugryzł grzankę i jeszcze przez chwilę słuchał Quirrenbacha.

–Odtwórz resztę – polecił.

–Nie masz więcej wiadomości – oznajmiła korweta.

Clavain słuchał wieści z układu, kiedy korweta zaanonsowała odbiór nowej poczty. Sprawdził towarzyszące informacje – tym razem nie było nic od Skade.

–Odegraj je – polecił spokojnie.

Pierwsza wiadomość pochodziła od Remontoire'a. Pojawiła się jego łysa głowa. Był bardziej ożywiony od Skade i mówił z większymi emocjami. Pochylił się ku obiektywowi, oczy miały błagalny wyraz.

–Clavainie, mam nadzieję, że usłyszysz to i trochę to przemyślisz. Jeśli słuchałeś Skade, wiesz już, że możemy cię dogonić. To nie sztuczka. Ona mnie zabije za to, co za chwilę powiem, ale o ile cię znam wymazujesz te wiadomości natychmiast po odsłuchaniu, wobec tego nie ma realnego niebezpieczeństwa, by ta informacja wpadła w ręce wroga. Więc oto ona. Na pokładzie "Nocnego Cienia" umieszczono eksperymentalną maszynę. Wiedziałeś, że Skade coś testuje, ale nie wiedziałeś co. Powiem ci, co to jest. To maszyna do dławienia masy bezwładnościowej. Nie będę udawał, że wiem, jak działa, ale na własne oczy widziałem, że działa rzeczywiście. Nawet to czułem. Zwiększyliśmy teraz przyśpieszenie do czterech g, będziesz w stanie potwierdzić to niezależnie. Wkrótce wywnioskujesz to z paralaksy źródła tych sygnałów, jeśli jeszcze w to nie uwierzyłeś. To wszystko jest rzeczywiste i według Skade urządzenie potrafi tłumić coraz więcej naszej masy. – Spojrzał twardo w kamerę, przerwał na chwilę, a potem ciągnął dalej. – Rozróżniamy płomień twojego napędu. Kierujemy się na niego. Nie możesz uciec, Clavainie, więc przestań biec. Chciałbym cię znowu zobaczyć, porozmawiać z tobą, pośmiać się.

–Przejdź do następnej wiadomości – powiedział, przerywając.

Korweta wykonała polecenie. Wizerunek Remontoire'a znikł, pojawił się obraz Felki. Clavain drgnął zdziwiony. Nigdy się specjalnie nie zastanawiał, kto weźmie udział w pościgu za nim. Na pewno mógł liczyć na Skade, która zechce być świadkiem wyrzucania pocisku i osobiście wyda rozkaz. Remontoire będzie z poczucia obowiązku wobec Matczynego Gniazda ośmielony przekonaniem, że wykonuje poważne zadanie i że tylko on ma prawdziwe kwalifikacje, by ścigać Clavaina.

Ale Felka? Widoku Felki w ogóle się nie spodziewał. Mówiła z wysiłkiem osoby poddanej przyśpieszeniu czterech g.

–Clavainie... proszę. Oni zamierzają cię zabić. Skade nie zada sobie trudu, by cię pochwyć żywcem. Chce jednak stanąć naprzeciw ciębie i wetrzeć ci w twarz, to, co zrobiłeś...

–Co takiego zrobiłem? – powiedział do nagrania.

–...I jeśli zdoła, nie sądzę, by długo trzymała cię przy życiu. Ale, istnieje nadzieja, jeśli zawrócisz, poddasz się i powiadomisz o swoich działaniach Matczyne Gniazdo. Czy słuchasz, Clavainie? – Wyciągnęła rękę i nakreśliła kształty na obiektywie tak, jak odwzorowywała jego twarz, ucząc się po raz tysięczny jej kształtów. – Chciałabym, żebyś dotarł do domu zdrowy i bezpieczny, to wszystko. Nie mogę nawet powiedzieć, że nie zgadzam się z tym, co zrobiłeś. Miałam wiele wątpliwości i nie mogę stwierdzić, że bym nie...

Straciła wątek i patrzyła w dal.

–Clavainie... – podjęła po chwili – jest coś, o czym muszę ci powiedzieć. Myślę, że to ma znaczenie. Nigdy wcześniej nie poruszałam tej sprawy, ale teraz nadszedł właściwy czas. Czy jestem cyniczna? Tak, przyznaję. Robię to, ponieważ chcę cię namówić, byś zawrócił. Nie mam innych powodów. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Clavain pstryknął palcami na ścianę korwety, każąc jej ściszyć muzykę. Przez dramatyczną chwilę panowała niemal zupełna cisza. Oblicze Felki unosiło się przed nim.

–To było na Marsie – odezwała się znowu – kiedy po raz pierwszy byłeś więźniem Galiany. Trzymała cię tam miesiącami, a potem zwolniła. Musisz pamiętać, jak to wtedy wyglądało.

Skinął głową. Oczywiście, że pamiętał, choć to wydarzenia sprzed czterystu lat.

–Gniazdo Galiany było otoczone ze wszystkich stron. Ale się nie poddawała. Miała plany na przyszłość, wielkie plany, w tym powiększenie grona jej uczniów. Gniazdu jednak brakowało różnorodności genetycznej. Gdy tylko napotykała nowe DNA, brała je. Ty i Galiana nigdy się nie kochaliście na Marsie, ale bez problemu uzyskała trochę twoich komórek bez twojej wiedzy.

–I co? – szepnął.

Wiadomość Felki odgrywała się dalej bez przerwy.

–Kiedy wróciłeś na swoją stronę, ona połączyła twoje DNA z własnym, splatając razem obie próbki. Potem stworzyła mnie z tej właśnie informacji genetycznej. Urodziłam się w sztucznej macicy, ale przecież jestem córką Galiany. I twoją córką także.

–Przejdź do następnej wiadomości – polecił, zanim wypowiedziała dalsze słowa.

Nie mógł za jednym zamachem przetworzyć tej skoncentrowanej informacji, choć potwierdzała ona tylko, że prawdą jest to, co zawsze podejrzewał i o co się modlił.

Ale dalszych wiadomości nie było.

Clavain z niepokojem poprosił statek, by od początku powtórzył wiadomość od Felki, ale korweta, przestrzegając jego drobiazgowych rozkazów, pilnie usunęła wiadomość i Clavainowi zostało teraz tylko to, co zachował w pamięci.

Siedział w ciszy. Był z dala od domu, z dala od przyjaciół, zaangażowany w coś, w co nawet sam nie bardzo wierzył. Możliwe, że wkrótce umrze. Nikt nie będzie czczył jego pamięci – zapamiętają go jako zdrajcę. Nawet nieprzyjaciel nie zaszczyli go cieplejszym wspomnieniem. A teraz jeszcze to: wiadomość, która dosięgła go przez kosmos i wczepiła się w jego uczucia. Kiedy żegnał się z Felką, zmajstrował na własny użytek szczególny mechanizm oszukiwania samego siebie – wmówił sobie, że już nie myśli o niej jako o córce. I wierzył w to, przez czas potrzebny na przygotowania do opuszczenia Gniazda.

A teraz mówiła mu, że cały czas miał słusność. I że jeśli nie zawróci, nigdy jej nie zobaczy.

Ale zawrócić nie mógł.

Załkał. Tylko to mógł zrobić.

SZESNAŚCIE

Cierń nieśmiało stawiał pierwsze kroki na pokładzie "Nostalgii za Nieskończonością". Rozglądał się gorączkowo, patrzył uważnie szeroko otwartymi oczyma, starając się nie przeoczyć żadnego szczegółu i choćby najmniejszej wskazówki, że sprawy mają się inaczej, niż mu je przedstawiono. Nie mrugał nawet, bo jakieś istotne potknięcie, demaskujące całą fasadę, mogłoby się ujawnić akurat w chwili, gdy przymknie oczy. A jeśli obydwie tylko czekają, aż mrugnie, igrają z nim jak iluzjonista?

Odniósł jednak wrażenie, że nie ma tu oszustwa. Nawet jeśli podróż promem nie całkiem go przekonała – choć trudno sobie wyobrazić, jak coś takiego dałoby się sfalszować – główny dowód znajdował się tutaj.

Cierń przemierzył przestrzeń kosmiczną. Nie znajdował się już na Resurgamie, lecz we wnętrzu ogromnego statku – dawno zaginionego światłowca Triumwir. Nawet ciężenie odczuwało się tu inaczej.

–Nie mogłybyście tego sfabrykować... – przyznał, idąc obok obu kobiet. – Nawet w ciągu stu lat. Chyba, że jesteście Ultraskami? Ale wówczas po co miałybyście fabrykować coś podobnego?

–Jesteś więc gotów uwierzyć w naszą opowieść? – zapytała Inkwizytor.

–Zawładnęliście gwiazdolotem. Nie mogę temu zaprzeczyć. Ale nawet statek tych rozmiarów – a z tego co widziałem, jest co najmniej równie wielki jak "Lorean" – nawet statek takich rozmiarów nie może pomieścić dwustu tysięcy spaczy. Prawda?

–Nie musi – odpowiedziała mu druga kobieta. – Pamiętaj, to akcja ewakuacyjna, nie podróż dla przyjemności. Naszym celem jest tylko wywiezienie ludzi z Resurgamu. Najbardziej wymagających ułożymy do zimnego snu. Ale większość będzie musiała czuć i znosić ciasnotę. Nic przyjemnego, ale w porównaniu ze stanem trupa to luksus.

Na to nie miał argumentów. Żaden z jego planów nie przewidywał luksusowego wyjazdu z planety.

–Jak pani sądzi, ile czasu ludzie będą musieli tu pozostać, zanim wrócą na Resurgam? – zapytał.

Kobiety wymieniły spojrzenia.

–Powrót na Resurgam może w ogóle nie wchodzić w rachubę – rzekła starsza.

Ciern wzruszył ramionami.

–Gdy tu przybyliśmy, zastaliśmy bezpłodną skałę. Jeśli będziemy musieli, znowu zaczniemy od zera.

–Nie, jeśli planeta przestanie istnieć. A niewykluczone, że sytuacja jest aż tak zła. – Idąc popukała w ścianę statku. – Ale utrzymamy tu ludzi tak długo, jak potrzeba – lata, nawet dziesięciolecia.

–Więc polecimy do innego układu planetarnego – odparł. – Przecież to gwiazdolot.

Nie odpowiedziały.

–Nadal chcę zobaczyć, czego się tak boicie – oznajmił. – Co takiego stanowi zagrożenie?

Starsza z kobiet, Irina, zapytała:

–Dobrze sypiasz, Cierniu?

–Najlepiej jak można.

–Obawiam się, że ten stan się skończy. Chodź za mną.

Antoinette testowała systemy na "Burzyku", gdy nadeszła wiadomość. Frachtowiec nadal cumował na brzegu Karuzeli Nowa Kopenhaga w hangarze remontowym, ale większość poważnych uszkodzeń naprawiono lub załatano. Małpy Xaviera pracowały przez okrągłą dobę, gdyż ani on, ani Antoinette nie mogli sobie pozwolić na zajmowanie hangaru choćby godzinę dłużej, niż to niezbędne. Małpy zgodziły się pracować, ale inni hipernaczelnicy robotnicy strajkowali lub chorowali, zarażeni wyjątkowo rzadkim małpim wirusem. Wirus zagadkowo, w ciągu jednej nocy, przekroczył kilkanaście barier międzygatunkowych. Xavier zauważył – tak przynajmniej twierdził – że robotnicy trochę mu współczują. Żaden z nich nie był wielkim fanem Konwencji Ferrisvilskiej, a z powodu tego, że policja prześladowała Antoinette i Xaviera, naczelnice bardziej skłaniały się do łamania normalnych zasad pracowniczych. Jednak nic nie przychodzi darmo i Xavier w końcu będzie musiał wypłacić robotnikom znacznie więcej, niżby sobie życzył. Na pewne rzeczy trzeba przystać bez targów. Taką zasadę dość często głosił ojciec Antoinette, a ona odziedziczyła po nim to samo pragmatyczne podejście.

Zagrała konsola, gdy Antoinette, z komputerem pod pachą i piórem w zębach, akurat przeglądała ustawienia konfiguracyjne pola tokamakowego. Pomyślała z początku, że jej działania spowodowały błąd w innym miejscu, gdzieś w sieci sterowania statku.

Odezwała się, nie wyjmując z ust pióra. Wiedziała, że Bestia bez trudu odcyfruje jej pomruki.

–Bestio... napraw to, dobrze?

–Panienko, sygnał o który chodzi, to zawiadomienie o nadejściu wiadomości.

–Xavier?

–Panienko, to nie pan Liu. Wiadomość, o ile można wnioskować z informacji w nagłówku, przyszła z daleka, spoza karuzeli.

–Więc to gliniarze. Dziwne. Oni zwykle nie dzwonią. Po prostu pojawiają się jak gówno na progu.

–To nie wygląda również na władzę, panienko. Czy można zasugerować, że najostrożniejszą strategią jest przejrzenie rzeczonyj wiadomości?

–Mądrała. – Wyjęła pióro z ust i wepchnęła je za ucho. – Przełącz to na mój kompnotes, Bestio.

–Tak jest, panienko.

Ekran z danymi tokamaka odsunął się na bok, a w jego miejsce ukazała się twarz, popstrzona pikselami małej rozdzielczości. Nadawca starał się zająć jak najwęższe pasmo. Mimo to Antoinette rozpoznała go doskonale.

–Antoinette... to znowu ja. Mam nadzieję, że udało ci się bezpiecznie wrócić. – Nevil Clavain przerwał, drapiąc brodę. – Rzucam ten przekaz przez około piętnaście przekaźników. Niektóre z nich są sprzed zarazy, niektóre pochodzą z epoki preamerikano, więc jakość może nie być najlepsza. Obawiam się, że ani nie będziesz mogła mi odpowiedzieć, ani ja nie będę mógł nadać już nic więcej; to z pewnością mój jeden, jedyny strzał. Potrzebuję twojej pomocy, Antoinette. Strasznie jej potrzebuję. – Uśmiechnął się ze skrępowaniem. – Wiem, co sobie myślisz: powiedziałem, że cię zabiję, jeśli jeszcze raz skrzyżują się nasze drogi. Wtedy rzeczywiście tak myślałem, ale powiedziałem to również dlatego, że chciałem, byś potraktowała mnie poważnie i w przyszłości unikała kłopotów. Naprawdę mam nadzieję, że w to uwierzysz, w przeciwnym bowiem razie nie ma wielkiej szansy, że zgodzisz się spełnić moją następną prośbę.

–Twoją następną prośbę? – powtórzyła, z niedowierzaniem wpatrując się w komputery.

–Antoinette, chcę, byś przyleciała i mnie uratowała. Widzisz, mam mnóstwo kłopotów.

Prośbę Clavaina było dość łatwo spełnić. Antoinette przyznawała, że leżało to całkowicie w jej możliwościach. Nawet współrzędne, które jej podał, były na tyle precyzyjne, że nie wymagały przeprowadzenia poważniejszych poszukiwań. Okno czasowe było wąskie, rzeczywiście wąskie; z tym wiązało się znaczne ryzyko dla zdrowia, niezależne od zagrożenia związanego z samym Clavainem. Ale wszystko dało się przełknąć. Widać było, że przed wysłaniem wiadomości Clavain rozważył wszystkie szczegóły, przewidział prawie wszystkie jej zastrzeżenia oraz trudności, jakie mogła napotkać. Podziwiała tak skrupulatne planowanie.

Ale cóż to za różnica? Wiadomość pochodziła od Clavaina, Rzeźnika z Tharsis; tego samego Clavaina, który ostatnio zaczął odwiedzać jej sny, uosabiając to, co uprzednio było jedynie pozbawiona oblicza trwogą przed rekrutacyjnymi komorami pajaków. To właśnie Clavain kierował połyskującymi maszynami, kiedy pochylały się nad jej puszką mózgową.

Nie miało znaczenia to, że kiedyś uratował jej życie.

–To jakiś pieprzony żart – powiedziała Antoinette.

Clavain unosił się sam w kosmosie. Przez przyłbicę swego skafandra obserwował, jak prowadzona przez automatycznego pilota korweta oddala się po łuku, aż jej opływowy, podobny do krzemienego noża kształt stał się trudno odróżnialny od którejsz ze słabych gwiazd. Wtedy włączył się główny silnik korwety – ostry i jaskrawy niebieskofioletowy kolec – starannie ustawiony, by nie został dostrzeżony z “Nocnego Cienia” Gdyby Clavain pozostał na pokładzie, przyśpieszenie z pewnością by go zmiążdżyło. Obserwował płomień, zmieniający się w bladą kreskę na tle gwiazd. Clavain mrugnął i nie mógł już go znaleźć ponownie.

Był sam – większej samotności nie można sobie wyobrazić.

Choć korweta już w tej chwili miała znaczne przyśpieszenie, podtrzymanie go nie stanowiło dla niej żadnego problemu. Za kilka godzin statek pojawi się w tym punkcie przestrzeni, gdzie – według obserwacji “Nocnego Cienia” – powinien się znajdować. Wtedy silnik zmniejszy ciąg do poziomu znośnego dla ludzkiego pasażera. Skade znowu wykryje płomień korwety, ale zobaczy również, że płomień migocze z pewną nieregularnością, wskazującą na niestabilną syntezę jądrową. Clavain miał przynajmniej nadzieję, że Skade tak to zinterpretuje.

Wcześniej, przez piętnaście godzin lotu, maksymalnie przyśpieszał, rozmyślnie obchodząc zabezpieczenia. Przyśpieszenie osiągalne przez korwetę – obciążoną bronią, paliwem i urządzeniami do podtrzymywania życia – nieznacznie tylko przewyższało fizjologiczną granicę tolerancji Clavaina. Z ostrożności powinien przyśpieszać tylko tyle, ile wytrzyma, ale chciał, by Skade pomyślała, że w swych działaniach posuwa się on odrobinę za daleko.

Wiedział, że Skade obserwuje płomień korwety, szukając najmniejszych oznak omyłki. Podłączył się więc do technicznych systemów sterowania i wprowadził tam symptomy rychłego uszkodzenia statku: zmusił silnik, by przerywał pracę, zmieniał temperaturę, pozwalał niestopionym zanieczyszczeniom na blokowanie wydmuchu. Jednym słowem, silnik miał sprawiać wrażenie, że za chwilę wybuchnie.

Po piętnastu godzinach zasymulował gwałtowne jąkanie się napędu. Skade powinna rozpoznać tryb awarii – objawy były niemal podręcznikowe. Bez wątpienia pomyśli, że Clavain ma pecha, że od razu nie zginął w bezbolesnym wybuchu. Teraz zdoła go dopędzić, więc jego umieranie potrwa dość długo. Jeśli Skade rozpozna typ trybu awaryjnego, dojdzie do wniosku, że zanim autonaprawcze mechanizmy statku usuną defekt, upłynie około dziesięciu godzin. A ponieważ włączył się właśnie ten tryb awaryjny, Skade wywnioskuje, że naprawa może być najwyżej częściowa i jeśli nawet Clavain zdoła ponownie włączyć zapłon reakcji antymaterii, to napęd nigdy nie osiągnie pełnej sprawności. W najlepszym razie Clavain wycisnie z korwety sześć g,

a nie będzie mógł podtrzymywać zbyt długo takiego przyspieszenia.

Gdy tylko Skade zobaczy płomień korwety, gdy zobaczy jego wymowne migotanie, będzie wiedziała, że odniosła sukces. Nigdy się nie dowie, że Clavain wykorzystał te dziesięć miłosiernie darowanych godzin nie na naprawę wadliwego silnika, ale na przemieszczenie się do zupełnie innego miejsca. Przynajmniej miał nadzieję, że Skade nigdy się tego nie domyśli.

Jego ostatnia czynność to wysłanie wiadomości do Antoinette Bax i zagwarantowanie, że sygnał nie zostanie przejęty ani przez Skade, ani przez inne wrogie siły. Poinformował Antoinette gdzie będzie dryfował i ile dokładnie czasu przeżyje w pojedynczym niskotrwałym skafandrze bez złożonych systemów recyklingu. Oceniał, że Antoinette dotrze do niego na czas i zabierze go ze strefy wojennej, zanim Skade uświadomi sobie, co się dzieje. Antoinette musi tylko dotrzeć w pobliże określonego przezeń obszaru kosmosu i omieść go swoim radarem. Wcześniej czy później powinna zobaczyć sylwetkę Clavaina.

Całkowicie był w jej rękach.

Postarał się zwiększyć trwałość skafandra. Wywołał pewne – rzadko wykorzystywane podprogramy neuronalne, które pozwalały mu na zwolnienie własnej przemiany materii, tak by zużywał jak najmniej powietrza i energii. Zachowywanie cały czas świadomości nie miało sensu – nic mu nie dawało, jedynie okazję do niekończących się rozważań, czy zaraz umrze, czy jeszcze pożyje.

Dryfując samotnie w kosmosie, przygotował się do stanu nieświadomości. Pomyślał o Felce – nie sądził, że ją jeszcze zobaczy – i zastanawiał się nad jej przesłaniem. Nie wiedział, czy chce, by zawierało prawdę. Miał również nadzieję, że Felka pogodzi się z jego ucieczką. Nie będzie żywiła do niego nienawiści, że zignorował jej prośby i jednak uciekł.

Kiedyś przeszedł na stronę Hybrydowców, wierzył bowiem, że w tamtych okolicznościach tak należy postąpić. Nie miał wtedy czasu na zaplanowanie ucieczki ani na ocenę poprawności tego planu. Nadeszła po prostu chwila, gdy musiał dokonać wyboru. Wiedział wtedy, że nie ma odwrotu.

Teraz było podobnie. Chwila się pojawiła... i wykorzystał okazję, pomny konsekwencji, wiedząc, że może się mylić, że jego obawy mogą się okazać bezzasadne, że może to produkt paranoicznych starczych majaków. Wiedział jednak, że trzeba to zrobić.

Podejrzewał, że dla niego ta sytuacja jest typowa.

Wspomniął czas, gdy leżał pod gruzami, w powietrznej kieszeni pod zawaloną konstrukcją na Marsie. Było to około czterech standardowych miesięcy po kampanii

pod Przyczółkiem Tharsis. Wspomnił kota ze złamanym kręgosłupem, którego utrzymywał przy życiu. Dzielił się swymi zapasami z rannym zwierzęciem, nawet gdy pragnienie jak kwas wyżerało mu usta i gardło. Nawet wtedy, gdy głód był o wiele, wiele większy od bólu własnych ran. Kot zmarł wkrótce po tym, jak obydwaj zostali wyciągnięci z gruzów. Clavain zastanawiał się, czy dla zwierzęcia nie byłaby lepsza wcześniejsza śmierć od przedłużania o kilka dni bolesnej egzystencji. A jednak wiedział, że za każdym razem w podobnych okolicznościach ponownie utrzymywałby kota przy życiu, bez względu na czczość tego gestu. Nie chodziło tylko o to, że dzięki opiece nad kotem mógł odwrócić uwagę od własnej trwogi i niewygód. Chodziło o coś więcej, ale nie potrafił tego prosto określić. Czuł jednak, że to ten sam impuls, który przyciąga go do Yellowstone, ten sam impuls, który zmusił go do szukania pomocy u Antoinette Bax.

Samotny i przerażony, daleko od jakiegokolwiek świata, Nevil Clavain osunął się w nieświadomość.

SIEDEMNAŚCIE

Obie kobiety zaprowadziły Ciernia do pomieszczenia w trzewiach "Nostalgii za Nieskończonością". Jego centralną część zajmował ogromny kulisty aparat projekcyjny, zawieszony pośrodku komnaty jak groteskowa pojedyncza gałka oczna. Cierń nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś przygląda mu się badawczo, jakby nie tylko oko, lecz cała materia statku studiowała go z ogromnym swoim zainteresowaniem. Potem zaczął dostrzegać szczegóły otoczenia. Wszędzie widział ślady zniszczeń. Nawet sam aparat projekcyjny najwyraźniej przechodził ostatnio prymitywne naprawy.

–Co tu się stało? – zapytał Cierń. – Strzelali tutaj do siebie, czy co?

–Nigdy się tego nie dowiemy – oparła Inkwizytor Vuilleumier. – Widocznie załoga nie była tak jednomyślna, jak nam się wydawało podczas kryzysu Sylveste'a. Te ślady wskazują, że na statku istniały jakieś frakcje, które starły się ze sobą.

–Zawsze podejrzewaliśmy, że tak właśnie było – dodała Irina. – Podskórne niepokoje. Wygląda na to, że zdarzenia wokół Cerberusa- Hadesu wystarczyły, by wzniecić bunt. Załoga wzajemnie się powybijała, pozostawiając statek samemu sobie.

–To nam bardzo na rękę – zauważył Cierń.

Kobiety wymieniły spojrzenia.

–Przejdźmy do rzeczy – rzekła Vuilleumier.

Puściły mu film – holograficzne obrazy rzutowało wielkie oko. Cierń przypuszczał, że to synteza komputerowa, zestawiona na podstawie danych, które statek zebrał z mnogich czujników, z różnych punktów widzenia w rozmaitych pasmach. Film prezentował widok z perspektywy bożego oka, zdolnego objąć całe planety i ich orbity.

–Proszę cię, żebyś przyjął coś do wiadomości – zwróciła się Irina do Ciernia. – To trudne, ale konieczne.

–Mianowicie?

–Cała ludzka rasa balansuje na krawędzi zagłady.

–To mocne stwierdzenie. Mam nadzieję, że potrafisz je uzasadnić.

–Potrafię i zrobię to. Przede wszystkim trzeba zrozumieć, że zagłada, jeśli do niej dojdzie, zacznie się tu i teraz, wokół Deltę Pawia. Ale to będzie tylko początek czegoś

znacznie większego i krwawszego.

Cierń nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

–Więc Sylveste miał słuszość. Czy o to chodzi?

–Sylveste nie znał szczegółów, nie rozumiał ryzyka, które podjął. Ale co do jednego miał rację: wierzył, że Amarantini zostali unicestwieni wskutek interwencji z zewnątrz i że miało to związek z ich nagłym pojawieniem się jako cywilizacji podróżującej w kosmosie.

–I nam przydarzy się to samo?

Irina skinęła głową.

–Wydaje się, że tym razem mechanizm będzie inny. Ale nośniki są te same.

–Czyli?

–Maszyny – wyjaśniła Irina. – Niesłychanie stare, podróżujące wśród gwiazd maszyny. Przez miliony lat skrywały się między gwiazdami, czekając, aż następna cywilizacja zakłóci wielką galaktyczną ciszę. Istnieją tylko po to, by wykrywać pojawiające się inteligencje i je dławić. Nazywamy ich Inhibitorami.

–A teraz są tutaj.

–Dowody by na to wskazywały.

Cierń zobaczył, co się wydarzyło dotychczas: eskadrę czarnych maszyn, które przybyły do układu Resurgamu i zabrały się do demontażu trzech światów. Irina podejrzewała, że to prawdopodobnie działalność Sylveste'a je przyciągnęła i że do układu Resurgamu mogą z dalszych okolic galaktyki podążać następne watahy maszyn zaalarmowanych przez rozszerzające się czoło fali tego samego sygnału, który uaktywnił pierwsze maszyny.

Cierń obserwował jak umierają trzy światy. Jeden był metaliczną planetą; trzy pozostałe skalistymi księżycami. Maszyny roiły się i mnożyły na powierzchniach księżyców, przykrywając je warstwą wyspecjalizowanych form przemysłowych. Z równików czekały w kosmos pióra wydobytej materii. Księżyce drążono jak jabłka. Pióra materii kierowano w paszcze trzech kolosalnych maszyn przetwórczych, okrążających te umierające ciała niebieskie. Strumienie oczyszczonej materii, posegregowane według oddzielnych rud, izotopów i stopnia rozdrobnienia, wyrzucano następnie w przestrzeń międzyplanetarną, by leciały łukiem po leniwych parabolach.

–To był tylko początek – powiedziała Vuilleumier.

Pokazały mu, jak strumienie masy z trzech rozmontowywanych księżyców zbiegają się w jednym punkcie przestrzeni. Punkt ten leżał na orbicie największego gazowego giganta układu. Olbrzymia planeta miała osiągnąć ten punkt dokładnie w tym samym czasie co strumienie materii.

–Właśnie wtedy przełączyliśmy swoją uwagę na gazowego giganta – powiedziała Irina.

Machiny Inhibitorów niezwykle trudno było wykryć. Z wielkim wysiłkiem udało się odkryć obecność jeszcze jednego roju maszyn wokół giganta. Długi czas maszyny nie robiły nic – czekały, przygotowane na przybycie strumieni, stu miliardów miliardów ton surowego materiału.

–Nie rozumiem – rzekł Cierń. – Wokół samego gazowego giganta krąży mnóstwo księżyców. Po co rozmontowywać księżyce gdzie indziej, jeśli są potrzebne tutaj?

–Tamte nie są właściwym rodzajem księżyców – wyjaśniła Irina. – Większość księżyców wokół giganta to zaledwie lodowe kule, małe skaliste jądra otoczone skroplonymi lub zestalonymi gazami. Potrzebowali światów metalicznych, a to oznaczało, że trzeba szukać dalej.

–A teraz co mają zamiar zrobić?

–Zbudować coś innego – powiedziała Irina. – Coś jeszcze większego, do czego potrzeba sto miliardów miliardów ton surowca.

Cierń znów spojrzał na oko.

–Kiedy to się zaczęło? Kiedy strumienie materiału dotarły do Roka?

–Trzy tygodnie temu. Ten obiekt zaczyna nabierać kształtów. – Irina postukała w bransoletę na przegubie, zoomując wielkie oko na bezpośrednie sąsiedztwo giganta. Większość planety pozostawała w cieniu. Nad jedyną oświetloną krawędzią – przezierającym sierpem łamanej bieli z bladymi smugami ochry i beżu – sterczał włókнопodobny łuk o rozpiętości wielu tysięcy kilometrów. Irina zoomowała obraz na środek łuku.

–O ile da się stwierdzić, jest to ciało stałe – powiedziała Vuilleumier. – Łuk koła o promieniu stu tysięcy kilometrów. Znajduje się na orbicie równikowej wokół planety i przyrasta na końcach.

Irina znowu powiększyła obraz, ogniskując go dokładnie na środkowym punkcie rosnącego łuku. Było tam wybrzuszenie – i w obecnej rozdzielczości zaledwie plamka

o kształcie landrynki. Irina postukała w kontrolki na bransolecie i plamka rozkwitła w szczegółach, wypełniając całą objętość displeju.

–To był samodzielny księżyc – wyjaśniła – lodowa kula o średnicy kilkuset kilometrów. Zmienili jego orbitę nad równikiem w regularny okrąg. Zajęło im to tylko kilka dni, a księżyc nie rozpadł się od naprężeń dynamicznych. Potem maszyny wzniosły wewnątrz konstrukcje – musimy przyjąć, że to dodatkowy sprzęt przetwórczy. Jeden ze strumieni materii wpada w księżyc tutaj, przez tę paszczekształtną strukturę. Trudno nawet spekulować na temat tego, co dzieje się w środku. Wiemy tylko, że z księżycyca wystają dwie rurowate konstrukcje – zgodne z kierunkiem jego ruchu po orbicie. W tej skali są cienkie jak wąsy kota, ale naprawdę obie rury mają piętnaście kilometrów grubości. Obecnie wystają z każdej strony księżycyca na siedemdziesiąt tysięcy kilometrów i zwiększają swą długość o jakieś dwieście osiemdziesiąt kilometrów na godzinę.

Zauważywszy niedowierzanie Ciernia, Irina potaknęła.

–To prawda. Wszystko, co tu widzisz, powstało w ciągu ostatnich dziesięciu dni standardowych. Mamy do czynienia ze zdolnościami produkcyjnymi przekraczającymi nasze możliwości. Nasze maszyny potrafią zmienić niewielką, bogatą w metal asteroidę w statek kosmiczny w ciągu kilku dni, ale nawet to wydaje się procesem zadziwiająco powolnym w porównaniu z działalnością Inhibitorów.

–Dziesięć dni na ukształtowanie łuku. – Cierniowi włosy na karku stały dęba, co przyprawiało go o zakłopotanie. – Czy sądzicie, że będzie rósł, aż się zamknie?

–Całkiem możliwe. Jeśli ma z tego wyjść pierścień, powinien się zamknąć za niecałe dziewięćdziesiąt dni.

–Trzy miesiące! Macie rację. Nie potrafilibyśmy zrobić czegoś takiego. Nigdy, nawet w czasie belle epoque. Ale po co? Po co budować pierścień wokół gazowego giganta?

–Nie wiemy. Ale mamy coś więcej. – Irina gestem głowy wskazała oko. – Kontynuujemy?

–Pokażcie. Chcę zobaczyć wszystko – oznajmił Cierń.

Pokazała mu resztę. Wyjaśniała, w jaki sposób trzy pojedyncze strumienie materii poruszają się od punktów wytwarzania po niemal idealnych krzywych balistycznych, niczym łańcuchy kamyków rzuconych w precyzyjnym szyku. Jednak w pobliżu gazowego giganta maszyny – zbyt małe, by je stąd dostrzec – dokładnie synchronizowały te potoki, kierowały na miejsce i hamowały. Kamyki zmuszano do ostrego skrętu i kierowano do odpowiedniego ogniska konstrukcji. Jeden strumień spadał w paszczę księżycyca z wystawionymi wąsami. Pozostałe dwa znikły w

podobnych paszczowatych konstrukcjach na dwóch innych księżycach, uprzednio wprowadzonych na niskie orbity tuż ponad warstwą chmur. Oba księżyce znajdowały się znacznie poniżej granicy obszaru, w którym siły pływowe powinny były je zniszczyć.

–Co robią te dwa inne księżyce? – zapytał Cierń.

–Chyba co innego – powiedziała Irina. – Spójrz tutaj. Może coś zrozumiesz lepiej od nas.

Dokładne wnioskowanie nie było łatwe. Z każdego z niższych księżyców wystawał wąs materiału, prowadzący w tył, w kierunku przeciwnym do ruchu orbitalnego. Rozmiar wąsów wydawał się taki sam, jak łuku budowanego przez wyższy księżyc, ale oba wąsy tworzyły zawijastą węzową krzywą, prowadzącą od stycznej do orbity w głąb atmosfery. Wyglądały jak kable telegraficzne odwijane ze statku do morza i znikające pod powierzchnią wody. Bezpośrednio za punktem zanurzenia każdej z rur rozpościerał się – na wiele tysięcy kilometrów – podobny do oka kilwater zmaconej i zaburzonej atmosfery.

–W obserwowanym obszarze nie pojawiają się ponownie na powierzchni – powiedziała Vuilleumier.

–Jak szybko są budowane?

–Trudno stwierdzić. Na samych rurach nie ma żadnych punktów odniesienia, nie możemy więc obliczyć, jak szybko wychodzą one z księżyców. Nie ma sposobu, by zmierzyć efekt Dopplera, chyba że ujawnilibyśmy, że dokonujemy pomiarów. Ale wiemy, że wpływ materii do wszystkich trzech księżyców jest mniej więcej jednakowy, a rury mają tę samą średnicę.

–Więc prawdopodobnie są odwijane w atmosferę z tą samą szybkością, z jaką jest tworzony łuk. Dwieście osiemdziesiąt kilometrów na godzinę czy coś koło tego? – Cierń spojrzał na kobiety, szukając u nich podpowiedzi. – Macie jakieś teorie?

–Nawet nie próbujemy zgadywać – odparła Irina.

–Ale według was to nie wróży nic dobrego, prawda?

–Nie, nie wróży. Ponadto, wydaje mi się, że to, co się dzieje w dole, jest fragmentem czegoś jeszcze większego.

–A z tego wynika, że musimy ewakuować Resurgam?

Skinęła głową.

–Jest jeszcze trochę czasu. Zewnętrzny łuk zostanie ukończony najwcześniej za osiemdziesiąt dni, a wydaje się bardzo nieprawdopodobne, że natychmiast po tym nastąpi katastrofa. Możliwe, że zacznie się wtedy następny proces, który może potrwać równie długo, jak budowa łuku. Czyli mamy do dyspozycji jeszcze miesiące.

–Ale tylko miesiące, nie lata.

–Na ewakuację Resurgamu potrzebujemy jedynie sześciu miesięcy.

Ciern pamiętał obliczenia, które mu pokazały – suche dane dotyczące arytmetyki lotów promu i zdolności przewozowych. Wystarczyło sześć miesięcy, owszem, ale bez uwzględnienia ludzkich zachowań. Ludzie nie zachowują się jak masowe cargo. Zwłaszcza ludzie, których przez pięćdziesiąt lat terroryzował i zastraszał represyjny reżim.

–A wcześniej mówiłyście, że mamy na to jeszcze kilka lat.

Vuilleumier uśmiechnęła się.

–Kilka niewinnych kłamstw, to wszystko.

Potem zaprowadziły Ciernia do innego pomieszczenia. Po drodze mnóstwo razy skręcali i Cierń odniósł wrażenie, że chodzą w koło, po raz nie wiadomo który pokonując tę samą trasę. Wreszcie znaleźli się w ogromnym hangarze, gdzie w stelażach parkingowych wisiało wiele pojazdów kosmicznych, statki transatmosferyczne i promy statek- statek, podobne do opływowych rekinów czy rozdętych, kolczastych skalarów. Przeważnie pojazdy były za małe, bezużyteczne dla proponowanego planu ewakuacji, ale mimo to na Cierniu robiły wrażenie.

Kobiety pomogły mu nawet wdziać skafander z plecakiem napędowym i odbył turę po hangarze i statkach, które zabiorą ludzi z Resurgamu i przeniosą przez kosmos do "Nostalgii za Nieskończonością". Przedtem żywił jakieś podejrzenia, że coś tu zostało sfalszowane, ale widok ogromnej komnaty i prawdziwych pojazdów rozwiał wszelkie obiekcje, przynajmniej te dotyczące realności "Nostalgii".

A jednak... Widział statek na własne oczy, spacerował po nim i wyczuwał subtelną różnicę między sztucznym ciążeniem, generowanym przez obrót, a przyciąganiem Resurgamu, które znał przez całe swe dorosłe życie. Statku nie można było podrobić, sfabrykowanie hangaru wypełnionego mniejszymi pojazdami wymagałoby nadzwyczajnych środków. Ale samo zagrożenie? W tej kwestii coś mu nie pasowało. Wiele mu pokazały, ale jednak stanowczo za mało. Zagrożenie dla Resurgamu przedstawiono mu tylko pośrednio. Niczego nie widział na własne oczy.

Był człowiekiem, który wszystkiego musiał dotknąć osobiście. Mógłby poprosić, by mu pokazały dalsze dowody, ale nawet gdyby go zabrały poza statek i pozwoliły patrzeć przez teleskop skierowany na gazowego giganta, nie mógłby mieć pewności, że widok nie został spreparowany. Nawet gdyby spojrzął na giganta nieuzbrojonym okiem, nadal musiałby przyjąć na wiarę, że świetlna kropka, którą ogląda, uległa zmianie wskutek działalności maszyn.

Cierń niczego nie przyjmował na wiarę.

–I co, Cierniu? – spytała Vuilleumier, pomagając mu wydostać się ze skafandra. – Chyba widziałeś wystarczająco wiele i wiesz teraz, że nie kłamiemy? Im szybciej odstawimy cię na Resurgam, tym wcześniej pchniemy naprzód sprawę ewakuacji. Jak mówiłyśmy, czas jest bardzo cenny.

Spojrzał na drobną kobietę o oczach koloru dymu.

–Słusznie. Dużo zobaczyłem i przyznaję, że nie we wszystkim skłamałyście.

–Czyli, załatwione?

–Ale to nie wystarczy.

–Nie?

–Pani Inkwizytor, zaryzykowałbym zbyt wiele, przyjmując cokolwiek na wiarę.

–Widziałeś swoje dossier, Cierniu – odpowiedziała. W jej głosie pobrzmiwały stalowe nutki. – Jego zawartość wystarczy, by cię posłać do Amarantinów.

–Nie wątpię. Dostarczę wam więcej takiego materiału, jeśli chcecie. To niczego nie zmieni. Nie poprowadzę ludzi do czegoś, co wygląda na rządową pułapkę.

–Nadal sądzisz, że to spisek? – spytała Irina.

–Nie mogę odrzucić tego przypuszczenia, a tylko to się liczy.

–Ale pokazałyśmy ci, co robią Inhibitorzy.

–Nie. Pokazałyście mi trochę danych w urządzeniu projekcyjnym. Nadal nie mam obiektywnych dowodów, że maszyny są prawdziwe.

Vuilleumier spojrzała na niego błagalnie.

–Cierniu, na litość boską. Ile jeszcze musimy ci pokazać?

–Wystarczająco, bym całkowicie uwierzył – odrzekł. – Jak to zrobicie, to już wasza sprawa.

–Cierniu, nie ma na to czasu.

Słyszając ton jej głosu, zastanowił się. Powiedziała to z takim niepokojem, że niemal zupełnie rozwiąła jego wątpliwości. Słyszał w jej głosie trwogę.

Ona naprawdę czegoś się bała...

Cierń popatrzył w głąb hangaru.

–Czy któryś z tych statków można podlecieć bliżej do giganta?

W Wojnie Świtu chodziło o metal.

Prawie wszystkie pierwiastki ciężkie w obserwowanym wszechświecie zostały wysmażone w rdzeniach gwiazd. W wielkim wybuchu powstał wodór, hel i lit, ale każde kolejne pokolenie gwiazd wzbogacało paletę dostępnych w kosmosie pierwiastków. Masywne słońca wytwarzały pierwiastki lżejsze od żelaza w delikatnie zrównoważonych reakcjach syntezy, klocek po klocek. W miarę, jak wyczerpywały się pierwiastki, lżejsze reakcje kaskadowo zmieniały się na coraz trudniejsze, coraz rozpaczliwsze. Ale kiedy gwiazdy zaczęły spalać krzem, zaświtał koniec. Ostatnim stadium syntezy krzemu była żelazna skorupa wokół rdzenia gwiazdy, ale samego żelaza nie dało się zsyntetyzować. Ledwie dzień po rozpoczęciu syntezy krzemu gwiazda stawała się nagle katastroficznie niestabilna, zapadała się pod wpływem własnej grawitacji. Odbijające się fale uderzeniowe wywołane kolapsem, wynosiły rdzeń gwiazdy w kosmos – świecił wtedy jaśniej od wszystkich gwiazd w galaktyce. Sama supernowa stwarzała nowe pierwiastki, wypompowując kobalt, nikiel, żelazo oraz barszcz radioaktywnych odpadów na powrót w rozrzedzone obłoki gazu, które znajdują się wśród wszystkich gwiazd. I właśnie to medium międzygwiazdne dostarczyło surowca do następnych pokoleń gwiazd i światów. Pobliska chmura gazu, która dotychczas była stabilna, przy kolapsie rozrywała się od fali uderzeniowej supernowej, tworząc węzły i wiry o zwiększonej gęstości. Chmura, wzbogacona już w metal wcześniejszymi supernowymi, zaczynała się zapadać pod wpływem swojej własnej upiornej grawitacji. Tworzyła gorące, gęste gwiazdne żłobki, miejsca narodzin niecierpliwych, młodych gwiazd. Niektóre z nich to zimne karty, spalające tak wolno swoje gwiazdne paliwo, że przetrwają samą galaktykę. Ale inne to szybsze spalacze, supermasywne słońca, które żyły i umierały w galaktycznym mgnieniu oka. W swych agonalnych drgawkach rozrzucali w próżni dodatkowe metale i wszczynały dalsze cykle gwiazdnych narodzin.

Proces trwał aż do samego zarania życia. Gorące wybuchy umierających gwiazd pstrzyły galaktykę, a z każdym wybuchem powiększały się zasoby surowców do budowy światów – i samego życia. Jednak stałe wzbogacanie w metale nie nastąpiło jednorodnie w całym galaktycznym dysku. W oddalonych rejonach galaktyki cykle gwiazdnej śmierci i gwiazdnych narodzin przebiegały znacznie wolniej niż w gorączkowych strefach rdzeniowych.

Właśnie przy gwiazdach położonych bliżej rdzenia powstały skaliste planety, gdzie metale osiągnęły najpierw swój poziom krytyczny. Właśnie ze stref rdzeniowych, w rejonie tysiąca kiloparseków od samego centrum galaktyki, wyłoniły się pierwsze cywilizacje podróżujące w kosmosie. Wyjrzały w galaktyczną głuszę, wyrzuciły posłańców na tysiące lat świetlnych i wyobraziły sobie, że są same, unikalne i w jakiś sposób uprzywilejowane. Były to czasy zarówno smutku, jak i niesamowitych

kosmicznych możliwości. Rasy wyobraziły sobie, że są panami stworzenia.

W galaktyce jednak nic nie dzieje się tak prosto. Inne kultury wyłoniły się mniej więcej w tej samej epoce galaktycznej, w tym samym paśmie układów nadających się do zamieszkania, a dalej, w zimnej strefie istniały obszary wyższego stężenia metali – statystyczne fluktuacje, dzięki którym życie konstruujące maszyny pojawiło się tam, gdzie nie powinno być to możliwe. Nie było wszechgalaktycznych dominacji, gdyż żadna z tych rodzących się kultur nie rozszerzyła się na całą galaktykę- zawsze wcześniej natykała się na fale ekspansji jakiegoś rywala. Wszystko to działo się z oślepiającą szybkością, kiedy tylko zaistniały odpowiednie warunki początkowe.

A jednak same warunki początkowe się zmieniały. Wielkie gwiazdne piece nie wygasły. Kilka razy na stulecie ciężkie gwiazdy umierały jako supernowe, przyćmiewając swym blaskiem wszystkie pozostałe. Zazwyczaj dogorywały za smolistymi woalkami kurzu i ich śmierć przechodziła niezauważona, jeśli nie liczyć świergotu neutrin czy sejsmicznych wstrząsów fal grawitacyjnych. Ale wyprodukowany przez nie metal nadal wędrował do międzygwiazdowego ośrodka. Kosmiczny przemysł nieprzerwanie wytwarzał surowce, niepomny inteligencji, której pozwalał rozkwiąć.

Blisko rdzenia nasycenie metalem stawało się jednak wyższe od optimum. Nowe światy, tworzące się wokół nowych słońc były rzeczywiście ciężkie, z rdzeniami naładowanymi pierwiastkami ciężkimi. Ich pola grawitacyjne były silniejsze, a chemia bardziej niestabilna niż na światach wcześniejszych. Tektonika płytowa już tu nie działała, gdyż planetarne płaszcze nie mogły już utrzymać brzemienia sztywnej pływającej skorupy. Bez ruchów tektonicznych rzeźba terenu była mało zróżnicowana. Przyciągane komety zderzały się z tymi planetami, nawadniając je. Rozległe, rozpościerające się na całą planetę oceany drzemały pod ponurymi niebiosami. Złożone formy życia rzadko tam ewoluowały z powodu braku odpowiednich nisz i mało urozmaiconego klimatu. A te kultury, które osiągnęły etap podróży kosmicznych, uważały, że nowe planety w rdzeniu nie są ani użyteczne, ani urozmaicone. Gdy jakiś obszar właściwego nasycenia metalami już miał się skondensować w atrakcyjny układ planetarny, starsze kultury często spierały się o prawa własności. Wynikłe stąd kłótnie były najokazalszymi pokazami wyładowań energetycznych, jakie widziała galaktyka, jeśli nie liczyć jej własnych ślepych procesów gwiazdnej ewolucji. Ale to nic w porównaniu z tym, co miało nadejść.

Unikając więc konfliktów tam gdzie się dało, starsze kultury zwróciły się na zewnątrz. Ale tam też zostały zablokowane. W ciągu pół miliarda lat optymalna do zamieszkania strefa przesunęła się trochę dalej od rdzenia galaktyki. Galaktyczna fala życia stanowiła pojedynczą zmarszczkę, rozszerzającą się od centrum ku brzegowi. Miejsca formowania się gwiazd – uprzednio zbyt ubogie w metal, by utworzyć owocne układy słoneczne – teraz zostały już dostatecznie wzbogacone.

Znowu wybuchły konflikty. Niekiedy trwały dziesięć milionów lat i pozostawiły na galaktyce blizny, których zaleczenie zajęło następne pięćdziesiąt milionów lat.

A jednak to nic w porównaniu z nadchodzącą Wojną Świtu.

Galaktyka była maszyną do wytwarzania metali, a w związku z tym do przeprowadzania złożonych reakcji chemicznych, a co za tym idzie – życia, jednakże w równym stopniu mogła być postrzegana jako maszyna do produkcji wojen. W dysku galaktycznym nie istniały stabilne nisze. W skali czasu, mającej znaczenie dla galaktycznych supercywilizacji, środowisko nieprzerwanie się zmieniało.

Koło galaktycznej historii zmuszało je do wiecznego konfliktu z innymi kulturami, starymi i nowymi.

Nadeszła więc wojna o położenie kresu wojnom, wojna, która zakończyła pierwszą fazę historii galaktycznej – tę wojnę miano kiedyś nazwać Wojną Świtu, gdyż wydarzyła się w aż tak odległej przeszłości.

Inhibitorzy z samej wojny pamiętali niewiele. Ich własna historia była chaotyczna, pogmatwana i prawie na pewno poddana ostrej redakcji wstecznej. Nie mieli pewności, co stanowiło udokumentowany fakt, a co produkt jakiegoś ich wcześniejszego wcielenia, stworzony dla potrzeb międzygatunkowej propagandy. Możliwe, że kiedyś byli istotami organicznymi, kręgowcami, ciepłokrwistymi mieszkańcami lądów z dwukomorowymi mózgami. Słaby ślad takiego pochodzenia dawało się wykryć w ich obecnej cybernetycznej budowie.

Przez długi czas trzymali się organiki. Jednak w pewnym momencie maszynowa jaźń stała się dominująca i Inhibitorzy zrzucili stare formy. Jako inteligencje maszynowe wędrowali po galaktyce. Wspomnienie życia na planetach stało się niewyraźne, a potem wytarte całkowicie, nie miało większego znaczenia niż pamięć ludzi o życiu na drzewach.

Liczyła się tylko wielka praca.

W swej kwaterze – po dopilnowaniu, by Remontoire i Felka dowiedzieli się, że cel misji został osiągnięty – Skade kazała zbroi ustawić jej głowę na postumencie. Odkryła, że kiedy jest przytwierdzona, jej myśli nabierają innej tekstury. Miało to jakiś związek z niewielkimi różnicami w systemach obiegu krwi, z subtelnym zabarwieniem smakowym neurochemikaliów. Na postumencie czuła się spokojna i skupiona wewnątrz, otwarta dla obecności, którą stale nosiła w sobie.

[Skade?].

Głos Rady Nocnej był słaby, prawie dziecięcy, ale zupełnie nie dał się ignorować. Skade poznała go już dobrze.

Tak.

[Uważasz, że odniosłaś sukces, Skade?].

Tak.

[Opowiedz nam o tym, Skade].

Clavain nie żyje. Nasze pociski go dosięgły. Jego śmierć nadal czeka na potwierdzenie... ale jestem tego pewna.

[Czy umarł dobrze, w sensie Rzymian?].

Nie poddał się. Cały czas uciekał, nawet gdy z pewnością zdawał sobie sprawę, że z uszkodzonymi silnikami nie uda mu się daleko zbiec.

[Nie sądziliśmy, że kiedykolwiek się podda. Mimo to, wszystko szybko się dla niego zakończyło. Dobrze się sprawiłaś, Skade. Jesteśmy usatysfakcjonowani. Więcej niż usatysfakcjonowani].

Skade chciała skinąć głową, ale postument jej to uniemożliwił.

Dziękuję.

Rada Nocna dała jej czas na zebranie myśli. Rada zawsze otaczała ją względami i miała dla niej mnóstwo cierpliwości. Nieraz głos informował Skade, że ceni ją sobie może najwyżej z nielicznej elity. W ich kontaktach, tak jak to odbierała Skade, było coś z relacji między nauczycielem a utalentowanym, dociekliwym uczniem.

Skade rzadko się zastanawiała, skąd pochodzi głos albo co sobą dokładnie reprezentuje. Rada Nocna ostrzegła ją, by nie myślała za dużo o tych sprawach, jej

myśli bowiem mogą przechwycić inni.

Skade wspomniała, w jaki sposób Rada Nocna pierwszy raz odkryła się przed nią i ujawniła nieco ze swojej natury.

[Jesteśmy wybranym rdzeniem Hybrydowców], poinformowała ją, [Ścisłą Radą tak tajną, tak nadzwyczajnie zabezpieczoną, że o naszym istnieniu nie wiedzą, nawet go nie podejrzewają, najstarsi, ortodoksyjni członkowie Rady. Jesteśmy głębiej niż Wewnętrzne Sanktuarium, choć Sanktuarium jest czasami naszym mimowolnym klientem, naszą marionetką w szerszych sprawach Hybrydowców. Ale nie jesteśmy jego częścią. Nasz związek z tymi innymi ciałami można opisać jedynie w języku matematycznym przecinających się zbiorów. Szczegóły nie muszą cię obchodzić].

Potem głos oznajmił jej, że została wyselekcjonowana. Świetnie się sprawiła w najbardziej niebezpiecznych ostatnich operacjach Hybrydowców, w tajnej misji w głąb Chasm City po kluczowe elementy, niezwykle ważne dla programu badawczego z techniki tłumienia bezwładności. Nikt inny nie wyszedł z misji żywy, prócz Skade.

[Sprawiłaś się dobrze. Jakiś czas temu zwróciliśmy na ciebie nasze zespołowe oko, i to była twoja szansa, by zabłysnąć. Nie uszło to naszej uwagi. Właśnie dlatego odkryliśmy się teraz przed tobą: ponieważ jesteś Hybrydowcem zdolnym wykonać trudne, czekające nas zadanie. To nie komplement, Skade, to stwierdzenie faktów].

To prawda, że tylko ona przeżyła operację w Chasm City. Dokładne szczegóły zostały wymazane z jej pamięci, wiedziała jednak, że było to niezwykle niebezpieczne przedsięwzięcie wysokiego ryzyka, które nie przebiegło zgodnie z planami Ścisłej Rady.

Operacje Hybrydowców zawierały pewien paradoks. Ci żołnierze, których można było wykorzystać na linii walk wewnątrz Spornych Obszarów, nie mogli przechowywać w swych głowach istotnych informacji. Ale głęboki wywiad, tajne wypadki we wrogi kosmos to zupełnie inna sprawa. Były wysoce delikatnymi operacjami, w które wciągano wyspecjalizowanych Hybrydowców. Co więcej, wymagały wykorzystania agentów, obrobionych psychologicznie, by znosili izolację od swych ziomków. Takie jednostki, które mogły pracować samotnie, daleko za linią wroga stanowiły prawdziwą rzadkość – patrzono na nie z mieszanymi uczuciami. Clavain był jedną z takich jednostek.

Skade była drugą.

Kiedy wróciła do Matczynego Gniazda, głos odwiedził jej czaszkę po raz pierwszy. Powiedział, że z nikim nie wolno jej o tym kontakcie rozmawiać.

[Cenimy sobie naszą tajność, Skade. Będziemy ją chronić wszelkimi siłami. Służ nam, a będziesz służyć większemu dobru Matczynego Gniazda. Jeśli nas zdradzisz,

nawet mimowolnie, będziemy zmuszeni cię uciszyć. Nie sprawi nam to radości, ale to zrobimy].

Czy jestem pierwsza?

[Nie, Skade. Są inni tacy jak ty. Ale nigdy się nie dowiesz, kim są. Taka jest nasza wola].

Czego ode mnie chcecie?

[Niczego, Skade. Ale kiedy będziemy cię potrzebować, odezwiemy się].

I rzeczywiście. Po miesiącach, a potem latach, które nadeszły, doszła do wniosku, że głos był złudzeniem bez względu na to, jak realny wydawał się w tamtym czasie. Ale w najmniej spodziewanej chwili Rada Nocna powróciła. Głos z początku nie prosił o wiele: głównie o działanie przez zaniechanie. Promocja Skade do Ścisłej Rady nastąpiła na skutek jej własnych wysiłków, a nie interwencji głosu. Później można było powiedzieć to samo o jej wejściu do Wewnętrznego Sanktuarium.

Często się zastanawiała, kto dokładnie tworzył Radę Nocną. Przyglądając się twarzom w Ścisłej Radzie i w szerszym Matczynym Gnieździe, była pewna, że niektóre z nich należały do członków nie istniejącej oficjalnie Rady, którą głos reprezentował. Nie dostrzegła jednak żadnej aluzji, nawet spojrzenia, które wydałoby się nie na miejscu. W zalewie ich myśli nigdy nie zabrzmiała podejrzana nuta; Skade nigdy nie miała poczucia, że głos przemawia do niej innymi kanałami. I starała się jak mogła nie myśleć o głosie, kiedy był nieobecny. W pewnych przypadkach po prostu spełniała jego prośby, odmawiając badania źródeł wewnętrznego przymusu. Czowała satysfakcję, służąc czemuś wyższemu od siebie.

Stopniowo wpływy Skade sięgały coraz dalej. Kiedy stała się Hybrydowcem, program Osnowa został już ponownie otwarty, ale dostała instrukcję, by zająć pozycję, z której mogłaby ten program zdominować, maksymalnie spożytkować jego odkrycia i określić jego przyszły kierunek. W czasie wznoszenia się przez warstwy tajności Skade zdała sobie sprawę ze znaczenia technicznych szczegółów, które zdobyła w Chasm City. Wewnętrzne Sanktuarium przeprowadzało już – ze zmiennym powodzeniem – próby skonstruowania maszynerii dławiącej bezwładność, ale dzięki danym z Chasm City – Skade nadal nie pamiętała dokładnie, co wydarzyło się podczas tamtej misji – kawałki łamigłówek bez problemu powskakiwały na swoje miejsca. Może to polegało na tym, że – jak sugerował głos – istniały inne osobniki służące głosowi, a może wynikała z faktu, że Skade była sprawnym i bezlitosnym organizatorem. Ścisła Rada była jej teatrem cieni. Jego aktorzy poruszali się wedle jej woli z godną pogardy gorliwością.

I ciągle głos przynaglał ją do dalszego działania. Zwrócił jej uwagę na sygnał z

układu Resurgamu, na impuls diagnostyczny wskazujący, że pozostałe sztuki broni klasy piekło zostały ponownie uzbrojone.

[Matczyne Gniazdo potrzebuje tej broni, Skade. Musisz przyśpieszyć jej odzyskanie].

Czemu?

Głos wytworzył w jej czaszce obrazy: rój nieubłaganych czarnych maszyn, ciemnych, ciężkich i ruchliwych jak trzepotanie kruczych skrzydeł.

[Wśród gwiazd są wrogowie, gorsi niż wszystko, co sobie wyobrażaliśmy. Nadciągają. Musimy się chronić].

Skąd wiecie?

[Wiemy, Skade. Zaufaj nam].

W rym dziecięcym głosie wyczuła coś, czego nie czuła uprzednio. Ból, cierpienie, a może i jedno, i drugie.

[Zaufaj nam. Wiemy, do czego są zdolni. Wiemy, co to znaczy być nękanym przez nich].

A potem głos znowu umilkł, jakby powiedział zbyt wiele.

Teraz głos wepchnął jej do głowy nowe ponaglenie, wrywając ją z marzeń.

[Skade, kiedy będziemy mieć pewność, że jest martwy?].

Za dziesięć, jedenaście godzin. Przeczесzemy strefę zabójstwa i przesiejemy ośrodek międzyplanetarny, szukając zwiększonej zawartości pierwiastków śladowych, których należy się spodziewać w danej sytuacji. I nawet jeśli dowody nie będą ostateczne, możemy mieć pewność...

Odpowiedź była szorstka, udzielona rozdrażnionym tonem.

[Nie, Skade. Nie można pozwolić Clavainowi na dotarcie do Chasm City].

Zabiłam go, przysięgam.

[Jesteś sprytna i zdecydowana. Ale Clavain jest taki sam. Już raz cię oszukał. Zawsze może oszukać cię ponownie].

To nie ma znaczenia.

[Nie?].

Jeśli Clavain dotrze do Yellowstone, informacja, którą posiada, nie przyniesie żadnej ostatecznej korzyści ani wrogowi, ani Konwencji. Niech sobie próbują zdobyć dla siebie broń klasy piekło. Ale my mamy Osnowę i maszynę dławiającą bezwładność. To daje nam przewagę. Nawet z bandą sprzymierzeńców Clavain nie odniesie sukcesu.

Głos umilkł. Przez chwilę zastanawiała się, czy się nie oddalił, pozostawiając ją samą.

Nic z tego.

[Więc myślisz, że może żyć nadal?].

Niezgrabnie szukała odpowiedzi.

Ja...

[Lepiej, żeby był martwy, Skade, bo będziemy tobą bardzo rozczarowani].

Trzymał w ramionach rannego kota z grzbietem przeciętym gdzieś w okolicach niższych kręgów, tak że tylne nogi zwisały bezwładnie. Namawiał zwierzę, by pociągnęło łyk wody z plastikowego cycka z pakietu żywnościowego jego kombinezonu. Własne nogi miał przywalone tonami gruzu. Ślepy i poparzony kot nie kontrolował czynności fizjologicznych. W widoczny sposób cierpiał. Ale on nie zamierzał ułatwić mu odejścia.

–Będziesz żył, przyjacielu. Czy tego chcesz czy nie – mówił z trudem, raczej krzepiąc siebie niż kota.

Słowa brzmiały tak jakby dwa arkusze papieru ściernego tarły o siebie. Był bardzo spragniony, ale w racji pozostała tylko odrobina wody i teraz nadeszła kolejka kota.

–Pij, mały popaprańcu. Wytrzymałeś tak długo...

–Pozwól mi... umrzeć – powiedział kot.

–Przykro mi, kiciu. Nie w ten sposób.

Poczuł powiew. Pierwszy raz czuł jakiś ruch powietrza w powietrznej bańce, w której siedzieli uwięzieni z kotem. Gdzieś z daleka dobiegł podobny do grzmotu łomot walącego się betonu i metalu. Modlił się, żeby nagły przepływ powietrza był powodowany tylko ruchem powietrznej bańki; wierzył, że zawałiła się jakaś przeszkoda i dwie bańki się połączyły. Miał nadzieję, że nie jest to odgłos pękającej ściany zewnętrznej, w takim bowiem razie życzenia kota zostałyby szybko spełnione. Powietrzna bańka zostałaaby rozhermetyzowana, a oni mogliby tylko próbować oddychać marsjańską atmosferą. Słyszał, że taki rodzaj śmierci to nic przyjemnego, wbrew temu, co się przekazuje we wzmacniających morale holodramach Koalicji.

–Clavainie... ratuj się.

–Dlaczego, kiciu?

–Ja i tak umrę.

Gdy kot do niego przemówił pierwszy raz, Clavain uznał, że to majak, że wyobraża sobie rozmownego towarzysza, którego w istocie nie ma. Potem z opóźnieniem zdał sobie sprawę, że zwierzę naprawdę mówi, że jest bioinżynieryjnym kaprysem bogatego turysty. Cywilny sterowiec parkował przy wieży powietrznego dokowania, gdy pająki trafiły w niego wodorowymi pociskami artyleryjskimi. Zwierzę musiało uciec z gondoli sterowca na długo przed atakiem i przeszło do piwnicznych poziomów wieży. Clavain myślał, że bioinżynieryjne mówiące zwierzęta to afront

wobec Boga i był niemal pewien, że kot nie jest prawnie rozpoznawany jako istota rozumna. Koalicja dla Czystości Neuralnej dostałaby ataku szału, gdyby się dowiedziała, że podzielił się swoim zapasem wody z tym zabronionym stworzeniem. Organizacja ta nienawidziła ulepszania genetycznego w takim samym stopniu, jak nienawidziła neuronalnych modyfikacji Galiany.

Clavain wcisnął cycek do pyszczka kota. Jakiś odruch zmusił zwierzę do przełknięcia ostatnich kilku kropel wody.

–Wszystkich nas to czeka, kiciu.

–Nie tak... szybko.

–Pij i nie jęcz.

Kot wychłeptał ostatnie kilka kropel.

–Dzię... kuję.

I właśnie wtedy Clavain znów poczuł powiew. Tym razem silniejszy, a wraz z nim dobiegł uparty łoskot przesuwanych gruzów. W słabym oświetleniu, dostarczonym przez biochemiczną pałkę ciepło- światłą, którą rozpakował przed godziną, zobaczył, jak pył i śmiecie mkną z wiatrem po ziemi. Złote kocie futro zafalowało niczym łan jęczmienia. Ranne zwierzę usiłowało zwrócić głowę w kierunku wiatru. Clavain dotknął dłonią kociego łba, starając się pocieszyć zwierzaka, którego oczy stały się krwawymi oczodołami.

Wiedział, że nadchodzi koniec. To nie było przemieszczenie się powietrza wewnątrz, to zawała się duża część obwodu zniszczonej konstrukcji. Powietrze komórki wyciekało w marsjański chłód.

Zaśmiał się i natychmiast poczuł ostre drapanie w gardle, jakby się tam przesuwiał kłębek drutu kolczastego.

–Coś... zabawnego?

–Nie.– odpowiedział. – Zupełnie nic.

Światło przeszło ciemność. Fala czystego zimnego powietrza uderzyła go w twarz i wtargnęła do płuc.

Pogłaskał znowu koci łeb. Jeśli to śmierć, wcale nie jest taka straszna, jak się obawiał.

–Clavain.

Ktoś wymawiał jego imię spokojnie i z uporem.

–Clavain. Obudź się.

Otworzył oczy – czuł, że ten ruch natychmiast wyssał połowę sił, które miał w zapasie. Raziło go tak silne światło, że chciał zmrużyć oczy, znowu zacisnąć powieki, uprzednio niemal zaklejone. Chciał znowu wycofać się w sen, bez względu na to, jak mógł się okazać bolesny i klaustrofobiczny.

–Clavainie, ostrzegam... jeśli się nie obudzisz, to...

Zmusił się do jak najszerzego otwarcia oczu, uświadamiając sobie, że ma przed sobą sylwetkę, której obraz powinien się jeszcze wyostrzyć. Nachylała się nad nim. To właśnie ta sylwetka do niego przemawiała.

–Pieprzyć to... – usłyszał kobiecy głos. – Chyba zwariował, postradał zmysły.

Rozległ się inny głos, donośny, pełen szacunku, ale jednak odrobinę protekcyjalny:

–Panienko, proszę o wybaczenie, ale niemądre byłoby robienie jakichś założeń. Zwłaszcza że ów dżentelmen jest Hybrydowncem.

–Nie potrzebuję przypomnienia.

–Chce się tylko podkreślić, że jego stan medyczny może być zarówno złożony, jak i rozmyślny.

–Wyrzuć go natychmiast w próżnię. – Tym razem mówił mężczyzna.

–Zamknij się, Xave.

Wzrok Clavaina się wyostrzył. Clavain siedział zgięty wpół w komórce o białych ścianach. W ściany wmontowano pompy i mierniki, obok kalkomanii i drukowanych ostrzeżeń, które niemal się wytarły. To śluza powietrzna. Był ubrany w skafander, ten, który miał na sobie, gdy odesłał precz korwetę. Postać pochylona nad nim też nosiła skafander. Ona właśnie – bo to była kobieta – otworzyła jego przyłbicę i tarczę przeciwodblaskową, wpuszczając powietrze i światło.

Po omacku, w ruinach swej pamięci szukał imienia.

–Antoinette?

–Trafiłeś za pierwszym razem, Clavainie.

Też miała podniesioną przyłbicę. Widział fragment jej twarzy – tylko równo przyciętą blond grzywkę, szerokie oczy i piegowaty nos. Dziewczyna była przymocowana do ściany śluzy metalową linką. Jedną dłoń trzymała na ciężkiej czerwonej dźwigni.

–Jesteś młodsza, niż myślałem – stwierdził.

–Dobrze się czujesz, Clavainie?

–Bywało lepiej. Ale za kilka chwil będę w porządku. Wprawilem się w głęboki sen, prawie w komę, żeby oszczędzać zasoby skafandra. Na wypadek, gdybyś się trochę spóźniła.

–A co, jeślibym w ogóle nie przyleciała?

–Zakładałem, że przylecisz, Antoinette.

–Myliłeś się. Mało brakowało, a nie byłoby mnie tu. Prawda, Xave?

–Nie zdajesz sobie sprawy ze swego szczęścia, chłopie. – To znów był męski głos.

–Prawdopodobnie nie – odpowiedział Clavain.

–Nadal twierdzą, że powinniśmy go wyrzucić w kosmos – powtórzył mężczyzna.

Antoinette obejrzała się do tyłu, przez okno wewnętrznych drzwi śluzy.

–Po tym, jak przelecieliśmy całą tę drogę?

–Jeszcze nie jest za późno. Niech ma nauczkę, że nie trzeba przyjmować różnych rzeczy za pewnik.

Clavain przygotował się do zmiany pozycji. – Ja nie...

–Hej! – Antoinette wyciągnęła dłoń, wskazując wyraźnie, że jeśli Clavain poruszy nawet jednym mięśniem, będzie to bardzo niemądre z jego strony. Wskazała głową na trzymaną w drugiej ręce dźwignię. – Sprawdź to, Clavainie. Zrób coś, co mi się nie spodoba – choćby mrugnij okiem – a pociągnę za tę dźwignię. Wtedy znajdziesz się znów w kosmosie, tak jak mówi Xave.

Przez kilka sekund zastanawiał się nad swoim kłopotliwym położeniem.

–Gdybyście nie byli gotowi mi zaufać, przynajmniej trochę, nie wyruszylibyście mi

na ratunek.

–Może byłam ciekawa.

–Może byłeś. Ale może czułaś również, że jestem szczery. Uratowałem ci życie, prawda?

Wolną dłonią poruszyła drugą kontrolkę śluzy. Wewnętrzne drzwi przesunęły się w bok, ukazując Clavainowi widok reszty statku. Zobaczył jeszcze jedną postać w skafandrze, czekającą w odległym końcu pomieszczenia, ale nikogo więcej.

–Teraz wychodzę – powiedziała Antoinette.

Jednym zwinnym ruchem odpięła linę, prześlizgnęła się przez otwarte przejście i znowu zamknęła wewnętrzne drzwi śluzy. Clavain pozostawał nieruchomy, czekając, aż jej twarz pojawi się w oknie. Zdjęła hełm i przeczesła palcami niesforną grzywkę.

–Zamierzacie mnie tu zostawić? – zapytał.

–Na razie. To rozsądne, prawda? Nadal mogę cię wyrzucić w kosmos, jeśli zrobisz coś, co mi się nie spodoba.

Clavain wyciągnął rękę, odkręcił i zdjął hełm. Pozwolił, by odpłynął, koziółkując w śluzie jak mały, metalowy księżyc.

–Nie zrobię nic, co mogłoby was zirytować.

–To dobrze.

–Ale posłuchajcie mnie uważnie. Wystawiacie się na niebezpieczeństwo, przebywając tutaj. Musimy jak najszybciej opuścić strefę wojenną.

–Spokojnie, chłopie – powiedział mężczyzna. – Mamy czas na dokonanie przeglądu niektórych systemów. Nie ma żadnych zombi w promieniu minut świetlnych dookoła.

–Nie o Demarchistów musicie się martwić. Uciekałem od swego własnego ludu, od Hybrydowców. Mają tu statek zwiadowczy. Ręczę, że niezbyt blisko, ale potrafi szybko latać, ma pociski dalekiego zasięgu i z całą pewnością mnie szuka.

–Wydawało mi się, że powiedziałeś, że zainscenizowałeś swoją śmierć – zauważyła Antoinette.

Skinął głową.

–Zakładam, że Skade zestrzeliła moją korwetę wspomnianymi pociskami dalekiego zasięgu. Zapewne sądziła, że jestem na pokładzie. Ale ona na tym nie poprzestanie.

Jeśli jest taka skrupulatna, jak podejrzewam, przeczesze ten rejon "Nocnym Cieniem", szukając atomów śladowych, po prostu, dla pewności.

–Atomów śladowych? Żartujesz. Kiedy dotrą do miejsca, w którym nastąpił wybuch... – Antoinette pokręciła głową.

–Ich gęstość nadal będzie nieco większa, jeden lub dwa atomy na metr sześcienny – tłumaczył Clavain. – Znajdą pierwiastki, których w przestrzeni międzyplanetarnej normalnie się nie spotyka. Izotopy z kadłuba i inne. Kadłub "Nocnego Cienia" pobierze próbkę ośrodka i ją zanalizuje. Kadłub jest pokryty łątami powleczonymi żywicą epoksydową, która złowi wszystko o rozmiarach większych od cząsteczki, a potem spektrometry masowe wywąchają skład atomowy samej próżni. Algorytmy przetworzą dane laboratoryjne i porównają krzywe, histogramy oraz liczbę i wzajemny stosunek izotopów z możliwymi do przyjęcia scenariuszami destrukcji statku o składzie chemicznym korwety. Nie otrzymają jednoznacznych wyników, gdyż błędy statystyczne będą równie duże jak efekty, które Skade spróbuje zmierzyć. Ale widziałem już, jak robiono takie rzeczy. Wyciąg z danych wykaże, że na korwecie znajdowało się bardzo mało materii organicznej. – Clavain wyciągnął dłoń i dotknął skroni na tyle powoli, by nie uznano tego za groźbę. – I są jeszcze izotopy w moich implantach. Byłyby trudniejsze do znalezienia, znacznie trudniejsze, ale Skade będzie się spodziewała, że je znajdzie, jeśli tylko starannie poszuka. A kiedy ich nie będzie...

–Domyśli się, co zrobiłeś – dokończyła Antoinette.

Clavain ponownie skinął głową.

–Ale wziąłem to wszystko pod uwagę. Skade potrzebuje czasu na gruntowne poszukiwania. Zdążycie powrócić na terytorium neutralne, ale tylko jeśli natychmiast skierujecie się do domu.

–Czy naprawdę tak ci zależy na dotarciu do Pasa Złomu? – spytała Antoinette. – Zjedzą cię żywcem, czy to Konwencja, czy zombi.

–Nikt nie powiedział, że zmiana stron w walce jest działalnością pozbawioną ryzyka.

–Już raz zmieniłeś strony, prawda? – spytała Antoinette.

Clavain złapał swój dryfujący hełm i przymocował go do paska rzemykiem.

–Kiedyś. To było bardzo dawno. Prawdopodobnie jeszcze przed twoim urodzeniem.

–Na przykład czterysta lat przedtem?

Podrapał się po brodzie.

–Ciepło.

–Więc to ty. Naprawdę nim jesteś.

–Nim?

**–Tym Clavainem. Legendarnym. Wszyscy uważają, że on już powinien nie żyć.
Rzeźnikiem z Tharsis.**

Clavain uśmiechnął się.

–Za moje grzechy.

OSIEMNAŚCIE

Cierń unosił się nad planetą przygotowywaną na śmierć. Przylecieli tu z "Nostalgii za Nieskończonością" małym zwinnym statkiem, dwumiejscowym promem powierzchnia planety – orbita. Pojazd miał kształt głowy okularnika – kapturowate skrzydło przechodziło gładko w kadłub. Okna widokowe po obu stronach kabiny przypominały oczy węża. Spód promu pokrywały strupy i brodawki czujników, podwieszanych kapsuł i rozmaita broń. Lufy promienników cząsteczek wystawały z przodu niczym zawiasowe zęby jadowe, a całe poszycie statku osłaniała nieregularna mozaika pancerza ceramicznego połyskującego czernią i zielenią.

–To ma nas zabrać i przywieźć z powrotem? – spytał Cierń, gdy kobiety pokazały mu statek w hangarze.

–Tak – zapewniła go Vuilleumier. – To najszybszy z tutejszych statków i zostawia czujnikom najmniej wyraźne ślady. Jest jednak lekko opancerzony, a broń ma raczej tylko dla ozdoby. Jeśli chcesz, weźmiemy coś lepiej uzbrojonego, ale nie narzekaj potem, że będzie powolny i łatwo wykrywalny.

–Zostawię ci wybór w tej sprawie.

–To bardzo głupi pomysł, Cierniu. Jest jeszcze czas, żeby stchórzyć.

–To nie kwestia głupoty czy mądrości, Inkwizytorze. – Nie mógł się odzwyczaić od tej formy tytułowania. – Po prostu nie będę współpracował, jeśli nie zostaną przekonani o realności zagrożenia. Nie uwierzę, dopóki nie sprawdzę tego sam, własnymi oczyma, a nie za pośrednictwem ekranu.

–Czemu miałybyśmy cię okłamywać?

–Nie wiem, ale myślę, że mnie okłamujecie. – Uważnie patrzył jej w oczy, aż stało się to nieprzyjemne. – W pewnych sprawach. Nie jestem pewien w jakich. Ale wiem, jesteście szczerze od czasu do czasu, i właśnie to budzi mój niepokój.

–Chcemy tylko ocalić ludzi z Resurgamu.

–Wiem. Akurat w to wierzę.

Wzięli węzogłowy statek – Irinę zostawili na większym okręcie. Odlecieli gwałtownie i nawet ukradkiem Cierń nie zdołał spojrzeć w tył. W dalszym ciągu nie widział "Nostalgii za Nieskończonością" z zewnątrz, nie widział jej nawet podczas podejścia z Resurgamu. Zastanawiał się, dlaczego te dwie kobiety zadają sobie tyle trudu, by nie zobaczyć zewnątrz ich statku. A może mi się tylko tak wydaje i "Nostalgie" zobaczę w drodze powrotnej? – pomyślał.

–Sam możesz wziąć statek – powiedziała mu Irina. – Nie trzeba go pilotować. Możemy zaprogramować jego trajektorię i niech automatyka radzi sobie z różnymi sytuacjami. Powiedz nam tylko, jak blisko chciałbyś podlecieć do Inhibitorów.

–Nie musi być blisko. Kilkadziesiąt tysięcy kilometrów wystarczy. Z takiej odległości powinienem zobaczyć łuk, jeśli jest dostatecznie jasny, oraz prawdopodobnie rury opadające do atmosfery. Ale nie polecę tam samodzielnie. Jeśli jestem wam naprawdę potrzebny, niech jedna z was poleci ze mną. W ten sposób będę wiedział, że to nie jest pułapka.

–Polecę z nim – zaproponowała Vuilleumier.

Irina wzruszyła ramionami.

–Miło było cię znać.

Podróż przebiegła bez specjalnych wydarzeń. Tak jak podczas lotu z Resurgamu, nudną jej część spędzili uśpieni – nie w zimnym śnie, ale w wywołanej narkotykiem komie bez snów.

Veulleumier zarządziła pobudkę dopiero w okolicach pół sekundy świetlnej od giganta. Cierń ocknął się z niejasnym poczuciem irytacji, absmakiem w ustach i wrażeniem klucia i bólu, jakiego wcześniej nie miał.

–Cierniu, dobra wiadomość to ta, że wciąż żyjemy. Inhibitorzy albo nie wiedzą, że tu jesteśmy, albo po prostu ich to nie obchodzi.

–Nie obchodzi?

–Muszą wiedzieć z doświadczenia, że nie możemy im sprawić żadnych poważnych kłopotów. Niedługo wszyscy będziemy martwi, po co więc mieliby się nami teraz przejmować?

Nachmurzył się.

–Z doświadczenia?

–To jest w ich zbiorowej pamięci. Nie jesteśmy pierwszym gatunkiem, któremu to robią. Z pewnością mają dużo sukcesów na koncie, inaczej bowiem zrewidowaliby swą strategię.

Znajdowali się w nieważkości. Cierń wypiął się z fotela, odciągnął na bok sieć akceleracyjną i odepchnął się nogami do jednego ze szczelinowatych okien. Czuł się teraz trochę lepiej. Bardzo dobrze widział gazowego giganta, który nie wyglądał na planetę w dobrej formie.

Cierń zobaczył najpierw trzy wielkie strumienie materii, wchodzące po krzywych skądś z innego miejsca w układzie. Migotały blado w świetle Deltę Pawia. Te cienkie wstęgi przezroczystej szarości przypominały widmowe maźnięcia pędzlem po niebie, płaskie przy ekliptyce i odchodzące z rozmachem w nieskończoność. Przepływ materii w strumieniach dawał się zauważyć tylko wtedy, gdy jakiś gład na chwilę odbił światło słońca; było to drobnoziarniste pełznięcie, które Cierniowi kojarzyło się z leniwymi prądami w zamarzającej rzece. Materia przesuwiała się setki kilometrów na sekundę, ale w tej ogromnej skali nawet ta szybkość wydawała się szybkością lodowca. Strumienie miały szerokość bardzo wielu kilometrów. Wyglądały jak pierścienie planetarne, które ktoś odwija niczym kabel ze szpuli.

Powędrował wzrokiem do ujścia strumieni. Obok gazowego giganta, gładkie krzywe matematyczne – łuki opisujące trajektorie orbitalne – nagle kończyły się gwałtownymi zagięciami typu “łokcia” czy “spinki do włosów”: strumienie kierowano do odpowiednich księżyców. Jakby malarza malującego eleganckimi pociągnięciami pędzla w ostatniej chwili ktoś potrącił. Położenie księżyców względem nadchodzących strumieni oczywiście zmieniało się z każdą godziną, zatem geometria strumieni podlegała stałym modyfikacjom. Od czasu do czasu strumień był wstrzymywany, a inny strumień go przecinał. Może odbywało się to zgodnie z nadzwyczaj dokładnym rozkładem. W każdym razie strumienie przechodziły przez siebie, ale tworzące je masy się nie zderzały.

–Nie wiemy, w jaki sposób nimi sterują – poinformowała go Vuilleumier konfidencjonalnym szeptem. – Strumienie mają ogromne momenty, przepływy mas sięgają miliardów ton na sekundę. Jednak z łatwością zmieniają kierunki. Może umieścili tam w górze drobne czarne dziury, żeby procować strumienie wokół nich. Tak przypuszcza Irina. W każdym razie diabelnie mnie to przeraża. Irina uważa, że mogą potrafić wyłączać bezwładność w miarę potrzeb. To by umożliwiło strumieniom wykonanie takich zakrętów.

–To nie brzmi krzepiąco.

–Nie. Ale nawet jeśli potrafią wyczyniać cuda z bezwładnością lub produkować na zamówienie czarne dziury, nie mogą tego robić na wielką skalę, inaczej już bylibyśmy martwi. Mają swoje ograniczenia. Musimy w to wierzyć.

Szerokie na kilkadziesiąt kilometrów księżycy rysowały się jako zwarte świetlne zwoje na końcach wchodzących strumieni. Materia nurkowała w głąb każdego księżycyca przez gębokształtny otwór, prostopadle do płaszczyzny księżycowej orbity. Normalnie niezrównoważony wpływ masy powinien był wytrącić księżyc z orbity – nie działo się tu nic takiego, co by sugerowało, że normalne prawa zachowania momentów zostały zdławione, zignorowane albo powstrzymane do późniejszego rozrachunku.

Najbardziej oddalony od planety księżyc budował łuk, który w końcu miał opasać gazowego giganta. Gdy Cierń widział go z "Nostalgii za Nieskończonością", mógł sądzić, że łuk nigdy się nie zamknie. Teraz takie stwierdzenie nie było możliwe. Końce nadal odsuwały się od księżyca, rura wyciągała się z szybkością tysiąca kilometrów na każde cztery godziny. Wynurzała się szybko jak pociąg ekspresowy, jak lawina superzorganizowanej materii.

To nie magia lecz przemysł, myślał Cień, choć trudno mu było w to uwierzyć. Wewnątrz księżyca, ukryte pod lodową skorupą mechanizmy obrabiały z diabelską prędkością przychodzący strumień materiału; produkowały jakieś tajemnicze składniki, z których formowała się rura o szerokości trzynastu kilometrów. Cierń nie słyszał, żeby kobiety snuły hipotezy na temat tego, czy rura jest lita, pusta, czy też wypełniona migoczącymi obcymi mechanizmami.

To nie magia.

Prawa fizyczne – tak jak rozumiał je Cierń – w pobliżu maszyn Inhibitorów miękły jak toffi, ale działało się tak jedynie dlatego, że nie były prawami ostatecznymi – choć takimi się wydawały – lecz raczej przypominały ustawy czy przepisy, do których wszyscy się przeważnie stosują, lecz w razie konieczności można je złamać. A jednak nawet Inhibitorzy mieli swoje ograniczenia. Na przykład, potrzebowali materii. Mogli ją przetwarzać z zadziwiającą szybkością, ale nie mogli – wskazywały na to zebrane dotychczas dowody – wyczarowywać jej z niczego. Aby zasilić to piekło tworzenia, niezbędne było rozbicie trzech planet.

To przedsięwzięcie, choć gigantyczne, było z konieczności powolne. Łuk rósł wokół planety z szybkością zaledwie dwustu osiemdziesięciu metrów na sekundę; nie można go było stworzyć momentalnie. Maszyny były potężne, ale nie równe Bogu.

Cierń uznał, że jest to jedyne pocieszenie, na jakie mogą liczyć.

Przełączył uwagę na dwa niższe księżyce. Inhibitorzy przesunęli je na orbity idealnie kołowe, tuż nad warstwą chmur. Orbity periodycznie się przecinały, ale powolne, pracowite układanie kabli trwało bez zakłóceń.

Ta część całego procesu była obecnie o wiele wyraźniejsza. Cierń widział eleganckie krzywe wystających rur, wylaniających się prosto, jak strzelił, z odwrotnej strony każdego księżyca, a potem zaginających się w dół ku warstwie chmur. Kilka tysięcy kilometrów za każdym księżycem rury nurkowały w atmosferę jak strzykawki. Gdy dotykały atmosfery, poruszały się z orbitalną prędkością – wielu kilometrów na sekundę – i żłobiły w atmosferze wściekle ślady pazurów. Pod torem każdego z księżyców znajdował się cienki pas wzburzonej rdzawej czerwieni, okrążający dwu- lub trzykrotnie planetę. Z powodu obrotu planety każdy z tych śladów był nieco oddalony od poprzedniego. Oba księżyce ryły w przesuwających się chmurach

skomplikowany wzorzec geometryczny, przypominający ekstrawagancki kaligraficzny ozdobnik. W pewnym sensie Cierń doceniał piękno tych widoków, z drugiej jednak strony, były one okropnie denerwujące. Tę planetę z pewnością czeka okrutny i ostateczny los. Kaligraficzne wzory były złożonymi rytuałami pogrzebowymi dla umierającego świata.

–Chyba teraz nam wierzysz – powiedziała Vuilleumier

–Jestem skłonny uwierzyć. – Cierń postukał w okno. – To wygląda na szkło, ale może też być jakimś trójwymiarowym ekranem... choć nie podejrzewam was o aż taką pomysłowość. Nawet gdybym wyszedł na zewnątrz w skafandrze i bezpośrednio to obejrzał, nie byłbym pewien, czy również płyta przyłbicy jest szkłem.

–Jesteś człowiekiem podejrzliwym.

–Z doświadczenia wiem, że to pomaga radzić sobie w życiu. – Cierń powrócił na fotel. Dość się napatrzył. – W porządku. Następne pytanie. Co się dzieje tam na dole? Co oni knują?

–Po co ci to wiedzieć, Cierniu? Wkrótce stanie się coś złego, to wystarczająca informacja.

–Nie dla mnie.

–Te maszyny... – Vuilleumier wskazała niebo. – Wiemy, co robią, ale nie rozumiemy jak. Wymazują kultury, powoli i pracowicie. Sylveste je tutaj sprowadził – może niechcący, chociaż za nic nie dałabym głowy, jeśli chodzi o tego sukinsyna – i teraz przybyły wykonać swoje zadanie. Tyle wiemy i to wystarczy. Po prostu trzeba zabrać stąd wszystkich jak najszybciej.

–Jeśli te maszyny są tak skuteczne, jak powiadasz, ewakuacja nic nie da, prawda?

–Zyskamy na czasie. A ponadto maszyny są skuteczne, ale nie w tym stopniu co kiedyś.

–Powiedziałaś, że to maszyny samoreplikujące. Czemu ich skuteczność maleje? Powinny być sprytniejsze i szybsze, w miarę jak coraz więcej się dowiadują.

–Ich twórcy nie chcieli, żeby były za sprytne. Inhibitorzy stworzyli maszyny do likwidacji pojawiających się cywilizacji. Bez sensu byłoby zajmowanie przez nich niszy, którą mają dokładnie wymieść.

–Chyba bez sensu. Później o tym porozmawiamy. Na razie chciałbym podlecieć bliżej.

–O ile bliżej – zapytała ostrożnie.

–To opływowy statek. Może latać w atmosferze.

–Nie było tego w umowie.

–Więc wytocz mi proces. – Uśmiechnął się szeroko. – Jestem z natury ciekawski, zupełnie jak ty.

Scorpio wrócił do zimnej, lepkiej świadomości. Nie mógł opanować drżenia. Skrobał się, odwijając połyskującą warstwę tłustego żelu ze swej nagiej skóry. Żel odchodził w obrzydliwych półprzezroczystych strupach, z siorbaniem odrywał się od ciała. Scorpio ostrożnie traktował obszar wokół blizny oparzeniowej na prawej ręce, obmacywał jego granice z niepewną fascynacją. Znał dokładnie każdy cal, oparzenia, ale dotykając je, śledząc pomarszczoną topologię jego linii brzegowej, gdzie gładka skóra świni zmieniała się w powierzchnię o skórzastej teksturze zaleczonego mięsa, przypominał sobie o swoim, wyłącznie swoim obowiązku, który nałożył na siebie po ucieczce od Quaila. Nie wolno mu nigdy zapomnieć o Quailu ani nie wolno mu zapomnieć, że Quail był, w sensie genetycznym choć fizycznie zmodyfikowanym, w pełni człowiekiem i właśnie ludzie będą musieli najbardziej odczuć zemstę Scorpio.

Nic go nie bolało, nawet oparzenie, ale miał uczucie dyskomfortu i dezorientacji. W uszach ciągle mu huczało, jak gdyby wepchnął głowę w przewód wentylacyjny. Widział nieostro, prawie wyłącznie mętne, amorficzne kształty. Scorpio znów oderwał przezroczysty żel z twarzy. Zamrugał. Świat przejaśniał, ale huk pozostał. Scorpio rozejrzał się, nadal drżący i zmarznięty, ale wystarczająco czujny, by zauważyć, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Obudził się wewnątrz połówki czegoś, co wyglądało na popękane metalowe jajo, zwinięty w nienaturalnej pozycji embrionalnej, z dolną połową ciała nadal zanurzoną w obrzydliwym, śluzowatym żelu. Plastikowe rurki i łączniki leżały rozrzucone wokół. Miał obtarte gardło i przewody nosowe, jakby te rurki dopiero co z niego wyszarpięto. Raczej nie usuwano ich z najwyższą starannością. Druga połówka metalowego jaja leżała trochę z boku. Teraz Scorpio rozpoznawał otoczenie – wewnątrz statku kosmicznego. Elementy z gładkiego niebieskiego metalu i zagięte dziurkowane rozporki, które przypominały żebra. Ryk w uszach był odgłosem dysz. Statek leciał, a odgłos świadczył o tym, że statek jest za mały, by izolować silniki polem siłowym. A więc to prom czy coś podobnego. Najpewniej wewnątrzukładowy.

Scorpio wzdrygnął się. W drugim końcu żebrowanej kabiny otworzyły się drzwi, odsłaniając komórkę z prowadzącą na górę drabiną. Z ostatniego jej szczebla właśnie schodził mężczyzna. Pochylił się w przejściu i podszedł spokojnie, najwidoczniej nie zaskoczony widokiem rozbudzonego Scorpio.

–Jak się czujesz? – zapytał mężczyzna.

Scorpio zmusił swe oporne oczy do zogniskowania się. Rozpoznał mężczyznę, choć zmienił się on od ostatniego spotkania. Ubranie miał równie ciemne i neutralne jak wtedy, ale teraz nie można było stwierdzić, że wyprodukowali je Hybrydowcy. Czaszkę, niegdyś łąsą, pokrywała bardzo cienka warstwa czarnych włosów.

Wyglądał trochę mniej trupio.

–Remontoire – powiedział Scorpio, wypluwając wstrętne kawałki żelu.

–Tak, to ja. Dobrze się czujesz? Monitor poinformował mnie, że nie stało ci się nic złego.

–Gdzie jesteście?

–Na statku, niedaleko Pasa Złomu.

–Przyszedłeś znowu mnie torturować, prawda?

Remontoire nie patrzył mu w oczy.

–To nie były tortury, Scorpio... po prostu reedukacja.

–Kiedy przekazujecie mnie Konwencji?

–Tego nie ma już w planach. Przynajmniej nie musi być.

Scorpio uznał, że statek jest mały, prawdopodobnie prom. Całkiem możliwe, że on i Remontoire są jedynymi pasażerami. To niemal pewne. Zastanawiał się, jak by mu się powiodło pilotowanie statku konstrukcji Hybrydowców. Może niezbyt dobrze, ale chciał spróbować. Nawet jeśli się rozbije i spłonie, będzie to znacznie lepsze od kary śmierci.

Rzucił się na Remontoire'a, wyskakując z misy w bryzgach żelu. Rurki poleciały w powietrze. Przez chwilę jego źle wykonane dłonie szukały miejsc, których ucisk u każdego, nawet u Hybrydowca, spowodowałby stan beczucia, a potem śmierć.

Scorpio przyszedł do siebie. Znajdował się w innej części statku, przypięty do fotela. Remontoire siedział naprzeciw, z dłońmi starannie złożonymi na kolanach. Za nim rysowała się imponująca powierzchnia pulpitu sterowniczego, pokryta licznymi wskaźnikami, systemami poleceń i półkolistymi displejami nawigacyjnymi. Było jasno jak w kasynie. Scorpio wiedział coś niecoś o konstrukcji statków. Interfejs sterowniczy Hybrydowców byłby minimalistyczny, ledwo widoczny, jak obiekt zaprojektowany przez Nowych Kwaków.

–Nie próbowałbym tego znowu – powiedział Remontoire.

Scorpio spojrzał na niego wściekle.

–Próbował czego?

–Próbowałeś mnie udusić. Bez powodzenia i obawiam się, Scorpio, że nigdy ci się to nie uda. Włożyliśmy ci do czaszki implanta – bardzo mały, wokół twojej arterii szyjnej. Jego jedyną funkcją jest ściśnięcie arterii w odpowiedzi na sygnał z innego implantu – w mojej głowie. Mogę wysłać taki sygnał świadomie, gdybyś mi groził, ale nie muszę. Implant wyemituje kod zagrożenia, jeśli nagle stracę przytomność lub umrę. Ty umrzesz chwilę potem.

–Nie jestem martwy w tej chwili.

–To dlatego, że byłem miły i cię puściłem.

Scorpio, ubrany i suchy, czuł się lepiej niż wtedy, gdy ocknął się w jaju.

–Czemu miałoby mi na tym zależeć, Remontoire? Czy nie dostarczyłeś mi właśnie idealnego środka, bym się zabił, a nie pozwolił, by to za mnie zrobiła Konwencja?

–Nie zabieram cię do Konwencji.

–A więc to małe prywatne wymierzenie sprawiedliwości?

–To też nie.

Remontoire obrócił swój fotel przodem do przepysznego panelu sterowania. Grał na nim jak pianista, z wyciągniętymi rękami, nie patrząc, co robią palce. Nad panelem i po obu stronach kabiny w niebieskiej stali wypuczyły się okna. Oświetlenie kabiny łagodnie przygasło. Scorpio usłyszał, jak ryk dysz zmienia ton; żołądek zarejestrował zmianę osi ciężenia. W pole widzenia za oknami wpłynął ogromny żółtozielony sierp. To była Yellowstone – większość planety spowijała noc. Statek Remontoire'a

znajdował się niemal w tej samej płaszczyźnie co Pas Złomu. Na tle strony dziennej planety sznur habitatów był ledwie widoczny – jedynie ciemne kropki, niczym cienka linia sproszkowanego cynamonu – ale za linią terminatora tworzył on skrzącą się i mrugającą nić drogich kamieni, gdy habitaty ustawiały swe ogromne lustra i reflektory. To robiło wrażenie, ale Scorpio wiedział, że to tylko cień tego, co było kiedyś. Przed zarazą pas liczył dziesięć tysięcy habitatów – teraz w pełni wykorzystywano zaledwie kilkaset. Jednak na tle nocy wraki znikły i zostały tylko iskierki oświetlonych miast. Mogło się wydawać, że koło historii nie obróciło się nigdy.

Za Pasem Złomu, Yellowstone wydawało się boleśnie blisko. Scorpio prawie słyszał miejski szum Chasm City przedzierający się przez chmury jak uwodzicielski syreni śpiew. Pomyślał o labiryntach i twierdzach, które świnie i ich sojusznicy utrzymywali w najgłębszych częściach miejskiej Mierzwy, ropiejące imperium bezprawia złożone z wielu powiązanych przestępczych baronii. Po ucieczce od Quaila Scorpio wszedł do tego imperium na jego najniższy szczebel, jako poraniony imigrant, którego wszystkie wspomnienia uszkodzono; została mu tylko wiedza jak przeżyć w niebezpiecznym obcym środowisku i jak obrócić działanie tego środowiska na swoją korzyść. Tyle przynajmniej zawdzięczał Quailowi. Nie znaczyło to jednak, że odczuwał wdzięczność.

Scorpio niewiele pamiętał ze swego życia przed spotkaniem Quaila. Miał świadomość, że większość jego wspomnień to pamięć z drugiej ręki; pozbierał wprawdzie główne szczegóły swej poprzedniej egzystencji – swego życia na jachcie – ale jego podświadomość nie traciła czasu i wypełniała bolesne luki z całą energią gazu wdzierającego się do próżni. I kiedy przywoływał te wspomnienia, same w sobie niezupełnie rzeczywiste, pchały się do nich dodatkowe wrażenia zmysłowe, a on nie mógł temu zapobiec. Wspomnienia mogły się zgadzać z tym, co rzeczywiście się wydarzyło, Scorpio jednak nie miał sposobu, by to zweryfikować. A jednak, jeśli chodzi o niego, nie miało to znaczenia.

Nikt nie zada kłamu jego słowom. Ci, którzy mogli to zrobić, nie żyli, zarżnięci przez Quaila i jego kumpli.

Pierwsze wyraźne wspomnienie Scorpia o Quailu było przerażające. Ocknął się wtedy po długim okresie głębokiego snu. Z jedenastoma innymi świniami stał w zimnym, opancerzonym pomieszczeniu. Potem się dowiedział, że to była część większego statku. Drżał z zimna; to samo czuł po przebudzeniu na statku Remontoirea. Mieli na sobie prymitywne ubrania zszyte ze sztywnych kwadratów ciemnej, poplamionej materii. Quail był tam z nimi: wysoki, asymetrycznie ulepszony człowiek, którego Scorpio identyfikował jako Ultrasa lub członka innego odłamu wykazującego chimeryczność, jak Porywacze czy Czerpaki Atmosferyczne. Widział tam też innych ulepszonych ludzi, kilkoro z nich tłoczyło się za Quaiłem. Wszyscy mieli broń – noże, szerokolufowe pistolety na pociski o niskiej prędkości wylotowej.

Wyczekująco patrzyli na zebrane świnie. Quail – jego język Scorpio rozumiał bez trudu – wyjaśnił, że sprowadzono tu dwanaście świń ku rozrywce jego załogi, która doznała ostatnio niepowodzeń w interesach.

I w pewnym sensie, choć niezupełnie zgodnym z zamiarami Quaila, dostarczyli rozrywki. Załoga spodziewała się polowania i przez pewien czas w czymś takim uczestniczyła. Zasady były dość proste: świniom pozwolono swobodnie biegać po statku, chować się, gdzie tylko zechcą, i posługiwać się zaimprovizowaną bronią i narzędziami zmajstrowanymi z tego, co wpadnie im w ręce. Po pięciu dniach świnie, które przeżyją, zostaną objęte amnestią; a przynajmniej to Quail obiecywał. Od świń zależało, czy będą ukrywać się wszystkie razem, czy też się rozdzielą na mniejsze zespoły. Miały nad ludźmi sześć godzin przewagi.

Te warunki okazały się cennym zadatkiem. Połowę świń zabito w pierwszym dniu polowania. Zaakceptowały warunki Quaila bez sprzeciwu – nawet Scorpio miał dziwne poczucie, że jego obowiązkiem jest robienie tego, czego wymaga Quail czy jakiś inny człowiek. Choć Scorpio się bał i bardzo chciał przeżyć, dopiero po trzech dniach pomyślał o uderzeniu odwetowym, a i tak myśl rodziła się opornie, jakby gwałcąc jego najświętszy osobisty paradygmat.

Z początku Scorpio ukrywał się razem z dwiema innymi świniami – jedna z nich była niema, druga potrafiła tylko formułować urywane zdania. Funkcjonowali jednak niezłe jako drużyna, nadzwyczaj sprawnie przewidując wzajemne działania. Scorpio wiedział, nawet wtedy, że dwunastka świń pracowała wcześniej razem, choć nie miał żadnego jasnego wspomnienia sprzed chwili, w której ocknął się w pomieszczeniu Quaila. Wprawdzie zespół funkcjonował dobrze, ale po pierwszych osiemnastu godzinach Scorpio postanowił odejść i działać samodzielnie. Pozostała dwójka znalazła jakąś pakamerę i tam chciała się ukryć. Scorpio był jednak przekonany, że jedyna szansa ocalenia to ciągła wspinaczka, poruszanie się stale w górę wzdłuż osi przyspieszania statku.

Właśnie wtedy dokonał pierwszego z trzech odkryć. Gdy pełznął w przepuście technicznym, rozerwało mu się ubranie, odsłaniając fragment zielonego wzoru pokrywającego sporą część prawego ramienia. Scorpio oderwał większy płat ubrania i gdy znalazł odbijający światło panel, zbadał należycie cały kształt i przekonał się, że to stylizowany zielony skorpion. Dotknął szmaragdowego tatuażu, śledząc zakrzywioną linię ogona, prawie czując żądło na kolcu. Miał wrażenie, że napętnia go moc, osobista siła, którą jedynie on mógł opanować i kierować. Poczuł, że jego tożsamość jest związana z tym skorpionem, że wszystko ważne jest zamknięte w tatuażu. W tym momencie w końcu zdał sobie sprawę, że ma imię, albo przynajmniej może nadać sobie imię, mające związek z jego przeszłością.

Niecały dzień później dokonał kolejnego odkrycia: zerkając przez okno zobaczył drugi statek, o wiele mniejszy. Przyjrząwszy mu się, rozpoznał jacht

wewnątrzukładowy o smukłych, funkcjonalnych liniach. Błyszczał bladezielonym stopem kadłuba o pysznie opływowym kształcie rai z przykrytymi wlotami powietrza przypominającymi pyski rekinów. Patrząc na jacht, Scorpio niemal podświadomie wyczuwał szczegóły jego konstrukcji. Wiedział, że może wpełznąć na pokład jachtu i uruchomić go prawie odruchowo, że potrafiłby usunąć każdą wadę czy niedoskonałość techniczną. Coś go popychało, by to zrobić, nie wiadomo dlaczego był przekonany, że tylko w trzewiach tego jachtu, otoczony maszynami i przyrządami, może być naprawdę szczęśliwy.

Nieśmiało sformułował hipotezę: dwanaście świń stanowiło załogę jachtu, gdy Quaille zawładnął ich statkiem. Jacht zarekwirowano, a załogę głęboko zamrożono i zbudzono dopiero teraz, by urozmaiciła monotonną egzystencję na pokładzie statku Quaila. To przynajmniej wyjaśniało amnezję. Odkrycie więzi z własną przeszłością sprawiło Scorpio przyjemność. Nadal trwała, kiedy dokonał trzeciego odkrycia.

Znalazł obie świnię, które zostawił w pakamerze. Tak jak się obawiał, zostały złapane i zabite. Myśliwi Quaila zawiesili je na łańcuchach, umocowanych do dziurkowanych rozperek między ścianami korytarza. Wypatroszono je oraz odarto ze skóry i Scorpio zrozumiał, że dokonano tego na żywcą. Był również przekonany, że ubrania, które nosiły – i które on nadal nosił – zostały wykonane ze skóry innych świń. Dwunastka to nie była pierwsze ofiary, ale ostatnie w grze, toczącej się dłużej, niż podejrzewał. Ogarnęła go wściekłość. Coś pękło; nagle okazało się, przynajmniej teoretycznie, że potrafi sobie wyobrazić coś, co uprzednio było nie do pomyślenia: jak to jest, gdy się skrzywdzi człowieka naprawdę dotkliwie. I nawet obmyślił sposób, jak to przeprowadzić.

Scorpio – pomysłowy i uzdolniony technicznie – zaczął penetrować maszynię statku Quaille'a. Drzwi grodzi przemienił w brutalnie tnące pułapki. Windy i gondole tranzytowe przekształcił w śmiertelne zapadnie i miażdżące tłoki. Wysysał powietrze z niektórych części statku i zostawiał tam próżnię lub pompował gazy trujące, a następnie ogłupiał czujniki, by o podstępnie nie uprzedzały załogi Quaille'a. Po kolei pomysłowo likwidował łowców świń, aż przy życiu został tylko Quaille; przerażony, pojął w końcu swój straszny błąd w ocenie sytuacji. Ale ponieważ jedenaście świń również zginęło, więc zwycięstwo Scorpio zakłócało gorzkie poczucie żalosnej porażki osobistej. Czuł się zobowiązany do ochrony innych świń, z których większość nie została obdarzona sprawnością językową, jaką on uważał za oczywistą. Nie chodziło tylko o to, że niektóre nie mogły mówić, gdyż brakowało im mechanizmów głosowych niezbędnych do wytwarzania dźwięków mowy. One nawet nie rozumiały języka mówionego tak jak on. Rozróżniały najwyżej pojedyncze słowa i zwroty. Ich zbudowane inaczej mózgi nie miały zdolności kodowania i dekodowania języka, co dla niego było tak naturalne, jak oddychanie. Cóż – był znacznie bliższy ludziom niż oni. I czuł, że zawiódł swych towarzyszy, choć żaden z nich nie wybierał go na swego obrońcę.

Scorpio oszczędzał Quaila, do czasu gdy statek zaczął wchodzić w przestrzeń wokół Yellowstońskiej. Wtedy to Scorpio przeleciał jachtem do Chasm City. Kiedy dotarł do Mierzwy, Quail albo już nie żył, albo doświadczał ostatnich śmiertelnych mąk zadawanych przez urządzenie egzekucyjne. Scorpio z serdeczną dbałością o szczegóły skonstruował je dla niego, wykorzystując zrobotyzowany system chirurgiczny wyjęty z komory medycznej jachtu.

Prawie dotarł do celu bez szwanku, ale dokonał jeszcze jednego odkrycia: jacht "Światło Zodiakalne" nigdy nie należał ani do niego, ani do żadnej innej świni. Prowadzili go ludzie, a śwynie niewolniczo na nim służyły, stłoczone pod pokładami, gdzie każda miała własny obszar specjalizacji. Scorpio odtworzył wideolog jachtu i widział, jak piraci Quaila mordują ludzką załogę. Szybko i czysto, niemal humanitarnie w porównaniu z długotrwałym polowaniem na świnię. Na tym samym logu Scorpio zobaczył, że każdej z dwunastu świń wytatuowano inny znak zodiaku. Symbol na jego ramieniu był świadectwem tożsamości, ale również znakiem właściciela, znakiem posłuszeństwa.

Scorpio znalazł laser spawalniczy, ustawił wydajność na minimum i głęboko przyżegł nim tkankę. Patrzył z fascynacją, ze strachem i wstrętem, jak laser wypala ciało, usuwając zielonego skorpiona w trzaskach impulsowego światła. Towarzyszył temu nieopisany ból, ale Scorpio nie chciał znieczulenia. Nie wspomagał również gojenia się uszkodzonej skóry. Bólu potrzebował jako symbolicznego mostu; blizny – jako dowodu tego, co zrobił. Przez ból odzyskał siebie, wyrwał na powrót swą tożsamość. Może nigdy nie miał jej przedtem, lecz w męce wykuł ją dla siebie. Blizna będzie przypomnieniem i jeśli kiedyś jego nienawiść do ludzi zacznie słabnąć, jeśli kiedyś będzie go kusilo, by przebaczyć, blizna przywróci mu pamięć. A jednak – nigdy tego dobrze nie rozumiał – postanowił zatrzymać swoje imię. Z imieniem Scorpio stanie się wcieleniem nienawiści przeciw ludzkości. Imię stanie się synonimem trwogi, a ludzcy rodzice będą nim straszyć dzieci, by wymóc na nich posłuszeństwo.

W Chasm City jego praca się rozpoczęła i w Chasm City będzie ją kontynuował, o ile zdoła uciec Remontoiremu. Liczył na pomoc Lashera. Lasher, jeden z jego pierwszych prawdziwych sprzymierzeńców, był dość ustosunkowaną świnią z wpływami sięgającymi do Loreanville i do Pasa Złomu. Pozostał lojalny Scorpiowi. I nawet, gdyby został uwięziony, strażnicy musieliby pilnować go naprawdę dobrze. Z luźnego związku gangów i grup Scorpio i Lasher stworzyli coś w rodzaju zwartej armii, która już kilka razy atakowała władzę, i choć doznała ogromnych strat, nigdy nie została całkowicie pokonana. To prawda, konflikt nie był dla władz kosztowny – głównie chodziło o zachowanie przez świnię kontroli nad rewirami w Mierzwie – ale Lasher i jego sprzymierzeńcy nie bali się poszerzenia swych działań. Świnię miały wspólników wśród banshee, co dawało środki na działalność przestępczą daleko poza Mierzwą. Scorpio długo przebywał poza obiegiem i teraz chciał się dowiedzieć, jak obecnie miewa się to przymierze.

Wskazał głową linię habitatów.

–Ciągłe kierujemy się ku Pasowi.

–Owszem – przyznał Remontoire. – Ale nie ku Konwencji. Nastąpiła nieznaczna zmiana planów i dlatego umieściliśmy w twojej głowie ten nieprzyjemny implant.

–Zrobiliście słusznie.

–Ponieważ w innym przypadku byś mnie zabił? Możliwe. Ale zaprowadziłoby cię to niezbyt daleko. – Remontoire pogłaskał panel sterowania i uśmiechnął się przeproszająco. – Niestety, nie możesz sterować tym statkiem. Pod tą powierzchnią systemy są całkowicie hybrydowskie. Musimy jednak przejść przez przegład jako statek cywilny.

–Powiedz mi, co się dzieje.

Remontoire znowu obrócił fotel. Położył dłonie na kolanach i nachylił się do Scorpio – niebezpiecznie blisko, gdyby nie było implantu. Scorpio wierzył, że umrze, jeśli znowu czegoś spróbuje, pozwolił więc Remontoiremu mówić. Cały czas jednak wyobrażał sobie, jak dobrze by się czuł, mordując go.

–Chyba już spotkałeś Clavaina.

Scorpio mocno pociągnął nosem.

–Jest jednym z nas – kontynuował Remontoire. – Prawdę mówiąc, to mój dobry przyjaciel. Więcej: był dobrym Hybrydowcem. Był jednym z nas przez czterysta lat i nie byłoby nas, gdyby nie jego czyny. Kiedyś był Rzeźnikiem z Tharsis, rozumiesz, ale to stara historia; nie wyobrażam sobie, byś kiedyś słyszał o Tharsis. Najważniejsze, że Clavain zbiegł do nieprzyjaciela albo właśnie tam ucieka i trzeba go powstrzymać. Ponieważ on był... jest... moim przyjacielem, wolałbym, zatrzymać go raczej żywego niż martwego, ale dopuszczam możliwość, że to się nie uda. Już raz próbowaliśmy go zabić – wtedy nie mieliśmy innego wyjścia. Niemal się cieszę, że się nie udało. Clavain nas przechytrył: jego korweta wyrzuciła go w pusty kosmos. Gdy ją zniszczyliśmy, nie było go na pokładzie.

–Sprytny facet. Coraz bardziej go lubię.

–To dobrze. Cieszę się, że to słyszę. Ponieważ pomożesz mi go znaleźć.

Clavain jest dobry, pomyślał Scorpio. Remontoire powiedział to tak, jakby wierzył w pomoc Scorpio.

–Mam ci pomóc?

–Sądzymy, że wyratował go jakiś frachtowiec. Nie mamy pewności, ale to chyba ten sam, który spotkaliśmy wcześniej, w rejonie Spornego Obszaru. Nawiasem mówiąc, zaraz potem złapaliśmy ciebie. Clavain pomógł wtedy pilotowi frachtowca i prawdopodobnie liczył na rewanż. Ten statek nieplanowo, nielegalnie zboczył w strefę wojenną. Możliwe, że zabrał Clavaina z pustego kosmosu.

–Więc zestrzelcie drania. Na czym polega problem?

–Za późno. Kiedy się w tym wszystkim zorientowaliśmy, frachtowiec już wrócił do przestrzeni Konwencji Ferrisvillskiej. – Remontoire wskazał linię habitatów na tle ciemniejącej tarczy Yellowstone. – Clavain już wylądował w Pasie Złomu, który jest akurat bardziej twoim terytorium niż moim. Sądząc z twych akt, znasz go niemal tak dobrze jak Chasm City. Jestem przekonany, że chętnie zostaniesz moim przewodnikiem. – Remontoire uśmiechnął się i postukał delikatnie palcem w swoją skroń. – Prawda?

–Mógłbym cię zabić. Zawsze znajdzie się sposób.

–Ale ty też umrzesz, i co to da? Widzisz, mamy dobrą pozycję przetargową. Pomóż nam – pomóż Hybrydowcom – a my zagwarantujemy, że nigdy nie trafisz do aresztu Konwencji. Dostarczymy Konwencji ciało, identyczną kopię sklonowaną z ciebie. Powiemy, że umarłeś podczas transportu. Nie tylko otrzymasz wolność, ale również pozbędziesz się polujących na ciebie agentów Konwencji. Scorpio umrze, ale ty możesz istnieć dalej.

–Dlaczego jeszcze tego nie zrobiliście? Już dawno moglibyście im dać tego podrobionego trupa.

–Spowodowałyby to poważne reperkusje, Scorpio. Takich metod nie stosuje się w normalnych warunkach, ale w tej chwili bardziej zależy nam na Clavainie niż na przychylności Konwencji.

–Clavain mnóstwo dla was znaczy.

Remontoire odwrócił się do panelu sterowania i znowu wygrywał na nim palcami.

–Owszem, znaczy dla nas wiele. Ale to, co ma w głowie, znaczy dla nas więcej.

Scorpio zastanawiał się nad swoim położeniem. Jego instynkt przeżycia włączył się ze zwykłą bezlitosną skutecznością, tak jak zawsze w okresie kryzysów osobistych. Kiedyś chodziło o Quaile'a, teraz o kruchego Hybrydowca, który miał możliwość zabicia go samą myślą. Remontoire prawdopodobnie nie kłamał, grożąc, że przekażą Scorpia Konwencji, gdyby odmówił współpracy. Jeśli Scorpio nie zdąży zawiadomić o swoim powrocie Lashera, w rękach Konwencji czeka go śmierć. Ale jeśli pomoże Remontoiremu, przynajmniej przedłuży swój areszt. Może Remontoire uczciwie

obiecował zwolnienie. Ale gdyby Hybrydowiec kłamał, i tak nadarzą się okazje, by skontaktować się z Lasherem i zorganizować ostateczną ucieczkę. Zatem głupotą byłoby odrzucenie propozycji, nawet jeśli to oznaczało czasową pracę z kimś, kogo Scorpio uważał za człowieka.

–Musisz być zdesperowany – zauważył.

–Niewykluczone – przyznał Remontoire. – Ale naprawdę nie sędzę, żeby to była twoja sprawa. Zrobisz to, o co cię proszę?

–Jeśli powiem nie... Remontoire uśmiechnął się.

–Wtedy tamten sklonowany trup okaże się zupełnie bezużyteczny.

Mniej więcej co osiem godzin Antoinette otwierała na chwilę drzwi służby i podawała mu jedzenie i wodę. Clavain brał je z wdzięcznością, dziękował i starał się nie okazywać najmniejszej urazy z powodu tego, że nadal pozostaje więźniem. Wystarczało, że go uratowała i wiezie z powrotem do władz. Na jej miejscu byłby jeszcze mniej ufny, zwłaszcza wiedząc, co zdolny jest uczynić Hybrydowiec. Był więźniem w znacznie mniejszym stopniu, niż jej się wydawało.

W pewnym momencie poczuł, że podłoga pod nim opada i się przesuwa: statek zmieniał wzorzec odrzutu. Kiedy Antoinette zjawiała się w drzwiach z bańką wody i batonem spożywczym, potwierdziła, że wracają do Pasa Złomu.

–Te zmiany odrzutu... – Odwinął folię z batonu. – Po co? Grozi nam wkroczenie na teren działań wojennych?

–Niezupełnie.

–Więc po co?

–Banshee. – Widząc, że Clavain nie zrozumiał, dodała. – To bandyci, zbójcy, maruderzy, jakkolwiek ich nazwać. Wstrętne sukinsyny.

–Nie słyszałem o nich.

–I nie usłyszysz, chyba że jesteś kupcem usiłującym prowadzić uczciwe życie. Nadgryzł baton.

–Powiedziałaś to prawie poważnie.

–Słuchaj mnie uważnie. Czasem naginam zasady, to wszystko. Ale w porównaniu z tym, co robią ci popaprańcy, najbardziej nielegalna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam, jest... jak drobne naruszenie zasad dokowania.

–Przyjmuję, że kiedyś banshee byli kupcami?

Kiwnęła głową.

–Dopóki się nie zorientowali, że łatwiej kraść cargo takim jak ja, niż taszczyć samemu.

–Ale nigdy nie miałaś z nimi bezpośrednio do czynienia?

–Kilka starć. Wszyscy, którzy coś taszczą w rejonie Pasa Złomu, przynajmniej raz mieli banshee na ogonie. Zwykle zostawiają nas w spokoju. Dość szybki "Burzyk" nie

jest łatwym celem abordażu. Ponadto mamy parę odstraszaczy.

Clavain wiedział, co dziewczyna ma na myśli.

–A teraz?

–Mieliśmy ogon. Para banshee przyczepiła się do nas przed godziną i trzymała się na jedną dziesiątą sekundy świetlnej z tyłu. Trzydzieści tysięcy klików. Tam w kosmosie to jedno siknięcie. Ale ich strząsnęliśmy.

Clavain pociągnął łyk wody z bańki.

–Wróca?

–Nie wiem. To dla nich nietypowe, że są tak daleko od Pasa Złomu. Powiedziałabym...

–Że ja mogę mieć z tym coś wspólnego? – Clavain uniósł brwi.

–To tylko taka myśl.

–Oto inna. Robisz coś niezwykłego i niebezpiecznego: przelatujesz przez wrogą przestrzeń. Z punktu widzenia banshee to oznacza, że masz cenne cargo, coś wartego zainteresowania.

–Myślę, że tak.

–Przysięgam, że nie mam z tym nic wspólnego.

–Nie podejrzewałam, Clavainie, że robisz coś rozmyślnie. Ale w dzisiejszych czasach ma się do czynienia z coraz to innym głównem.

Znów pociągnął z bańki.

–Opowiedz mi o tym.

Wypuścili go ze śluzy osiem godzin później. Wtedy właśnie Clavain po raz pierwszy przyjrzał się dokładnie mężczyźnie, którego Antoinette nazywała Xavier. Xavier był smukłym osobnikiem o miłej, pogodnej twarzy. Przycięta równo grzywa lśniących czarnych włosów połyskiwała niebiesko w wewnętrznym oświetleniu "Burzyka". "Według oceny Clavaina był może dziesięć, piętnaście lat starszy od Antoinette. Niewykluczone, przyznawał Clavain w duchu, że ta ocena odbiega od stanu faktycznego i że to dziewczyna jest starsza w tym związku. Z pewnością jednak żadne z nich nie urodziło się wcześniej niż kilka dziesięcioleci temu.

Kiedy śluza się otworzyła, zobaczył, że Xavier i Antoinette nadal mają na sobie skafandry z hełmami przypiętymi do pasów. Xavier stał w futrynie śluzy i wskazywał na Clavaina.

–Zdejmij skafander. Potem możesz przejść do tej części statku.

Clavain skinął głową i zrobił, co mu kazano. W ograniczonej przestrzeni śluzy zdejmowanie skafandra było niewygodne – wszędzie było niewygodne – ale uporał się z tym w pięć minut, rozebrawszy się do obcisłej warstwy termicznej.

–Chyba mogę na tym poprzestać?

–Tak.

Xavier odstąpił na bok i pozwolił mu wejść do zasadniczej części statku. Przyśpieszali, więc mógł chodzić. Człapał w skarpetkach po metalowej podłodze z wykładziną przeciwpoślizgową.

–Dziękuję – powiedział Clavain.

–Mnie nie dziękuj. Podziękuj jej.

–Xavier uważa, że powinieneś zostać w śluzie, póki nie dotrzemy do Pasa Złomu.

–Nie mam do niego o to pretensji.

–Ale jeśli czegoś spróbujesz... – zaczął Xavier.

–Rozumiem. Rozhermetyzujecie cały statek. Zginę, ponieważ nie jestem w skafandrze. To bardzo sensowne, Xavier. Na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Ale czy mogę wam coś zademonstrować?

Spojrzeli po sobie.

–Co? – zapytała Antoinette.

–Wsadźcie mnie z powrotem do śluzy i zamknijcie drzwi.

Zrobili, o co prosił. Clavain poczekał, aż ich twarze pojawią się w okienku, a potem przysunął się bokiem do drzwi. Gdy jego głowa znalazła się kilkanaście centymetrów od zamka i obsługującego zamek panelu sterowania, zmrużył oczy i skupił się, uaktywniając neuronalne programy, których nie wykorzystywał przez wiele lat. Jego implanty wykryły pole elektryczne, generowane przez obwody urządzenia, nakładając na widok panelu jaskrawy labirynt płynących ścieżek. Clavain zrozumiał układ logiczny zamka i zobaczył, co trzeba zrobić. Jego implanty zaczęły generować silniejsze pole własne, dławiąc niektóre przepływy prądu i wzmacniając inne. Mówił do zamka, kontaktując się z jego systemem sterowania.

Wyszedł nieco z wprawy, ale mimo to osiągnięcie celu okazało się niemal dziecinnie proste. Zamek szczęknął, po czym drzwi się rozsunęły, odsłaniając Antoinette i Xaviera. Na ich twarzach malowało się przerażenie.

–Wyrzucić go w kosmos – powiedział Xavier. – Natychmiast.

–Poczekajcie. – Clavain, uniósł ręce. – Chciałem wam tylko pokazać, jak łatwo mogłem zrobić to wcześniej. Mogłem uciec w każdej chwili. Nie uciekłem. To znaczy, że możecie mi zaufać.

–To znaczy, że powinniśmy cię zabić już teraz, zanim spróbujesz czegoś gorszego – oznajmił Xavier.

–Jeśli mnie zabijecie, popełnicie straszny błąd, zapewniam was. Chodzi o coś więcej niż tylko o mnie.

–Nie umiesz wymyślić niczego lepszego? – zapytał Xavier.

–Jeśli naprawdę nie możecie mi ufać, zaspawajcie mnie w pudle – zaproponował rozsądnie Clavain. – Dajcie mi środki do oddychania i trochę wody, a ja przeżyję, aż osiągniemy Pas Złomu. Ale proszę, nie zabijajcie mnie.

–On mówi poważnie, Xave – stwierdziła Antoinette.

Xavier oddychał ciężko. Clavain zdał sobie sprawę, że mężczyzna rozpaczliwie boi się tego, co on potrafiłby zrobić.

–Nie możesz mieszać nam w głowach. Nie mamy żadnych implantów.

–Nie zamierzałem tego robić.

–Ani manipulować statkiem – dodała Antoinette. – Miałeś szczęście z tą służą, ale mnóstwo ważnych systemów to optoelektronika.

–Macie rację – powiedział, pokazując dłonie. – Nie mogę ich dotknąć.

–Myślę, że musimy mu zaufać – stwierdziła Antoinette.

–Tak, ale jeśli on jest taki... – Xavier urwał i spojrzał na Antoinette. Coś usłyszał.

Clavain również to usłyszał: melodię kurantów dobiegającą z wnętrza statku, ostrą, wielokrotną.

–Alarm zbliżeniowy – wydyszała Antoinette.

–Banshee – powiedział Xavier.

Clavain szedł za nimi przez trzewia statku, aż dotarli na pokład załogowy. Dwie sylwetki w skafandrach obniżyły się przed nim i wpięły w masywne, wyglądające jak antyki fotele akceleracyjne. Clavain szukał miejsca, gdzie mógłby się zakotwiczyć. Oceniał jednocześnie pokład załogowy – mostek, czy jak tam Antoinette nazywała to miejsce. Choć “Burzyk” różnił się od korwety i “Nocnego Cienia” tak, jak tylko statki mogą się różnić pod względem osiągow, funkcjonowania czy elegancji technicznej, Clavain nie miał żadnych trudności z orientacją – przeżył tyle wieków projektowania statków, widział tyle cykli wzlotów i upadków techniki, że wystarczyło mu tylko odkurzyć właściwy zestaw wspomnień.

–Są. – Powiedziała Antoinette, dźgając palcem sferę radaru. – Dwóch skurwieli, dokładnie jak przedtem. – Mówiła cicho, tylko do Xaviera.

–Dwadzieścia osiem tysięcy klików – odpowiedział również szeptem, spoglądając nad jej ramieniem na migające cyfry wskaźnika odległości. – Zbiegają się z prędkością... piętnastu klików na sekundę, na niemal idealnej trajektorii przechwytywania. Wkrótce zaczną zwalniać, gotowi do końcowego zbliżenia i abordażu.

–Więc będą tutaj za... ile? – Clavain przeliczył w pamięci kilka formuł. – Trzydzieści, czterdzieści minut? Xavier spojrział na niego z dziwnym wyrazem twarzy

–Kto cię pytał?

–Pomyślałem sobie, że przydadzą się wam moje uwagi.

–Miałeś kiedyś do czynienia z banshee, Clavainie? – zapytał Xavier.

–Chyba po raz pierwszy usłyszałem o nich przed paroma godzinami.

–Więc nie sądzę, że będzie z ciebie jakiś pieprzony większy pożytek.

–Xave, a według ciebie, ile mamy czasu, zanim nas dopadną? – zapytała cicho Antoinette.

–Przy założeniu zwykłego wzorca podejścia i tolerancji hamowania... trzydzieści... trzydzieści pięć minut.

–Więc Clavain się wiele nie pomylił.

–Udało mu się zgadnąć – oświadczył Xavier.

–Tak naprawdę, wcale nie zgadywałem – powiedział Clavain, odchylając klapę w

ścianie i przypinając się do niej. – Chociaż nie miałem wcześniej do czynienia z banshee, to z pewnością miałem do czynienia ze scenariuszami wrogiego podejścia i abordażu. – Uznał, że nie jest im potrzebna informacja, że to właśnie on często dokonywał wrogiego abordażu.

–Bestio – powiedziała Antoinette, podnosząc głos. – Czy jesteś gotów wprowadzić wzorce ucieczki, które ćwicyliśmy wcześniej?

–Oдноśne programy są załadowane i gotowe do wykonania, panienko. Powstał jednak pewien istotny problem.

Antoinette westchnęła.

–Przedstaw mi go, Bestio.

–Nasz margines swobody zużycia paliwa jest już wąski, panienko. Wzorce ucieczki bardzo nadwątlą nasze rezerwy.

–Czy mamy dosyć paliwa na jeden wzorzec i dotarcie do Pasa, zanim piekło wszystko zamrozi?

–Tak, panienko, ale z bardzo małym...

–Dobrze, dobrze.

Urękawicznione dłonie Antoinette już znalazły się na kontrolkach, gotowe wykonać wściekłe manewry, które zniechęcą banshee, do zajmowania się akurat tym frachtowcem.

–Nie rób tego – powiedział Clavain.

Xavier spojrzał na niego z wyrazem czystej pogardy.

–Co takiego?

–Powiedziałem, nie rób tego. Przyjmij, że to ci sami banshee co wcześniej. Już widzieli twoje wzorce ucieczki, więc dokładnie wiedzą, co możesz zrobić. Raz sobie odpuścili, ale potem uznali, że jednak warto zaryzykować.

–Nie słuchaj... – powiedział Xavier.

–Tylko spalisz paliwo, którego później ci zabraknie. I nic nie zyskasz. Zaufaj mi. Byłem w takich sytuacjach tysiące razy, w tysiącach wojen.

Antoinette spojrzała na niego pytająco.

–Do cholery, Clavain, co według ciebie mam robić?!

Pokręcił głową.

–Wspominałaś o dodatkowych odstraszaczach.

–Och, nie.

–Z pewnością masz broń, Antoinette. W tych czasach nieposiadanie broni byłoby głupotą.

DZIEWIĘTNAŚCIE

Clavain zobaczył broń i nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Uświadomił sobie, jaka jest przestarzała i nieskuteczna, czegoś takiego nie spotykało się na korwetach Hybrydowców czy niszczycielach Demarchistów. Najwidoczniej nabywano ją przez ostatnie kilkadziesiąt lat na czarnorynkowych wyprzedażach używanej tandety. Kupowano te obiekty raczej dla ich lśnienia i groźnego wyglądu niż dla siły rażenia. Wewnątrz statku broni palnej znajdowało się niewiele – miała chronić przed ludźmi próbującymi wdrzeć się na pokład. Większość uzbrojenia została schowana pod ukrytymi lukami kadłuba albo upakowana w gondolach grzbietowych czy brzusznych – Clavain przypuszczał wcześniej, że zawierają one sprzęt komunikacyjny lub zestawy czujników. Nie wszystko działało. Jedna trzecia broni albo nie funkcjonowała nigdy, albo się zepsuła, albo zabrakło dla niej amunicji czy odpowiedniego zasilania.

Antoinette odsunęła ukryty w podłodze panel dostępu do broni. Z otworu wysuwał się powoli metalowy postument, rozkładający w miarę wznoszenia dźwignie sterownicze i urządzenia displeju. W jednej ze sfer obracał się schemat "Burzyka", na którym pulsującą czerwienią zaznaczono aktywne uzbrojenie. Połączenia z główną siecią sterowania statkiem widniały jako kręte czerwone linie. Inne sfery i ekrany głównego pulpitu pokazywały w różnych powiększeniach sąsiadujący z "Burzykiem" obszar kosmosu. Przy najmniejszym powiększeniu statki banshee jawiły się jako niewyraźne plamy radarowych ech, pełnące w kierunku frachtowca.

–Piętnaście tysięcy klików – powiedziała Antoinette.

–Nadal twierdzę, że powinniśmy wykonać wzorzec ucieczki – rzekł cicho Xavier.

–Spalajcie paliwo wtedy, kiedy trzeba – odparł Clavain. – Nie wcześniej. Antoinette, czy cała ta broń jest już rozlokowana?

–Wszystko, co mamy.

–Dobrze. Czy mogę spytać, dlaczego nie chciałaś rozlokować jej wcześniej?

Postukała kontrolki, dokładniej ustawiając broń i przemieszczając strumienie danych do mniej zatłoczonych obszarów sieci.

–Z dwóch powodów. Po pierwsze, nawet sam zamiar uzbrojenia statku cywilnego jest karany śmiercią. Po drugie, te wszystkie ponętne działa mogą stanowić jeszcze większy wabik dla banshee i bardziej zachęcić ich do rabunku.

–Nie dojdzie do tego. Jeśli tylko mi zaufacie.

–Zaufać ci, Clavainie?

–Pozwól mi tu usiąść i pokierować bronią.

Spojrzała na Xaviera.

–Niech mnie cholera, jeśli się na to zgodzę.

Clavain odchylił się do tyłu i splótł ręce na piersi.

–W takim razie wiesz, gdzie mnie szukać.

–Zastosuj manewr ucie... – zaczął Xavier.

–Nie. – Antoinette w coś postukała.

Clavain poczuł, jak cały statek się zatrzęsł.

–Co to było?

–Strzał ostrzegawczy – wyjaśniła.

–Dobrze. Też bym tak zrobił.

Dla ostrzeżenia wystrzeliła prawdopodobnie walcowaty pocisk wypełniony wodorem w fazie spienionej, przyśpieszony do kilkudziesięciu klików na sekundę w pękatym dziale szynowym. O spienionym wodorze Clavain wiedział wszystko. Teraz, gdy Demarchiści nie mogli już manipulować antymaterią na skalę użyteczną dla celów militarnych, pociski z wodorem w fazie spienionej stanowiły główną zawartość ich arsenałów.

Demarchiści wydobywali wodór z oceanicznych serc gazowych gigantów. Pod przerażającym ciśnieniem wodór przemieniał się w metal, podobnie jak rtęć, był jednak tysiące razy od niej gęstszy. Zazwyczaj faza metaliczna nie była stabilna: gdy zniknęło wiążące go ciśnienie, wodór na powrót stawał się rozrzedzonym gazem. W przeciwieństwie do stanu metalicznego, faza spieniona była jedynie kwazniestabilna: po odpowiedniej obróbce wodór pozostawał w tej fazie, nawet gdy ciśnienie zewnętrzne zmalało o kilka rzędów wielkości. Wodór pakowano do naboju różnorodnych rozmiarów. Pociski konstruowano tak, by zawarty w nich gaz zachowywał swą stabilność aż do chwili uderzenia. Wtedy następował bardzo silny wybuch. Broń fazy spienionej wykorzystywano albo w oddzielnych urządzeniach niszczących, albo jako detonatory w bombach atomowych i wodorowych.

Antoinette postępuje słusznie, pomyślał Clavain. Działo z pociskami fazy spienionej to może militarny zabytek, ale sama myśl, że przeciwnik czymś takim dysponuje, może każdego przyprawić o nieodwracalną neuronalną śmierć.

Zobaczył świetlikową plamkę – pocisk pełzł ku statkom piratów i minął je w odległości zaledwie kilkudziesięciu kilometrów.

–Nie zatrzymali się – stwierdził Xavier kilka minut później.

–Ile macie jeszcze pocisków? – spytał Clavain.

–Jeden – odparła Antoinette.

–Oszczędzajcie go. Jesteście teraz za daleko. Mogą namierzyć pocisk radarem i się przed nim uchylić.

Odpiął się od składanej klapy i zszedł w dół mostka. Stał tuż za Antoinette i Xavierem. Teraz mógł się lepiej przyjrzeć postumentowi sterowania broni i ocenić jego funkcjonalność.

–Co macie jeszcze?

–Dwa gigawatowe ekscymery – powiedziała Antoinette. – Jeden trzymilimetrowy bozer Breitenbacha z prekursorem protonowo- elektronowym. Parę armat pociskowych stanu stałego z megahercową częstością wyrzutu. Grazer jednorazowego użytku, kaskadowo- impulsowy. Nie znamy wydajności.

–Prawdopodobnie pół gigawata. A co to jest? – Clavain wskazał na jedyną aktywną broń, której jeszcze nie opisała.

–To? To kiepski żart. Działo Gatlinga.

Clavain skinął głową.

–Nie, to jest dobre. Nie dyskredytuj dział Gatlinga, bywają użyteczne.

–Widzę płomienie odwrotnego ciągu – odezwał się Xavier. – Z Dopplera wynika, że zwalniają.

–Odstraszyliśmy ich? – spytał Clavain.

–Niestety, nie. To wygląda na standardowe podejście banshee – odparł Xavier.

–Cholera – zaklęła Antoinette.

–Nie róbcie nic, dopóki nie podejda bliżej – poradził Clavain. – Znacznie bliżej. Nie zaatakują was, nie będą chcieli rzykować uszkodzenia ładunku.

–Przypomnę ci o tym, kiedy będą podrzynali nam gardła – odparła Antoinette.

Clavain uniósł brew.

–Tak robią?

–Tak, wtedy gdy chcą postąpić wyjątkowo humanitarnie.

Następne dwanaście minut należała do najbardziej napiętych okresów w życiu Clavaina. Rozumiał, jak się czują Xavier i Antoinette. Tak jak oni miał ochotę strzelić do wroga. Ale to równałoby się samobójstwu. Broń promieniowa miała za małą moc, nie gwarantowała zniszczenia statku, a broń pociskowa była za wolna, nieskuteczna, chyba, że na bardzo bliską odległość. W najlepszym wypadku mogli liczyć na zlikwidowanie jednego banshee, lecz nie obydwu naraz. Jednocześnie Clavain zastanawiał się, dlaczego banshee nie wzięli sobie do serca wcześniejszego ostrzeżenia. Antoinette dała im wyraźnie do zrozumienia, że kradzież jej ewentualnego cargo nie pójdzie łatwo. Clavain przewidywał, że banshee postanowią ograniczyć straty i ruszą po mniej zwinny i gorzej uzbrojony cel. Ale według Antoinette niezwykle już był sam fakt, że piraci zapuścili się tak daleko w głąb strefy.

Gdy oba statki zbliżyły się na mniej niż sto kilometrów, zwolniły i się rozdzieliły. Jeden z nich leciał po łuku, do drugiej półkuli displeju, po czym wznowił manewr zbliżania. Clavain studiował powiększony obraz optyczny bliższego statku. Obraz był rozmyty – optyka "Burzyka" nie miała jakości militarnej – ale wystarczył, by rozwiać wszelkie wątpliwości co do tożsamości statku. Ekran pokazywał cywilny pojazd o talii osy, nieco mniejszy od „Burzyka”. Był jednak ciemny jak noc i upstrzony chwytakami i przyspawanym uzbrojeniem. Postrzępione świecące oznaczenia na kadłubie przypominały czaszki i rekinie zęby.

–Skąd oni przylatują? – spytał Clavain.

–Nikt nie wie – powiedział Xavier. – Gdzieś z okolic Pasa Złomu i Yellowstone, ale co do szczegółów... cholera wie.

–A władze po prostu ich tolerują?

–Władze ni chuja nie mogą poradzić. Ani Demarchiści, ani Konwencja Ferrisvillska. Dlatego wszyscy robią w portki na wieść o banshee. – Xavier mrugnął do Clavaina. – Mówię ci, nawet jak wasi wszystko przejmą, to nie będzie piknik, jeśli nie przegonicie banshee.

–Na szczęście to prawdopodobnie już nie mój problem – odparł Clavain.

Dwa statki podpełzły bliżej, przyszpilając "Burzyka" z obu stron. Optyczny podgląd się wyostrzył. Clavain widział teraz słabe i mocne punkty i analizował uzbrojenie wrażliwych statków. W głowie przewalały mu się dziesiątki scenariuszy. Przy odległości wroga wynoszącej sześćdziesiąt kilometrów Clavain przemówił cicho i spokojnie.

–Słuchajcie uważnie. Przy tej odległości macie szansę wyrządzić trochę szkód przeciwnikowi, ale tylko wtedy, gdy mnie posłuchacie i zrobicie dokładnie, co powiem.

–Myślę, że powinniśmy go zignorować – oznajmił Xavier.

Clavain oblizał usta.

–Wtedy zginiecie. Antoinette, ustaw następujący wzorzec strzelania w trybie zaprogramowanym z góry i nie ruszaj żadnej z broni, aż dam znak. Możesz być pewna, że banshee mają nas na celownikach i czekają, co zrobimy.

Spojrzała na niego i skinęła głową. Palce zawiesiła nad postumentem sterowania uzbrojeniem.

–Słucham, Clavainie.

–Uderz statek z prawej dwusekundowym impulsem ekscymera, jak najbliżej śródkręcia. Tam znajduje się skupisko czujników; chcemy je unieszkodliwić. Równocześnie steruj szybkostrzelnym działem pociskowym, by dać serię po lewym okręcie, powiedzmy serię megahertzową, utrzymaną przez sto milisekund. To ich nie zniszczy, ale jestem pewien, że uszkodzi tę zębatkową wyrzutnię i powygina chwytnie ramiona. W każdym razie sprowokuje ich do reakcji, i o to chodzi.

–O to chodzi?

Już wprowadzała w postument podany wzorzec ostrzału.

–Tak. Widzisz, jak utrzymuje kadłub pod kątem? W tej chwili przyjął pozycję obronną. To dlatego, że jego główne uzbrojenie jest delikatne; teraz, kiedy rozlokował broń, nie chce jej ustawiać w naszym polu rażenia, dopóki nie będzie mógł zadać decydującego ciosu. I myśli, że na początku uderzymy swoimi najcięższymi zabawkami.

–A my tego nie zrobimy. – Twarz Antoinette się rozpogodziła

–Przeciwnie. Właśnie wtedy ich uderzymy – oba statki – Breitenbachem.

–A jednorazowy graser?

–Trzymaj go w rezerwie. To nasza karta atutowa średniego zasięgu i nie chcemy jej rozgrywać, póki nie znajdziemy się w większym niż teraz niebezpieczeństwie.

–A dział Gatlinga?

–Zatrzymamy je na deser.

–Mam nadzieję, że nie wciskasz nam kitu, Clavain – ostrzegła Antoinette.

Uśmiechnął się szeroko.

–Szczерze wierzę, że nie wciskam wam kitu.

Oba statki wciąż się zbliżały. Teraz było je widać przez okna kabiny: czarne kropki, od czasu do czasu wypuszczające białe lub fioletowe kolce z dysz sterujących. Kropki powiększyły się, wyglądały jak drzazgi. Drzazgi przyjmowały twarde kształt urządzenia mechanicznego, aż Clavain mógł odróżnić jaskrawo świecące ozdoby statków pirackich. Ozdoby włączali dopiero podczas końcowego podejścia, gdy musieli użyć dysz do korekcji szybkości i nie było już szans na ukrycie się na tle ciemności kosmosu. Ozdoby miały wzbudzać strach i przerażenie, jak piracka bandera na starych żaglowcach.

–Clavain...

–Za jakieś czterdzieści pięć sekund, Antoinette. Ale ani chwili wcześniej. Rozumiesz?

–Boję się, Clavainie.

–To naturalne, ale wcale nie oznacza, że za chwilę zginiesz.

Właśnie wtedy poczuli, że statek znowu się zatrzęsł. Ów wstrząs prawie się nie różnił od tego, który nastąpił, kiedy ostrzegawczo wystrzelili nabój wodorowy. Tyle że trwał dłużej.

–Co się stało? – zapytał Clavain.

Antoinette się nachmurzyła. – Ja nie...

–Xavier? – warknął Clavain.

–To nie ja, chłopie. To musiał być...

–Bestia! – krzyknęła Antoinette.

–Błagam o wybaczenie, panienko, ale się...

Clavain uświadomił sobie, że statek sam strzelił z megahercowego działu pociskowego. W kierunku lewego banshee, ale o wiele za wcześnie.

“Burzykiem” znowu zatrzęsło. Konsola mostka rozjarzyła się klockami błyskającej czerwieni. Wył sygnał alarmowy. Clavain poczuł ciąg powietrza i zaraz potem szybkie trzaskanie kolejnych grodzi.

–Właśnie dostaliśmy – rzekła Antoinette. – Śródokręcie.

–Macie spore kłopoty – stwierdził Clavain.

–Dziękuję. Sama się tego się domyślałam.

–Walnij w prawego banshee lase...

“Burzyk” znowu się zatrząsł i tym razem poczerniała połowa świateł na konsoli. Clavain odgadł, że jeden z piratów właśnie ich trafił pociskiem przebijającym, wyposażonym w głowicę elektromagnetyczną. A więc przechwałki Antoinette, że wszystkie krytyczne obwody statku są wykonane w technice optoelektronicznej, okazały się blagą.

–Clavain... – spojrzała na niego dzikimi, przestraszonymi oczyma. – Ekscymery nie reagują.

–Spróbuj obejścia.

Jej palce grały na kontrolkach postumentu, a Clavain patrzył, jak się przesuwa pajęczyna połączeń sieciowych, gdy dziewczyna tłoczyła dane innymi ścieżkami. Statek zatrząsł się ponownie. Clavain spojrzał przez lewe okno, za którym wyłaniał się ogromny banshee, hamując cały czas wstecznym ciągiem. Clavain widział, jak zaczepy i haki się odwijają, oddzielając od kadłuba na swych stawach niczym haczykowate i kolczaste odnóża jakiegoś skomplikowanego czarnego owada, wynurzającego się właśnie z kokonu.

–Pośpiesz się – poganiał Xavier, obserwujący działania Antoinette.

–Antoinette. – Clavain mówił z największym spokojem, na jaki mógł się zdobyć. – Pozwól mi kierować. Proszę.

–Cholera, dobrego...

–Po prostu pozwól mi tym pokierować.

Dyszała ciężko przez pięć czy sześć sekund i tylko na niego patrzyła, po czym odpięła się i wstała z fotela. Clavain skinął głową, precyzyjnie przycisnął się obok niej i usadowił przy postumencie sterowniczym.

Już się z nim zaznajomił. Zanim dotknął kontrolki, jego implanty rozpoczęły przyśpieszanie jego subiektywnej świadomości. Wszystko wokół zaczęło zastygać w bezruchu: wyrazy twarzy, pulsowanie sygnałów alarmowych na panelu sterowniczym. Nawet jego dłonie poruszały się jak w smole, a opóźnienie między przesłaniem impulsu nerwowego a reakcją dłoni stało się zupełnie zauważalne. Ale

do tego był przyzwyczajony. Robił już wcześniej takie rzeczy, bardzo wiele razy, i oczywiście zawsze uwzględniał niemrawą reakcję własnego ciała.

Gdy szybkość świadomości wzrosła piętnaście razy w stosunku do normalnej, Clavain wprowadził się w stan zdystansowanego spokoju. Sekunda to na wojnie długo. Piętnaście sekund to cała wieczność. Można zrobić mnóstwo rzeczy, wiele przemyśleć w piętnaście sekund.

Do dzieła. Ustawiał optymalne ścieżki sterowania pozostałej broni. Pajęcza sieć drgnęła i się przekształciła. Clavain zbadał kilka możliwych rozwiązań, akceptował tylko najlepsze. Znalezienie optymalnego przepływu danych mogło zabrać dwie rzeczywiste sekundy, ale był to czas dobrze spożytkowany. Spojrzał na kulę radaru bliskiego zasięgu. Rozbawił go fakt, że jej cykl uaktualniania radaru przypomina obecnie powolny rytm skurczów ogromnego serca.

Jest. Odzyskał kontrolę nad ekscymerami. Potrzebował tylko zmodyfikowanej strategii w zmienionej sytuacji. Jego mózgowi zajmie to kilka sekund – rzeczywistych sekund.

Mało czasu.

Ale był przekonany, że zdąży.

*

Clavain doprowadził do zniszczenia jednego banshee i uszkodzenia drugiego. Uszkodzony statek czmychnął z powrotem w ciemność, jego neonowe oznakowanie migotało spazmatycznie jak świetlik, w którym nastąpiło krótkie spięcie. Po pięćdziesięciu sekundach zobaczyli poświatę jego żagwi jądrowej i obserwowali, jak znika, lecąc w kierunku Pasa Złomu.

–Jak zyskać przyjaciół i wpłynąć na ludzi – powiedziała Antoinette, obserwując, jak zrujnowany statek oddala się, koziółkując. Nie miał połowy kadłuba, odsłoniła się płatanina bebechów czkających szarymi spiralami pary. – Dobra robota, Clavain.

–Dzięki – odparł. – Jeśli się nie mylę, to są już dwa powody, byście mi zaufali. A teraz, jeśli nie macie nic przeciwko temu, zamierzam zemdleć.

I zemdlał.

*

Dalsza podróż upłynęła bez przygód. Po bitwie z banshee Clavain pozostawał nieprzytomny przez osiem, może dziewięć godzin. Jego umysł leczył się po ciężkich przejściach, spowodowanych wydłużonym okresem przyspieszonej świadomości. Odmienne niż u Skade, jego mózgu nie zaprojektowano do takich obciążeń, trwających więcej niż jedną czy dwie rzeczywiste sekundy, więc Clavain doznał czegoś w rodzaju rozległego ataku serca.

Jednakże obyło się bez trwałych następstw, a zyskał zaufanie swych gospodarzy. Przez resztę podróży mógł swobodnie poruszać się po statku, a po pewnym czasie Antoinette i Xavier pozbyli się skafandrów. Banshee już nie powrócili, a "Burzyk" nie natknął się na żadne działania wojenne. Clavain ciągle chciał być użyteczny i za zgodą Antoinette pomagał Xavierowi w drobnych naprawach i modyfikacjach. Godzinami pełzali w zatłoczonych kablami norach lub przetrząsali warstwy antycznych programów źródłowych.

–Naprawdę nie mam ci za złe, że mi nie ufałeś – powiedział Clavain, gdy został sam na sam z Xavierem.

–Kocham ją.

–To widać. Podjęła cholerne ryzyko, że przyleciała mi na ratunek. Na twoim miejscu też starałbym się ją od tego odwieść.

–Nie bierz tego do siebie.

Clavain sunął pisakiem po komputersie, który trzymał niepewnie na kolanach. Zmieniał niektóre ścieżki logiczne między siecią sterowniczą i grzbietowym zespołem komunikacyjnym.

–Nie biorę.

–A co się z tobą stanie, kiedy dotrzemy do Pasa Złomu?

Clavain wzruszył ramionami.

–To zależy od was. Możecie mnie wysadzić tam, gdzie wam pasuje. Karuzela Nowa Kopenhaga jest równie dobra jak każde inne miejsce.

–I co wtedy?

–Oddam się do dyspozycji władz.

–Demarchistów?

–Tak – odparł. – Chociaż byłoby to zbyt niebezpieczne, gdybym się zbliżył do nich tutaj, w otwartym kosmosie. Muszę przejść przez stronę neutralną, taką jak Konwencja.

Xavier kiwnął głową.

–Życzę Ci, żebyś dostał to, czego oczekujesz. Również ryzykujesz.

–Nie po raz pierwszy, ręczę ci. – Clavain ściszył głos. Co prawda, niepotrzebnie, bo znajdowali się kilkadziesiąt metrów od Antoinette, ale mimo wszystko czuł taką potrzebę. – Xavier... skoro jesteśmy sami... chciałbym cię o coś zapytać

Xavier zerknął na niego przez porysowane szare gogle wizualizacji danych.

–Wal.

–Domyślam się, że znałeś jej ojca i to ty załatwiłeś naprawy statku, kiedy on nim kierował.

–Zgadza się.

–Więc przypuszczam, że wiesz o "Burzyku" wszystko. Może więcej od Antoinette?

–Jest cholernie dobrym pilotem. Clavain uśmiechnął się.

–Co jest uprzejmym stwierdzeniem, że niezbyt dobrze zna techniczne aspekty tego statku?

–Tak jak jej ojciec – dodał Xavier tonem usprawiedliwienia. – Prowadzenie firmy handlowej takiej jak ta jest wystarczająco kłopotliwe nawet bez dodatkowych zmartwień o każdy podprogram.

–Rozumiem. Też nie jestem ekspertem. Jednak zauważyłem, że kiedy interweniowała podosoba... – Urwał.

–Pomyślałeś, że to dziwne.

–Omal nas nie ukatrupiła. Wystrzeliła za wcześnie, wbrew moim bezpośrednim rozkazom.

–To nie były rozkazy, Clavainie, tylko rekomendacje.

–Przejęczyłem się. Ale chodzi o to, że coś takiego nie powinno się zdarzyć. Nawet jeśli podosoba mogła częściowo sterować bronią – a na statku cywilnym uważam to za co najmniej niezwykle – nadal nie powinna była działać bez wyraźnego rozkazu. A już stanowczo nie powinna wpadać w panikę.

Xavier zaśmiał się nerwowo.

–W panikę?

–Właśnie tak to czułem. – Clavain nie widział oczu Xaviera za goglami.

–Maszyny nie wpadają w panikę, Clavainie.

–Wiem. Zwłaszcza nie robią tego podosoby poziomu gamma, czym przecież musi być Bestia.

Xavier skinął głową.

–Więc ona nie mogła wpaść w panikę, prawda?

–Przypuszczam, że nie.

Clavain nachmurzył się, powrócił do swego komputera i dalej przeciągał pisakiem przez jasne gangliony ścieżek logicznych, jak człowiek mieszający w talerzu spaghetti.

Zadokowali w Karuzeli Nowa Kopenhaga. Clavain był gotów natychmiast sobie pójść, ale Xavier i Antoinette nie chcieli o tym słyszeć. Nalegali, żeby zjadł z nimi pożegnalny posiłek gdzieś na karuzeli. Po chwili namysłu Clavain się zgodził. Miało to zająć tylko parę godzin i dać mu cenną szansę zaaklimatyzowania się przed niebezpieczną samotną podróżą – tak to przynajmniej traktował. Ponadto czuł, że winien jest im podziękowania, zwłaszcza że Xavier poratował go ubraniami ze swojej garderoby.

Clavain, wyższy i chudszy od Xaviera, musiał wykazać twórczą inwencję, jeśli chciał się ubrać w jego rzeczy, nie zabierając mu czegoś szczególnie wartościowego. Zatrzymał wewnętrzną warstwę skafandra i włożył na nią kamizelkę z wysokim kołnierzem, nieco przypominającą nadmuchiwane kamizelki stosowane przez pilotów przy awaryjnym wodowaniu. Znalazł parę luźnych czarnych, sięgających mu do połowy łydek spodni – wyglądały okropnie nawet na trykocie, dopóki nie znalazł pary zniszczonych czarnych butów, sięgających mu niemal do kolan. Gdy przejrzał się w lustrze, doszedł do wniosku, że wygląda raczej dziwnie niż dziwacznie, co uznał za krok we właściwym kierunku. W końcu przyciął brodę i wąsy, a następnie doprowadził do porządku włosy, zaczesując je i układając w śnieżne fale.

Antoinette i Xavier, już odświeżeni, czekali na niego. Pojechali pociągiem krawędziowym z jednej części Karuzeli Nowa Kopenhaga do innej. Antoinette wyjaśniła mu, że linia została uruchomiona po zniszczeniu szprych – wcześniej najszybszym sposobem przemieszczania się była podróż do rdzenia i znowu w dół. W czasie gdy budowano linię pociągu krawędziowego, nie mogła już przebiegać najprostszą drogą. Prowadziła wzdłuż krawędzi zygzakiem, wijąc się i skręcając, a gdzieś tam odchylając się do granicy habitatu, by ominąć kawałek cennej wewnętrznej posiadłości. Ponieważ kierunek jazdy pociągu przesunął się względem wektora obrotów karuzeli, Clavain czuł, jak jego żołądek mdląco ściska się i rozluźnia. Przypominało mu to wchodzenie statkami opadowymi w atmosferę Marsa.

Wrócił do terażniejszości, gdy pociąg wjechał na rozległy wewnętrzny plac. Wysiedli na peron o szklanych ścianach i szklanej podłodze, zawieszony dziesiątki metrów nad zadziwiającym obiektem.

Pod ich stopami, wciśnięty przez wewnętrzną ścianę brzegu karuzeli, spoczywał przód ogromnego statku. Statek miał tępy dziób, zaokrąglone linie, był podrapany i nadpalony, a wszystkie dodatki – gondole, kolce i anteny – zostały całkiem oderwane. Okna kabiny statku, biegnące półkolem dokoła bieguna dziobu, teraz porozbijane, patrzyły czarnymi otworami, wyglądającymi jak puste oczodoły. Wokół kołnierza statku, gdzie stykał się z materią karuzeli, znajdowała się skoagulowana szara piana awaryjnego uszczelnacza o porowatej teksturze pumeksu.

–Co się tutaj stało? – spytał Clavain.

–Pieprzony dureń o nazwisku Lyle Merrick – wyjaśniła Antoinette.

–To statek Merricka czy raczej to, co z niego zostało – wyjaśnił Xavier. – To barka na paliwo chemiczne, jeden z najprymitywniejszych typów pojazdów, jakie nadal funkcjonują w Pasie Złomu. Merrick utrzymywał się w interesie, gdyż miał odpowiednich klientów – ludzi, których władze nigdy nawet by nie podejrzewały, że powierzą swój ładunek takiej kupie gówna. Ale Merrick pewnego dnia wpadł w kłopoty.

–To było jakieś szesnaście, siedemnaście lat temu – podjęła Antoinette. – Władze go ściagały, chcąc zmusić, by pozwolił im wejść na pokład i skontrolować cargo. Merrick próbował się ukryć: po drugiej stronie karuzeli była studnia remontowa, w której jego statek mógł się dokładnie zmieścić. Ale nie udało mu się tam dotrzeć. Schrząnął podejście, stracił sterowanie albo po prostu się spietrał. Głupi ciul wyrznął prosto w krawędź.

–To, co widzisz, jest tylko drobną częścią statku – dodał Xavier. – Reszta sterczy z tyłu, to głównie zbiorniki paliwa. Nawet z katalizatorem fazy spienionej, w rakietach chemicznych potrzeba mnóstwa paliwa. Kiedy uderzył, przód przeszedł czysto przez krawędź karuzeli, deformując ją siłą uderzenia. Lyle'owi się udało, ale zbiorniki paliwa wybuchły. Tam na zewnątrz do dziś został krater.

–Ofiary? – spytał Clavain.

–Kilka – odparł Xavier.

–Więcej niż kilka – poprawiła Antoinette. – Kilkaset.

Opowiedzieli Clavainowi, jak hipernaczelne w skafandrach uszczelniły krawędź, w zespole ratunkowym tylko kilkoro poniosło śmierć. Zwierzęta tak starannie załatały lukę między promem a ścianą krawędzi, że uznano, iż najbezpieczniej będzie zostawić statek dokładnie tam, gdzie się znajduje. Zaproszono uznanych projektantów, by zrekonstruowali resztę placu, nadając mu przyjazny charakter.

–Nazwali to “echem brutalnego statkowego najścia” – powiedziała Antoinette.

–Tak – dodał Xavier – Albo “komentowaniem wypadku serią ironicznych architektonicznych gestów, przy zachowaniu niezbędnego kosmicznego prymatu samego aktu transformacyjnego”.

–Banda przepłacanych popaprańców, tak ich nazywam – stwierdziła Antoinette.

–To przecież ty chciałaś tu przyjść – odparł Xavier.

W dziobowy stożek zrujnowanego statku wbudowano bar. Clavain taktownie zaproponował, żeby nie siadali na samym widoku. Znaleźli stół w rogu przy przepastnym zbiorniku bulgoczącej wody, gdzie pływały ośmiornice o stożkowatych ciałach migoczących reklamami.

Gibbon przyniósł piwo. Zaatakowali je z entuzjazmem, nawet Clavain, który nie przepadał za alkoholem. Napój był zimny, odświeżający i w obecnym nastroju do świętowania Clavain chętnie pił cokolwiek. Miał tylko nadzieję, że nie zepsuje wszystkiego, odkrywając, jak ponuro się naprawdę czuje.

–Czy powiesz nam, Clavainie, o co w tym wszystkim chodzi, czy po prostu zostawisz nas z domysłami? – zapytała Antoinette.

–Wiecie, kim jestem – odparł.

–Tak. – Spojrzała na Xaviera. – Tak nam się wydaje. Wcześniej temu nie zaprzeczałeś.

–W takim razie wiecie, że już raz przeszedłem na stronę nieprzyjaciela.

–Bardzo dawno temu – zauważyła Antoinette.

Clavain spostrzegł, że dziewczyna oddziera ostrożnie etykietkę od swej butelki.

–Czasem wydaje się, że to się stało wczoraj. Ale tak naprawdę to było rzeczywiście czterysta lat temu, z dokładnością do dekady. Przez większość tego czasu bardzo pragnąłem służyć swemu ludowi. Przejścia na stronę wroga nie traktuję lekko.

–Więc dlaczego aż tak zmieniłeś zdanie? – zapytała.

–Niedługo stanie się coś bardzo złego. Nie mogę powiedzieć dokładnie co – nie mam całego obrazu – ale wiem dosyć, by stwierdzić, że istnieje zagrożenie, zagrożenie zewnętrzne, które wystawi nas wszystkich na olbrzymie niebezpieczeństwo. Nie tylko Hybrydowców czy Demarchistów, ale nas wszystkich. Ultrasów. Porywaczy. Nawet was.

Xavier wbił wzrok w piwo.

–I tą radosną nutą...

–Nie chciałem psuć nastroju. Po prostu takie są fakty. Istnieje zagrożenie, mamy wszyscy kłopoty, a ja żałuję, że nie jest inaczej.

–Co to za zagrożenie? – spytała Antoinette.

–Jeśli mam prawdziwe informacje, to chodzi o obcych. Od pewnego czasu my – to

znaczy Hybrydowcy – wiemy, że w kosmosie są wrogie istoty. Aktywnie wrogie, a nie po prostu niebezpieczne i nieprzewidywalne jak Żonglerzy Wzorców czy Całunnicy. I oni ciągle tam są, w tym sensie, że stanowią realne zagrożenie dla niektórych naszych wypraw. Nazywamy ich wilkami. Sądzymy, że to maszyny i że z jakichś powodów dopiero teraz sprowokowaliśmy ich reakcję.

Clavain przerwał, mając teraz pewność, że jego młodzi gospodarze słuchają go z uwagą. Nie przejmował się zbyt, że formalnie rzecz biorąc, ujawnia tajemnice Hybrydowców. Miał nadzieję, że wkrótce powie dokładnie to samo władzom Demarchistów. Im szybciej wiadomości się rozejdą, tym lepiej.

–A te maszyny?... – zapytała Antoinette. – Od jak dawna o nich wiecie?

–Od dość dawna. Od dziesięcioleci wiemy o istnieniu wilków, ale wydawało nam się, że nie sprawią żadnych lokalnych trudności, jeśli tylko podejmiemy pewne środki ostrożności. Właśnie dlatego przestaliśmy budować gwiazdoloty. Niczym latarnie sygnałowe, przywabiły do nas wilki. Dopiero teraz umiemy budować cichsze statki. W Matczynym Gnieździe istnieje frakcja dowodzona przez Skade, a przynajmniej pozostająca pod jej wpływem.

–Już wymieniałeś to nazwisko – powiedział Xavier.

–Skade mnie ściga. Nie chce, żebym dotarł do władz Demarchistów, ponieważ wie, jak niebezpieczna jest moja informacja.

–A co robi ta frakcja?

–Buduje flotę ewakuacyjną – poinformował Clavain. – Widziałem ją. Z łatwością pomieści wszystkich Hybrydowców z tego układu. Głównie zajmują się planowaniem ewakuacji. Ustalili, że masowy atak wilków nastąpi lada chwila – tak w każdym razie przypuszczam – i zdecydowali, że najlepsze, co mogą zrobić, to uciec.

–Co w tym takiego wstrętnego? – spytał Xavier. – Też byśmy tak postąpili, gdyby to nam miało uratować skórę.

–Być może. – Clavain, czuł dziwny podziw dla cynizmu młodego człowieka. – Istnieje jednak dodatkowa komplikacja. Jakiś czas temu Hybrydowcy wyprodukowali stos broni ostatecznej. I mam na myśli broń rzeczywiście ostateczną – niczego podobnego już nigdy nie wytworzono. Ta broń zaginęła, a potem została odnaleziona. Hybrydowcy próbują ją odzyskać z nadzieją, że będzie dodatkowym zabezpieczeniem przed wilkami.

–Gdzie jest ta broń? – zapytała Antoinette.

–Koło Resurgamu, w układzie Delt Pawia. Około dwudziestu lat lotu stąd. Obecny

posiadacz broni uzbroił ją ponownie i broń wysłała sygnał diagnostyczny. Odebraliśmy ten sygnał. To samo w sobie jest niepokojące. Matczyne Gniazdo, chcąc odzyskać broń, formowało specjalną brygadę, na czele której, dość naturalną kolejną rzeczą, miałem stanąć ja.

–Chwileczkę – odezwał się Xavier. – Poleciałbyś taki kawał jedynie po to, by odzyskać stos starej broni? Czemu nie wyprodukować nowej?

–Hybrydowcy tego nie umieją – odparł Clavain. – Broń została wytworzona dawno temu, według zasad, które potem rozmyślnie zapomniano.

–Trochę mi to śmierdzi.

–Nigdy nie twierdziłem, że znam wszystkie odpowiedzi – odparł Clavain.

–W porządku. Załóżmy, że ta broń istnieje. Co dalej?

Clavain nachylił się bliżej, trzymając piwo.

–Hybrydowcy zrobią wszystko, by ją odzyskać, nawet beze mnie. Uciekłem po to, by namówić Demarchistów, czy kogokolwiek, kto mnie wysłucha, że muszą dostać się tam jako pierwsi.

Xavier spojrzał na Antoinette. |

–Więc potrzebujesz kogoś ze statkiem i być może z jakąś bronią. Czemu nie pójdziesz prosto do Ultrasów?

Clavain uśmiechnął się ze znużeniem.

–To właśnie Ultrasom będziemy się starali odebrać broń. Nie chcę jeszcze bardziej komplikować spraw.

–Powodzenia – powiedział Xavier.

–Tak?

–Będzie ci potrzebne.

Clavain skinął głową i podniósł butelkę.

–A więc za mnie.

Antoinette i Xavier podnieśli swoje flaszki w toaście.

–Za ciebie, Clavainie.

Clavain pożegnał się z nimi przed barem, prosząc tylko o udzielenie wskazówek, do którego pociągu krawędziowego f ma wsiąść. Wobec przybyłych do Karuzeli Nowa Kopenhaga nie stosowano kontroli celnej, ale według Antoinette, jeśli Clavain chciał się udać do innego miejsca w Pasie Rdzy, będzie musiał się poddać kontroli bezpieczeństwa. Bardzo mu to odpowiadało: nie wymyśli lepszego sposobu oddania się w ręce władz. Będzie przepytany, przetrałowany, ustalą jego hybrydowską tożsamość. Kilka dalszych testów udowodni ponad wszelką rozsądną wątpliwość, że rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje, gdyż jego lekko zmodyfikowane DNA wykaże, że jest człowiekiem urodzonym na Ziemi w dwudziestym drugim wieku. Nie miał pojęcia, co się stanie potem. Chciał wierzyć, że władze nie wydadzą nakazu natychmiastowej egzekucji, ale nie mógł czegoś takiego wykluczyć. Miał nadzieję, że zdoła przekazać swe przesłanie, zanim będzie za późno.

Antoinette i Xavier pokazali mu właściwy pociąg krawędziowy i upewnili się, że ma dosyć pieniędzy, by zapłacić za przejazd. Pomachał im na pożegnanie, gdy pociąg wyjeżdżał ze stacji, a poobijany wrak statku Lyle'a Merricka zniknął za łagodną krzywizną karuzeli.

Clavain zamknął oczy i zażądał, by jego świadomość biegła z trzykrotną szybkością. Chciał skorzystać z kilku chwil spokoju, zanim dojedzie do swego miejsca przeznaczenia.

DWADZIEŚCIA

Cierń nastawił się na sprzeczkę z Vuilleumier, ale kobieta niespodziewanie łatwo przystała na jego życzenia. Bez wątpienia niepokoiła ją perspektywa zanurkowania w pobliże Roka, w serce działalności Inhibitorów. Chciała jednak, by uwierzył, że absolutnie szczerze mówiła mu o zagrożeniu. Jeśli nie można go przekonać inaczej, niż tylko pokazując mu wszystko z bliska, to ona dostosuje się do jego życzeń.

–Cierniu, niech moja zgoda cię nie zmyli. To jest naprawdę niebezpieczne. Znajdujemy się na niezbadanym terenie.

–Wcześniej również nie byliśmy bezpieczni, Inkwizytorze. Mogli nas w każdej chwili zaatakować. Nawet gdyby mieli tylko nasze, ludzkie uzbrojenie, to przecież od kilku godzin znajdowalibyśmy się w jego zasięgu.

Statek o węzowej głowie nurkował w górne warstwy atmosfery gazowego giganta po trajektorii, która miała ich doprowadzić w pobliże punktu wejścia jednej z wysuniętych rur, zaledwie tysiąc kilometrów od kipieli storturowanego powietrza wokół przypominającej ogromne oko strefy kolizji. Czujniki statku nic nie wykrywały

pod tym zamętym. Mogli się jedynie domyślać, że rura zanurza się głębiej w Roka, zupełnie nieuszkodzona uderzeniem o atmosferę.

–Cierniu, mamy tu do czynienia z obcą maszyną. Możesz to nazwać obcą mechaniczną psychiką. Dotychczas nas nie zaatakowała ani nie wykazała najmniejszego zainteresowania naszą działalnością. Nie zadała sobie nawet trudu, by zlikwidować życie na powierzchni Resurgamu. Ale jeśli nie zachowamy najwyższej ostrożności, to możemy przez nieuwagę przekroczyć jakiś jej próg bezpieczeństwa.

–A pani uważa, że nasze działania nie są “bardzo ostrożne”?

–Niepokoją mnie one, ale jeśli są potrzebne...

–Inkwizytorze, chodzi o coś ważniejszego niż tylko to, by mnie przekonać.

–Musiś się do mnie tak ciągle zwracać?

–Słucham?

Ustawiła kontrolki. Cierń usłyszał zsynchronizowane poskrzypywanie, gdy kadłub statku zmieniał kształt do optymalnego wejścia w atmosferę. Gazowy gigant Rok zajmował obecnie prawie całkowicie ich pole widzenia.

–Nie musisz mnie cały czas tak nazywać.

–Wobec tego Vuilleumier?

–Mam na imię Ana. To mi bardziej odpowiada, Cierniu. Może też nie powinnam cię nazywać Cierniem.

–Cierń jest w porządku. Zrosłem się z tym imieniem. Chyba dobrze do mnie pasuje. Ponadto nie warto, żebym zbyt często pomagał Domowi Inkwizycji w jego śledztwie, prawda?

–Dokładnie wiemy, kim jesteś. Widziałeś swoje dossier.

–Owszem. Ale mam wrażenie, że nie kwapisz się, by je wykorzystywać przeciwko mnie.

–Jesteś dla nas użyteczny.

–Nie to miałem na myśli.

Zapadło milczenie. Statek schodził ku planecie. Ciszę przerywał jedynie okazjonalny świergot lub słowne ostrzeżenie pulpitu. Statek bez entuzjazmu wykonywał zadania, o które go poproszono, i wciąż zgłaszał sugestie na temat tego, co wolałby robić.

–Myślę, że jesteśmy dla nich jak owady – powiedziała w końcu Vuilleumier. – Przybyli, by nas wytępić, jak specjaliści od dezynsekcji. Nie zamierzają troszczyć się o nas dwoje – wiedzą, że w całej sprawie nie ma to znaczenia. Nawet jeśli ich użądlimy, nie wywołamy takiej reakcji, jakiej się spodziewamy. Nadal będą wykonywać swoją pracę, powoli i metodycznie, ze świadomością, że w dalszej perspektywie jej efekty wystarczą z nadmiarem.

–Więc teraz jesteśmy bezpieczni?

–Cierniu, to tylko teoria, nie dałabym za nią głowy. Najwidoczniej nie rozumiemy wszystkiego, co robią. Ich działania muszą mieć jakiś wyższy cel. Nie może to być tylko anihilacja życia dla samej anihilacji. Ale nawet gdyby była, a Inhibitorzy byli wyłącznie bezmózgimi maszynami- zabójcami, mogliby niszczyć życie znacznie skuteczniejszymi sposobami.

–Co masz na myśli?

–Że nie powinniśmy polegać na naszej interpretacji. Rozumiemy tyle, ile owad rozumie z metod dezynsekcji. – Mówiąc to, zacisnęła zęby i położyła dłoń na kontrolce. – W porządku. Trzymaj się. Zacznie nami rzucać.

Para opancerzonych powiek opadła na okna, zasłaniając widok. Jednocześnie statek zaturkotał, tak jak turkocze samochód, kiedy z asfaltu zjedzie na drogę gruntową. Cierń czuł też swój ciężar: ciśnienie wpychające go w fotel, na razie słabe, ale stale rosnące.

–Kim właściwie jesteś, Ano?

–Wiesz kim. Już to omawialiśmy.

–Mnie to nie usatysfakcjonowało. W tym okręcie jest coś dziwnego. Trudno o konkret, ale cały czas gdy jestem na pokładzie, mam wrażenie, że obie wstrzymujecie oddech. Jakbyście nie mogły się doczekać, kiedy się mnie stamtąd pozbędziecie.

–Na Resurgamie masz pilne sprawy. Irina od początku się nie zgadzała, żebyś wchodził na statek. Uważa, że powinieneś zostać na planecie i przygotowywał grunt pod ewakuację.

–Co za różnica te kilka dni. Stanowczo nie o to chodzi. Obydwie coś ukrywacie albo spodziewacie się, że czegoś nie zauważę. Nie mogę tylko się zorientować, co to jest.

–Cierniu, musisz nam zaufać.

–Utrudniasz to, Ano.

–Cóż więcej mamy zrobić? Pokazałyśmy ci statek, prawda? Zobaczyłeś, że istnieje naprawdę. Ma wystarczającą pojemność, by ewakuować planetę. Pokazałyśmy ci nawet hangar promów.

–Tak. I właśnie to wszystko, czego mi nie pokazałyście, budzi mój niepokój.

Turkotanie się wzmogło. Podróż statkiem przypominała zjazd toboganem z lodowego zbocza. Kadłub trzeszczał i ciągle się przekształcał, starając się – niezbyt skutecznie – robić to jak najpłynniej. Cierń był jednocześnie podekscytowany i przerażony. Wchodził w atmosferę planety tylko raz w życiu, jako dziecko, gdy rodzice przywieźli go na Resurgam. W tym czasie był zamrożony i pamiętał to mniej więcej tak jak swe narodziny w Chasm City.

–Nie pokazałyśmy ci wszystkiego, ponieważ nie wiemy, czy statek jest bezpieczny – wyjaśniła Vuilleumier. – Nie wiemy, jakie pułapki zostawiła po sobie załoga Volyovej.

–Ano, nie mogłem go nawet zobaczyć z zewnątrz!

–Nie było okazji. Nasze podejście...

–Nie miało nic do rzeczy. Jest coś w tym statku, czego widzieć nie powinienem, prawda?

–Cierniu, dlaczego mnie o to pytasz akurat teraz?

Uśmiechnął się.

–Miałem nadzieję, że w tych okolicznościach łatwiej się skoncentrujesz.

Nie odpowiedziała.

Wkrótce lot stał się równiejszy. Kadłub zaskrzypiał i przekształcił się po raz ostatni. Vuilleumier odczekała jeszcze kilka minut, a potem podniosła opancerzone zasłony okienne. Cierń zamrugał, gdy do kabiny wtargnęło światło dzienne. Znajdowali się wewnątrz atmosfery Roka.

–Jak się czujesz? – zapytała. – Twój ciężar wzrósł dwukrotnie od chwili wylotu ze statku.

–Jakoś wytrzymam. – Czuję się doskonale, jeśli tylko nie musiał zmieniać położenia ciała. – Jak głęboko wlecieliśmy?

–Niezbyt głęboko. Ciśnienie wynosi tu jakieś pół atmosfery. Poczekaj...

Skrzywiła się, widząc coś na displejach, i postukała w kontrolki: obraz na tle pastelowych pasów się poruszył. Cierń zobaczył uproszczoną sylwetkę statku, w

którym się znajdowali, otoczoną pulsującymi kręgami. Przypuszczał, że to jakaś forma radaru, i zobaczył plamę światła, która się pojawiała i znikła na brzegu displeju. Inkwizytor postukała w inne kontrolki. Koncentryczne kręgi gęstniały, a plamka się zbliżyła, po czym znikła, by pojawić się znowu.

–Co to takiego? – spytał Cierń.

–Nie mam pojęcia. Bierny radar wskazuje, że coś za nami leci, około trzydziestu tysięcy klików z tyłu. Nie zauważyłam nic przy podchodzeniu do planety. To mały obiekt, nie zbliża się, ale mnie niepokoi.

–Czy może to być pomyłka, błąd statku?

–Nie jestem pewna. Przypuszczam, że radar może być zakłócony, może odbierać fałszywe odbicia z wiru w naszym kilwaterze. Mogę przełączyć się na zogniskowane, aktywne omiatanie, ale naprawdę nie chciałabym niczego prowokować. Sugeruję, byśmy się stąd wynieśli. Jestem gorącą zwolenniczką słuchania ostrzeżeń.

Cierń postukał w konsolę.

–A skąd mam wiedzieć, że nie spowodowałaś pojawienia się tego straszzydła?

Zaśmiała się nerwowo, jak osoba niespodziewanie na czymś przyłapana.

–Wierz mi, nie zrobiłam tego.

Cierń skinął głową, czując, że Ana mówi prawdę – albo przynajmniej bardzo dobrze udaje.

–Może i nie. Ale nalegam: skieruj statek tam, gdzie wchodzi rury. Nie odlece, póki nie zobaczę, co tu się dzieje.

–Mówisz serio? – Czekwała na odpowiedź, ale Cierń milczał, patrząc na nią bez zmrużenia oka. – Dobrze. Podlecimy na tyle blisko, żebyś sam wszystko sprawdził. Ale nie bliżej. I jeśli ten obiekt choć trochę się zbliży, zwiewamy. Rozumiesz?

–Oczywiście – odparł łagodnie. – Masz mnie za samobójcę?

Vuillemier obliczyła trajektorię podejścia. Punkt wejścia rury poruszał się względem atmosfery Roka z prędkością trzydziestu kilometrów na sekundę. Jego tor był określony przez ruch orbitalny księżyca, który rurę wypuszczał. Weszli od tyłu i podążali za punktem wejścia rury, wciąż zwiększając szybkość. Kadłub znowu się zniekształcił, reagując na rosnącą wartość liczby Macha. Cały czas plama na pasywnym radarze przesuwiała się za nimi, to wyraźniejsza, to zamazana. Czasami znikła całkowicie, ale nigdy nie zmieniała swego położenia względem nich.

–Czuję się lżej – powiedział Cierń.

–Tak powinno być. Znowu prawie orbitujemy. Gdybyśmy lecieli znacznie szybciej, musiałabym stosować ciąg, by nas trzymał przy planecie.

W kilwaterze impaktu kotłowała się grudkowata atmosfera, rozrzedzone związki chemiczne kopciły na warstwy obłoków czerwienią i cynobrem. Błyskawice migotały od horyzontu do horyzontu, mknąc po niebie srebrnymi łukami, wyrównując chwilowe lokalne różnice ładunków. Wściekle małe wiry obracały się niczym tańczący derwisze. Pasywne czujniki na powierzchni statku badały otoczenie, starając się po omacku wybrać trasę omijającą najgwałtowniejsze burze.

–Nie widzę jeszcze rury – rzekł Cierń.

–Nie zobaczysz jej, póki nie podlecimy znacznie bliżej. Ma tylko trzynaście kilometrów średnicy, a wątpię, czy widoczność będzie większa niż sto kilometrów, nawet gdyby ucichły burze.

–Masz jakąś teorię, co takiego tu robią?

–Chciałabym mieć.

–Najwidoczniej inżynieria planetarna. W tym celu rozerwali trzy światy. Robią coś konkretnego.

Kontynuowali podejście, lot stał się mniej stabilny. Vuilleumier opadała i wynurzała się na dziesiątki kilometrów, aż uznała, że dalsze stosowanie dopplerowskiego radaru jest ryzykowne. Potem utrzymywała stałą wysokość, a statek stawał dęba i trząsał się, kiedy trafił w wiry i w ściany fal. Co dwie minuty rozbrzmiewały sygnały alarmowe, a od czasu do czasu Vuilleumier klęła i wystukiwała ciąg szybkich poleceń na panelu sterującym. Powietrze wokół stawało się ciemne jak smoła. Ogromne czarne chmury kłębiły się, płynęły poskręcane, groźne, kiszkowate. Obok przemykały wielkie jak domy pioruny kuliste. Powietrze pulsowało i płonęło stałymi wyładowaniami: oślepiające rozgałęzione białe konary i poskręcane płachty jasnej niebieskości. Wlatywali do piekła.

–Nadal podoba ci się ten pomysł? – spytała Vuilleumier.

–Nieważne – odparł Cierń. – Po prostu utrzymuj kierunek. Straszycie się nie przybliżyło, prawda? Może to tylko odbicie czegoś w naszym kilwaterze.

Coś na konsoli przykuło uwagę Vuilleumier. Zahuczał sygnał alarmowy, wielojęzyczny chór wykrzykiwał niezrozumiałe ostrzeżenia.

–Czujnik masy wskazuje, że siedemdziesiąt parę kilometrów przed nami coś jest –

oznajmiła. – Chyba coś długiego: geometriapola jest walcowa, pole słabnie z odwrotnością promienia. To musi być nasze maleństwo.

–Kiedy to zobaczymy?

–Będziemy tam za pięć minut. Redukuję szybkość podejścia. Trzymaj się.

Ciernia rzuciło w przód w uprząży fotela – Vuilleumier wytracała prędkość. Odliczył pięć minut, potem następne pięć. Plamka na radarze utrzymywała swą względną pozycję, zwalniała razem z nimi. Dziwne, ale lot stał się równiejszy. Chmury zaczęły się przeredzać. Brutalna aktywność elektryczna ograniczyła się niemal całkowicie do odległych światel, migających po obu stronach statku. Sytuacja miała w sobie coś niesamowicie nierealnego.

–Spada ciśnienie powietrza – zauważyła Vuilleumier. – Myślę, że za rurą znajduje się kilwater niskiego ciśnienia. Przecina atmosferę z prędkością ponaddźwiękową, więc powietrze nie może natychmiast do niego wtargnąć i wypełnić luki. Znajdujemy się wewnątrz stożka Macha tej rury. Tak jakbyśmy lecieli bezpośrednio za samolotem naddźwiękowym.

–Dość dobrze się na tym znasz, przynajmniej jak na Inkwizytora.

–Musiałam się uczyć, Cierniu. I miałam dobrego nauczyciela.

–Irinę? – spytał rozbawiony.

–Teraz tworzymy niezły zespół. Ale nie zawsze tak było. – Spojrzała przed siebie i pokazała ręką. – Spójrz, chyba coś widzę. Obejrzyjmy to w powiększeniu i zabierajmy się z powrotem w kosmos.

Na displeju głównej konsoli pojawił się obraz rury. Sponad nich nurkowała w atmosferę, nachylona do poziomu pod kątem czterdziestu, czterdziestu pięciu stopni. Na szarym tle stanowiła linię połyskującego srebra. Widzieli może osiemdziesięciokilometrowy odcinek rury – oba jej końce znikwały we mgle burzliwych chmur. Przy rurze nie było żadnych oznak ruchu, mimo że zanurzała się w głąbię z szybkością czterech kilometrów na sekundę. Rura wydawała się zawieszona, wręcz nieruchoma.

–I nic poza tym – stwierdził Cierń. – Nie potrafię sprecyzować, czego się spodziewałem, ale chyba czegoś jeszcze. Możemy podlecieć głębiej?

–W takim razie musimy przekroczyć barierę dźwięku. Będzie rzucało znacznie silniej niż dotychczas.

–Damy radę?

–Spróbujemy.

Vuilleumier skrzywiła się i znowu zaczęła pracować przy kontrolkach. Powietrze przed rurą było idealnie nieruchome i spokojne, całkowicie nieświadome pędzącej ku niemu fali uderzeniowej. Nawet zaburzenie, spowodowane przejściem rury w jej poprzednim okrążeniu księżycy, znajdowało się tysiące kilometrów od jej obecnej trajektorii. Powietrze tuż przed rurą zostało skompresowane w warstwę cieczy zaledwie parocentymetrowej grubości, a za rurą, wzdłuż całej jej długości, tworzyło v- kształtną falę uderzeniową. Kto chciał wyprzedzić rurę, musiał przelecieć przez to skrzydło wściekłe ściśniętego i ogrzanego powietrza; chyba że ominął je łukiem, nakładając wiele tysięcy kilometrów drogi.

Ustawili się z boku rury. Brzeg jej końca świecił wiśniowo – rura tarła o atmosferę. Ale chyba w żaden sposób nie szkodziło to maszynierii kosmitów.

–Pchają rurę w dół – stwierdził Cierń. – Ale tam na dole nie ma nic. Tylko mnóstwo gazu.

–Nie do końca – odparła Vuilleumier. – Kilkaset kilometrów niżej gaz zamienia się w ciekły wodór. Jeszcze niżej jest czysty wodór metaliczny. A gdzieś pod nim znajduje się skalisty rdzeń.

–Gdyby chcieli się dostać do tego skalnego materiału i rozwalić planetę, jak by się do tego zabrali? Jak sądzisz?

–Nie mam pojęcia. Ale może zaraz się dowiemy.

Uderzyli w barierę dźwięku. Przez chwilę Cierń myślał, że jednak przesadzili i statek rozleci się na kawałki. Kadłub poskrzypywał już wcześniej – teraz wył. Konsola rozbłysła czerwienią, potem zamigotała i zgasła. Zapadła przerażająca cisza, a po chwili statek się przebił i zaczął unosić w nieruchomym powietrzu. Konsola skokowo powróciła do życia, a ze ścian znowu wrzasnął chór ostrzegawczych odgłosów.

–Przeszliśmy – stwierdziła Vuilleumier. – Chyba w jednym kawałku. Ale, Cierniu, nie prowokujmy losu...

–Racja. Skoro jednak przebyliśmy już tę całą drogę... gdybyśmy nie zajrzeli trochę głębiej, byłoby nam głupio, prawda?

–Nie, zupełnie nie.

–Jeśli chcecie, bym wam pomógł, muszę wiedzieć, w co się pakuję.

–Statek tego nie wytrzyma.

Cierń się uśmiechnął.

–Właśnie wytrzymał, choć uważałaś, że to się nie uda. Nie bądź taką pesymistką.

Przedstawicielka Demarchistów weszła do białego pokoju zatrzymań i spojrzała na niego. Za nią stali trzej policjanci z Ferrisville, ci sami, którym się poddał w terminalu odjazdów, i czterej demarchistowscy żołnierze. Ci ostatni musieli oddać broń palną, ale dzięki jaskrawoczerwonym pancerzom siłowym nadal udawało się im zachowywać groźny wygląd. Clavain czuł się stary i kruchy. Znajdował się całkowicie na łasce swych nowych gospodarzy.

–Jestem Sandra Voi – powiedziała kobieta. – Pan musi być Nevilem Clavainem. Dlaczego kazał mi pan tu przyjść, panie Clavain?

–Właśnie uciekam do drugiej strony konfliktu.

–Nie o to mi chodzi. Chcę zapytać, dlaczego właśnie ja? Oficjele Konwencji powiedzieli, że prosił pan akurat o mnie.

–Pomyślałem, Sandro, że pani mnie wysłucha. Choćby dlatego, że znałem jedną z pani krewnych. Kim była dla pani? Chyba prababką? Obecnie myślą mi się te wszystkie pokolenia.

Kobieta przyciągnęła drugie białe krzesło i usiadła naprzeciwko Clavaina. Demarchiści twierdzili, że w ich systemie politycznym ranga to pojęcie przestarzałe. Zamiast kapitanów mieli szyprów; zamiast generałów – specjalistów planowania strategicznego. Oczywiście te specjalizacje wymagały widocznych oznaczeń, ale Voi z niesmakiem przyjęłaby każdą sugestię, że mnogość belek i pasów na jej bluzie oznacza coś tak przestarzałego jak status wojskowy.

–Przez ostatnie czterysta lat nie było innej Sandry Voi – stwierdziła.

–Wiem. Ostatnia zmarła na Marsie, podczas prób negocjacji pokojowych z Hybrydowncami.

–To dawne dzieje.

–Co nie znaczy, że nieprawdziwe. Voi i ja braliśmy udział w tej samej misji pokojowej. Uciekłem do Hybrydownców wkrótce po jej śmierci i od tego czasu byłem po ich stronie.

Oczy młodszej Sandry Voi zaszkliły się przelotnie. Implanty Clavaina wyczuły ruch danych, odbieranych i nadawanych z jej czaszki. Był pod wrażeniem. Od czasów zarazy Demarchiści rzadko stosowali wzmocnienia neuronalne.

–Nasze zapisy nie są zgodne.

Clavain uniósł brwi.

–Nie?

–Nie. Nasz wywiad utrzymuje, że Clavain po przejściu na stronę Hybrydowców żył najwyżej półtora stulecia. Pan nie może nim być.

–Opuściłem ludzki kosmos z międzygwiazdną ekspedycją i wróciłem dopiero niedawno. Właśnie dlatego ostatnio nie było o mnie zbyt wielu zapisów. Ale czy to ma jakieś znaczenie? Konwencja już sprawdziła, że jestem Hybrydowcem.

–To może być pułapka. Dlaczego chce pan przejść na drugą stronę?

Znowu go zaskoczyła.

–A czemu nie?

–Może czytywał pan zbyt wiele naszych gazet. Jeśli tak, mam dla pana pewną prawdziwą wiadomość: za chwilę wygracie tę wojnę. Ucieczka pojedynczego pająka nie ma żadnego znaczenia.

–Nigdy nie sądziłem, że ma – odparł Clavain.

–I co?

–Nie dlatego chcę przejść na drugą stronę.

Schodzili ciągle w dół, zawsze przed naddźwiękową falą uderzeniową maszyny Inhibitorów. Plama na displeju biernego radaru – ten obiekt, który szedł w ślad za nimi w odległości trzydziestu tysięcy kilometrów – wciąż była obecna, raz mniej, raz bardziej wyraźna, lecz nigdy nie opuszczała ich całkowicie. Światło dzienne słabło; niebo nad głową stało się tylko nieznacznie jaśniejsze od nieruchomych czarnych głębi pod nimi. Ana Khouri wyłączyła oświetlenie kabiny, mając nadzieję, że dzięki temu widok na zewnątrz stanie się wyraźniejszy, ale zmianę ledwo dostrzegli. Jedyнным prawdziwym źródłem światła było wiśniowe rozcięcie prowadzącej krawędzi rury, a i ono świeciło słabiej niż przedtem. Rura poruszała się teraz względem atmosfery z szybkością zaledwie dwudziestu pięciu kilometrów na sekundę. Schodziła ostrzej, nurkując niemal pionowo ku strefom przejściowym, gdzie atmosfera gęstniała do ciekłego wodoru.

Khouri skrzywiła się na dźwięk kolejnego ostrzeżenia ciśnieniowego.

–Nie możemy już głębiej schodzić. Teraz mówię poważnie. Zmiażdży nas. Na zewnątrz jest już pięćdziesiąt atmosfer, a ta rzecz nadal siedzi nam na ogonie.

–Ano, jeszcze ciut bliżej. Czy możemy dotrzeć do strefy przejściowej?

–Nie – odrzekła z naciskiem. – Nie tym statkiem. On potrzebuje powietrza. Udławi się w ciekłym wodorze, a potem spadniemy i zostaniemy zmiażdżeni w implozji kadłuba. To nie jest przyjemny sposób opuszczenia tego świata.

–Ta rura chyba nie przejmuje się ciśnieniem? Prawdopodobnie schodzi o wiele głębiej. Jak myślisz, jaką ma długość? Kładą kilometr w cztery sekundy, prawda? To prawie tysiąc kilometrów na godzinę. Chyba jest już wystarczająco długa i kilka razy okrąży planetę.

–Nie wiemy, czy okrąży.

–Nie, ale możemy sformułować rozsądną hipotezę. Czy wiesz, o czym myślę?

–Nie omieszkasz mnie o tym poinformować.

–Uzwojenie. Jak w silniku elektrycznym. Oczywiście mogę się mylić.

Cierń uśmiechnął się do niej.

Zrobił gwałtowny ruch. Nie spodziewała się tego i – choć przeszła staranne szkolenie wojskowe – zamarła na chwilę zaskoczona. Opuścił swój fotel, odepchnął się i poleciał ku niej przez kabinę. Miał pewien ciężar, gdyż poruszali się z prędkością znacznie mniejszą od orbitalnej. Mimo to przeleciał kabinę z łatwością. Wykonywał ruchy płynne, celowe. Łagodnie wyciągnął Anę z fotela pilota. Broniła się, ale Cierń był znacznie silniejszy i potrafił skontrolować jej obronę. Nie zapomniała żołnierskiego rzemiosła, jednak korzyści z wyuczonej techniki miały swoje granice, zwłaszcza wobec podobnie wyszkolonego przeciwnika.

–Spokojnie, Ano, spokojnie. Nie zrobię ci krzywdy.

Nim się zorientowała, co się dzieje, Cierń posadził ją w fotelu pasażera, zmusił, by usiadła na dłoniach, po czym przez jej pierś przeciągnął ciasno siatkę przeciwzderzeniową. Spytał, czy może oddychać, a potem zaciągnął sieć mocniej. Khouri wiła się, ale siatka gładko przylegała i utrzymywała ją na miejscu.

–Cierniu...

Opadł na fotel pilota.

–A teraz jak to rozegramy? Czy powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć, czy mam cię odpowiednio zmotywować?

Popracował kontrolkami. Statkiem rzuciło. Zadźwięczał alarm. – Cierniu...

–Przepraszam. Gdy na to patrzyłem, pomyślałem, że to dość proste. Może tu chodzi o coś więcej, niż się wydaje na pierwszy rzut oka?

–Nie umiesz tym latać.

–Ale przyznaj, próby wychodzą mi bardzo dobrze. A teraz... do czego to służy? Zobaczmy... – Statek znów gwałtownie zareagował. Rozległy się dodatkowe sygnały alarmowe. Potem statek zaczął niezgrabnie reagować na jego polecenia. Khouri zobaczyła, jak przechyliła się wskaźnik sztucznego horyzontu. Skręcali. Cierń ostro zawracał w prawo.

–Osiemdziesiąt stopni...- odczytał. – Dziewięćdziesiąt... Sto...

–Cierniu, nie! Prowadzisz prosto na falę uderzeniową.

–Mniej więcej o to mi chodzi. Czy kadłub wytrzyma? Chyba mówiłaś, że był już wystarczająco obciążony. Za chwilę się o tym przekonamy.

–Cierniu, to co planujesz...

–Nic nie planuję, Ano. Po prostu staram się wprowadzić statek w prawdziwe i bezpośrednie zagrożenie. Czy mówię dostatecznie jasno?

Ponownie spróbowała się uwolnić. Na próżno. Cierń okazał się bardzo sprytny. Nic dziwnego, że sukinsyn tak długo wymykał się rządowi. Podziwiała go za to, acz niechętnie.

–Nie wyjdziemy z tego żywi – stwierdziła.

–Może i nie. Mój pilotaż naszych szans nie powiększa. Co ułatwia sprawę. Chcę tylko uzyskać odpowiedź.

–Powiedziałaś ci wszystko...

–Nie powiedziałaś mi absolutnie nic. Chcę wiedzieć, kim jesteś. Czy wiesz, kiedy zacząłem coś podejrzewać?

–Nie – odparła, świadoma, że on nic nie zrobi, póki nie uzyska wszystkich odpowiedzi.

–Chodziło o głos Iriny. Byłem pewien, że już go wcześniej słyszałem. W końcu sobie przypomniałem. To przemówienie Ilii Volyovej do Resurgamu. Zaraz potem zaczęła wypalać kolonie na powierzchni. To było dawno temu, ale stare rany goją się długo. Powiedziałbym, że to coś więcej niż podobieństwo rodzinne.

–Wszystko opacznie zrozumiałeś, Cierniu.

–Rzeczywiście? Więc może mnie oświecisz?

Odezwały się kolejne sygnały alarmowe. Cierń zmniejszył szybkość, ale nadal pędzili kilka kilometrów na sekundę ku fali uderzeniowej. Miała nadzieję, że to tylko imaginacja, ale wydawało jej się, że widzi pędzący ku nim przez czerń wiśniowy wylot rury.

–Ano?... – zapytał tonem słodkim i beztroskim.

–Niech cię diabli!

–O, wyczuwam w tym pewien postęp.

–Zatrzymaj się. Zawróć.

–Za chwilę. Gdy tylko usłyszę od ciebie magiczne słowa. Wyznanie. To jest mi potrzebne.

Odetchnęła głęboko. Nadeszło to, czego się obawiała. Wali się ich spokojny, wyważony plan. Postawiły na Cierń, ale on okazał się od nich sprytniejszy. Powinny się zorientować, że ta chwila nadchodzi. Naprawdę powinny. I Volyova... niech ją cholera!... Miała słuszność. Dopuszczenie go do "Nostalgii za Nieskończonością" było pomyłką. Powinny jakoś inaczej go przekonać. Volyova powinna zignorować protesty Khouri.

–Powiedz mi, Ano.

–Dobrze. Dobrze. Niech to diabli! Ona jest Triumwirem. Od samego początku wszystko, co ci mówiłyśmy było stekiem pieprzonych kłamstw. Jesteś teraz zadowolony?

Cierń milczał przez chwilę. Na szczęście w tym czasie odwrócił statek. Przyśpieszenie silniej wgniotło Anę w fotel, gdy Cierń zwiększył ciąg, by prześcignąć falę uderzeniową. I z czerni popędziła ku nim wściekła linia czerwieni, niczym krwawe ostrze katowskiego miecza. Khouri patrzyła, jak nabrzmiewa, aż widok z tyłu stał się ścianą szkarłatu o jasności roztopionego metalu. Sygnały przeciwdzierzeniowe zanosły się kaszlem, a wielojęzyczne głosy ostrzegawcze stopiły w pojedynczy podniecony chór. Potem w tle po obu stronach czerwonej linii niebo zaczęło się zamykać niczym dwie żelaznice szare zasłony. Czerwona nić się zwężała, zostawała z tyłu za nimi.

–Chyba się udało – stwierdził Cierń.

–Wątpię.

–Co takiego?

Skinęła głową na dysplej radaru. Znikła plama, która leciała za nimi od momentu, gdy weszli w atmosferę Roka, ze wszystkich stron natomiast tłoczył się rój sygnatur radarowych. Przynajmniej kilkanaście nowych obiektów. Nie wyglądały na przezroczyste, jak ten, który dawał wcześniejsze echo. Pędziły kilka kilometrów na sekundę, kierując się najwyraźniej ku statkowi Khouri.

–Sprowokowaliśmy reakcję. – Nie spodziewała się, że powie to tak spokojnie. – Istnieje jednak pewien próg, a my go przekroczyliśmy.

–Jak najszybciej wyprowadzę statek w górę i na zewnątrz.

–Co za różnica? Będą tu za jakieś dziesięć sekund. Masz upragniony dowód. Albo zaraz go otrzymasz. Ciesz się chwilą, bo nie potrwa długo.

Spojrzał na nią.

–Byłaś tutaj już wcześniej, prawda?

–“Tutaj”?

–W podobnej sytuacji, zagrożona śmiercią. Śmierć chyba niewiele dla ciebie znaczy.

–Nie zrozum mnie źle, ale wolałabym być gdzie indziej.

Zbiegające się kształty przekroczyły na dyspleju ostatni z koncentrycznych kręgów. Znajdowały się teraz kilka kilometrów od statku. Zwalniały. Khouri wiedziała, że ustawienie aktywnych czujników na te zbliżające się obiekty niewiele zmieni w sytuacji statku. Już zdradzili swoją pozycję, co więc szkodzi przyjrzeć się lepiej tym obiektom. Nadciągały ze wszystkich stron i chociaż w ich tabunie istniały jeszcze spore luki, wszelkie próby ucieczki byłyby daremne. Minutę temu żadnych obiektów tu nie było; najwyraźniej prześlizgiwały się przez atmosferę, jakby w ogóle nie istniała. Cierń ustawił statek do ostrego wznoszenia i choć Khouri zrobiłaby to samo, wiedziała, że manewr nie odniesie żadnego skutku. Za blisko dotarli do sedna sprawy, a teraz zapłacą za ciekawość, tak jak przed laty zapłacił za nią Sylveste.

Echa aktywnego radaru tworzyły zamęt z powodu zmiennych kształtów nadciągających maszyn. Czujniki masy rejestrowały widmowe sygnały na skraju swego zakresu wrażliwości, ledwo odróżnialne od tła własnego pola planety. Ale dowód wizualny był jednoznaczny: wyraźne ciemne kształty płynęły przez atmosferę ku statkowi. “Płynęły” – uświadomiła sobie Khouri – było właściwym określeniem, dokładnie opisywało sposób, w jaki się pojawiały, wijąc się i falując złożonym ruchem, przywodzącym na myśl mknącą w wodzie ośmiornicę. Maszyny były równie wielkie jak statek Khouri. Tworzyły je miliony mniejszych elementów, czarne

sześciany w wężowym, niespokojnym tańcu. Absolutna czerń sunących sylwetek nie zdradzała prawie żadnych szczegółów, ale od czasu do czasu w klockowatych korpusach migąło niebieskie lub beżowe światło, wydobywając z reliefu rozmaite wypustki. Obłoki mniejszych ciemnych kształtów towarzyszyły każdemu z większych skupisk, a kiedy skupiska zbliżały się do siebie, wyrzucały ku sobie pędy, pępowinowe linie latających czarnych maszyn – córek. Pomędzy głównymi rdzeniami pulsowały fale masy, a czasami któreś z centrów dzieliło się lub zlewało z centrum sąsiednim. Fioletowe pioruny ciągle błyskały między atramentowymi kształtami, co pewien czas tworzyły regularną geometryczną powłokę wokół statku Khouri, a potem zapadały się w coś, co wyglądało jak przypadkowe rumowisko. Khouri miała pewność, że za chwilę umrze, a jednak nadpływające sylwetki ją fascynowały. Oraz budziły odrazę: sam widok maszyn Inhibitorów wywoływał mdłości jako coś, co nie zostało ukształtowane przez ludzką inteligencję. Były tak dziwne, w tak niesamowity sposób się poruszały, że Khouri aż zaparło dech. Wiedziała w głębi duszy, że razem z Volyową popełniły ogromny błąd, nie doceniając wroga. To, co widziały dotychczas, to było nic.

W odległości zaledwie stu metrów od jej statku maszyny tworzyły zacieśniającą się czarną skorupę, przenikającą coraz bliżej swej ofiary. Niebo pozostało na zewnątrz, widoczne tylko między mackowatymi włóknami kłębiącej się sfory. Maszyny w obrysie fioletowych łuków i mgiełce błyskawic wyglądały jak drżące płachty i tańczące bąble energii plazmowej. Khouri zobaczyła, jak grube trąby przesuwającej się maszynerii macają wewnątrz skorupy, nieprzyzwoicie i łapczywie. Statek nadal wyrzucał gazy z tyłu, ale maszyny nie zwracały na nie uwagi – gazy jakby, dosłownie, przechodziły przez skorupę.

–Cierniu?

–Przepraszam – powiedział chyba ze szczerym żalem. – Po prostu chciałem wiedzieć. Zawsze miałem skłonność do igrania z losem.

–Nie mam do ciebie pretensji. Przypuszczalnie zrobiłabym to samo, gdyby role się odwróciły.

–Czyli obydwójce bylibyśmy głupcami. A to żadne usprawiedliwienie.

Kadłub zadzwonił raz, a potem drugi. Kaszlący sygnał zmienił ton: już nie meldował o grożącym spadku ciśnienia czy zgaśnięciu silników, ale świadczył o tym, że kadłub właśnie ulega uszkodzeniu, że jest poszturchiwany z zewnątrz. Nastąpił nieprzyjemny zgrzyt, jakby ktoś skrobał paznokciami po blasze, a szeroki, chwytny koniec trąby maszynerii Inhibitorów rozpląszczył się na oknie kokpitu. Kolisty zakończenie trąby roilo się mozaiką drobnych czarnych sześciątów o rozmiarach kciuka. Ich wirujący ruch miał dziwne hipnotyczne działanie. Khouri próbowała sięgnąć do kontrolek i zasłonić okna okiennicami, wyobraziwszy sobie, że opóźni

rozwój wydarzeń o jedną czy dwie sekundy.

Kadłub trzeszczał. Przytwierdzały się do niego dalsze czarne macki. Displeje czujnikowe po kolei gasły lub wypełniały się mgłą zakłóceń.

–Do tej chwili mogli nas już zabić... – powiedział Cierń.

–Mogliby, ale chyba chcą się czegoś o nas dowiedzieć.

Rozległ się jeszcze jeden dźwięk, ten, którego się bała – jęk rozrywanego metalu. W uszach jej trzasnęło, gdy wewnątrz statku spadło ciśnienie. Uznała, że za sekundę czy dwie będzie martwa. Śmierć wskutek rozhermetyzowania kadłuba nie była najprzyjemniejsza, ale lepsza od uduszenia przez maszynę Inhibitorów. Co uczynią czepliwe czarne kształty, kiedy do niej dotrą – rozmontują ją w ten sam sposób, jak rozerwały statek? Ale gdy tylko sformułowała tę pocieszającą myśl, wrażenie spadku ciśnienia ustało i Khouri zdała sobie sprawę, że jeśli nastąpiło uszkodzenie kadłuba, to na krótko.

–Ano, spójrz! – zawołał Cierń.

Drzwi w ścianie działowej, wiodące na pokład załogowy, stały się ścianą falującego atramentu, jak zawieszona fala przyplywowa z czystej czerni. Khouri czuła powiew tego stałego, tętniącego życiem ruchu, jakby tysiące cichych wachlarzy poruszały się tam i z powrotem. Niekiedy impuls różowego lub fioletowego światła migał wśród czerni, dając przelotny wgląd w straszliwe, wypełnione maszynami głębie. Wyczuła wahanie. Maszyny sięgnęły aż do tego miejsca statku i musiały mieć świadomość, że dotarły do jego delikatnego, organicznego rdzenia.

Coś zaczęło wynurzać się ze ściany. Najpierw jako kopulasty pęcherz, szeroki jak udo Khouri, potem się wydłużyło, przybierając kształt trąby słonia, i badało dalej kabinę. Było zakończone tępym guzikiem, wyglądającym jak wyrostek śluzowatej pleśni. Trąba kołysała się tam i z powrotem, jakby wężąc w powietrzu. Zamazana mgielka drobnych czarnych maszyn sprawiała, że na krawędzi tworu trudno było skupić wzrok. Wszystko odbywało się w ciszy, jeśli nie liczyć sporadycznych odległych trzasków czy skrzypnięć. Trąba wyrosła ze ściany na metr. Taka sama odległość dzieliła ją od Khouri i Ciernia. Na moment przestała się wydłużać i zakołysała się najpierw w jedną, potem w drugą stronę. Coś czarnego wielkości muchy śmignęło przy czole Khourii i znowu wniknęło w ciemną trąbę. Potem ze złowieszczą nieuchronnością trąba się rozdzieliła i wznowiła wydłużanie. Jeden z rozwidlonych końców skierował się ku Khouri, drugi ku Cierniowi; rosły dzięki wylewającym się falom sześcianów, pulsującym wzdłuż wypustek. Sześciany puchły i tęchły, zajmując w końcu pożądaną pozycję.

–Cierniu, posłuchaj. Możemy zniszczyć statek.

–Co mam robić? – zapytał.

–Oswobodź mnie i ja to zrobię. Statek nie przyjmie od ciebie polecenia autodestrukcji.

Cierń chciał się poruszyć, ale przesunął się zaledwie parę centymetrów. Czarna macka wysunęła następną wypustkę i unieruchomiła go. Zrobiła to ostrożnie – widocznie maszyna nadal nie chciała wyrządzić im krzywdy.

–Pięknie – stwierdziła kwaśno Khouri.

Wyrostek znajdował się dwa centymetry od niej. W końcowej fazie rozdzielał się wielokrotnie i teraz wielopalczysta czarna dłoń ustawiła się przed jej twarzą, a palczaste wypustki gotowe były zanurkować w jej oczy, usta, uszy, nawet przez skórę i kości. Same palce rozszczepiły się w coraz cieńsze czarne kolce, znikające w brązowoczarnej drzewiastej mgiele.

Trąba cofnęła się o parę centymetrów. Khouri zamknęła oczy, myśląc, że maszyna szykuje się do ataku. Potem poczuła ostre szczyknięcie zimna pod powiekami, użądlenie tak szybkie i zlokalizowane, że prawie zupełnie nie bolało. Zaraz poczuła to samo gdzieś w kanale słuchowym, a chwilę potem – choć nie miała pojęcia, jak szybko obecnie płynie czas – maszyna Inhibitorów dosięgła jej mózgu. Ruszył strumień wrażeń, splątane uczucia i obrazy spadały w szybkiej, przypadkowej sekwencji, a potem Khouri miała wrażenie, że jest odwijana i odczytywana niczym długa taśma magnetyczna. Chciała wrzasnąć, zareagować w sposób rozpoznawalnie ludzki, ale trzymano ją mocno. Nawet myśli były zmrożone, hamowane przez inwazyjną obecność czarnych maszyn. Smołowata masa wpełzła w każdą część dziewczyny, aż nie zostało tam miejsca na istotę, która kiedyś myślała o sobie jako o Khouri. A jednak pozostało z niej wystarczająco wiele, by mogła czuć, że nawet gdy maszyna wpełzła w nią, przepływ danych odbywał się w dwie strony. Kiedy maszyny wprowadziły do jej czaszki łącza komunikacyjne, Khouri miała niejasną świadomość duszących czarnych gabarytów, ciągnących się poza głowę Khouri, po trąbie, z powrotem przez statek i w skupisko maszyn, które otaczały statek.

Poczuła nawet Ciernia, włączonego do tej samej sieci zbierającej informacje. W tej chwili jego myśli dokładnie powtarzały jej myśli. Był sparaliżowany, niezdolny do wrzasku czy choćby do wyobrażenia sobie ulgi, jaką przyniosłby wrzask. Khouri próbowała wyciągnąć do niego rękę, by przynajmniej dać mu znak, że nadal jest obecna i że we wszechświecie ktoś jeszcze ma świadomość, przez co on przechodzi. W tej samej chwili poczuła, że Cierń robi to samo, połączyli więc palce przez przestrzeń neuronalną, niczym dwoje kochanków tonących w atramencie. W dalszym ciągu ją analizowano, w najstarsze części umysłu Khouri sączyła się czerń. Czegoś tak strasznego nigdy nie doświadczyła, to było gorsze niż tortury czy symulacje tortur, które poznała na Skraju Nieba. Gorsze od tego, czemu poddała ją

Mademoiselle. Dla Khouri jedynym ukojeniem był fakt, że świadomość własnej tożsamości stale się kurczyła. Gdy ta świadomość zniknie, Khouri zostanie oswobodzona.

A potem na granicy tego, co czuła przez kanały zbierające dane, coś się zmieniło. Nastąpiło zakłócenie na peryferiach chmury, która otaczała statek. Cierń również to poczuł: przez rozgałęzienia dotarł do niej żaloszny błysk nadziei. Nadziei bezpodstawnej. Czuli, jak maszyny się przegrupowują, gotowe do następnej fazy procesu duszenia.

Khouri się myliła.

Poczuła, jak w jej myśli wchodzi trzeci umysł, oddzielony od umysłu Cierń. Ten umysł był czysty jak dźwięk dzwonu i spokojny, a myśli w nim pozostawały, nie dławila ich gnębiąca maszynaria. Khouri poczuła ciekawość, wahanie, i choć odbierała lęk, nie wykrywała jawnego przerażenia, jakim promieniował Cierń. Tu lęk był tylko skrajnym rodzajem ostrożności. A jednocześnie odzyskała część swej tożsamości, jakby czarne dławienie popuściło.

Trzeci umysł przysunął się do jej umysłu i Khouri zdała sobie sprawę – z największym szokiem, jaki była w tej chwili zdolna odczuwać – że zna ten umysł. Nigdy wcześniej nie spotkała go na tym poziomie, ale siła jego osobowości była tak przemożna, że przypominała dźwięk znajomych fanfar. To był umysł mężczyzny, i to taki, który nigdy nie miał wiele czasu na wątpliwości, pokorę czy współczucie dla innych osób. Jednocześnie wykryła niewielki przebłysk wyrzutów sumienia i coś, co nawet można było określić jako troskę. Ale kiedy doszła do tego wniosku, umysł gwałtownie się wycofał, zasłonił całunem i czuła już tylko potężny kilwater, który po sobie pozostawił.

Wrzasnęła głośno, gdyż odzyskała kontrolę nad ciałem. W tej samej chwili trąba się rozleciała, rozbiła z wysokim brzdękem. Gdy Khouri otworzyła oczy, otaczał ją obłok koziółkujących w nieładzie czarnych sześciąt. Rozsypywał się czarny mur, zakrywający ściankę działową. Sześciąt próbowały się łączyć, tworząc od czasu do czasu większe czarne skupiska, które rozpadały się po paru sekundach. Cierń nie był już przygwożdżony do fotela. Przesunął się, odgarniając na bok czarne sześciąt, i uwolnił Khouri z sieci.

–Czy rozumiesz, co, u diabła, stało się przed chwilą? – zapytał, połykając słowa.

–Tak – odpowiedziała – ale nie jestem pewna, czy w to wierzę.

–Powiedz mi.

–Spójrz, co się dzieje na zewnątrz.

Za statkiem, otaczający go czarny gąszcz doświadczał tych samych trudności w łączeniu się, co sześciiany wewnątrz statku. Otwierały się okna na puste niebo, zamykały się i otwierały w innym miejscu. Khouri dostrzegła tam również coś, co znajdowało się wewnątrz nierównej czarnej skorupy, która otaczała statek, ale nie było jej częścią, a kiedy się poruszało – okrężało statek po leniwych, otwartych krzywych – skoagulowane czarne masy zrećnie schodziły mu z drogi. Na sylwetce obiektu trudno się było skupić, ale później Khouri odniosła wrażenie, że to coś na kształt obracającego się szarego żyroskopu – mniej więcej sferycznego przedmiotu złożonego z wielu wirujących warstw. W jego rdzeniu – lub zagrzebane gdzieś w jego wnętrzu – tkwiło migające źródło ciemnoczerwonego światła, światła koloru krwawnika. Obiekt – przywodził również Khouri na myśl obracającą się szklaną kulkę – miał może metr średnicy, ale ponieważ podczas obrotu jego granice puchły i tęchły, rozmiary trudno było ustalić. Khouri wiedziała tylko – i tylko tego była pewna – że obiektu nie było tam wcześniej i że maszyna Inhibitorów dziwnie się go obawia.

–To otwiera dla nas okno! – zawołał zdumiony Cierń. – Zobacz, otworzyło nam drogę ucieczki.

Khouri zmieniła go na fotelu pilota.

–Więc ją wykorzystajmy – powiedziała.

Ustawili odpowiednio dziób statku i polecili łukiem w kosmos. Na radarze widzieli, jak skorupa zostaje z tyłu. Khouri bała się, że maszyny zduszą migającą czerwoną kulkę i znowu ruszą za nimi w pogoń. Jednak pozwolono im odlecieć. Dopiero później coś ostro pognało za nimi. Miało tę sama sygnaturę radarową, którą zaobserwowali wcześniej, ale obiekt jedynie przemknął obok nich z przerażającym przyśpieszeniem i skierował się w przestrzeń międzyplanetarną. Khouri widziała, jak wychodzi z zasięgu, kierując się w ogólnym kierunku Hadesu, gwiazdy neuronowej na granicy układu.

Właśnie tego się spodziewała.

Skąd wzięło się wielkie dzieło? Kto je zainicjował? Inhibitorzy nie mieli dostępu do tych danych. Jasne było jedynie to, że pracę mieli wykonać sami, tylko oni, i że ta praca to najważniejsze zadanie w historii galaktyki, a może nawet w historii wszechświata, kiedykolwiek podjęte przez nośnik inteligencji.

Natura samej pracy była niesłychanie prosta. Życiu rozumnemu nie można pozwolić na rozprzestrzenienie się w galaktyce. Można je tolerować, a nawet popierać, kiedy się ogranicza do pojedynczego świata czy pojedynczego układu słonecznego.

Nic nie może zainfekować galaktyki.

A jednak proste hurtowe wytępienie życia nie było akceptowalne. Z technicznego punktu widzenia każda dojrzała cywilizacja galaktyczna mogłaby zrobić taką rzecz, zwłaszcza taka cywilizacja, która ma galaktykę głównie dla siebie. W gwiazdnych żłobkach można rozniecić sztuczne hipernowe, których sterylizujący wybuch zadziałałby milion razy skuteczniej niż wybuch zwykłej supernowej. Gwiazdy można nakierować i rzucić w horyzont czasowy śpiącej supermasywnej czarnej dziury w jądrze galaktyki, a ich zagłada napędzi eksterminujący wybuch promieni gamma. Podwójne gwiazdy neutronowe można zachęcić do zderzenia, delikatnie manipulując lokalną stałą grawitacyjną. Hordy samoreplikujących się maszyn można spuścić ze smyczy, by rozerwały światy na strzępy we wszystkich co do jednego układach planetarnych galaktyki. Wciągu miliona lat każdy stary skalisty świat w galaktyce można zamienić w pył. Profilaktyczna interwencja w protoplanetarnych dyskach, z których formują się światy, przeszkodziłaby uformowaniu się planet nadających się do życia. Galaktyka zadławiłaby się prochem swych własnych umarłych dusz, oświetlając megaparseki czerwonym blaskiem.

Wszystko to było wykonalne.

Cała sprawa nie polegała jednak na tępieniu życia, a raczej na jego kontrolowaniu. Samo życie, choć marnotrawne, było dla Inhibitorów sprawą najświętszą. Jego ostateczne zachowanie, zwłaszcza zachowanie życia myślącego, to dla Inhibitorów cel istnienia.

Należało jednak zapobiec jego rozprzestrzenianiu się.

Metodyka ulepszana w ciągu milionów lat była prosta. Zbyt wiele istniało odpowiednich słońc, zbyt wiele światów, gdzie życie mogło nagle podciągnąć się ku inteligencji. Obserwacja ich wszystkich nie wchodziła w grę. Zbudowali więc sieć sygnalizatorów, intrygujących artefaktów, które pstrzyły oblicze galaktyki. Rozmieszczono je w ten sposób, że wyłaniająca się kultura wcześniej czy później musiała się na nie natknąć. Jednocześnie nie powinny one zwabiać kultur w kosmos.

Musiały nęcić, ale nie za bardzo.

Inhibitorzy czekali między gwiazdami, nadsluchując sygnałów świadczących o tym, że któreś ze świecidełek przyciągnęło nowy gatunek.

A potem szybko i bezmyślnie zlatywali się na miejsce nowego pojawu.

Wojskowy prom, którym przybyła Voi, dokował od spodniej strony Nowej Kopenhagi, przyczepiony chwytakami magnetycznymi. Clavaina zaprowadzono na pokład i pokazano, gdzie ma siedzieć. Na głowę opuszczono mu czarny hełm z małym okienkiem z przodu. Hełm miał blokować sygnały neuronalne, zapobiegając w ten sposób kontaktom z otaczającą go maszyną. Ta ostrożność w najmniejszym stopniu nie zdziwiła Clavaina. Potencjalnie przedstawiał dla nich sporą wartość – choć wcześniej Voi twierdziła coś innego – każdy uciekinier mógł być cenny nawet w tej późnej fazie wojny. Jednakże jako pająk mógł im wyrządzić również znaczne szkody. Statek wojskowy odcumował i odleciał od Karuzeli Nowa Kopenhaga. Okna w opancerzonym kadłubie zamocowano cudacznie. Przez podrapane i porysowane, grube na piętnaście centymetrów szyby Clavain widział trójkę opływowych łodzi policyjnych, towarzyszących im jak ryby- piloty.

Wskazał głową statki.

–Traktują całą sprawę poważnie.

–Będą nas eskortować do krańca strefy Konwencji – wyjaśniła Voi. – To zwykła procedura. Mamy bardzo dobre stosunki z Konwencją.

–Dokąd mnie zabierasz? Prosto do kwatery głównej Konwencji?

–Nie bądź głupi. Zabierzemy cię w miejsce miłe, bezpieczne i przede wszystkim odległe. Na końcu Oka Marka jest mały obóz Demarchistów... Oczywiście, wicie wszystko o naszych działaniach.

Clavain skinął głową.

–Ale nie znamy dokładnie waszych procedur przesłuchań. Dużo ich przeprowadzaliście?

Drugą osobą w pomieszczeniu był mężczyzna, Demarchista, również o wysokim statusie. Voi przedstawiła go jako Gilesa Peroteta. Miał pewien nawyk: cały czas naciągał palce swych rękawic kolejno na jednej dłoni, potem na drugiej.

–Dwa albo trzy na dekadę – wyjaśnił. – Z pewnością jest pan pierwszy od dawna. Niech pan nie oczekuje uroczystego powitania, Clavainie. Na nasze oczekiwania może wpływać fakt, że ośmiu z jedenastu poprzednich zbiegów okazało się agentami pająków. Wszystkich zabiliśmy, ale zdążyli przekazać wrogowi nasze cenne sekrety.

–Nie jestem po to, by szpiegować. To bez większego znaczenia, prawda? I tak wygraliśmy wojnę.

–Więc chce się pan tym napawać, tak? – spytała Voi.

–Nie. Przybyłem, by wam powiedzieć coś, co postawi wojnę w zupełnie innej perspektywie.

Przez jej twarz przemknął cień rozbawienia.

–To dopiero byłaby sztuczka.

–Czy Demarchia nadal posiada światłowiec?

Perotet i Voi wymienili zaskoczone spojrzenia, a później mężczyzna odrzekł:

–A jak ci się wydaje, Clavainie?

Clavain przez parę minut milczał. Przez okno widział malejącą Karuzelę Nowa Kopenhaga. Rozległy, szary łuk brzegu karuzeli okazał się tylko częścią pozbawionego szprych koła. Koło nadal się zmniejszało, ginęło na tle innych habitatów i karuzeli, które tworzyły Pas Rdzy.

–Nasz wywiad donosi, że nie posiadacie – oznajmił Clavain – ale nasz wywiad może się mylić lub mieć niekompletne dane. Gdyby Demarchia musiała szybko zdobyć jakiś światłowiec, to myślicie, że by się to jej udało?

–O co chodzi, Clavainie? – spytała Voi.

–Po prostu odpowiedz mi na pytanie.

Poczerwieniła na twarzy na tę bezczelność, ale dobrze panowała nad sobą. Jej głos pozostał chłodny, niemal rzeczowy.

–Wiesz, że zawsze są sposoby i środki. To wszystko zależy od stopnia determinacji.

–Powinniście rozpocząć planowanie. Będziecie potrzebować statku międzygwiazdowego, a najlepiej kilku statków. A także żołnierzy i broni.

–W naszej sytuacji raczej trudno o wolne zasoby – stwierdził Perotet. Zdjął jedną z rękawiczek. Dłonie miał mlecznobiałe, drobnokościste.

–Dlaczego? Ponieważ przegracie wojnę? I tak ją przegracie. Po prostu zdarzy się to nieco wcześniej, niż się spodziewacie.

Perotet z powrotem włożył rękawiczkę.

–Dlaczego, Clavainie?

–Zwycięstwo nie jest już pierwszoplanową troską Matczynego Gniazda. Jest coś ważniejszego. Teraz zachowują pozory, że zależy im na wygraniu wojny, ponieważ nie chcą, by ktokolwiek domyślił się prawdy.

–A mianowicie? – spytała Voi.

–Nie znam wszystkich szczegółów. Musiałem wybierać: pozostać, by się dowiedzieć więcej, lub uciekać, gdy nadarzyła się okazja. Nie była to łatwa decyzja i nie miałem wiele czasu na refleksje.

–Po prostu niech pan nam powie, co wie – zaproponował Perotet. – My zdecydujemy, czy informacja wymaga dalszego badania. Zdaje pan sobie sprawę, że w końcu i tak się dowiemy wszystkiego, co pan wie. Mamy trały, podobnie jak pana strona. Może nie tak szybkie, nie tak bezpieczne... ale nam wystarczają. Nic pan nie traci, proszę mówić.

–Powiem wszystko, co wiem. Ale jeśli nie podejmiecie żadnych działań, informacja nie będzie miała znaczenia.

Clavain poczuł, że statek wojenny zmienił kurs. Teraz kierowali się na jedyny wielki księżyc Yellowstone, Oko Marka, który orbitował tuż za granicami jurysdykcji Konwencji.

–Mów śmiało – zachęcił go Perotet.

–Matczyne Gniazdo zidentyfikowało zewnętrzne zagrożenie, które dotyczy nas wszystkich. Tam w kosmosie są obcy, maszynopodobne istoty, dławiące pojawianie się cywilizacji technicznych. Właśnie dlatego galaktyka jest taka pusta. Obawiam się, że jesteśmy następni na liście.

–To brzmi jak czysta spekulacja.

–To nie spekulacje. Niektóre z naszych wypraw w głęboki kosmos już napotkały owych obcych. Są tak realni jak wy czy ja i zaręczam, że się zbliżają.

–Dotychczas radziliśmy sobie doskonale – zauważył Perotet.

–Zrobiliśmy coś, co ich zaalarmowało. Możliwe, że nigdy się nie dowiemy, co to było. Ważne jest tylko to, że zagrożenie jest prawdziwe i że Hybrydowcy mają pełną świadomość niebezpieczeństwa. Nie sądzą, żeby mogli je zlikwidować.

Clavain opowiedział mniej więcej tę samą historię, co Xavierowi i Antoinette – o flocie ewakuacyjnej Matczynego Gniazda i o misji odzyskania zagubionej broni.

–A ta wyimaginowana broń? Mamy uważać, że odegra istotną rolę w starciu z

wrogimi obcymi? – spytała Voi.

–Przypuszczam, że gdyby moi ludzie uważali ją za bezwartościowe, nie przejawialiby takiego zapału, by ją odzyskać.

–A jaka ma być w tym nasza rola?

–Chciałbym, żebyście odzyskali tę broń jako pierwsi. Po to potrzebny jest statek gwiazdny. Możecie zostawić kilka sztuk broni dla wychodźczej floty Skade, ale prócz tego... – Clavain wzruszył ramionami... – uważam, że lepiej, żeby broń dostała się w ręce ortodoksyjnego odłamu ludzkości.

–Kawał zdrajcy z ciebie – rzekła z podziwem Voi.

–Staralem się nie robić na tym kariery.

Statkiem szarpnęło. Bez żadnych ostrzeżeń. Clavain latał jednak wieloma statkami i rozpoznawał różnicę między manewrem zaplanowanym a niezaplanowanym.

Coś było nie tak. Zorientował się natychmiast na podstawie zachowania Voi i Peroteta: z ich twarzy znikła cała pewność siebie. Twarz Voi zmieniła się w maskę. Gardło kobiety drżało, kiedy nawiązała podgłosową łączność z szyprem promu. Perotet przeniósł się do jednego z okien; cały czas się starał, by po drodze mieć przynajmniej jedną kończynę przymocowaną do uchwytu.

Statkiem znowu zatrzęsło. Kabinę zalało ostre niebieskie światło. Perotet odwrócił wzrok, mrużąc oczy od blasku.

–Co się dzieje? – zapytał Clavain.

–Atakują nas. – Wydawał się jednocześnie zafascynowany i przerażony. – Ktoś właśnie zlikwidował jeden z eskortujących nas pojazdów Konwencji Ferrisvillskiej.

–Ten prom chyba nie jest ciężko opancerzony – zauważył Clavain. – Gdyby ktoś nas zaatakował, już bylibyśmy martwi.

Następny błysk. Prom szarpnął i zboczył z kursu. Obciążenie silników wzrosło, kadłub wibrował. Szyper zastosował wzorzec ucieczki.

–Dwa zlikwidowane – powiedziała Voi z drugiego końca kabiny.

–Czy moglibyście mnie uwolnić z tego fotela? – poprosił Clavain.

–Coś się do nas zbliża! – zawołał Perotet. – Wygląda na jeszcze jeden statek... lub dwa. Nie jest oznakowany. Wygląda na cywilny, ale to niemożliwe. Chyba że...

–Banshee? – zasugerował Clavain.

Wydawało się, że go nie usłyszeli.

–Z tej strony też coś jest – powiedziała Voi. – Szyper nie wie, co się dzieje. – Spojrzała na Clavaina. – Czy to możliwe, żeby twoi Hybrydowcy dotarli tak blisko Yellowstone?

–Bardzo im zależy na schwytaniu mnie – oznajmił Clavain. – Przypuszczam, że wszystko jest możliwe. Ale to złamałoby wszelkie reguły prowadzenia wojny.

–Jednak to mogą być pająki – oznajmiła Voi. – Jeśli Clavain się nie myli, to reguły prowadzenia wojny już się nie liczą.

–Możecie odpowiedzieć ogniem? – zapytał Clavain.

–Nie tutaj. Nasza broń jest wewnątrz strefy Konwencji elektronicznie uspokojona. – Perotet wypiął się z jednego uchwytu i przemknął do innego na przeciwległej ścianie. – Druga łódź eskortująca jest uszkodzona, musiała przyjąć na siebie częściowe trafienie. Traci powietrze i zdolność manewrową. Zostaje za nami. Voi, kiedy wejdziemy z powrotem w strefę wojenną?

Jej oczy znów się zaszklily. Wyglądała przez chwilę jak ogłuszona.

–Cztery minuty do granicy, a potem nasza broń znowu się włączy.

–Cztery minuty to za długo – stwierdził Clavain. – Czy przypadkiem tu na pokładzie nie macie jakiegoś skafandra?

Voi spojrzała na niego dziwnie.

–Oczywiście. Dlaczego pytasz?

–Ponieważ to jasne, że chodzi im o mnie. Przecież nie ma sensu, byśmy wszyscy umierali.

Poprowadzili go do szafki ze skafandrami. Skafandry projektowali Demarchiści. Całe ze żłobkowanego srebrzystoczerwonego metalu, były na takim samym poziomie technicznym jak skafandry Hybrydowców, ale wszystko w nich działało inaczej. Clavain nie potrafił włożyć skafandra bez pomocy Voi i Peroteta. Kiedy hełm się zatrzęsął, w otoczeniu przedniej szyby pojawiło się kilkanaście nieznanomych wskaźników statusu, pełzających cieni i sunących histogramów ze skrótowymi etykietami – Clavainowi nic to nie mówiło. Od czasu do czasu cichy i grzeczny żeński głos szeptał mu coś do ucha. Większość oznaczeń miała kolor zielony, a nie czerwony, co przyjął za pomyślną wróżbę.

–Nadal myślę, że to pułapka – powiedziała Voi. – Coś, co zawsze planowałeś. Że od początku chciałeś dostać się na pokład naszego statku, a potem zostać uratowany. Może coś nam zrobiłeś, coś umieściłeś...

–Mówiłem wam prawdę – odparł Clavain. – Nie wiem, kim są ci ludzie na zewnątrz ani czego ode mnie chcą. To mogą być Hybrydowcy, ale jeśli tak jest, nie planowałem ich przybycia.

–Chciałabym ci wierzyć.

–Podziwiałem Sandrę Voi. Miałem nadzieję, że moja z nią znajomość pomoże sprawie, którą mam do was. Byłem z wami całkowicie szczery.

–Jeśli to Hybrydowcy... zabiją cię?

–Nie wiem. Myślę, że mogliby już to zrobić, gdyby tego właśnie chcieli. Nie sądzę, by Skade was oszczędziła, ale może źle ją oceniam. Jeśli to rzeczywiście Skade... – Clavain powlókł się do śluzy. – Lepiej, żebym już poszedł. Mam nadzieję, że zostawią was w spokoju, kiedy zobaczą, że jestem na zewnątrz.

–Boisz się, prawda?

Clavain się uśmiechnął.

–Czy to aż tak widać?

–Jestem skłonna sądzić, że nie kłamiesz. Informacje, które nam przekazałeś...

–Naprawdę powinniście się nimi kierować.

Wszedł do śluzy. Voi wykonała resztę czynności. Wskaźniki na przedniej szybie hełmu zarejestrowały przejście do próżni. Clavain słyszał, jak jego skafander

poskrzypuje i pstryka w nieznamy sposób, przystosowując się do kosmosu. Zewnętrzne drzwi statku uniosły się na ciężkich tłokach. Clavain nie widział nic prócz ciemnego prostokąta. Żadnych gwiazd; żadnych światów; żadnego Pasa Rdzy. Nie było nawet statków – maruderów.

Wychodzenie z pojazdu kosmicznego zawsze wymagało odwagi, zwłaszcza gdy nie było żadnych środków umożliwiających powrót. Clavain uważał, że wykonanie tego kroku i odepchniecie się to jedna z dwóch czy trzech najtrudniejszych rzeczy, jakie zrobił w życiu.

Ale musiał to zrobić.

Był na zewnątrz. Powoli się obrócił. Szponiasty prom Demarchistów pojawił się w polu widzenia i minął Clavaina. Prom był nieuszkodzony, wyjąwszy jedno czy dwa nadpalone miejsca na kadłubie, gdzie uderzyły go parzące fragmenty statków eskortujących. Po szóstym czy siódmym obrocie silniki zapulsowały i prom zaczął się oddalać od Clavaina. To dobrze. Nie miałyby sensu jego poświęcenie, gdyby Voi go nie wykorzystała.

Czekał. Dopiero po jakichś czterech minutach zdał sobie sprawę, że są tu inne statki. Najwidoczniej wcześniej, po ataku, oddaliły się. Teraz zobaczył trzy, tak jak sądzili Perotet i Voi.

Miały czarne kadłuby ozdobione neonowymi czaszkami, oczyma i rekinimi zębami. Od czasu do czasu otwór dyszy wyrzucał sterujący impuls gazu, a błysk wydobywał dalsze szczegóły, obrysowując opływowe krzywe powierzchni przystosowanych do lotów w atmosferze, zakapturzone pyski wysuwalnych broni lub podwieszony na zawiasach sprzęt do abordażu. Broń można było wsunąć na miejsce i statki wyglądałyby dosyć niewinnie: opływowe zabawki bogatych dzieciaków. Z pewnością nie jak statki, które mogą się mierzyć z uzbrojonymi łodziami eskortującymi Konwencji.

Jeden z trzech banshee oderwał się od stada i zawisł nad Clavainem. W brzuchu kadłuba rozwarła się żrenicowato żółto oświetlona śluza. Szybko wynurzyły się z niej dwie postacie, czarne jak sam kosmos. Wystrzeliły ku Clavainowi i profesjonalnie wyhamowały, kiedy już, już miały się z nim zderzyć. Ich skafandry były jak ich okręty: pierwotnie cywilne, ale powiększone o pancerz i broń. Nie próbowano mówić do niego na kanale skafandra. Kiedy go oplątywano siecią i zabierano na pokład czarnego statku, słyszał tylko cichy, powtarzający się komunikat podosoby skafandra.

W śluzie na brzuchu statku było akurat miejsce dla trzech osób. Clavain szukał oznaczeń na skafandrach towarzyszącej mu dwójki, ale nawet z bliska były one doskonale czarne. Wizjery przyłbic zostały zaciemnione, więc dostrzegał jedynie

sporadyczne błyski oczu.

Wskaźniki statusu jego skafandra znowu się zmieniły, informowały o powrocie ciśnienia powietrza na zewnątrz. Wewnętrzne drzwi otwały się żrenicowato. Wepchnięto go do głównej części czarnego statku. Para w skafandrach poszła za nim. Kiedy weszli, ich hełmy odłączyły się automatycznie i pofrunęły do punktów składowania. Dwaj mężczyźni wprowadzili go na pokład. Mogli być bliźniakami – nawet ich złamane nosy wyglądały identycznie. Jeden miał brew przekłutą złotym kolczykiem, drugi miał kolczyk w płatku ucha. Obydwaj byli łysi, z wyjątkiem cieniutkiej linii ufarbowanych na zielono włosów, która dzieliła ich czaszki od skroni do karku. Nosili panoramiczne szylkretowe gogle i u żadnego z nich nie było ani śladu ust.

Ten z kolczykiem w brwi pokazał gestem Clavainowi, że powinien zdjąć hełm. Clavain pokręcił głową – nie chciał tego robić bez pewności, że otaczające go powietrze jest zdatne do oddychania. Mężczyzna wzruszył ramionami i sięgnął po zawieszony na ścianie przedmiot – jasnożółtą siekierę.

Clavain podniósł dłoń i zaczął majstrować przy zatrzasku demarchistowskiego skafandra. Nie mógł znaleźć mechanizmu odpinającego. Po chwili mężczyzna z kolczykiem w uchu pokręcił głową i odsunął na bok dłoń Clavaina. Pracował przy zamknięciu, a cichy głos w uchu Clavaina stał się ostrzejszy, bardziej natarczywy. Większość displejów statusu zamigotała na czerwono.

Hełm odłączył się z sykiem powietrza. Clavainowi zatkały się uszy. Ciśnienie na czarnym statku niezupełnie odpowiadało normom Demarchistów. Oddychał zimnym powietrzem, jego płuca pracowały ciężko.

–Kim jesteście? – zapytał, kiedy znalazł w sobie energię na wypowiedzenie słów.

Mężczyzna z kolczykiem w brwi odwiesił na ścianę żółtą siekierę. Przeciągnął palcem po gardle.

Potem inny głos, ten którego Clavain nie rozpoznawał, powiedział:

–Cześć.

Clavain rozejrzał się. Trzecia osoba miała na sobie skafander, ale znacznie zgrabniejszy niż skafandry kumpli. Nawet w kosmicznym ubraniu udawało jej się zachować smukłą i szczupłą sylwetkę. Zawisała we framudze drzwi w ścianie działowej, spokojna, z głową lekko przechyloną na bok. Być może wskutek gry światła na jej twarzy Clavainowi wydało się, że widzi widmowe ostrza wyblakłej czerni na tle doskonałej bieli skóry.

–Mam nadzieję, że Gadatliwe Bliźniaki dobrze pana traktowały, panie Clavain.

–Kim pani jest? – powtórzył Clavain.

–Jestem Zebra. To oczywiście nie jest moje prawdziwe nazwisko. Nigdy nie będzie panu potrzebna znajomość mego prawdziwego nazwiska.

–Kim pani jest, Zebro? Czemu to pani robi?

–Ponieważ mi kazano. Czego się pan spodziewał?

–Nie spodziewałem się niczego. Próbowałem... – Przerwał, by zaczerpnąć tchu. – Próbowałem zbiec.

–Wiemy o tym.

–My?

–Wkrótce się pan dowie. Niech pan idzie ze mną, panie Clavain. Bliźniaki, przypnijcie się i przygotujcie na ostre przyśpieszenia. Zanim wrócimy na Yellowstone, Konwencja zaroi się jak stado much. Podróż do domu będzie interesująca.

–Nie jestem wart śmierci niewinnych ludzi.

–Nikt nie zginął, panie Clavain. Dwie łodzie Konwencji, które zniszczyliśmy, były bezzałogowe, sterowane z trzeciej. Uszkodziliśmy trzecią, ale jej pilot nie doznał obrażeń. I ostentacyjnie unikaliśmy niszczenia promu Zombi. Ciekaw jestem, czy do wyjścia na zewnątrz pana zmusili?

Poszedł za nią przez ściankę działową na pokład załogowy. O ile Clavain się zorientował, była tam tylko jeszcze jedna osoba: pomarszczony starzec wpięty w fotel pilota. Nie miał na sobie skafandra, kontrolki trzymał plamiastymi ze starości rękami przypominającymi chwytną gałązkę.

–A jak wam się wydaje? – spytał Clavain.

–Mogli to zrobić, ale sądzę, że najprawdopodobniej to pan zdecydował się wyjść.

–To teraz nie ma znaczenia. Macie mnie.

Stary człowiek spojrzał na Clavaina jedynie z przelotnym zainteresowaniem.

–Wchodzimy normalnie, Zebro, czy wracamy długą drogą?

–Leć normalnym korytarzem, ale bądź gotów do zbiegnięcia z kursu, Manoukhian. Nie mam zamiaru znowu potykać się z Konwencją.

Manoukian – choć mogło to być nieprawdziwe nazwisko – skinął głową i nacisnął zrobione z kości słoniowej drążki sterowe.

–Niech goście się przypną. Ty też, Zebro.

Prążkowana kobieta kiwnęła głową.

–Bliźniaki? Pomóżcie mi wpiąć pana Clavaina.

Dwaj mężczyźni przesunęli odzianego w skafander Clavaina do wyprofilowanego fotela akceleracyjnego. Poddał się, zbyt słaby, żeby się opierać. Zbadał umysłem cybernetyczne środowisko pojazdu i choć jego implanty wyczuły trochę wymiany danych przez sieć sterowniczą, nie było tam nic, na co mógłby wpływać. Ludzie również znajdowali się poza jego zasięgiem. Nie sądził nawet, by któryś z nich miał implanty.

–Jesteście banshee? – spytał Clavain.

–Coś w tym rodzaju, ale niezupełnie. Banshee są bandą brutalnych piratów. My załatwiamy sprawy nieco subtelniej. Ale dzięki ich istnieniu mamy przykrywkę niezbędną do naszych działań. A pan? – Uśmiechnęła się, pasy na jej twarzy zebrały się w pęk. – Czy naprawdę jest pan Nevilem Clavainem, Rzeźnikiem z Tharsis?

–Nie słyszeliście tego ode mnie.

–Tak powiedział pan Demarchistom. I tym dzieciakom w Kopenhadze. Widzi pan, mamy wszędzie szpiegów. Niewiele nam umyka.

–Nie mam dowodu, że jestem Clayainem. Ale z drugiej strony, czemu miałbym to udowadniać?

–Myślę, że to pan – oświadczyła Zebra. – W każdym razie mam taką nadzieję. Gdyby okazał się pan oszustem, byłoby to ogromne rozczarowanie. Mój szef nie byłby szczęśliwy.

–Pani szef?

–Lecimy na spotkanie z tym człowiekiem – wyjaśniła Zebra.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-11

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/